

NELSON DEMILLE

KATEDRA

(CATHEDRAL)

Przełożył: Marcin Krygier

Wydanie oryginalne: 1981

Wydanie polskie: 1993

TMN

*Laureen, lat trzy, specjalistce od alfabetu,
i Aleksandrowi, świeżo przybyłemu na ten świat*

OD AUTORA

Tyczy miejsc, ludzi i wydarzeń; autor przekonał się, że w każdej książce o Irlandczykach licencje poetyckie i inne dowolności są nie tylko tolerowane, lecz wręcz pożądane.

Katedra Świętego Patryka w Nowym Jorku została opisana starannie i dokładnie. Jednak, jak w każdym utworze literackim, a zwłaszcza w takim, którego akcja umiejscowiona jest w przeszłości, niektóre elementy potraktowane zostały dość swobodnie.

Postaci nowojorskich oficerów policji przedstawione w tej książce nie są wzorowane na prawdziwych ludziach. Fikcyjny negocjator, kapitan Bert Schroeder, nie jest odzwierciedleniem obecnego negocjatora Departamentu Policji Nowego Jorku, Franka Bolza. Jedynym elementem wspólnym jest tytuł negocjatora. Kapitan Bolz to niezwykle kompetentny oficer, którego autor miał okazję spotkać trzykrotnie i którego światowa renoma jako innowatora nowojorskiego systemu negocjacji z porywaczami jest całkowicie zasłużona. Dla mieszkańców miasta Nowy Jork, a zwłaszcza dla ludzi, do których uwolnienia się przyczynił, jest on prawdziwym bohaterem w każdym tego słowa znaczeniu.

Kler katolicki przedstawiony w niniejszej książce nie ma odpowiedników w rzeczywistości. Obecny proboszcz katedry Świętego Patryka w Nowym Jorku, prałat James Rigney, to przyjazny, oddany i niezwykle życzliwy człowiek, który hojnie poświęcił autorowi dużo swego czasu i udzielił wielu porad. Kardynała z powieści nie łączy z obecnym arcybiskupem Nowego Jorku nic poza tytułem.

Irlandzcy rewolucjoniści z powieści są wzorowani do pewnego stopnia na grupie rzeczywistych ludzi, podobnie jak politycy, ludzie ze służb wywiadowczych oraz dyplomaci, choć żadna postać nie odpowiada pojedynczej prawdziwej osobie.

Celem moim nie było stworzenie *roman a clef* ani też przedstawienie w jakimkolwiek świetle, korzystnym czy też nieprzychylnym, żadnej osoby ani zmarłej, ani żyjącej. Opowieść ta toczy się nie w teraźniejszości czy przeszłości, lecz w przyszłości; wszakże jej rodzaj zmusza autora do wykorzystania opisowych tytułów funkcjonariuszy państwowych i innych autentycznych określeń używanych współcześnie. Oprócz tych nazw nie istnieje żaden

zamierzony związek z osobami, które obecnie w życiu publicznym piastują tak określone funkcje.

Postaci i odniesienia historyczne są w przeważającej części zgodne z rzeczywistością z wyjątkiem tych fragmentów, w których oczywista mieszanina faktu i fikcji wpleciona jest w akcję powieści.

Chciałbym podziękować następującym ludziom za pomoc edytorską, oddanie oraz, ponad wszystko, za ich cierpliwość: Bernardowi i Darlene Geis, Josephowi Elderowi, Davidowi Kleinmanowi, Mary Crowley, Eleanor Hurka i Rose Ann Ferrick. Specjalne podziękowania należą się Judith Shafran, której ta książka byłaby dedykowana, gdyby nie fakt, że jest ona edytorem, a więc naturalnym wrogiem autorów, aczkolwiek szlachetnym i szczerym.

Za specjalistyczne rady i możliwość skorzystania z ich doświadczenia chciałbym podziękować: emerytowanemu detektywowi Jackowi Laniganowi z NYPD; prałatowi Jamesowi Rigneyowi, proboszczowi katedry Świętego Patryka; Knightowi Strugisowi, architektowi konserwatorowi katedry Świętego Patryka; Michaelowi Moriarty'emu i Carmowi Tintle'owi, seanachies.¹

Następujące organizacje i instytucje dostarczyły informacji niezbędnych do napisania tej książki: Biuro Rzecznika Nowojorskiego Departamentu Policji; Komitet Organizacyjny Parady Dnia Świętego Patryka; Sześćdziesiąty Dziewiąty Pułk Piechoty, NYARNG²; Amnesty International; Kuria Arcybiskupia Nowego Jorku; Konsulat Irlandzki oraz Konsulat Brytyjski w Nowym Jorku; a także Irlandzkie Biuro Obsługi Turystów.

Wiele innych osób i instytucji udostępniło autorowi swój czas i wiedzę, wnosząc kolorowe nici do tkaniny narracji przedstawionej w tej książce, i im wszystkim – zbyt licznym, by można było wymienić każdego – składam moje szczerze podziękowanie.

Nelson de Mille
Nowy Jork, wiosna 1993

¹ irlandzcy gawędziarze parający się utrwalaniem i rozpowszechnianiem ludowych legend

² (New York Armoured Regiment of National Guard) – Nowojorski Pułk Piechoty Zmotoryzowanej Gwardii Narodowej

KSIEGA PIERWSZA

IRLANDIA PÓŁNOCNA

Teraz, gdy dowiedziałam się tak wiele o Irlandii Północnej, oto co mogę na jej temat powiedzieć: jest to niezdrowe, przesiąknięte atmosferą śmierci miejsce, gdzie ludzie uczą się umierać, gdy są jeszcze dziećmi; gdzie nigdy nie udało się nam zapomnieć o naszej historii i kulturze – które są tylko przemocą ukrytą pod inną maską; gdzie ludzie zdolni są do głębokiej miłości, uczucia ludzkiego ciepła i hojności. Lecz, mój Boże! Jak głęboko umiemy nienawidzić!

Co dwie lub trzy godziny wskrzeszamy rzeczy przeszłe, odkurzamy je i ciskamy komuś prosto w twarz.

Betty Williams

Aktywistka na rzecz pokoju w Irlandii Północnej
i laureatka Pokojowej Nagrody Nobla

– Herbata jest zimna. – Sheila Malone odstawiła swoją filiżankę i czekała, dopóki dwaj znajdujący się naprzeciw niej mężczyźni nie zrobią tego samego.

Obaj siedzieli za stołem, ubrani jedynie w bieliznę koloru khaki. Młodszy z mężczyzn, szeregowiec Harding, odchrząknął nerwowo.

– Chcielibyśmy założyć nasze mundury.

Sheila potrząsnęła głową.

– Nie trzeba.

Drugi mężczyzna, sierżant Shelby, odstawił swoją filiżankę.

– Skończmy już z tym. – Głos miał spokojny, lecz jego dłoń się trzęsła, a w oczach czaił się strach. Nie ruszył się, by powstać.

Sheila odezwała się ostro:

– Może przeszlubyśmy się trochę?

Sierżant się podniósł, ale Harding spojrział jedynie na stół, wpatrując się w porozrzucone karty pozostałe po grze w brydża, nad którym spędzili całe przedpołudnie, i pokręcił głową. Shelby ujął młodszego mężczyznę za ramię i spróbował je ścisnąć, lecz jego uchwytowi brakło siły.

– Chodź już. Przyda nam się trochę świeżego powietrza.

Sheila dała znak dwóm ludziom przy kominku, a ci podeszli, by stanąć za brytyjskimi żołnierzami. Jeden z nich, Liam Coogan, odezwał się opryskliwie:

– Idziemy. Nie możemy stracić na to całego dnia.

Sheila spojrzała na żołnierzy.

– Dajcie chłopakowi parę sekund – powiedział sierżant, pociągając Hardinga za rękę. – Dalej, wstawaj – rozkazał. – To najtrudniejsza chwila.

Młody szeregowiec podniósł się powoli, potem zaczął z powrotem osuwać się na krzesło, trzęsąc się ze strachu. Coogan chwycił go pod pachy i popchnął w stronę drzwi. Drugi mężczyzna, George Sullivan, otworzył je i wypchnął Hardinga na zewnątrz.

Wszyscy wiedzieli, że pośpiech gra teraz kluczową rolę, że należy zrobić to szybko, zanim któregoś opuści odwaga. Trawa pod stopami więźniów była mokra i zimna, styczniowy wiatr strząsał krople wody z gałęzi jarzębin. Przeszli obok wygodki, której używali każdego ranka i wieczora przez te dwa tygodnie, i podążyli w kierunku wąwozu niedaleko chatki.

Sheila wsunęła dłoń pod sweter i zza pasa wyciągnęła mały pistolet. W ciągu tygodni, które spędziła z tymi ludźmi, zaczęła ich lubić i z czystej przyzwoitości ktoś inny powinien być przysłany, by to zrobić. Cholerne, obojętne sukinsyny.

Dwaj żołnierze byli już na krawędzi wąwozu. Coogan szturchnął ją mocno.

– Teraz, niech cię cholera! Teraz!

Spojrzała na więźniów.

– Zatrzymajcie się tam! – zawołała.

Mężczyźni stanęli zwróceni plecami do swoich katów. Sheila zawahała się, potem uniosła trzymany w obu rękach pistolet. Nie potrafiła się zmusić, by podejść bliżej i zabić ich, mierząc w głowę. Wzięła głęboki oddech i strzeliła dwukrotnie, zmieniając cel.

Shelby i Harding polecili do przodu i stoczyli się w głąb wąwozu, zanim jeszcze przebrzmiało echo wystrzałów. Upadli na ziemię jęcząc.

Coogan zaklął. Zbiegł na dół, wycelował swój rewolwer w tył głowy Shelby'ego i wypalił. Harding leżał na boku, spieniona krew sączyła się z jego ust, pierś wznosiła się i opadała w urywanym oddechu. Oczy były szeroko otwarte. Coogan pochylił się i wystrzelił prosto w nie. Następnie schował rewolwer do kieszeni i spojrział w górę, ku krawędzi wąwozu.

– Ty cholerna, durna babo! Dać babie robotę do wykonania, a...

Sheila wymierzyła w niego swój pistolet. Cofając się, Coogan potknął się o ciało Shelby'ego. Leżał teraz pomiędzy dwoma trupami, nadal wznosząc ramiona ku górze.

– Nie! Proszę! Nie miałem na myśli nic złego. Nie strzelaj!

Sheila opuściła broń.

– Jeżeli kiedykolwiek mnie jeszcze dotkniesz albo powiesz coś do mnie... rozwalę ci ten twój pieprzony łeb!

Sullivan podszedł do niej ostrożnie.

– Już w porządku. Chodź, Sheila. Musimy się stąd wynosić.

– On sam trafi do swojego cholernego domu. Nie pojedę razem z nim.

Sullivan odwrócił się i spojrzał na Coogana.

– Idź przez las, Liam. Na głównej drodze złapiesz jakiś autobus. Do zobaczenia w Belfaście.

Sheila i Sullivan przeszli szybkim krokiem do zaparkowanego przy ścieżce samochodu i wsiedli do środka. Kierowca, Rory Devane, i kurier, Tommy Fitzgerald, czekali na nich.

– Ruszamy – powiedział Sullivan.

– Gdzie Liam? – zapytał nerwowo Devane.

– Wyośmy się stąd – ucięła Sheila.

Samochód wjechał na drózkę i skierował się na południe, w stronę Belfastu.

Sheila wyciągnęła z kieszeni dwa listy, które dali jej żołnierze, by wysłała do ich rodzin. Gdyby zostali zatrzymani przez blokadę i ci z RUC³ znaleźliby listy... Otworzyła okno i wyrzuciła pistolet, potem cisnęła w powietrze listy.

Obudził ją dźwięk dudniących na ulicy motorów i łomot butów na bruku. Ludzie wykrzykiwali coś z okien, bito na alarm w pokrywy od kubłów na śmieci. Sheila Malone wyskoczyła z łóżka. Gdy macała na oślepek szukając ubrania, słyszała wywrzaskiwane pod oknem rozkazy. Zaczęła wciągać spodnie pod szlafrok, gdy drzwi jej sypialni otworzyły się z łomotem i dwaj żołnierze wpadli bez słowa do środka. Promień światła z holu zmusił ją do zasłonięcia oczu.

– Sheila Malone, zostajesz aresztowana na podstawie Ustawy o Nadzwyczajnych Pełnomocnictwach⁴. Jeżeli choćby pierdniesz podczas wyprowadzania do ciężarówki, stłuczemy cię na miazgę.

Wypchnięto ją do holu, po schodach i dalej na wypełnioną krzyczącymi ludźmi ulicę. Rozmyte obrazy przewijały się przed jej oczyma, gdy przeprowadzono ją do przecznicy, w której zaparkowane były ciężarówki. Ludzie wymieniali obraźliwe uwagi z brytyjskimi żołnierzami i ludźmi z RUC, którzy im pomagali. „Pierdolić królową!”, zawołał jakiś

³ RUC (Royal Ulster Constabulary) – siły policyjne Ulsteru (*przyp. tłum.*).

⁴ Ustawa o Nadzwyczajnych Pełnomocnictwach (Special Powers Act) – zestaw aktów legislacyjnych uprawniających rząd Irlandii Północnej m.in. do ogłoszenia godziny policyjnej i internowania terrorystów (*przyp. tłum.*).

chłopak. Kobiety i dzieci płakały, psy szczekały. Dostrzegła młodego księdza próbującego uspokoić grupę ludzi. Obok niej wleczono nieprzytomnego człowieka z zakrwawioną głową. Żołnierze podnieśli ją i wrzucili do małej ciężarówki wypełnionej tuzinem innych więźniów. Strażnik z RUC stał w głębi samochodu, pieszczotliwie bawiąc się długą pałką.

– Kładź się, suko, i zamknij twarz!

Położyła się przy burcie, wsłuchując się w swój oddech. Po kilku minutach ruszyli. W ciemności paru ludzi leżało nieprzytomnych lub pogrążonych we śnie, inni płakali. Strażnik nie przerywał swojej antykatolickiej tyrady, dopóki ciężarówka się nie zatrzymała. Tylne klapy otworzyły się z impetem, ukazując obszerny, oświetlony reflektorami, ogrodzony teren, otoczony drutem kolczastym i wieżyczkami ze stanowiskami karabinów maszynowych. To było Long Kesh, przez katolików z Irlandii Północnej nazywane Dachau. Do środka ciężarówki zajrzał żołnierz i krzyknął:

– Wychodzić! Szybko! Ruszać się!

Kilka osób zaczęło się gramolić na zewnątrz, depcząc po Sheili. Rozległy się odgłosy uderzeń. Młody chłopak, ubrany w piżamę, przeczołgał się po Sheili i zwałił na ziemię. Strażnik z RUC kierował wszystkich ku wyjściu kopniakami niczym śmieciarz czyszczący podłogę swego wozu na wysypisku. Ktoś pociągnął ją za nogi i upadła na miękką, wilgotną ziemię. Spróbowała wstać, ale znów została przewrócona.

– Czołgać się! Czołgać, sukinsyny!

Kłęcząca pomiędzy dwoma szeregami spadochroniarzy. Pełzła jak najszybciej przez tę „ścieżkę zdrowia”, a ciosy spadały na jej plecy i pośladki. Kilku mężczyzn robiło obłeśne uwagi, lecz uderzenia były lekkie, a nieprzyzwoite słowa wykrzykiwane chłopięcymi, zażenowanymi głosami, co w jakiś sposób potęgowało jedynie poczucie sprośności.

U wylotu „ścieżki zdrowia” dwaj żołnierze pochwycili Sheilę i wepchnęli do podłużnego polowego baraku. Oficer z krótką laseczką wskazał otwarte drzwi, a żołnierze rzucili ją na podłogę w małym pokoju i wychodząc zatrzęsnęli drzwi. Leżąc na środku ciasnej celi, spojrzała w górę. Za stołem czekała strażniczka.

– Czas na striptiz. Dalej, ty mały śmieciu! Wstawaj i zdejmuj ciuchy.

W ciągu paru minut została rozebrana, przeszukana i ubrana w więzienną bieliznę i szary uniform. Zanim zdołała pozbierać myśli i zdecydować, co powinna powiedzieć, włożono jej kaptur na głowę i przepchnięto przez drzwi, które natychmiast się za nią zamknęły.

Ktoś wrzasnął jej nagle prosto do ucha:

– Powiedziałem, żebyś przeliterowała swoje imię, suko!

Spróbowała je przeliterować i ku swemu zdumieniu stwierdziła, że nie potrafi tego zrobić. Ktoś się zaśmiał, ktoś inny krzyknął:

– Głupia pizda!

Trzeci mężczyzna zawołał:

– Zastrzeliłaś dwóch naszych chłopców, co?!

A więc tak. Wiedzieli. Poczwała, że nogi zaczynają jej drżeć.

– Odpowiedz mi, ty mała, wredna dziwko!

– N-nie.

– Co?! Nie okłamuj nas, tchórzliwa suko! Lubisz strzelać ludziom w plecy, co? Teraz kolej na ciebie!

Poczwała, jak coś szturcha ją w tył głowy, i usłyszała dźwięk odbezpieczanego pistoletu. Iglica uderzyła z głośnym, metalicznym stuknięciem. Sheila podskoczyła. Ktoś znowu się zaśmiał.

– Następnym razem nie będzie pusty, suko!

Pot zbierał się na jej czole, wsiąkając w czarny kaptur.

Po godzinie bólu, wyzwisk, upokorzenia i obłęsnego śmiechu, trzech przesłuchujący ją mężczyźni wydawali się znudzeni. Miała już pewność, iż nadal szukają na oślepi, i była prawie przekonana, że zwolnią ją o świcie.

– Doprowadźcie się do porządku.

Usłyszała, że trzech mężczyźni wyszli. Zastąpili ich inni. Ściągnięto jej kaptur z głowy. Oślepiło ją jasne światło. Człowiek, który zdjął kaptur, odszedł na bok i usiadł na krześle tuż za granicą jej pola widzenia. Sheila skoncentrowała wzrok na tym, co znajdowało się wprost przed nią. Młody oficer armii brytyjskiej, major, siedział na krześle za małym połowym stołem na środku pozbawionego okien pokoju.

– Proszę usiąść, panno Malone.

Podeszła sztywno do taboretu stojącego przed stołem i powoli usiadła. Zdusiła łkanie i uspokoiła oddech.

– Tak, będzie pani mogła wrócić do łóżka, gdy tylko z tym skończymy. – Major się uśmiechnął. – Nazywam się Martin.

– Tak... słyszałam o panu.

– Naprawdę? Mam nadzieję, że same dobre rzeczy.

Pochyliła się w przód i spojrzała mu w oczy.

– Niech pan posłucha, majorze Martin. Zostałam przed chwilą pobita i byłam napastowana seksualnie.

Major przerzucił jakieś dokumenty.

– Pomówimy o tym, gdy tylko skończymy tę sprawę. – Wybrał arkusz papieru. – A więc... podczas rewizji w pani pokoju znaleziono pistolet i torbę pełną gelignitu. Dostyc, by wysadzić w powietrze całą ulicę. – Spojrzał na nią. – Niebezpiecznie trzymać coś takiego w domu własnej ciotki. Obawiam się, że w tej chwili ona także może mieć pewne kłopoty.

W moim pokoju nie było broni ani materiałów wybuchowych i pan o tym wie.

Zastukał niecierpliwie palcami po stole.

– Nie ma znaczenia, czy były tam, czy też nie, panno Malone. Liczy się to, że zgodnie z posiadanym przeze mnie raportem broń i materiały wybuchowe zostały znalezione, a w

Ulsterze różnica pomiędzy zarzutami a rzeczywistością nie jest aż tak duża. Prawdę mówiąc, to jedno i to samo. Nadąża pani za mną?

Nie odpowiedziała.

– W porządku – kontynuował major. – To nie jest ważne. Ważne jest natomiast – spojrzął jej w oczy – zabójstwo sierżanta Thomasa Shelby’ego i szeregowca Alana Hardinga.

Wytrzymała jego spojrzenie nie okazując emocji, ale w żołądku uczuła nagły ucisk. Mieli ją i była prawie pewna, że wie dlaczego.

– Sądzę, że zna pani Liama Coogana, panno Malone. To pani współnik. Złożył obciążające panią zeznania.

Dziwny półśmiech przemknął przez jej usta.

– Jeżeli wiecie tak cholernie dużo, dlaczego pańscy ludzie...

– Och, to nie są moi ludzie. To chłopaki z pułku spadochroniarzy. Służyli razem z Hardingiem i Shelbym. Sprowadziłem ich tutaj specjalnie na tę okazję. – Jego głos się zmienił, stał się bardziej konfidențialny. – Ma pani piekielne szczęście, że pani nie zabili.

Sheila rozważyła swoje położenie. Nawet według zwykłego brytyjskiego prawa zeznanie Coogana starczyłoby, by ją skazać.

A więc dlaczego została aresztowana na mocy Ustawy o Nadzwyczajnych Pełnomocnictwach? Dlaczego wysilali się, by podrzucić w jej pokoju broń i materiały wybuchowe? Major chciał czegoś innego.

Martin patrzył na nią beznamiętnie, potem odchrząknął.

– Na nieszczęście w naszym oświeconym królestwie nie ma kary śmierci za morderstwo. Jednak mamy zamiar spróbować czegoś nowego. Mamy zamiar spróbować uzyskać akt oskarżenia za zdradę – myślę, że możemy śmiało powiedzieć, że Tymczasowa IRA⁵, której jest pani członkiem, dopuściła się zdrady wobec Korony Brytyjskiej. – Zerknął do otwartej książki leżącej przed nim. – „Czyny stanowiące zdradę. Paragraf 811. Kto prowadzi działania wojenne przeciw suwerenowi w obrębie królestwa...” Myślę, że pani przypadek doskonale tutaj pasuje. – Przyniósł książkę bliżej i odczytał: – „Paragraf 812. Natura zbrodni zdrady leży w pogwałceniu obowiązku lojalności wobec suwerena...” A paragraf 813 to mój ulubiony. Mówi po prostu: „Karą za zdradę jest śmierć przez powieszenie.” – Położył nacisk na ostatnich słowach, przypatrując się jej reakcji, lecz nie doczekał się żadnej. – To Churchill powiedział, komentując irlandzkie powstanie z tysiąc dziewięćset szesnastego⁶, że „zielona trawa rośnie na polach bitew, ale nigdy pod szubienicą”.

Najwyższy czas, byśmy znowu zaczęli wieszać irlandzkich zdrajców. Panią pierwszą. A obok pani na szubienicy znajdzie się pani siostra Maureen. Sheila wyprostowała się nagle.

– Moja siostra? Dlaczego...?

⁵ Tymczasowa IRA (Provisional IRA) – odłam Irlandzkiej Armii Republikańskiej otwarcie posługujący się terroryzmem dla wywalczenia wolności Irlandii Północnej (*przyp. tłum.*).

⁶ Mowa o tzw. powstaniu wielkanocnym w 1916 roku, wymierzonym przeciw brytyjskiej dominacji w Irlandii (*przyp. tłum.*).

– Coogan twierdzi, że ona też tam była. Pani, pani siostra i jej kochanek, Brian Flynn.

– To cholerne kłamstwo.

– Dlaczego ktoś miałby donosić na swoich przyjaciół, a potem kłamać na temat osoby mordercy?

– Bo to on zastrzelił tych żołnierzy...

– Znaleźliśmy pociski z dwóch typów broni. Oddać pod sąd za morderstwo dwóch ludzi możemy kogokolwiek. A więc dlaczego nie pozwoli nam pani dowiedzieć się, kto, co i komu uczynił?

– Nie obchodzi was, kto zabił tych żołnierzy. To Flynnna chcecie powiesić.

– Ktoś musi zawisnąć.

Major Martin nie miał zamiaru wieszać kogokolwiek, przysparzając tym Irlandii nowych męczenników. Pragnął jedynie umieścić Flynnna w Long Kesh, gdzie mógłby wycisnąć z niego każdą drobinę informacji na temat Tymczasowej IRA. Potem poderznąłby Brianowi Flynnowi gardło kawałkiem szkła i nazwał to samobójstwem.

– Założmy, że wymknie się pani katu. Założmy też, że złowimy pani siostrę, co nie jest takie nieprawdopodobne. Niech pani sobie wyobrazi z łaski swojej, panno Malone, życie ze swoją siostrą w jednej celi aż do waszej naturalnej śmierci. Ile ma pani lat? Nawet nie dwadzieścia? Miesiące, lata... mijają powoli. Powoli. Młode dziewczyny marnujące swe życie... za co? Za ideologię? Reszta świata nadal będzie żyć i kochać się, wolna i swobodna. A wy... cóż, największym tu świństwem jest fakt, że Maureen nie jest winna zabójstwa. To z pani powodu tam będzie, ponieważ nie chce pani zdradzić jej kochanka. A Flynn oczywiście znajdzie sobie inną kobietę. Coogan zaś... tak, Coogan pojedzie do Londynu albo do Ameryki, by żyć tam i...

– Zamknij się! Na miłość boską, zamknij się! – Ukryła twarz w dłoniach i spróbowała pomyśleć.

– Oczywiście jest z tego wyjście. – Spojrzał na swoje papiery, potem znów podniósł wzrok. – Zawsze jest, nieprawdaż? Musi pani tylko podyktować zeznanie, w którym wskaże pani na Briana Flynnna jako oficera Tymczasowej IRA – co jest przecież prawdą – oraz jako zabójcę sierżanta Shelby’ego i szeregowca Hardinga. Zostanie pani oskarżona o współudział w ukryciu zbrodni i uwolniona po... powiedzmy siedmiu latach.

– A moja siostra?

– Wystawimy nakaz aresztowania jedynie pod zarzutem współuczestnictwa. Powinna opuścić Ulster i nigdy więcej tu nie wracać. Nie będziemy jej szukać i nie będziemy się domagać jej ekstradycji od żadnego kraju. Ale ten układ obowiązuje tylko wtedy, gdy znajdziemy Briana Flynnna. – Wychylił się w przód, pytając konspiracyjnym tonem: – Gdzie jest Brian Flynn?

– Skąd, do cholery, mam to wiedzieć?

Martin wyprostował się na swoim krześle.

– Cóż, musimy o coś panią oskarżyć w ciągu dziewięćdziesięciu dni od chwili internowania. Takie jest prawo, rozumie pani. Jeżeli nie znajdziemy Flynna przed upływem tego czasu, będziemy zmuszeni oskarżyć panią o morderstwo, być może także i o zdradę. Tak więc, jeżeli przypomni sobie pani cokolwiek, co mogłoby nas do niego zaprowadzić, proszę się nie wahać przed powiedzeniem nam o tym. – Przerwał na moment. – Sugeruję, by myślała pani bardzo intensywnie o miejscu pobytu Briana Flynna. Dobrze?

Brian Flynn spojrział na most Królowej skryty w marcowej mgłę i ciemności. Opary nad rzeki Lagan przesuwaly się częściowo oświetlonymi ulicami i unosiły pomiędzy budynkami z czerwonej cegły na Bank Road. Trwała już godzina policyjna i ulice były opustoszałe.

U jego boku Maureen Malone rozmyślała nad tym, że jego przystojna, ciemna twarz zawsze wygląda nocą nieco złowieszczo. Podciągnęła rękaw swego płaszcza i zerknęła na zegarek.

– Już po czwartej. Gdzie do cholery jest...

– Cicho! Posłuchaj.

Dopiero teraz zwróciła uwagę na miarowe kroki dobiegające z Oxford Street. Oddział RUC wyłonił się z mgły i skręcił w ich stronę. Skulili się za stertą metalowych beczek.

Czekali w milczeniu, powietrze wydobywało się z ich płuc w nieregularnych odstępach czasu podłużnymi kłębami pary. Patrol przeszedł, a po kilku sekundach usłyszeli zgrzyt zmienianego biegu w ciężarówce i we mgłę ujrzeli światła reflektorów. Ciężarówka miejskiej gazowni zatrzymała się przy krawężniku niedaleko od nich i oboje wskoczyli do środka przez otwarte boczne drzwi. Kierowca, Rory Devane, ruszył powoli na północ, w stronę mostu. Siedzący na miejscu pasażera Tommy Fitzgerald odwrócił się, by na nich spojrzeć.

– Blokada na Cromac Street.

Maureen Malone usiadła na podłodze.

– Wszystko przygotowane?

Devane nadal prowadził samochód w stronę mostu.

– A jakże. Sheila wyjechała z Long Kesh w furgonetce RUC przed półgodziną. Wjechali na A23 i widziano ich, jak mijali Castlereagh przed niespełna dziesięcioma minutami. W tej chwili powinni przejeżdżać przez most Królowej.

Flynn zapalił papierosa.

– Eskorta?

– Żadnej – odrzekł Devane. – Jedynie kierowca i strażnik w kabinie oraz dwaj strażnicy w budzie. Tak twierdzą nasze źródła.

– Inni więźniowie?

– Może nawet i dziesięciu. Wszyscy w drodze do więzienia Crumlin Road, oprócz dwóch kobiet przewożonych do Armagh. – Przerwał na chwilę. – Kiedy mamy ich zaatakować?

Flynn wyjrzał przez tylne okno ciężarówki. Na moście pojawiła się para reflektorów.

– Ludzie Collinsa czekają na Waring Street. Tamtędy będą musieli jechać, skoro zmierzają do Crumlin Road. – Przetarł szybę i spojrzął na zewnątrz. – A oto i furgonetka RUC.

Devane wyłączył silnik i zgasił światła.

Czarna, nie oznakowana furgonetka zjechała z mostu i skręciła w Ann Street. Devane odczekał chwilę, potem uruchomił na nowo silnik i ruszył za nią w bezpiecznej odległości z wyłączonymi światłami.

– Zrób objazd przez High Street – powiedział Flynn.

Nikt się nie odzywał, gdy ciężarówka jechała cichymi ulicami. Zbliżali się już do Waring Street. Tommy Fitzgerald sięgnął pod swoje siedzenie i wyciągnął dwa egzemplarze broni, stary amerykański pistolet maszynowy Thompsona i nowoczesny karabinek automatyczny Armalite.

– Tomigan dla ciebie, Brian, a ten dla mojej pani. – Podał Flynnowi krótką rurę ze sztywnej tektury. – A to... jeśli, broń Boże, wpakujemy się na saracena.

Flynn wziął rurę i wepchnął ją pod swój trenz.

Zjechali z Royal Avenue w Waring Street od strony zachodniej w tej samej chwili, gdy wóz policyjny skręcił w nią z Victoria Street od wschodu. Oba pojazdy powoli zbliżały się do siebie. W ślad za furgonetką ruszył czarny samochód i Fitzgerald wskazał w jego stronę.

– To będzie Collins i jego chłopaki.

Flynn zauważył, że wóz policyjny jedzie coraz wolniej, w miarę jak kierowca uświadamiał sobie, że jest blokowany, i zaczynał się rozglądać za drogą ucieczki.

– Teraz! – zawołał Flynn.

Devane zakręcił ciężarówką, tarasując ulicę, i furgonetka policyjna zatrzymała się z piskiem. Jadący za nią czarny samochód stanął. Collins oraz trzech jego ludzie wyskoczyli z niego i z pistoletami maszynowymi pobiegli ku tyłowi furgonetki.

Flynn i Maureen wysiedli z ciężarówki i ruszyli do zablokowanego auta policyjnego stojącego około dwudziestu pięciu jardów w przodzie. Strażnik i kierowca skulili się pod szybą. Flynn wycelował w nich pistolet.

– Wychodzić z podniesionymi rękoma!

Ale tamci nie reagowali, a Flynn wiedział, że nie może strzelać do nie opancerzonego samochodu pełnego więźniów.

– Kryję ich! – zawołał do Collinsa. – Ruszajcie!

Collins podszedł do furgonetki i załomotał w tylne drzwi kolbą swego pistoletu.

– Strażnicy! Jesteście otoczeni. Otwórzcie drzwi, a nic się wam nie stanie!

Maureen klęczała na ulicy, opierając broń na kolanie. Serce tłukło się w jej piersi. Plan uwolnienia siostry stał się w ciągu tych miesięcy obsesją i, jak teraz zrozumiała, pozbawił ją przezorności. Nagle ujrzała jasno wszystkie niedociągnięcia tej akcji – furgonetka zawieszona bardzo nisko, jak gdyby była mocno obciążona, brak eskorty, przewidywalna trasa...

– Uciekajcie, Collins...

Ujrzała, jak twarz Collinsa, oświetlona przez uliczne lampy, przybiera zdumiony wyraz, gdy gwałtownie otworzyły się drzwi wozu policyjnego.

Collins stał sparaliżowany przed otwartymi drzwiami, wlepiając oczy w berety brytyjskich spadochroniarzy wystające nad ścianą worków z piaskiem. Dwie lufy karabinów maszynowych plunęły ogniem prosto w jego twarz.

Flynn patrzył, jak jego czterej ludzie zostali skoszeni. Jeden karabin nadal ładował pociski w nieruchome ciała, podczas gdy drugi przeniósł ogień i zasypał samochód pociskami zapalającymi, przebijając zbiornik i wywołując detonację. Ulicę wypełniły odgłosy eksplozji i rytmiczny łoskot karabinów maszynowych.

Maureen chwyciła Flynną za ramię i pociągnęła go w stronę ich ciężarówki, gdy z bramy, w której zniknęli strażnik i kierowca, rozległy się strzały z pistoletu. Władowała w bramę pełen magazynek i ogień ustał. Usłyszeli gwizdki, tupot stóp, krzyczących ludzi, warkot zbliżających się silników samochodowych. Flynn obrócił się i dostrzegł, – że szyba ciężarówki rozbita jest pociskami, a koła siadają powoli na przestrelonych oponach. Fitzgerald i Devane pędzili w dół ulicy. Fitzgerald szarpnął się nagle i potoczył po kocich łbach. Devane biegł dalej i zniknął w zniszczonym przez bombę budynku.

Za sobą Flynn słyszał żołnierzy wyskakujących z furgonetki policyjnej i gnających w ich kierunku. Szarpnął Maureen za ramię i razem pobiegli wśród pierwszych kropli rzadkiego deszczu.

Donegall Street łączyła się z Waring Street od północy i uciekinierzy skręcili w nią. Kule odłupywały odłamki kamienia z bruku za nimi. Maureen poślizgnęła się na mokrym kamieniu i upadła. Jej karabin załomotał na chodniku i zniknął w mroku. Flynn podniósł dziewczynę i oboje wbiegli w długą aleję prowadzącą do High Street.

W aleję wjechał saracen, ślizgając się na zakręcie na swoich sześciu grubych kołach z pełnej gumy. Zapłonął reflektor i oświetlił uciekinierów. Samochód pancerny potoczył się w ich stronę, dudniąc z głośnika przez deszczową noc:

– Stać! Ręce na głowę!

Z tyłu dobiegały okrzyki skręcających w długą aleję spadochroniarzy. Flynn wyciągnął spod płaszcza tekturową rurę i przyklęknął. Zerwał bezpiecznik i rozsunął składane elementy amerykańskiej rakiety przeciwpancernej M-72. Potem podniósł plastikowy celownik i wymierzył w zbliżający się samochód pancerny.

Dwa karabiny maszynowe saracena bluznęły ogniem, obracając w pył ceglane ściany wokół niego. Poczul, jak odpryski cegły tną go po piersi. Oparł palec na spuście zapalnika uderzeniowego, starając się utrzymać broń nieruchomo i zastanawiając się, czy to urządzenie zadziała. Tekturowa wyrzutnia raket jednorazowego użytku. Jak pieluszka jednorazowego użytku. Kto, jeśli nie Amerykanie, mógłby wymyślić bazookę do wyrzucenia po użyciu? Spokojnie, Brian. Spokojnie.

Saracen znów otworzył ogień i Flynn usłyszał za sobą urywany krzyk Maureen, po czym dziewczyna upadła mu na kolana.

– Sukinsyny! – Zwolnił spust i sześćdziesięcimilimetrowa rakietka typu HEAT wystrzeliła z rury, rozcinając smugą ognia wilgotną mgłę ulicy.

Wieżyczka saracena eksplodowała pomarańczowym płomieniem i pojazd skręcił dziko, rozbijając się o budynek zdemolowanego biura podróży. Ocaleni członkowie załogi potykając się wybiegli na zewnątrz i Flynn ujrzał, że ich kombinezony się tlą. Odwrócił się i spojrzał w dół, na Maureen. Ruszała się, więc podłożył jej ramię pod głowę.

– Jesteś ciężko ranna?

Otworzyła oczy i zaczęła podnosić się w jego ramionach.

– Nie wiem. Pierś.

– Możesz biec?

Skinęła głową, więc pomógł jej wstać. Ulice naokoło rozbrzmiewały gwizdkami, warkotem silników, krzykami, tupotem szybkich kroków i szczekaniem psów. Flynn starannie wytarł swoje odciski palców z thompsona i odrzucił go w głąb alei.

Ruszyli na północ, ku katolickiemu gettu rozciągającemu się wokół New Lodge Road. Gdy znaleźli się na terenie mieszkalnym, zagłębili się w znajomy labirynt bocznych uliczek i podwórek między rzędami domów. Na ulicy kolumna ludzi biegła w szybkim tempie, kolby łomotały w drzwi, otwierały się okna, wyrzaskiwano wściekle wyzwiska, dzieci płakały. Odgłosy Belfastu.

Maureen oparła się o ceglany mur ogrodu. Bieg sprawił, że rana krwawiła mocniej, więc wsunęła dłoń pod sweter.

– Och...

– Źle?

– Nie wiem. – Cofnęła dłoń i spojrzała na swoją krew, potem powiedziała: – Wrobiono nas.

– Ciągłe to się zdarza – odparł.

– Kto?

– Może Coogan. Właściwie mógł to być ktokolwiek. – Miał prawie stuprocentową pewność, kto był za to odpowiedzialny. – Przykro mi z powodu Sheili.

– Powinam była wiedzieć, że użyją jej jako przynęty, by nas dostać... Nie sądzisz chyba, że... – Skryła twarz w dłoniach. – Straciliśmy dzisiaj paru dobrych ludzi.

Flynn zerknął za mur, potem pomógł jej przezeń przejść i pobiegli przez cały ciąg sąsiadujących ze sobą podwórek. Znajdowali się teraz w protestanckiej okolicy, znanej Flynnowi z czasów młodości, i nagle przypomniał sobie uczniackie kawały – wybijanie szyb i gnanie na złamanie karku – jak teraz – przez te uliczki i podwórka, zapach przyzwoitego jedzenia, sznury do bielizny migoczące białym płótnem, klomby róż i ogrodowe meble.

Potem wkroczyli do katolickiej enklawy Ardoyne, kierując się na zachód. Cywilne patrole UDL⁷ blokowały drogi prowadzące w głąb Ardoyne, a żołnierze brytyjscy i RUC przeszukiwali domy. Flynn skulił się za rzędem kubłów na śmieci, przyciągając Maureen do siebie.

– Wyciągnęliśmy tej nocy wszystkich z łóżek.

Maureen spojrzała na niego i dostrzegła półuśmiech na jego twarzy.

– Sprawia ci to przyjemność.

– Im też. Przerywa monotonię. Potem będą wymieniać bojowe opowieści w koszarach i domach „pomarańczowych”⁸. Mężczyźni kochają te polowania.

Maureen napięła rękę. Sztywność i tępy ból rozprzestrzeniły się z klatki piersiowej na bok i ramię.

– Nie sądzę, byśmy mieli dużą szansę wydostania się z Belfastu... Mam rację?

Flynn wzruszył ramionami.

– Wszyscy myśliwi są tutaj, w lesie. A więc wioska myśliwych jest pusta.

– Co z tego?

– Skierujmy się do centrum osiedla protestantów. Shankhill Road nie jest daleko.

Skręcili na południe i po pięciu minutach wyszli na Shankhill Road. Niedbale przeszli opustoszałą ulicą i zatrzymali się na rogu. Mgła tutaj była rzadsza, działało też oświetlenie uliczne. Flynn nie dostrzegał śladów krwi na czarnym płaszczu Maureen, lecz rana sprawiła, że jej twarz przybrała odcień szarości. Jego zadraśnięcia przestały krwawić, a zakrzepła krew przykleiła się do piersi i swetra.

– Złapiemy najbliższy przejeżdżający autobus jadący poza miasto, przenocujemy w jakiejś stodole, a rano ruszymy w stronę Derry.

– Wszystko, czego potrzebujemy, to podmiejski autobus, nie wspominając o wzbudzającym zaufanie wyglądzie. – Maureen oparła się o znak przystanku. – Kiedy zostaniemy zdemobilizowani, Brian?

Przyjrzał się jej w słabym świetle.

– Nie zapominaj o dewizie IRA – powiedział łagodnie. – Z organizacji się nie odchodzi. Wiesz o tym.

Nie odpowiedziała.

Ze wschodu nadjechał autobus. Flynn przyciągnął Maureen do siebie, podpierając ją, gdy wspinali się po stopniach.

– Clady – powiedział i uśmiechnął się do kierowcy, płacąc za przejazd. – Obawiam się, że ta panienska chyba wypłała trochę za dużo.

Kierowca, mocno zbudowany mężczyzna o rysach twarzy znacznie bardziej szkockich niż irlandzkich, skinął obojętnie głową.

⁷ UDL (Ulster Defence League) – paramilitarna organizacja protestancka (*przyp. tłum.*).

⁸ „Pomarańczowy” – członek tajnej organizacji utworzonej w 1795 roku, mającej na celu zapewnienie dominacji protestantyzmu w Irlandii Północnej; protestant z Irlandii Północnej (*przyp. tłum.*)

– Macie przepustki nocne?

Flynn gmerał w kieszeni, spoglądając w głąb autobusu. Mniej niż tuzin ludzi, głównie pracownicy służb miejskich i z wyglądu protestanci tak jak i kierowca, o ile mógł to ocenić. Może tej nocy wszyscy wyglądali na protestantów. Ale przynajmniej nie było śladu policji. Uniósł swój portfel ku twarzy kierowcy. Kierowca spojrział nań szybko i przesunął dźwignię zamykającą drzwi, a potem wrzucił pierwszy bieg.

Flynn pomógł Maureen przejść na tył autobusu. Kilku pasażerów obdarzyło ich spojrzeciami wyrażającymi całą gamę uczuć, od dezaprobaty do zaciekawienia. W Londynie czy też w Dublinie uznano by ich za tych, za kogo się podawali – pijaków. W Belfaście ludzie myśleli innymi kategoriami. Wiedział, że wkrótce będą musieli wysiąść. Usiedli na tylnym siedzeniu.

Autobus przejechał przez Shankhill Road, mijając protestancką dzielnicę robotniczą, a potem skierował się na północny zachód, wjeżdżając w okolicę zamieszkaną przez zróżnicowaną ludność, naokoło Oldpark. Flynn odwrócił się do Maureen i zapytał cicho:

– Lepiej się czujesz?

– Och, znacznie. Zróbmy to jeszcze raz...

– Ależ Maureen...

Stara kobieta, siedząca samotnie przed nimi, obróciła się w tył.

– Co z panią? I jak tam, moja droga? A więc czujesz się lepiej?

Maureen spojrzała na nią bez odpowiedzi. Mieszkańcy Belfastu zdolni byli do wszystkiego – zarówno do morderstwa i zdrady, jak i do chrześcijańskiej miłości.

Stara kobieta pokazała w uśmiechu bezżębne dziąsła i powiedziała cicho:

– Pomiędzy wzgórzami Squire i Mellwhan jest mała dolinka, którą nazywamy Flush. Jest tam opactwo, wiecie które, opactwo Whitethora. Książdz, ojciec Donnelly, znajdzie dla was schronienie na noc.

Flynn zmierzył starą kobietę zimnym spojrzeniem.

– Dlaczego sądzi pani, że szukamy miejsca na nocleg? Jedziemy do domu.

Autobus zatrzymał się i stara kobieta wstała, nie mówiąc nic więcej, podreptała do drzwi i wysiadła. Autobus ruszył ponownie. Flynn stał się teraz bardzo niespokojny.

– Następnny przystanek. Co o tym sądzisz?

– Wiem tyle, że nie wytrzymam w tym autobusie ani sekundy dłużej. – Maureen zamilkła na moment pogrążona w myślach. – Ta stara kobieta...?

Flynn potrząsnął głową.

– Myślę, że możemy jej zaufać – powiedziała.

– Ja nie ufam nikomu.

– W jakim kraju my żyjemy!

Flynn zaśmiał się szyderczo.

– Co za głupie stwierdzenie, Maureen. To my sprawiliśmy, że stał się taki, jaki jest.

– Masz rację. – Opuściła głowę. – Przypuszczam...

– Musisz zaakceptować siebie taką, jaką jesteś. Ja to akceptuję. Przystosowałem się.

Skinęła głowę. Używając tej swojej dziwnej logiki, wywracał cały świat do góry nogami.

Brian był normalny. Ona nie.

– Jadę do opactwa Whitethorn.

Flynn wzruszył ramionami.

– Myślę, że to lepsze niż jakaś stodoła. Trzeba cię opatrzyć... ale jeżeli ich dobry proboszcz nas wyda...

Nie odpowiedziała i odwróciła się od niego. Objął ją ramieniem.

– Naprawdę cię kocham, wiesz przecież.

Utkwiła wzrok w podłodze, kiwając głową.

Autobus zatrzymał się ponownie po przejechaniu około pół mili. Flynn i Maureen ruszyli w stronę drzwi.

– To nie jest Clady – zauważył kierowca.

– Nie szkodzi – odparł Flynn.

Wysiedli z autobusu i zeszli na drogę. Flynn ujął Maureen pod ramię.

– Ten sukinsyn doniesie na nas na najbliższym przystanku. Przeszli przez drogę i podążyli na północ wiejską ścieżką wysadzaną jarzębinami. Flynn spojrział na zegarek, potem na niebo na wschodzie.

– Już prawie świta. Musimy tam dotrzeć, zanim farmerzy zaczną się pętać po okolicy. Prawie wszyscy tutaj to protestanci.

– Wiem.

Maureen oddychała głęboko, gdy szli w lekkim deszczu. Brudne powietrze i brzydota Belfastu pozostały za nią i poczuła się lepiej. Gdy mijali żywopłoty, dobrze utrzymane pola i pastwiska usiane stertami paszy i bydłem, podnoszący na duchu zapach wypełnił powietrze, a pierwsze poranne ptaki rozpoczęły swe pieśni.

– Nie wrócę tam – oznajmiła sucho.

Objął ją ramieniem i dotknął dłonią jej twarzy. Zaczynała gorączkować.

– Rozumiem. Zobaczymy, jak się będziesz czuła za tydzień czy dwa.

– Będę mieszkała na południu. W jakiejś wiosce.

– Świetnie. A co będziesz tam robiła? Doglądała świń? A może masz jakieś inne źródła dochodu, Maureen? Kupisz sobie posiadłość na wsi?

– Czy pamiętasz ten domek nad morzem? Powiedziałeś, że pewnego dnia pojedziemy tam, by przeżyć resztę naszych dni w spokoju.

– Pewnego dnia, być może.

– W takim razie pojedę do Dublina. Znajdę pracę.

– A jakże. W Dublinie kupa dobrej roboty. Po roku dadzą ci stoliki przy oknie, przy których siadają amerykańscy turyści. Albo maszynę do szycia przy oknie, gdzie będziesz miała trochę słońca i świeżego powietrza. To cała tajemnica. Przy oknie.

Po chwili odparła:

– Może Kileen...

– Nie. Nie wolno wracać do swojej rodzinnej wioski. To nigdy nie jest to samo, wiesz o tym. Lepiej udać się do którejkolwiek innej wsi i tam hodować świnie.

– Cóż, wobec tego pojedziemy do Ameryki.

– Nie! – Stanowczość własnego głosu zaskoczyła go. – Nie. Nie zrobię tego, co zrobili wszyscy inni. – Pomyślał o swojej rodzinie, o przyjaciółach, z których tak wielu wyjechało do Ameryki, Kanady albo Australii. Utracił ich tak nieodwołalnie, jak utracił matkę i ojca, kiedy ich pogrzebał. – To jest mój kraj. Nie ucieknę stąd, by być wyrobnikiem w Ameryce.

Skinęła głową. Lepiej być królem śmietników w Belfaście i Londonderry.

– Mogę pojechać sama.

– Prawdopodobnie powinnaś.

Maszerowali w milczeniu, objęci ramionami, uświadamiając sobie, że tej nocy stracili coś więcej niż tylko trochę krwi.

Ścieżynka zaprowadziła ich do małej, bezdrzewnej doliny pomiędzy dwoma wzgórzami. W świetle księżyca w pewnej odległości ujrzeli klasztorne budynki. Ich ściany z białego kamienia, częściowo przesłonięte całunem mgły, nabierały widmowego charakteru. Podeszli ostrożnie bliżej i stanęli pod pączkującym drzewem sykomory. Mały, podłużny cmentarz, ograniczony żywopłotem z niewysokich, zielonych roślin, rozciągał się pod murami. Flynn przecisnął się przez żywopłot. Cmentarz był zaniedbany i nagrobki oplatał bluszcz. Krzewy głogu, od których opactwo wzięło swoją nazwę⁹ i które przynosiły szczęście lub nieszczęście – w zależności od tego, w które przesady się wierzyło – porastały wąską ścieżkę. Mała boczna furta w wysokim, kamiennym murze wiodła na podwórzec klasztorny. Flynn otworzył ją pchnięciem i rozejrzał się po cichym dziedzińcu.

– Usiądź na tej ławce. Ja poszukam sypialni braciszków.

Usiadła nic nie mówiąc i pozwoliła swej głowie opaść na piersi.

Kiedy ponownie otworzyła oczy, stał nad nią Flynn, a obok niego jakiś ksiądz.

– Maureen, to ojciec Donnelly.

Skoncentrowała wzrok na wątlym, starszym mężczyźnie o szarej twarzy.

– Witam, ojcze.

Ujął jej dłoń, a drugą ręką chwycił ją za przedramię w sposób natychmiast wywołujący atmosferę intymności. On był pasterzem, a ona należała teraz do jego stada. Ich role wyciosane zostały w kamieniu dwa tysiące lat temu.

– Idźcie za mną – powiedział. – Weź mnie pod ramię.

⁹ Whitethorn (ang.) – głóg dwuszypułkowy (*przyp. tłum.*).

We trójkę minęli dziedziniec i przez wygiętą w łuk bramę wkroczyli do wielobocznego budynku. Maureen rozpoznała tradycyjny układ sali kapitulnej. Przez moment oczekiwała, że będzie musiała stanąć przed zgromadzeniem, lecz w świetle lampy stołowej dostrzegła, iż pomieszczenie jest puste.

Ojciec Donnelly zatrzymał się gwałtownie.

– Mamy tu szpitalik, ale obawiam się, że będę musiał umieścić was w lochu, dopóki policja albo żołnierze nie przyjdą tutaj za wami.

Flynn nie odpowiedział.

– Możecie mi zaufać.

Flynn nie ufał nikomu, ale jeżeli miał być zdradzony, to przynajmniej Rada Wojenna nie będzie uważała go za głupca tylko dlatego, że zaufał księdzu.

– To gdzie jest ten loch? Myślę, że nie mamy zbyt wiele czasu.

Ojciec Donnelly poprowadził ich korytarzem i otworzył drzwi na jego końcu. Przez witraże wpadało szare światło świtu, tak słabe, że wyczuwalne raczej niż widoczne. Pojedyncza świeca wotywna płonęła w czerwonym szklanym naczyniu i Flynn dostrzegł, że znajdują się w małej kaplicy.

Ksiądz zapalił świecę umieszczoną w kinkiecie na ścianie i wyjął ją z uchwytu.

– Idźcie za mną do ołtarza. Tylko bądźcie ostrożni.

Flynn pomógł Maureen wspiąć się do znajdującego się na podwyższeniu prezbiterium i zaczął obserwować ojca Donnelly'ego, który pogmerał przy jakichś kluczach, a potem zniknął za obrazem. Flynn rozejrzał się po kaplicy, lecz wśród cieni nie zobaczył ani nie usłyszał niczego zapowiadającego niebezpieczeństwo. Ksiądz powiedział mu, że klasztor jest opuszczony. Najwidoczniej nie był opatem, lecz pełnił rolę swego rodzaju opiekuna, choć nie wydawał się duchownym, jakiego biskup chciałby zesłać do takiego miejsca. Nie wyglądał też na typowego księdza przechowującego „tymczasowych” jedynie dla płynącego z tego dreszczyku.

Ksiądz zjawił się ponownie, rozjaśniając ciemności świecą.

– Chodźcie tędy. – Poprowadził ich za ołtarz do na wpół otwartych drzwi z kutego w ślimacznice żelaza. – Oto miejsce, które czasem wykorzystujemy. – Spojrzał na dwoje uciekinierów, by sprawdzić, dlaczego nie idą za nim. – Krypta – dodał wyjaśniająco.

– Wiem, co to jest – odparł ze złością Flynn. – Wszyscy wiedzą, że pod prezbiterium jest krypta.

– Tak – zgodził się ojciec Donnelly. – I masz rację. To pierwsze miejsce, do którego zaglądamy. Chodźcie dalej.

Flynn zerknął w dół kamiennych schodów. Świeca za bursztynowym szkłem, najwyraźniej płonąca bez przerwy, oświetlała ścianę i podłogę z białego wapienia.

– Jak to możliwe, że nigdy przedtem nie słyszałem, by to opactwo było miejscem schronienia?

Ksiądz odpowiedział łagodnym głosem:

– Nigdy przedtem nie potrzebowałeś schronienia.

Typowa gadka duchownych, pomyślał Flynn. Obrócił się do Maureen. Dziewczyna spojrzała w dół, potem na księdza. Również jej instynkt buntował się przeciw wchodzeniu do krypty, lecz uwarunkowaną reakcją było wykonanie polecenia. Ruszyła w dół schodów. Wtedy i Flynn, wciąż spoglądając na księdza, przeszedł przez próg.

Ojciec Donnelly powiodł ich wzdłuż wapiennej ściany, obok grobowców dawnych opatów Whitethora. Zatrzymując się przy oznaczonym: Brat Seamus Cahill, podniósł w górę świecę. Potem otworzył drzwi z brązu i wszedł do grobowca. Na środku pomieszczenia, na kamiennym postumencie spoczywała drewniana trumna. Ojciec Donnelly oddał świecę Flynnowi i podniósł wieko trumny. Wewnątrz znajdowało się ciało zawinięte w gruby całun. Płótno pokrywał puch zielonej pleśni.

– Kije i słoma – wyjaśnił.

Sięgnął do środka, zwolnił ukrytą zapadkę i dno trumny otworzyło się w dół wraz ze sztuczną mumią wciąż przymocowaną do niego.

– Tak, tak. Melodramatyczne w naszych czasach, ale gdy to przygotowywano, było rzeczą niezbędną i całkiem zwyczajną. Idźcie dalej. Wejdźcie do środka. Tam są schody, widzicie? Pójdziecie przejściem na dole, dopóki nie dojdziecie do komnaty. Drogę oświetlicie sobie świecą. W komnacie jest ich więcej.

Flynn wspiął się na postument i przerzucił nogi przez krawędź otworu. Jego stopy odnalazły najwyższy stopień i stanął w trumnie. Z ciemnego lochu unosił się wilgotny, niemalże zgniły zapach. Skierował pytające spojrzenie na ojca Donnelly'ego.

– To wejście do piekieł, mój chłopcze. Nie obawiaj się. Znajdziesz tam na dole przyjaciół.

Flynn krążył wzdłuż ścian sześciobocznego pomieszczenia. Na jednej z nich widniał duży celtycki krzyż, a pod nim na drewnianym postumencie stała nieduża skrzynka. Położył dłoń na jej wieku, ale nie próbował go unieść. Odwrócił się do Maureen.

– Ufasz mu?

– To ksiądz.

– Księża nie różnią się od innych ludzi.

– Wręcz przeciwnie.

– Zobaczymy. – Teraz pokonało go zmęczenie, z którym walczył przez tak długi czas, i opadł ciężko na wilgotną podłogę. Usiadł przy skrzynce, oparty plecami o ścianę, patrząc w stronę schodów. – Jeśli obudzimy się w Long Kesh...

– Moja wina. W porządku? Śpij już.

Flynn zapadł w niespokojny, przerywany sen, otwierając oczy tylko raz, by spojrzeć na Maureen zawiniętą w koc, leżącą na podłodze obok niego. Zbudził się ponownie na dźwięk uderzającego o ścianę korytarza dna trumny. Zerwał się na nogi i w smudze światła

padającego z krypty ujrzał opuszczoną deskę z groteskową imitacją trupa przyczepioną do niej niczym jaszczurka na ścianie.

W otworze pojawił się jakiś człowiek. Flynn dostrzegł czarne buty, czarne spodnie, koloratkę, a potem twarz ojca Donnelly'ego. Ksiądz ruszył ku nim, trzymając wysoko nad głową tackę.

– Byli tutaj i już odjechali.

Flynn przeszedł przez korytarz i ujął tackę podaną mu przez księdza, który zamknął za sobą trumnę. W komnacie Flynn postawił tackę na małym drewnianym stoliku, a ojciec Donnelly rozejrzał się wzrokiem gospodarza kontrolującego pokój gościnny. Przez chwilę przyglądał się śpiącej Maureen, potem zwrócił się do Flynna:

– A więc rozwaliłeś sześciokółkę? Rzekłbym, że to bardzo śmiało.

Flynn nie odpowiedział.

– Cóż, w każdym razie doszli waszym śladem aż do farmy McGloughlinów, na początku ścieżki. Dobrzy, lojalni Ulsterczycy, ci McGloughlinowie. Solidni prezbiterianie. Ta rodzina przybyła tu ze Szkocji razem z armią Cromwella¹⁰. Jeszcze trzysta lat i będą myśleć, że to ich ziemia. Jak dziewczyna?

Flynn przyklęknął przy niej.

– Śpi. – Dotknął jej czoła. – Ma gorączkę.

– Przyniosłem parę tabletek penicyliny i wojskowy zestaw pierwszej pomocy oraz herbatę i bekon. – Z kieszeni wyjął małą butelkę. – A tu jest trochę Bushmilla, gdybyś odczuwał brak czegoś takiego.

– Dawno nie potrzebowałem tego bardziej – odparł Flynn i odkorkował butelkę.

Ojciec Donnelly znalazł dwa taborety, przysunął je do stołu i usiadł.

– Niech śpi. Ja wypiję z tobą herbatę.

Flynn przełknął whisky i przyglądał się księdzu posilającemu się z ceremonialnością charakterystyczną dla ludzi poważnie traktujących jedzenie i picie.

– Kto tu był? – zapytał w końcu Flynn.

– Brytole i RUC. RUC chciało jak zwykle zrównać to miejsce z ziemią, ale pewien oficer brytyjskiej armii ich przyhamował. Major Martin. Znasz go, prawda? W każdym razie wszyscy doskonale odegrali swoje role.

– Cieszę się, że wszyscy dobrze się bawili. Przykro mi tylko, że musiałem pobudzić ich tak wcześnie.

– Wiesz, chłopcze, wygląda na to, że uczestnicy tej wojny po cichu podziwiają się wzajemnie. Dreszczyk emocji nie jest zjawiskiem całkowicie niepożądanym.

Flynn spojrzał na księdza. Oto człowiek, przynajmniej jeden, który nie krył tej prawdy pod kłamstwami.

¹⁰ Armia Cromwella – w 1641 roku w Irlandii wybuchło antyprotestanckie powstanie, krwawo stłumione w 1649 roku przez armię dowodzoną przez Olivera Cromwella; jego żołnierze otrzymali wielkie nadania ziemi w spacyfikowanym kraju (*przyp. tłum.*).

– Czy możemy się stąd wydostać? – spytał Flynn, sącząc gorącą herbatę.

– Musicie poczekać, dopóki nie wyniosą się z żywoptów. Lornetki, rozumiesz. Przynajmniej dwa dni. Wyjdziecie w nocy, oczywiście.

– Czyż wszyscy nie podróżują w nocy?

Ojciec Donnelly się zaśmiał.

– Ach, panie...

– Cocharan.

– Wszystko jedno. Kiedy to wszystko się skończy?

– Kiedy Brytyjczycy wyjadą i sześć północnych hrabstw zostanie ponownie zjednoczone z dwudziestoma sześcioma hrabstwami południowymi.

Ksiądz odstawił swoją filiżankę.

– To nieprawda, mój chłopcze. Prawdziwym pragnieniem IRA, najskrytszym, mrocznym pragnieniem katolików, niezależnie od tego, co mówimy o pokojowej koegzystencji po zjednoczeniu, jest deportacja wszystkich protestantów z powrotem do Anglii, Szkocji i Walii. Posłanie McGloughlinów do kraju, którego nie widzieli od trzystu lat.

– Kompletna bzdura.

Ksiądz wzruszył ramionami.

– Osobiście mnie to nie obchodzi, proszę mi wierzyć. Chcę tylko, byś spojrział w to, co skrywasz w swoim sercu.

Flynn przechylił się przez stół.

– Po co ojciec to robi? Katolicka hierarchia kościelna nigdy nie poparła żadnego irlandzkiego powstania przeciw Brytyjczykom. A więc dlaczego ryzykuje ojciec internowanie?

Ojciec Donnelly spoglądał w swoją filiżankę, potem podniósł wzrok na Flynna.

– Nie angażuję się w żadną z tych rzeczy, które dla ciebie znaczą tak wiele. Nie obchodzi mnie, jaka jest wasza polityka ani nawet jaka jest polityka Kościoła. Moim jedynym zadaniem jest zapewnienie schronienia. Oazy spokoju w obłąkanym kraju.

– Każdemu? Mordercy takiemu jak ja? Protestantom? Żołnierzom brytyjskim?

– Każdemu, kto poprosi. – Podniósł się. – Niegdyś było tutaj zgromadzenie pięćdziesięciu mnichów. Teraz zostałem tylko ja. – Przerwał i spojrział na Flynna. – To opactwo ma bardzo ograniczone perspektywy na przyszłość, panie Cocharan, lecz bardzo bogatą przeszłość.

– Jak ja i ty, ojciec. Ale, mam nadzieję, nie jak nasz kraj.

Ksiądz wydawał się nie słyszeć tego i mówił dalej:

– Ta komnata była niegdyś piwnicą magazynową starożytnego, celtyckiego domu Bruidean. Znasz tę nazwę?

– Tak, tak mi się wydaje.

– Dom Zakładników, tak go nazywano. Sześcioboczna budowla, w której spotykało się sześć dróg. Tu, w Bruidean, wędrowiec albo uciekinier mógł schronić się przed zimną,

ciemną drogą, broniony przez tradycję i królewskie prawo. Dawni Celtowie nie byli bez reszty barbarzyńcami, mimo wszystko. – Spojrzał na Flynna. – Jak więc widzisz, przyszłście we właściwe miejsce.

– A ojciec wziął na siebie zadanie zmieszania odrobiny pogaństwa z chrześcijańskim miłosierdziem.

– Irlandzki katolicyzm zawsze był mieszanką pogaństwa i chrześcijaństwa. – Ksiądz się uśmiechnął. – Wcześni chrześcijanie po Patryku¹¹ umyślnie budowali swoje kościoły na świętych miejscach druidów¹², takich jak to. Podejrzewam, że pierwsi chrześcijanie spalili Bruidean, a potem na jego fundamentach wzniesli prymitywny kościół. Możesz jeszcze zobaczyć osmalone kamienie fundamentów. Następnie wikingowie zniszczyli pierwotny klasztor, a kolejny został zburzony przez angielską armię, gdy przechodził tędy Cromwell. To opactwo jest ostatnie, które tu zbudowano. Protestantkie plantacje zajęły całą dobrą ziemię w Irlandii, ale katolicy utrzymali większość dobrych lokalizacji pod kościoły.

– Czego więcej ojciec pragnie?

Ksiądz zignorował tę uwagę i przez długą chwilę wpatrywał się we Flynna, a potem powiedział łagodnie:

– Lepiej obudź ją, zanim herbata ostygnie.

Flynn przyklęknął przy leżącej Maureen i potrząsnął nią.

– Herbata.

Otworzyła oczy.

– Chwyć się mnie. – Podniósł ją i pomógł jej przejść do taboretu. – Jak się czujesz?

Rozejrzała się po oświetlonym świecami pomieszczeniu.

– Lepiej.

Flynn nalał herbatę, a ojciec Donnelly wytrząsnął pigułkę z fiołki.

– Weź to.

Przełknęła pigułkę, popijając herbatą.

– Byli tu Brytole?

Ksiądz dotknął dłonią jej czoła.

– Byli i poszli. Za parę dni będziecie mogli ruszyć w dalszą drogę.

Spojrzała na niego. Był tak przychylnie nastawiony do nich. Czowała się podle. Ilekroć jej działalność wyjawiana była komuś nie związanemu z ruchem, czuła się nie dumna, lecz zawstydzona, a przecież nie tak miało być.

– Może nam ojciec pomóc?

– Robię to, kochanie. Wypij swoją herbatę.

– Nie chodzi mi o to. Czy może nam ojciec pomóc... się stąd wydostać?

¹¹ Patryk – św. Patryk (389? – 461?), patron Irlandii (*przyp. tłum.*)

¹² Druid – pogański kapłan Celtów (*przyp. tłum.*)

– Rozumiem. – Ksiądz skinął głową. – Tak. Mogę wam pomóc, jeżeli tego chcecie. To nawet proste.

– Ojczy, proszę zbawiać dusze na swój własny rachunek. – Flynn wydawał się zniecierpliwiony. – Potrzebuję trochę snu. Dziękujemy ojcu za wszystko.

– Nie ma za co.

– Czy mógłby ojciec wyświadczyć nam jeszcze jedną przysługę? Dam ojcu numer, pod który trzeba zadzwonić. Proszę powiedzieć osobie, która podniesie słuchawkę, gdzie jesteśmy. Proszę powiedzieć, że Brian i Maureen potrzebują pomocy. Proszę mi przekazać, co powiedzą.

– Skorzystam z telefonu w wiosce, na wypadek gdyby ten tutaj był na podsłuchu.

Flynn uśmiechnął się z aprobatą.

– Jeżeli byłem nieco zbyt obcesowy...

– Niech cię to nie martwi. – Ksiądz powtórzył numer podany mu przez Flynna, obrócił się i zniknął w wąskim korytarzu.

Flynn wziął ze stołu butelkę Bushmilla i nalał trochę do filiżanki Maureen. Dziewczyna niecierpliwie pokręciła głową.

– Nie razem z penicyliną, Brian.

Spojrzał na nią.

– Nie jedziemy razem, prawda?

– Obawiam się, że nie.

– Cóż – skinął głową – przyjrzyjmy się w takim razie temu zadrapaniu.

Podniosła się powoli, ściągnęła przez głowę swój wilgotny sweter i rzuciła go na taboret. Flynn dostrzegł, że rozpinanie zakrwawionego biustonosza sprawia jej ból, ale nie zaofiarował się z pomocą. Wziął świecę ze stołu i obejrzał ranę. Głębokie rozcięcie biegło wzdłuż jej prawej piersi i przechodziło pod pachą. Cał w lewo i byłaby martwa.

– Małe zadrapanie, naprawdę.

– Wiem.

– Ważne jest to, że nie będziesz potrzebowała lekarza.

Ruch przy rozbieraniu spowodował, że rana ponownie zaczęła krwawić. Widoczne było, że krew płynęła i krzepła już kilkakrotnie.

– To będzie trochę boleć. – Opatrzył ranę, podczas gdy dziewczyna stała z uniesioną ręką. – Połóż się i zawiń w koc.

Położyła się, spoglądając na niego w migotliwym świetle. Była przemoczona i miała gorączkę. Cały bok ją bolał, jedzenie wywoływało mdłości, odczuwała tylko pragnienie.

– Żyjemy jak zwierzęta, liżąc nasze rany, odcięci od człowieczeństwa... od...

– Boga? Ależ nie zadowolaj się tymi drugorzędnymi, papistycznymi bzdurami, Maureen. Wstąp do Kościoła anglikańskiego, wtedy będziesz miała swojego Boga, poważanie, będziesz

mogła usiąść przy herbatce z wyrafinowanymi paniami i ponarzekać na najnowszy zamach IRA.

Zamknęła oczy. Łzy popłynęły po jej policzkach.

Kiedy Flynn ujrzał, że Maureen śpi, napełnił filiżankę Bushmillem i opróżnił ją, a potem zaczął spacerować po komnacie. Ponownie przyjrzał się ścianom i znalazł ślady spalenizny. Ile razy to miejsce było puszczane z dymem? Co uczyniło ten kawałek gruntu świętym zarówno dla druidów, jak i dla chrześcijan? Jaki duch przebywał tutaj, w sercu ziemi? Przeniósł świecę do drewnianej skrzynki i zbadał ją. Po jakimś czasie wyciągnął rękę i podniósł wieczko.

W środku ujrzał kawałki wapienia pokryte starymi celtyckimi inskrypcjami oraz kilka nierozpoznawalnych kawałków metalu, brązu, przedzewiałego żelaza. Odsunął część przedmiotów na bok. Wśród śmieci leżał owalny pierścień pokryty śniedzią. Wsunął go na serdeczny palec. Był duży, ale trzymał się wystarczająco dobrze. Zaciskając pięść, przyjrzał się mu. Ozdobiony był herbem i pod patyną wieków Flynn dostrzegł celtyckie napisy wokół z grubsza wymodelowanej, brodatej twarzy. Stał trochę śniedzi i surowa twarz, jak gdyby ogr nakreślony ręką dziecka, spojrzała na niego z taką dzikością i namiętnością, że niespodzianie poczuł oszołomienie. Nagle uświadomił sobie zmęczenie tkwiące w nogach, ból w piersi, ciepło whisky, a potem jego głowa zaczęła wirować... Zanim stracił przytomność, usłyszał dźwięk swego ciała padającego na podłogę.

Gdy Brian Flynn się zbudził, ujrzał spoglądającą na niego bladą twarz.

– Już południe – powiedział ojciec Donnelly. – Przyniosłem wam coś do jedzenia.

Flynn skoncentrował wzrok na starym człowieku i zauważył, że wpatruje się on w pierścień na jego palcu. Flynn podniósł się i rozejrzał naokoło. Maureen, ubrana w nowy pulower, siedziała przy stole, jedząc z parującego talerza. Ksiądz musiał być tu już od jakiegoś czasu i to go rozzłościło. Przeszedł przez pomieszczenie i usiadł naprzeciw dziewczyny.

– Lepiej się czujesz?

– Znacznie.

Ojciec Donnelly podsunął taboret.

– Mogę się dołączyć?

– To ojca jedzenie i stół – odparł Flynn.

Ksiądz się uśmiechnął.

– Człowiekowi trudno przyzwyczaić się do samotnych posiłków.

– Dlaczego nie przyślą ojcu... mnicha czy kogoś takiego?

Nabrał gulaszu na łyżkę.

– Jest świecki braciszek, który zajmuje się gospodarstwem, ale ma teraz urlop. – Pochylił się do przodu. – Widzę, że znalazłeś skarb opactwa Whitethorn.

Flynn odpowiedział, nie przestając jeść:

– Przepraszam, ale nie mogłem oprzeć się pokusie.

– Nie szkodzi.

Maureen podniosła wzrok.

– Przepraszam, o czym właściwie mówicie?

Flynn zsunął pierścień, podał go jej i wskazał na otwartą skrzynkę. Maureen obejrzała pierścień i oddała go ojcu Donnelly’emu.

– To niezwykle pierścień. – Ksiądz obrócił kawałek metalu w palcach. – W każdym razie niezwykle duży.

Flynn przelał do szklanki zawartość butelki Guinnessa.

– Jak się tu znalazł?

– Ostatni opat powiedział, że zawsze był w tej skrzynce razem z innymi przedmiotami. Mógł zostać wykopany podczas odbudowywania opactwa z gruzów. Zdarzało się to parę razy. Może znaleziono go pod posadzką.

Flynn spojrział na pierścień w dłoni księdza.

– Przedchrześcijański?

– Tak. Pogański. Jeżeli masz ochotę na romantyczną opowieść, mówi się, że jest to pierścień króla-wojownika. Bardziej dokładnie, fenianina¹³. To bez wątpienia męski pierścień i nie należał do byle kogo.

Flynn skinął głową.

– A czemuż by nie pierścień MacCumaila?¹⁴ Albo Dermota?¹⁵

– Właśnie, czemuż by nie? Kto odważyłby się nosić pierścień większy od tego?

– Ma ojciec w sobie coś z poganina. Czy święty Patryk nie zesłał zmarłych fenian do piekła? Jakąż zbrodnię popełnili, że muszą przez wieczność smażyć się w piekle?

– Żadną zbrodnię. Po prostu urodzili się w nieodpowiednim czasie. – Uśmiechnął się. – Tak jak wielu spośród nas.

– Racja. – Flynn lubił duchownych, którzy umieli śmiać się ze swoich dogmatów.

Ksiądz przechylił się przez stół.

– Kiedy Oisín¹⁶, syn Finna MacCumaila, powrócił z Krainy Wiecznej Młodości, zastał Irlandię chrześcijańską. Ten dzielny wojownik pogrzyżił się w smutku i rozpacz. Oisín odrzucił uporządkowane chrześcijańskie społeczeństwo i tęsknił za niepohamowaną zmysłowością starego Eirena¹⁷. Gdyby on lub jego ojciec powrócił dziś do Ulsteru, nie

¹³ Fenianin – 1. W irlandzkiej mitologii członek wędrownego oddziału wojowników, tzw. fianna, których wyczyny opisują liczne legendy porównywalne z cyklem arturiańskim; 2. Członek Bractwa Feniańskiego, irlandzkiej organizacji rewolucyjnej założonej w Nowym Jorku w 1858 roku, działającej na rzecz utworzenia niepodległego państwa irlandzkiego (*przyp. tłum.*).

¹⁴ Finn MacCumail – legendarny przywódca fenian, pogromca potworów, czarownik i poeta, spokrewniony z bogami Celtów (*przyp. tłum.*).

¹⁵ Dermot (Diarmaid) – ostatni władca irlandzkiego królestwa Tary, pokonany w bitwie pod Culdremne w 560 lub 561 roku; był ostatnim irlandzkim władcą aktywnie popierającym druidyzm (*przyp. tłum.*).

¹⁶ Oisín (Osjan) – legendarny pieśniarz i poeta, opiewany w licznych balladach (*przyp. tłum.*).

¹⁷ Eiren – dawna nazwa Irlandii (*przyp. tłum.*).

posiadałby się z radości widząc, jak chrześcijanie wyrzynają się wzajemnie. I bez wątpienia odnalazłby wśród nas nowych pogan.

– Myśli ojciec o mnie?

Maureen rozlała herbatę do trzech kubków.

– W końcu ksiądz mówi do ciebie, prawda?

Ojciec Donnelly powstał.

– Wypiję moją herbatę w refektarzu.

Maureen także się podniosła.

– Proszę nie odchodzić.

– Naprawdę muszę. – Jego sposób zachowania zmienił się z ojcowskiego na bardziej praktyczny. Spojrzał na Flynna. – Wasi przyjaciele chcą, byście zostali tu jeszcze przez dwa dni. Skontaktują się ze mną i przekażą mi plan. Coś odpowiedzieć?

– Nie. – Flynn pokręcił głową.

Maureen popatrzyła na Flynna, potem na ojca Donnelly'ego.

– Ja mam dla nich odpowiedź. Chcę mieć zapewniony bezpieczny przejazd do Dublina, sto funtów i pozwolenie na pracę na Południu.

Ksiądz skinął głową. Obrócił się, by odejść, zawahał się jednak i wrócił. Położył pierścień na stoliku.

– Panie...

– Cocharan.

– Tak. Niech pan weźmie ten pierścień.

– Dlaczego?

– Ponieważ pan go pragnie, a ja nie.

– To cenna pamiątka z przeszłości.

– Pan także.

– Nie będę ojca pytał, co ojciec przez to rozumie. – Flynn podniósł się i spojrzał twardo na księdza, potem wziął pierścień ze stołu i włożył go na palec. Kilka nowych myśli zaczęło się kształtować w jego głowie, ale nie miał nikogo, z kim mógłby się nimi podzielić. – Dziękuję. – Popatrzył na pierścień. – Czy jest z nim związana jakaś klątwa, o której powinienem wiedzieć?

– Powinien pan założyć, że jest takowa – odparł ksiądz i spojrzał na dwoje stojących przed nim ludzi. – Nie mogę pochwalać tego, co robicie ze swoim życiem, ale jest dla mnie bolesne obserwowanie, jak umiera miłość. Każda miłość, zwłaszcza w tym bezlitosnym kraju. – Odwrócił się i wyszedł z piwnicy.

Flynn domyślał się, że Maureen rozmawiała z księdzem, gdy on spał. Miał pewne trudności z ogarnięciem wszystkiego, co wydarzyło się w ostatnim, krótkim czasie. Belfast, stara kobieta i opactwo, ksiądz wykorzystujący pogańskie legendy dla wsparcia

chrześcijańskich wypowiedzi, wyniosłość Maureen. Było rzeczą oczywistą, że nie panuje nad sytuacją. Stał przez chwilę w bezruchu, a potem zwrócił się do niej:

– Chcę, żebyś jeszcze raz przemyślała to, co powiedziałaś o Dublinie.

Opuściła wzrok i potrząsnęła głową.

– Proszę cię, byś została... nie tylko dlatego, że... chodzi mi o to, że...

– Wiem, o czym myślisz. Z organizacji się nie odchodzi. Nie boję się ich.

– A powinnaś. Nie jestem w stanie cię ochronić...

– Nie proszę cię o to. – Popatrzyła na niego. – Obojgu nam będzie lepiej.

– Pewnie masz rację. Rozumiesz te sprawy lepiej niż ja.

Znała ten ton głosu. Pełen dystansu, sarkastyczny. Atmosfera w piwnicy stała się ciężka, nieprzyjemna. To miejsce nappełniało ją niepokojem. Trumna, przez którą tu weszli, wywoływała myśli o śmierci. Kiedy wyjdzie z powrotem na zewnątrz, pozostawi za sobą wszystkie wspomnienia związane z tym miejscem i wszystkie myśli o wojnie. Spojrzała na pierścień na jego palcu.

– Zostaw ten przeklęty przedmiot tutaj.

– Zabieram nie tylko pierścień, Maureen. Zabieram także to imię.

– Jakie imię?

– Potrzebuję nowego pseudonimu. Finn MacCumail.

Prawie się roześmiała.

– W każdym innym kraju leczono by cię na megalomanię. W Irlandii Północnej zostaniesz uznany za całkowicie normalnego, Brian.

– Przecież jestem normalny.

– Cholernie mało prawdopodobne.

Spojrzał na nią w przyćmionym świetle świec. Pomyślał, że nigdy nie widział jeszcze kogoś tak pięknego i uświadomił sobie, że już od dawna nie myślał o niej w ten sposób. Teraz była zarumieniona z podniecenia wywołanego oczekiwaniem nowego początku, nie wspominając o gorączkowym rumieńcu, który rozpałał jej policzki i sprawiał, że oczy błyszczały jaśniej.

– Całkiem możliwe, że masz rację.

– Że jesteś świrem?

– W tym punkcie także. – Uśmiechnął się z tego małego, wspólnego dowcipu. – Chodziło mi o twój wyjazd do Dublina.

– Przykro mi.

– Nie masz powodu. To mnie jest przykro, że nie mogę jechać z tobą.

– Może któregoś dnia zmęczysz się tym wszystkim.

– Cholernie mało prawdopodobne!

– Niestety.

– Cóż, będzie mi ciebie brakowało.

– Mam nadzieję – odpowiedziała.
Flynn milczał przez moment.
– Nadal nie wiem, czy możemy mu zaufać.
– To święty człowiek, na miłość boską, Brian. Bierz go za takiego, na jakiego wygląda.
– W moich oczach wygląda inaczej. W każdym razie jeszcze nie jesteśmy bezpieczni.
– Wiem.
– Jeżeli coś się stanie i nie będę miał czasu, by się odpowiednio pożegnać... więc...
– Przez te wszystkie lata miałeś dosyć czasu, by powiedzieć, co czujesz. Czas nie stanowił problemu. Herbaty?
– Tak, proszę.
Siedzieli w milczeniu, pijąc herbatę. Flynn odstawił filiżankę.
– Twoja siostra...
– Nie potrafimy jej już pomóc.
– Być może.
– Nie chcę, by ktoś jeszcze zginął...
– Są inne sposoby. – Zawiesił głos na chwilę, potem dodał: – Klucze do więzień Ulsteru ukryte są w Ameryce.

Miesiąc później, gdy wiosna na dobre zadomowiła się na wsi, i trzy miesiące po tym, jak Maureen Malone udała się do Dublina, Brian Flynn wynajął samochód i pojechał do opactwa, by podziękować ojcu Donnelly'emu i poprosić go o ewentualną współpracę w przyszłości.

Wszystkie wejścia do klasztoru były zamknięte i nikt nie reagował na dzwonek. Przejeżdżający na swoim wozie farmer powiedział mu, że opactwa doglądają ludzie z wioski, wynajęci przez diecezję, i że nikt nie mieszkał tam od wielu lat.

KSIĘGA DRUGA

NOWY JORK

*Anglicy, Szkoci, Żydzi odnoszą w Irlandii sukces – Irlandczycy nigdy;
nawet patrioci muszą opuścić Irlandię, by uzyskać posłuch.*

George Moore

Brian Flynn, w czarnym ubraniu i koloratce katolickiego księdza, stał w szarym świetle poranka w pobliżu południowego wejścia do nawy poprzecznej katedry Świętego Patryka. Miał ze sobą małą paczkę zawiniętą w biały papier ozdobiony zielonymi trójlistnymi koniczynkami. Kilka starszych kobiet i dwaj mężczyźni stali u podstawy schodów niedaleko od niego, kuląc się z zimna.

Jedne z wielkich drzwi prowadzących do nawy poprzecznej otworzyły się nagle, pojawił się w nich kościelny i skinął głową. Grupka ludzi wspięła się po schodach i przeszła przez boczną kruchtę, wkraczając do katedry. Brian Flynn poszedł za nimi.

Wewnątrz katedry Flynn przyklęknął przy balaskach. Podwyższone marmurowe prezbiterium było ozdobione naręczami zielonych goździków i te świąteczne dekoracje przyciągnęły jego wzrok. Minęły cztery lata, kiedy opuścił opactwo Whitethorn. Dziś ujrzy je ponownie, ostatni raz. Wsunął prawą rękę do kieszeni swego czarnego płaszcza, by poczuć chłód stali pistoletu.

Ojciec Timothy Murphy opuścił swój pokój na plebanii i zagłębił się w podziemne przejście łączące plebanię z katedrą. Na końcu korytarza otworzył wielkie drewniane drzwi, wszedł do mrocznego pomieszczenia i włączył oświetlenie. Łagodne światło rozjarzyło się w wykładanej marmurem zakrystii. Kaplica dla księży znajdowała się w tyle zakrystii. Ukląkł tam, kierując swe modlitwy ku świętemu Patrykowi, którego święto przypadało tego dnia,

prosząc go, jak co roku, o pokój dla Irlandii Północnej, jego rodzinnego kraju. Prosił też o pogodę odpowiednią dla parady i o spokojny dzień w jego przybranym miejscu zamieszkania.

Ksiądz podniósł się, minął zakrystię, wszedł po kilku marmurowych schodach i otworzył zamek dwuskrzydłowej bramy z brązu. Rozsunął wrota, które na szynach wsunęły się w marmurowe ściany, i kontynuował wędrówkę. Na pierwszym podejściu się zatrzymał i przez zakratowane drzwi zajrzał do krypty zawierającej szczątki dawnych arcybiskupów Nowego Jorku. Łagodne żółte światło płonęło gdzieś w sercu krypty. Schody rozdzielały się w dwóch kierunkach, wybrał te po lewej stronie. Obszedł ołtarz, przyklęknął przed nim, potem ruszył w stronę wysokiej ambony, wspiął się po krętych, kamiennych schodach i stanął pod baldachimem z brązu, wysoko ponad rzędami ławek.

Przed nim rozpościerała się katedra, zajmując całą przestrzeń pomiędzy dwoma przecznicami. Jaśniejsze fragmenty przytłaczająco wysokich witraży – cieliste barwy nagich rąk i twarzy – wychwytywały światło wczesnego poranka, zmieniając odbiór przedstawionych na nich scen z ewangelii w sposób, jaki nigdy nie był zamierzeniem ich twórców: Bezcielesne głowy i kończyny wylaniały się z morza kobaltowego błękitu i ognistej czerwieni, jakby należały raczej do potępieńców niż do zbawionych.

Ojciec Murphy odwrócił się od okien i spojrzał w dół na wiernych. Kilkunastu ludzi rozproszonych było na przestrzeni wnętrza tego wypełnionego kolumnami budynku, wszyscy samotni, z Bogiem jako jedynym towarzyszem. Podniósł wzrok ku obszernemu chórowi nad frontowymi portalami. Wielkie organy wznosiły się na podobieństwo miniaturowej katedry, tysiące piszczałek z brązu strzelały w górę niczym wieże w rozproszonym świetle płynącym z umieszczonego nad nimi rozetowego okna.

Ojciec Murphy wyjął z kieszeni maszynopis kazania i położył go na otwartych stronicach Biblii na pulpicie, później podniósł ku górze mikrofon. Spojrzał na zegarek. Szósta czterdzieści. Dwadzieścia minut do mszy. Usatysfakcjonowany skontrolowaniem tych drobnych szczegółów ponownie podniósł wzrok i zauważył wysokiego księdza stojącego przy ołtarzu świętej Brygidy. Nie rozpoznał go, ale w tym dniu katedra miała być pełna zwiedzających ją duchownych; prawdę mówiąc, ten ksiądz wydawał się rozglądać po katedrze, napawając się jej rozległymi przestrzeniami. Wsiowy ćwok, pomyślał Murphy, taki sam, jakim i on był przed laty. A jednak z postawy tego mężczyzny biła pewność siebie. Wyglądał na przepelnionego nie podziwem, lecz raczej krytycyzmem, jak gdyby miał zamiar kupić ten budynek, lecz nie odpowiadały mu niektóre elementy wyposażenia.

Ojciec Murphy zszedł z ambony. Przypatrzył się wszechobecnym zabarwionym na zielono goździkom, ułamał jeden i wetknął go w klapę swego płaszcza. Zstąpił po schodach i przeszedł główną nawą pomiędzy ławkami. W wielkiej kruhcie obok dzwonnicy znalazł się o kilkanaście kroków od wysokiego księdza. Była to odległość, przy której należało wymówić słowa powitania. Zatrzymał się, a potem uśmiechnął.

– Dzień dobry, ojczu.

Wysoki ksiądz zmierzył go spojrzeniem.

– Dobry.

Ojciec Murphy zastanowił się nad wyciągnięciem ręki, lecz tamten ksiądz trzymał swą prawicę głęboko w kieszeni prochowca, drugą zaś obejmował zapakowane niczym prezent pudełko. Murphy minął go i przez zimną, kamienną kruchtę podszedł do głównych drzwi. Odsunął zasuwę i wyszedł na frontowe schody katedry. Jego jasne, błękitne oczy przesunęły się wzdłuż Piątej Alei i w górę, ku szczytowi International Building w Centrum Rockefellera. Refleks światła zamigotał na brązowych elewacjach budynku. Zapowiadał się słoneczny dzień, wspaniały dzień dla Irlandczyków.

Spojrzał w prawo. Od północy zbliżał się pojazd, na dachu którego błyskało żółte światło. Gdy przejeżdżał przed katedrą, dobiegły z niego syczące dźwięki. Murphy ujrzał strumień żółtozielonej farby wytryskujący z tyłu maszyny, kreślący środkiem Piątej Alei linię pokrywającą białe linie na jezdni wyznaczające pasy ruchu.

Ksiądz skupił wzrok na masywnym, odlanym z brązu posągu Atlasa spoglądającego na niego z drugiej strony ulicy, sprzed International Building, podtrzymującego świat w klasycznej pozie, heroicznej, lecz pogańskiej. Nigdy nie lubił tego posągu, odbierał go jako szyderstwo z kościoła. Również Centrum Rockefellera szydziło z jego kościoła. Te budynki z szarego kamienia stanowiły kolosalny pomnik dominujący nad marmurowymi wieżami katedry, a wystawiony własnemu ego jednego człowieka. Spoglądał na nagie ciało tytana naprzeciw niego i nagle przyszedł mu na myśl ów wysoki ksiądz spotkany w katedrze.

W ścianie kruchtury pod dzwonnica znajdowały się łukowate drewniane drzwi. Brian Flynn otworzył je i wszedł do małej windy, która przewiozła go do sali prób chóru. Przeszedł przez nią na chór i stanął przy balustradzie.

Za morzem drewnianych ławek wznosił się podwyższony ołtarz, małe dzieło sztuki z brązu skąpane w delikatnej iluminacji, którego marmurowe części połyskiwały w świetle dobiegającym z ukrytych źródeł. Białe rzeźby odbijały wszechobecną poświatę i wydawały się – tak jak to było zaplanowane przez budowniczego – eteryczne i ożywione. Posąg świętego Patryka, naprzeciw ambony, zdawał się spoglądać na niego. Za przybranym goździkami ołtarzem znajdowała się apsyda, w której kryła się kaplica Matki Boskiej z wysokimi, smukłymi witrażami rozświetlonymi teraz wschodzącym słońcem. Na piętnastu ołtarzach dookoła katedry płonęły świece wotywnie.

Jeżeli celem tego było wzbudzenie przestachu, atmosfery tajemniczości, pomniejszenie człowieka w obliczu Boga, to ta gotycka budowla doskonale spełniała swe zadanie. Jakimiż mistrzami niepewności i mistycyzmu byli ci katolicy, pomyślał Flynn, jakimiż niewiarygodnymi manipulatorami fizycznej rzeczywistości, a co za tym idzie, i rzeczywistości duchowej. Chleb i wino przemienione w ciało i krew, dobre sobie. A jednak we wnętrzu tej katedry lata wychowania przyniosły efekty i do jego myśli zakradało się zbyt

wiele zapomnianych uczuć. Poza katedrą istniał świat, który nie poniżał go ani też nie wyprawiał harców z jego umysłem i wzrokiem.

Otworzył małe drzwi wiodące dalej z chóru i uderzył go podmuch chłodnego powietrza, a gdy wszedł do dzwonnicy, zadrżał z zimna. Kiedy jego wzrok dostosował się do ciemności, odnalazł na środku wieży spiralne schody zaopatrzone w poręcz i zaczął się wspinać, przytrzymując dla równowagi jedną ręką, a w drugiej trzymając paczkę.

W wieży było ciemno, na wpół przezroczyste szkło wpuszczało do środka szarawe światło. Schody zastąpiono drabinami, które z każdym kolejnym podestem stawały się coraz bardziej niepewne. Zastanawiał się, czy ktoś przychodził tu na górę, i nie potrafił znaleźć powodu, dla którego ktokolwiek miałby to robić. Zatrzymał się dla odpoczynku na ostatnim, jak przypuszczał, podejściu przed pierwszym pomieszczeniem dzwonów.

Na prawo dostrzegł jakiś ruch i wyciągnął pistolet. Ostrożnie podkradł się naprzód, lecz były to jedynie kołysane podmuchami wiatru sznury dzwonów zwisające złowieszczo przy ścianie i przechodzące przez otwór w podejściu.

Rozejrzał się dookoła. Było to miejsce niesamowite. Rozproszone światło jeszcze pogłębiało ten nastrój, a odgłosy miasta przemieniały się w dziwaczne dźwięki zdające się dobiegać z samej wieży. Nawet przeciąg był niesamowity, gdyż nie można było dokładnie określić miejsca, w którym się rodził. Zupełnie jakby wydawał go jakiś ukryty narząd oddechowy należący do samego budynku – w pewnym sensie był to sekretny oddech katedry Świętego Patryka – a może i samego świętego Patryka. A jednak Flynn wyczuwał niejasno, że ten oddech nie jest uświęcony, że w tym miejscu czai się zło. Po pobycie w opactwie Whitethorn zrozumiał, że to, co wierni brali za obecność Ducha Świętego, dla niewierzących było czymś zupełnie innym.

Spróbował zapalić papierosa, ale zapalki nie chciały płonąć. Gdy ich krótkotrwałe światło rozjaśniło małą, wieloboczną komnatę wieży, ponownie powrócił myślami do krypty opactwa Whitethorn. Potarł dłonią pierścień, pierścień Finna MacCumaila, i przywołał obraz Maureen takiej, jaką widział ostatni raz w opactwie: Maureen przestraszoną, chorą, zasmuconą ich rozstaniem. Jakie będą jej pierwsze słowa po czterech latach?

Drabina prowadziła do pomieszczenia, w którym z poprzecznej belki zwisały trzy z dziewiętnastu odlanych z brązu dzwonów katedry. Flynn sprawdził czas. Za osiem siódma, osiem minut do chwili, w której dzwony zagrają na Anioł Pański... Gdyby znajdował się w ich pobliżu, ogłuchłby. Ustawił latarkę na belce i szybkimi ruchami odpakował paczkę, odsłaniając czarne, metalowe pudełko. Odszukał kabel elektryczny biegnący do awaryjnej lampy przymocowanej do belki i przeciął go, a potem podłączył jego końce do zacisków na metalowej puszcze. W końcu nastawił elektryczny zegar na pudełku na piątą po południu i pociągnął za sznur przy lampie. Pomieszczenie zostało częściowo oświetlone. Z mroku wyłoniły się nagromadzone zwały kurzu i wiekowe pajęczyny. Zegar zaczął głośno tykać.

Gdy dotknął jednego z brązowych dzwonów i poczuł jego chłód, przyszło mu na myśl, że dzień dzisiejszy może być ostatnim dniem, w którym Nowy Jork usłyszy jego dźwięk.

Maureen Malone stała nago przed wysokim do sufitu lustrem. Krople chłodnej wody pokrywały jej twarz i ramiona, migocząc w ostrym świetle lampy w łazience. Przesunęła ręką po prawej piersi i obmacała zniekształcone ciało wzdłuż niej. Spojrzała na purpurową bliznę. Boże, jak wiele szkody może wyrządzić jeden mały pocisk. Myślała kiedyś o operacji plastycznej, ale rana sięgała głębiej, aż do jej duszy, a tam nie dotarłby żaden chirurg.

Wzięła hotelowy ręcznik kąpielowy i owinęła się nim. Rozsuwając ciężkie zasłony, spojrzała na miasto z czterdziestego drugiego piętra w północnym skrzydle hotelu Waldorf. Strumienie lamp na mostach i autostradach przecinały kanały i płaskie tereny naokoło wyspy, a sama wyspa była zabudowana niewiarygodnie wysokimi budynkami. Przyjrzała się tym stojącym najbliżej hotelu. Wśród nich zauważyła katedrę zaprojektowaną na planie krzyża, teraz skąpaną w zimnym, błękitnym świetle. Na wprost rysowała się apsyda, a wejście wychodziło na szeroką aleję. Bliźniacze wieże strzelały majestatycznie w niebo pośród prostokątnych, niezgrabnych kształtów wokół świątyni.

Światła miasta rozpląły się przed oczyma Maureen. Myślami powróciła do obiadu w Sali Imperialnej na parterze hotelu, podczas którego wygłosiła przemówienie. Co takiego powiedziała damom i dżentelmenom z Amnesty International? Że przyjechała tutaj dla wszystkich mieszkańców Irlandii, zarówno żywych, jak i martwych. Zapytali, na czym polega jej misja. Miała przekonać Brytyjczyków, by uwolnili internowanych w Irlandii Północnej na mocy Ustawy o Specjalnych Pełnomocnictwach. Dopiero wówczas jej byli towarzysze walki przystaną na negocjacje pokojowe.

Gazety podały, że jej obecność obok sir Harolda Baxtera, brytyjskiego konsula generalnego w Nowym Jorku, na schodach katedry Świętego Patryka w dniu uroczystości ku czci patrona stanowić będzie precedens o wymiarze historycznym. Nigdy przedtem kardynał nie dopuścił, by ktokolwiek w najmniejszym choćby stopniu związany z polityką towarzyszył mu tego dnia. Politycy wspinali się po schodach, jak jej powiedziano, pozdrawiali księcia Kościoła i jego świtę, a potem na powrót przyłączali się do parady, udając się ku trybunie honorowej czternaście przecznic na północ. Maureen Malone, była terrorystka z IRA, została zaproszona na schody.

Sir Harold Baxter, jak wiedziała, był równie zakłopotany takim układem, jak i ona, ale nie mógł przyjąć tej oferty bez zgody Foreign Office, a więc przynajmniej to stanowiło jakiś przełom. Inicjatywy pokojowe, w przeciwieństwie do wojennych, zawsze rozpoczynały się od takich drobnych, bojaźliwych, niepewnych posunięć.

Poczuła nagły chłód płynący od okna i zadrzała. Jej wzrok powrócił do oświetlonej na niebiesko katedry. Spróbowała wyobrazić sobie, jak ten dzień może się skończyć, ale nie

potrafiła, i to napawało ją obawą. Kolejny dreszcz, innego tym razem rodzaju, przebiegł wzdłuż jej kręgosłupa. Z organizacji się nie odchodzi.

Czuła, że Brian Flynn jest w pobliżu. Wiedziała, że nie wybaczy jej tego, co robi.

Terri O'Neal zbudził hałas porannego ruchu ulicznego dobiegający zza okna na drugim piętrze. Latarnia za oknem częściowo oświetlała pokój. Mężczyzna u jej boku, Dan, obrócił głowę i spojrzał na nią. Zauważyła, że jego oczy są czyste, nie zamglone ani przez alkohol, ani przez sen. Podejrzewała, że nie śpi już od jakiegoś czasu, i to wzbudziło w niej niepokój, choć nie wiedziała dlaczego.

– Chyba będę musiała już lecieć. Popracować dzisiaj.

Usiadł i chwycił ją za ramię.

– Dzisiaj nie pracujesz. Idziesz na paradę. Nie pamiętasz? – Jego głos, z lekkim irlandzkim akcentem, nie był ochrypliwy od snu.

A więc nie spał – i skąd wiedział, że dzisiaj nie idzie do pracy? Nigdy nie mówiła swoim kochankom więcej, niż to było konieczne, na wypadek gdyby coś poszło nie tak.

– A ty idziesz dzisiaj do pracy?

– Jestem w pracy. – Zaśmiał się, biorąc papierosa z nocnego stolika.

Z wymuszonym uśmiechem spuściła nogi z łóżka i wstała. Czuła na sobie jego taksujący wzrok. Podeszła do wielkiego okna wykuszowego i przyklęła w tej części, która wychodziła na ulicę. Spojrzała na zewnątrz. Urocza ulica. Sześćdziesiąta któraś – w bok od Piątej, ulica prywatnych domów z granitu i piaskowca.

Spojrzała na zachód. Wielka policyjna furgonetka parkowała na rogu Piątej, a po drugiej stronie ulicy stał wóz telewizyjny. Na drugim końcu alei znajdowała się trybuna honorowa, zmontowana naprzeciwko parku. Popatrzyła w dół. Policyjne motocykle długą linią parkowały ukośnie na ulicy. Dziesiątki policjantów w kaskach kręciły się po okolicy, chuchając w dłonie i popijając kawę. Ich bliskość podniosła ją na duchu.

Odwróciła się i usiadła twarzą do łóżka. Zauważyła, że Dan wciągnął dzinsy, ale nadal siedział na łóżku. Znow zaczęła się bać, jej głos stał się niski i drżący.

– Kim... kim ty jesteś?

Mężczyzna podniósł się z łóżka i podszedł do niej.

– Pani kochankiem z ostatniego wieczoru, pani O'Neal. – Stał bezpośrednio przed nią, tak że musiała zadzierać głowę, by spojrzeć mu w oczy.

Terri O'Neal była przerażona. Ten człowiek nie zachowywał się, wyglądał czy mówił jak wariat, a jednak czuła, że ma zamiar zrobić coś, czego intuicyjnie się bała. Zwróciła oczy lekko w bok, ku szybie okna. Głośny krzyk wystarczyłby. Prosiła Boga, by wystarczył.

Dan Morgan nie powiódł oczami za jej wzrokiem, ale wiedział, co jest tam na dole.

– Nawet o tym nie myśl, kotku. Nawet o tym nie myśl...

Niechętnie odwróciła głowę z powrotem do niego i stwierdziła, że spogląda prosto w wylot wielkiego, czarnego tłumika na końcu jeszcze większego, czarnego pistoletu. Nagle zaschło jej w ustach.

– ...albo wpakuję kulę w twoje śliczne, okrągłutkie kolano.

Minęło kilka sekund, zanim ponownie była w stanie sformułować myśl czy słowo. Wtedy odezwała się cicho:

– Czego chcesz?

– Jedynie twego towarzystwa przez jakiś czas.

– Towarzystwa? – Jej mózg nie nadążał za tym wszystkim.

– Jesteś porwana, kochanie. Porwana.

Detektyw porucznik Patrick Burke siedział w najwyższym rzędzie ławek trybuny, kuląc się przed porannym chłodem. Spoglądał w dół alei. Świeżo namalowana zielona linia połyskiwała w bladym świetle słońca, a policjanci przekraczali ją ostrożnie, przechodząc przez ulicę. Saperzy krążyli wśród ławek, podnosząc papierowe torby oraz butelki z resztkami mętnego, taniego wina. Jakiś włóczęga leżał na ławce przykryty gazetą, tolerowany przez pobłażliwych gliniarzy.

Burke spojrział na wschód, w stronę Sześćdziesiątej Czwartej Ulicy. Wzdłuż jezdni stały policyjne motocykle, a furgonetka stacji telewizyjnej WPIX zajęła stanowisko na północnym narożniku. Policyjny wóz dowodzenia był zaparkowany na południowym rogu i dwaj funkcjonariusze podłączali wybiegające z niego kable do wyjścia u podstawy latarni.

Burke zapalił papierosa. W ciągu dwudziestu lat jego służby wywiadowczej scena ta zmieniła się bardzo nieznacznie w porównaniu z innymi elementami jego życia. Przypuszczał, że nawet włóczęga mógł być wciąż ten sam.

Rzucił okiem na zegarek – jeszcze pięć minut. Obserwował umundurowanych policjantów ustawionych w kolejce po kawę przed samochodem-kuchnią PBA¹⁸. Ktoś na końcu linii wzmacniał kubki kawy ciemnym płynem nalewanym z butelki po coli. Niczym ksiądz, pomyślał Burke, kropiący święconą wodą maszerujące oddziały. Dla mundurowych gliniarzy będzie to długi, ciężki dzień. Ponad milion ludzi, Irlandczyków i innych, stłoczy się na chodnikach Piątej Alei, w knajpach i restauracjach centralnego Manhattanu. O dziwo, biorąc pod uwagę całą wściekłość i wrzask tego dnia, podczas dotychczasowych obchodów Dnia Świętego Patryka w Nowym Jorku, uroczystości o ponad dwóchsetletniej historii, nie doszło do ani jednego incydentu natury politycznej. Ale Burke każdego roku miał przecucie, że coś się wreszcie wydarzy, że coś w końcu musi się wydarzyć.

Obecność Maureen Malone w Nowym Jorku niepokoiła go. Rozmawiał z nią krótko ostatniego wieczoru w Sali Imperialnej Waldorfa. Wydała mu się dość sympatyczna, ładna

¹⁸ PBA (Patrolmen's Benevolent Association) – organizacja utworzona dla ulżenia ciężkiej doli szeregowych policjantów patrolujących ulice (*przyp. tłum.*).

nawet, i nie zrażona jego sugestią, że ktoś może chcieć ją zamordować. Prawdopodobnie przywykła do gróźb zamachu na jej życie, pomyślała.

Irlandczycy byli specjalnością Burke'a i to właśnie Irlandczycy, tak uważał, byli potencjalnie najbardziej niebezpieczni. Ale gdyby chcieli uderzyć, czy wybraliby dzisiejszy dzień? Ten dzień należał do Irlandczyków. Parada była dla nich defiladą, pokazem zieleni koniecznym w czasach, kiedy uważano ich w Ameryce za najbardziej niepożądanych cudzoziemców. Przypomniawszy sobie żart, popularny na przełomie stuleci, który zwykł opowiadać jego dziadek: Czym jest Dzień Świętego Patryka? Dniem, w którym protestanci i żydzi wyglądają z okien swoich domów na Piątej Alei i przyglądają się, jak maszerują ich pracownicy.

Burke wstał, wyprostował swoją olbrzymią sylwetkę, zbiegł po ławkach w dół i zeskoczył na chodnik. Przeszedł za trybunami do otworu w niskim murze stanowiącym granicę Central Parku, dokąd zszedł po kamiennych schodach. Przed nim wznosił się masywny, przypominający zamek, Arsenał – w rzeczywistości siedziba administracji parku. Powiewała na nim, wraz z flagą amerykańską, trójkolorowa, zielono-biało-pomarańczowa flaga Republiki Irlandzkiej. Obszedł budynek od prawej strony i stanął przed zamkniętą bramą z kutego żelaza. Wspiął się na szczyt bramy i zeskoczył na ziemię po drugiej stronie, w ogrodzie zoologicznym.

Zoo było opustoszałe i znacznie mroczniejsze niż Aleja. Ozdobne lampy rzucały mdły blask na ścieżki i ceglane budynki. Idąc powoli prostą alejką, trzymając się cienia, wyjął z kabury służbowy rewolwer i wsunął go do kieszeni płaszcza jako zabezpieczenie raczej przeciw bandziorom niż zawodowym zabójcom. Cienie nagich sykomor pokrywały alejkę, a zapach wilgotnej słomy i zwierząt unosił się ciężko w chłodnym, mglistym powietrzu. Po lewej stronie foki pohukiwały w basenie, a ptaki zarówno w klatkach, jak i na drzewach ćwierkały i popiskiwały w kakofonii znajomych i egzotycznych głosów. Burke przeszedł pod ceglanym łukiem podpierającym zegar Delacorte i skontrolował cienie zalegające pod arkadami, ale nikogo tam nie było. Sprawdził czas na swoim zegarku. Ferguson spóźnił się albo już nie żył. Oparł się o jedną z podpór zegara i zapalił kolejnego papierosa. Na wschód, południe i zachód od siebie widział niebotyczne drapacze chmur. Ich sylwetki zarysowane na tle rozjaśnionego blaskiem świtu nieba tłoczyły się tuż za ciemną linią drzew niczym strome urwiska naokoło doliny wypełnionej tropikalnym lasem.

Z tyłu rozległy się ciche kroki. Burke wyjrzał zza łuku w stronę ścieżki prowadzącej do dziecięcego zoo. Jack Ferguson przeszedł przez betonowy tunel i wyłonił się w plamie światła.

– Burke?

– Tutaj. – Burke zauważył, że Ferguson lekko utyka, a jego zbyt obszerny, wiekowy trencz trzepocze przy każdym kroku.

Ferguson podał mu rękę i uśmiechnął się, pokazując pożółkłe zęby.

– Miło cię ujrzeć, Patrick.

Burke uścisnął jego dłoń.

– Jak tam twoja żona, Jack?

– Kiepsko. Niestety kiepsko.

– Przykro mi. Sam też wyglądasz nieco blado.

Ferguson dotknął twarzy.

– Naprawdę? Powinienem częściej wychodzić.

– Przespaceruj się po parku, kiedy słońce będzie wyżej. Dlaczego spotykamy się tutaj, Jack?

– O Jezu, przecież miasto jest pełne Iroli, nieprawdaż? To znaczy, gdziekolwiek indziej moglibyśmy być zauważeni przez kogokolwiek.

– Może. – Starzy rewolucjoniści, pomyślał Burke, zeszliby i poumierali bez tej paranoi i konspiracji. Wyciągnął spod płaszcza mały termos. – Herbata i whisky.

– Niech ci to Bóg wynagrodzi. – Ferguson napił się, potem oddał termos, rozglądając się wśród cieni. – Jesteś sam?

– Tylko ja, ty i małpy.

Burke zerknął znad termosu. Jack Ferguson był prawdziwym uniwersyteckim marksistą z lat trzydziestych, którego życie dzieliło się między wywoływanie i oczekiwanie na rewolucję klas pracujących. Wiatr historii omiatający resztę świata od zakończenia wojny ominął Jacka Fergusona, nie poruszając go ani nie wywierając na nim żadnego wrażenia. Ponadto był pacyfistą, człowiekiem łagodnym, choć te pozornie nie do pogodzenia ideały nie wywoływały w nim żadnego wewnętrznego konfliktu. Burke wyciągnął rękę z termosem.

– Jeszcze łyczek?

– Nie, jeszcze nie teraz.

Burke nałożył z powrotem nakrętkę. Ferguson był wysokim oficerem oficjalnego odłamu IRA, a raczej tego, co z niego pozostało w Nowym Jorku, i był tak samo wypalony i skazany na wymarcie, jak cała reszta tych stetryczałych dziadków.

– Co nowego na dzisiaj, Jack?

Ferguson wziął Burke'a pod ramię i spojrzał mu w twarz.

– Fenianie znów krążą po gościńcach, mój chłopcze.

– Serio? A skąd wytrzasnęli konie?

– To nie kawał, Patrick. Grupa renegatów złożona głównie z „tymczasowych” z Ulsteru. Nazywają siebie fenianami.

Burke skinął głową. Słyszał już o nich.

– Są tutaj? W Nowym Jorku?

– Obawiam się, że tak.

– W jakim celu?

– Trudno dokładnie powiedzieć, ale knują coś niedobrego.

– Czy twoje źródła informacji są godne zaufania?

– Bardzo.

– Czy ci ludzie dokonują aktów przemocy?

– Używając współczesnego języka, tak, dokonują aktów przemocy. Siedzą w tym po dupy. To mordercy, podpalacze i zamachowcy. Śmietanka Tymczasowej IRA. Zrównali z ziemią większą część centrum Belfastu i odpowiadają za setki ofiar. Nieprzyjemne towarzystwo.

– Na to wygląda. Ciekawe, czym zajmują się w weekendy?

Ferguson drżącą ręką zapalił papierosa.

– Usiądźmy na chwilę.

Przysiedli na ławce naprzeciw małpiarni. Jeżeli kiedykolwiek żył ktoś bardziej anachroniczny, bardziej donkiszotowski niż Jack Ferguson, to Burke dotychczas go nie spotkał. A jednak udało mu się przetrwać w mrocznym podziemnym świecie lewicowej polityki. Przeżył nawet próbę morderstwa albo raczej zabójstwa na tle politycznym, jak by poprawił go Ferguson. I na jego opinii w tych sprawach zawsze można było polegać. Zorientowani na marksizm „oficjalni” nie ufali rozłamowcom z Tymczasowej IRA i vice versa. Obie strony nadal miały swoich ludzi w obozie przeciwnika i ci byli dla nich najlepszym źródłem informacji. Jediną łączącą ich cechą była głęboka nienawiść do Anglików i polityki trzymania się z daleka od Ameryki.

– IRA nie dokonywała aktów przemocy w Ameryce od zakończenia drugiej wojny światowej – Burke wyrecytował powszechnie przyjętą opinię – i nie sądzę, by byli na to gotowi w chwili obecnej.

– To prawda, jeśli chodzi o „oficjalnych” i nawet „tymczasowych”, ale nie w przypadku fenian.

Burke nic nie mówił przez długą chwilę, potem zapytał:

– Ilu?

Ferguson odpalił kolejnego papierosa od poprzedniego.

– Co najmniej dwudziestu, może więcej.

– Uzbrojeni?

– Nie w chwili opuszczenia Belfastu, oczywiście, ale są tu ludzie, którzy z chęcią by im pomogli.

– Cel?

– Kto wie? Mamy dzisiaj od cholery i trochę celów. Setki polityków na trybunach, na paradzie, ludzie na schodach katedry. Oczywiście masz też konsulát brytyjski, Irlandzkie Biuro Obsługi Turystów, delegację handlową z Ulsteru, także...

– W porządku. Ja też mam tę listę. – Burke przyglądał się goryłowi o płonących czerwienią oczach, patrzącemu na nich zza krat małpiarni. – Kim są przywódcy tych fenian?

– Człowiek używający pseudonimu Finn MacCumail.

– Jakie jest jego prawdziwe nazwisko?

– Być może dowiem się dziś po południu. Zastępcą MacCumaila jest John Hickey.

– Hickey nie żyje.

– Nie, mieszka dokładnie tutaj, w New Jersey. Musi dociągać już do osiemdziesiątki.

Burke nigdy nie spotkał Hickeya, ale jego kariera w IRA była tak długa i splamiona krwią, że wspomniano o nim w podręcznikach historii.

– Coś jeszcze?

– Nie, to wszystko na teraz.

– Gdzie możemy się później spotkać?

– Dzwonź do mnie co godzinę o pełnej godzinie zaczynając od południa. Jeżeli mnie nie złapiesz, spotkamy się tutaj albo na tarasie restauracji o czwartej trzydzieści... chyba że oczywiście to, co ma się zdarzyć, zdarzy się wcześniej. W takim wypadku nie będzie mnie w mieście przez jakiś czas.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

Ferguson zareagował tak jak zwykle w takiej sytuacji, z obojętnością przemieszana z zaskoczeniem.

– Zrobić? Bo ja wiem... pomyślmy... Jak stoicie z funduszem specjalnym?

– Mogę wydostać parę setek.

– Świetnie. Kiepsko nam ostatnio idzie.

Burke nie wiedział, czy Ferguson mówi o sobie i swojej żonie, czy też o swojej organizacji. Prawdopodobnie o jednym i drugim.

– Spróbuję zdobyć więcej.

– Jak sobie życzysz. Pieniądze nie są takie ważne. Ważne jest to, byście zapobiegli rozlewowi krwi i żeby w Departamencie wiedzieli, że wam pomagamy. I żeby nikt więcej o tym nie wiedział.

– Tak to zawsze robiliśmy.

Ferguson podniósł się i wyciągnął rękę.

– Do zobaczenia. Erin go bragh.

Burke powstał i ścisnął jego dłoń.

– Zrób, co w twojej mocy, Jack, ale bądź ostrożny.

Burke przyglądał się, jak Ferguson kuśtyka ścieżką i znika pod zegarem. Poczł dreszcz zimna, więc łyknął z termosu. Fenianie znów krążą po gościńcach.

Maureen Malone odstawila filiżankę i powiodła wzrokiem po sali śniadaniowej hotelu.

– Chciałaby pani coś jeszcze? – Margaret Singer, sekretarz Amnesty International, uśmiechnęła się do niej ponad stołem.

– Nie, dziękuję... – Prawie dodała „pani”, ale powstrzymała się w porę. Trzy lata działalności rewolucyjnej nie zatarty efektów trwającej od chwili urodzenia indoktrynacji.

Obok Margaret Singer siedział Malcolm Hull, także z Amnesty. Miejsce po drugiej stronie stołu zajmował mężczyzna przedstawiony jedynie jako Peter. Opierał się plecami o ścianę i obserwował główne wejście do sali. Nie jadł ani się nie uśmiechał, pił czarną kawę. Maureen spotykała już takich ludzi. Piąta osoba przy stole zjawiała się przed chwilą i raczej nieoczekiwanie. Był to sir Harold Baxter, brytyjski konsul generalny. Uczciwie przyznał, że przyjechał, by przełamać lody, a tym samym uniknąć niezręczności w trakcie spotkania na stopniach katedry. Brytyjczycy, rozmyślała Maureen, są tacy cywilizowani, uprzejmi i praktyczni. Naprawdę można się porzygać.

Sir Harold nalał kawy do filiżanki i uśmiechnął się do niej.

– Zostanie pani przez jakiś czas?

Zmusiła się, by spojrzeć w jego czyste, szare oczy. Nie wyglądał na więcej niż czterdziestkę, ale już siwiał na skroniach. Bezsprzecznie był przystojny.

– Myślę, że polecę wieczorem do Belfastu.

Jego uśmiech nie zbladł ani trochę.

– Niezbyt dobry pomysł. Londyn czy nawet Dublin byłyby lepsze.

Na jego słowa odpowiedziała uśmiechem. Zdawał się mówić: Po dzisiejszym dniu bez wątplenia zamordują panią w Belfaście. Nie sądziła, by to, czy IRA ją zamorduje, obchodziło go osobiście, to rząd musiał zadecydować, że jest użyteczna.

– Jeżeli mam zginąć od kul IRA, wolę, by stało się to w Belfaście niż gdzie indziej. Irlandia Północna potrzebuje alternatywy wobec IRA, a więc chcę przebywać w Irlandii Północnej.

W oczach Harolda Baxtera zamigotało znużenie. Był śmiertelnie znudzony tym problemem, ale uważał odpowiedź za swój obowiązek.

– I pani jest tą alternatywą?

– Poszukuję alternatywy wobec zabijania niewinnych cywilów.

Baxter posłał jej najzimniejsze spojrzenie ze swego repertuaru.

– A co z brytyjskimi żołnierzami?

Jej odpowiedź była równie szybka jak jego pytanie. Obydwoje dobrze umieli swój katechizm.

– Sądzę, że każdy naród wolałby być rządzony przez własnych niekompetentnych polityków niż przez obce beztalencia.

Baxter wyprostował się na krześle, ścisnął razem dłonie, potem gwałtownym ruchem położył swoją serwetkę na stole.

– Rząd Jej Królewskiej Mości nie opuści miliona poddanych w Ulsterze, lojalnych czy nie, tak jak nie opuściłby Kornwalii czy Surrey, szanowna pani. – Podniósł się. – Jeżeli z tego powodu wychodzimy na głupców, niech tak będzie. Proszę mi wybaczyć.

Maureen przyglądała się jego oddalającej się postaci, potem odwróciła się do swych gospodarzy.

– Przepraszam. Nie powinnam była szukać z nim zwady.

Margaret Singer się uśmiechnęła.

– W porządku. Ale radziłabym nie kłócić się z drugą stroną na tematy polityczne. Kiedy mówimy Rosjanom jacy z nich brutale, a potem próbujemy uzyskać zwolnienie sowieckiego Żyda z obozu, nie odnosimy wielkich sukcesów.

Hull skinął aprobowując głową.

– Nie zgodzi się z tym pani, ale mogę panią zapewnić, że Brytyjczycy są jednymi z najbardziej sprawiedliwych ludzi na tym umęczonym świecie. Jeżeli chce pani nakłonić ich do zarzucenia polityki internowania, musi pani odwoływać się do ich poczucia sprawiedliwości. Zerwała pani z IRA, by podążać tą drogą, niech pani nie traci z oczu swego celu, Maureen.

Margaret Singer dodała:

– Wszyscy musimy wchodzić w układy z naszymi diabłami, i my to robimy. – Zamilkła na moment. – To oni trzymają klucze do bram obozów.

Maureen przyjęła tę delikatną wymówkę bez odpowiedzi. Z porządnymi ludźmi tego świata układało się znacznie trudniej niż ze złymi.

– Dziękuję za śniadanie. Przepraszam.

Kiedy wstała, do stolika podszedł goniec hotelowy.

– Panna Malone?

Powoli skinęła głową.

– To dla pani. – Pokazał jej mały bukiet zielonych goździków. – Włożę je do ładnego wazonu w pani pokoju. Jest tu też karta, którą mogę pani zaraz dać, jeśli pani chce.

Przyjrzała się małej, płowożółtej kopercie. Była czysta. Spojrzała pytająco na Singer i Hulla, lecz ci pokręcili przecząco głowami. Do połowy wyciągnęła kartę z koperty.

Witamy w Nowym Jorku. Mamy nadzieję, że spędzi tu Pani miłe chwile i że skorzysta Pani z rozrywek oferowanych przez miasto i z gościnności jego mieszkańców.

Nie musiała wyciągać całkowicie karty, by się upewnić, czyj podpis na niej widnieje.

Maureen zamknęła i zaryglowała drzwi swojego pokoju. Kwiaty już stały na toaletce. Wyciągnęła je z wazonu, zaniósła do łazienki, porwała na strzępy i splukała w klozecie. W lustrze zobaczyła odbicie sypialni i otwarte drzwi do sąsiedniego salonu. Drzwi do gabinetu były również uchylone, pomimo że ona nie zostawiła ich otwartych. Obróciła się na pięcie. Wzięła kilka głębokich oddechów, tak by jej głos nie zdradzał zdenerwowania.

– Brian?

Usłyszała poruszenie w salonie. Jej kolana zaczęły drżeć.

– Niech cię diabli, Flynn!

Otworzyły się drzwi prowadzące do saloniku.

– Pani mnie wołała? – odezwała się pokojówka.

Maureen wzięła kolejny głęboki oddech.

– Czy jest tu ktoś jeszcze?

– Nie, proszę pani.

– A był tu ktoś?

– Tylko chłopiec z kwiatami, proszę pani.

– Proszę wyjść.

– Tak jest, proszę pani.

Pokojówka wytoczyła swój wózek na korytarz. Maureen poszła za nią i ponownie zaryglowała drzwi, później usiadła w fotelu, wpatrując się w kolorową tapetę.

Jej własny spokój zdumiewał ją. Prawie pragnęła, by Flynn wytoczył się spod łóżka i spojrzał na nią z tym swoim dziwnym uśmiechem, który uśmiechem wcale nie był. Przywołała w wyobraźni jego postać stojącą przed nią. Powiedziała by: „Minęło tak cholernie wiele czasu, Maureen.” Zawsze tak mówił, kiedy musieli się rozstać. Albo: „Gdzie są moje kwiaty, dziewczyno? Umieściłaś je w jakimś specjalnym miejscu?”

– Taak, w bardzo specjalnym – powiedziała głośno. – Spuściłam je z wodą w tym cholernym kiblu.

Siedziała jeszcze przez kilka minut, kontynuując w wyobraźni rozmowę z nim. Zrozumiała, jak bardzo jej go brakowało i jak bardzo pragnęła znów usłyszeć jego głos. Była zarówno podniecona, jak i przestraszona świadomością jego bliskości i nieuchronnością spotkania z nim.

Zadzwoił stojący przy fotelu telefon. Pozwoliła mu dzwonić przez dłuższą chwilę, zanim go odebrała.

– Maureen? Wszystko w porządku? – To była Margaret Singer. – Czy mam wejść na górę po ciebie? Oczekują nas w Pawilonie Irlandzkim...

– Już schodzę.

Odłożyła słuchawkę i podniosła się powoli z fotela. Przyjęcie w Pawilonie Irlandzkim, potem schody katedry, parada, a na zakończenie dnia trybuna honorowa. Następnie obiad dobroczynny na rzecz irlandzkich dzieci w Irlandzkim Towarzystwie Kulturalnym. Później lotnisko Kennedy’ego. Ile radosnej rozrywki w imię wyrównywania krzywd wyrządzonych przez wojnę. Było to możliwe tylko w Ameryce. Amerykanie nawet dzień apokalipsy zmieniliby w wieczorek taneczny.

Przeszła przez salon do sypialni. Na podłodze leżał zielony goździk. Maureen przyklękała, by go podnieść.

Burke zajrzał z budki telefonicznej do zaciemnionego wnętrza Blarney Stone na Trzeciej Alei. Na lustrze nad barem były przyklejone kartonowe koniczynki, a z sufitu zwieszał się

plastikowy kapelusz gnoma z irlandzkich legend. Burke wykręcił bezpośredni numer do Police Plaza.

– To ty, Langley?

Inspektor Philip Langley, szef Wydziału Wywiadu Departamentu Policji Nowego Jorku, pociągnął łyk kawy.

– Dostałem twój raport o informacjach Fergusona. – Langley wyjrzał ze swojego okna na trzynastym piętrze w kierunku mostu Brooklyńskiego. Mgła znad morza zaczynała się już przersedzać. – Sytuacja wygląda następująco, Pat. Mamy tutaj kilka kawałków układanki, lecz obrazek nie wygląda dobrze. FBI dowiedziało się od swoich informatorów w IRA, że grupa renegatów z Irlandii węszy naokoło nowojorskiej i bostońskiej IRA, badając grunt, czy uda im się przeprowadzić w tym kraju to, co planują.

Burke otarł szyję chusteczką.

– Jak powiedział stary zwiadowca z kawalerii, widzę ślady podków wielu jeźdźców prowadzące do środka, ale ani jednego wiodącego na zewnątrz.

– Oczywiście nic jednoznacznie nie wskazuje na Nowy Jork w Dniu Świętego Patryka...
– powiedział Langley.

– Istnieje prawo, które mówi, że jeżeli wyobrazi się sobie najgorszą z możliwych rzeczy przytrafiającą się w najgorszym z możliwych momencie, zwykle właśnie tak się stanie. Gdybym był przywódcą grupy irlandzkich renegatów i gdybym chciał narobić hałasu w Ameryce, zrobiłbym to właśnie w Nowym Jorku w dniu siedemnastego marca.

– Rozumiem. Jak masz zamiar do tego podejść?

– Zacznę od odgrzewania moich kontaktów. Rundka po barach. Przysłucham się rozmowom barowych patriotów. Postawię parę drinków. Kupię paru ludzi.

– Bądź ostrożny.

Burke odwiesił słuchawkę i podszedł do baru.

– Co pan zamawia?

– Cutty. – Burke położył na kontuarze dwudziestodolarowy banknot. Rozpoznał barmana, gigantycznego faceta o imieniu Mike. Wziął drinka i zostawił resztę na bufecie. – Postawić ci jednego?

– Trochę jeszcze wcześniej. – Barman czekał.

Umiał rozpoznać człowieka, który czegoś chce.

– Szukam przyjaciół. – Burke przeszedł na lekki akcent irlandzki.

– Idź do kościoła.

– Tam ich nie znajdę. Bracia Flannagan, Eddie i Bob. John Hickey też.

– Jesteś ich przyjacielem?

– Spotykamy się każdego siedemnastego marca.

– W takim razie powinieneś wiedzieć, że John Hickey nie żyje. Niech mu ziemia lekka będzie. Flannaganowie wrócili do starego kraju. Będzie już chyba z rok. Wypij i ruszaj stąd. Tu nie znajdziesz żadnych przyjaciół.

– Czy to w tym barze wyrzucają pijaka przez okno w każdy Dzień Świętego Patryka?

– Może się tak stać, jeżeli sobie nie pójdiesz. – Barman spojrzał na Burke’a zaczepnie.

W tej chwili z budki wyszedł średnio zbudowany mężczyzna w drogim prochowcu i zbliżył się do Burke’a. Odezwał się miękko, z brytyjskim akcentem:

– Możemy porozmawiać przez moment?

Poprowadził Burke’a z baru na drugą stronę ulicy. Zatrzymali się na rogu.

– Jestem major Bartholomew Martin z Brytyjskiego Wywiadu Wojskowego. – Pokazał paszport dyplomatyczny i wojskową kartę identyfikacyjną.

Burke ledwie na nie spojrzał.

– To niczego nie dowodzi.

Martin skinął w stronę drapacza chmur widniejącego w połowie ulicy.

– W takim razie lepiej wejdźmy do środka.

Burke wiedział, o który budynek chodzi, nawet nań nie spoglądając. Dwaj policjanci z Patrolu Taktycznego¹⁹ stali kilka jardów od wejścia z rękoma splecionymi na plecach. W strategicznych punktach obszernego, marmurowego holu byli rozlokowani czterej ludzie ze Służb Specjalnych. Martin i Burke przeszli szybko do wind.

Na dziewiątym piętrze Martin poprowadził Burke’a wąskim korytarzem. Po drodze skinął głową stojącemu po lewej stronie mężczyźnie w błękitnej bluzie z wypolerowanymi guzikami z brązu. Na przeciwnej ścianie widniał herb rodziny królewskiej i wypucowana do połysku tabliczka z brązu opatrzona napisem: Brytyjska Służba Informacyjna. Nic nie wskazywało na to, że kręcili się tu zwykle szpiedzy, ale, jeśli Burke się nie mylił, placówki wywiadu w żadnej ambasadzie ani konsulacie nie czyniły z tego publicznej tajemnicy.

Recepcjonistka o blond włosach, ubrana w błękitny tweedowy kostium, wstała na ich widok i powiedziała z nienagannym brytyjskim akcentem:

– Dzień dobry, majorze.

Martin zaprowadził Burke’a przez czytelną mikrofilmów do małego saloniku umeblowanego w tradycyjny sposób. Jedyнным detałem zdradzającym, że to pomieszczenie jest biurem rządowym, był olbrzymi plakat z biura podróży z napisem: „Znajdź ciszę i spokój w angielskiej wsi”, a ukazujący czarno-białą krowę stojącą na słonecznej łące.

Martin zamknął drzwi na klucz i powiesił swój prochowiec na wieszaku.

– Niech pan siada, poruczniku.

Burke pozostał w płaszczu. Podszedł do kredensu, wyjął zatyczkę z karafki, powąchał jej zawartość i napełnił kieliszek. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Ostatni raz był w konsulacie

¹⁹ Tactical Patrol Unit (TPU) – jednostki alarmowe wprowadzane do akcji w razie nagłej potrzeby (*przyp. tłum.*).

tydzień przed ubiegłorocznym Dniem Świętego Patryka. Wtedy urzędował tu niejaki pułkownik Hayes. Burke oparł się plecami o kredens.

– Więc co może pan dla mnie zrobić?

Major Martin się uśmiechnął.

– Bardzo wiele, jak sądzę.

– Świetnie.

– Przekazałem już inspektorowi Langleyowi raport na temat grupy irlandzkich terrorystów nazywających się fenianami, a dowodzonej przez Finna MacCumaila. Widział pan ten raport?

– Zaznajomiono mnie z jego szczegółami.

– Dobrze. Wie pan zatem, że coś może się dzisiaj wydarzyć.

Martin pochylił się do przodu.

– Współpracuję ściśle z FBI i CIA, ale chciałbym zacieśnić współpracę i z pańskimi ludźmi, zebrać razem wszystkie informacje. FBI i CIA przekazują nam rzeczy, o których wam nawet nie wspominają, ale ja będę was informował tak o ich postępach, jak i o naszych. Pomogłem już placówkom waszego wywiadu wojskowego założyć kartoteki na temat IRA i pokrótce zapoznałem z sytuacją wywiad waszego Departamentu Stanu.

– Miał pan dużo pracy.

– Tak. Widzi pan, w tej sprawie jestem czymś w rodzaju izby rozrachunkowej. Wywiad brytyjski wie oczywiście więcej o irlandzkich rewolucjonistach niż ktokolwiek inny, a że wy potrzebujecie teraz tych informacji, my mamy okazję wyświadczyć wam przysługę.

– Za jaką cenę?

Martin bawił się leżącą na stole zapalniczką.

– Ach tak, cena. Cóż, wystarczą wasze dokładniejsze informacje o powiązanych z IRA przybyszach zza Atlantyku przemycających broń, zbierających fundusze. O ludziach IRA przebywających tutaj na urloпах wypoczynkowych. Coś w tym rodzaju.

– Brzmi uczciwie.

– To jest uczciwe.

– A czego chce pan właśnie ode mnie?

– Po prostu chciałem panu powiedzieć o tym osobiście. – Martin spojrzał na Burke'a. – Poznać pana. – Podniósł się. – Niech pan posłucha, jeżeli będzie pan chciał przekazać coś bezpośrednio do mnie, proszę tu zadzwonić i poprosić o pana Jamesa. Ktoś odbierze wiadomość i przekaże ją mnie. A ja tu będę zostawiał wiadomości dla pana. Jakiś drobiazg może pan przekazać Langleyowi jako pańską własną zdobycz. Uzyska pan w ten sposób parę punktów. Zawsze lepiej się wtedy wygląda.

Burke ruszył do drzwi, lecz się zatrzymał.

– Prawdopodobnie polują na tę Malone – powiedział. – A może nawet na konsula generalnego.

– Nie sędę. Sir Harold nie ma żadnych powiązań ze sprawą Irlandii. A ta Malone, tak przy okazji, znałem w Belfaście jej siostrę, Sheilę. Siedzi w więzieniu. Męczennica IRA. Gdyby tylko wiedzieli, ale to inna opowieść. Na czym to skończyłem? Maureen Malone. Dla IRA ona jest zupełnie odrębną sprawą. Trybunał Tymczasowej IRA skazał ją zaocznie na śmierć. Żyje teraz na kredyt. Ale oni nie zastrzelą jej ot tak, na ulicy. Dopadną ją pewnego dnia w Irlandii, na Północy czy Południu, przeprowadzą proces, tym razem w jej obecności, okulawią ją, a jakiś dzień później strzelą jej w głowę i porzucą na ulicy w Belfaście. A fenianie, kimkolwiek by nie byli, nie zrobią niczego, co uprzędziłoby wyrok śmierci „tymczasowych”. I niech pan nie zapomina, że Malone i sir Harold będą przez większą część dnia na schodach katedry, a Irlandczycy szanują świętość kościoła bez względu na wyznawaną religię czy poglądy polityczne. Nie, nie niepokoiłbym się o tych dwoje. Niech pan poszuka bardziej oczywistych celów. Własność brytyjska. Delegacja handlowa z Ulsteru. Wie pan, Irlandczycy zawsze działają w nietrudny do przewidzenia sposób.

KSIĘGA TRZECIA

PARADA

Dzień Świętego Patryka w Nowym Jorku to niesamowita przygoda i w poprzednich latach na Piątej Alei, od Czterdziestej Dziewiątej Ulicy do Dziewięćdziesiątej Szóstej Ulicy, wszystkie linie na jezdni były przemalowywane z tej okazji na zielono. Wszyscy niedoszli Irlandczycy, byli Irlandczycy i nie-Irlandczycy przez jeden wieczór zdają się zmieniać w Irlandczyków z krwi i kości. Wszyscy biorą w tym udział, ale jest to niezwykle radosna okazja i nigdy nie doświadczyłem czegoś podobnego w żadnym innym miejscu na świecie.

Brendan Behan
„Brendan Behan’s New York”

W połowie Piątej Alei, u wylotu Czterdziestej Czwartej Ulicy, Pat i Mike, dwa owczarki irlandzkie będące maskotkami Sześćdziesiątego Dziewiątego Pułku, napinały swe smycze. Dowódca, pułkownik Dennis Logan, ze zniecierpliwieniem postukał o udo swą irlandzką laseczką z tarniny. Spojrzał na niebo i zaciągnął się powietrzem, a potem obrócił się do majora Matthew Cole’a.

– Jaka pogoda na dzisiejsze popołudnie, majorze?

Major Cole, jak wszyscy dobrzy adiutanci, miał odpowiedź na każde pytanie.

– Zimny front ma przejść później, sir. Śnieg lub marznący deszcz o zmierzchu.

Logan skinął głową i wysunął swą masywną szczękę do przodu w geście niepokory, jak gdyby miał zamiar powiedzieć: Do diabła z pogodą, cała naprzód. Młody major przybrał podobną minę, choć jego szczęką nie była aż tak wydatna.

– Do tego czasu parada powinna się już skończyć, sir.

Rzucił spojrzenie na Logana, sprawdzając, czy pułkownik go słucha. Zdumiewająco kanciasta twarz Logana przydawała mu się podczas odpraw sztabu, lecz efekt tej przypominającej skałę fizjonomii osłabiały mgliste, łagodne, kobiece oczy.

Logan spojrział na zegarek, potem na wielki zegar na żelaznej kolumnie stojący przed budynkiem Trustu Morgana przy Piątej Alei. Zegar spieszył się o trzy minuty, ale oni wyruszą, gdy zegar wybije południe. Logan nigdy nie zapomni zdjęcia w gazecie, ukazującego jego oddział na spocznij i zegar wskazujący trzy po. Podpis brzmiał: „Irlandczycy zaczynają później”. Nigdy więcej.

Kadra pułku po odbyciu przeglądu jednostki zgromadziła się przed poczem sztandarowym. Flagi państwowe i pułkowe strzelały na dmącym z szybkością pięciu mil na godzinę wietrze nadbiegającym aleją z północy, a wielokolorowe proporce bojowe, niektóre pochodzące jeszcze z czasów wojny secesyjnej, trzepotały dostojnie.

Logan spojrział na swoich ludzi. Stali w pozycji na spocznij, na wypolerowanych hełmach ozdobionych herbem pułku migotało słońce. Przez ramiona mieli przerzucone karabiny M-16.

Tłum na Czterdziestej Czwartej Ulicy, powiększany przez urzędników wychodzących na lunch, kotłował się już, ponieważ ludzie starali się uzyskać jak najlepsze miejsca do obserwacji. Niektórzy wspięli się na słupy sygnalizacji ulicznej, skrzynki pocztowe i betonowe kręgi obejmujące świeżo pączkujące drzewa wzdłuż alei.

Naokoło Logana reporterzy mieszały się z politykami i z organizatorami imprezy. Przewodzący paradzie stary sędzia Driscoll poklepywał wszystkich po plecach, tak jak to robił od ponad czterdziestu lat. Marszałkowie formacji, w eleganckich zakietach, poprawiali trójkolorowe szarfy i cylindry. Gubernator ścisnął każdą dłoń, która mogła w przyszłości pociągnąć za dźwignię do głosowania, a burmistrz Kline miał na głowie najdurniejszy melonik, jaki Logan widział w swoim życiu.

Piątą Aleję wyłączono z ruchu ulicznego i przypominała teraz scenę z drugorzędного filmu science fiction. Aleja rozciągała się bez żadnych przeszkód aż po horyzont i na pułkowniku Loganie ten widok robił większe wrażenie niż cokolwiek innego. Nie mógł dojrzeć katedry cofniętej od chodnika pomiędzy ulicami Pięćdziesiątą i Pięćdziesiątą Pierwszą, lecz widział otaczające ją policyjne bariery i gości na dolnych stopniach schodów.

Gdy wskazówka zegara przesunęła się o kolejny skok ku dwunastej, na skrzyżowanie zaczęła zstępować cisza. Wojskowa orkiestra towarzysząca Sześćdziesiątemu Dziewiątemu Pułkowi zakończyła strojenie, a kobzy Szmaragdowego Towarzystwa na bocznej ulicy skończyły próby. Dygnitarze, których odprowadzenie na trybunę honorową było zadaniem Sześćdziesiątego Dziewiątego Pułku, zaczęli zajmować wyznaczone miejsca pod aprobującym spojrzeniem sędziego Driscolla.

Logan czuł, jak wraz z upływem ostatnich kilku minut jego serce zaczyna bić szybciej. Choć nie mógł objąć wzrokiem wszystkiego, był świadom obecności olbrzymiego tłumu ludzi stłoczonych naokoło niego, setek tysięcy widzów wzdłuż trasy parady, policjantów, trybun w

parku, kamer i reporterów. Miał to być dzień nacechowany oddaniem i świętowaniem, sentymentalizmem, a nawet smutkiem. Ukoronowaniem była parada w Nowym Jorku odbywająca się tego dnia nieprzerwanie od 1762 roku, bez względu na wojnę, kryzys czy strajki. Była to właściwie główna podpora irlandzkiej kultury w Nowym Świecie i nie miało się to zmienić, nawet gdyby wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci w starej Irlandii skończyli ze sobą i Brytyjczykami. Logan odwrócił się do majora Cole'a.

– Czy jesteśmy gotowi, majorze?

– Bojowi Irlandczycy są zawsze gotowi, pułkowniku.

Logan skinął głową. Pomyślał, że Irlandczycy zawsze byli gotowi na wszystko i nie przygotowani do niczego.

Ojciec Murphy rozejrzał się wokoło. Tysiąc gości zapełniło schody katedry. Przepchnął się ostrożnie przez tłum i stanął na długim, zielonym dywanie rozwiniętym od głównego portalu pomiędzy poręczami z brązu i dalej, na ulicę. Przed nim, pomiędzy poręczami, stali bark w bark kardynał i prałat. Przy kardynale dostrzegł brytyjskiego konsula Baxtera, a obok prałata pannę Malone. Murphy się uśmiechnął. Takie ustawienie nie miało wiele wspólnego z wymogami protokołu, ale w ten sposób trudniej było im rzucić się sobie do gardeł.

W luźnym szyku naokoło grupy kardynała stali księża, zakonnice i dobrodziej Kościoła. Murphy zauważył przynajmniej dwóch ludzi będących prawdopodobnie tajnymi agentami policji. Po drugiej stronie alei chłopcy i dziewczęta wspięli się na postument posągu Atlasa i podawali sobie butelki. Oczy Murphy'ego przyciągnęła znajoma twarz: przed posągiem opierając ręce na policyjnej barierce, stał Patrick Burke. Mężczyzna górował nad otaczającymi ludźmi i zdawał się dziwnie niewzruszony obecnością falującego, zgniatającego go tłumy na chodniku. Murphy uświadomił sobie, że obecność Burke'a działa na niego uspokajająco, choć nie znał powodu swego niepokoju.

Kardynał obrócił głowę w stronę Harolda Baxtera i odezwał się głosem, w którym brzmiała neutralna, dyplomatyczna nuta:

– Zostanie pan z nami przez cały dzień, panie Baxter?

Baxter odwykł już od nazywania go „panem”, lecz nie przypuszczał, by tkwił w tym jakiś ukryty sens. Odwrócił się, by odpowiedzieć na spojrzenie kardynała.

– Jeżeli tylko mogę, Wasza Eminencjo.

– Będzie to dla nas przyjemność.

– Dziękuję. – Nadal spoglądał na kardynała, który zwrócił się teraz w inną stronę. Mimo podeszłego wieku jego oczy pozostały bystre. Baxter odchrząknął. – Proszę mi wybaczyć, Wasza Eminencjo, ale pomyślałem, że być może powinienem stanąć odrobinę dalej od centrum uwagi.

Kardynał odpowiedział, machając jednocześnie jakimś ludziami w tłumie.

– Panie Baxter, to pan jest dzisiaj w centrum uwagi. Pan i panna Malone. Ten nasz mały pokaz przyciągnął uwagę komentatorów politycznych. Jest, jak to się teraz nazywa, wart swoich pięciu minut. Wszyscy uwielbiają takie precedensy, takie zrywanie z przeszłością. – Uśmiechnął się szeroko do Baxtera. – Jeśli odsunie się pan o cal, w Belfaście, Dublinie, Londynie i Waszyngtonie będą wrywać sobie włosy z głowy. – Obrócił się z powrotem do tłumów, obdarowując je gestem radosnego wymachiwania i jednocześnie błogosławieństwa.

– Tak, oczywiście. Nie brałem pod uwagę aspektu politycznego, lecz jedynie sprawy bezpieczeństwa. Nie chciałbym być przyczyną czyjejkolwiek rany czy...

– Bóg czuwa nad nami, panie Baxter, a komisarz Dwyer zapewnił mnie, że Departament Policji robi to samo.

– I jedno, i drugie podnosi na duchu. Rozmawiał pan z nim ostatnio? To znaczy, z komisarzem Dwyerem?

Kardynał obdarzył Baxtera uśmiechem zdradzającym, że zrozumiał ten żarcik, ale nie uznaje go za zabawny. Baxter wytrzymał przez moment spojrzenie kardynała, potem się odwrócił.

Burke obserwował schody. W pobliżu katedry zauważył swego przyjaciela, ojca Murphy'ego. To musi być dziwne życie dla mężczyzny, pomyślał. Celibat. Ta ojcowska i matczyzna troska prałatów i matek przełożonych. To bycie wiecznym chłopcem. Matka Burke'a również pragnęła tego. Ksiądz w rodzinie stanowił dla Irlandczyków najwyższy symbol statusu, lecz on zamiast spełnić marzenie matki, został gliną. W starej dzielnicy było to prawie równie dobre, i nikt nie był tym rozczarowany, a już najmniej on sam.

Zobaczył, że prałat uśmiecha się i rozmawia z byłą bojowniczką IRA. Burke przyjrzał się jej. Była ładna, co dostrzegł nawet z tej odległości. Prawie jak anioł. Jej jasne włosy falowały na wietrze i co chwila musiała odgarniać kosmyki z twarzy.

Burke pomyślał, że gdyby był Haroldem Baxterem albo Maureen Malone, nigdy nie zjawiłby się na tych schodach, a już na pewno nie razem. A gdyby był kardynałem, zaprosiłby ich wczoraj, kiedy mogliby dzielić schody z obojętnymi gołębiami, bezdomnymi staruszkami i alkoholikami. Nie wiedział, czym pomysłem było to wystawienie czerwonej płachty tuż przed nosem irlandzkich buntowników, ale jeżeli rezultatem tego miał być pokój, ktoś poważnie pomylił się w obliczeniach.

Maureen Malone nigdy nie widziała tak wielu ludzi. Na całej długości alei amerykańskie i irlandzkie flagi powiewały na masztach zamocowanych na budynkach z szarego kamienia. Grupa przed British Empire Building wymachiwała wielkim zielonym transparentem, na którym Maureen odczytała znajome słowa: ANGLICY, WYNOŚCIE SIĘ Z IRLANDII. Margaret Singer powiedziała jej, że będzie to jedyny slogan o treści politycznej, jaki zobaczy, jedyny zatwierdzony przez wielkiego mistrza ceremonii, który zastrzegł sobie też, by

transparenty wykonano estetycznie, z białym liternictwem na zielonym tle. Policja miała pozwolenie na odebranie jakiegokolwiek innego transparentu. Miała nadzieję, że Baxter to widzi; nie wyobrażała sobie, aby mógł to przeoczyć. Odwróciła się do prałata Downesa.

– Ci wszyscy ludzie z pewnością nie są Irlandczykami.

Prałat Downes się uśmiechnął.

– U nas, w Nowym Jorku, mówi się, że w Dniu Świętego Patryka wszyscy są Irlandczykami.

Nagle Maureen usłyszała rosnący hałas dobiegający z tłumu i odwróciła głowę w kierunku zamieszania. Grupa mężczyzn i kobiet, w sumie około piętnastu osób, rozwinęła zielony transparent z napisem: OFIARY BRYTYJSKIEGO INTERNOWANIA I TORTUR. Wśród nich rozpoznała przyjaciela swojej siostry.

Oddział konnej policji z opuszczonymi pleksiglasowymi przyłbicami i długimi pałkami wzniesionymi nad głowami pogalopował aleją na południe. Od strony północnej części katedry, z Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy, wyjechał z hukiem policyjny motocykl, mijając wóz dowodzenia, i skręcił w Piątą Aleję.

Mężczyzna ze wzmacniaczem zaczął krzyczeć:

– Long Kesh! Więzienie Armagh! Więzienie Crumlin Road! Obozy koncentracyjne! Baxter, ty sukinsynie! Maureen Malone, zdrajczynie!

Maureen obróciła się, wyczuwając poruszenie obok siebie. Ochrona poprowadziła kardynała i prałata Downesa w górę schodów. Baxter stał sztywno na baczność, spoglądając prosto przed siebie. Wiedziała, że wycelowane w niego kamery rejestrują każdy jego ruch, każdą oznakę uczuć, gniewu czy strachu. Ale reporterzy marnowali jedynie swój czas. Ten człowiek był Brytyjczykiem. Przypomniała sobie, że kamery skierowane są także i w jej stronę, odwróciła się więc i spojrzała na ulicę. Transparent był już zwinięty, a połowę demonstrantów pochwyliła już policja. Pozostali przedarli się przez zapory i zbliżali ku schodom, gdzie oczekiwał na nich, niemalże z nonszalancją, szereg konnych policjantów.

Maureen potrząsnęła głową. Historia jej ludu: nieprzerwane próby dokonania niewykonalnego kończące się odkryciem, że jest to rzeczywiście niewykonalne.

Maureen przyglądała się jak zauroczona, jak jeden z ostatnich stojących jeszcze mężczyzn machnął ręką i cisnął coś w kierunku schodów. Jej serce zamarło na moment. Obserwowała to coś mknące przez powietrze. Wydawało się zawisnąć na sekundę, potem powoli opadło w dół, a słońce odbijało się od niego, uniemożliwiając rozpoznanie.

– O, Boże.

Miała się rzucić na ziemię, lecz kątem oka dostrzegła Baxtera. Nie drgnął mu ani jeden mięsień i, czy w jego stronę zmierzał goździk czy też bomba, zachowywał się tak, jakby nie obchodziło go to. Niechętnie się wyprostowała. Bezpośrednio za sobą usłyszała dźwięk rozpryskującej się na granitowych schodach butelki i oczekiwała na huk eksplodującej benzyny lub nitrogliceryny. Rozległ się jednak tylko zdławiony okrzyk tłumu, a potem wokół

niej zapanował bezruch. Zielona farba z rozbitej butelki opryskała ludzi stojących najbliżej miejsca jej upadku. Nogi Maureen zaczęły drżeć z ulgi i nagle zaschło jej w ustach.

Baxter odwrócił głowę i spojrzał na nią.

– Czy to należy do tradycji?

Nie potrafiła wydusić z siebie żadnego słowa, więc tylko popatrzyła na niego. Baxter podszedł do niej. Ich ramiona się zetknęły. Jej odruchem było cofnąć się, ale nie uczyniła tego. Baxter obrócił lekko głowę.

– Będzie pani stała obok mnie przez resztę tego wszystkiego?

Zwróciła spojrzenie w jego kierunku. Migawki kamer stukały wokół nich. Odparła cicho:

– Sądzę, że w tym tłumie jest ktoś, kto zamierza mnie dzisiaj zabić.

Nie zareagował w żaden zauważalny sposób na tę informację.

– Cóż, w tym tłumie jest prawdopodobnie kilku ludzi chcących zabić i mnie... Obiecuję, że nie zasłonię pani własnym ciałem, jeśli pani obieca to samo.

Pozwoliła sobie na uśmiech.

– Myślę, że co do tego możemy się zgodzić.

Burke stał nieruchomo, podczas gdy tłum rozpychał się i falował dookoła niego. Zerknął na zegarek. Cały incydent trwał zaledwie dwie minuty. Przez moment sądził, że to jest właśnie to, ale w ciągu paru sekund pojął, że to nie fenianie. Policjanci na stopniach zareagowali szybko, ale niezdecydowanie w obliczu zacierzewionego tłumu. Gdyby ta butelka była bombą, trzeba by teraz wycierać coś więcej niż tylko zieloną farbę.

Burke pociągnął długi łyk ze swojego termosu i rozważył to, co wiedział o fenianach. Ferguson powiedział, że byli weteranami, ale ceniącymi życie, na pewno nie fanatykami o skłonnościach samobójczych. Jakakolwiek by nie była ich misja, najprawdopodobniej zamierzali po wszystkim uciec, a to, pomyślał Burke, czyniło ich misję trudniejszą, a jego zadanie odrobinę łatwiejszym. Miał taką nadzieję.

Pułkownik Logan uspokajał Pata i Mike'a zdenerwowanych okrzykami tłumu. Wyprostował się i spojrzał na zegar na kolumnie. Minuta po dwunastej.

– O, cholera! – Zwrócił się do majora Cole'a: – Zaczynajcie tę pierdoloną paradę!

– Tak jest! – Adiutant odwrócił się do Barry'ego Dugana, policjanta, który od dwudziestu pięciu lat dmuchał w zielony gwizdek, rozpoczynając paradę. – Dugan! Do roboty!

Dugan przytknął gwizdek do ust, napełnił płuca i zagwizdał najdłużej i najgłośniej w swej dotychczasowej karierze.

Pułkownik Logan zajął pozycję na przedzie formacji i uniósł ramię. Sześć przecnic naprzód dostrzegł masę reporterów i błękitnych mundurów kłębiących się przy policyjnej furgonetce. Ci by się nie spieszyli, gdyby pozostawiono im wolną rękę. Przypomniawszy sobie

gaelickie²⁰ motto swojego regimentu: Fahg Ah Baile – Z drogi! Opuścił rękę i spojrzał przez prawe ramię.

– Na-aprzód, marsz!

Regiment ruszył równym krokiem.

Wojskowa orkiestra zagrała „The Garryowen” i dwieście dwudziesta trzecia parada Dnia Świętego Patryka się rozpoczęła.

Burke przeszedł przez Aleję do krawężnika przed katedrą i stanął przy barierkach. Sześćdziesiąty Dziewiąty Pułk dochodził już na wysokość katedry i pułkownik okrzykiem zatrzymał regiment w miejscu. Dzień wcześniej kardynał wspomniał dziennikarzom, że jego ulubioną melodią jest „Danny Boy”, i wojskowy kapelmistrz uznał to za rozkaz, gdyż orkiestra zaczęła teraz grać tę słodką, rytmiczną piosenkę. Ludzie na stopniach i w tłumie zaczęli spontanicznie śpiewać. Trudno było Irlandczykowi, pomyślał Burke, nie zareagować na tę muzykę, zwłaszcza po kilku głębszych.

*Och, Danny mój, to kobzy, kobzy grają,
W dolinach wszystkich i na zboczach gór.
Lato już przeszło, róże umierają,
Ty odejść musisz, a ja czekać znów.*

Dygnitarze i ich świta wspięli się po schodach: marszałkowie formacji, burmistrz Kline, gubernator Doyle, senatorowie, kongresmani, wszyscy liczący się politycy stanowi i wielu innych o ogólnokrajowym znaczeniu. Przeszli przez lukę w barierach, po wąskim, zielonym dywanie, i przedstawili się kardynałowi, a potem zgodnie z wymogami protokołu szybko odeszli.

*Wrócisz, gdy łąki lato rozpromieni,
Lub kiedy śnieg pokryje kotlin gąszcz.
Ja będę tu, wśród blasku czy wśród cieni,
Och, Danny mój, kocham, kocham ciebie wciąż.*

Maureen poczuła podniecenie, wyostrenie percepcji wiodące ku strachowi, ku obawie. Wszyscy się uśmiechali i kłamali, całując kardynalski pierścień, ściskając jej rękę, rękę pralata, rękę Baxtera. Ręce i szerokie uśmiechy. Amerykanie mieli fantastyczne zęby. Zauważyła kilku stalowookich mężczyzn o twarzach z cieniem tłumionego niepokoju, który, była pewna, widniał i na jej twarzy. Na dole, przy przejściu przez barierki, rozpoznała widzianego w Waldorfie porucznika Burke’a. Przeszywał wzrokiem każdą zbliżającą się

²⁰ Gaelicki – język celtyckich mieszkańców Irlandii (*przyp. tłum.*).

osobę, jak gdyby wszyscy oni byli krwawymi nożownikami, a nie ważnymi obywatelami. To dodało jej nieco otuchy.

Wokół niej tłum nadal śpiewał, starając się przypomnieć sobie słowa, a kiedy było to niemożliwe, nucąc w rytm fletów i rogów wojskowej orkiestry:

*Lecz gdy powrócisz, a kwiaty więdnąc będą,
Gdy martwa będę, a tak stać się może.
Czy znajdziesz miejsce mego snu wiecznego,
Przyklekniesz, modlitwę na mym grobie złożysz?*

Maureen potrząsnęła głową. Cóż za typowa ponura irlandzka pieśń. Cieleśna miłość zakończona nie spełnieniem, lecz śmiercią i stratą. Spróbowała skierować swe myśli ku innym rzeczom, lecz nachalne słowa ballady przypominały jej o własnym życiu – o jej tragicznej miłości. Danny był Brianem, tak jak Danny był kochankiem każdej irlandzkiej dziewczyny.

*A ja usłyszę, choć ciche, twoje kroki,
I grób mój słodszy, cieplejszy się stanie,
Gdy ty się schylisz i powiesz, że mnie kochasz,
I spać będę w pokoju, aż minie czas rozstania.*

Burke obserwował odmaszerowujący Sześćdziesiąty Dziewiąty. Kiedy ostatni oddział minął katedrę, odetchnął z ulgą. Potencjalne cele znów były rozproszone – na stopniach, poruszając się w małych grupach wokół pułku, niektórzy w limuzynach jadących Park Avenue ku trybunie honorowej, inni w drodze do domu lub na lotniska.

Za Sześćdziesiątym Dziewiątym maszerowali w równym szyku pułkowi weterani w cywilnych ubraniach. Po nich szły kobzy i bębny Policyjnego Szmaragdowego Towarzystwa, irlandzkie spódniczki wirowały, kobzy jęczały, a bębny dudniły w wojowniczym rytmie. Na czele jednostki maszerował jej długoletni dowódca, Finbar Devine. Uniósł swą masywną buławę i, gdy mijali katedrę, polecił kobziarzom zagrać „Danny Boy”. Burke się uśmiechnął. Sto dziewięćdziesiąt sześć maszerujących orkiestr grać będzie dzisiaj dla kardynała „Danny Boy” – taka była połączona potęga prasy i przypadkowej uwagi kardynała. Nim minie ten dzień, Jego Eminencja pożałuje, że kiedykolwiek usłyszał tę piosenkę, i będzie się żarliwie modlić, by nie usłyszeć jej więcej do końca swego życia.

Burke przyłączył się do ostatniego szeregu weteranów. Kolejnym prawdopodobnym miejscem, gdzie mogły się zacząć kłopoty, była trybuna na Sześćdziesiątej Czwartej Ulicy. Tam cele znów będą skupione niczym dojrzały owoc, a w Dniu Świętego Patryka najszybszym sposobem przedostania się do centrum miasta było dołączenie do parady.

Central Park wypełniony był ludźmi stojącymi na wzgórkach i skałach. Niektórzy siedzieli nawet w koronach drzew.

Pułkownik Logan wiedział, że dołączyły się do nich tysiące maszerujących. Czuł elektryzujący dreszcz przebiegający przez jego pułk, a ogarniający również otaczający go tłum i podążających za nim ludzi, dopóki ostatnie oddziały weteranów IRA nie złapały tempa i nastroju. Wyziębieni i zmęczeni w gasnącym świetle starzy żołnierze będą trzymać wysoko głowy, mijając widzów, o tej porze też już wymiętych, zmęczonych i pijanych.

Logan obserwował polityków, którzy opuścili paradę i skierowali się ku trybunom, by zająć swoje miejsca. Gdy mijali trybuny, wydał zwyczajowy rozkaz: Na lewo patrz! i zasalutował, oddychając teraz spokojniej, skoro funkcja jego jednostki jako eskorty została zakończona.

Burke opuścił formację parady na Sześćdziesiątej Czwartej Ulicy, precyzyjnie się przez tłum i tylnymi drzwiami wszedł do furgonetki policyjnego ruchomego punktu dowodzenia. Telewizor nastawiony był na program informacyjny WPIX transmitujący przebieg parady. Światelka migwały na konsolach, a trzy radia, każde dostrojone do innego kanału dyspozycyjnego, trzeszczały w półmroku. Kilku mężczyzn zajętych robotą papierkową i obsługujących sprzęt elektroniczny siedziało na niskich stołkach. Burke zauważył sierżanta George'a Byrda z Biura Służb Specjalnych.

– Hej, Wielki Byrd.

Sierżant podniósł wzrok znad radia i uśmiechnął się.

– Patrick Burke, postrach irlandzkich rewolucjonistów, obrońca wiary.

– Zamknij się, George. – Burke zapalił papierosa.

Obaj mężczyźni przysłuchiwali się napływającym bezustannie przez radio raportom z różnych punktów dowodzenia. Posterunek przy kościele prezbiteriańskim na Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy meldował całkowity spokój. Obserwatorzy na dwudziestym piętrze siedziby General Motors donosili, że wszystko jest w porządku. Podobne informacje dotarły z wozu dowodzenia spod katedry. Byrd podniósł słuchawkę radiostacji, zawahał się i powiedział łagodnie:

– Punkt dowodzenia przy Sześćdziesiątej Czwartej. Na trybunach wszystko spokojnie. Koniec. – Odłożył słuchawkę i spojrzał na Burke'a. – Za spokojnie?

– Nie zaczynaj tego gówna. – Burke ujął słuchawkę telefonu i wybrał numer. – Jack?

Jack Ferguson rzucił okiem na zamknięte drzwi sypialni, w której niespokojnym snem spała jego żona, a potem powiedział ściszone głosem:

– Patrick – spojrzał na ścienny zegar w kuchni – jest dwunasta trzydzieści. Miałeś dzwonić do mnie o pełnej godzinie.

– Byłem na paradzie. Co masz?

Ferguson spojrział na notatki nagryzione w notesie leżącym przy telefonie.

– Trudno dziś kogokolwiek znaleźć.

– Wiem o tym, Jack. To dlatego dzisiaj jest właśnie ten dzień.

– Dokładnie. Ale dowiedziałem się, że człowiek nazywany Finnem MacCumaiem zwerbował paru spośród bardziej radykalnych członków bostońskiej Tymczasowej IRA.

– Interesujące. Coś o broni? Materiałach wybuchowych?

– Nie – odparł Ferguson – ale w tym kraju możesz kupić, co tylko chcesz, od pistoletów do czołgów.

– Jeszcze coś?

– Częściowy opis człowieka nazywanego Finnem MacCumaiem: wysoki, szczupły, o ciemnej cerze...

– To mogłaby być moja matka.

– Nosi charakterystyczny pierścień. Ma go zawsze.

– Niezbyt bystre.

– Nie. To pewnego rodzaju amulet. Irlandczycy to przesądne tałatajstwo. Pierścień jest duży, prawdopodobnie antyk albo pamiątka rodzinna. Ponadto, dowiedziałem się czegoś naprawdę ciekawego o tym MacCumailu. To jedynie plotka... ale najwyraźniej został raz schwytany i być może nakłoniony do współpracy przez brytyjski wywiad.

– Poczekaj.

Burke próbował uporządkować swe myśli. Nie po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że na mieście toczy się dzisiaj więcej niż tylko jedna gra. Tam, gdzie miał miejsce irlandzki spisek, bez wątpienia towarzyszył mu i spisek brytyjski. Po ośmiuset latach prawie nieprzerwanych zmagani dwaj przeciwnicy zostali jakby połączeni nierozzerwalnie w dziwnym związku, którego przeznaczeniem było trwać wiecznie. Jeżeli irlandzka wojna przenosiła się do Ameryki, musieli się tu zjawić i Anglicy, by stawić jej czoło. To obecność majora Bartholomew Martina, znacznie bardziej niż wszystkie informacje od Fergusona razem wzięte, sygnalizowała zbliżającą się bitwę. Martin wiedział więcej, niż się do tego przyznawał. Burke powiedział do słuchawki:

– Masz coś jeszcze?

– Nie... mam zamiar teraz trochę się pokręcić po okolicy. Zostawię wiadomości u Langleya w Police Plaza, jeżeli cokolwiek wypłynie na wierzch. Spotkamy się w zoo o czwartej trzydziści, o ile nic się do tego czasu nie wydarzy.

– Czas ucieka, Jack – powiedział Burke.

– Zrobię, co się da, by uniknąć przemocy. Ale ty musisz potraktować tych chłopaków łagodnie, jeśli ich znajdziesz. To bracia.

– Taak... bracia... – Burke odłożył słuchawkę i odwrócił się do Byrda: – Jeden z moich informatorów. Dziwny, mały facet uwikłany pomiędzy swoją wrodzoną przyzwoitością i radykalne poglądy polityczne. Zobaczymy się później.

Wyszedł z furgonetki i stanął w tłumie na rogu Sześćdziesiątej Czwartej Ulicy. Przyglądał się gęsto wypełnionym ludźmi trybunom po drugiej stronie Piątej Alei. Jeżeli zaczną się jakieś kłopoty, musi to być tutaj. Inne ewentualne cele podsunęte przez Martina – banki, konsulaty, biura linii lotniczych, symbole rządów w Londynie, Dublinie i Belfaście – były niczym w porównaniu z tymi trybunami wypełnionymi amerykańskimi, brytyjskimi, irlandzkimi i innymi VIP-ami.

Katedra również była atrakcyjnym celem. Lecz żadna irlandzka grupa nie zaatakowałaby katedry. Nawet Oficjalna IRA Fergusona – złożona głównie z niegroźnych już marksistów i ateistów – nie brałaby tego miejsca pod uwagę. „Tymczasowi” byli niebezpieczni, ale ich większość stanowili katolicy. Jaki inny naród mógłby mieć w swoich szeregach pokojowo nastawionych czerwonych i ciskających bombami katolików?

Burke przetarł zmęczone oczy. Tak, jeżeli miało do czegoś dzisiaj dojść, wydarzy się to właśnie tutaj.

Terri O’Neal leżała na łóżku. Na ekranie telewizora przesuwały się obrazy z parady.

Dan Morgan siedział przy oknie i patrzył w dół Sześćdziesiątej Czwartej Ulicy. Wysoki mężczyzna w cywilnym ubraniu wyszedł z policyjnej furgonetki. Gdy tamten zapalił papierosa i zaczął się przyglądać ulicy, omiatając wzrokiem jeden budynek po drugim, Morgan obdarzył go dłuższym spojrzeniem. Koniec końców policja, FBI, może nawet CIA i brytyjski wywiad zaczną się do nich dobierać. To było do przewidzenia. Irlandczycy mieli tradycję zwaną „donoś i zdradzaj”. Bez tej negatywnej cechy narodowego charakteru pozbyliby się Anglików setki lat temu. Ale tym razem miało być inaczej. MacCumail nie był człowiekiem, którego można było zdradzić. Fenianie stanowili grupę związaną mocniej niż starożytne klany, połączoną wspólnym wielkim bólem i wspólną wielką nienawiścią.

Zadzwoił telefon. Morgan przeszedł do salonu, zamknął za sobą drzwi i podniósł słuchawkę.

– Tak?

Posłuchał głosu Finna MacCumaila, potem odłożył słuchawkę i jednym pchnięciem otworzył drzwi. Spojrzał na Terri O’Neal. Zabicie kobiety nie było rzeczą łatwą, ale MacCumail nie prosił go o nic, czego on sam by nie zrobił. Maureen Malone i Terri O’Neal. Nie łączyło ich nic oprócz pochodzenia i faktu, że żadna nie miała więcej niż pięćdziesiąt procent szans na ujrzenie następnego świtu.

Burke spacerował Trzecią Aleją, zatrzymując się po drodze w irlandzkich pubach. Chodniki były wypełnione świętującymi, którzy zgodnie z tradycją wędrowali od jednego baru do drugiego. Na oknach większości sklepów i restauracji były przyklejone papierowe koniczynki i harfy. Istniało stare powiedzenie, że w Dniu Świętego Patryka Irlandczycy

maszerują przez Piątą Aleję oraz zataczają się po Trzeciej. Burke dostrzegł paru lekko chwiejących się już ludzi.

Podszedł do P.J. Clarke'a na Pięćdziesiątej Piątej Ulicy, starego dziewiętnastowiecznego zabytku z cegły, oszczędzonego przez ekipy rozbiórkowe i wbudowanego w otaczający go niebotyczny budynek – siedzibę banku Marine Midland – przypominający czarny kalkulator firmy Sony ze zbyt dużą liczbą przycisków. W zatłoczonym barze zamówił piwo i rozejrzał się w poszukiwaniu znajomych twarzy, informatora, starego przyjaciela, kogoś, kto był mu winien przysługę, ale nikogo nie znalazł. Tego popołudnia brakowało zbyt wielu znajomych twarzy.

Przepchnął się z powrotem na ulicę i wciągnął w płuca zimny północny wiatr, oczyszczając mózg z oparów alkoholu. Potem poszedł dalej, zatrzymując się przy każdym barze i sklepie, których właścicielem był Irlandczyk. Zatrzymywał się też przy kolejnych grupach ludzi stojących i rozmawiających na chodniku. Jego myśli mknęły szybko i nieświadomie zwiększył tempo, by dotrzymać kroku przemierzającym się potokom ludzi. Ten dzień zaczął się dziwnie i każde wydarzenie, każda rozmowa wzmagała jeszcze to uczucie nierealności.

Burke spojrzął na złote litery na szybie P.J. Donleavy'ego, małego, niepozornego pubu przy Czterdziestej Siódmej Ulicy. Donleavy był kolejną meliną quasi-członków IRA i barowych patriotów. Od czasu do czasu zjawiał się tam prawdziwy bojownik zza oceanu i łatwo było go rozpoznać, gdyż taki przybysz rzadko stał przy barze, a częściej siadał samotnie przy stoliku. Ci ludzie zawsze byli bladzi – wpływ wiecznych mgieł Irlandii, a może czasu spędzonego na internowaniu. Nowy Jork i Boston były dla nich miejscami azylu, pełnymi irlandzkiej kultury, irlandzkich pubów, Irlandczyków bez gelignitu.

Burke wszedł do środka i wepchnął się pomiędzy dwóch ludzi rozmawiających przy barze. Na chwilę powrócił do swego irlandzkiego akcentu:

– Postawić wam jednego, panowie? Barman, kolejkę tutaj! – Odwrócił się do mężczyzny po lewej stronie, młodego robotnika, który wyglądał na rozszoszczonego. Burke się uśmiechnął. – Mam spotkać się z przyjaciółmi w P.J., ale nie pamiętam, czy mówili o P.J. Clarke'u, P.J. O'Harze, P.J. Moriartym, P.J. O'Rourke'u czy o tym. Cholernie głupio z mojej strony albo z ich. – Zjawilo się piwo i Burke zapłacił za nie. – Znacie może Kevina Michaela albo Jima Malloya albo Liama Connelly'ego? Widzieliście ich dzisiaj? Człowiek po prawej ręce Burke'a odezwał się:

– Interesująca lista nazwisk. Jeżeli ich szukasz, możesz być pewien, że oni znajdą ciebie.

Burke popatrzył mężczyźnie w oczy.

– Na to właśnie liczę.

Mężczyzna odwzajemnił spojrzenie, ale nic nie powiedział. Jego oddech i ubranie przesiąknięte były gorzkim zapachem piwa.

– Szukam też Johna Hickeya.

Żaden z nich się nie odezwał. Burke pociągnął długi łyk i odstawił szklanke.

– Dziękuję, panowie. Idę teraz do Green Derby. Do widzenia.

Odwrócił się i skierował w stronę wyjścia. Ukośnie ustawione lustro ukazało dwóch ludzi i barmana skupionych przy kontuarze i przyglądających się, jak wychodzi.

Powtarzał tę historyjkę albo jakąś do niej podobną w każdym barze, który uznał za obiecujący. Zamawiał whisky, piwo i gorącą kawę, a w jednym z pubów zjadł kanapkę i od razu poczuł się lepiej. Przechodził wielokrotnie przez Trzecią Aleję, posuwając się na południe. Wszędzie pozostawiał informację o swoim kolejnym przystanku i na każdym rogu zatrzymywał się, czekając na odgłos kroków na chłodnym betonie, wahający się i cichnący za jego plecami. Zarzucał wędkę, używając siebie jako przynęty, ale tego dnia nikt nie chciał się na nią połakomić.

Burke przyspieszył kroku. Czas uciekał. Zerknął na zegarek: było już po czwartej, a o wpół do piątej musiał być w zoo. Zatrzymał się przy budce telefonicznej.

– Langley? Potrzebuję pięć setek dla Fergusonsona.

– Później. Nie po to dzwonisz.

Burke zapalił papierosa.

– Co wiesz o majorze Bartholomew Martinie?

Po drugiej stronie zapadła długa cisza, wreszcie Langley odpowiedział:

– Aaa, chodzi ci o tego faceta z brytyjskiego wywiadu. Nie przejmuj się nim.

– Dlaczego?

– Bo ja tak mówię. – Langley przerwał na moment. – To bardzo skomplikowane... CIA...

– Opowiesz mi o tym któregoś dnia. Masz coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć?

– FBI wreszcie zdecydowało się coś nam przekazać – oznajmił Langley. – Odkryli zakup broni w New Jersey. Tuzin karabinów M-16, parę karabinów snajperskich, pistolety i plastikowe materiały wybuchowe. Ponadto kilka tych jednorazowych wyrzutni rakietowych z zapasów armii.

– Jeszcze jakieś szczegóły?

– Jedynie to, że kupcy mieli irlandzki akcent i nie organizowali przerzutu do Irlandii, jak to się zwykle robi.

– Brzmi złowieszczo.

– Dobrze sobie. Na co oni czekają?

– Nie wiem. Do końca parady została nie więcej niż godzina. Broń powinna nam wskazać rodzaj tej operacji.

– Martin sądzi, że mają zamiar obrabować jakiś brytyjski bank w rejonie Wall Street. Komisarz policji skierował tam detektywów i policjantów – powiedział Langley.

– Dlaczego mieliby przyjeżdżać tutaj tylko po to, by obrobić brytyjski bank? Oni czegoś chcą... czegoś, co dostać mogą jedynie tutaj.

– Może. – Langley przerwał. – Nie robimy żadnych postępów, prawda?

– Zbyt wiele celów. Zbyt długi odcinek plaży do obrony. Napastnicy zawsze mają inicjatywę.

– Zapamiętam ten tekst, kiedy będę stał przed komisarzem.

Burke spojrział na zegarek.

– Muszę się spotkać z Fergusonem. To moja ostatnia karta.

Odwiesił słuchawkę, wyszedł na Trzecią Aleję i zatrzymał taksówkę.

Burke przeszedł przez otwartą bramę obok Arsenału. W świetle dnia zoo wyglądało mniej ponuro. Zegar Delacorte wskazywał czwartą trzydzieści. Metalowe mały na wieży zegara ożyły nagle, okrążyły dzwon ze wzniesionymi młotkami i uderzyły weń. Gdy przebrzmiał ostatni gong, rozległy się dźwięki „MacNamara Band”.

Burke znalazł Fergusona w kawiarence na tarasie przy małym stoliku, z twarzą ukrytą za „New York Timesem”. Znad dwóch plastikowych filiżanek z herbatą unosiły się kłęby pary. Burke usiadł i wziął jedną z filiżanek.

Ferguson opuścił gazetę.

– Cóż, na ulicy mówi się, że zostanie obrabowany jeden z większych brytyjskich banków w rejonie Wall Street.

– Kto ci to powiedział?

Ferguson nie odpowiedział. Burke popatrzył na zoo, przyglądając się mężczyznom na ławkach, potem obrócił się z powrotem do Fergusona i zmierzył go ostrym spojrzeniem.

– Major Martin – stwierdził Burke – jest kimś, kogo określa się mianem agent provocateur²¹. Nie wiem jeszcze, do czego zmierza. Ale uważam, że wie więcej, niż mówi któremukolwiek z nas. – Rozgniół papierosa w popielniczce. – W porządku, zapomnij o tym, co ci powiedział major Martin. Powiedz mi, co ty myślisz. Czas...

Ferguson postawił kołnierz płaszcza dla osłony przed wzmagającym się wiatrem.

– Wiem wszystko o czasie. Jest rzeczą bardzo względną. Kiedy okulawiają cię w nowym stylu, używając wiertarki elektrycznej zamiast pocisku, czas płynie bardzo wolno. Jeżeli chcesz dowiedzieć się czegoś przed zmierzchem, umyka szybko. Gdybyś przyszedł dziesięć minut za wcześnie, a nie za późno, być może miałbyś czas, by coś zrobić.

– Z czym?

Ferguson przechylił się przez stolik.

– Wróciłem właśnie z katedry. John Hickey, który nie był w kościele od czasu, gdy obrabował Świętego Patryka w Dublinie, spał w pierwszej ławce. Staruch ma teraz brodę, ale i tak go rozpoznałem.

– Dalej.

²¹ Agent provocateur – człowiek zatrudniony przez rząd lub policję danego państwa w celu prowokowania przestępców do działania, tak by można było ich pojmać (*przyp. tłum.*).

– Msza o czwartej wkrótce się skończy i tysiące ludzi wyleją się z katedry. Koniec pracy dla większości obywateli to także piąta.

– Zgadza się. Nazywamy to godziną szczytu.

– Teraz maszerują hrabstwa i weterani IRA. Obie grupy są w cywilnych ubraniach i są wśród nich ludzie, którzy nie znają innych w obu oddziałach. Każdy może przeniknąć w ich szeregi.

– Słucham cię, ale się pośpiesz.

– Muszę zapoznać cię z moimi przemyśleniami, tak byś mógł wydedukować...

– Dalej.

– W porządku. Policjanci są zmęczeni. Niektóre jednostki kończą służbę. Tłum jest podniecony, podпиты.

– Wiem o tym.

– Wypadki w nieunikniony sposób zmierzają ku swemu zakończeniu. Nadciągająca burza rozpocznie się lada moment.

– Tylko bez poezji, proszę.

– Finn MacCumail to Brian Flynn. Zanim Maureen Malone zdezerterowała z IRA, ona i Brian Flynn byli kochankami.

Burke się podniósł.

– On poluje na nią.

– Taki szaleńczy wyczyn to coś, do czego mógłby być zdolny człowiek zwący się Finnem MacCumaiem, wodzem fenian.

– W katedrze?

– Gdzie lepiej? Irlandczycy kochają widowiska, wspaniałe gesty. Nieważne czy wygrają, czy nie. Irlandia na zawsze zapamięta swych męczenników i bohaterów za ich styl, a nie sukces czy też jego brak. A więc, kto będzie mógł zapomnieć wskrzeszonego Finna MacCumaila i jego fenian, jeżeli porwą albo zabiją jego niewierną kochankę w katedrze Świętego Patryka w Nowym Jorku w Dniu Świętego Patryka? Nie, to nie zostanie tak szybko zapomniane.

Myśli gnały przez umysł Burke'a.

– Nie wierzyłem, by mogli uderzyć w katedrę... ale to zgadza, się z faktami...

– Do cholery z faktami. To zgadza się z ich mentalnością. Zgadza się z historią, z przeznaczeniem, z...

– Pierdolić historię. – Burke zerwał się i skierował ku schodom prowadzącym z tarasu. – I pierdolić przeznaczenie, Jack. – Pognał ścieżką wiodącą ku Piątej Alei.

Ferguson zawołał za nim:

– Za późno! Za późno!

Terri O'Neal przyglądała się na ekranie maszerującym weteranom IRA. Ujęcie z Sześćdziesiątej Czwartej Ulicy zastąpił obraz z dachu Centrum Rockefellera. Oddział hrabstwa Tyrone przechodził przed katedrą i kamera wykonała zbliżenie. Twarz jej ojca wypełniła nagle ekran i komentator, który go rozpoznał, zrobił mimochodem jakąś uwagę. Przesunęła dłonią po twarzy, gdy ogrom tego, co miało się przydarzyć – jej, jemu, wszystkim – dotarł wreszcie do jej świadomości.

– Och, nie... Tato! Nie pozwól, by uszło im to na sucho...

Dan Morgan spojrzał na nią.

– Nawet gdyby mógł cię usłyszeć, nie jest teraz w stanie nic zrobić.

Zadzwonił telefon i Morgan przeszedł do salonu, by go odebrać.

– Tak, gotowy na wszystko.

Odłożył słuchawkę, spojrzał na zegarek i zaczął odliczać sześćdziesiąt sekund, przechodząc do sypialni.

Terri O'Neal oderwała wzrok od telewizora i spojrzała na niego.

– To już to?

Rzucił przelotne spojrzenie na przesuwającą się po ekranie paradę, potem na nią.

– Tak. I niech Bóg ma nas w opiece, jeżeli coś źle wyliczyliśmy...

– Niech Bóg ma was w swojej opiece, tak czy owak.

Morgan wszedł do sypialni, otworzył boczną szybę wykuszowego okna i pomachał flagą z zieloną koniczynką.

Brendan O'Connor, stojący wśród tłumu na Piątej Alei, podniósł wzrok i ujrzał flagę z koniczynką powiewającą z okna na Sześćdziesiątej Czwartej Ulicy. Wziął głęboki oddech i przesunął się za trybuny, gdzie pod czujnymi spojrzeniami policjantów przemierzali się piesi uczestnicy parady. Zapalił papierosa i przyglądał się, jak dym dryfuje na południe ponad jego ramieniem. O'Connor sięgnął prawą ręką do kieszeni swojego prochowca, zsunął gumkę z rączki granatu z już wyciągniętą zawleczką i przytrzymał go kciukiem. Przesuwając się przez ciasno stłoczony tłum, przepchnął granat przez rozcięcie w kieszeni i pozwolił mu upaść na chodnik. Poczuł, jak w kostkę uderza go odskakujący wyzwalacz detonatora. Następnie powtórzył tę procedurę z granatem w lewej kieszeni.

Siedmiosekundowe zapalniki zadziałały jeden po drugim. Pierwszy granat, zawierający gaz dusząco-łzawiący, zasyczał cicho. Drugi, rodzaj świecy dymnej, zaczął emitować olbrzymie, zielone chmury posuwające się ku południowi, w stronę trybun. Brendan O'Connor szedł dalej. Gdy gaz wzniósł się na wysokość twarzy, usłyszał za sobą okrzyki zdumienia, a później przerażenia i paniki. Przesunął się przez tłum ku trybunom. Z kieszeni wypuścił cztery kolejne pojemniki, zanurkował w przejście w kamiennym murze i zniknął w parku.

Burke przesadził niskie kamienne ogrodzenie Central Parku i wpadł w tłum. Kłęby zielonego dymu płynęły nad trybunami w jego stronę i zanim jeszcze go dosięgły, oczy zaczęły mu łzawić. Cholera! Przyłożył do twarzy chustkę i wybiegł na Aleję, lecz maszerujących ogarnęła już panika i znalazł się w samym środku zamieszania. Transparent niesiony przez jednostkę upadł na jezdnię i Burke dostrzegł go przelotnie pod nogami biegnących ludzi. WETERANI IRLANDZKIEJ ARMII REPUBLIKAŃSKIEJ Z BELFASTU. Przedzierając się na drugą stronę Alei, Burke spostrzegł, że w tłumie jest mnóstwo agitatorów i zawodowych podjudzaczy, jak ich nazywał. Dobrze zaplanowane, pomyślał, dobrze wykonane.

James Sweeney oparł się plecami o słup lampy ulicznej na Sześćdziesiątej Czwartej Ulicy, walcząc z napierającymi nań ludźmi, by utrzymać tę pozycję. Jego ręce sięgnęły przez kieszenie długiego trencza i uchwyciły zawieszony u pasa przegubowe szczypce do prętów o długiej rękojeści. Opuścił poły płaszcza, zakrywając kable biegnące do wozu dowodzenia, po czym przeciął wpierw połączenie telefoniczne, a następnie przewody energetyczne u podstawy lampy. Sweeney zrobił trzy kroki w głąb falującego tłumu i wpuścił szczypce przez kratkę ściekową. Potem dał się ponieść masie maszerujących i widzów, przemieszczającej się w górę Sześćdziesiątej Czwartej Ulicy, byle dalej od alei i dławiącego gazu.

We wnętrzu wozu dowodzenia cztery telefony ogłuchły nagle. Wszystkie światła w furgonetce zgasły sekundę później. Jeden z operatorów spojrzał na cień sylwetki George'a Byrda na tle małego bocznego okienka.

– Telefony wysiadły!

Byrd przycisnął twarz do szyby i spojrzał na podstawę lampy ulicznej.

– Chryste! Sukinsyny! – Odwrócił się i chwycił mikrofon radiostacji, podczas gdy kierowca furgonetki uruchomił silnik i włączył awaryjne zasilanie. – Wszystkie posterunki! – nadał Byrd. – Ruchomy punkt dowodzenia na Sześćdziesiątej Czwartej. Kabel zasilający przecięty. Radiostacja zasilana z generatora. Linie telefoniczne przecięte. Sytuacja niejasna...

Przez drzwi wpadł Burke i wydarł mikrofon z dłoni Byrda.

– Ruchomy na Pięćdziesiątej Pierwszej! Słyszycie mnie?

Drugi wóz dowodzenia, postawiony pod katedrą, odpowiedział:

– Słyszę. U nas cicho. Oddziały konne i na motocyklach kierują się w waszą stronę...

– Nie! Posłuchajcie...

Gdy dziewiętnaście spizowych dzwonów w północnej wieży katedry Świętego Patryka zaczęło wybijać piątą, regulator czasowy na skrzyneczce umieszczonej na belce ponad dzwonami zamknął obwód elektryczny. Szerokozakresowy nadajnik radiowy zaczął zapełniać zakłóceniami cały zakres fal radiowych. Ze swego punktu nadawczego, wysoko nad ulicą, skutecznie zagłuszył wszystkie radiotelefony w centrum miasta.

Wysoki, przenikliwy dźwięk wypełnił słuchawki Burke'a.

– Ruchomy na Pięćdziesiątej Pierwszej! Odbieracie mnie? Akcja będzie miała miejsce w katedrze... – Zakłócenia się wzmogły przybierając formę nieustającego wysokiego pisku. – Ruchomy na Pięćdziesiątej Pierwszej... – Wypuścił mikrofon z ręki i obrócił się do Byrda. – Zagłuszone.

– Słyszę, cholera! – Byrd dopadł radia, przeskakując na inne kanały dowodzenia, lecz wszystkie wypełnione były zakłóceniami. – Skurwiele!

Burke chwycił go za ramię.

– Posłuchaj, wyślij paru ludzi do publicznych telefonów. Niech dzwonią do Police Plaza i na plebanię. Niech oni spróbują przekazać wiadomość policjantom naokoło katedry. Może tamten wóz dowodzenia ma jeszcze łączność telefoniczną.

– Wątpię.

– Powiedz im...

– Wiem, wiem. Słyszałem cię.

Byrd wysłał czterech ludzi z furgonetki. Spojrzał przez boczne okienko na przepływający obok tłum. Przyglądał się przepychającym się ludziom. Obrócił się, by powiedzieć coś Burke'owi, ale jego już nie było.

Na stopniach katedry Maureen przypatrywała się stojącemu przed nią tajniakowi, próbującemu uruchomić swoją krótkofalówkę. Kilku policjantów biegało naokoło, przekazując wiadomości i otrzymując rozkazy. Maureen spostrzegła, że w ich poczynania wdziarać się począł chaos. Policjanci wbiegali i wybiegali z furgonetki zaparkowanej na rogu po jej prawej stronie. Zauważyła gapiów na chodnikach; wydawało się, że otrzymali jakąś wiadomość, która nie dotarła jeszcze do ludzi na schodach. Przez tłum przebiegł szmer i głowy skierowały się na północ, w górę alei, jak gdyby wiadomość przysłała z tamtej strony; jak w dziecięcej zabawie w głuchy telefon. Spojrzała na północ, ale nie dostrzegła niczego niezwykłego poza niespokojnym tłumem. Wtedy zauważyła, że maszerujący ludzie zwolnili kroku. Odwróciła się do Harolda Baxtera i powiedziała cicho:

– Coś jest nie w porządku.

Dzwony wybiły ostatni z pięciu kurantów, potem „Jesienią” rozpoczęły swe tradycyjne hymny z godziny piątej. Baxter skinął głową.

– Proszę mieć oczy otwarte.

Oddział hrabstwa Cork przeszedł wolno przed katedrą, a za nim oddział hrabstwa Mayo dreptał w miejscu; parada wyraźnie traciła tempo. Mistrzowie ceremonii i marszałkowie formacji rozmawiali z policjantami. Maureen dostrzegła, że kardynał wygląda na zirytowanego, lecz nie okazuje widocznego niepokoju z powodu narastającego wokół niego zamieszania.

Urzednicy i sprzedawcy sklepowi zaczęli wylewać się z westybuli Centrum Rockefellera, Wieży Olimpijskiej i otaczających drapaczy chmur na i tak zatłoczone chodniki. Przepychali się, by wydostać się z tego rejonu lub by uzyskać jak najlepszy widok na paradę.

Niespodzianie z tłumu dobiegł głośny okrzyk. Kilkunastu ludzi w czarnych garniturach i melonikach wypadło przez otwarte drzwi Saksa. Nosili białe rękawiczki i jaskrawe pomarańczowe szarfy na piersiach, a większość z nich miała też laski. Odepchnęli policyjne bariery i rozwinęli długi transparent z napisem: NIECH BÓG CHRONI KRÓLOWĄ. ULSTER POZOSTANIE BRYTYJSKI NA WIEKI.

Tłum zaczął wyc i gwizdać. Stary weteran IRA, rozochocony alkoholem, przedarł się przez policyjną barierę na ulicę, pędząc ku „pomarańczowym” i wrzeszcząc:

– Pierdoleni cholerni mordercy! Sukinsyny! Zabiję was!

W tym momencie część wzburzonego tłumu ruszyła z chodników i wbiegła na ulicę zachęcana przez kilku mężczyzn, którzy nagle zaczęli odgrywać role ich przywódców. Do tej czołówki błyskawicznie dołączyły potoki mężczyzn, kobiet i nastolatków, wskutek czego bariery policyjne zaczęły się wywracać na całej długości Alei.

Kilku konnych funkcjonariuszy, którzy nie zostali skierowani w stronę trybun, utworzyło ochronny kordon wokół „pomarańczowych”, a furgonetka policyjna eskortowana przez wozy patrolowe ruszyła im na ratunek Pięćdziesiątą Ulicą. Wszystkie techniki pacyfikacji tłumu, wyuczone w akademii policyjnej i na ulicach, zostały zastosowane w próbie ratowania „pomarańczowych” przed linczem, a i oni sami wydawali się wreszcie dostrzegać grozę swego położenia. Porzucili transparent i przyłączyli się do policji, wywalczając sobie drogę do zapewniającej bezpieczeństwo zbliżającej się furgonetki.

Burke biegł na południe Piątą Aleją, uskakując przed wypełniającymi ulicę widzami i uczestnikami parady. Zadyszany zatrzymał się przed zaparkowanym wozem patrolowym i pokazał swoją odznakę.

– Możecie wezwać ruchomy przy katedrze?

Policjant potrząsnął głową i wskazał na trzeszczące radio.

– Zawieźcie mnie do katedry. Szybko! – Szarpnął za klamkę tylnych drzwi.

Umundurowany sierżant siedzący obok kierowcy wrzasnął:

– Nie ma mowy! Nie przepchniemy się przez tę hołotę. Jeżeli kogoś potrącimy, rozedrą nas na strzępy.

Burke zatrzasnął drzwi i przebiegł przez aleję. Przeskoczył nad murem do Central Parku i pobiegł na południe ścieżką równoległą do alei. Wydostał się z parku na Grand Army Plaza i zaczął się posuwać na południe przez coraz bardziej niesforny tłum. Dotarcie do katedry dziewięć przecznic dalej mogło mu zająć pół godziny. Wiedział, że równoległe aleje, gdyby udało mu się do nich dotrzeć którąś z bocznych ulic, są w nie lepszym stanie. Nie miał szans zdążyć. Niespodziewanie pojawił się przed nim czarny koń. Młoda policjantka o jasnych

włosach wepchniętych pod hełm siedziała biernie na jego grzbiecie. Pognał do niej i pokazał swoją odznakę.

– Burke, z wywiadu. Muszę się dostać do katedry. Czy możesz przepchnąć tę szkapę przez tłum ze mną z tyłu?

Zmierzyła Burke'a wzrokiem.

– To nie jest żadna szkapę, poruczniku, ale jeżeli aż tak się panu spieszy, niech pan wskakuje.

Sięgnęła w dół, wysuwając jedną stopę ze strzemienia.

Burke ujął jej dłoń, włożył stopę w strzemie i wskoczył ciężko na grzbiet konia. Policjantka spięła konia ostrogami.

– Wio! Komisarzu, naprzód!

– Jestem jedynie porucznikiem.

Spojrzała przez ramię, podczas gdy koń zaczął posuwać się do przodu.

– To imię konia, Komisarz.

– Ach. A twoje?

– Policjantka Foster... Betty.

– Ślicznie. Ładne imiona. Ruszajmy.

Wyćwiczony koń policyjny Wraz ze swoim jeźdźcem znajdowali się w swym żywiole, rzucając się w przód, odskakując w bok, wdzierając się w każdą chwilową lukę, rozpraszając grupy ludzi na swojej drodze, nikogo przy tym nie raniąc. Burke trzymał się mocno talii kobiety. Spojrzał w górę i stwierdził, że zbliżają się do skrzyżowania z Pięćdziesiątą Siódmą Ulicą. Wykrzyczał jej do ucha:

– Świetnie tańczysz, Betty. Często tu przychodzisz?

Obróciła głowę i zmierzyła go wzrokiem.

– Byłoby cholernie dobrze, gdyby ta przejażdżka była ważna, poruczniku.

– Jest najważniejsza od czasu przejazdu Paula Revere'a²².

Major Bartholomew Martin stał przy oknie małego pokoju na dziesiątym piętrze British Empire Building w obrębie Centrum Rockefellera. Przypatrywał się przez chwilę zamieszkom trwającym naokoło katedry, a potem odwrócił się ku stojącemu za nim mężczyźnie.

– Cóż, Kruger, wygląda na to, że przyjechali fenianie.

– Ano, choć nie wiem, czy to dobrze, czy źle. – Mężczyzna, Amerykanin, zamilkł, potem zapytał: – Wiedziałaś, że to się zdarzy?

– Niedokładnie. Brian Flynn mi się nie zwierza. Podsunąłem mu parę idei, parę opcji. Jego jedynym ograniczeniem był zakaz atakowania brytyjskiego personelu i własności, na przykład wysadzenia tego budynku. Ale z tymi ludźmi nigdy nie można być pewnym

²² Paul Revere był bostońskim złotnikiem, który ostrzegł amerykańską milicję obywatelską o zbliżaniu się korpusu brytyjskiego do arsenału w Concord; to doprowadziło do starcia pod Lexington (19.04.1775 r.) i wybuchu amerykańskiej wojny o niepodległość (*przyp. tłum.*).

wszystkiego. – Martin wpatrywał się przez chwilę przed siebie, a potem odezwał się martwym głosem: – Widzisz, Kruger, kiedy wreszcie dopadłem tego skurwiela w Belfaście ostatniej zimy, był rozbitym człowiekiem zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Pragnął jedynie, bym go szybko zabił. I zapewniam cię, że bardzo chciałem spełnić jego życzenie, ale potem przemyślałem to dokładnie. Odwróciłem go, jak to nazywamy, wycelowałem w stronę Ameryki i spuściłem ze smyczy. Niebezpieczna zabawa, wiem o tym, tak jak łapanie tygrysa za ogon. Ale myślę, że się opłacała.

Kruger patrzył na niego przez długi czas, a potem powiedział:

– Mam nadzieję, że poprawnie oceniliśmy reakcję amerykańskiego społeczeństwa.

Martin się uśmiechnął, popijając nieco brandy z piersiówki.

– Jeżeli amerykańskie społeczeństwo miało do wczoraj mieszane uczucia wobec problemu Irlandii, dzisiaj już tak nie jest. – Spojrzał na Krugera. – Jestem pewien, że trochę pomoże to twojej służbie.

– A jeżeli nie pomoże – odpowiedział Kruger – będziesz nam winien przysługę. Prawdę mówiąc, chciałem pomówić z tobą o czymś, co planujemy w Hongkongu.

– Ach, intryga. Tak, tak. Z przyjemnością o tym usłyszę. Ale później. Baw się paradą. – Otworzył okno i dźwięk tłuczonych szyb, syren policyjnych i głosów tysięcy ludzi wypełnił pokoi. – Erin go bragh, jak mówią.

Maureen poczuła dotknięcie na ramieniu. Obróciła się i ujrzała mężczyznę trzymającego odznakę przed jej oczyma.

– Biuro Służb Specjalnych, panno Malone. Część tłumu kieruje swoją uwagę w tę stronę. Musimy zaprowadzić panią do katedry. Panie Baxter, pana także. Proszę za nami.

Baxter popatrzył na tłum kłębiący się na ulicy oraz na kordon policjantów splecionych ramionami, ustawiony na krawężniku.

– Sądzę, że na razie jesteśmy tutaj całkowicie bezpieczni.

– Sir, musicie państwo stąd odejść dla bezpieczeństwa pozostałych ludzi na schodach – odpowiedział funkcjonariusz BSS. – Proszę...

– Tak, tak. Rozumiem. W porządku. Panno Malone, on ma rację.

Maureen i Baxter obrócili się i wspięli po stopniach. Maureen dostrzegła czerwone szaty liturgiczne kardynała, wchodzącego po zatłoczonych schodach przed nimi, osłanianego po bokach przez dwóch ludzi.

Inni funkcjonariusze BSS krążyli wokół prałata i jego kościelnej świty, pilnie przypatrując się tłumowi. Dwaj spośród nich zauważyło, że nieznanymi ludziami wyprowadzają kardynała, Malone i Baxtera, i ruszyli za nimi, przepychając się ku portalom. Gdy dotarli na najwyższy stopień, dwaj księża wsunęli się za nich i ludzie z BSS poczuli coś twardego przyciśniętego do ich pleców.

– Ani kroku – powiedział ściszym głosem jeden z księży – albo wywalimy wam dziury na wylot między łopatkami.

Policjanci w wozie dowodzenia obok katedry utracili łączność radiową, gdy zakłócenia wypełniły wszystkie częstotliwości, ale nadal raportowali przez telefon. Nagle pędząca Pięćdziesiątą Pierwszą Ulicą karetka skręciła i uderzyła w bok wozu dowodzenia. Furgonetka wystrzeliła do przodu i kable łączące ją z lampą uliczną poprzerywały się. Kierowcy karetki opuścili swój pojazd i zniknęli w zatłoczonym westybulu Wieży Olimpijskiej.

Maureen, Baxter i kardynał szli obok siebie głównym przejściem pomiędzy ławkami zatłoczonej katedry. Dwaj mężczyźni podążali za nimi, a dwaj inni z przodu nadawali tempo. Maureen spostrzegła, że na ambonie jest ojciec Murphy, a drugi ksiądz klęczy przy balaskach. W miarę zbliżania do klęczącego zaczęła sobie uświadamiać, że jest w nim coś znajomego.

Kardynał odwrócił się i spojrzał ku wyjściu, a potem zapytał swoją eskortę:

– Gdzie jest prałat Downes? Dlaczego innych nie ma z nami?

Jeden z mężczyzn odpowiedział:

– Zaraz dołączy. Proszę się nie zatrzymywać, Wasza Eminencjo.

Ojciec Murphy starał się kontynuować mszę, ale krzyki i syreny na zewnątrz ponownie go rozproszyły. Spojrzał ponad więcej niż dwoma tysiącami wiernych w ławkach i bocznych nawach i jego wzrok przykuł błysk czerwieni w głównym przejściu. Wpatrzył się w niepokojący widok kardynała kroczącego ku ołtarzowi, z Malone i Baxterem po bokach, eskortowanego przez ochroniarzy. Myśl, że na zewnątrz dzieje się coś, co może zepsuć ten wspaniały dzień, zdenerwowała go. Zapomniał, w którym miejscu przerwał mszę, i powiedział gwałtownie:

– Msza skończona. Odejdźcie w pokoju. Nie – dodał pospiesznie. – Poczekajcie. Zostańcie, dopóki nie dowiemy się, co się dzieje. Zostańcie, proszę, na swoich miejscach.

Potem się odwrócił. Wysoki ksiądz, który klęczał przy balaskach, stał teraz na najwyższym stopniu schodów ambony. Rozpoznał te głębokie, zielone oczy i, o dziwo, nie był zaskoczony tym, że widzi go ponownie. Odchrząknął:

– Tak?

Brian Flynn wysunął pistolet spod czarnego płaszcza, trzymając go przy sobie.

– Cofnij się.

Murphy wziął głęboki oddech.

– Kim pan, do diabła, jest?

– Nowym arcybiskupem. – Flynn odepchnął Murphy'ego w tył ambony i ujął mikrofon. Spojrzał na zbliżającego się do ołtarza kardynała, a potem przemówił do wiernych wciąż stojących w ławkach: – Panie i panowie – zaczął starannie wyważonym głosem – czy mogę prosić o uwagę...

Maureen zatrzymała się gwałtownie na otwartej przestrzeni kilka stóp od balustrady okalającej prezbiterium. Spojrzała ku ambonie porażona widokiem tej wysokiej, ciemnej sylwetki stojącej tam w słabym świetle. Człowiek za nią popchnął ją do przodu. Powoli odwróciła się do niego.

– Kim jesteś?

Mężczyzna pokazał zatknięty za pas pistolet.

– Nie policjantem, możesz być pewna. – Nowojorski akcent zniknął, zastąpiony lekkim irlandzkim zaśpiewem. – Nie zatrzymuj się. Ty też, Baxter. I Wasza Eminencja.

Jeden z ludzi przed nimi otworzył furtkę do prezbiterium i odwrócił się.

– Wchodźcie.

Patrick Burke, niepewnie usadowiony na koniu, spoglądał nad głowami tłumu. Dwie przecznice w przdzie widział olbrzymie zamieszanie, gorsze jeszcze niż to dookoła niego. Witryny sklepu Cartier i Gucci były wybite, jak większość okien wzdłuż alei. Umundurowani policjanci stali przed wystawami wielu sklepów, ale nie dochodziło do plądrowania, miała miejsce jedynie ta dziwna mieszanina bijatyki i balowania, którą Irlandczycy z czułością nazywają donnybrook²³. Burke mógł już dostrzec katedrę i oczywiście było, że cokolwiek wyzwoliło ten chaos, rozpoczęło się właśnie tam. Tłum wokół nich składał się z paradujących oddziałów, które zdołały utrzymać się razem, wymieniając między sobą butelki i śpiewając. Orkiestra dęta grała „East Side, West Side” wspierana chórem entuzjastycznych głosów. Policjantka przynagliła konia ostrogami. Gdy minęli ostatnią przecznicę przed katedrą, tłum zgęstniał do tego stopnia, że przepychali się przezeń z wielkim trudem. Ludzie przycisnęli się do nóg jeźdźców, potem odsunęli, gdy koń jeszcze raz rzucił się w przód.

– Pchaj dalej! Jedź dalej! – ponaglał Burke.

– O Boże, ależ tu ciasno! – zawołała policjantka.

Ściągnęła wodze i koń stanął dęba. Tłum rozproszył się, a ona wjechała w powstałą lukę i powtórzyła ten manewr.

Burke poczuł, jak żołądek podjeżdża mu do gardła, i z trudem złapał oddech.

– Świetnie! Świetnie! Doskonała robota!

– Jak daleko mam dojechać?

– Aż Komisarz uklęknie przed ołtarzem!

Brian Flynn odczekał, aż kardynał i pozostali byli już bezpieczni przy głównym ołtarzu, i powiedział do mikrofonu:

– Panie i panowie, mamy mały pożar w piwnicy. Proszę zachować spokój. Opuśćcie szybko katedrę wszystkimi wyjściami, również głównymi wrotami.

²³ Donnybrook – określenie to pochodzi od słynnego irlandzkiego jarmarku, odbywającego się corocznie do 1855 roku w Donnybrook, wslawionego bijatykami i hulankami (*przyp. tłum.*).

Wierni wydali stłumiony okrzyk, a paru mężczyzn rozproszonych po katedrze zaczęło wołać:

– Pali się! Pali się! Uciekajcie!

Ławki opróżniły się szybko i przejścia wypełniły się ludźmi przepychającymi się ku drzwiom. Padały stosy świec wotywnych, rozsypując się i łamiąc na podłodze. Księgarnia niedaleko południowej wieży opustoszała i pierwsza fala ludzi wypełniła kruchty, przelała się przez troje frontowych drzwi i wypłynęła przed kościół.

Widzowie na schodach nagle poczuli, że spychani są przez morze ludzi wydostających się przez portale, a potem zmiotani wzdłuż chodnika przez szeregi policjantów w kłębiący się na Piątej Alei rozhułany tłum.

Prałat Downes próbował walczyć z naporem i przedrzeć się do katedry, ale wylądował na ulicy ściśnięty między masywną kobietą i krępyim policjantem.

Dwaj fałszywi księża wtopili się w poruszającą się ciżbę i zniknęli. Funkcjonariusze BSS odwrócili się i próbowali na nowo wspiąć się na schody, lecz tłum poniósł ich w dół, ku alei.

Policyjne motocykle wywracały się, ludzie wskakiwali na wozy patrolowe, starając się uchronić przed ścisaniem tłumem. Maszerujące jednostki złamały szyk i rozproszyły się w motłochu. Policjanci usiłowali rozstawić kordon, ale bez łączności radiowej ich działania były nieskoordynowane i nieefektywne. Ekipy telewizyjne filmowały wszystko, dopóki nie ogarnął ich napierający tłum.

Inspektor Philip Langley zerknął z pokładu helikoptera dowództwa nowojorskiego Departamentu Policji w ciemniejące kaniony w dole. Obrócił się do zastępcy komisarza policji Rourke'a i wykrzyczał poprzez łomot obracających się śmigieł:

– Myślę, że parada Dnia Świętego Patryka już się skończyła.

Podkomisarz przyglądał mu się przez sekundę, potem spojrzał w dół na ten niewiarygodny widok. Ruch uliczny godzin szczytu zablokowany był na przestrzeni wielu mil, a morze ludzi całkowicie pokrywało jezdnie i chodniki aż do Trzydziestej Czwartej Ulicy na południu i do Siedemdziesiątej Drugiej na północy. Blisko milionowy tłum znajdował się w tej chwili w tym niewielkim fragmencie centrum. Niewiele osób miało w porę dotrzeć do domu na obiad.

– Kupa niezadowolonych obywateli tam w dole, Philipie.

Langley zapalił papierosa.

– Złożę rezygnację jeszcze dziś wieczorem.

Podkomisarz znów spojrzał na niego.

– Mam nadzieję, że znajdziesz kogoś, kto ją przyjmie. – Z powrotem skierował wzrok na ulicę. – Prawie wszyscy wyżsi oficerowie z Departamentu Policji są gdzieś tam, na dole, odcięci od środków łączności, od podległych im ludzi. – Obrócił się do Langleya. – To najgorsze, co mogło się zdarzyć.

Langley pokręcił głową.

– Sądzę, że najgorsze dopiero się zdarzy.

Na skrzyżowaniu z Pięćdziesiątą Ulicą Burke dostrzegł pomarańczowe szarfy ludzi wprowadzanych do furgonetki. Przypomniał sobie irlandzkie powiedzenie: Jeżeli pragniesz widowni, wywołaj bijatykę. Ci „pomarańczowi” pragnęli widowni i wiedział dlaczego. Wiedział też, że wcale nie byli „pomarańczowymi”, lecz bostońskimi „tymczasowymi” zwerbowanymi, by ściągnąć na siebie uwagę – tępi Irole o odwadze większej od inteligencji.

Brian Flynn zszedł z ambony i stanął przed Maureen Malone.

– Minęło tak cholernie wiele czasu, Maureen.

Spojrzała na niego i odpowiedziała równym głosem:

– Nie dość wiele.

Uśmiechnął się.

– Dostałaś moje kwiaty?

– Spuściłam je w kiblu.

– Masz jeden przypięty do sukni.

Zaczerwieniła się.

– A więc w końcu przyjechałeś do Ameryki, Brian.

– Tak. Ale, jak widzisz, na moich warunkach. – Rozejrzał się po katedrze.

Ostatni uczestnicy nabożeństwa tłoczyli się w środkowej kruchcie, próbując przecisnąć się przez brązowe drzwi. Dwaj fenianie, Arthur Nulty ubrany w sutannę i Frank Gallagher w przebraniu mistrza ceremonii, popędzali ich przez drzwi na zewnątrz, na zapchane schody, ale tłum zaczynał wycofywać się do kruchty. Wszystkie inne drzwi były już zamknięte i zaryglowane. Flynn spojrzał na zegarek. Trwało to dłużej, niż zakładał. Odwrócił się z powrotem do Maureen.

– Tak, na moich warunkach. Czy widzisz, co zrobiłem? W ciągu pół godziny ujrzy to i usłyszysz cała Ameryka. Dostarczymy im dobrego irlandzkiego teatru. Lepszego, niż kiedykolwiek zaprezentowało opactwo westminsterskie.

Maureen dostrzegła w jego oczach znajomy błysk triumfu, lecz również strach, którego do tej pory nigdy w nich nie widziała.

Dwaj fenianie, którzy udawali policjantów, obeszlili ołtarz i zeszli po schodach prowadzących do zakrystii. Ze sklepionego przejścia w lewej ścianie zakrystii usłyszeli zbliżające się kroki w korytarzu wiodącym z plebanii. Podniecone głosy dobiegły z podobnego otworu w przeciwległej ścianie, który łączył katedrę z rezydencją kardynała. Fenianie wysunęli wrota z muru, a te zatrzasnęły się z głośnym metalicznym dźwiękiem.

Ludzie w zakrystii spojrzeli w górę. Umundurowany sierżant policji zawołał:

– Hej! Otwórzcie tę bramę! – Ruszył ku schodom.

Fenianie przeciągnęli łańcuch przez ozdobnie kute wrota i wyciągnęli kłódkę.

Sierżant sięgnął po pistolet. Za nim podszedł kolejny funkcjonariusz i zrobił to samo. Fenianie wydawali się nie zwracać uwagi na policjantów i zatrzasnęli masywną kłódkę, spinając końce założonego łańcucha. Jeden z nich podniósł wzrok, uśmiechnął się i zasalutował krótko.

– Przepraszam, chłopaki, ale będziecie musieli iść naokoło.

Obaj fenianie zniknęli na szczycie schodów. Jeden, Pedar Fitzgerald, usiadł przy drzwiach do krypty, skąd mógł widzieć wrota. Drugi, Eamon Farrell, obszedł ołtarz i skinął Flynnowi głową. Flynn po raz pierwszy zwrócił się do Baxtera:

– Sir Harold Baxter?

– Zgadza się.

Flynn przyjrzał się Baxterowi.

– Tak, zabicie pana sprawiłoby mi przyjemność.

– Ludziom pańskiego pokroju zabicie kogokolwiek sprawiłoby przyjemność – odparł Baxter, a jego głos nie zmienił się nawet o jotę.

Flynn odwrócił się i spojrzał na kardynała.

– Wasza Eminencjo. – Skłonił głowę i nie było wiadomo, czy kpi, czy też jest szczerzy. – Nazywam się Finn MacCumail, wódz nowej Armii Feniańskiej. Ten kościół jest teraz mój. To moje Bruidean. Zna pan ten termin? Moje miejsce azylu.

Kardynał wydawał się go nie słyszeć. Nagle zapytał:

– Czy katedra się pali?

– To w znacznym stopniu zależy od tego, co się wydarzy w przeciągu najbliższych paru minut.

Kardynał spojrzał na niego i żaden z mężczyzn nie odwrócił wzroku. Wreszcie kardynał się odezwał:

– Wyjdźcie stąd. Wyjdźcie, póki jeszcze możecie.

– Ja nie mogę i nie chcę.

Flynn spojrzał ku chórowi nad głównym wejściem, gdzie z karabinem w dłoni stał Jack Leary ubrany jak żołnierz z epoki kolonialnej. Oczy Flynna skierowały się w stronę głównych drzwi. Ludzie nadal wypełniali kruchtę, a zgiełk i światło wpadały przez otwarte drzwi. Odwrócił się do ojca Murphy’ego, który stał przy nim.

– Ojciec może odejść. Proszę się pospieszyć, zanim drzwi się zamkną.

Murphy z rozmysłem przeszedł na miejsce u boku kardynała.

– Obaj wychodzimy.

– Nie. Nie, po namyśle sędzę, że może nam się ojciec później do czegoś przydać. – Flynn obrócił się jeszcze raz do Maureen i przysunął do niej. – Wiedziałaś, prawda? Jeszcze zanim dostałaś kwiaty.

– Wiedziałam.

– Świetnie. Nadal znamy się nawzajem. Rozmawialiśmy ze sobą przez lata i przez setki mil, czyż nie tak, Maureen?

Skinęła głową.

Młoda kobieta przebrana za zakonnicej pojawiła się przy balustradzie ołtarza, trzymając duży pistolet. W pierwszej ławce brodaty, stary mężczyzna, pozornie skulony we śnie, powstał, przeciągnął się i stanął za nią. Wszyscy patrzyli, jak wspinają się po schodach do prezbiterium. Stary mężczyzna skinął głową zakładnikom i odezwał się czystym, dźwięcznym głosem:

– Wasza Eminencjo, ojciec Murphy, panno Malone, sir Haroldzie. Jestem John Hickey. – Ukłonił się z przesadną grzecznością. – Jestem poetą, erudytą, żołnierzem i patriotą, tak jak prawdziwi fenianie. Może słyszeliście już o mnie? – Rozejrzał się wokoło i w oczach czterech zakładników odczytał potwierdzenie swojego pytania. – Nie, nie jestem martwy, jak sami dobrze widzicie. Lecz będę martwy, zanim słońce wzejdzie ponownie, mogę się o to założyć. Martwy w dymiących ruinach tej katedry. Będzie to wspinały stos pogrzebowy, stosowny dla człowieka mej rangi. Och, proszę nie spoglądać tak ponuro, kardynale, jest i drugie rozwiązanie... jeżeli wszyscy zachowają się rozsądnie. – Odwrócił się ku stojącej za nim młodej kobiecie. – Mam zaszczyt przedstawić Megan Fitzgerald.

Młoda kobieta nic nie powiedziała, jedynie spojrzała każdemu zakładnikowi w oczy. Jej wzrok spoczął na Maureen i otaksował ją od stóp do głów. Maureen odpowiedziała podobnym spojrzeniem. Wiedziała, że będzie z nimi kobieta. Z Flynnem zawsze była jakaś kobieta. Popatrzyła na twarz Megan: wysokie kości policzkowe, piegowata, o ustach wykrzywionych pogardliwym uśmiechem i oczach, które powinny być piękne, a nie były. Za młoda i z niewielkimi szansami, by się zestarzeć w towarzystwie Briana Flynna. Maureen przypomniała sobie siebie samą sprzed dziesięciu lat. Megan podeszła do niej, nonszalancko wywijając trzymanym w lewej ręce wielkim pistoletem, i przysunęła usta do ucha Maureen.

– Zdajesz sobie sprawę, że szukam tylko pretekstu, by cię zabić?

– Mam nadzieję, że znajdę dość odwagi, by ci go dostarczyć. A wtedy zobaczymy, jak wygląda twoja odwaga.

Ciało Megan zauważalnie zeszywniało. Po kilku sekundach cofnęła się i rozejrzała dookoła, omiatając wszystkich zimnym spojrzeniem. Napotkała wyrażające dezaprobatę spojrzenie Flynna, obróciła się, zeszła od ołtarza i ruszyła nawą główną ku drzwiom.

Flynn obserwował ją, potem spojrzał ku kruchcie. Drzwi nadal były otwarte. Nie przypuszczał, że tłum będzie aż tak liczny. Jeżeli w najbliższym czasie nie zamkną i nie zaryglują tych drzwi, policja przedrze się do środka i dojdzie do strzelaniny. Gdy tak patrzył, Megan weszła do kruchty i uniosła pistolet. Ujrzał błysk i dym wydobywający się z podniesionej lufy jej broni, potem usłyszał huk eksplozji przetaczający się przez obszerną świątynię i odbijający się echem w kryptach i bocznych kaplicach. Krzyk uniósł się ponad

ludźmi w kruchcie i ich plecy przesunęły się w tył, gdy znaleźli nową energię i silny motyw, by przepchnąć się przez tłum blokujący schody.

Flynn przyglądał się, jak Megan ustawia broń w poziomej pozycji i celuje w otwór. Nulty i Gallagher stanęli za drzwiami, naciskając nimi ostatnich uciekających wiernych. Megan opadła na kolano i ustabilizowała pistolet, trzymając go oburącz.

Burke zawołał do policjantki:

– Po schodach! Do drzwi frontowych!

Betty Foster popędziła konia w górę schodów do miejsca, w którym zakręcały ku Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy, przepychając się ukośnie przez tłum ku głównej bramie.

Burke dostrzegł ostatnich uczestników nabożeństwa wybiegających przez drzwi. Koń wyrwał się na otwartą przestrzeń między nimi i portalami. Policjantka zawróciła go i kopnęła w boki.

– Dalej, Komisarzu! W górę! W górę!

Burke wyszarpnął swój służbowy pistolet i zawołał:

– Wyciągnij spluwę! Przez drzwi!

Gdy byli kilka jardów przed portalami, wielkie brązowe ceremonialne wrota – szerokie na szesnaście stóp, wysokie prawie na dwa piętra, a ważące dziesięć tysięcy funtów każde – zaczęły się zamykać. Burke zrozumiał, że popychane są przez niewidocznych ludzi ukrytych za nimi. Rozpostarła się przed nim słabo oświetlona kruchta i dojrzał klęczącą w niej zakonnicę. Za nią olbrzymia, opustoszała katedra rozciągała się na sto jardów w głąb, przez las kamiennych kolumn ku wzniesionemu wyżej prezbiterium, gdzie Burke dostrzegł stojących ludzi. Postać w jaskrawej czerwieni odcinała się od białego marmuru. Drzwi były już na wpół zamknięte, a łeb konia był o jard od otworu. Burke wiedział, że zdążą, lecz wtedy... co?

Nagle widok klęczącej zakonnicy wypełnił jego umysł i wzrok ponownie skoncentrował się na niej. Burke ujrzał, jak z jej wyprostowanego ramienia strzela błysk światła, potem usłyszał głośny, odbijający się echem dźwięk, a po nim ostre chrupnięcie.

Przednie nogi konia ugięły się i zwierzę zważyło się na łeb. Burke dostrzegł, jak Betty Foster wylatuje wyrzucona w powietrze, potem poczuł, że sam leci do przodu. Upadł twarzą na granitowy stopień stopę od drzwi. Poczłogał się ku niewielkiemu otworowi, ale brązowe wrota zetknęły się i zatrzasnęły przed jego nosem. Pomimo ogłuszającego zgiełku usłyszał dźwięk wsuwających się na swoje miejsce rygli. Przetoczył się na plecy i usiadł. Odwrócił się do policjantki, która leżała na schodach z krwawiącym czołem. Dziewczyna powoli usiadła. Burke wstał i wyciągnął do niej rękę, lecz ona podniosła się bez jego pomocy i spojrzała na swego wierzchowca. Z małej rany na piersi Komisarza płynęła krew, spieniona krew sączyła się też z jego otwartego pyska, tworząc parującą kałużę na zimnych kamieniach. Koń spróbował powstać i z powrotem padł niezdarnie na bok. Betty Foster strzeliła mu w głowę.

Przyłożyła dłoń do jego nozdrzy, by się upewnić, że nie żyje, potem schowała rewolwer do kabury. Popatrzyła na Burke'a, ostatnim spojrzeniem obdarzyła swego konia i zeszła powoli po schodach, znikając wśród tłumu gapiów.

Na alei obracające się światła wozów policyjnych rzucały wirujący czerwony i biały blask na ludzi i fasady otaczających budynków. Od czasu do czasu Burke słyszał brzęk tłuczonego okna, ostry gwizdek, przeraźliwy wrzask wybijający się ponad ogólny harmider. Obrócił się, by spojrzeć na katedrę. Do jednego ze skrzydeł jej ceremonialnych wrót z brązu, tuż nad twarzą świętej Elżbiety Seton, przyklejony był kawałek tektury z odręcznie wykonanym napisem. Podeszedł bliżej, by przeczytać go w gasnącym świetle. TA KATEDRA JEST POD KONTROLĄ IRLANDZKIEJ ARMII FENIAŃSKIEJ. Tekst był podpisany: Finn MacCumail.

KSIĘGA CZWARTA

KATEDRA: OBŁĘŻENIE

Przyjaźń, radość i spokój! Gdyby tylko zewnętrzny świat uświadomił sobie cuda tej katedry, nigdy nie byłoby w niej jednej pustej ławki.

Parafianin

Burke stał u wrót katedry z rękoma w kieszeni i papierosem w ustach. Rzadki śnieg z deszczem topił się na zwłokach konia i spływał strużkami na kamienne stopnie. Tłum na okolicznych ulicach nie był jeszcze całkowicie pod kontrolą, ale policja skierowała pozostałe maszerujące oddziały na zachód, przez Szóstą Aleję. Burke słyszał dźwięk werbli i kobz przebijający się przez ryk ciżby. Dwieście dwudziesta trzecia parada Dnia Świętego Patryka trwać będzie dopóty, dopóki ostatni z maszerujących nie dotrze na Osiemdziesiątą Czwartą Ulicę.

Klaksony samochodów odzywały się nieustannie, policyjne gwizdki i syreny wypełniały ten wietrzny, marcowy wieczór. Co za pieprzony bałagan. Burke zastanawiał się, czy ktokolwiek tam w dole wie, że katedra została opanowana przez uzbrojonych ludzi. Spojrzał na zegarek – dochodziło wpół do szóstej. Wiadomości zwykle podawane o szóstej rozpoczną się wcześniej i nie zakończą, dopóki nie będzie po wszystkim.

Przyjrzał się ceremonialnym wrotom z brązu, wsparł się ramieniem i pchnął mocno. Skrzydło poruszyło się nieco, lecz wróciło na swoje miejsce. Po drugiej stronie rozległ się ostry, ostrzegawczy okrzyk. Sprytne sukinsyny. Odbicie katedry z rąk Finna MacCumaila nie będzie rzeczą łatwą. Usłyszał przytłumiony głos dobiegający zza drzwi:

– Odsuńcie się! Zakładamy miny na drzwi!

Burke cofnął się i utkwiał wzrok w masywne wrota, przyglądając się im uważnie po raz pierwszy w ciągu dwudziestu lat. Z prawego skrzydła spoglądała na niego brązowa

płaskorzeźba świętego Patryka trzymającego w jednej dłoni zakrzywioną laskę, w drugiej zaś węża. Na prawo od świętego widniała celtycka harfa, na lewo mityczny feniks, przejęty od pogan, wstający ku nowemu życiu z własnych popiołów. Burke odwrócił się i zaczął schodzić po stopniach.

– W porządku, Finn czy Flynn, czy jakże się sam nazywasz, udało ci się wejść do środka z podniesioną głową, ale z powrotem w ten sposób nie wyjdiesz.

Brian Flynn stał przy balustradzie chóru i przyglądał się ogromowi katedry rozciągającej się na obszarze większym niż boisko do piłki nożnej. Siedemdziesiąt wysokich witraży płonęło w świetle miasta, a dziesiątki żyrandoli rzucały łagodny poblask na ciemne, drewniane ławki. Rzędy granitowych kolumn strzelały ku półkolistemu sklepieniu, niczym wzniesione ramiona wiernych podpierające dom boży. Flynn odwrócił się do Johna Hickeya.

– Zrównanie tego z ziemią wymagałoby nieco roboty.

– Zostaw to mnie, Brian.

– Sprawą pierwszorzędną dla policji jest ten motłoch na zewnątrz – powiedział Flynn. – Zdobyliśmy trochę czasu, by przygotować się do obrony.

Uniósł do oczu polową lornetkę i skierował ją na Megan, która wraz z trzema mężczyznami i dwiema kobietami dokonywała inspekcji zewnętrznych ścian. Kroczyła szybko, ściągając habit zakonnicy i rzucając niedbale na podłogę białe i czarne części ubioru, dopóki nie została jedynie w dzinsach i koszulce z krótkim rękawem, na której wymalowane było wielkie czerwone jabłko i napis: „Kocham Nowy Jork”. Zatrzymała się przy drzwiach prowadzących do północnej nawy poprzecznej, spojrzała w górę ku południowo-wschodniej galerii triforyjnej i krzyknęła głośno.

Frank Gallagher, ubrany w żakiet i prążkowane spodnie mistrza ceremonii, przechylił się przez parapet balkonu i skierował na nią swoją snajperkę, mierząc przez lunetę.

– Kontrola! – zawołał.

Megan podążyła dalej.

Flynn rozwinął plik papierów i położył je na balustradzie chóru. Uderzył w plany katedry otwartą dłonią i stwierdził, jak gdyby dopiero teraz to do niego dotarło:

– Zajęliśmy ją.

Hickey skinął głową i pogładził swoją rzadką brodę.

– Ano, tylko czy potrafimy ją utrzymać? Czy tuzin ludzi jest w stanie obronić ją przed dwudziestoma tysiącami policjantów?

Flynn odwrócił się do Jacka Leary’ego stojącego obok niego przy klawiaturze organów.

– Jesteśmy w stanie ją utrzymać, Jack?

Leary powoli kiwnął głową.

– Dwadzieścia tysięcy czy dwudziestu, mogą wchodzić tylko po kilku naraz. – Poklepał swój zmodyfikowany karabin M-14 z przymocowanym celownikiem optycznym. – Każdy, kto przeżyje miny na drzwiach, będzie martwy, zanim przejdzie trzy kroki.

Flynn spojrział uważnie na Leary'ego. Jack wyglądał komicznie w swoim kolonialnym przebraniu i z pomalowanym na zielono karabinem. Ale w jego oczach i pozbawionej wyrazu twarzy nie było niczego zabawnego. Flynn zerknął przez moment na katedrę i powrócił do planów. Budynek miał kształt krzyża, którego długą belkę stanowiła główna nawa mieszcząca ławki oraz pięć naw bocznych; ramionami były nawy poprzeczne obejmujące dalsze ławki i drzwi na końcu każdego ramienia. Dwie arkadowe galerie triforyjne, długie i mroczne, oparte na kamiennych kolumnach, wznosiły się nad nawą główną, dobiegając do naw poprzecznych. Dwie krótsze galeryjki zaczynały się po drugiej stronie naw poprzecznych i wychodziły na ołtarz. Taki był podstawowy układ budynku, którego należało bronić.

Na zewnątrz, usadowiona na północny wschód od centrum krzyża, na planie znajdowała się pięciopiętrowa plebania. Z katedrą łączyły ją umieszczone częściowo pod ziemią przejścia pod tarasami, których nie uwzględniono na planie. Na południowy wschód od katedry wznosiła się rezydencja kardynała, oddzielona ogrodami i tarasami, z podziemnym dojściem do kościoła. Te nie naniesione na planie połączenia, Flynn dobrze to wiedział, stanowiły słaby punkt w ich obronie.

– Szkoda, że nie mogliśmy zająć również tych dwóch zewnętrznych budynków.

– Następnym razem. – Hickey się uśmiechnął.

Flynn odpowiedział mu uśmiechem. Stary człowiek pozostawał dla niego enigmą. Bez przerwy miotał się między śmiesznością a zdecydowaniem. Flynn wrócił do rysunków. Szczytem krzyża była okrągła konstrukcja zwana apsydą. Tam znajdowała się kaplica Matki Boskiej, ciche, spokojne miejsce z długimi, wąskimi witrażami. Flynn wskazał na plan.

– Kaplica Matki Boskiej nie ma żadnych zewnętrznych połączeń i zdecydowałem, że nikogo tam nie ustawimy, nie możemy sobie na to pozwolić.

Hickey pochylił się nad planami.

– Sprawdzę ukryte przejścia. Kościelna architektura nie byłaby kościelną architekturą, Brian, bez wydrążonych ścian i tajnych drzwi, bez przejść, którymi mógłby hulać Duch Święty, miejsc, skąd księża mogliby wyskoczyć niespodzianie zza twoich pleców i wystraszyć cię jak cholera, szepcząc ci do ucha twoje imię.

Flynn zwrócił uwagę na podwyższony obszar z czarnego i białego marmuru, na planie nazwany jako Sanktuarium Ołtarza. W centrum prezbiterium wznosił się ołtarz główny umieszczony jeszcze wyżej na szerokim marmurowym postumencie. Chłód marmuru i brązu, w które obfitowało to miejsce, łagodziły dywany świeżych, zielonych goździków symbolizujące, jak wyobrażał sobie Flynn, zieloną darń Irlandii, która nie wyglądałaby i nie pachniałaby równie ładnie na ołtarzu.

Po obu bokach prezbiterium stały rzędy drewnianych ławek, przeznaczonych dla księży. W ławkach z prawej strony siedzieli Maureen, Baxter i ojciec Murphy, wszyscy bardzo spokojni. Naprzeciwko zakładników, po drugiej stronie mozaikowej, marmurowej posadzki, na wysokim tronie obitym czerwonym aksamitem siedział kardynał.

– Nie ma azylu w świętym miejscu – skomentował szeptem Flynn.

Leary usłyszał go i powiedział:

– A jednak jest to swego rodzaju azyl. Jeżeli się stamtąd ruszą, zabiję ich.

Flynn jeszcze bardziej przechylił się przez balustradę. Bezpośrednio za ołtarzem znajdowały się schody do zakrystii, niewidoczne z chóru. Na ich podeście siedział Pedar Fitzgerald, brat Megan, trzymając pistolet maszynowy. Fitzgerald był dobrym człowiekiem, człowiekiem, który rozumiał, że te spięte łańcuchem wrota muszą być bronione za wszelką cenę. Miał odwagę swej siostry, lecz pozbawiony był jej dzikości.

– Nadal nie wiemy, czy istnieje jakieś przejście, którym mogą dostać się pod ziemią do krypty i wyleźć za plecami Pedara.

Hickey rzucił szybko okiem na plany.

– Weźmiemy klucze do krypty i innych zamków w tym budynku i przyjrzymy się dobrze całej posiadłości. Potrzebujemy czasu, Brian. Czasu na zwanie szyków. Do cholery z tymi planami, nie są dokładne. I do cholery z tym kościołem. Przypomina sito z marmuru, z większą liczbą dziur i słabych punktów niż opowieść o Zmartwychwstaniu.

Major Bartholomew Martin odłożył swoją lornetkę i powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Cóż, a więc to zrobili. Żadnych ofiar, z wyjątkiem tego pięknego konia. – Zamknął okno, chroniąc się przed zimnym wiatrem i deszczem ze śniegiem. – Burke o mały włos dałby się zabić.

Kruger wzruszył ramionami. Nigdy nie oplacało się przyglądać czemuś takiemu z bliska. Martin założył swój prochowiec.

– Sir Harold był fajnym facetem. Dobrze grał w brydża. W każdym razie, widzi pan, że Flynn nie dotrzymał słowa. Teraz zapragną zabić biednego Harry'ego, gdy tylko rzeczy zaczną się układać nie po ich myśli.

Kruger zerknął przez okno.

– Myślę, że przewidywał pan, iż Baxter zostanie porwany.

Nie planowałem niczego, Kruger. Wskazałem jedynie możliwości i dostarczyłem niezbędne środki. Większość z tego jest dla mnie takim samym zaskoczeniem, jak dla pana i policji. – Rzucił okiem na zegarek. – Mój konsulat będzie mnie szukał, a pana pańscy ludzie. Pamiętaj, Kruger, że najważniejszą cechą dobrego łgarza jest świetna pamięć. Nie zapominaj, o czym nie powinienes wiedzieć, i proszę, pamiętaj to, co wiedzieć powinienes. – Założył rękawiczki i wyszedł.

Megan Fitzgerald skinęła na towarzyszących jej trzech mężczyzn i dwie kobiety i ruszyła szybko ku przodowi katedry. Piątka podążyła za nią, wszyscy obciążeni walizkami, karabinami i wyrzutniami rakiet. W kruchcie północnej wieży wsiedli do małej windy i pojechali do sali prób chóru. Megan przeszła na chór.

Jack Leary stał w kącie, w pewnej odległości od Flynna i Hickeya, ustalając swoje pole ostrzału. Megan odezwała się szorstko:

– Leary, znasz swoje zadania?

Snajper odwrócił się i zmierzył ją wzrokiem. Megan odpowiedziała mu spojrzeniem, zaglądając w jego blade, wodniste oczy. Łagodne oczy, pomyślała, ale wiedziała, że nabierają twardości, gdy karabin wędruje ku jego ramieniu. Oczy, które postrzegały rzeczy nie w płynnym ruchu, lecz jako ciąg nieruchomych obrazów, tak jak obiektyw kamery. Wiele razy widziała, jak trenował. Doskonała koordynacja wzroku i ruchu – „pamięć mięśniowa”, jak nazwał to sam podczas ich jedynej rozmowy. Pamięć mięśniowa – jeden poziom poniżej instynktu, jak gdyby umysł nie brał w tym w ogóle udziału – nerwy wzrokowe i ruchowe omijające umysł, kontrolowane przez jakiś prymitywny kłębek włókien występujący jedynie u prymitywnych żywych organizmów. Pozostali unikali Leary’ego, ale Megan była nim zafascynowana.

– Odpowiedz mi, Leary. Znasz swoje zadania, człowieku?

Niemal niezauważalnie skinął głową. Megan przeszła wzdłuż balustrady i stanęła za Flynnem i Hickeyem. Postawiła telefon polowy na balustradzie i zerknęła na aparat włączony do sieci miejskiej, stojący przy klawiaturze organów.

– Zadzwoń do policji.

Flynn nie oderwał wzroku od planów.

– Oni do nas zadzwonią.

– Radziłbym ci nie denerwować pana Leary’ego – rzekł do niej Hickey. – Wydaje się niezdolny do wyrafinowanego przekomarzania się i jeżeli nie będzie wiedział, co powiedzieć, prawdopodobnie cię zastrzeli.

Megan zerknęła na Leary’ego, a potem powiedziała Hickeyowi:

– My dwoje dobrze się rozumiemy.

– Tak. – Hickey się uśmiechnął. – Dostrzegłem między wami milczące porozumienie, ale czegoż innego można by oczekiwać od człowieka, którego słownictwo ogranicza się do czternastu słów, z których osiem dotyczy karabinów?

Megan wróciła do sali prób, gdzie czekali pozostali, i poprowadziła ich w górę żelaznej klatki schodowej. Piętro wyżej stanęła przed drzwiami i otworzyła je kopniakiem. Długa, nie oświetlona galeryjka triforyjna z kamienia, na którą wychodziły wyloty kanałów wentylacyjnych, biegła wzdłuż północnego boku katedry. Na maszcie flagowym długości około dwudziestu stóp, wystającym spod parapetu nad nawą główną, tkwiła biało-żółta papieska flaga. Megan odwróciła się do Abby Boland, ubranej w krótką spódniczkę i błękitną

bluzkę uczennicy z Liceum Matki Cabrini, o którym żadna z nich nie słyszała do zeszłego tygodnia.

– To twoje stanowisko – powiedziała Megan. – Pamiętaj, rakiety użyj, jeżeli zobaczysz saracena, czy jak ich tutaj nazywają, wjeżdżającego przez główne drzwi. Snajperka do strzałów na dużą odległość, M-16 w razie zmasowanego ataku. Pistolet do bezpośredniej obrony, gdyby weszli tu przez te drzwi z wieży, i do rozwalenia sobie głowy, jeżeli miałybyś na to ochotę. Jakies pytania? Nie ma? – Zmierzyła dziewczynę uważnym spojrzeniem. – Powinnaś była pomyśleć o zabraniu tutaj jakichś rzeczy. Tu na górze będzie w nocy zimno.

Abby Botand zdjęła z ramienia swoje karabiny i położyła je obok rakiety. Zsunęła ciasne buty, rozpięła krępującą ją bluzkę i spojrzała przez celownik snajperki. Przyszło jej na myśl, że zamiast uwolnić swego męża, Jonathana, równie dobrze sama może wylądować w więzieniu, i to po tej stronie Atlantyku, za daleko, by móc spleść palce poprzez drucianą siatkę Long Kesh. Oczywiście równie dobrze może zginąć, co mogłoby być dla nich obojga najlepszym rozwiązaniem.

Megan Fitzgerald szła dalej po schodach dzwonnicy. Skręciła w boczny korytarz, wymacała łańcuch i zapaliła małą żarówkę, rozświetlając fragment obszernego poddasza. Drewniane podesty przebiegały nad gipsowym płaszczem kopulastego sklepienia w dole, ginąc w ciemności. Czwórka ludzi wciąż idących za nią przeszła cicho po podestach, zapalając światła na chłodnym, pachnącym stęchlizną poddaszu.

W górze Megan dostrzegła dziesięć okienek wiodących na pokryty dachówką dach. Na podłodze w niewielkich odstępach umieszczone były małe korby, które opuszczały żyrandole, na wypadek naprawy lub konserwacji. We frontowej, przedniej części poddasza znajdowało się duże, ostro zwieńczone okno. Zewnętrzne kamienne ozdoby katedry częściowo przesłaniały widok, a sadza pokrywała małe szybki. Dłonią wytarła jedną z nich i spojrzała w dół, na Piątą Aleję. Ulica przed katedrą była prawie opustoszała, ale policja nie usunęła jeszcze ludzi z przecznicy. W świetle lamp widać było padający deszcz ze śniegiem, lód gromadził się na barkach Atlasa. Megan zerknęła w górę, na International Building w Centrum Rockefellera bezpośrednio po drugiej stronie ulicy. Dwa boczne skrzydła budynku były niższe niż poddasze katedry, tak że mogła dostrzec ludzi brnących przez marznący śnieg oraz skulonych, siedzących na wielkich, betonowych obejmach ochraniających drzewa. Umundurowani policjanci nie mieli karabinów. Wiedziała, że katedry nie otoczyły jeszcze oddziały SWAT, w Nowym Jorku eufemistycznie nazywane Emergency Services Division²⁴. Nie zauważyła też żadnych żołnierzy i przypomniała sobie, że Amerykanie rzadko ich wykorzystywali. Odwróciła się wgląd poddasza. Pozostali pootwierali walizki i układali stopy świec wotywnych w równych odstępach wzdłuż podestów. Megan zawołała do Jean Kearney i Arthura Nulty'ego:

²⁴ SWAT (Special Weapons Action Teams) – oddziały policyjne w wielkich miastach USA, odpowiadające polskiej brygadzie antyterrorystycznej; Emergency Services Division (ESD) – Wydział Specjalny (*przyj. tłum.*).

– Znajdźcie topory strażackie, wyrąbcie drewno z podestów i ułóżcie stosy wokół świec. Poprzecinajcie węże przeciwpożarowe i przeciągnijcie kabel telefonu! Pospieszcie się z tym. Mullins i Devane, bierzcie siekierki i chodźcie ze mną!

Wycofała się z poddasza tą samą drogą, mając za sobą dwóch mężczyzn, którzy udawali uprzednio ludzi z BSS, i podjęła wspinaczkę w górę dzwonnicy. Mullins taszczył zwój kabla telefonicznego, który rozwijał za sobą, podczas gdy Devane niósł broń i topory.

Arthur Nulty poczęstował Jean Kearney papierosem i zmierzył spojrzeniem jej żółtozielony uniform stewardessy linii Aer Lingus.

– Wyglądasz bardzo seksownie, dziewczyno. Czy bluźnierstwem byłoby zrobić to tutaj, jak myślisz?

– Nie mamy na to czasu.

– Czas to jedyna rzecz, której nam nie brakuje. Chryste, ale tu zimno. Będziemy musieli się jakoś rozgrzać, a skoro picie alkoholu jest zabronione, pozostaje...

– Zobaczymy. Jezu, Arthurze, jeżeli twoja żona... Co będzie z nami, jeśli wydostaniemy ją z Armagh?

Arthur Nulty puścił jej ramię i odwrócił wzrok.

– Cóż... więc... trzymajmy się kolejności. – Podniósł topór i zamachnął nim, roztrzaskując drewnianą balustradę. Oderwał ją od podpierającego słupka i rzucił na stertę świec wotywnych. – To wszystko dookoła to drewno. Z zewnątrz wydaje się jak z kamienia, ale tu na górze wszędzie jest drewno. Nigdy nie myślałem, że będę podpalał kościół. Gdyby ojciec Flannery mnie teraz zobaczył... – Ponownie zamachnął się siekierą. – Jezu, mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Ustąpią, zanim ujrzą, jak płonie ich katedra. Za dwadzieścia cztery godziny twoi bracia będą w Dublinie. Twój staruszek się ucieszy, Jean. Myślał, że już nigdy nie zobaczy chłopców. – Rzucił słupek na stertę drewna. – Megan nazwała je stosami. Czy ona nie wie, że na stosach pali się tylko trupy?

Burke rozstawił policjantów przy wszystkich portalach katedry z ostrzeżeniem, że drzwi są zaminowane, a potem podszedł do zaparkowanego wozu patrolowego.

– Jest już łączność?

– Nie ma, poruczniku. Co się dzieje w środku?

– Siedzą tam uzbrojeni terroryści, a więc nadal odpychajcie tłum. Powiedzcie dowodzącemu oficerowi, żeby rozpoczął tworzenie kordonu.

– Tak jest.

Samochód odjechał prawie całkowicie opustoszałą już Aleją. Burke na powrót wspiął się po schodach katedry i ujrzał policjantkę Betty Foster klęczącą w śniegu przy swoim koniu. Gdy się zbliżył, spojrzała na niego.

– Nadal pan tu jest? Muszę zdjąć siodło. – Odpieła popręg i zaczęła ciągnąć. – Co tam się dzieje, do cholery? Przez pana bym zginęła...

Pomógł jej szarpać za siodło, lecz ono nie dawało się zdjąć.

– Zostaw to tutaj.

– Nie mogę. To własność policji.

– Na całej długości Piątej Alei walają się przedmioty będące własnością policji. – Spojrzał ku dzwonnicy. – W tych wieżyczkach będą wkrótce ludzie, jeśli jeszcze ich tam nie ma. Weźmiesz to później, kiedy zabiorą konia.

Wyprostowała się.

– Biedny Komisarz. Obydwaj.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Komisarz Dwyer umarł na trybunie, na atak serca.

– Jezu Chryste. – Burke usłyszał hałas dobiegający z górującej nad nimi dzwonnicy i zaciągnął Betty Foster pod osłonę frontowych drzwi. – Ktoś jest na górze.

– Zostaje pan tutaj?

– Dopóki sytuacja się nie wyklaruje.

Spojrzała na niego i zapytała:

– Czy jest pan odważny, poruczniku Burke?

– Nie. Po prostu głupi.

– Tak właśnie pomyślałam. – Przerwała i rozejrzała się dookoła. – Będę dziś długo na służbie. Muszę wrócić na Varrick Street, by dosiąść nowego konia.

– Dosiąść? – Osobliwe seksualne skojarzenie przemknęło przez jego mózg. – Ach, w porządku. Trzymaj się ściany. Nie wiem, czy ci ludzie na górze wypatrują celów w błękitnych mundurkach, ale lepiej założyć, że tak.

Zawahała się, potem wysunęła z wnęki, trzymając się blisko ściany.

– Do zobaczenia później. – Po przejściu paru jardów zawołała do niego: – A tak przy okazji, nie wróciłam jedynie po siodło. Chciałam się upewnić, że nic panu nie jest.

Burke odprowadził ją spojrzeniem, póki nie zniknęła za rogiem wieży. Tego ranka ani on, ani Betty Foster nie zwróciliby na siebie nawzajem uwagi. Ale teraz okoliczności działały na ich korzyść – zamieszki, zapach prochu, konie to mocne środki pobudzające, intensywne afrodyzjaki. Spojrzał na zegarek. Ta cisza długo się już nie utrzyma.

Megan Fitzgerald wspięła się do komnaty dzwonów i stanęła, łapiąc oddech i rozglądając się po zimnym pomieszczeniu w słabym świetle pojedynczej żarówki zapalanej przez Flynna. Zagłuszacz Flynna nadal spoczywał na poprzecznej belce, z której zwisały trzy potężne dzwony, każdy z kołem zamachowym i sznurem. Podmuchy chłodnego marcowego wiatru wpadały przez osiem wyposażonych w miedziane żaluzje okien w ścianach oktogonalnej komnaty. Dźwięki policyjnych megafonów i syren dochodziły aż tutaj, na wysokość osiemnastego piętra.

Megan wzięła z rąk Rory'ego Devane'a stalową siekierę i uderzyła nią w jedno z okien, niszcząc żaluzje i wpuszczając do środka światła miasta. Mullins zabrał się do pracy przy pozostałych siedmiu oknach, wyrabując je z kamiennych framug, podczas gdy Devane przykląkł na podłodze i połączył połowy telefon z kablem. Donald Mullins przeniósł się do okna wychodzącego na Piątą Aleję.

– Pamiętaj, Mullins – rozkazała Megan – informuj o wszystkim, co wyda ci się podejrzane. Wypatruj helikopterów. I żadnych strzałów bez rozkazu.

Mullins spojrział na Centrum Rockefellera. Ludzie tłoczyli się przy oknach naprzeciw niego i na dachach w dole, niektórzy wskazywali na strzaskane żaluzje. Na ulicy zapalił się policyjny reflektor, jego biały promień zatoczył łuk i zatrzymał się na nich. Mullins cofnął się, mrużąc oczy.

– Chciałbym skasować ten reflektor.

Megan skinęła głową. Równie dobrze mogą już teraz poznać zasady tej gry. Mullins przyłożył do oka celownik snajperki. Ujrzał postaci poruszające się wokół reflektora. Biorąc głęboki oddech, wycelował starannie i nacisnął spust. Huk karabinu rozległ się w pomieszczeniu niczym eksplozja. Mullins zobaczył czerwone pociski smugowe mknące ku przecznicy w dole. Reflektor zgasł nagle. Do pomieszczenia dotarł głuchy, trzaskający dźwięk, a za nim okrzyki. Mullins cofnął się za załom ściany i wydmuchał nos w chustkę.

– Zimno tu na górze.

Devane usiadł na podłodze i zakręcił korbą telefonu.

– Poddasze, tu dzwonnica. Słyszycie mnie?

Odpowiedział mu wyraźny głos Jean Kearney:

– Słyszemy was, dzwonnica. Co to był za hałas?

– Mullins skasował reflektor – odparł Devane. – Nic poważnego.

– W porządku. Czekać na kontrolę łączności z chórem. Chór, słyszycie dzwonnice i poddasze?

W słuchawce rozległ się głos Johna Hickeya:

– Słyszę was oboje. Łączność nawiązana. Kto, do cholery, pozwolił wam strzelać do reflektora?

Megan wyrwała Devane'owi słuchawkę.

– Ja.

W głosie Hickeya brzmiała nuta sarkazmu i irytacji:

– Ach, Megan, to było retoryczne pytanie, dziewczyno. Znałem na nie odpowiedź. Uważaj na siebie dzisiaj.

Megan odstawiła telefon na podłogę i spojrzała na Devane'a.

– Zejdź na dół i przeciągnij kabel z chóru do południowej wieży, wyrab żaluzje i zajmij tam stanowisko.

Devane podniósł szpulę drutu oraz siekierę i zniknął na schodach.

Megan przesuwiała się od jednego otworu do drugiego. Ściany katedry skąpane były w błękitnej poświacie ustawionych w ogrodzie reflektorów. Na północy masywna, pięćdziesięciodzielnopiętrowa Wieża Olimpijska ukazywała odbicie katedry w swoich przeszklonych ścianach. Na wschodzie okna hotelu Waldorf świeciły na tle czarnego nieba, a na południu wznosiła się bliźniacza wieża katedry, częściowo zasłaniając widok sklepu Saksa przy Piątej Alei. Na jego dachu stali policjanci, kręcąc się w kółko i wymachując ramionami dla rozgrzewki. Na wszystkich okolicznych ulicach tłum był odpychany systematycznie w tył, przecznica za przecznicą, i opustoszały teren naokoło katedry się powiększał.

Megan spojrzała znowu na Mullinsa chuchającego w dłonie. Jego młodzieńcza twarz była zaróżowiona z zimna, a wargi nabierały błękitnawego odcienia. Podeszła do drabiny w centrum pomieszczenia.

– Zachowuj czujność.

Mullins przyglądał się, jak Megan znika w otworze, i nagle poczuł się samotny. Suka, pomyślał. Nie była wiele starsza od niego, ale jej ruchy, jej głos przypominały starą kobietę. Utraciła swą młodość we wszystkim oprócz twarzy i ciała. Mullins rozejrzał się po swoim odosobnionym punkcie obserwacyjnym, potem zerknął na Piątą Aleję. Odczepił od pasa zwiniętą flagę, przywiązał ją do resztek żaluzji i pozwolił rozwinąć się wzdłuż wieży. Wiatr sprawiał, że uderzała o szary marmur oświetlana przez reflektory.

Na ulicach i dachach budynków reporterzy i wciąż obecni w okolicy cywile wydali okrzyk. Kilka osób zaczęło wiwatować, kilka biło brawo. Rozległy się też pojedyncze, szydercze gwizdy.

Mullins przysłuchiwał się temu, potem cofnął głowę do wnętrza katedry i starł śnieg z twarzy. Zadziwił się z lękiem, jak to możliwe, że znajduje się w dzwonnicy katedry Świętego Patryka z karabinem w dłoni, ale potem przypomniał sobie bomby i odgłosy strzelaniny wstrząsające nocami Belfastem, od kiedy był jeszcze dzieckiem, i zrozumiał, że każda droga, którą by wybrał, zaprowadziłaby go tutaj lub w inne podobne miejsce.

Burke spojrzał na zieloną flagę z wyhaftowaną złotą irlandzką harfą zwisającą z okna dzwonnicy i dostrzegł stojącego w otworze człowieka z karabinem. Policjanci odtaczali zniszczony reflektor w najbliższą przecznicę. Ludzie stali się bardziej skorzy do współpracy, dochodząc do wniosku, że ktoś, kto potrafi wyłączyć reflektor z odległości dwustu jardów, jest w stanie z równą łatwością zniszczyć i ich. Burke wsunął się we wnękę drzwiową dzwonnicy i odezwał do stojącego tam policjanta:

– Poczekamy tu jeszcze przez chwilę. Ten facet na górze wciąż jedzie na adrenalinie.

– Znam to uczucie.

Burke wyjrzał na schody. Śnieg zabarwił na biało zielony dywan, a zielone goździki, plastikowe kapelusiki i papierowe pompony zaśmiecały schody, chodniki i jezdnię. Na

skrzyżowaniu z Pięćdziesiątą Ulicą leżał na boku wielki bęben lambeg²⁵ porzucony przez „pomarańczowych”. Czarne meloniki oraz jaskrawe, pomarańczowe szarfy poruszane wiatrem przesuwwały się wolno na południe. Z budynków Centrum Rockefellera kamerzyści skrupulatnie rejestrowali wszystko na taśmie filmowej. Burke wyobraził sobie, w jakiej formie pojawi się to w telewizji. Ujęcia z bliska pokazujące śmietnisko, melonik toczący się po ośnieżonej ulicy. Komentarz, głęboki, dźwięczny: „Dzisiaj odwieczna wojna pomiędzy Anglikami i Irlandczykami przeniosła się na Piątą Aleję...” Irlandczycy zawsze potrafili dostarczyć dobrego widowiska.

Brian Flynn wychylił się przez balustradę chóru i odezwał do Hickeya, wskazując ręką:

– Jako że nie możemy dostrzec zewnętrznych drzwi zakrystii ani drzwi windy, teoretycznie policja może poradzić sobie z minami i alarmem. Wtedy mielibyśmy policjantów zgromadzonych w tej małej zakrystii.

Leary, który zdawał się słyszeć wszystko na wielką odległość, zawołał z drugiego końca chóru:

– I jeżeli tylko wystawią głowy do ambitu, roz...

– Dziękujemy panu, panie Leary! – odrzyknął Hickey. – Boże wszechmogący, skądżeś wytrzasnął tego potwora? Będę się bał podrapać po tyłku tam na dole.

Flynn odpowiedział mu cicho:

– Tak, ma dobry wzrok i słuch.

– Amerykanin, prawda?

– Irlandzkiego pochodzenia. Snajper piechoty morskiej w Wietnamie.

– Czy on wie, po co tu jest? Czy on w ogóle wie, gdzie on jest?

– Jest na półce wychodzącej na strefę wolnego ognia. To wszystko, co wie i co go obchodzi. Za swoje usługi jest sownie opłacany. Poza mną i tobą jest jedynym fenianinem nie mającym żadnego krewnego w brytyjskim więzieniu. Nie chciałem mieć tu na górze kogoś związanego z nami emocjonalnie. Będzie zabijał zgodnie z rozkazami, zabije każdego, kogo mu wskażę, a jeżeli zostaniemy zaatakowani i pokonani, zabije wszystkich, którzy przeżyją, jeśli będzie w stanie to zrobić. Jest aniołem śmierci, kostuchą i sądem ostatniej instancji.

– Czy wszyscy o tym wiedzą?

– Nie.

Hickey uśmiechnął się na wpół bezzębny uśmiechem.

– Nie doceniałem cię, Brian.

– Zgadza się. Idźmy dalej. Zakrystia arcybiskupia to problem, lecz tylko jeden z wielu...

– Szkoda, że nie zabrałeś więcej ludzi.

²⁵ Bęben lambeg – wielki bęben, w który biją „pomarańczowi” każdego 12 lipca na pamiątkę zwycięstwa protestanckiego króla Wilhelma III nad katolickim Jamesem II w bitwie nad rzeką Boyne w 1690 roku (*przyp. tłum.*).

Flynn odpowiedział z odrobiną niecierpliwości:

– Otrzymujemy dużą pomoc z zewnątrz, ale ilu ludzi gotowych wejść do środka i umrzeć mogłem według ciebie znaleźć?

Przez twarz starego mężczyzny przesunął się cień zamyślenia.

– W Dublinie, w drugi dzień Wielkanocy tysiąc dziewięćset szesnastego roku, znalazłbyś wielu porządnym mężczyzn i kobiet. Więcej, niż mogły pomieścić oblężone budynki. – Oczy Hickeya spoczęły na katedrze pod nimi. – Wtedy nie brakowało ochotników. Ani wiary! Jakąż wiarę wtedy mieliśmy! W pierwszych dniach pierwszej wojny światowej, jakiś czas przed powstaniem wielkanocnym, mój brat służył w armii angielskiej. Wielu irlandzkich chłopaków tam było. I nadal jest. Słyszałeś o „aniołach z Mons”? Nie? A więc, mój brat był z Brytyjskim Korpusem Ekspedycyjnym we Francji i właśnie mieli zostać unicestwieni przez przeważające siły niemieckie. Wtedy, w miejscu zwanym Mons, pojawił się hufiec anielski i stanął pomiędzy nimi i Niemcami. Rzecz oczywista, Niemcy uciekli w popłochu. Wszystko było w gazetach z tamtego czasu. I ludzie w to wierzyli, Brian. Wierzyli, że armia brytyjska otrzymała błogosławieństwo od Boga, że On sam posłał swych aniołów, by stanęły po ich stronie przeciw wrogom.

Flynn spojrzał na niego.

– Brzmi jak przypadek zbiorowej halucynacji zrozpaczonych ludzi. Kiedy zaczniemy widzieć anioły tutaj, będziemy wiedzieli, że już jest po nas, i... – urwał nagle.

Przez ułamek sekundy przypomniał sobie opactwo Whitethorn.

– O co chodzi, chłopcze?

– O nic. Myślę, że nie powinno się wątpić w interwencję istot boskich. Opowiem ci o tym jutro.

Hickey zachichotał.

– Jeżeli jutro będziesz w stanie opowiedzieć mi to, uwierzę ci.

Flynn odparł z wymuszonym uśmiechem:

– Być może opowiem ci to w zupełnie innym miejscu.

– W takim wypadku uwierzę ci bez wahania.

Megan Fitzgerald stanęła za plecami George’a Sullivana zakładającego ostatnią minę na drzwi południowego transeptu.

– Gotowe?

Sullivan okręcił się gwałtownie.

– Jezu, nie rób tego, Megan, kiedy pracuję z materiałami wybuchowymi.

Popatrzyła na Sullivana ubranego we wspaniałą kraciatą spódniczkę kobziarza ze Szmaragdowego Towarzystwa nowojorskiej policji.

– Bierz swój sprzęt i chodź za mną. Weź swoją kobzę.

Poprowadziła go do małych drzwi w rogu nawy. Weszli po spiralnych schodach na długą południową galerijkę triforyjną. Maszt z flagą amerykańską był skierowany ku fladze papieskiej po drugiej stronie katedry. Megan zerknęła w lewo, na widniejący w dole chór i popatrzyła na Flynna i Hickeya rozmyślających nad planami niczym dwaj generałowie w przeddzień bitwy. Dziwne wydało się jej, że ci tak odmienni mężczyźni znajdują ze sobą wspólny język. Pomysł, by John Hickey przyłączył się do nich w ostatnim momencie, nie podobał się jej, ale pozostali uważali, że potrzebują starego bohatera dla dodania sobie wiarygodności, nawiązania do tradycji 1916 roku, tak jakby obecność Hickeya mogła uczynić z nich kogoś innego niż banitów, którymi wszyscy byli.

Ona nie widziała potrzeby podkreślania związków z przeszłością. Jej świat ukształtował się w 1973 roku, kiedy wracając ze szkoły do domu, ujrzała pierwsze ofiary zamachu bombowego w śródmieściu Belfastu, a nabrał celu i znaczenia, kiedy jej starszy brat Tommy został ranny i pojmany, próbując uwolnić Sheilę Malone. Odległa przeszłość nie istniała, tak samo jak i bliska przyszłość. Jej osobiste wspomnienia stanowiły jedyną historię, która ją obchodziła.

Przyglądała się gestykulującemu i wskazującemu coś dłonią Flynnowi. Nie wydawał się dalece różnić od starego mężczyzny u jego boku. A jednak kiedyś był inny. Dla Tommy'ego Fitzgeralda Brian Flynn był wzorem mężczyzny. Dorastała widząc Briana Flynna, żywą legendę, oczyma swego brata. Potem przyszło aresztowanie Briana i jego co najmniej podejrzanе zwolnienie. Dalej zerwanie z IRA, utworzenie nowej Armii Feniańskiej, do której zwerbował ją i jej młodszego brata, Pedara, w końcu ich nieunikniony romans. Nie rozczarował jej jako kochanek, lecz jako rewolucjonista miał wady. Zawahałby się przed zniszczeniem katedry, ale Megan zamierzała dopilnować, by decyzja w tej sprawie nie należała do niego.

Sullivan zawołał z drugiego końca galerii:

– Widoki są wspaniałe. Co z jedzeniem?

Megan odwróciła się do niego.

– Jeżeli myśl o żywieniu się krwią nie przyprawia cię o mdłości, jest go dużo i dobrej jakości.

Sullivan spojrział przez celownik swego karabinu.

– Nie bądź bestią, Megan. – Podniósł broń i ustawił celownik na Abby Boland, zauważając jej rozpiętą bluzkę. Dostrzegła go i kiwnęła do niego. Pomachał jej w odpowiedzi. – Tak bliska, a jednak tak daleka.

– Opuść sobie, George – rzekła Megan niecierpliwie. – Jeszcze przez jakiś czas nie będziesz go używał do niczego poza sikaniem. – Popatrzyła na niego uważnie. George Sullivan nie był człowiekiem, którego mogła łatwo zastraszyć. Cechowało go zadowolenie z siebie połączone z zuchwałością wynikającą z ciągłego zajmowania się materiałami

wybuchowymi – dar bogów, tak to nazywał. – Jesteś pewien, że Hickey wie, jak przygotowywać duże bomby?

Sullivan wziął swoją kobzę i zaczął grać. Podniósł wzrok.

– O, tak, jest bardzo dobry. Technika z czasu drugiej wojny, ale to nie szkodzi. I ma stalowe nerwy.

– Interesują mnie jego umiejętności, nie opanowanie. Mam mu pomagać.

– Tym lepiej dla ciebie. Najlepiej być blisko, jeżeli coś pójdzie nie tak. Nic nie poczujesz. To my tu na górze, biedne sukinsyny, zostaniemy powoli zmiżdzeni przez spadające kamienie. Wyobraź to sobie, Megan, jak Samson i Dalila, świątynia walczą się nam na głowy, tony kamienia, trzęsące się, kraszające... Ktoś powinien był przynieść kamerę filmową.

– Następnym razem. Dobra, George, północna nawa poprzeczna to twój sektor ognia, jeśli wedrą się do środka. Ale jeżeli przebiją się przez drzwi wozem pancernym, Boland wychyli się z północnej galerii i wystrzelił raketę prosto w nich. Ty odpowiadasz za pojazdy szturmujące drzwi południowej nawy poprzecznej, pod tobą. Ona będzie kryć ciebie, a ty będziesz krył ją ogniem karabinowym.

– A jeżeli jedno z nas zginie?

– Wtedy dwie pozostałe galerie, Gallagher i Farrell, rozdziela między siebie sektor zabitego.

– A jeśli wszyscy zginie?

– Wtedy to nie będzie miało żadnego znaczenia, prawda? Poza tym, pozostaje jeszcze Leary. Leary jest nieśmiertelny, wiesz przecież.

– Słyszałem o tym. – Przytknął ustnik do warg.

– Możesz zagrać „Come Back to Erin”?

Skinął głową dmuchając.

– A więc zagraj to dla nas, George.

Wziął długi oddech i powiedział:

– Zgodnie ze zwyczajem, Megan, nie zapłaciłaś kobziarzowi, a więc nie ty wybierasz melodie. Zagram „The Minstrel Boy” i, cholera, musi cię to zadowolić. Idź już i zostaw mnie samego.

Megan popatrzyła na niego, okręciła się gwałtownie i wyszła przez małe drzwi prowadzące na spiralną klatkę schodową.

Sullivan ukończył napełnianie kobzy powietrzem, wydobył z niej kilka tonów, kierując je na ścianę za swoimi plecami, dostroił instrument, a potem się obrócił i zaczął grać. Natrętna melodia docierała do wszystkich zakamarków katedry, odbijając się od kamienia. Dla organów czy chóru nie były to najlepsze warunki akustyczne, stwierdził Sullivan, ale dla kobzy wręcz idealne. Dźwięk przywodził na myśl melodię dawnych wojennych kobz Celtów niosącą się poprzez skaliste doliny Antrim. Przeznaczeniem tych instrumentów było, by ich

pieśni odbijały się od skał, pomyślał. I teraz, kiedy usłyszał tę melodię tutaj, zapragnął, by to kobzy grały w Irlandii zamiast organów.

Zobaczył Abby Boland opierającą się o parapet, spoglądającą na niego, i zagrał dla niej, potem obrócił się na wschód i zagrał dla swojej żony w więzieniu Armagh, wreszcie odwrócił się do ściany za swoimi plecami i zagrał cicho dla siebie. Nigdy nie grało mu się lepiej.

Brian Flynn przez kilka sekund przysłuchiwał się grze Sullivana.

– Ten chłopak nie jest najgorszy.

Hickey odszukał swoją fajkę z korzenia wrzośca i zaczął ją nabijać.

– Przypomina mi te szkockie i irlandzkie pułki podczas pierwszej wojny, które zwykły iść do boju przy dźwiękach kobz. Szkopskie karabiny maszynowe rąbały po nich, a ci nawet nie zmylili jednej nuty. Niezłe dla podbudowania morale. – Spojrzał na plany. – Mam wrażenie, że ten, kto zaprojektował to miejsce, zaprojektował i grobowiec Tutenchamona.

– Ta sama mentalność. Bajery w kamieniu. W tym wypadku gość o nazwisku Renwick. Na jednym z witraży jest jego podobizna. O, tam. Wygląda na cwaniaka.

– Na witrażach nawet Bóg wygląda na cwaniaka, Brian.

Flynn sprawdził coś na planie.

– Spójrz, jest tutaj sześć wielkich filarów podtrzymujących katedrę, to właściwie wieże. Wszystkie mają drzwi na zewnątrz lub we wnętrzu katedry, i we wszystkich są spiralne schody biegnące na galerie triforyjne... we wszystkich z wyjątkiem tej, która przechodzi przez galerię Farrella. Ta nie ma drzwi ani na planach, ani w rzeczywistości.

– To jak on się tam dostał?

– Z sąsiedniej wieży, która ma zewnętrzne drzwi. – Flynn spojrzał w górę, na Eamona Farrella. – Kazałem mu poszukać wejścia do wieży, ale go nie znalazł.

– Ano, i pewnie nigdy go nie znajdzie. Może to tam pałą heretyków. Albo chowają złoto.

– Ty możesz sobie z tego żartować, ale mnie to niepokoi. Nawet kościelny architekt nie marnuje czasu i pieniędzy na budowanie wieży od fundamentów po dach bez wyznaczenia dla niej jakiegoś zastosowania. Jestem pewien, że w niej też są schody i wejścia. Musimy to sprawdzić.

– Możemy je odkryć całkiem niespodzianie – stwierdził Hickey.

– To prawda.

– Później – rzekł Hickey – może wezwę na pomoc ducha Renwicka.

– Mnie by wystarczył obecny architekt, Stillway. – Flynn postukał palcem w rysunki. – Sądzę, że jest tu więcej pustych przestrzeni, niż planował Renwick. Przejścia zrobione przez kamieniarzy i robotników, nic nadzwyczajnego w katedrze o takich rozmiarach i takim kształcie.

– Odwaliłeś kawał dobrej roboty, Brian. Przygotowanie ataku zajmie policji trochę czasu.

– Jeśli nie dopadną Stillwaya i jego szkiców, nim znajdą go nasi ludzie na zewnątrz. – Obrócił się i spojrzął na telefon stojący na organach. – Dlaczego zabiera im to tyle czasu?

Hickey podniósł słuchawkę.

– Działa. – Wrócił do balustrady. – Są zdezorientowani. Zniszczyłeś ich system dowodzenia. Będą na ciebie bardziej wściekli za to niż za zajęcie katedry.

– Mhm. To jak olbrzymia maszyna, która zaczęła błędnie działać. Ale kiedy ponownie ją uruchomią, spróbują się do nas dobrać. A wtedy nie będzie sposobu, by zakłócić ją jeszcze raz.

Eamon Farrell, mężczyzna w średnim wieku – najstarszy z fenian, wyłączając Hickeya, patrzył w dół z galerii na wysokości szóstego piętra, obserwując Flynna i Hickeya wychodzących z przedsionka dzwonnicy. Flynn miał na sobie czarny strój księdza, a Hickey starą, tweedową kurtkę. Wyglądali jak ksiądz i architekt omawiający sprawy renowacji katedry. Farrell przeniósł wzrok na czwórkę zakładników siedzących w prezbiterium i oczekujących jakiejś wskazówki co do swego losu. Budzili jego współczucie. Ale współczuł również swemu jedynemu synowi, Eamonowi juniorowi, siedzącemu w Long Kesh. Chłopak już drugi tydzień uczestniczył w strajku głodowym i małe były szanse, by wytrzymał dłużej.

Farrell zdjął policyjną kurtkę i przewiesił ją przez parapet, a potem podszedł do drewnianej ściany kolankowej. W ścianie znajdowały się drzwiczki, które otworzył. Ukląkł i oświetlił latarką gipsowy płaszcz tworzący sufit poczekalni piętro niżej. Stał niepewnie na krokwi i omiół mroczną niszę promieniem światła, posuwając się coraz dalej po drewnianej belce. Znajdował się w sporym pomieszczeniu, jakby drugim poddaszu poniżej poddasza właściwego, utworzonym przez nachylony w dół dach galeryjek triforyjnych, a biegnący ku zewnętrznemu murowi kamiennych przypór.

Przeszedł na belkę po swojej prawej stronie i uniósł latarkę, kierując ją w kąt, w którym poddasze stykało się z ceglaną wieżą. Podążył w tamtą stronę i ostrożnie przykląkł na belce nad płaszczem gipsowym. Wyciągnął rękę i przesunął dłonią po malutkich, czarnych, żelaznych drzwiczkach, barwą prawie zlewających się z przykurzoną cegłą. Odsunął zardzewiałą zasuwę i otworzył drzwiczki. Z ciemnego otworu dobiegał zapach sadzy. Okrągła, pusta przestrzeń miała co najmniej sześć stóp średnicy. Skierował latarkę w dół, ale niczego nie dostrzegł. Delikatnie przepchnął głowę i ramiona przez drzwiczki i spojrzął w górę. Raczej wyczuł, niż ujrzał nad sobą światła miasta. Chłodny prąd powietrza idący ku dołowi potwierdził jego przypuszczenie, że wydrążona wieża jest kominem.

Nagle coś zwróciło jego uwagę – klamra wpuszczona w cegłę. Przesunął snop światła w górę i w dół, dostrzegając ciąg żelaznych klamer biegnących w górę komina. Pospiesznie wycofał się z otworu i zamknął grube, żelazne drzwiczki, potem je zaryglował. Przez długą chwilę pozostawał skulony na belce, a później wyszedł z małego poddasza i podszedłszy do parapetu zawołał Flynna.

– Znalazłeś coś, Eamon? – zapytał Flynn.

Farrell zawahał się, potem powziął decyzję.

– Widzę wieżę, która przechodzi za galeryjką. Nie ma żadnych wejść.

Flynn wydał się zaniepokojony.

– Zrzuć mi drabinkę sznurową, sam rzucę okiem.

– Nie, nie zwracaj sobie głowy. Będę szukał dalej.

Flynn rozważył to i odparł:

– Ta wieża ma jakieś przeznaczenie, odkryj je.

Farrell kiwnął głową.

– Dobrze.

W rzeczywistości już je odkrył, znajdując w niej dla siebie drogę ucieczki, sposób ujęcia z tego wszystkiego z życiem, na wypadek gdyby nie powiodły się negocjacje.

Frank Gallagher wyjrzał z południowo-wschodniej galerii triforyjnej. Wszystko wydawało się być na swoim miejscu. Naprzeciw niego był Farrell. Sullivan, jak zauważył, puszczał oko do Abby Boland będącej po drugiej stronie nawy głównej. Jean Kearney i Arthur Nulty ustawiali na poddaszu ogniska i prawdopodobnie zastanawiali się jednocześnie nad możliwością wykręcenia przed śmiercią szybkiego numeru. Brat Megan, Pedar, siedział na schodach do krypty, obserwując drzwi zakrystii. Był młody, nie miał nawet osiemnastki, ale pewny jak skała. „Ty jesteś Piotr, i na tej opoce – pomyślał Gallagher, który był żarliwym katolikiem – na tej opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie przemogą go.”²⁶ Pistolet maszynowy Thompsona też mógł okazać się pomocny.

Devane i Mullins mają najlepsze widoki, pomyślał Gallagher, ale tam na górze było zapewne zimno. Megan, Hickey i Flynn kręcili się po katedrze niczym zdenerwowani gospodarze, sprawdzający przed przyjęciem rozdział miejsc.

Gallagher zdjął jedwabną szarfę mistrza ceremonii i rzucił ją na podłogę. Wymierzył karabin w stronę chóru i w celowniku pojawił się Leary. Szybko opuścił karabin. Nie należało mierzyć w kierunku Leary’ego. Nie należało robić niczego Leary’emu, z Learym ani dla Leary’ego. Po prostu unikało się go tak, jak mrocznych alejek i chorób zakaźnych.

Gallagher spojrział na zakładników. Rozkazy były nieskomplikowane: jeżeli opuszczą prezbiterium bez eskorty, zastrzelić ich. Popatrzył na kardynała. Później będzie musiał jakoś oczyścić się z tego, co robi, oczyścić się przed kardynałem albo swoim księdzem – później, gdy już będzie po wszystkim i ludzie zobaczą, jaką wspaniałą rzecz osiągnęli.

Maureen była świadoma obecności Flynna poruszającego się po katedrze. Robił to z poczuciem celowości i z ożywieniem, które znała, i wiedziała, że Flynn czuje się teraz w

²⁶ Wszystkie cytaty z Biblii pochodzą z wydania Brytyjskiego i Zagranicznego Towarzystwa Biblijnego z 1976 roku (*przyp. tłum.*).

swoim żywióle, bardzo zadowolony z siebie. Przyjrzała się kardynałowi siedzącemu naprzeciw niej. Zazdrościła mu jego niezachwianej pewności co do swojej pozycji, niezawodnej wiary w to, że jest niewinną ofiarą, potencjalnym męczennikiem. Natomiast ona, a może i Baxter, nie była bez winy i miała złe przeczucia co do roli, jaką wyznaczył im Flynn. I te uczucia mogły przeszkodzić im w opanowaniu napięcia, które miały przynieść nadchodzące godziny lub dni.

Omiotła szybkim spojrzeniem galeryjki i chór. Dobra robota, Brian, ale brakuje ci ludzi. Usiłowała przypomnieć sobie twarze tych, których widziała z bliska. Była pewna, że nie zna nikogo z wyjątkiem Gallaghery i Devane'a. O Megan i Pedarze Fitzgeraldach słyszała od ich brata Tommy'ego. Co stało się z tymi wszystkimi, których niegdyś nazywała braćmi i siostrami? Obozy albo grób. Ci tutaj byli ich krewnymi zwerbowanymi w niekończącym się łańcuchu krwawej zemsty tak charakterystycznym dla irlandzkiej wojny.

– Jeżeli pobiegniemy szybko do drzwi południowego transeptu – odezwała się do Baxtera – będziemy w kruchcie osłonięci przed snajperami, zanim zareagują. Potrafię rozbroić prawie każdą minę w kilka sekund. Bylibyśmy na ulicy, nim którykolwiek z nich dotarłby do kruchty.

Baxter spojrzał na nią.

– O czym, u diabła, pani mówi?

– O wydostaniu się stąd z życiem.

– Proszę spojrzeć w górę. Pięciu strzelców. A czy moglibyśmy uciec, zostawiając kardynała i ojca Murphy'ego?

– Mogą pójść z nami.

– Oszalała pani? Nie ma mowy.

– Zrobię to, co mi się będzie podobało.

Dostrzegł, że jej ciało sztywnieje, więc wyciągnął dłoń i chwycił ją za ramię.

– Nie, nie robi pani tego. Proszę posłuchać, mamy szansę zostać zwolnieni, jeśli...

– Zerową szansę. Z tego, co wychyciłam z ich rozmów, wynika, że zamierzają zażądać zwolnienia internowanych. Myśli pan, że pański rząd przystanie na to?

– Ja... jestem pewien, że coś zostanie wypracowane...

– Cholerny, głupi dyplomata. Znam tych ludzi lepiej od pana i znam stanowisko pańskiego rządu wobec irlandzkich terrorystów. Żadnych negocjacji. Koniec dyskusji.

– Musimy poczekać na odpowiednią chwilę. Potrzebujemy planu. Spróbowała uwolnić ramię, ale Baxter trzymał je mocno.

– Chciałabym – powiedziała – dostać szylinga za każdego więźnia, który musiał stanąć przed plutonem egzekucyjnym, ponieważ czekał na odpowiedni moment do ucieczki. Odpowiedni moment, według waszego podręcznika dla żołnierzy, nadchodzi zaraz po pojmaniu. Zanim wróg uporządkuje szyki, zanim zorientuje się w sytuacji. Proszę mnie puścić.

– Nie. Proszę mi pozwolić coś wymyślić, coś mniej... samobójczego.

– Niech pan posłucha, Baxter, nie zostaliśmy jeszcze w żaden sposób skrępowani fizycznie. Musimy działać teraz. Na mnie i na pana jest już wyrok. Kardynał i ksiądz może zostaną oszczędzeni. My nie.

Baxter odetchnął wolno i odpowiedział:

– Cóż... możliwe, że ja jestem już martwy... ale czy pani nie zna tego Flynna? Czy nie byliście razem w IRA...?

– Byliśmy kochankami. To jeszcze jeden powód, dla którego ani sekundy dłużej nie mam zamiaru pozostawać na jego łasce.

– Rozumiem. Cóż, jeśli zamierza pani popełnić samobójstwo, to w porządku. Ale proszę mi nie wmawiać, że próbuje pani uciec. I proszę nie oczekiwać ode mnie, że dam się zabić razem z panią.

– Później będzie pan żałować, że nie wybrał pan szybkiej śmierci.

– Jeżeli nadarzy się sposobność – powiedział spokojnym głosem – spróbuję uciec, jeśli nie, to mam nadzieję, że kiedy nadejdzie odpowiednia pora, umrę z pewną godnością.

– Też mam taką nadzieję. Może już pan puścić moje ramię. Poczekam. Ale jeżeli zostaniemy związani albo wrzuceni do krypty, albo coś w tym rodzaju, wtedy, wijąc się na podłodze ze strzaskanymi kolanami, będzie pan myślał o tym, że mogliśmy uciec. Bo oni właśnie tak to robią. Okaleczają swoje ofiary na całe godziny przedtem, zanim przestrelą im serce.

Baxter wziął głęboki oddech.

– Przypuszczam, że brak mi wystarczająco bujnej wyobraźni, by przerazić się do tego stopnia, aby spróbować czegokolwiek, pomimo że dostarcza mi pani niezbędnych malowniczych opisów. – Cofnął rękę i usiadł, obserwując Maureen kątem oka. Wydawała się zdecydowana pozostać w miejscu, w którym siedziała. – Spokojnie.

– Niech pan sobie wsadzi to pańskie cholerne brytyjskie „spokojnie”.

Baxter przypomniał sobie, jak odważnie zachowywała się na schodach, i pojął, że częściowo pokaz ten, świadomie czy też nie, przeznaczony był dla niego, a dokładniej – dla tego, co reprezentował. Zrozumiał też, że jej przeżycie w pewnym stopniu zależy od niego. Jeżeli chodziło o niego samego, był oburzony swoim obecnym położeniem, ale nie czuł się poniżony. Była to niemała różnica decydująca o jego reakcji na uwięzienie czy śmierć. Odezwał się do niej:

– Kiedy będzie pani gotowa... jestem z panią.

Pedar Fitzgerald zerknął w górę schodów po swojej prawej ręce i ujrzał schodzącą do niego siostrę. Podniósł się, wpychając pistolet maszynowy Thompsona pod pachę.

– Jak sytuacja, Megan?

– Wszystko gotowe oprócz bomb. – Spojrzała w dół schodów, przez kratę drzwi, ku pustej zakrystii. – Działo się coś?

– Nie. Pełen spokój. – Uśmiechnął się z wysiłkiem. – Może nie wiedzą, że tu jesteśmy.

Odpowiedziała mu z uśmiechem:

– Oj, wiedzą, wiedzą, Pedar.

Wyciągnęła pistolet i zeszła po schodach, potem sprawdziła łańcuchy i kłódkę na kracie drzwi. Przez moment nasłuchiwała odgłosów dobiegających z czterech bocznych korytarzy prowadzących do zakrystii. Ktoś się poruszył, ktoś zakasłał. Obróciła się i spojrzała na brata.

– Kiedy będziecie strzelać, chłopaki, strzelajcie między prętami. Nie uszkodźcie łańcucha ani kłódki. Te thompsony mogą wam się wyrwać z rąk.

Pedar się uśmiechnął.

– Posługiwaliśmy się nimi wystarczająco często.

Mrugnęła do niego i weszła z powrotem po schodach, wtykając pistolet za pas dzinsów. Przysunęła się do niego i lekko musnęła jego policzek.

– Stawiamy na to wszystko, co mamy, Pedar. Tommy dostał dożywocie, my możemy zginąć albo utknąć na resztę życia w amerykańskim więzieniu. Mama już prawie zamartwiła się na śmierć. Nie zobaczymy się więcej, jeśli to się nie powiedzie.

Pedar poczuł nabiegające do oczu łzy, ale powstrzymał je. Odzyskał głos i powiedział:

– Postawiliśmy wszyscy na Briana, Megan. Czy... czy ty mu ufasz...? Czy on jest w stanie to osiągnąć?

Megan spojrzała bratu w oczy.

– Jeżeli nie jest w stanie i my to stwierdzimy, wtedy... ty i ja, Pedar... przejmujemy kontrolę. Rodzina na pierwszym miejscu.

Odwróciła się i wróciła na górę do prezbiterium, obeszła ołtarz i popatrzyła na siedzącą w ławce Maureen. Ich spojrzenia się spotkały, lecz żadna nie odwróciła głowy.

Flynn obserwujący je z ambitu zawołał:

– Megan, chodź, spaceruj się z nami.

Megan odwróciła się od Maureen i przyłączyła do Flynnna i Hickeya, maszerujących przez główną nawę.

– W korytarzach zakrystii są ludzie – oznajmiła.

Flynn skinął głową, nie przerywając marszu.

– Nie zrobią niczego, dopóki nie będą wiedzieli, kim jesteśmy i czego chcemy. Mamy jeszcze trochę czasu.

Gdy dotarli do frontowych drzwi, Flynn przesunął dłońmi po zimnym brązie.

– Wspaniale. Chciałbym zabrać jedne ze sobą. – Sprawdził miny, odwrócił się i szerokim gestem objął wnętrze katedry. – Całą tę przestrzeń kryjemy doskonale przygotowanym, zabójczym ogniem krzyżowym z pięciu długich, ukrytych półek osłoniętych kamiennymi

parapetami. Tak długo, jak utrzymujemy pozycje na górze, panujemy nad katedrą. Ale jeśli je utracimy i zaczną się starcia na parterze, będziemy mieli kłopoty.

Hickey na nowo rozpałił swoją fajkę.

– Tak długo, dopóki nie dojdzie do walki w księgarni.

Megan spojrzała na niego.

– Mam nadzieję, że zachowasz poczucie humoru, kiedy kule zaczną świstać wokół twojej głowy.

Hickey dmuchnął dymem w jej stronę.

– Dziewczyno, strzelano do mnie więcej razy, niż ty miałaś miesiączkę.

– Gdybyś dowodził policją, John – przerwał im Flynn – co byś zrobił?

Hickey myślał przez chwilę, po czym odparł:

– To, co armia brytyjska zrobiła w centrum Dublina w tysiąc dziewięćset szesnastym. Ściągnąłbym artylerię i zrównał to pieprzone miejsce z ziemią. A potem przedstawiłbym warunki kapitulacji.

– Ale to nie jest Dublin w tysiąc dziewięćset szesnastym – przypomniał Flynn. – Myślę, że ci goście na zewnątrz muszą działać z większą powściągliwością.

– Ty możesz nazywać to powściągliwością. Ja nazwałbym to przebiegłością. W końcu i tak będą musieli zaatakować, kiedy przekonają się, że nie potrafią nas przegadać. Ale obejdują się bez wielkich działań. Więcej taktyki, mniej prochu. Gaz, helikoptery, granaty ogłuszające, które nie niszczą dobytku. W dzisiejszych czasach mają duży wybór takich środków. – Rozejrzał się dookoła. – Ale być może zdołamy się utrzymać.

– Utrzymamy się – powiedziała Megan.

– A tak przy okazji, mamy i maski przeciwgazowe – dodał Flynn.

– Naprawdę? Jesteś bardzo przewidujący, Brian. Szkoda jedynie, że nie zgromadziłeś więcej ludzi...

– To dobry oddział – przerwał Flynn. – Każdy z nich wart jest dwudziestu zbójów starego typu.

– Naprawdę? Nawet kobiety?

Megan zeszywniała i otworzyła usta.

– Nie mam nic przeciw kobietom, ty stary bękarcie – zainteresował szybko Flynn. – Przekonałem się o tym przez te lata. Są pewne. Lojalne.

Hickey spojrzał na siedzącą w prezbiterium Maureen i z przesadnie udanym pośpiechem odwrócił głowę w inną stronę.

– Wiele z nich jest pewnie takich. – Usiadł na skraju ławki i ziewnął. – Męcząca robota, Megan, dziewczyno. Spodziewam się, że nie pomyślałaś, że gdy mówiłem o kobietach, miałem na myśli ciebie.

– A idź do diabła. – Odwróciła się i odeszła szybkim krokiem.

Flynn sapnął z irytacją.

– Dlaczego ją prowokujesz?

Hickey odprowadził ją wzrokiem do ołtarza.

– Zimna, zimna. Musi być jak pieprzenie drewnianej skrzyni z lodem.

– Posłuchaj, John...

Telefon stojący na organach prezbiterium przy ołtarzu zadzwonił głośno i wszyscy odwrócili się w jego stronę.

Brian Flynn położył dłoń na dzwoniącym telefonie i spojrzał na Hickeya.

– Zaczynałem już sądzić, że nikogo to nie obchodzi. Opowiada się takie historie na temat obojętności nowojorczyków.

Hickey się zaśmiał.

– Nie wyobrażam sobie większego koszmaru irlandzkiego rewolucjonisty, niż zostać zignorowanym. Odbierz, a jeśli to ktoś, kto chce sprzedać aluminiowe pokrycie na dach plebanii, proponuję, byśmy poszli do domu.

Flynn odetchnął głęboko i podniósł słuchawkę.

– Halo.

Przez moment po drugiej stronie panowała cisza, którą przerwał niepewny męski głos:

– Kto mówi?

– Finn MacCumail, wódz fenian. Z kim mówię?

Głos zawahał się przez chwilę, potem mężczyzna powiedział:

– Sierżant Tezik, Patrol Taktyczny. Dzwonię z plebanii. Co, do cholery, tu się dzieje?

– W tej chwili nic specjalnego.

– Dlaczego drzwi są zamknięte?

– Bo przymocowano do nich miny. Właściwie to dla waszego dobra.

– Dlaczego...?

– Niech pan posłucha, Tezik, i to bardzo uważnie. Mamy tutaj czwórkę zakładników, ojca Timothy'ego Murphy'ego, Maureen Malone, sir Harolda Baxtera i samego kardynała. Jeżeli policja spróbuje wdrzeć się siłą do środka, wybuchną miny. Jeśli nadal będzie atakować, zakładnicy zostaną zastrzeleni, a katedra podpalona. Zrozumieliście?

– Jezu Chryste...

– Przekażcie szybko te informacje swoim przełożonym i przyprowadźcie do telefonu kogoś wyższego rangą. Uwińcie się z tym, sierżancie Tezik.

– Eee... dobrze... Posłuchajcie, tutaj wszystko jest nieźle wymieszane, więc nie ciśnijcie za mocno. Gdy tylko unormujemy sytuację, będziecie mogli rozmawiać z oficerem policji. W porządku?

– Pospieszcie się. I żadnych wygłupów, bo inaczej będziecie musieli odpowiadać za dużą liczbę zabitych ludzi. Żadnych helikopterów w okolicy. Żadnych wozów pancernych na ulicach. Mam na wieżach ludzi z karabinami i rakietami. Trzymam właśnie karabin wycelowany prosto w głowę kardynała.

– W porządku, spokojnie. Nie...

Flynn odłożył słuchawkę i odwrócił się do Hickeya i Megan, która przyłączyła się do nich.

– Sierżant Patrolu Taktycznego, duchowo pokrewny gościom z RUC i gestapo. Nie spodobał mi się ton jego głosu.

– To ich wzrost daje im poczucie wyższości. – Hickey się uśmiechnął. – Łatwiej ich trafić.

Flynn spojrział na drzwi.

– Wywołaliśmy trochę za dużo zamieszania. Mam nadzieję, że uda im się odtworzyć sieć dowodzenia, zanim ci porywcy faceci zaczną działać. Zadecydują następne minuty.

Megan obróciła się do Hickeya i powiedziała cicho:

– Chcesz, by Sullivan pomógł ci rozmieścić bomby?

– Megan, kochanie, chcę, żebyś ty mi pomogła. Biegnij teraz i przynieś to, co potrzebujemy. – Poczekał, aż Megan odejdzie, i zwrócił się do Flynna: – Musimy podjąć decyzję co do zakładników, kto ma zabić kogo.

Flynn spojrział na kardynała siedzącego sztywno na swoim tronie, w każdym calu wyglądającego jak księżę Kościoła. Wiedział, że nie jest to próżność ani poza, lecz efekt dwóch tysięcy lat historii, ceremoniału i szkolenia. Kardynał będzie nie tylko niewdzięcznym zakładnikiem, lecz także niewdzięcznym celem.

– Trzeba twardego człowieka, by wsadzić w niego kulę – odezwał się do Hickeya.

Oczy Hickeya, zwykle migoczące złośliwością, zwęziły się w nagłej wrogości.

– Cóż, załatwię go, jeśli... – skinął głową w stronę Maureen – ...jeśli ty załatwisz ją.

Flynn zerknął na dziewczynę siedzącą w ławce dla duchowieństwa. Zawahał się i odparł:

– Tak, w porządku. Idź i załóż bomby.

Hickey nie zwrócił uwagi na jego słowa.

– Co do Baxtera, każdy może się nim zająć. Każ Megan zabić księdza. Ta mała suka powinna wytoczyć swoją pierwszą krew w trudny sposób, nie z Maureen.

Flynn popatrzył uważnie na Hickeya. Stawało się wyraźne, że starzec opętany jest ideą zabrania ze sobą jak największej liczby ludzi.

– Tak – powiedział – możemy to zrobić w ten sposób. – Rozmyślał jednak, że być może będzie musiał zabić Hickeya, zanim on zgubi ich wszystkich.

Megan Fitzgerald wspięła się do prezbiterium, niosąc dwie walizki. Przeszła szybko na prawą stronę głównego ołtarza i postawiła je przy płycie z brązu wpuszczonej w marmurową posadzkę, po czym podniosła płytę. Hickey pojawił się za jej plecami i chwycił za walizki.

– Idź dalej.

Megan zeszła po chwiejnej metalowej drabince, odszukała łańcuch lampy i pociągnęła go. Hickey podążył za nią, podając jej z góry walizki. Zaczęli badać wydrążone podziemie.

Leżało tu tyle budowlanego gruzu, rur i przewodów, że poruszanie się czy choćby rozejrzenie wokoło było bardzo utrudnione.

– Jest zewnętrzna ściana krypty! – zawołała Megan.

– Tak, a tutaj ściana klatki schodowej biegnącej w dół do zakrystii. Chodź.

Hickey zapalił latarkę i skierował ją przed siebie, posuwając się do przodu i wlokąc za sobą jedną z walizek. Poruszali się wzdłuż opadającej w dół ściany klatki schodowej, schylając się w miarę posuwania. Brudną podłogę zastąpiła skała Manhattanu.

– Widzę ją przed sobą! – zawołał Hickey i podczołgał się do wystającego wzniesienia, na którym była osadzona podstawa masywnej kolumny. – Oto i ona. Chodź bliżej. – Omiótł latarką mroczne przestrzenie. – Widzisz? Tutaj przebito się przez stare fundamenty i podstawę, by przepuścić schody zakrystii. Gdybyśmy kopali głębiej, znaleźlibyśmy niższe poziomy piwnic zakrystii. Przypomina to trochę rozkład nowoczesnych wielopiętrowych domów.

Megan nie ukrywała sceptycyzmu.

– Cholernie trudno się w tym połapać. Pożar na poddaszu byłby pewniejszy.

– Nie pękaj teraz, Megan. Nie wysadzę cię w powietrze.

– Zależy mi tylko na tym, byś je odpowiednio umieścił.

– Oczywiście. – Hickey przesunął dłonią po kolumnie. – A więc, kiedy w tysiąc dziewięćset czwartym wybito nowe schody przez fundamenty, osłabiono te boczne kolumny. Jak mówią architekci, oddziałują na nie wielkie napięcia. Jeden staruszek, którego ojciec pracował przy tym, powiedział mi, że irlandzcy robotnicy wierzyli, iż jedynie Bóg wszechmogący powstrzymał cały budynek od zawalenia, kiedy zdetonowali dynamit. A że Bóg wszechmogący już tu nie mieszka, to kiedy założymy ten plastik i go odpalimy, nic nie utrzyma dachu.

– A jeśli jednak się utrzyma, nawrócisz się?

– Nie. Pomyślę, że źle rozmieściliśmy ładunki.

Hickey otworzył walizkę i wyciągnął dwadzieścia białych cegieł owiniętych w celofan. Zdarł celofan z przypominającej kit substancji i wgniół jedną cegłę w miejsce, gdzie skalne podłoże stykało się z ciosanym i spojonym zaprawą kamieniem podstawy kolumny. Megan przyłączyła się do niego i razem wymodelowali cegły naokoło podstawy. Hickey podał jej latarkę.

– Trzymaj nieruchomo.

Wetknął w plastik cztery detonatory podłączone przewodami do zestawu baterii. Podniósł budzik i spojrzał na swój zegarek.

– Cztery po szóstej. Ten zegar nie odróżnia przedpołudnia od popołudnia, a więc mogę im dać najwyżej jedenaście godzin i pięćdziesiąt dziewięć minut. – Zaczął powoli przesuwając w tył wskazówkę budzika, mówiąc dalej: – Tak więc, nastawię budzik na pięć po szóstej. Nie, to znaczy na trzy po szóstej. – Zachichotał, nadal przesuwając wskazówkę. – Pamiętam

jednego chłopaka z Galway, który nie mógł tego pojąć. O północy nastawił zapalnik czasowy na minutę po dwunastej po południu, jak mu się wydawało. To był chyba brytyjski klub oficerski i, jak sądził, pora lunchu. W każdym razie, minutę po północy... stał przed swoim stwórcą, który musiał porządnie się zdziwić, dlaczego tak bardzo się rozsywał. – Zaśmiał się ponownie, podłączając przewód zegara do baterii.

– Przynajmniej nie zabij nas przed założeniem min po drugiej stronie.

– Słuszna uwaga. Nie zapomniałem niczego? Cóż, mam nadzieję, że nie. – Włączył budzik i głośne tykanie wypełniło wilgotną przestrzeń. Podniósł wzrok. – I nie zapominaj, moja ostra dziewczynko, że tylko ty i ja wiemy dokładnie, gdzie one są umieszczone, co daje nam pewną przewagę i władzę nad naszym przyjacielem, panem Flynnem. Tylko ty i ja możemy zdecydować, czy chcemy przedłużenia terminu spełnienia naszych żądań. – Zaśmiał się, wpychając zegar w materiał wybuchowy i oblepiając go plastikiem. – Ale jeśli policja zabije nas wcześniej, cóż, trzy minuty po szóstej, co, tak się składa, dokładnie pokrywa się ze wschodem słońca, otrzymają od nas przesłanie bezpośrednio z piekła. – Zgarnął trochę ziemi z podłoża i pokrył nią biały plastik. – Ślicznie. Czyż nie wygląda to niewinnie? Pomóż mi z tym. – Kontynuował maskowanie ładunków. – Jesteś młoda. Nie chcesz, by wszystko skończyło się tak szybko, wiem, ale skoro wplątałaś się w tę imprezę, musisz mieć w sobie jakiś pociąg do śmierci. Nikt nie upuścił cię przez dach. Planowaliście to przez ponad rok. Chciałbym mieć rok na przemyślenie tego. Byłbym teraz w domu, tam gdzie moje miejsce. – Podniósł latarkę i skierował promień światła na jej twarz. Odpowiedziała mu ognistym spojrzeniem jasnych, zielonych oczu. – Mam nadzieję, że dobrze przyjrzałaś się dzisiejszemu wschodowi słońca, dziewczyno, bo masz małe szanse ujrzeć następny.

Wysoki, umundurowany policjant z Patrolu Taktycznego pospieszył przez deszcz w stronę Burke'a. Zawahał się i zapytał:

– Jest pan sierżantem czy kimś wyższym?

– Nie widzicie?

– Ja...

– Porucznik, Wydział Wywiadu.

Policjant wyrzucił z siebie szybki ciąg słów:

– Chryste, poruczniku, mój sierżant, Tezik, jest na plebanii. Ma tam pluton TPU gotowy do akcji. Chce rozbić drzwi ciężarówkami. Nie sądzę, byśmy powinni robić cokolwiek bez rozkazów...

Burke popędził wzdłuż schodów i północnej ściany katedry przez ogrody i tarasy, wychodząc na tyły plebanii. Wszedł przez drzwi do obszernej sieni. Około trzydziestu ludzi z Patrolu Taktycznego, elitarnej grupy interwencyjnej, czekało na korytarzach i w biurach, siedziało na schodach. Wyglądali świeżo, młodo, pełni energii i entuzjazmu. Burke zwrócił się do policjanta, który szedł za nim:

– Gdzie jest Tezik?

– W biurze prałata. – Pochylił się ku Burke’owi i powiedział cicho: – Jest nieco...
przewrażliwiony. Rozumie pan?

Burke zostawił policjanta w sieni i pospieszył po schodach pomiędzy siedzącymi ludźmi z TPU. Na następnym piętrze otworzył drzwi opatrzone tabliczką z napisem: PRAŁAT.

Prałat Downes, nadal w prochowcu, siedział przy biurku na środku wielkiego, staromodnego biura, paląc papierosa. Burke stanął w drzwiach.

– Ojcie, gdzie jest sierżant policji?

Prałat Downes spojrział na niego pustym wzrokiem.

– Kim pan jest?

– Burke, policja. Gdzie jest...?

Prałat Downes odezwał się roztargnionym głosem:

– Ach, tak. Znam pana. Przyjaciół ojca Murphy’ego... widziałem pana wczoraj wieczorem w Waldorfie... Maureen Malone... był pan...

– Zgadza się. Gdzie jest sierżant Tezik?

Niski głos zawołał zza podwójnych drzwi:

– Tu jestem!

Burke wszedł do większego, wewnętrznego biura z kominkiem i półkami pełnymi książek. Sierżant Tezik siedział za wielkim biurkiem w głębi pomieszczenia.

– Burke, Wydział Wywiadu. Wyprowadźcie swoich ludzi z plebanii na ulicę, gdzie jest ich miejsce. Pomóżcie w opanowywaniu tłumu.

Sierżant Tezik dźwignął powoli swoje, jak oceniał Burke, dwieście siedemdziesiąt pięć funtów, prostując się na całą wysokość niespełna siedmiu stóp.

– Kto umarł, że przejął pan dowództwo? – zapytał.

Burke zamknął za sobą drzwi.

– Prawdę mówiąc, komisarz Dwyer rzeczywiście nie żyje. Atak serca.

– Tak, słyszałem. Ale to nie oznacza, że pan jest teraz komisarzem policji.

– Nie, ale na jakiś czas wystarczy mi mój obecny stopień. – Burke przeszedł w głąb pokoju. – Nie próbujcie ciągnąć korzyści z tego bałaganu, Tezik. Nie bawcie się w supermana, igrając z życiem innych ludzi. Znacnie powiedzenie, że gdy obywatel ma kłopoty, wzywa gliniarza, gdy gliniarz ma kłopoty, wzywa ESD.

– Wykazuję jedynie, jak to się nazywa, inicjatywę osobistą, poruczniku. Myślę, że zanim te sukinsyny się okopią...

– Z kim się skontaktowaliście? Od kogo otrzymujecie rozkazy?

– Od mojego rozumu.

– To fatalnie.

Tezik ciągnął dalej, niespieszony:

– Z tego telefonu z nikim nie mogę się połączyć.

- Próbowaliście z Police Plaza?
- Mówiłem panu, nie mogę się połączyć. Na miłość boską, to rewolucja. Nie widzi pan? – Zawahał się i dodał: – Tylko wewnętrzny telefon w katedrze działa... rozmawiałem z kimś... Burke oparł się o biurko.
- Z kim rozmawialiście?
- Jakiś facet, Finn Cośtam. Nazwisko jest na drzwiach katedry.
- Co powiedział?
- Nic. – Pomyślał przez chwilę. – Powiedział, że ma czwórkę zakładników.
- Kogo?
- Kardynała...
- Cholera!
- Ano. I mają też księdza, Murphy’ego. I jakaś babka, której nazwiska nie pamiętam, to ta kobieta od spraw pokoju, tak mi się wydaje. Jej nazwisko było w gazetach. I jakiś angielski koroniarz, chyba Baker.
- Jezu Chryste. Co jeszcze mówił, Tezik? Pomyślcie.
- Wydawało się, że Tezik rzeczywiście myśli.
- Moment... Powiedział, że ich zabije. Oni zawsze to mówią, nie? I że spali katedrę. Jak można spalić katedrę...?
- Zapalkami.
- Niemożliwe. Kamień się nie pali. W każdym razie, drzwi podobno mają obwieszone ładunkami wybuchowymi, ale gównu tam, mam na plebanii trzydziestu pięciu ludzi z TPU gotowych do akcji. Mam wozy z napędem na cztery koła z Departamentu Oczyszczania Miasta z moimi ludźmi za kierownicą gotowymi, by walnąć w drzwi i...
- Zapomnijcie o tym.
- A jakże. Niech pan posłucha, im dłużej czekamy, tym bardziej ci faceci się okopują. To fakt.
- Gdzie się tego nauczyliście?
- W piechocie morskiej. Wietnam.
- No jasne. Posłuchajcie, Tezik, to jest centrum Manhattanu, nie jakaś pieprzona prowincja Chuj Lin. Wielka katedra pełna bezcennych dzieł sztuki została zajęta, Tezik. Razem z zakładnikami, Tezik. Żółtki nigdy nie brali zakładników, prawda? Celem policji jest powstrzymanie, nie kawaleryjskie szarże. Jasne?

Ojciec Murphy zwrócił się do Maureen i Baxtera siedzących przy nim na ławce:

- Mam zamiar porozmawiać z Jego Eminencją. Zechcecie pójść ze mną?

Maureen potrząsnęła głową.

- Przyjdę za chwilę – rzucił Baxter.

Ojciec Murphy przeszedł po marmurowej posadzce, ukląkł przed tronem i pocałował biskupi pierścień, potem podniósł się i zaczął mówić do kardynała przyciszonym głosem. Maureen przyglądała się temu, po czym odezwała się do Baxtera:

– Nie zostanę tu ani chwili dłużej.

Spojrzał na nią uważnie. Jej oczy strzelały dziko na boki, a ciałem znów wstrząsały dreszcze. Położył dłoń na ramieniu dziewczyny.

– Naprawdę musi pani wziąć się w garść.

– A idź pan w cholerę! Jak mógłby pan to zrozumieć? Dla mnie jest to jak siedzenie w pokoju pełnym na nowo ożytych koszmarów.

– Proszę pozwolić mi spróbować zdobyć dla pani coś do picia. Może mają jakieś środki uspokajające...

– Nie! Niech pan posłucha. Nie boję się śmierci. Naprawdę nie. Boję się... Są gorsze rzeczy...

Baxter ścisnął jej ramię.

– Tak... myślę, że rozumiem.

– Nie wyrażam się dostatecznie jasno.

Maureen wiedziała o całkowitym zdławieniu osobowości, które przemieniało zakładników w zombich, chętnych uczestników dramatu. I to, co później: mieszane emocje, oszołomienie, poczucie winy. Pamiętała, co powiedział jakiś psycholog: „Gdy raz jest się zakładnikiem, zostaje się nim przez resztę życia”. Potrząsnęła głową. Nie pozwoli, by ją to spotkało. Nie.

– Nie!

Baxter ponownie uściśnął mocno jej ramię.

– Proszę posłuchać. Być może musimy umrzeć, ale obiecuję pani, że nie pozwolę im się znęcać nad panią... nad nami. Nie będzie udawanego procesu sądowego, publicznego pokajania... – Stwierdził, że trudno mu wyrazić jej obawy, tak jak się ich domyślał. – Żadnych sadystycznych zabaw, żadnych psychicznych tortur...

Spojrzała uważnie na jego twarz. Miał głębszy wgląd w te sprawy, niż można by oczekiwać po sztywnym dyplomacie. Baxter odchrząknął i powiedział:

– Jest pani bardzo dumną kobietą... Ja jestem właściwie w lepszej sytuacji. Nienawidzę ich i cokolwiek by mi zrobili, uwłacza to im, nie mnie. Może byłoby lepiej, gdyby zdołała pani podobnie się do tego odnieść.

– Czuję się jak zdrajczyni, a jestem patriotką. Czuję się winna, a jestem ofiarą. Jak to możliwe?

– Gdy znać będziemy odpowiedzi na te pytania, będziemy wiedzieli, jak postępować z ludźmi takimi jak Brian Flynn.

Zmusiła się do uśmiechu.

– Przepraszam, że zawracałam panu tym głowę. – Baxter chciał jej przerwać, ale ona ciągnęła dalej: – Sądziłam, że ma pan prawo wiedzieć, zanim...

Baxter rzucił się, by uchwycić jej ramię, ale Maureen przesadziła ławkę stojącą bezpośrednio za nią, potem wskoczyła do ostatniego rzędu i chwyciła za dwie drewniane, rzeźbione kolumny. Przerzuciła nogi przez balustradę, chcąc zeskoczyć z wysokości sześciu stóp do ambitu.

Frank Gallagher przechylił się przez parapet galerii. Wymierzył karabin w dół, w czubek jej głowy, ale broń w jego rękach dygotała tak mocno, że nie mógł strzelić. Eamon Farrell wycelował przez całą długość prezbiterium, lecz przesunął lufę nieco w lewo i wystrzelił pojedynczy pocisk. George Sullivan i Abby Boland w długich galeriach triforyjnych w przedniej części katedry spojrzeli szybko w kierunku źródła strzału, potem w dół, ku celowi karabinu Farrella, ale żadne z nich się nie poruszyło.

Leary wiedział o wszystkim, zanim jeszcze Maureen zrobiła pierwszy ruch. Gdy wyskoczyła z ławki, oparł się o parapet chóru, śledząc jej poczynania przez celownik swego karabinu. Gdy wspięła się na balustradę, strzelił.

Maureen usłyszała ostry trzask strzału rozlegający się za jej plecami, ułamek sekundy później dotarł do niej huk karabinu na chórze. Pocisk Farrella przeleciał z lewej strony, pocisk Leary'ego przemknął tak blisko nad jej głową, że poczuła, jak muska włosy, a drzazgi z drewnianej kolumny przy jej lewym uchu uderzyły ją w twarz. Nagle para silnych rąk chwyciła ją za ramiona i szarpnięciem wciągnęła z powrotem do prezbiterium. Spojrzała w twarz Harolda Baxtera.

– Puść mnie! Puść mnie!

Baxter powtarzał podnieconym głosem:

– Nie ruszaj się! Na miłość boską, nie ruszaj się!

W prezbiterium rozległ się odgłos szybkich kroków i Maureen ujrzała Megan przechylającą się przez ławkę i kierującą pistolet w jej twarz.

– Dziękuję – powiedziała miękko Megan i odbezpieczyła pistolet.

Baxter rzucił się, by osłonić Maureen.

– Nie! Na miłość boską, nie!

– Spadaj, durny sukinsynu! – wrzasnęła Megan. – Spadaj! – Uderzyła Baxtera pistoletem w tył głowy i skierowała lufę w gardło Maureen.

Kardynał był w połowie prezbiterium, wołając:

– Przestańcie! Proszę ich zostawić!

Ojciec Murphy znalazł się nagle za Megan. Chwycił ją za ramiona, poderwał wysoko w powietrze, okręcił wokoło i rzucił na podłogę. Megan przetoczyła się na wypolerowanym marmurze do pozycji kłęczącej i skierowała broń w stronę księdza.

Od balasek dobiegł wyraźny głos Briana Flynna:

– Nie!

Megan obróciła się w miejscu i spojrzała na niego, nadal trzymając przed sobą pistolet gotowy do strzału. Flynn przeskoczył przez furtkę i wbiegł po schodkach.

– Idź na chór i zostań tam!

Megan klęczała na podłodze, pistolet tańczył niepewnie w jej dłoniach. John Hickey szybko wspiął się po stopniach prezbiterium.

– Chodź ze mną, Megan. – Zbliżył się do niej, zgiął się wpół i objął dłońmi jej ramiona. – Chodź już. – Podniósł ją na nogi, popchnął uzbrojoną dłoń w dół i sprowadził pospiesznie schodami do nawy głównej.

Flynn podszedł do ławek i spojrzał w dół.

– Baxter, zachowałeś się bardzo szlachetnie, bardzo rycersko, a jednocześnie głupio.

Harold Baxter pozbiierał się szybko z podłogi, potem popchnął Maureen za siebie. Flynn przeniósł na nią wzrok.

– Nie uda ci się wywinąć tak tanim kosztem. A sir Harry o mało nie stracił przez ciebie życia.

Maureen nie odpowiedziała. Baxter przyłożył chusteczkę do jej policzka w miejscu, gdzie trafiły ją drewniane drzazgi, ale Flynn odtrącił jego rękę.

– I nie sądzicie – ciągnął dalej spokojnie – że pan Leary jest kiepskim strzelcem. Gdybyś dotarła do drzwi, rozwaliby ci obie kostki. – Flynn się obrócił. – To dotyczy też Waszej Eminencji jak i dobrego ojca. A jeśli jakimś cudem ktoś się stąd wydostanie, ktoś inny umrze z tego powodu. A może powinienem związać was wszystkich razem? Wolałbym tego nie robić. – Przeszył milczących zakładników zimnym spojrzeniem. – Nie opuszczajcie prezbiterium. Czy wszyscy rozumieją teraz zasady? Świetnie. Wszyscy siadać! – Flynn przeszedł za ołtarz i zbiegł po schodach na podest z drzwiami do krypty. – Jakiś ruch tam na dole? – zapytał cicho Pedara Fitzgeralda.

– Ogromne zamieszanie w korytarzach – odparł szeptem Fitzgerald – ale teraz jest cicho. Czy komuś coś się stało? Czy mojej siostrze nic nie jest?

– Nikomu nic się nie stało. Nie opuszczaj tego posterunku, nawet gdybyś coś usłyszał na górze.

– Wiem. Uważaj na Megan, dobrze?

– Wszyscy nie spuszczaamy jej z oczu, Pedar.

Człowiek z TPU wpadł do apartamentów prałata i zadyszany wbiegł do wewnętrznego biura.

– Sierzancie!

Tezik i Burke się odwrócili.

– Ludzie w korytarzach słyszeli dwa strzały... – oznajmił podnieconym głosem policjant.

Tezik popatrzył na Burke'a.

– Teraz wszystko jest jasne. Wkraczamy.

Przeszedł w pośpiechu obok Burke'a, kierując się do drzwi. Burke chwycił go za ramiona i cisnął z powrotem ku kominkowi. Tezik odzyskał równowagę i zawołał do policjanta:

– Aresztować tego człowieka!

Policjant się zawahał, po czym wyciągnął swój służbowy rewolwer. Zadzwoił telefon. Burke sięgnął do niego, ale Tezik wyrwał mu słuchawkę.

– Sierżant Tezik, Departament Policji Nowego Jorku.

Flynn usiadł przy organach w prezbiterium i powiedział:

– Tu Finn MacCumail.

– Co się tam stało? – Głos Tezika zdradzał podekscytowanie. – Co to była za strzelanina?

Flynn zapalił papierosa.

– Dwa strzały to za mało, by określać je mianem strzelaniny, sierzancie. Powinniście spędzić następny urlop w Belfaście. Matki oddają dwa strzały w pokoju dzieciennym tylko po to, by obudzić swoje dzieci.

– Co...

– Nikomu nic się nie stało – przerwał Flynn. – Karabin wypalił przez przypadek. – Jego głos nabrał ostrości. – Zaczynamy się niecierpliwie, sierzancie.

– Tylko się nie denerwujcie.

– Czas na spełnienie żądań, jakie mam zamiar podać, upływa o wschodzie, a wschód słońca nie opóźni się tylko dlatego, że opierdzielacie się, próbując odnaleźć swoich szefów.

Flynn odłożył słuchawkę i zaciągnął się papierosem. Pomyślał o Maureen. Powinien ją związać dla jej własnego dobra, dla dobra ich wszystkich, ale być może jego obowiązkiem było pozostawienie jej możliwości wyboru i podjęcia decyzji o własnym losie bez jego interwencji. Zanim wzejdzie słońce, będą od siebie wolni, a jeśli nie, to połączeni ponownie, w taki lub inny sposób.

Sierżant Tezik odłożył słuchawkę i zerknął na Burke'a.

– Karabin wypalił przez przypadek, tak powiedział... nie wiem. – Wydawał się nieco uspokojony. – Co pan o tym sądzi?

Burke odetchnął z ulgą, a potem podszedł do okna wychodzącego na katedrę i rozsunął zasłony.

– Proszę spojrzeć.

Tezik popatrzył na oświetloną reflektorami wspaniałą budowlę.

– Byliście kiedykolwiek w środku, Tezik?

Sierżant skinął głową.

– Nabożeństwa Wspólnoty Jezusowej... Parę... pogrzebów.

– Ano. A więc, przypominacie sobie galeryjki triforyjne, te balkony? Chór? Rzędy ławek na przestrzeni prawie akra? To pułapka bez wyjścia, sierzancie, pieprzona strzelnica, na której

TPU będzie służyło im za tarcze. – Burke pozwolił zasłonom wrócić na swoje miejsce i stanął twarzą w twarz z Tezikiem. – Moi informatorzy twierdzą, że ci ludzie mają automaty i snajperki. Może także rakiety. A co macie wy, Tezik? Sześciostrzałowce? Wracajcie na swoje stanowisko. Powiedzcie swoim ludziom, by uważali.

Tezik podszedł do kredensu, nalał sobie kieliszek brandy, wypił, a potem prawie przez minutę wpatrywał się w jakiś niewidoczny punkt przed sobą. Później spojrzął na Burke'a i rzekł:

– W porządku, nie jestem bohaterem. – Zmusił się do uśmiechu. – Myślałem, że to będzie łatwizna. Parę medali. Pochwała z ust burmistrza... gazety, telewizja. Sam pan wie.

– Taak. Byłem już na wielu pogrzebach, które tak się zaczynały.

Drugi policjant schował rewolwer do kabury i odszedł, widząc, że Tezik rusza ponuro ku drzwiom.

– I żadnych wygłupów, sierzancie.

Tezik przechodząc do zewnętrznego pomieszczenia zawołał przez ramię:

– Oni chcą rozmawiać z kimś wysokim rangą z policji. Mam nadzieję, że potrafi pan znaleźć kogoś odpowiedniego.

Burke podszedł do biurka i wykręcił specjalny numer do swojego biura w Police Plaza. Po długim oczekiwaniu telefon odebrała kobieta.

– Sierżant Jackson.

– Louise, tu Burke.

Z głosu podoficera dyżurnego Louise Jackson, czarnoskórej kobiety w średnim wieku, biło zmęczenie.

– Poruczniku! Gdzie pan jest!?

– Na plebanii katedry Świętego Patryka. Połącz mnie z Langleyem.

– Inspektor jest w helikopterze z zastępcą komisarza Rourke'em. Próbują odtworzyć sieć dowodzenia, ale straciliśmy z nimi łączność radiową, gdy zbliżyli się do katedry. Jakiś zagłuszacz w tamtym rejonie. Wszystkie linie telefoniczne w mieście są przeciążone z wyjątkiem tych specjalnych, a i one nie są w zbyt dobrym stanie. Wszystko się nieźle pomieszało.

– Tutaj też jest nieco bałaganu. Posłuchaj, zadzwoń do biura negocjatora na górze. Niech złapią Berta Schroedera, i to szybko. Mamy do czynienia z porywaczami.

– Niech to! To właśnie podejrzewaliśmy. Ludzie z BSS strzegący VIP-ów na schodach dzwoniли przed chwilą. Stracili paru podopiecznych w tym zamieszaniu, ale nie byli pewni kogo i w jaki sposób.

– Za sekundę powiem ci kogo i w jaki sposób. Dobra, zadzwoń do biura ESD, najlepiej do kapitana Belliniego, jeśli jest osiągalny. Powiedz im, że katedrę opanowali uzbrojeni ludzie, i każ zebrać sprzęt szturmowy, snajperów, wszystkich i wszystko, co jest niezbędne, tu w rezydencji kardynała. Zrozumiałas?

– Tym razem będziemy mieli nie lada burdel.

– Bez wątpienia. Dalej, mam raport o sytuacji i przesłanie od porywaczy, Louise. Podam ci je, a ty zadzwonisz do biura komisarza. Niech skontaktują się ze wszystkimi z listy sytuacyjnej A. Gotowa do notowania?

– Strzelaj.

– Około godziny piątej dwadzieścia po południu katedra Świętego Patryka zajęta została przez bliżej nie określoną liczbę uzbrojonych ludzi... – Burke przekazał raport i dodał: – Wyznaczam plebanię na punkt dowodzenia. Zadzwoń do chłopaków od Bella i poleć im przeciągnąć dodatkowe łącza telefoniczne do plebanii, zgodnie z istniejącymi procedurami alarmowymi. Masz to?

– Tak... Pat, czy jesteś upoważniony...?

Burke poczuł, jak pot zaczyna się gromadzić wokół jego kołnierzyka, rozluźnił go nieco.

– Louise, nie zadawaj takich pytań. Tym razem musimy pójść na żywioł. W porządku?

– W porządku.

– Zrób, co w twojej mocy, by dotrzeć do tych ludzi. Nie denerwuj się.

– Nie denerwuję się. Ale ty powinieneś zobaczyć tych wszystkich gości tutaj. Myślą, że mamy do czynienia z jakimś powstaniem czy czymś podobnym. Albany²⁷ i Waszyngton dzwoniły do Biura Komisarza, ale nie mogli uzyskać jasnej odpowiedzi z ratusza ani z Gracie Mansion²⁸. Potem Biuro Komisarza zadzwoniło do nas. Chcieli wiedzieć, czy to powstanie, czy zamieszki na tle rasowym. Potrafisz określić, czy to jest powstanie? Ot tak, by mieć to na papierze.

– Powiedz tym z Albany i Waszyngtonu, że ludziom w Nowym Jorku za bardzo wszystko zwisa, by mieli wywoływać powstanie. Jeśli się orientuję, fenianie sprowokowali tumult, by ułatwić sobie zajęcie katedry. Wymknęło się to spod kontroli, wiesz, tłum radosnych obywateli dających upust swoim emocjom. Masz jakieś raporty od naszych ludzi w terenie?

– Ani jednego. Ty jesteś pierwszy.

– Jeszcze jedno. Ściągnij tu jak najszybciej kartotekę Johna Hickeya. I sprawdź, co mamy o Irlandczyku z Północy nazwiskiem Brian Flynn. – Burke skończył rozmowę i wyszedł do zewnętrznego pomieszczenia. – Ojczy?

Prałat Downes położył słuchawkę telefonu.

– Nie mogę się nigdzie dodzwonić. Muszę rozmawiać z kanclerzem biskupim. Muszę porozumieć się z delegatem apostolskim w Waszyngtonie. Co się stało? Co się tutaj dzieje?

Burke spojrział na pobladłą twarz Downesa, podszedł do stolika i zabrał z niego butelkę wina oraz kieliszek.

²⁷ Albany – stolica stanu Nowy Jork (*przyp. tłum.*).

²⁸ Gracie Mansion – rezydencja burmistrza Nowego Jorku (*przyp. tłum.*).

– Proszę się napić. Telefony zwolnią się później. Parę milionów ludzi stara się jednocześnie dodzwonić do domu, to wszystko. Będziemy musieli wykorzystać plebanię jako punkt dowodzenia.

Prałat Downes zlekceważył wino.

– Punkt dowodzenia?

– Proszę opuścić plebanię, ewakuować cały personel biurowy i księży. Operator centrali telefonicznej niech zostanie, dopóki nie ściągnę na jego miejsce kogoś z policji. – Burke spojrział na zegarek i rozważał coś przez chwilę, potem powiedział: – Jak mogę dojść do korytarza biegnącego do zakrystii?

Prałat Downes podawał mu chaotyczne i pogmatwane instrukcje, gdy drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadł wysoki mężczyzna w czarnym płaszczu. Wyciągnął przed siebie dłoń z odznaką policyjną.

– Porucznik Young, Biuro Służb Specjalnych. – Zerknął na prałata, potem na Burke'a i zapytał: – Kim pan jest?

– Burke, Wydział Wywiadu.

Mężczyzna przeszedł bezpośrednio do stolika i nalał sobie kieliszek wina.

– Chryste, przepraszam, ojcze, cholera, wyliczyliśmy się ze wszystkich VIP-ów na schodach z wyjątkiem trzech.

Burke przyglądał się, jak Young pije.

– Niech zgadnę, faceci z wywiadu zawsze są dobrzy w zgadywaniu. Zgubiliście kardynała, Baxtera i Malone.

Porucznik Young spojrział na niego bystro.

– Gdzie oni są? Chyba nie w katedrze?

– Obawiam się, że niestety tak.

– Chryste, przepraszam, psiakrew. To koniec. Wylatuję z roboty. Do widzenia, do widzenia.

– Trzech VIP-ów z około setki to nie tak źle.

– Nie żartuj! To fatalnie. Cholernie fatalnie.

– Jak wiem, są cali i zdrowi – powiedział Burke. – Mają też proboszcza tej parafii, Murphy'ego. Żaden z niego VIP, a więc nie masz się co martwić.

– Cholera. Straciłem trzech VIP-ów – mówił nieprzerwanie, nalewając sobie następny kieliszek. – Cholera, powinni tu przysłać Tajną Służbę. Kiedy przyjeżdżał papież, to prezydent przysłał Tajną Służbę, by nam pomogła. – Spojrział na Burke'a i prałata i ciągnął dalej. – Prawie całe BSS było przy trybunach. Byrd dostał wszystkich dobrych ludzi. Dla mnie została jedynie garść niezdarów.

– Słusznie. – Burke ruszył do drzwi. – Ściągnij paru kompetentnych ludzi, by zostali z prałatem Downesem. On jest VIP-em. Ja spróbuję porozmawiać z porywaczami. Oni też są VIP-ami.

Young odezwał się zapalczywie:

– Dlaczego nie powiedzieliście nam, że może się zdarzyć coś takiego, Burke?

– Nie pytaliście. – Burke wyszedł z biura, zszedł po schodach i odszukał windę, która zawiozła go do piwnicy. Tam natknął się na latynoamerykańskiego kustosza o wystraszonym spojrzeniu. – Zakrystia – rzucił Burke bez wdawania się w rozmowę.

Mężczyzna zaprowadził go do przejścia i wskazał kierunek. Burke ujrzał sześciu ludzi z TPU stojących przy ścianach z bronią w dłoniach. Pokazał swoją odznakę i gestem nakazał im opuszczenie zakrystii. Wyciągnął rewolwer z kabury i wetknął go do kieszeni płaszcza, po czym zszedł po kilku stopniach do wejścia do korytarza. Powoli wysunął głowę zza rogu i zerknął do wnętrza kopulasto sklepionej zakrystii.

Policjant za jego plecami wyszeptał:

– U szczytu tych schodów czeka facet z thompsonem.

Burke ostrożnie wszedł do zakrystii, wzdłuż rzędu stołów pokrytych obrusami ołtarzowymi, stojących przy prawej ścianie. Za nimi widniał kolejny łukowaty otwór, przez który dojrzał słabo oświetlone, wieloboczne pomieszczenie z cegły i kamienia. Przesunął się ku drzwiom, idąc tak, by nie można było go dostrzec z klatki schodowej.

Echo stłumionych głosów zbiegało w dół schodów. Burke wiedział, że musi porozmawiać z Finnem MacCumaiem, ale zanim to zrobi, powinien sobie wszystko poukładać. Oparł się plecami o marmurową ścianę obok schodów i przysłuchiwał biciu swego serca. Kilkakrotnie nabrał powietrza w płuca, lecz nie był w stanie wykrztusić słowa. Jego dłoń zaciskała się na rewolwerze w kieszeni, wyciągnął więc rękę i przycisnął do ściany, by uspokoić jej drzenie. Spojrzał na zegarek. Minuta. Za minutę zawoła Finna MacCumaila.

Maureen siedziała w ławce z twarzą ukrytą w dłoniach, pomiędzy ojcem Murphym i kardynałem, sączącymi jej do uszu nieprzerwany strumień pocieszających słów. Baxter powrócił od stolika przy ołtarzu, na którym stała karafka z wodą.

– Proszę.

Maureen potrząsnęła głową i podniosła się gwałtownie.

– Zostawcie mnie samą. Wszyscy. Co wy możecie wiedzieć? Nie znacie ani połowy tego, co ja. Ale się dowiecie.

Kardynał skinął na pozostałą dwójkę i podążyli na drugą stronę prezbiterium, zatrzymując się przy tronie. Kardynał odezwał się cicho:

– Musi odnaleźć spokój swojej duszy. Wiele jest w niej niepokoju. Kiedy będzie potrzebować, przyjdzie do nas. – Spojrzał na ołtarz wznoszący się nad prezbiterium. – Bóg sprowadził nas wszystkich do swego domu i jesteśmy teraz w jego rękach. My tak samo jak i oni. Niech się dzieje jego wola, a nie nasza. Nie wolno nam prowokować tych ludzi i dawać im pretekstu do wyrządzenia krzywdy temu kościołowi albo nam.

Baxter odchrząknął.

– Naszym obowiązkiem jest uciekać, gdy tylko nadarzy się sposobność.

Kardynał obdarzył go lekko zniecierpliwionym spojrzeniem.

Obawiam się, że jesteśmy wyznawcami różnych filozofii. Mimo to, panie Baxter, zamierzam nalegać, by w moim kościele postępował pan tak, jak ja sobie tego życzę.

– Istnieje pewna niejasność, jak sądzę – odparł Baxter – dotycząca praw własności do tego kościoła w chwili obecnej, Wasza Eminencjo. – Odwrócił się do ojca Murphy’ego. – Co ojciec o tym myśli?

Ojciec Murphy zdawał się wahać, potem powiedział:

– Dyskutowanie na ten temat nie ma sensu. Jego Eminencja ma rację.

Baxter wyglądał na zrozpaczonego.

– Posłuchajcie... Musimy stawić jakiś opór, chociażby tylko psychiczny, i musimy przynajmniej planować ucieczkę, jeżeli mamy zachować zdrowe zmysły i szacunek dla samych siebie. To może trwać dni, nawet tygodnie, i jeśli wyjdę stąd żywy, chciałbym móc spojrzeć sobie w oczy w lustrze.

– Panie Baxter – zaczął kardynał – ci ludzie traktują nas stosunkowo dobrze, a pański sposób postępowania wywołałby odwet i...

– Traktują nas dobrze? Gównu mnie obchodzi, jak oni nas traktują. Oni nie mają prawa nas tu przetrzymywać.

– Ma pan oczywiście rację. – Kardynał skinął głową. – Proszę ani przez chwilę nie sądzić, bym wątpił w to, że ci ludzie zabiją mnie i ojca Murphy’ego równie chętnie jak pana i pannę Malone. Ale nie to jest ważne. Ważne jest to, że nie powinniśmy prowokować ich do popełnienia śmiertelnego grzechu zabójstwa. Równie ważne są dla mnie moje obowiązki jako stróża tego kościoła. To największa katolicka katedra w Ameryce, panie Baxter, „Domus Ecclesiae”, kościół matka, duchowe centrum katolicyzmu w Ameryce Północnej. Proszę spróbować myśleć o niej jak o opactwie westminsterskim.

Twarz Baxtera się zaczerwieniła.

– Mam obowiązek stawiać opór i będę to robił.

– Cóż, my nie mamy obowiązku toczenia wojny. – Kardynał przysunął się do Baxtera. – Czy nie może pan pozostawić tego w rękach Boga? Albo, jeżeli panu to nie odpowiada, w rękach przedstawicieli władz?

Baxter spojrzał mu prosto w oczy.

– Wyraziłem się chyba dostatecznie jasno.

Kardynał wydawał się zagubiony w myślach, po chwili jednak powiedział:

– Być może rzeczywiście zanadto troszczę się o ten kościół. Widzi pan, powierzono mi opiekę nad nim i, jak u każdego człowieka, wartość materialna wpływa na moje kalkulacje. Ale jesteśmy zgodni co do tego, że nie będziemy niepotrzebnie narażać życia ludzkiego?

– Oczywiście.

– Zarówno jeżeli chodzi o nas, jak i... – omiół ręką katedrę – o nich.

– Co do tego nie jestem całkowicie przekonany – stwierdził Baxter.

– Wszyscy są dziećmi Bożymi, panie Baxter.

– Doprawdy?

– Proszę przestać.

Długą ciszę przerwał głos Maureen Malone, która przeszła przez prezbiterium:

– Zapewniam pana, kardynale, że każdy z tych ludzi spłodzony był w piekle. Wiem o tym. Niektórzy z nich mogą się panu wydawać normalnymi mężczyznami i kobietami, weseli, dobroduszy Irlandczycy, słodkie słówka, melodyjny akcent i tak dalej. Może nawet pieśń czy wiersz. Ale oni są zdolni do tego, by zamordować nas wszystkich i spalić pański kościół. Być może nie potraficie pojąć realnego zła, lecz jedynie abstrakcyjne, ale w sanktuarium przebywa teraz szatan. – Obróciła wyciągniętą rękę i wskazała na Briana Flynna wspinającego się po stopniach do prezbiterium.

Flynn spojrzał na nich i uśmiechnął się.

– Czyżby ktoś wymienił moje imię?

Burke nabrał powietrza w płuca i krzyknął:

– Tu policja! Chcę rozmawiać z Finnem MacCumaiem!

Usłyszał, jak jego słowa odbijają się echem na klatce schodowej.

Odpowiedział mu głos z silnym irlandzkim akcentem:

– Stań przy bramie, ręce na kracie! Żadnych numerów. Burke ostrożnie podszedł bliżej klatki schodowej i ujrzał młodego mężczyznę, właściwie chłopaka, klęczącego na podeście przed drzwiami do krypty. Burke wspiął się wolno po schodach i położył dłonie na bramie z brązu. Pedar Fitzgerald skierował karabin maszynowy w dół schodów.

– Nie ruszaj się! – Odwrócił się i zawołał w górę: – Sprowadźcie Finna. Jest tu jakiś gościu, co chce z nim rozmawiać!

Burke obserwował przez chwilę młodego człowieka, potem rozejrzał się po pomieszczeniu. Schody rozdzielały się na lewo i prawo na podeście z drzwiami krypty. Nad drzwiami widniał tył ołtarza z wyrastającym nad nim olbrzymim krzyżem ze złota, zarysowującym się na tle przytłaczającego sklepienia katedry. Nikt nie przedostałby się przez bramę i po tych schodach. Zostałby rozsiekany na kawałki przez kierowany z góry ogień.

Usłyszał kroki na schodach z lewej strony. Pojawiła się wysoka postać, niesamowicie rysująca się na tle żółtego światła padającego zza oszklonych drzwi krypty. Minęła klęczącego chłopaka i powolnym krokiem zeszła po mrocznych, marmurowych schodach. Burke nie mógł dostrzec wyraźnie rysów jego twarzy, ale ujrzał teraz, że człowiek ten ma na sobie białą koszulę bez kołnierzyka i czarne spodnie, pozostałości stroju księdza. Burke odezwał się spokojnym głosem:

– Finn MacCumail? – Dla kogoś tak obeznanego z irlandzką historią jak on brzmiało to równie nedorzecznie, jak nazwanie kogoś Robin Hoodem.

– Zgadza się. – Wysoka postać zbliżała się nadal. – Wódz fenian.

Burke niemalże zareagował śmiechem na tę pompatyczność, ale jakaś moc bijąca z oczu mężczyzny powstrzymała go niczym wzrok hipnotyzera. Flynn zatrzymał się blisko bramy i spojrzał na Burke'a.

– A z kim mam przyjemność rozmawiać?

– Nadinspektor Burke, Departament Policji Nowego Jorku, Biuro Komisarza. – Odpowiedział śmiałym wzrokiem na palące spojrzenie głębokich, zielonych oczu mężczyzny, a potem przeniósł uwagę na jego prawą dłoń i ujrzał na niej wielki, brązowy pierścień.

– Wiem, kim pan jest... poruczniku – odparł Flynn. – I jest pan irlandzkiego pochodzenia, prawda? Ja też mam swój wywiad. To odrobinę irytujące, nieprawdaż? Cóż – uśmiechnął się – jeżeli ja mogę być wodzem fenian, wydaje mi się, że pan może być nadinspektorem.

Burke z pewną złością przypomniał sobie pierwszą zasadę negocjacji z porywaczami: nigdy nie daj się złapać na kłamstwie. Odpowiedział wolno odmierzanymi słowami:

– Powiedziałem tak jedynie po to, by przyspieszyć sprawę.

– Wspaniały powód do kłamstwa.

Jedynie kilka cali dzieliło dwóch mężczyzn, ale obecność kraty między nimi osłabiała wrażenie wzajemnego naruszania swojego terytorium. Pomimo to Burke czuł się niepewnie, choć nie cofnął dłoni z brązowych prętów.

– Czy zakładnicy mają się dobrze?

– Na razie tak.

– Chcę z nimi rozmawiać.

Flynn pokręcił głową.

– Oddano strzały. Kto zginął?

– Nikt.

– Czego chcecie? – zapytał Burke, choć żądania fenian i tak nie miały znaczenia, pomyślał, jako że i tak nie mogły być spełnione.

Flynn zignorował to pytanie.

– Jest pan uzbrojony?

– Oczywiście. Ale nie zapominam o tym thompsonie.

Flynn spojrzał ponad ramieniem porucznika w głąb korytarza.

– Wycofałem ich – rzekł Burke.

Flynn skinął aprobowująco głową.

– Jeżeli powie mi pan, czego chcecie – zaczął Burke – dopilnuję, by wasze żądania zostały przekazane na samą górę.

Zdawał sobie sprawę, że działa poza swoim terenem, ale wiedział też, że musi ustabilizować sytuację, dopóki negocjator, Bert Schroeder, nie przejmie prowadzenia sprawy.

Flynn stukał palcami po prętach w nerwowy i zarazem denerwujący sposób, jego brązowy pierścień dźwięczał metalicznie.

– Dlaczego nie mogę rozmawiać bezpośrednio z kimś wyższym stopniem?

Porucznikowi wydało się, że słyszy w jego głosie szyderczą nutę.

– Nie mają łączności. Gdybyście zaprzestali zakłócania...

Flynn zaśmiał się i błyskawicznie zmienił temat:

– Czy ktoś zginął?

Burke poczuł, że dłonie kleją mu się do prętów.

– Może w tłumie... Komisarz Dwyer... zmarł na atak serca. Nie będziecie w to zamieszani
– dodał szybko – jeżeli skapitulujecie. Osiągnęliście swój cel.

– Nie zaczęliśmy się nawet do niego zbliżać. Czy ci ludzie na koniu zostali ranni?

– Nie. Jednym z nich byłem ja.

Flynn zachichotał.

– Czyżby? – Zamyślił się na chwilę. – Cóż, to pewna różnica.

– Dlaczego?

– Powiedzmy, iż mniej prawdopodobne staje się podejrzenie, że pracuje pan dla pewnego znanego mi angielskiego dżentelmena. Ma pan przy sobie nadajnik? Jakies urządzenia podsłuchowe w korytarzu?

– Nie mam mikrofonu. O korytarzach nic nie mogę powiedzieć.

Flynn wyjął z kieszeni detektor mikrofonów w kształcie ołówka i przesunął go wzdłuż ciała Burke'a, a przed schowaniem skierował jeszcze jego wylot w głąb pomieszczenia za plecami porucznika.

– Myślę, że mogę panu ufać, nawet jeśli jest pan oficerem wywiadu specjalizującym się w polowaniu na irlandzkich patriotów, takich jak ja.

– Wykonuję tylko moją pracę.

– Tak. Za dobrze nawet. – Spojrzał na Burke'a z pewnym zainteresowaniem. – Uniwersalny pies gończy. Uparty, wścibski, węszący na boki. Zawsze chcący o wszystkim wiedzieć. Znałem takich jak pan w Londynie, Belfaście i Dublinie. – Zmierzył Burke'a wzrokiem, potem sięgnął do kieszeni i przepchnął przez kraty kawałek papieru. – Nadaje się pan do tego równie dobrze, jak ktokolwiek inny. Oto lista nazwisk stu trzydziestu siedmiu mężczyzn i kobiet przetrzymywanych przez Brytyjczyków w obozach dla internowanych w Irlandii Północnej i Anglii. Chcę, by ci ludzie zostali zwolnieni przed wschodem słońca. To szósta zero trzy, według czasu nowojorskiego. Chcę, by przewieziono ich do Dublina, by rządy brytyjski i irlandzki udzieliły im amnestii i by otrzymali azyl na Południu, jeżeli taka będzie ich wola. Transport nadzorować ma Międzynarodowy Czerwony Krzyż i Amnesty International. Kiedy te dwie organizacje przekażą mi informację o spełnieniu naszych żądań, zwrócimy wam waszą katedrę i uwolnimy zakładników. Jeżeli nie stanie się to do wschodu słońca, zrzucę sir Harolda Baxtera ze szczytu dzwonnicy, a po nim, w przypadkowej kolejności, kardynała, ojca Murphy'ego i Maureen Malone. Później spalę katedrę. Wierzy mi pan, poruczniku Burke?

– Wierzę panu.

– Dobrze. To ważne, by pan wiedział, że każdy z moich fenian ma przynajmniej jednego krewnego na internowaniu. Ważne też, by wiedział pan, że nic nie jest dla nas święte, ani kościół, ani księża, ani życie ludzkie, ani ludzkość jako całość.

– Wierzę, że zrobi pan to, co zapowiada.

– Dobrze. I niech pan przekaże nie tylko tę listę, ale także treść i ducha tego, co mówię. Rozumie pan?

– Rozumiem.

– Tak, myślę, że pan rozumie. A teraz, jeśli chodzi o nas, mamy zamiar połączyć się z naszymi bliskimi, tak więc nie odpowiada nam zamiana ich uwięzienia na nasze. Chcemy immunitetu chroniącego nas przed postępowaniem karnym. Wyjdziemy stąd, przejedziemy na lotnisko Kennedy’ego własnymi środkami transportu i opuścimy Nowy Jork każdy w innym kierunku. Mamy paszporty i pieniądze i nie chcemy od waszego rządu niczego oprócz listu żelaznego. Jasne?

– Tak.

Flynn przycisnął się do prętów, tak że jego twarz znalazła się blisko Burke’a.

– Wiem, o czym pan myśli, poruczniku Burke, przegadamy ich, czy będziemy musieli ich rozwalić? Wiem, że pański rząd i Departament Policji są dumni ze swej wspaniałej tradycji nieustępowania wobec żądań stawianych pod groźbą użycia broni. Ale ta tradycja zostanie złamana, zanim wzejdzie słońce. Widzi pan, mamy w ręce wszystkie karty, jak to wy mówicie, waleta, damę, króla, asa i katedrę.

– Zastanawiałem się na temat rządu brytyjskiego...

– To jest problem Waszyngtonu, nie mój.

– To prawda.

– Od tej chwili porozumiewacie się ze mną wyłącznie przez wewnętrzny telefon przy organach w prezbiterium. Nie chcę widzieć tu na dole żadnego ruchu.

Burke skinął głową.

– I lepiej zorganizujcie jakąś strukturę dowodzenia, zanim wasi kowboje czegoś spróbują.

– Dopilnuję, by do tego nie doszło – odparł Burke.

– Niech pan zostanie w pobliżu, poruczniku. Będzie mi pan później potrzebny. – Flynn odwrócił się i wolnym krokiem wszedł po schodach, znikając za zakrętem na klatce schodowej po prawej stronie.

Burke spojrział na klęczącego mężczyznę z thompsonem, a ten machnął lufą, nakazując mu odejść. Burke był zadowolony, że nie będzie już więcej musiał mieć do czynienia z człowiekiem o nazwisku Brian Flynn ani też z osobowością Finna MacCumaila, i zrobiło mu się żal Berta Schroedera, którego to dopiero czekało.

Bert Schroeder stał przy fontannie na Grand Army Plaza, ćmiąc grube, krótkie cygaro. Rzadki śnieg opadał na jego szerokie barki i wsiąkał w płaszcz. Kapitan przyglądał się

tłumowi przelewającemu się powoli przez oświetlone ulice naokoło niego. Pewien porządek został już zaprowadzony, ale wątpił, czy uda mu się wpaść po córkę i razem pojechać na rodzinne przyjęcie.

Oddział, z którym maszerował – hrabstwo Tyrone, ojczyzna przodków jego matki – rozproszył się i zniknął, tak że stał teraz sam, czekając, wiedząc, iż jego instynkt się nie myli, mówiąc mu, że wkrótce zostanie wezwany. Spojrzał na zegarek, a potem przepchnął się do wozu patrolowego zaparkowanego przy Piątej Alei i pochylił do okna.

– Coś nowego?

Policjant podniósł wzrok.

– Nie, kapitanie. Radio nadal nie działa.

Schroeder poczuł pewien gniew wynikający z niegodnego zakończenia parady, ale nie bardzo wiedział, przeciw komu go skierować.

– Tłum jest już wystarczająco rzadki, więc mogę pana gdzieś zawieźć, jeśli pan chce – dodał policjant.

Schroeder rozważył to i odparł:

– Nie. – Postukał palcami w wywoływacz u pasa. – To coś nadal powinno być w stanie odebrać sygnał. Ale bądźcie w pobliżu, na wypadek gdybym was potrzebował.

Jakby odpowiadając na jego oczekiwanie, wywoływacz odezwał się nagle. Schroeder wyrzucił cygaro i wyłączył urządzenie. Kierowca wozu patrolowego zawołał:

– Ktoś kogoś zgarnął, kapitanie. Wchodzi pan do gry.

Schroeder stwierdził, że zaschło mu w gardle.

– Taak, wchodzę do gry.

– Podrzucić pana?

– Co? Nie... muszę... zadzwonić.

Spróbował się uspokoić. Spojrzał na jasno oświetlony hotel Plaza po drugiej stronie placu i pobiegł w jego stronę. Po drodze przychodziły mu do głowy dziesiątki scenariuszy, jak zwykle w wypadkach, gdy otrzymywał wezwanie. Zakładnicy. Kto? Gubernator? Burmistrz? Kongresmani? Ludzie z ambasady? Odrzucił te spekulacje, gdyż czego by sobie nie wyobrażał, kiedy odzywał się wywoływacz, dzwonił telefon czy też radio podawało jego nazwisko, rzeczywistość zawsze okazywała się odmienna. Schroeder był pewien tylko tego, że wkrótce będzie się targować zawzięcie o czyjeś życie i że będzie to robić przy maksymalnym nagłośnieniu sprawy przez mass media i pod krytycznymi spojrzeniami wszystkich polityków i wyższych urzędników policji w mieście.

Schody do hotelu pokonał susami, przebiegł przez zatłoczony hol i w dół schodów, ku rzędomi automatów telefonicznych przed sklepem Trader Vic. Wokół telefonów kłębił się tłum, ale Schroeder przepchnął się przezeń i wyszarpnął jakiemuś mężczyźnie słuchawkę z ręki.

– Policja! Odsunąć się!

Wykręcił numer specjalnej centrali i podał telefonistce numer w Police Plaza. Długo czekał na połączenie. W tym czasie zapalił kolejne cygaro, spacerując nerwowo tak, jak mu na to pozwalał przewód telefonu. Czuł się niczym aktor czekający na pójście kurtyny w górę, niepewny co do stopnia opanowania wyuczonych kwestii, zdenerwowany potencjalnymi zagrożeniami płynącymi z improwizacji. Jego serce było jak oszalałe, usta miał suche, a dłonie wilgotne. Nienawidził tego, a jednocześnie kochał – czuł, że żyje.

Na drugim końcu linii zadzwonił telefon i dyżurny podoficer odebrał go. Schroeder zapytał cicho:

– Co jest grane, Dennis?

Słuchał w milczeniu, po czym powiedział ledwie słyszalnym głosem:

– Będę na plebanii za jakieś dziesięć minut.

Odwiesił słuchawkę i oparł się plecami o ścianę, potem wydostał się z tłumu i ruszył po schodach do holu. Tam zatrzymał się i stał przez chwilę zgarbiony. Wreszcie jego ciało wyprostowało się, oczy ożyły, a oddech powrócił do normy. Tryskając pewnością siebie, wyszedł przez główne drzwi i wsiadł do samochodu policyjnego, który przyjechał w ślad za nim.

– Kiepsko, kapitanie? – zapytał kierowca.

– Za każdym razem jest kiepsko. Plebania Świętego Pata, na Madison. Gaz do dechy.

Biura prałata Downesa szybko zapełniały się ludźmi. Burke stał przy oknie zewnętrznego pomieszczenia, sącząc kawę z filiżanki. Weszli burmistrz Kline i gubernator Doyle, obaj bardzo bladzi, otoczeni wianuszkami współpracowników. Burke rozpoznawał twarze kolejnych osób, pojawiających się w drzwiach z pewnym wahaniem, jak przy wejściu do zakładu pogrzebowego. Prawdę mówiąc, pomyślał, podczas gdy ludzie wlewali się do środka stałym strumieniem i wymieniali przyciszone powitania, atmosfera coraz bardziej przypominała czuwanie przy zmarłym, z tą jedynie różnicą, że wszyscy ubrani byli nadal w prochowce z zielonymi goździkami w klapach – i nie było też żałobników, którym można by składać kondolencje, choć, jak zauważył, prałat Downes bliski był odgrywania tej roli.

Burke spojrział w dół, na Madison Avenue. W padającym śniegu setki policjantów gromadziło się naokoło plebanii. Wozy policyjne i limuzyny podjeżdżały do krawężnika, wysadzając wyższych oficerów policji i cywilnych urzędników. Kompania telefoniczna przeciągała kable, policjanci, rozwijali przewody telefonów polowych, by zrekompensować utratę łączności radiowej.

– Cześć, Pat.

Burke okręcił się na pięcie.

– Czołem, Langley. Jezu, dobrze jest spotkać kogoś, kto nie przewyższa mnie zanadto rangą.

Langley się uśmiechnął.

– Twoja robić kawa i opróżniać popielniczki?
– Wprowadzono cię na bieżąco?
– Pokróćce. Co za pieprzony burdel. – Rozejrzył się po apartamencie prałata. – Przypomina to „Kto jest kim na Wschodnim Wybrzeżu”. Czy komisarz Dwyer już dotarł?
– Mała nadzieja. Umarł na atak serca.
– Chryste! Nikt mi o tym nie powiedział. Więc mówisz, że ten dupek Rourke teraz rządzi?
– Gdy tylko się tu zjawi.
– Jest tuż za mną. Posadziliśmy helikopter na podwórzu hotelu Palace. Chryste, powinieneś być widzieć, jak to wyglądało z powietrza.
– Taak, wydaje mi się, że wołałbym raczej oglądać to z powietrza. – Burke zapalił papierosa.
– Mamy kłopoty?
– Raczej nie zaproszą nas w lipcu na wręczanie medali.
– To masz jak w banku.
Burke strzepnął popiół na parapet.
– Ale nie wypadliśmy jeszcze z gry.
– Ty może nie. Pod tobą zastrzelono konia, pode mną niestety nie. Nie widziałeś jakiegoś w okolicy?
– Mam pewne informacje od Jacka Fergusona, które możemy wykorzystać, kiedy wezmą nas na dywanik. – Chwycił Langleya za ramię i przyciągnął do siebie. – Prawdziwe nazwisko Finna MacCumaila to Brian Flynn. Jest byłym kochankiem Maureen Malone.
– Ach – powiedział Langley. – Byłym kochankiem. To zaczyna być interesujące.
Burke ciągnął dalej:
– Zastępcą Flynnna jest John Hickey...
– Hickey nie żyje – przerwał mu Langley. – Umarł parę lat temu, miał pogrzeb w Jersey.
– Dla niektórych ludzi urządzenie własnego pogrzebu przed swym zgonem ma pewne plusy.
– Może Ferguson się mylił.
– Widział dziś Hickeya u Świętego Patryka. On się nie myli.
– A więc rozkopiemy grób. – Langley zadrżał i odsunął się od okna. – Zdobędę nakaz sądowy.
Burke wzruszył ramionami.
– Jeżeli znajdziesz dziś w Jersey trzeźwego sędziego, sam go rozkopię. W każdym razie informacje o Hickeyu są w drodze, a Louise sprawdza Briana Flynnna.
– Dobra robota. Brytyjczycy mogą nam pomóc z Flynnem.
– Słusznie... major Martin.
– Widziałeś go?

Burke skinął głową w stronę podwójnych drzwi.

– Kto jeszcze tam jest? – zapytał Langley.

– Schroeder i parę szych z policji, federalni, a także ludzie z konsulatu brytyjskiego i irlandzkiego.

Gdy mówił, burmistrz Kline, gubernator Doyle i ich współpracownicy weszli do wewnętrznego biura. Langley przyjrzał się im i spytał:

– Schroeder zaczął już negocjacje?

– Nie sądzę. Przekazałem mu żądania MacCumaila... Flynna. Uśmiechnął się i kazał mi poczekać na zewnątrz. Oto więc jestem.

Zastępca komisarza policji, Rourke, przeszedł pospiesznie przez pokój do wewnętrznego pomieszczenia, wzywając ręką Langleya, by poszedł za nim. Ten odwrócił się do Burke'a.

– Nadśłuchuj dźwięku głów toczących się po podłodze. Możesz stać się następnym szefem wywiadu. Mam wizję Patricka Burke'a uchwyconego na wieki w statule z brązu, na stopniach Świętego Patryka, na grzbiecie konia z nozdrzami zionącymi ogniem, szarżującego...

– Odpierdol się.

Langley zaśmiał się i odszedł. Burke spojrzał na krążących po pokoju ludzi i zwrócił uwagę na prałata Downesa, wciąż siedzącego za biurkiem. Podeszedł do niego.

– Wasza Wielbność...

Kapłan podniósł wzrok.

– Czuje się ojciec lepiej?

– Dlaczego policja nie wiedziała, że to ma się zdarzyć?

Burke odrzucił kilka wersji odpowiedzi i odrzekł wreszcie:

– Powinniśmy byli wiedzieć. Mieliśmy to jak na dłoni i gdyby tylko...

W podwójnych drzwiach stanął Langley, kiwając na Burke'a. Porucznik spojrzał na prałata.

– Niech ojciec idzie ze mną.

– Czemu?

– To ojca kościół i ma ojciec prawo wiedzieć, co się z nim stanie. Ojca kardynał i jeden z księży są w środku...

– Księża czasami denerwują niektórych ludzi. Przeszkadzają... mimowolnie.

– Świetnie. Ta grupa może tego potrzebować.

Prałat Downes podniósł się niechętnie i wszedł za Burke'em do wewnętrznego biura. W wielkim pomieszczeniu stało lub siedziało około czterdziestu osób, wszyscy zgromadzeni wokół biurka, za którym siedział Schroeder. Gdy weszli Burke i prałat Downes, głowy obecnych zwróciły się w ich kierunku.

Burmistrz Kline podniósł się z krzesła i podsunął je Downesowi, który zarumienił się i usiadł szybko. Burmistrz uśmiechnął się zadowolony z własnej uprzejmości i dobrego

wychowania, a potem uniósł ręce w górę, prosząc o ciszę. Zaczął mówić swoim chrapliwym głosem i wszyscy skrzywili się odruchowo.

– Jesteśmy w komplecie? W porządku. Zaczynamy. – Odchrząknął. – A więc, uznaliśmy wszyscy, że zgodnie z prawem miasto Nowy Jork odpowiedzialne jest za wszelkie akcje w tej sprawie. – Zerknął na swoją współpracowniczkę, Robertę Spiegel. Ta skinęła głową, ciągnął więc dalej: – Aby uniknąć zamieszania, będziemy przemawiać do przestępców jednym głosem, poprzez jednego człowieka... – przerwał i zawiesił głos, jakby przedstawiał kolejnego mówcę – ...negocjatora Departamentu Policji Nowego Jorku... kapitana Berta Schroedera.

Popis burmistrza wywołał rzadkie oklaski, które ucichły zaraz, gdy stało się jasne, że jest to nie na miejscu. Roberta Spiegel posłała burmistrzowi pełne dezaprobaty spojrzenie i Kline się zaczerwienił. Schroeder powstał i podziękował za oklaski. Burke szepnął do Langleya:

– Czuję się jak specjalista od chorób odbytnicy w pokoju pełnym dupków.

Schroeder przyjrzał się zwróconym ku sobie twarzom i wziął głęboki oddech.

– Dziękuję panu, panie burmistrzu. – Jego wzrok wędrował po zebranych. – Zaraz zacznę negocjacje z człowiekiem, który nazywa siebie Finnem MacCumaiem, wodzem fenian. Jak może państwo wiedzą, od kiedy kapitan Frank Bolz zorganizował mój wydział, wszystkie przypadki zakładników w tym mieście rozwiązane zostały pomyślnie, bez utraty choćby jednego zakładnika. – Na widok ludzi kiwających głowami jego przerażenie się ulotniło. Wyobraził sobie siebie kończącego sukcesem kolejne zadanie. Nadał głosowi bardziej agresywne brzmienie. – A skoro nie ma powodu, by zmieniać taktykę, która dotychczas okazała się tak skuteczna w kontaktach z porywaczami działającymi zarówno z przestępczych, jak i politycznych pobudek, potraktuję ten przypadek jak jeden z wielu. Nie będę brał pod uwagę nie związanych ze sprawą względów politycznych... ale oczekuję pomocy i sugestii z waszej strony. – Spojrzał na zgromadzonych, napotykał spojrzenia wyrażające całą gamę uczuć, od otwartej wrogości do aprobaty.

– Nieźle – mruknął Burke do Langleya.

– Jest pełen gówna – odparł Langley. – To najbardziej układny facet, jakiego znam.

Schroeder kontynuował:

– Aby ułatwić sobie pracę, chciałbym, by pomieszczenie to opuścili wszyscy oprócz wymienionych. – Wziął listę napisaną na papeterii prałata Downesa i odczytał ją, a potem podniósł wzrok. – Ustalono także, że koordynatorzy operacji polowych zajmą jako kwaterę główną niższe kondygnacje plebanii. Ludzie związani z negocjacjami, którzy nie pozostaną ze mną w tym biurze, przebywać będą w zewnętrznych apartamentach prałata. Rozmawiałem przez telefon z kanclerzem biskupim, który zgodził się, by pozostali przenieśli się do rezydencji kardynała. – Schroeder spojrział na prałata Downesa i mówił dalej: – W rezydencji zakładane są telefony, a... posiłki podawane będą w jadalni Jego Eminencji. Głośniki zostaną zainstalowane w obu rezydencjach, by łatwiej było wezwać potrzebne osoby i byście mogli, państwo, przysłuchiwać się moim rozmowom z przestępcami.

Gdy Schroeder usiadł, pomieszczenie wypełniło się hałasem. Burmistrz uniósł dłonie w górę, prosząc o ciszę.

– W porządku. Zostawmy kapitana, by wypełniał swoje zadanie. Wszyscy, pan, gubernatorze, panie, panowie, opuśćcie proszę pokój. Świetnie. O to chodzi. – Burmistrz podszedł do drzwi i otworzył je.

Schroeder otarł skroń i odczekał, aż pozostałe w pomieszczeniu osoby się usadowią.

– Dobrze. Wiecie, państwo, kim ja jestem. Proszę się kolejno przedstawić. – Wskazał na jedyną kobietę.

Roberta Spiegel, przystojna kobieta po trzydziestce, rozsiadła się w fotelu na biegunach i założyła nogę na nogę, roztaczając atmosferę znudzenia, zmysłowości i przedsiębiorczości zarazem.

– Spiegel. Współpracowniczka burmistrza.

Niski mężczyzna o ogniste rudy włosach ubrany w tweedowy garnitur powiedział:

– Tomas Donahue, konsul generalny Republiki Irlandzkiej.

– Major Bartholomew Martin, reprezentuję rząd Jej Królewskiej Mości podczas... nieobecności sir Harolda Baxtera.

– James Kruger, CIA.

Muskularny mężczyzna o pokrytej śladami po ospie twarzy przedstawił się jako Douglas Hogan z FBI, natomiast pucołowaty, młody mężczyzna w okularach jako Bili Voight, przedstawiciel gubernatora.

Dobrze ubrany mężczyzna z nosowym akcentem powiedział:

– Arnold Sheridan, Biuro Bezpieczeństwa Departamentu Stanu, reprezentuję władze federalne.

W kolejności się zaprezentowali:

– Kapitan Bellini, NYPD, Jednostki Specjalne.

– Inspektor Philip Langley, NYPD, Wydział Wywiadu.

– Burke, NYPD, Wywiad.

Schroeder spojrzał na prałata, który nie wyszedł z pozostałymi. Kapitan przyglądał mu się przez chwilę, siedząc za jego biurkiem, mając po prawej ręce stos czystego papieru ozdobionego złotym krzyżem, potem uśmiechnął się i powiedział:

– I nasz, można by rzec, gospodarz, prałat Downes, proboszcz parafii Świętego Patryka. Dobrze, że ojciec... przyszedł... i pozwolił nam skorzystać z... Zostanie ojciec?

Prałat Downes skinął z wahaniem głową.

– W porządku – powiedział Schroeder. – W porządku. A więc, zacznijmy od początku. Burke, po jaką cholere otwierałeś negocjacje? Nie jesteś przecież aż tak głupi.

Burke poluźnił krawat i wyprostował się na krześle. Schroeder doszedł do wniosku, że to pytanie mogło być odebrane jako retoryczne, więc kontynuował:

– Niczego nie obiecywałeś, prawda? Nie powiedziałeś niczego, co mogłoby skompromitować...

– Mówiłem ci już, co mu powiedziałem – przerwał mu Burke.

Schroeder zeszytniał. Zerknął na Burke'a i rzekł:

– Powtórz, proszę, waszą rozmowę i powiedz też, jak wyglądał, coś o jego kondycji psychicznej i tym podobne.

Burke powtórzył – to, co zrelacjonował już wcześniej, i dodał:

– Wydawał się niezwykle pewny siebie i nie była to brawura. Robił też wrażenie inteligentnego.

– Nie wyglądał na niezrównoważonego? – zapytał Schroeder.

– Jego zachowanie wydawało się zupełnie normalne, oprócz tego, co mówił, oczywiście.

– Narkotyki, alkohol? – nie ustępował Schroeder.

– Prawdopodobnie wypił dzisiaj mniej od nas wszystkich.

Ktoś zachichotał. Schroeder zwrócił się do Langleya:

– Nie zdołamy znaleźć drogi dojścia do tego faceta, dopóki nie poznamy jego prawdziwego nazwiska. Zgadza się?

Langley zerknął na Burke'a, potem na zastępcę komisarza.

– Prawdę mówiąc, wiem, kim on jest.

Burke posłał ukradkowe spojrzenie w stronę majora Martina, który siedział z obojętnym wyrazem twarzy. W pomieszczeniu zrobiło się cicho.

– Nazywa się Brian Flynn – kontynuował Langley. – Brytyjczycy z pewnością będą mieli coś na jego temat, psy-profil czy coś w tym rodzaju. Może i CIA też coś ma. Jego zastępcą jest człowiek o nazwisku John Hickey, oficjalnie zmarły kilka lat temu. Możliwe, że o nim słyszeliście. To naturalizowany obywatel amerykański. My w FBI dysponujemy wyczerpującymi danymi na temat Hickeya.

– Sprawdzę to – odezwał się człowiek z FBI, Hogan.

– A ja sprawdzę Flynną – dodał Kruger.

– Oba nazwiska wydają się znajome – stwierdził major Martin. – Zatelegrafuję do Londynu.

Schroeder wyglądał na nieco bardziej zadowolonego.

– Świetnie. Dobra robota. To znacznie ułatwia moje zadanie... nasze zadanie. Zgadza się?

– Odwrócił się do Burke'a. – Jeszcze jedno. Czy odniosłeś wrażenie, że kobieta, która do ciebie strzelała, chciała cię zabić?

– Miałem wrażenie, że celowała do konia. Obowiązuje ich chyba pewna dyscyplina przy używaniu broni, jeżeli do tego zmierzasz.

Znajdujący się w pokoju policjanci pokiwali głowami. Odezwał się komisarz Rourke:

– Czy ktoś wie cokolwiek na temat fenian? – Popatrzył na Hogana i Krugera.

Kruger zanim odpowiedział, zerknął na majora Martina.

– Nie mamy prawie żadnych funduszy na utrzymywanie sekcji informacyjnej specjalizującej się w sprawach Irlandii Północnej. Zdecydowano, że IRA nie przedstawia bezpośredniego zagrożenia dla Stanów Zjednoczonych i środki zapobiegawcze uznano za nieuzasadnione. Na nieszczęście, przychodzi nam teraz zapłacić za tę oszczędność.

Douglas Hogan dodał:

– Dopóki major Martin nie zasugerował innej ewentualności, FBI sądziło, że może to być robota Tymczasowej IRA. Moja sekcja, specjalizująca się w irlandzkich organizacjach w Ameryce, ma braki kadrowe i w zdobywaniu informacji jest częściowo uzależniona od brytyjskiego wywiadu.

Burke pokiwał do siebie głową. Zaczynał rozumieć, o co tu chodzi. Kruger i Hogan udawali potulnych, ograniczając się do uwag w stylu: „A nie mówiłem?” Przygotowywali dla siebie przykrywkę, ćwiczyli przed późniejszymi zeznaniami i kładli fundamenty pod przyszłe konstrukcje. Sprytnie pomyślane.

Komisarz Rourke spojrzął na majora Martina.

– A więc pan jest... to znaczy... pan nie jest...

Martin uśmiechnął się i powstał.

– Nie, w rzeczywistości nie jestem pracownikiem konsulatu, lecz oficerem brytyjskiego wywiadu wojskowego. Wolałbym jednak, by to się nie rozniosło. – Rozejrzał się po pokoju i zatrzymał wzrok na Langleyu. – Informowałem inspektora Langleya, że się coś... jak to się mówi?... święci. Ale niestety...

– O tak – rzekł cierpko Langley – major okazał się bardzo pomocny, tak jak CIA i FBI. Mój wydział też spisał się bez zarzutu i jedynie minut brakło, by przeszkodzić im w akcji. Porucznikowi Burke’owi należy się pochwała za pomysłowość i odwagę.

Zapadła cisza. Burke nie słyszał, by ktokolwiek wykrzykiwał „Niech żyje Burke!” Przyszło mu na myśl, że każdy z obecnych ustala własną hierarchię celów, swoje słabe punkty, poszukuje sprzymierzeńców, kozłów ofiarnych oraz wrogów i stara się znaleźć sposób wyciągnięcia korzyści z tej sytuacji.

– Powiedziałem Flynnowi, że nie będzie musiał długo czekać.

– Nie rozpocznę dialogu dopóty, dopóki nie wypracujemy czytelnego stanowiska – warknął Schroeder i odwrócił się do Billa Voighta. – Czy gubernator wspominał, że byłby skłonny udzielić im immunitetu prawnego?

– Nie w tej chwili.

Schroeder zwrócił się do Roberty Spiegel:

– Jakie jest stanowisko burmistrza co do wykorzystania policji?

Roberta Spiegel zapaliła papierosa.

– Niezależnie od efektów negocjacji z Londynem, Waszyngtonem czy kimkolwiek innym, burmistrz wyegzekwuje przestrzeganie prawa i poleci aresztować każdą osobę

opuszczającą katedrę. A jeżeli sami nie wyjdą, burmistrz zastrzega sobie prawo wysłania policji, by ich zmusiła do tego.

Schroeder pokiwał w zamyśleniu głową i spojrzął na Arnolda Sheridana. Przedstawiciel Departamentu Stanu powiedział:

– Nie mogę wypowiadać się w tej chwili w imieniu administracji rządowej i nie wiem też, jakie stanowisko zajmie prokurator generalny w sprawie zwolnienia ich od odpowiedzialności przed sądem federalnym. Przypuszczam jednak, że nikt w Waszyngtonie nie zgodzi się na żadne z ich żądań.

Schroeder popatrzył na Tomasa Donahue. Irlandzki konsul generalny zerknął na majora Martina i rzekł:

– Irlandzka Armia Republikańska jest w Republice Irlandzkiej wyjęta spod prawa i mój rząd nie przyjmie członków IRA ani też nie zaoferuje im schronienia, gdyby, co wydaje się mało prawdopodobne, rząd brytyjski zdecydował się uwolnić tych ludzi.

Major Martin dodał:

– Chociaż nie reprezentuję rządu Jej Królewskiej Mości, mogę państwa zapewnić, że pozycja rządu wobec IRA, czy też jak się teraz nazywają, pozostaje niezmienna, czyli żadnych negocjacji, a w wypadku negocjacji żadnych ustępstw, natomiast w wypadku ustępstw żadnych informacji na ten temat udzielonych drugiej stronie.

– A zatem, skoro już wiemy, jakimi to nieustraszywymi sukinsynami jesteśmy, zaczynamy negocjacje – podsumowała Roberta Spiegel.

Komisarz Rourke powiedział do Schroedera:

– Tak, teraz jedyne, co możesz zrobić, to przegadać ich, Bert. Wciągnęli w to Czerwony Krzyż i Amnesty, a więc nie możemy tak po prostu ich okłamywać. Musisz być bardzo... bardzo... – Nie mógł znaleźć właściwego słowa. Zwrócił się więc do kapitana Belliniego, który dotychczas nie zabrał jeszcze głosu: – Kapitanie, czy w razie niepowodzenia misji Berta ESD gotowe jest do przeprowadzenia... ataku?

Bellini poruszył swe masywne ciało na niewielkim krześle. Niebieskoczarny zarost na jego twarzy nadawał mu zacięty wygląd.

– Taa... tak, komisarzu. Kiedy nadejdzie czas, będziemy gotowi.

Schroeder sięgnął do telefonu.

– W porządku. Wiem, jakie jest stanowisko każdego z państwa, zgadza się?

– Czy mogę coś powiedzieć? – odezwał się prałat Downes.

Wszyscy spojrzeli na niego. Schroeder zdjął dłoń ze słuchawki, uśmiechnął się i skinął głową. Downes przemówił łagodnym tonem:

– Nikt jeszcze nie wspomniał ani słowem o zakładnikach. Ani o katedrze. – W pomieszczeniu zapadła cisza, prałat Downes ciągnął dalej: – Jeżeli, jak zakładam, przede wszystkim zależy państwu na zakładnikach i jeżeli przedstawicie to jasno swoim

przełożonym i ludziom w katedrze, nie rozumiem, dlaczego nie można by wypracować kompromisu. – Rozejrzył się po pokoju.

Nikt nie podjął się wytłumaczenia biskupowi meandrów dyplomacji międzynarodowej.

– Nie straciłem jeszcze ani jednego zakładnika, ani, skoro już o tym mowa, budynku – powiedział Schroeder. – Często można dostać to, czego się pragnie, nie dając niczego w zamian.

– Och... nie wiedziałem o tym – odparł cicho prałat Downes.

– Prawdę mówiąc – ciągnął Schroeder dodającym otuchy tonem – taktyka, jaką mam zamiar obrać, zbliżona jest do tego, co ojciec proponuje. Proszę zostać w pobliżu, a przekona się ojciec, jak to się robi. – Podniósł słuchawkę i poczekał na zgłoszenie się policyjnego operatora w centrali. Rozejrzył się po pokoju i dodał: – Proszę się nie niepokoić, jeżeli wyda się państwu, że Flynn zdobywa przewagę. Musi odnosić wrażenie, że to on punktuje. Do świtu się zmęczy. Czy łowiliście może kiedyś rekiny? Pozwala im się ciągnąć linę tak długo, dopóki nie jest się gotowym wywlec je na pokład. – Zgłosił się operator i Schroeder powiedział: – Połączcie mnie z telefonem przy organach w prezbiterium. – Oparł łokcie na biurku i czekał.

Nikt w pomieszczeniu nawet nie drgnął.

Gubernator Doyle odłożył słuchawkę i rozejrzył się po zatłoczonym zewnętrznym biurze. Zauważył burmistrza Kline'a, rozmawiającego z grupą urzędników policyjnych i cywilnych, i podszedł do niego, chwytając go mocno za rękę.

– Murray, muszę z tobą pomówić.

Obaj mężczyźni przepchnęli się na korytarz i wyszli na podest klatki schodowej prowadzącej do pomieszczeń dla księży. Tam burmistrz wyzwolił się wreszcie z uścisku gubernatora i zapytał:

– O co chodzi, Bob? Mam dużo rzeczy do załatwienia.

– Właśnie rozmawiałem z Albany. Głównym źródłem ich niepokoju jest masowe łamanie prawa przez obywateli.

– Nie sądziłem, że w Albany mieszka dość ludzi, by wywołać zamieszki.

– Nie, tutaj. Na Manhattanie. Ten tłum na zewnątrz może znowu eksplodować... przy tej ilości wypitego alkoholu...

Burmistrz się uśmiechnął.

– Co sprawia, że ta noc świętego Patryka jest odmienna od wszystkich innych?

– Posłuchaj, Murray, to nie pora na mędrkowanie. Zajęcie katedry może być jedynie przygrywką przed poważniejszym powstaniem ludowym. Uważam, że powinienes ogłosić godzinę policyjną.

– Godzinę policyjną? Oszalałeś? Masa ludzi wciąż próbuje wydostać się z Manhattanu.

– To przesun ją na późniejszą porę. – Gubernator ściszył głos: – Moi analitycy twierdzą, że jedynie śnieg chłodzi rozgrzane głowy. Kiedy przestanie padać, opróżnią się bary i możemy mieć kłopoty...

Burmistrz przybrał niedowierzającą minę.

– Nie obchodzi mnie, co mówią twoi analitycy w Albany. Na miłość boską, to Dzień Świętego Patryka w Nowym Jorku. Największa parada na świecie, jeżeli nie liczyć pochodu pierwszomajowego w Moskwie, właśnie się zakończyła. Największa impreza w Nowym Jorku, a może i w całej Ameryce, właśnie się zaczyna. Ludzie planują sobie ten dzień przez cały rok. W samym centrum przebywa ponad milion ludzi, zgromadzonych w barach, restauracjach i na domowych przyjęciach. Dzisiejszej nocy konsumuje się więcej alkoholu i jedzenia niż w jakąkolwiek inną noc w roku. Gdybym ogłosił godzinę policyjną... Stowarzyszenie Właścicieli Restauracji opłaciłoby mordercę, by mnie zabił. Wylaliby całe nie wypite piwo na lodowisko w Centrum Rockefellera i utopili mnie w nim. Kurde, ty spróbuj wygzekwować dziś w nocy godzinę policyjną.

– Ale...

– A aspekt religijny? Jaki z ciebie Irlandczyk? Tego nam właśnie potrzeba, burmistrz żydowskiego pochodzenia odwołujący obchody Dnia Świętego Patryka. Łatwiej przyszłoby odwołać Boże Narodzenie. Jakie jo-jo przesyła ci z Albany takie rady? Pieprzeni farmerzy?

Gubernator zaczął spacerować po niewielkim podeście.

– Dobrze, Murray. Uspokój się. – Zatrzymał się i zamyślił na chwilę. – W porządku, zapomnijmy o godzinie policyjnej. Jednak uważam, że by utrzymać porządek, potrzebujesz stanowej policji i Gwardii Narodowej.

– Nie. Żadnych żołnierzy, żadnej policji stanowej. Mam dwadzieścia tysięcy policjantów, to więcej niż pełna dywizja piechoty. Małymi grupkami po trochu pościgamy ich z ulic.

– Sześćdziesiąty Dziewiąty Pułk jest w stanie pogotowia i może udzielić ci pomocy.

– W stanie pogotowia? – Kline się zaśmiał. – Chyba w stanie wskazującym na spożycie. Chryste, żołnierze skończyli służbę w koszarach o drugiej. Do tej pory są już tak narąbani, że nie odróżniliby karabinu od swoich butów.

– Tak się składa, że wiem, iż tak oficerowie, jak i większość podoficerów, przebywają właśnie na cocktail party w koszarach, tak więc...

– Co ty próbujesz wykręcić?

– Wykręcić?

– Wykręcić.

Gubernator zakaszłał, osłaniając usta dłonią, i uśmiechnął się do siebie.

– Dobra, a więc sprawa wygląda tak. Sam dobrze wiesz, że to największy bajzel, jaki przytrafił się w Nowym Jorku od czasu awarii sieci energetycznej w siedemdziesiątym siódmym, i muszę pokazać, że podejmuję jakieś działanie.

– Leć do Albany. Pozwól mi rządzić moim miastem.

– Twoim miastem? To jest mój stan! Odpowiadam za wszystkich mieszkańców!
– Wspaniale. Gdzie byłeś, kiedy potrzebowaliśmy pieniędzy?
– Posłuchaj... posłuchaj. Nie potrzebuję twojej zgody na wezwanie Gwardii Narodowej czy stanowej policji.

– Zadzwoń do swojego prokuratora generalnego i sprawdź to. – Burmistrz Kline odwrócił się i postąpił krok w kierunku schodów.

– Poczekaj, Murray. Posłuchaj... założmy, że Albany pokryłoby koszty tej operacji? Chodzi mi o to, Jezu, to będzie kosztowało miliony...

Burmistrz zatrzymał się i szybko obrócił do gubernatora. Doyle ciągnął dalej:

– Zapłacę za to wszystko, jeśli pozwolisz mi przysłać tu moich ludzi. Muszę zaznaczyć tutaj obecność władz stanowych, sam rozumiesz. W porządku? Co ty na to, Murray?

– Pieniądze muszą być wypłacone miastu w przeciągu trzydziestu dni od daty wystawienia rachunku – odpowiedział burmistrz.

– Masz to.

– Włączając w to nadgodziny i pełne etaty pracowników wszystkich departamentów administracji miejskiej, razem z policją, strażą pożarną, oczyszczaniem miasta i innymi służbami miejskimi przez cały czas trwania oblężenia oraz wszelkie wydatki poniesione wskutek tegoż.

– W porządku...

– Również koszty remontu własności miejskiej i pomoc dla osób prywatnych i przedsiębiorców, którzy poniosą jakiegokolwiek straty.

Gubernator przełknął ślinę.

– Oczywiście.

– Ale tylko Sześćdziesiąty Dziewiąty. Żadnych innych jednostek gwardii i żadnej policji stanowej. Moi chłopcy nie za bardzo ich lubią.

– Pozwól mi wysłać policję stanową na przedmieścia, by wypełnić ubytki wywołane przegrupowywaniem policji w rejon Manhattanu.

Burmistrz rozważył to, skinął głową i uśmiechnął się. Wyciągnął dłoń i przybili układ. Burmistrz Kline powiedział głośno, tak by usłyszeli to zgromadzeni na korytarzu piętro niżej:

– Panie gubernatorze, chciałbym, żeby wezwał pan Sześćdziesiąty Dziewiąty Pułk i policję stanową.

Pułkownik Logan siedział przy głównym stole w sali koszar Sześćdziesiątego Dziewiątego Pułku na Lexington Avenue. W tej wielkiej sali przebywało ponad stu oficerów, podoficerów i cywilnych gości. Większość znajdowała się w stanie prawie całkowitego zamroczenia. Nawet Logan czuł się odrobinę niepewnie. Zauważył, że nastrój tego święta w tym roku daleki był od radosnego. Tutaj również panowała atmosfera pewnego przygnębienia, wywołanego doniesieniami o zamieszkach w centrum miasta.

Do Logana zbliżył się sierżant z aparatem telefonicznym w dłoni i podłączył przewód do gniazdka.

– Panie pułkowniku, na linii gubernator.

Logan skinął głową i wyprostował się. Podniósł słuchawkę, spojrział na majora Cole'a i powiedział:

– Pułkownik Logan przy telefonie. Wesołego Dnia Świętego Patryka, panie gubernatorze!

– Obawiam się, że za późno na te życzenia, pułkowniku. Grupa irlandzkich rewolucjonistów zajęła katedrę Świętego Patryka.

Pułkownik poczuł ucisk w klatce piersiowej i całe jego ciało stało się wilgotne. Jedyne w krtani pojawiła się nieprzyjemna suchość.

– Tak, panie gubernatorze.

– Powołuję Sześćdziesiąty Dziewiąty Pułk do służby.

Pułkownik Logan rozejrzał się po sali. Większość oficerów i podoficerów zataczała się, a kilku leżało nieprzytomnych z twarzą na stole. Żołnierze prawdopodobnie dotarli już do domów albo też rozproszyli się po barach w rejonie centrum.

– Pułkowniku?

– Tak, panie gubernatorze.

– Pełne uzbrojenie, sprzęt do walki z tłumem, broń z ostrą amunicją.

– Tak jest.

– Zebrać się przed rezydencją kardynała na Madison i oczekiwać dalszych rozkazów. Nie ociągać się.

– Tak jest.

– Czy Sześćdziesiąty Dziewiąty jest gotowy?

Logan chciał powiedzieć coś rozsądnego, lecz odchrząknął jedynie i oznajmił:

– Bojowi Irlandczycy są zawsze gotowi, panie gubernatorze.

– Tu kapitan Bert Schroeder z Departamentu Policji Nowego Jorku. – Schroeder wyciągnął rękę i przesunął przełączniki uruchamiające głośniki w obu rezydencjach.

W pokoju rozległ się głos z irlandzkim akcentem, dochodząc do zewnętrznego biura, w którym natychmiast zapanowała cisza.

– Co zajęło wam tyle czasu?

– To on. – Burke skinął głową.

Schroeder odezwał się łagodnie, prawie przyjaźnie:

– Mamy tu trochę zamieszania, proszę pana. Czy to...?

– Finn MacCumail, wódz fenian. Mówiłem sierżantowi Tezikowi i porucznikowi Burke'owi, że chcę rozmawiać z kimś wysokim rangą. Jak dotychczas nie dotarłem wyżej kapitana.

Schroeder odpowiedział w standardowy sposób:

– Wszyscy, z kim chciałby pan mówić, są obecni. Słuchają nas poprzez głośniki. Słyszysz pan echo? Postanowiliśmy, że aby umknąć chaosu, ja będę przemawiać w imieniu wszystkich. Swoje stanowiska przekazywać będą za moim pośrednictwem.

– A kim pan jest?

– Mam pewne doświadczenie w takich sprawach.

– Cóż, to interesujące. Czy obecni są przedstawiciele rządów irlandzkiego, brytyjskiego i amerykańskiego?

– Tak. Komisarz policji, burmistrz, także gubernator.

– Wybrałem dobry dzień, prawda?

Burke mruknął do Schroedera:

– Zapomniałem ci powiedzieć, że on ma także poczucie humoru.

– Zgadza się, proszę pana – odparł Schroeder do słuchawki. – Przejdźmy więc do konkretów.

– Najpierw ustalmy zasady gry, kapitanie. Czy wszyscy są w kontakcie ze swoimi stolicami?

– Tak.

– Czy skontaktowano się z Czerwonym Krzyżem i Amnesty?

– Załatwiamy to.

– A pan jest rzecznikiem ich wszystkich?

– Tak. Wprowadza to mniej zamieszania. Myślę, że uzna pan ten układ za zadowalający.

– Schroeder siedział na skraju krzesła. Pierwsza przeszkoda: jak wytłumaczyć nerwowym szaleńcom, że lepiej będzie rozmawiać z nim niż z prezydentem Stanów Zjednoczonych czy z królową Anglii. – Tak więc, jeżeli możemy przejść do następnego...

– W porządku. Zobaczymy.

Schroeder odetchnął cicho.

– Mamy przed sobą listę pańskich żądań i spis ludzi, których uwolnienia w Irlandii Północnej się pan domaga. Chcemy, by pan wiedział, że przede wszystkim zależy nam na bezpieczeństwie zakładników...

– Nie zapominajcie o katedrze. Jesteśmy gotowi ją spalić do fundamentów.

– Tak. Ale głównym przedmiotem naszej troski jest ludzkie życie.

– Żal nam tego konia.

– Co? A, tak. Nam też. Ale nikt, żaden człowiek nie zginął, a więc dołożymy starań, by tak już pozostało.

– Czyli komisarz Dwyer czuje się lepiej?

Schroeder przeszył Burke'a spojrzeniem i osłonił dłonią mikrofon słuchawki.

– Po jaką cholere powiedziałeś mu o Dwyerze?

– Zasada numer jeden: prawda.

– Gówno! – Schroeder odsłonił słuchawkę. – Śmierć komisarza nastąpiła z przyczyn naturalnych, proszę pana. Wy nikogo nie zabiliście. – I jeszcze raz podkreślił: – Naszym celem jest ochrona ludzkiego życia...

– A więc mogę spalić katedrę, jeśli dostanę to, czego chcę?

Schroeder ponownie rozejrzał się po pomieszczeniu. Wszyscy siedzieli pochyleni do przodu na swoich krzesłach, cygara i papierosy nasączały dymem i tak gęste już powietrze.

– Nie, proszę pana. To byłoby podpalenie, przestępstwo. Proszę nie pogarszać sytuacji.

– Proszę bardzo. Po prostu róbcie, co wam każe.

– Czy zakładnicy są bezpieczni?

– Powiedziałem już Burke'owi, że tak. Kiedy coś mówię, właśnie to mam na myśli.

– Chciałem tylko, aby wszyscy tu obecni usłyszeli to bezpośrednio od pana. Jest tu mnóstwo ludzi, panie MacCumail, chcących wysłuchać tego, co ma im pan do powiedzenia. Prałat tej katedry jest tutaj również. Bardzo przejmuje się losem kardynała i pozostałych zakładników. Czy byłaby możliwość porozmawiania z zakładnikami? Chciałbym...

– Może później.

– Dobrze. Świetnie. W porządku. Proszę posłuchać, chciałbym pomówić z panem o tamtym reflektorze. Ten incydent stworzył potencjalnie niebezpieczną sytuację...

– Nie wtedy, kiedy ma się w dzwonnicy mistrza hrabstwa Antrim w strzelaniu. Nie włączajcie reflektorów.

– Dobrze. W przyszłości, jeżeli będziecie czegoś chcieli, po prostu poproście mnie. Postarajcie się nie brać spraw w swoje ręce. Czasami łatwiej jest poprosić.

– Spróbuję o tym pamiętać. Skąd dokładnie pan dzwoni?

– Jestem w biurze prałata.

– To dobrze. Najlepiej nie oddalać się za bardzo od centrum wypadków.

– Jesteśmy tu wszyscy.

– Jak i my. W porządku. Muszę dopilnować paru innych rzeczy. Nie dzwońcie do mnie co parę minut pod byle pretekstem. Następny telefon od was, który odbiorę, ma donosić mi o gotowości wymienionych trzech rządów i dwóch organizacji do rozpoczęcia pracy nad przygotowaniem szczegółów operacji transferu więźniów.

– To może trochę potrwać. Chciałbym móc dzwonić do pana i informować o postępach w negocjacjach.

– Niech pan nie staje się natrętny.

– Jestem tu, by pomagać.

– To dobrze. Może pan zacząć pomagać od przysłania nam kluczy.

– Kluczy? – Schroeder spojrzał na Downesa, który skinął w odpowiedzi głową.

– Wszystkie klucze do katedry, nie do miasta – wyjaśnił Flynn. – Prześlijcie je zaraz, najlepiej przez porucznika Burke'a.

– Nie jestem pewien, czy potrafię znaleźć jakiegokolwiek klucze...

– Niech pan nie zaczyna tego pierdolenia, kapitanie. Chcę je mieć w ciągu dziesięciu minut albo zrównam z ziemią ołtarz z Przenajświętszym Sakramentem. Powiedźcie to Downesowi, a zaraz dostarczy wszystkie klucze, które ma, i jeszcze setkę tych, których w życiu na oczy nie widział.

Prałat Downes podszedł do biurka. Był bardzo zaniepokojony i podniecony.

– W porządku – odparł szybko Schroeder do słuchawki. – Zaszło małe nieporozumienie. Prałat informuje mnie, że posiada kompletny zestaw kluczy.

– Tak myślałem. Przyślijcie też wołowinę z kapustą dla czterdziestu pięciu ludzi. Chcę, by dostarczył to sklep... momencik, muszę to skonsultować z moimi amerykańskimi przyjaciółmi. – Zapadła krótka cisza, potem Flynn powiedział: – Sklep Johna Barleycorn na Wschodniej Czterdziestej Piątej Ulicy. Również suchary, kawę i herbatę. I jakiś deser, jeżeli nie macie nic przeciwko temu. Ja płacę za wszystko.

– Zajmiemy się tym... rachunkiem także.

– Kapitanie, zanim ta noc upłynie, w skarbcu miejskim nie będzie dość pieniędzy, by kupić panu szklanek piwa. Ja płacę za jedzenie.

– Dobrze. I jeszcze jedno. Jeżeli chodzi o limit czasowy... pańskie żądania postawiły nas przed paroma skomplikowanymi problemami i być może potrzebować będziemy więcej czasu, by...

Głos Flynn'a przybrał napastliwy ton.

– Żadnego przedłużenia! Wymienieni więźniowie muszą znaleźć się wolni w Dublinie, zanim pierwsze promienie wschodzącego słońca wpadną przez okna kaplicy Matki Boskiej. Świt lub śmierć, Schaeffer.

– Schroeder. Proszę posłuchać...

– Może być Schroeder. Wesołego Dnia Świętego Patryka! Erin go bragh.

Rozległo się stuknięcie i w pokoju zabuczał sygnał centrali. Schroeder odłożył słuchawkę, wyłączył głośniki i na nowo zapalił cygaro. Postukał palcami po blacie biurka. Nie poszło mu zbyt dobrze. A jednak przecież dawał sobie już radę z ludźmi twardszymi od Finna MacCumaila. Nigdy nie byli równie dobrze wygadani jak Finn, ale bez wątplenia bardziej szaleni. Bez przerwy powtarzał w sobie w myślach dwa fakty. Po pierwsze, nigdy dotychczas nie poniósł porażki, a po drugie, nigdy jeszcze nie był nie dość twardy, by nie doprowadzić do przedłużenia terminu. A wiele z jego sukcesów w punkcie pierwszym wpływało właśnie z powodzenia tego drugiego elementu. Podniósł głowę i spojrzał na milczące zgromadzenie.

– Będziemy mieli twarde orzech do zgryzienia. To właśnie lubię najbardziej.

– Cześć, Burke – powiedział Flynn.

Burke zatrzymał się u stóp schodów do zakrystii.

– Prosiłem o pana, by zyskał pan trochę poważania w oczach swoich przełożonych.

– Dzięki. – Burke uniósł w górę wielki pęk kluczy. – O to panu chodzi?

Flynn wyciągnął wykrywacz mikrofonów i przesunął go wzdłuż ciała Burke'a.

– Mówią, że technologia dehumanizuje, ale ten akurat jej produkt uwalnia mnie od konieczności przeszukania pana, a coś takiego zawsze powoduje napięcie we wzajemnych stosunkach. A dzięki temu jest prawie tak, jakbyśmy sobie zupełnie ufali. – Schował urządzenie. – Jak dowiedzieliście się o nas, poruczniku?

– Nie pańska sprawa.

– Wręcz przeciwnie. Od majora Martina?

Burke uświadomił sobie, że bez nadajnika przesyłającego jego głos na plebanię rozmawia mu się znacznie swobodniej. Skinął głową i dostrzegł dziwny grymas, który na chwilę pojawił się na twarzy Flynn'a.

– Pański przyjaciel?

– Raczej kolega po fachu – odparł Flynn. – Czy dobry major podał wam moje prawdziwe nazwisko?

Burke nie odpowiedział. Flynn przysunął się do kraty.

– Jest takie stare powiedzenie w służbach wywiadowczych: „Warto się dowiedzieć, kto wystrzelił kulę, a nie kto za nią zapłacił.” – Spojrzał uważnie na Burke'a. – Kto zapłacił za te kule?

– Niech pan mi to powie.

– Brytyjski wywiad wojskowy zapewnił zaplecze logistyczne Armii Feniańskiej.

– Rząd brytyjski nie podjąłby takiego ryzyka dla waszej śmiesznej wojny...

– Mówię o ludziach, którzy dążą do osiągnięcia własnych celów, które mogą, ale nie muszą być zbieżne z planami ich rządu. Ci ludzie mówią o uwarunkowaniach historycznych, by usprawiedliwić swe działania...

– Wy także.

Flynn zignorował uwagę Burke'a.

– Ci ludzie są monumentalnymi egoistami, ludźmi żyjącymi urazy do kogoś lub do jakiegoś innego rządu. Życie ma dla nich znaczenie dopóty, dopóki mogą manipulować, oszukiwać, intrygować i eliminować swoich wrogów, rzeczywistych lub wyobrażonych, po drugiej stronie albo po swojej własnej. Samorealizują się tylko w sytuacjach kryzysowych, pełnych chaosu, które są często ich własnym dziełem. Oto klasyczny pracownik służb wywiadowczych, funkcjonariusz tajnej policji czy też jak jeszcze inaczej sami siebie nazywają. Oto major Bartholomew Martin.

– A ja myślałem, że opisuje pan siebie.

Flynn uśmiechnął się chłodno.

– Jestem rewolucjonistą. Kонтrewolucjoniści są znacznie bardziej godni pogardy.

– Może powinienem przejść do sekcji kradzieży samochodowych.

Flynn się zaśmiał.

– Och, poruczniku, pan jest uczciwym miejskim gliną. Ufam panu. – Wyraz jego twarzy się zmienił. – Powiem panu coś jeszcze. Sądzę, że Martin ma pomocników w Ameryce. Musiał ich mieć. Bądźcie ostrożni w kontaktach z FBI i CIA. – Kiedy Burke nie odpowiedział, Flynn dodał: – Kto zyska najwięcej z dzisiejszych wydarzeń?

Burke podniósł wzrok.

– Nie wy. Wy będziecie wkrótce martwi, a jeśli to, co pan mówi, jest prawdą, to kimże pan jest w takim razie? Skromnym pionkiem, którym wywiad brytyjski, może CIA albo FBI, grały w swojej własnej grze?

Flynn się uśmiechnął.

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę. Ale pionek zbił królową, jak pan widzi, i zajmuje też jej pole. Nigdy nie należy nie doceniać pionków. Kiedy dochodzą do skrajnej planszy, zwracają i mogą przemienić się w figury.

Burke zrozumiał Briana Flynna.

– Przyjmując, że major Martin jest tym, za kogo pan go uważa – powiedział – dlaczego mi to pan mówi? Oczekuje pan, żebym ujawnił jego matactwa?

– Nie. To oczywiście poważnie skompromitowałoby i mnie. Po prostu proszę mieć na niego oko. Teraz, gdy posłużyłem już jego planom, chce tylko mojej śmierci. Chce śmierci zakładników i zniszczenia katedry, by ukazać światu, jakimi barbarzyńcami są Irlandczycy. Proszę nie ufać radom udzielanym przez niego. Rozumie pan?

– Rozumiem, że wpakował się pan w sytuację bez szans zwycięstwa. Dał się pan naciągnąć na śmierdzącą transakcję, sądząc, że zdoła obrócić to na swoją korzyść, ale teraz nie jest już pan tego pewien.

– W moich żądaniach nie idę na żaden kompromis. Kwestia uwolnienia moich ludzi spoczywa w rękach rządu brytyjskiego. To będzie ich wina, jeśli...

– Na miłość boską, człowieku, odpuść to sobie. – Głos Burke'a zdradzał niecierpliwość i złość. – Dostaniesz parę lat za napad z bronią w ręku, bezprawne uwięzienie czy co tam zdołasz wynegocjować z prokuratorem okręgowym.

Flynn kurczowym ruchem chwycił pręty bramy.

– Przestań gadać jak pieprzony glina! Jestem żołnierzem, Burke, nie cholernym kryminalistą, który wchodzi w układy z prokuratorami okręgowymi.

Burke wypuścił powoli powietrze z płuc i powiedział cicho:

– Nie potrafię was uratować.

– Nie prosiłem o to, ale to, że pan o tym wspomniał, mówi mi więcej o Patricku Burke'u, Irlandczyku, niż Patrick Burke, policjant, gotów jest przyznać.

– Gównu.

Flynn rozluźnił uchwyt dłoni na kracie.

– Niech pan tylko uważa na majora Martina, a uratuje pan zakładników i katedrę. Ja uratuję fenian. A teraz niech pan będzie tak dobry i przyniesie te konserwy, dobrze? Może znowu pogwarzyśmy.

Burke odezwał się teraz oficjalnym tonem:

– Oni chcą odholować konia.

– Oczywiście. Zawieszenie broni, by pozbierać ciała poległych. – Flynn wydawał się dokładać starań, by odzyskać panowanie nad swoimi emocjami i uśmiechnął się. – Mam nadzieję, że nie zrobią z niego tych konserw. Pamiętaj, jeden człowiek ze sznurem i otwarty samochód. Żadnych numerów.

– Żadnych numerów.

– Dość już ich było jak na jeden dzień. – Flynn się odwrócił i ruszył w górę schodów, potem zatrzymał się nagle i rzucił przez ramię: – Pokażę panu, jaki ze mnie porządny facet, Burke. Wszyscy wiedzą, że Jack Ferguson jest policyjnym informatorem. Niech pan mu powie, by wyniósł się z miasta, jeśli ceni swoje życie.

Burke obserwował, jak Flynn znika za rogiem na podeście klatki schodowej. „Jestem żołnierzem, nie cholernym kryminalistą.” Powiedział to bez śladu cierpienia w głosie, ale tkwiło ono głęboko w nim samym, jak cień.

Brian Flynn stanął przed zasiadającym na tronie kardynałem.

– Wasza Eminencjo, mam zamiar zadać panu ważne pytanie.

Kardynał schylił lekko głowę.

– Czy są jakieś ukryte korytarze – zapytał – jakieś tajne przejścia prowadzące do katedry?

Kardynał odpowiedział bez wahania:

– Gdyby istniały takowe, nie powiedziałbym o tym panu.

Flynn cofnął się i wskazał ku części wysokiego sklepienia, z której zwisały czerwone kapelusze zmarłych arcybiskupów Nowego Jorku.

– Czy Wasza Eminencja chciałaby, by jej kapelusz znalazł się wśród nich?

Kardynał spojrział na niego zimnym wzrokiem.

– Jestem chrześcijaninem wierzącym w życie wieczne i nie można mnie zastraszyć śmiercią.

– Ach, kardynale, źle pan zrozumiał. Chodziło mi o to, że mógłbym kazać moim ludziom na poddaszu, by opukiwali siekierą gipsowy płaszcz tak długo, dopóki ten przepiękny sufit nie znalazłby się pomiędzy ławkami.

– Nie wiem o żadnych ukrytych przejściach – cicho powiedział kardynał – ale nie oznacza to oczywiście, że takowych nie ma.

– Nie, nie oznacza to. A ja podejrzewam, że coś takiego się tu znajduje. Proszę wrócić myślami do dnia, w którym kanclerz biskupi po raz pierwszy pokazywał Waszej Eminencji

nową katedrę. Bez wątplenia musi tu być jakaś droga ucieczki na wypadek jakiegoś niebezpieczeństwa. Tak zwany księży loch, taki jakie mamy w Irlandii i Anglii.

– Nie uważam, by architekt brał coś podobnego pod uwagę. To jest Ameryka.

– Ten argument traci na znaczeniu z każdym mijającym rokiem. Proszę pomyśleć, Eminencjo. Jeżeli zdoła pan sobie przypomnieć, uratowanych zostanie wiele istnień.

Kardynał wyprostował się na tronie i objął wzrokiem obszerny kościół. Znaczenia nabrały mroczne miejsca, a nie uświęcone miejsca jasności. Dostrzegł sylwetki stojące w napięciu na galeriach, na chórze, niczym wartownicy na ciemnych, skalistych wzgórzach, stróże na murach miejskich, wieczni strażnicy, wystraszeni, osamotnieni, szepczący: „Strażniku! Jaka to pora nocna?” Kardynał obrócił się do Flynna.

– Nie przychodzi mi na myśl żadna droga prowadząca do wewnątrz, a co za tym idzie, żadne wyjście dla was.

– Wyjdziemy stąd przez frontowe drzwi – odparł Flynn i zaczął dokładnie wypytywać kardynała o ewentualne piwnice pod nawą główną, przejścia między podziemnymi kondygnacjami budynków poza katedrą i lochami, w których założono miny.

Kardynał tylko potrzęsał głową.

– Nonsens, typowy nonsens. To dom Boży, a nie piramida. Nie ma tu sekretów, z wyjątkiem oczywiście tajemnic wiary.

Flynn się uśmiechnął.

– I żadnych skarbców pełnych złota, kardynale?

– Tak, jest tu złoty skarb. Ciało i krew Chrystusa ukryte w tabernakulum, radość i życzliwość, pokój i miłość, które napotykamy w tym miejscu, oto nasz skarbiec pełen złota. Możecie zaczerpnąć z niego pełną garścią.

– A może i parę kielichów, i złoto z ołtarzy...

– Możecie wziąć to wszystko.

– Nie, nie zabiorę stąd niczego poza nami samymi. Zatrzymajcie swoje złoto i swoją miłość. – Rozejrzał się po katedrze i powiedział: – Mam nadzieję, że przetrwa. – Popatrzył na kardynała. – Cóż, może przechadzka odświeży pamięć Waszej Eminencji. Proszę ze mną.

Ojciec Murphy przyglądał się kardynałowi odchodzącemu z Flynnem. Megan nie było w zasięgu wzroku, a Hickey siedział przy organach, rozmawiając przez telefon polowy. Murphy odwrócił się do Maureen.

– Bardzo zależy pani na zrobieniu czegokolwiek, prawda?

Spojrzała na niego. Katharsis doznane wskutek umknięcia śmierci dziwnie ją odprężyło, nappełniło niemal błogim spokojem, ale potrzeba działania nadal jej nie opuszczała. Powoli skinęła głową.

Ojciec Murphy wydawał się rozważać coś przez długą chwilę, zanim zapytał:

– Zna pani jakiś szyfr, coś jak alfabet Morse’a?

– Tak, alfabet Morse’a. Dlaczego?

– Jest pani w śmiertelnym niebezpieczeństwie i uważam, że powinna pani przystąpić do spowiedzi, na wypadek gdyby coś się przydarzyło... nagle...

Maureen patrzyła na księdza, ale nie odpowiadała.

– Proszę mi zaufać.

– Dobrze.

– Użyj tego w poczekalni dla panny młodej, wytrzymaj siedzenie.

Murphy poczekał, dopóki Hickey nie odłoży słuchawki, i zawołał:

– Panie Hickey, czy mogę zamienić z panem kilka słów?

Hickey przechylił się przez balustradę prezbiterium.

– Panna Malone chciałaby się wyspowiadać.

– Och – Hickey zachichotał – to zajęłoby cały tydzień.

– Nie ma w tym nic śmiesznego. Ona czuje, że jej życie jest śmiertelnie zagrożone, i...

– Starczy. Niech będzie. Nikt wam nie przeszkadza.

Ojciec Murphy się podniósł, za nim poszła Maureen. Hickey przypatrywał się, jak podchodzą do bocznego przejścia w balustradzie.

– Nie możecie zrobić tego tutaj?

– Nie na oczach wszystkich – odparł Murphy. – W konfesjonale.

Hickey wyglądał na zniecierpliwionego.

– Pospieszcie się z tym.

Zeszli po bocznych schodach i ruszyli przez ambit w stronę konfesjonatu przy poczekalni. Hickey uniósł rękę ku stojącym w górze snajperom i zawołał w ślad za dwoma oddalającymi się postaciami:

– Żadnych kawałów. Jesteście na muszkach karabinów.

Ojciec Murphy zaprowadził Maureen do osłoniętej zasłonami kabiny i zniknął w sklepionym przejściu obok niej. Wsunął się do konfesjonatu przez wejście dla księdza i usiadł w małym, ciemnym pomieszczeniu, pociągając sznur, by odsunąć dzielącą ich czarną płytę. Maureen uklękła, wpatrując się przez zasłonę na niewyraźny cień twarzy księdza.

– Minęło już tyle czasu, że nie wiem, od czego zacząć.

Ojciec Murphy odparł niskim, intymnym szeptem:

– Może pani zacząć od odszukania przycisku na ramie drzwi.

– Co?

– Jest tam przycisk. Jeżeli się go naciśnie, odzywa się dzwonek w holu plebanii na górze. Służy do wezwania księdza w czasie, gdy nie ma go w konfesjonale, a ktoś ma nagłą potrzebę natychmiastowego odpuszczenia grzechów.

Zaśmiał się cicho z tego żartu, który, jak domyślała się Maureen, należał do części tradycji plebanii.

– Twierdzi ojciec, że mamy możliwość porozumiewania... – zaczęła podnieconym tonem.

– Nie możemy otrzymać żadnej odpowiedzi, zresztą nie pragniemy żadnej. I nie wiem nawet, czy ktoś nas usłyszy. Szybko, proszę nadać informację, coś użytecznego dla ludzi na zewnątrz.

Maureen szczerzej zasunęła kurtynę, by osłonić swoją dłoń, potem przebiegła palcami po dębowej futrynie i odnalazła przycisk. Wcisnęła go kilkakrotnie, by przyciągnąć czyjąś uwagę, i zaczęła nadawać nierównym, urywanym Morse'em:

TU MALONE Z OJCEM MURPHYM

Co powinna im przekazać? Wróciła myślami do swojego szkolenia. Kto, co, gdzie, kiedy, ile?

ZAOBSERWOWANO 13-15 STRZELCÓW W KATEDRZE. SNAJPER W KAŻDYM TRIFORIUM. JEDEN NA CHÓRZE. CZŁOWIEK Z THOMPSONEM U SZCZYTU SCHODÓW ZAKRYSTII. JEDEN LUB DWÓCH LUDZI W KAŻDEJ WIEŻY. DWÓCH DALSZYCH NA PODDASZU. STANOWISKA POŁĄCZONE TELEFONEM POŁOWYM. ZAKŁADNICZY W PREZBITERIUM.

Przerwała i pomyślała o urywkach rozmów, które podsłuchiwała, po czym zaczęła ponownie, szybciej i z większą pewnością:

ŚWIECE WOTYWNE NA STOSACH NA PODDASZU. BOMBA POD PREZBITERIUM.

Zatrzymała się raz jeszcze, myśląc intensywnie. Kto, co, gdzie...? Wystukiwała dalej:

MACCUMAIL TO BRIAN FLYNN. JOHN HICKEY ZASTĘPCA. MEGAN FITZGERALD TRZECIA RANGĄ. ZAUWAŻONO MINY NA DRZWIACH, KARABINY SNAJPERSKIE, KARABINY AUTOMATYCZNE, PISTOLETY, RAKIETY M-72, MASKI PRZECIWGA...

– Proszę przestać! – zza zasłony rozległ się nagły głos Murphy'ego.

Cofnęła dłoń z przycisku.

– Żałujesz za swoje grzechy, córko? – powiedział Murphy dziwnie głośno.

– Tak.

– Zmów jeden różaniec – odparł ksiądz.

Głos Hickeya wdarł się do konfesjonału:

– Jeden? Na Boga, gdyby mi zajęło to tyle czasu, musiałyby klęczeć do Wielkanocy. Wychodźcie.

Maureen wyszła z kabiny. Gdy ojciec Murphy wyłonił się z konfesjonału, skinął Hickeyowi głową.

– Dziękuję panu. Chciałbym również, by kardynał wysłuchał mojej spowiedzi.

Pokryta zmarszczkami twarz Hickeya wykrzywiła się w szyderym uśmiechu.

– A co pan ma na sumieniu, ojczcze?

Murphy podszedł bardzo blisko Hickeya.

– Nim minie noc, wysłucham też spowiedzi pańskich ludzi. Hickey wydał pogardliwy dźwięk.

– Nie ma ateistów w katedrach, co, padre? – Cofnął się i skinął głową. – Ktoś powiedział kiedyś, że zanim mija północ, ateista zaczyna wierzyć w Boga. Może ma pan rację. Nim nadejdzie świt, wszyscy zwrócą się do ojca, gdy ujrzą twarz śmierci z jej obscenicznym, pożądliwym uśmiechem, przyciśniętą do tych ślicznych okien. Ale ja nie będę spowiadać się przed żadnym śmiertelnikiem, myślę, że i Flynn, i ta diablica, z którą on sypia. Maureen warknęła do niego:

– Mam nadzieję, że pożyję wystarczająco długo, by ujrzeć, jak pan zachowa się w obliczu śmierci. – Odwróciła się i poszła z księdzem w stronę prezbiterium. – Ten człowiek... – powiedziała – jest coś... złego...

Ksiądz skinął głową. Gdy podeszli do balasek, Maureen zapytała:

– Czy myśli ojciec, że nam się udało?

– Nie wiem.

– Zna ojciec alfabet Morse’a?

Murphy wyciągnął dłoń i otworzył furtkę w balustradzie.

– Nie, ale pani napisze mi te kropki i kreski, zanim przystąpię do spowiedzi. – W zamyśleniu przepuścił ją przez furtkę. Gdy go mijala, wyciągnęła rękę i ucisnęła jego dłoń. Nagle Murphy się ożywił: – Proszę poczekać!

Maureen obróciła się na schodach.

– O co chodzi?

Hickey stał przy konfesjonale, przyglądając się im. Ojciec Murphy podał jej różaniec.

– Proszę tu wrócić i uklęknąć przy balaskach. Wzięła różaniec i rzuciła spojrzenie w stronę Hickeya.

– Jaka jestem głupia...

– Moja wina. Módlmy się, by nie zaczął niczego podejrzewać.

Ksiądz wszedł do prezbiterium.

Maureen uklękła przy balustradzie, pozwalając, by różaniec zwisał luźno między palcami. Jej wzrok błędził po katedrze. Ciemne sylwetki, niczym kruki, spoglądały na nią z ponurych balkonów. Megan krążyła przy frontowych drzwiach jak cień i nieziemski cisza spowiła zimną, niebotyczną, kamienną budowlę. Maureen skupiła uwagę na Hickeyu. Patrzył na konfesjonał i uśmiechał się.

Brian Flynn pomógł kardynałowi wejść do dzwonnicy. Kardynał spojrzał na roztrzaskane miedziane żaluzje. Flynn odezwał się do Donalda Mullinsa:

– Czy miałeś już okazję być oficjalnie przedstawionym arcybiskupowi Nowego Jorku?

Mullins przyklęknął i pocałował biskupi pierścień, potem wstał.

– Odpocznij sobie, Donaldzie – powiedział Flynn. – W księgarni czeka na ciebie kubek z kawą.

Mullins zszedł pospiesznie po drabinie. Flynn przesunął się do otworu w ścianie wieży i wyjrzał na miasto. W zimnym, omiatanym przeciągami pomieszczeniu zapadła długa cisza.

– Wie pan, to niewiarygodne... uzbrojony rewolucjonista klęka w pyle i całuje pański pierścień.

Kardynał wydawał się niecierpliwić.

– Po co tu przyszliśmy? Tu nie może być żadnych ukrytych przejść.

– Spotykał się pan często z Gordonem Stillwayem? – zapytał Flynn.

– Wspólnie zaplanowaliśmy ostatnią renowację – odparł kardynał.

– I nigdy nie zwrócił panu uwagi na jakieś osobliwości? Jakies tajemne...

– Nie zwykłem dwukrotnie roztrząsać tego samego pytania.

Flynn skłonił się z przesadą.

– Proszę wybaczyć. Próbowałem jedynie odświeżyć pańską pamięć.

– Czego dokładnie pan ode mnie chce, panie Flynn?

– Chcę, by porozmawiał pan z negocjatorem i by przemówił pan do świata. Mam zamiar zorganizować konferencję w sali prasowej, tak dogodnie zlokalizowanej w piwnicach pod zakrystią. Powie pan radiu i telewizji...

– Nie zrobię niczego takiego.

– Do cholery, wystarczająco często przemawiał pan w radiu i telewizji, szkodząc naszej sprawie. Wystarczająco długo używał pan ambony, by wypowiadać się przeciw IRA. Teraz naprawi pan te szkody.

– Wypowiadałem się przeciw mordowaniu i okaleczaniu niewinnych ludzi. Jeżeli jest to jednoznaczne z wypowiedaniem się przeciw IRA, to...

Flynn przybliżył usta do twarzy kardynała.

– Ogłosi pan światu, że jako Amerykanin irlandzkiego pochodzenia i jako katolicki biskup jedzie pan do Irlandii Północnej, by odwiedzić obozy dla internowanych.

– Ale jeśli je opróżnicie, kto w nich zostanie, bym mógł go odwiedzić, panie Flynn?

– W tych obozach są setki ludzi.

– A zwolnionymi mają być krewni pańskich towarzyszy. Oraz, jestem pewien, niemała grupka znaczących przywódców. Pozostali mogą tam tkwić dalej, by dostarczać jakiegoś moralnego usprawiedliwienia waszych krwawych metod. Nie jestem tak naiwny, za jakiego mnie pan uważa, i nie pozwolę się panu wykorzystać.

Flynn odetchnął głęboko.

– W takim razie nie mogę zagwarantować bezpieczeństwa tego kościoła. Dopilnuję, by został zniszczony bez względu na wynik negocjacji.

– Istnieje cena, panie Flynn, którą każdy człowiek zapłacić musi za każdy grzech. Ten świat nie jest doskonały, złoczyńcy często unikają na nim kary i umierają spokojnie w łóżkach. Ale istnieje też wyższy sąd...

– Proszę nie próbować mnie tym zastraszyć. I proszę nie być tak pewnym, że tamten sąd potępi mnie, a panu przyzna skrzydła. Moje wyobrażenie boskiej sprawiedliwości jest nieco bardziej pogańskie od pańskiego. Wyobrażam sobie coś na kształt Tir-na-nog²⁹, gdzie wojownicy cieszą się szacunkiem, jakiego nie doznają na ziemi. Wasze niebo zawsze robiło na mnie wrażenie bardzo zniewieściałego.

Kardynał nie odpowiedział, potrząsnął tylko głową. Flynn odwrócił się od niego i spojrzał na błękitne światła miasta, potem obrócił się na pięcie i gwałtownym ruchem podsunął kardynałowi pod nos prawą dłoń.

– Widzi pan ten pierścień? To pierścień Finna MacCumaila, który znalazłem w opactwie uświęconym przez druidów tysiąc, a może i więcej lat przed tym, jak imię Jezusa Chrystusa zostało po raz pierwszy wymówione w Eiren. Och, proszę nie patrzeć z takim sceptycyzmem, powinien pan przecież wierzyć w cuda, do cholery.

Kardynał popatrzył na niego ze smutkiem.

– Zamknął pan swe serce dla Bożej miłości i przyjął do swej duszy mroczne rzeczy, o których chrześcijanin nigdy nie powinien wspominać. Widzę teraz wyraźnie moje zadanie. Być może nie zdołam uratować tego kościoła ani życia żadnego z ludzi w nim obecnych. Ale nim skończy się ta noc, spróbuję uratować pańską duszę, Brianie Flynn, i dusze ludzi, którzy panu towarzyszą.

Flynn spojrzał na brązowy pierścień, potem na kardynała i utkwiał wzrok w wielkim krzyżu zwisającym na jego piersi.

– Czasami chciałbym otrzymać jakiś znak od tego Boga, w którego pan wierzy. Ale nigdy to się nie stało. O świcie jeden z nas będzie wiedział, kto wygrał tę bitwę.

Prałat Downes stał przy oknie swego biura, zapalając jednego papierosa od drugiego i spoglądając przez mgłę błękitnego dymu na rozświetloną reflektorami katedrę. W wyobraźni widział nie tylko dym, lecz i ogień liżący szary kamień, strzelający z witrażowych okien i wijący się wokół bliźniaczych wież. Zamrugał i odwrócił się do przebywających w pokoju osób. Oprócz niego byli tu: kapitan Schroeder, który prawdopodobnie nie wyjdzie stąd do końca, oraz siedzący na krzesłach porucznik Burke, major Martin i inspektor Langley. Kapitan Bellini stał, a na kanapie zajmowali miejsca: człowiek z FBI, Hogan, oraz przedstawiciel CIA, Kruger – a może na odwrót? Nie, tak było dobrze. Cała szóstka czytała przyniesiony przez policjanta odszyfrowany przekaz. Burke zmarszczył się nad swoją kopią.

D-PREZBITERIUM.

MACCUMAIL TO BRIAN FLYNN. JOHN HICKEY ZASTĘPCA. MEGAN FITZGERALD TRZECIA RANGĄ. ZAUWAŻONO MINY NA DRZWIACH, KARABINY

²⁹ Tir-na-nog (Ziemia Młodych) – wg mitologii celtyckiej raj, usytuowany na wyspie na zachodnim oceanie (przyp. tłum.).

SNAJPERSKIE, KARABINY AUTOMATYCZNE, PISTOLETY, RAKIETY M-72, MASKI PRZECIWGA...

Podniósł wzrok.

– D-prezbiterium. To może oznaczać cokolwiek.

Langley wzruszył ramionami.

– Mam nadzieję, że ten, kto to nadał, da radę przekazać to raz jeszcze. Na górze mam dwóch ludzi czekających na sygnał. – Ponownie spojrzął na tekst. – Nie podoba mi się sposób, w jaki tak raptownie to się kończy.

– Mnie nie podoba się ten spis uzbrojenia – powiedział Bellini.

– Wysłał to Baxter albo Malone – stwierdził Burke. – Każde z nich zna alfabet Morse'a i wiedziałoby, że właśnie na coś takiego czekamy. Zgadza się? A skoro, jak mówi prałat, przycisk umieszczony jest w konfesjonale, możemy wykluczyć Baxtera, gdyż zakładam, że jest on protestantem.

– Bardzo prawdopodobne. – Major Martin skinął głową.

– Tak myślałem... – wtrącił niepewnie prałat. – Może pan Baxter przystąpi jednak do spowiedzi... tak by mogli znowu coś nadać. Ojciec Murphy wysłucha spowiedzi Jego Eminencji i vice versa, a więc możemy oczekiwać, być może, jeszcze trzech przekazów.

– A wtedy – rzekł Martin – kończą nam się grzesznicy. Nie można tego powtarzać, prawda?

Prałat Downes zmierzył go chłodnym wzrokiem.

– Czy to jest w porządku? – zapytał Bellini. – To znaczy, wykorzystywanie konfesjonau w takim celu?

Downes uśmiechnął się po raz pierwszy.

– W porządku.

Martin odchrząknął.

– Posłuchajcie, nie rozważyliśmy możliwości, że ta informacja jest fałszywką przyslaną przez Flynna, byśmy uwierzyli, że jest dobrze uzbrojony... Trochę zbyt subtelne i wyrafinowane jak na Irlandczyków... ale możliwe.

– Gdybyśmy dysponowali kompletnym tekstem – odparł Langley – mielibyśmy lepsze pojecie na temat jego autentyczności.

Schroeder zwrócił się do Langleya:

– Potrzebuję informacji o wymienionych w tekście osobach. Megan Fitzgerald. Trzecia ranga.

Langley pokręcił głową.

– Sprawdzę kartoteki, ale nigdy o niej nie słyszałem.

Przez pewien czas w pomieszczeniu panowała cisza, podczas gdy w zewnętrznym biurze telefony dzwoniły bez przerwy, ludzie przybywali i wychodzili, gromadzili się w rozgadane grupki. Z niższych piętér plebanii policjanci koordynowali operacje opanowywania tłumu i

rozciągania kordonu. W rezydencji kardynała gubernator Doyle i burmistrz Kline, naokoło bufetu ustawionego w jadalni, spotykali się z przedstawicielami rządu, omawiając szersze kwestie. Utrzymywano stałe połączenia z Waszyngtonem, Londynem, Dublinem i Albany.

Zadzwoił jeden z półtuzina świeżo zainstalowanych telefonów. Schroeder odebrał go i przekazał słuchawkę przedstawicielowi CIA. Kruger rozmawiał przez minutę.

– Nic o Brianie Flynnie i Megan Fitzgerald. Nic o fenianach. Stare informacje o Johnie Hickeyu, jednak nie tak dobre jak wasze.

Dwa telefony zadzwoniły jednocześnie. Schroeder odebrał oba, przekazując jeden Hoganowi, a drugi Martinowi.

Agent FBI rozmawiał przez parę sekund, odłożył słuchawkę i oznajmił:

– Nic o Flynnie, Fitzgerald i fenianach. Macie nasze dane o Hickeyu. Nawiasem mówiąc, FBI miało agenta na jego pogrzebie, który sprawdzał żałobników. To ostatni zapis. Chyba będziemy musieli dodać postscriptum.

Major Martin nadal rozmawiał, robiąc jednocześnie notatki. Wreszcie się odwrócił.

– Parę dobrych wiadomości. Nasze dossier Flynnna zostanie wkrótce przeteleksowane do konsulatu. Jest też ocena możliwości Armii Feniańskiej. Wasze dane na temat Hickeya są obszerniejsze od naszych, możecie przesłać kopię do Londynu, jeżeli zechcecie. – Zapalił papierosa i powiedział tonem, w którym pobrzmiwało zadowolenie: – Także w drodze jest fiszka Megan Fitzgerald. Oto kilka najważniejszych detali. Urodzona w Belfaście, lat dwadzieścia jeden. Ojciec porzucił rodzinę. Brat Thomas w Long Kesh aresztowany za napad na furgonetkę więzienną. Brat Pedar jest członkiem IRA. Matka hospitalizowana po załamaniu nerwowym. Typowa pięcioosobowa rodzina z Belfastu – dodał zgryźliwie i spojrzał na Burke'a. – Jej opis... Rude włosy, błękitne oczy, piegi, pięć stóp i siedem cali, szczupłej budowy ciała, całkiem ładna według faceta, z którym właśnie rozmawiałem. Przypomina tę młodą damę, która do pana strzelała?

Burke skinął głową i Martin ciągnął dalej:

– Jest aktualną dziewczyną Flynnna. – Uśmiechnął się. – Ciekawe, jak układają się jej stosunki z panną Malone. Chyba zaczynam żałować starego Flynnna.

Umundurowany policjant wsunął głowę przez drzwi.

– Jest żarcie od Johna Barleycorna.

Schroeder sięgnął po telefon.

– Dobrze. Powiem Flynnowi, że Burke idzie z jego pieprzoną wołowiną. – Wykręcił numer centrali. – Prezbiterium. – Czekał przez chwilę. – Halo, tu kapitan Schroeder. Finn MacCumail...? – Przesunął dzwignienki aktywujące głośniki i w sąsiednim pomieszczeniu nastąpiła cisza.

– Tu Diarmaid. MacCumail modli się z kardynałem.

Schroeder się zawahał.

– Panie... Diarmaid...

– Mów do mnie Hickey. John Hickey. Nigdy nie lubiłem tych pseudonimów. Mylą wszystkich. Wiedzieliście, że tu jestem? Masz moje dane przed sobą, Snider?

– Schroeder.

Spojrzał na grubą policyjną teczkę. Z każdym trzeba było to rozgrywać w inny sposób. Każdy miał swoje wymagania. Schroeder rzadko przyznawał się podczas negocjacji do posiadania przed sobą czyjejkolwiek teczki, ale równie ważne było nie dać się złapać na kłamstwie w odpowiedzi na bezpośrednie pytanie i często wygodnie było grać na poczuciu własnej wielkości danego człowieka.

– Schroeder? Śpisz?

Kapitan się wyprostował.

– Nie, proszę pana. Tak, wiedzieliśmy, że pan tu jest. Mam pańskie dane, panie Hickey. Hickey zachichotał radośnie.

– Czytałeś ten kawałek, jak to złapano mnie podczas próby wysadzenia parlamentu w dwudziestym pierwszym?

Schroeder odszukał fragment oznaczony tą datą.

– Tak, proszę pana. Bardzo... – Zerknął na majora Martina wpatzonego przed siebie z zaciśniętymi wargami. – Bardzo śmiała akcja. I śmiała ucieczka...

– A jakże, synku. A teraz spojrzysz na rok czterdziesty pierwszy. Pracowałem z Niemcami nad wysadzeniem w powietrze brytyjskich statków w porcie nowojorskim. Nie jestem z tego dumny, rozumiesz, ale wielu z nas robiło to podczas drugiej wojny. To pokazuje, jak dalece nienawidziliśmy Brytoli, nie? Żeby łączyć się z cholernymi nazistami...

– Zgadza się. Proszę posłuchać...

– Zarówno rząd w Dublinie, jak i rząd brytyjski skazały mnie zaocznie na karę śmierci w pięciu różnych procesach. Cóż, jak powiedział Brendan Behan³⁰, mogą mnie też powiesić pięć razy zaocznie. – Zaśmiał się.

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł zduszony chichot. W wewnętrznym biurze nie zaśmiał się nikt. Schroeder zapalił cygaro.

– Panie Hickey...

– A co ma pan pod dwunastym lutego siedemdziesiątego dziewiątego? Przeczytaj mi to, Schaeffer.

Schroeder przewrócił kartki na ostatnią stronę i odczytał:

– Zgon z przyczyn naturalnych, w domu, w Newark, stan New Jersey. Pochowany... pochowany na miejskim cmentarzu w Jersey...

Hickey zaśmiał się ponownie, wysokim, piskliwym chichotem. Żaden z nich nie odzywał się przez parę sekund, a potem Schroeder powiedział:

– Panie Hickey, najpierw chciałbym pana zapytać, czy zakładnikom nic nie jest.

– Głupie pytanie. Nawet gdyby było, to myślisz, że powiedziałbym ci?

³⁰ Brendan Behan (1923-1964) – irlandzki dramatopisarz (*przyp. tłum.*).

– Ale im nic nie jest?

– A ten znów swoje. To samo głupie pytanie – odparł ze zniecierpliwieniem Hickey. – Są w świetnym humorze. Po co dzwonisz?

– Porucznik Burke może już przynieść jedzenie, które zamawialiście – oznajmił Schroeder. – Gdzie...?

– Przez zakrystię.

– Będzie sam, bez broni...

– Nie musisz mnie o tym upewniać. – W głosie Hickeya zabrzmiała niespodziewana złość. – Jeśli o mnie chodzi, wolałbym, byście czegoś spróbowali, bo zanim zdolacie wbiec po tych schodach z przecinakiem do łańcuchów albo łomem, ołtarz pokryty będzie mózgiem kardynała, a zaraz potem rozlegnie się taka pieprzona eksplozja, że usłyszą ją w Watykanie, a płomienie będą tak intensywne, że stopią spiżowe jajka Atlasa. Łapiesz to, Schroeder?

– Tak, proszę pana.

– I przestań nazywać mnie panem, tchórzliwy gliniarzu. Kiedy byłem młodym chłopakiem, jeżeli spojrzano się na policjanta spode łba, budziło się tydzień później z bólem głowy. Teraz snujecie się wszyscy, zwracając się przez „proszę pana” do morderców. Nic dziwnego, że wybrali do tego właśnie Nowy Jork. – Zaśmiał się i odłożył słuchawkę.

Flynn stał z Maureen na podeście przed wejściem do krypty. Wyszukał odpowiedni klucz z trzymanego w ręce pęku i otworzył zielone, przeszklone drzwi. Za nimi schody prowadziły w dół, do wykładanej białym marmurem komory grobowej. Odwrócił się do Pedara Fitzgeralda.

– Gdzieś tam na dole może być ukryte przejście. Zaraz do ciebie dołączę.

Fitzgerald wepchnął pistolet maszynowy pod pachę i zszedł po schodach. Flynn zamknął drzwi i spojrzał na inskrypcję w brązie. „Requiescant in Pace”.

– Niech spoczywają w pokoju – powiedział.

Poniżej napisu widniały tablice z nazwiskami arcybiskupów Nowego Jorku pochowanych w tej krypcie. Odwrócił się do Maureen.

– Pamiętasz, jak baliśmy się zejść do krypty w opactwie Whitethorn?

Maureen skinęła głową.

– Zbyt wiele było grobów w naszym życiu, Brian, i za dużo uciekania. Boże, spojrzysz na siebie. Wyglądasz dziesięć lat starzej.

– Czyżby? Cóż... to nie tylko od uciekania. Przynajmniej częściowo od uciekania w zbyt wolnym tempie. – Zawahał się i dodał: – Złapano mnie.

Obróciła głowę w jego stronę.

– Och... nie wiedziałam.

– Trzymano to w tajemnicy. Major Martin. Przypominasz sobie to nazwisko?

– A jakże. Skontaktował się raz ze mną, zaraz po moim wyjeździe do Dublina. Chciał wiedzieć, gdzie jesteś. Mówił, że pomogłoby to Sheili... i że unieważniliby nakaz aresztowania mnie... Właściwie całkiem miły facet, ale wiadomo, że gdyby dopadł cię w Belfaście, powyrywałby ci paznokcie.

Flynn się uśmiechnął.

– I co odpowiedziałaś temu całkiem miłemu facetowi?

– Poradziłabym mu, żeby poszedł sobie do diabła, ale pomyślałam, że mógłby spotkać u niego ciebie. A więc powiedziałam, żeby się odpieprzył.

Flynn uśmiechnął się ponownie, ale jego oczy omiatały ją taksującym spojrzeniem. Maureen dostrzegła to.

– Chcę, żebyś zrozumiał, że nigdy nie stałam się donosicielem. Zdrajcą tak, jeśli już chcesz, ale nie donosicielem.

– Wierzę ci. – Skinął głową. – Gdybym nie wierzył, już dawno bym cię zabił.

– Czyżby?

Flynn zmienił temat.

– Jeżeli ponownie spróbujesz ucieczki, ucierpią przez to inni.

Maureen nie odpowiedziała. Flynn wyjął z kieszeni klucz i podał go na wyciągniętej dłoni.

– To klucz od kłódki na tym łańcuchu. Otworzę ją teraz i będziesz mogła odejść.

– Bez innych?

– Ale ucieczki próbowałabyś bez innych.

– To co innego.

Uśmiechnął się, nadal podając jej klucz.

– Ach, wciąż jesteś uliczną wojowniczką, Maureen. Rozumiesz, że za odrobinę wolności trzeba z góry zapłacić odpowiednią cenę. Prawie każdy inny człowiek na twoim miejscu umknąłby pospiesznie przez zaofiarowaną furtkę, a nie myślałby o próbie ucieczki z kulami gwizdzącymi dookoła jego głowy. Widzisz, twój system wartości i wymagań jest całkowicie przeciwny do tego uznawanego przez większość ludzi. Zmieniliśmy cię na zawsze przez te lata, kiedy mieliśmy ciebie pod naszą kontrolą.

Maureen spojrzała przez szybę w głąb białej, świetlistej krypty i potrząsnęła głową. Flynn przyglądał się jej, a potem uchwycił stanowczo jej ramię i nadając nowy ton swemu głosowi, powiedział:

– Zanim zapomnę, pozwól, że dam ci dobrą radę: nie prowokuj Megan.

– Sam fakt, że w ogóle oddycham, prowokuje ją. – Odwróciła się do niego. – Pozwól, że ja też dam tobie radę. Jeżeli wydostaniesz się stąd żywy, uciekaj od niej jak najdalej. Ta dziewczyna przyciąga zagładę jak piorunochron.

Flynn nie odpowiedział i uwolnił jej ramię.

– A Hickey... – ciągnęła Maureen – ten człowiek jest... – Potrząsnęła głową. – Nieważne. Widzę, że wpadłeś w fatalne towarzystwo. Z trudem potrafimy się jeszcze porozumieć, Brian. Jak więc możemy udzielać sobie rad?

Flynn wyciągnął rękę i dotknął jej policzka. Na podeście zapadła przedłużająca się cisza, potem z korytarza do zakrystii dobiegł dźwięk kroków i zgrzytanie kółek na marmurowej posadzce. Maureen odezwała się nagle:

– Skoro major Martin cię złapał, jakim cudem żyjesz?

Flynn zszedł po schodach i stanął przy bramie. Maureen poszła za nim.

– Zawarłeś z nim układ?

Flynn milczał.

– I ty nazywasz siebie patriotą?

Spojrzał na nią ostro.

– Jak i Martin. Jak i ty.

– Ja nigdy nie...

– Ależ tak, poszłabyś na kompromis. Papieże, premierzy i prezydenci zawierają takie kompromisy i nazywają to dyplomacją oraz strategią. Z takich rzeczy składa się życie, Maureen, złudzenia i semantyka. Cóż, dzisiaj nie idę na żadne ustępstwa. To powinno cię ucieszyć, skoro tak nie lubisz kompromisów.

Nie odpowiedziała.

– Jeżeli przyznasz, że układ, jaki zawarłem z Martinem nie był aż taki okropny – kontynuował – umieszczę Sheilę na liście osób, które mają być zwolnione.

Maureen spojrzała na niego szybko.

– To znaczy, że nie...

– Trochę to zmienia sytuację, nieprawdaż? Czekalaś, czyż nie tak, na łzawe spotkanie z małą Sheilą. Teraz nie zyskujesz na tym nic, absolutnie nic. Jeśli oczywiście, nie zgodzisz się z moim poglądem na temat paktowania z wrogami.

– Dlaczego jest dla ciebie takie ważne, bym to przyznała?

– Tu Burke! – usłyszeli jakiś głos. – Wchodzę.

– Porozmawiamy później – powiedział Flynn do Maureen, odwrócił się i zawołał w stronę zakrystii: – Niech pan wchodzi. – Rozchylił kurtkę i poprawił zatknięty za pas pistolet, a potem rzekł do niej: – Doceniam twoje umiejętności bojowe. Nie próbuj niczego, nie rób żadnych gwałtownych ruchów, nie stawaj za mną i nic nie mów, dopóki się do ciebie nie odezwę.

– Jeżeli to miał być komplement – odparła – nie pochlebia mi specjalnie. Zostawiłam to dawno za sobą.

– Aha, tak jak nawrócona dziwka zostawia za sobą swoją przeszłość, ale stara chęć nadal w niej tkwi. Mogę się założyć.

Maureen spojrzała na niego.

– Tkwi tam nadal.

Flynn się uśmiechnął.

Z korytarza zakrystii wyłonił się Burke, popychając wózek z żywnością. Przetoczył go po marmurowej posadzce i zatrzymał przy dolnych schodach poniżej kraty.

– Zna pan pannę Malone? – zapytał Flynn.

Burke pozdrowił ją skinieniem głowy.

– Spotkaliśmy się już.

– To prawda – przyznał Flynn. – Ostatniego wieczoru, w Waldorfie. Dostałem raport na ten temat. Wydaje się takie odległe, prawda? – Uśmiechnął się. – Przyprowadziłem ją tutaj, by upewnić pana, że nie zarznięliśmy zakładników. – Odwrócił się do niej. – Powiedz panu, jak cię traktowano, Maureen.

– Na razie nikt nie zginął – odparła.

– Proszę przekazać pozostałym, że robimy wszystko co w naszej mocy, by doprowadzić do waszego zwolnienia – rzekł Burke i dodał: – Proszę powiedzieć ojcu Murphy’emu, że kiedy już się to wszystko skończy, będzie mógł wysłuchać mojej spowiedzi.

Maureen skinęła głową i spojrzała na niego ze zrozumieniem. Flynn milczał przez chwilę, a potem zapytał:

– Czy ten ksiądz jest pańskim przyjacielem?

– Wszyscy są moimi przyjaciółmi – odpowiedział Burke.

– Naprawdę? – Podszedł bliżej kraty. – Jest pan okablowany, Burke? Muszę jeszcze raz pana sprawdzić?

– Jestem czysty. Wózek też. Ja także nie chcę, by mnie podsłuchiowano. – Burke wspiął się po siedmiu stopniach, nadal boleśnie świadom psychologicznej przewagi stojącego osiem cali wyżej Flynn’a. – A jedzenie nie jest nafaszerowane narkotykami.

Flynn skinął głową.

– Oczywiście, przecież mamy zakładników. To duża różnica, prawda?

Maureen nagle chwyciła za pręty i wyrzuciła z siebie w pośpiechu:

– On naprawdę nazywa się Brian Flynn. Ma zaledwie około dwunastu...

Flynn wyszarpnął zza pasa pistolet i przytknął do jej karku.

– Nie graj bohatera, Maureen. To nie jest wymagane. Zgadza się, poruczniku?

Burke trzymał dłonie na widoku.

– Tylko spokojnie. Bez nerwów i spokojnie. Panno Malone, proszę nic więcej nie mówić. Tak jest w porządku.

Flynn wycodził przez zaciśnięte zęby:

– To dobra rada, dziewczyno. Nie chcesz przecież narazić na niebezpieczeństwo innych, na przykład porucznika Burke’a, który usłyszał już i tak zbyt wiele. – Spojrzał na Burke’a. – Jest porywcza i nie nauczyła się odróżniać odwagi od lekkomyślności. Obawiam się, że to chyba moja wina. – Wolną ręką chwycił ją za ramię i odciągnął od kraty. – Odejdź.

Maureen spojrzała na Burke'a i powiedziała:

– Wypowiadałam się u ojca Murphy'ego i nie boję się umrzeć. Wszyscy przystąpimy wkrótce do spowiedzi. Nie ustępujcie przed tymi sukinsynami.

Burke popatrzył na nią i kiwnął głową.

– Rozumiem.

Uśmiechnęła się, odwróciła i ruszyła po schodach w stronę ołtarza.

Flynn trzymał pistolet przy boku, odprowadzając ją spojrzeniem. Wydawał się nad czymś rozmyślać, później powiedział:

– W porządku, ile jestem wam winien?

Burke powoli podał rachunek. Flynn spojrzał na kawałek papieru.

– Pięćset sześćdziesiąt jeden dolarów i dwanaście centów. Wyżywienie armii w Nowym Jorku nie jest tanie, prawda? – Wcisnął pistolet za pas i odliczył pieniądze. – Proszę, niech pan podejdzie bliżej.

Burke zbliżył się do furtki i odebrał banknoty oraz drobne. Flynn oznajmił:

– Podatek od wartości dodanej odliczyłem celowo. – Zaśmiał się. – Proszę dopilnować, by dotarło to do prasy, poruczniku. Ci faceci kochają takie nonsensy.

Burke kiwnął głową. Uznał, że Brian Flynn nie jest całkowitym szaleńcem, miał dziwne uczucie, że jest on bystrzejszy niż Schroeder i lepiej odgrywa swoją rolę. Flynn spojrzał na wózek wyładowany przykrytymi metalowymi naczyniami.

– Bez wołowiny nie byłoby Dnia Świętego Patryka, prawda, Burke? Zjadł pan już swoją porcję?

– Nie. Byłem zajęty.

– W takim razie może przyłączy się pan do nas. Wszyscy ucieszą się z pańskiego towarzystwa.

– Nie mogę.

– Nie mogę? – Flynn udał, że coś sobie przypomina. – Ach, tak. Nie należy pod żadnym pozorem dawać ani wymieniać zakładników. Policjanci nie powinni zajmować miejsca zakładników. Ale my nie zatrzymamy pana, zapewniam.

– Wydaje się pan wiele wiedzieć na ten temat.

Flynn wcisnął twarz pomiędzy pręty, zbliżając ją do Burke'a.

– Wiem dość, by nie zrobić niczego głupiego. Mam nadzieję, że wy wiecie przynajmniej tyle samo.

– Jestem pewien, że mamy więcej doświadczenia w dialogu z porywaczami niż wy w porywaniu. Niech pan dopilnuje, żebyście nie popełnili żadnego błędu.

Flynn zapalił papierosa i oznajmił sucho:

– A więc, powinienem się oficjalnie przedstawić, skoro panna Malone była na tyle uprzejma, by wymienić moje nazwisko. Jak ta pani powiedziała i jak być może wiedział już pan z innych źródeł, nazywam się Brian Flynn. Mówi to coś panu?

– Trochę. Późne lata siedemdziesiąte. Po tamtej stronie.

– Tak, po tamtej stronie. Teraz po tej stronie. W przeciwieństwie do Johna Hickeya nie umarłem oficjalnie, lecz jedynie nieoficjalnie zniknąłem. W porządku, porozmawiajmy na nasz ulubiony temat. Czy major Martin obecny jest na waszych naradach wojennych?

– Tak.

– Niech go pan stamtąd wygoni.

– Jak na razie reprezentuje konsulat brytyjski.

Flynn zaśmiał się z przymusem.

– Sir Harry będzie strapiony, gdy to usłyszy. Powiem panu, że Martin wykiwa także swój rodzimy Foreign Office. Lojalny jest jedynie w stosunku do własnej chorobliwej obsesji na punkcie Irlandczyków. Niech go pan przegna jak najdalej od miejsca, w którym podejmowane są decyzje.

– Może wolałbym mieć go w pobliżu i nie spuszczać z niego oka.

– Człowieka takiego jak on nie można utrzymać pod stałą obserwacją. Niech go pan usunie z plebanii jak najdalej od pańskich dowódców.

Burke odpowiedział cicho:

– By pańscy ludzie na zewnątrz mogli go zabić?

Uśmiech przemknął powoli przez wargi Flynn'a.

– Och, poruczniku, bystrzak z pana. O, tak.

– Proszę nie robić niczego bez rozmówienia się wcześniej ze mną.

– Tak, z panem muszę grać w otwarte karty. Być może będziemy jeszcze mogli razem pracować.

– Być może.

– Proszę posłuchać – powiedział Flynn. – Wielu facetów naokoło prowadzi podwójną grę, Burke. Jedynie nowojorska policja, jak mi wiadomo, nie ma żadnych ukrytych motywów. Liczę na to, poruczniku, że zrobi pan to, co do pana należy. Musi pan pozostać uczciwym pośrednikiem i zapobiec krwawej rzezi. Jutro o świcie, obiecuję panu, ta katedra spłonie. To równie nieuniknione jak sam wschód słońca.

Burke maszerował długim podziemnym przejściem z zakrystii, mijając milczących policjantów na korytarzach. Patrol Taktyczny zastąpiony został przez funkcjonariuszy ESD w czarnych mundurach i czarnych kamizelkach kuloodpornych. Mieli ze sobą śrutówki, karabiny snajperskie, broń automatyczną oraz pistolety z tłumikami. Wyglądem znacznie odbiegali od popularnego obrazu gliniarza. Ich oczy zapatrzane były w przestrzeń, mięśnie nadmiernie rozluźnione, spomiędzy zaciśniętych warg sterczały papierosy.

Znalazłszy się na plebanii, Burke wspiął się po schodach do pomieszczeń biurowych prałata i przepchnął przez zatłoczone zewnętrzne biuro do drugiego pokoju, gdzie z widocznym niepokojem oczekiwało na niego dwanaście osób. Stał na środku sali.

Schroeder odezwał się pierwszy:

– Dlaczego tak długo?

Burke wziął krzesło i usiadł.

– Kazałeś mi wy badać tego faceta.

– Żadnych negocjacji, Burke. To moja robota. Ty nie znasz procedury...

– Jeśli tylko zechcesz, żebym wyszedł, już mnie nie ma. Nie zależy mi na wyładowaniu na okładce „Time’a”.

Schroeder się podniósł.

– Zaczyna mnie już męczyć wyśmiewanie się z tego przeklętego artykułu w „Timie”...

Zastępca komisarza Rourke wtrącił się pośpiesznie:

– Spokojnie, panowie. To będzie długa noc. – Odwrócił się do Schroedera. – Czy rzeczywiście chcesz, by Burke wyszedł, kiedy już zrelacjonuje nam swoje spotkanie z Flynnem?

Schroeder pokręcił głową.

– Flynn zrobił z niego swojego chłopca na posyłki, a nam nie wolno denerwować pana Flynnna.

– Co powiedział Flynn? – przerwał im Langley.

Burke powoli zapalił papierosa i dopiero po długiej chwili się odezwał:

– Oświadczył, że katedra ulegnie zagładzie o wschodzie słońca.

Zapadła cisza, w końcu odezwał się Bellini:

– Jeżeli mam brać ten budynek siłą, zostawcie dość czasu dla saperów, by zdążyli przeczesać każdy cal jego powierzchni. Mają teraz tylko dwa kundle, Sally i Brandy... – Potrząsnął z niedowierzaniem głową. – Co za burdel... niech to cholera!

– Bez względu na to, jakiego typu bomby użyli – rzekł Schroeder – mogą opóźnić jej wybuch. Wynegocjuję przesunięcie terminu.

Burke spojrział na niego.

– Chyba nie zrozumiałeś tego, co mówiłem.

– Co jeszcze powiedział, Pat? – znów przerwał Langley.

Burke usiadł wygodnie i relacjonował im swoje spotkanie z Flynnem. Spoglądał z uwagą na majora Martina stojącego przy kominku. Odnosił wrażenie, że Martin wie, iż Burke nie mówi wszystkiego. Z równym zainteresowaniem porucznik skoncentrował uwagę na Arnoldzie Sheridanie. Klasyczny WASP³¹ – zacięty uśmiech, nienaganne maniery, uprzejmy ton głosu. Przydzielony był do sekcji bezpieczeństwa, ale wydawało się, że bycie nawet pseudogliną budziło w nim niesmak. Burke przeniósł wzrok z kolei na Schroedera. Ten człowiek umiał doskonale zarówno mówić, jak i słuchać.

³¹ WASP (White Anglo-Saxon Protestant) – pejoratywne określenie ludzi z kół sądowych, którzy, jak się uważa, tworzą ściśle zamknięty, elitarny klan (*przyp. tłum.*).

Słyszał każde słowo, zapamiętywał każde słowo, interpretował niuanse, analizował i wyciągał wnioski, ale w efekcie końcowym, wskutek jakiegoś niewiarygodnego procesu umysłowego, nigdy nie rozumiał niczego, co zostało powiedziane. Burke strzepnął popiół do filiżanki po kawie.

– Nie uważam, by ten facet był podręcznikowym przypadkiem, Schroeder. Nie sądzę, by zrezygnował ze swych żądań czy zgodził się na przesunięcie terminu.

– Wszyscy to robią, Burke – odparł Schroeder. – Chcą rozegrać to jak przedstawienie i zawsze myślą, że druga strona ustąpi za minutę, za godzinę, następnego dnia. To leży w naturze ludzkiej.

Burke pokręcił głową.

– Lepiej nie działaj zakładając, że będziesz miał więcej czasu.

– Jeżeli wolno mi coś powiedzieć – wtrącił major Martin – analiza dokonana przez porucznika Burke’a jest błędna. Zajmuję się Irlandczykami od dziesięciu lat i wiem, że potrafią jedynie niesamowicie łągać, symulować i blefować. Flynn przesunie termin, jeżeli tylko podsycać będziecie w nim nadzieję...

Burke się podniósł.

– Gówno.

Irlandzki konsul generalny także wstał i odezwał się z wahaniem w głosie:

– Proszę posłuchać, majorze, ja... ja uważam, że charakteryzowanie Irlandczyków w ten sposób jest niesprawiedliwe...

– Och, przepraszam, Tomas. – Martin zmusił się do nadania swemu głosowi przyjaznego tonu. – Mówiłem oczywiście jedynie o IRA. – Powiódł wzrokiem po pomieszczeniu. – Nie zamierzałem też obrażać Amerykanów irlandzkiego pochodzenia, komisarza Rourke’a, pana Hogana, porucznika Burke’a – popatrzył na Schroedera – ani pańskiej połowicy.

– Wszyscy jesteśmy trochę podenerwowani. – Rourke skinął ku Martinowi głową, by pokazać, że nie czuje do niego urazy. – Spróbujmy podchodzić do tego spokojniej, dobrze? – Spojrzał na Burke’a. – Poruczniku, major ma duże doświadczenie w tych sprawach. Dostarcza nam cennych informacji, nie wspominając o wnikliwych uwagach. Wiem, że specjalizuje się pan w sprawach irlandzkich, ale to nie jest problem irlandzko-amerykański. To coś innego.

Burke rozejrzał się po obecnych.

– Chciałbym na parę minut uczynić z niego problem wyłącznie amerykański. Dokładniej, chciałbym pomówić z komisarzem, kapitanem Schroederem, inspektorem Langleyem, panami Krugerem i Hoganem, bez świadków.

Komisarz Rourke popatrzył dookoła, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Major Martin ruszył w stronę drzwi, mówiąc:

– Muszę zadzwonić do konsulatu.

Tomas Donahue przeprosił i wyszedł za nim. Prałat Downes skinął głową. Arnold Sheridan wstał. Jeden po drugim opuścili pomieszczenie.

– Chcesz, żebym został, Burke? – spytał Bellini.

– To ciebie nie dotyczy, Joe.

Bellini odparł:

– Lepiej żeby nie.

Wyszedł razem ze współpracownikiem gubernatora.

Roberta Spiegel rozsiała się w fotelu na biegunach i zapaliła następnego papierosa.

– Możecie iść porozmawiać do męskiej ubikacji, chociaż nie obiecuję, że nie pójde za wami, albo możecie rozmawiać tutaj.

Burke zdecydował, że jej obecność mu nie przeszkadza. Odprowadził Langleya w kąt pokoju i zapytał cicho:

– Masz jakąś wiadomość od Jacka Fergusona?

– Dotarliśmy do jego żony – odparł Langley. – Leży chora w łóżku. Też nie miała od niego żadnej wiadomości.

Burke pokręcił głową. Zwykle czuł się odpowiedzialny za swoich informatorów, szczególnie zaś gdy ich życie było zagrożone, ale dzisiaj nie miał czasu dla Jacka. Ferguson bez wątpienia wie, że jest w niebezpieczeństwie. Burke przeszedł z powrotem na środek pokoju.

– W ciągu tych lat sam rozdałem już kilka kart ze spodu talii, ale w życiu nie widziałem tak szachrajskiej gry jak obecna. A ponieważ to moja głowa o mało co nie została rozwalona dziś po południu, zrozumiecie chyba, dlaczego jestem nieco wkurwiony. – Zaciągnął się papierosem. – Mamy tutaj dobrze zaplanowaną, dobrze sfinansowaną operację. Zbyt dobrze, jak na to, co wiemy o IRA, tak naszej, jak i zagranicznej. Widzę w tym robotę nie tyle rewolucjonisty, ile raczej kontrrewolucjonisty, kogoś powiązanego z rządem. – Spojrzał na Krugera i Hogana. – Wy dwaj musicie chyba co nieco wytłumaczyć. – Ponieważ nikt się nie odezwał, kontynuował: – Brian Flynn powiedział mi, że to major Martin podsunął mu pomysł akcji w Ameryce i dostarczył środki niezbędne do jej przeprowadzenia. A jeśli to jest prawda, to nie wierzę, by Martin poradził sobie bez pomocy waszych ludzi albo przynajmniej bez waszego dobrze znanego talentu do spoglądania w inną stronę, kiedy to wam odpowiada.

– Uważaj – przerwał mu Langley.

Daj spokój, Langley. Ty też miałeś swoje podejrzenia. To wszystko rozpoczęło się jak wyreżyserowane przedstawienie, ale wymknęło się spod kontroli, gdyż, jak sądzę, Brian Flynn zaczął grać swoją rolę niezgodnie ze scenariuszem. Może miał wysadzić w powietrze koszary albo rozwalić bank, ale wpadł na lepszy pomysł i teraz siedzimy wszyscy po uszy w konsekwencjach tych poczynań. Kruger poderwał się z krzesła.

– W życiu nie słyszałem równie paranoicznego majaczenia... Hogan wyciągnął rękę, kładąc dłoń na ramieniu Krugera, i pochylił się do przodu.

– Niech pan posłucha, Burke, to, co pan mówi, jest do jakiegoś stopnia prawdą. – Zamilkł na chwilę, potem kontynuował: – FBI rzeczywiście może zyskać na tym incydencie. Pewnie, kiedy to się skończy, paru ludzi straci swoje stanowiska, ale później analiza ukaze całą naszą bezsilność. I być może obdarzeni zostaniemy odrobiną władzy i pieniędzy. – Wychylił się jeszcze bardziej i nadał swemu głosowi urażony ton: – Lecz żeby choćby sugerować, że to my...

Burke machnął ręką, by przerwać te zaprzeczenia.

– Nie mam żadnych konkretnych dowodów, ale ich nie potrzebuję. Chcę jedynie, byście wiedzieli, że Patrick Burke wie. I że prawie dałem sobie rozpieprzyć łeb podczas dowiadywania się o tym. A jeśli Flynn zacznie składać publiczne oświadczenia, ludzie uwierzą raczej jemu, a wasze dwie organizacje będą miały kłopoty, znowu.

Hogan potrząsnął głową.

– Nie robi żadnych publicznych sugestii na temat pomocy z zewnątrz, ponieważ nie może przyznać się przed narodem irlandzkim do kolaboracji z brytyjskim wywiadem...

– Zamknij się, Hogan. – Kruger przeszył go ostrym spojrzeniem.

– Och, na miłość boską, teraz nie ma sensu udawać niewiniątek. – Hogan zbył ostrzeżenia Krugera machnięciem ręki i spojrzał na czterech zgromadzonych w pokoju policjantów. – Wiedzieliśmy coś na ten temat, ale, tak jak pan powiedział, wymknęło się to spod kontroli. Mogę wam jednak obiecać, że cokolwiek się wydarzy, będziemy was kryć... jeśli wy uczynicie to samo. Co było, to było. Teraz musimy pracować nad tym, by wyjść z tego nie tylko bez winy, ale z pozytywnym wizerunkiem w oczach ludzi. – Rozłożył ręce przed sobą i powiedział przymilnie: – Dano nam wyjątkową możliwość dokonania znaczących zmian w działaniach wywiadowczych w tym kraju. Możliwość poprawy naszej opinii.

Rourke zerwał się na równe nogi.

– Jesteście... szaleni.

Langley zwrócił się do niego:

– Panie komisarzu, uważam, że nie mamy innego wyjścia, jak tylko zajmować się bieżącym kryzysem. Nie jesteśmy w stanie zmienić biegu wydarzeń, które przywiodły nas tutaj, ale możemy próbować nie dopuścić do tragicznego zakończenia tej sytuacji... a jest to możliwe tylko wówczas, gdy będziemy działać wspólnie.

Komisarz popatrzył na agenta CIA, na agenta FBI, potem na swoich dwóch oficerów wywiadu. Jasno widział, że ich logika nie jest jego logiką, ich świat nie jego światem. Rozumiał też, że ktoś, kto potrafił zrobić to, co uczynili Kruger i Hogan, jest niebezpiecznym i gotowym na wszystko człowiekiem. Spojrzał na Robertę Spiegel. Ta skinęła mu głową i komisarz usiadł.

Burke powiódł spojrzeniem po obecnych i powiedział:

– Ważne jest, byście pojęli, że Martin stanowi zagrożenie dla jakiegokolwiek porozumienia. Jego zamiarem jest dopilnować, by katedra legła w gruzach i by polara się

kw. – Spojrzał na Rourke'a i Schroedera. – W żadnym wypadku nie jest waszym dobrym przyjacielem. Martin liczył co najwyżej na kradzież broni albo skok na bank, ale Flynn stworzył mu jedyną w swoim rodzaju szansę wywarcia wpływu na opinię publiczną w Ameryce tak, jak morderstwo lorda Mountbattena³² wpłynęło na poglądy Brytyjczyków. Jednakże jeśli Flynn opuści katedrę bez rozlewu krwi, a więźniowie z IRA zostaną uwolnieni, stanie się on bohaterem dla znacznej części ludności irlandzkiej i nikt nie uwierzy, że naprawdę zamierzał skrzywdzić kogokolwiek czy też zniszczyć katedrę. Rozumiecie więc, że major Martin nie może do tego dopuścić. – Burke odwrócił się ponownie do Krugera i Hogana. – Chcę, by go zneutralizowano. Nie, to nie jest jeden z waszych słynnych eufemizmów na określenie morderstwa. Nie róbcie takich nieszczęśliwych min. Zneutralizowany oznacza niezdolny do działania. Obserwowany. Chcę, by rząd brytyjski reprezentowany był w Nowym Jorku przez zwykłego przedstawiciela Foreign Office, nie przez Martina. Daję wam jedyną możliwość ocalenia waszych tyłków.

Kruger wpatrywał się w Burke'a, a z jego oczu biła nie skrywana wrogość. Hogan skinął głową.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Koniec dyskusji – ucięła Roberta Spiegel i spojrzała na Schroedera. – Kapitanie, kolej na pana.

Schroeder kiwnął głową i włączył głośniki w pomieszczeniach plebanii i w rezydencji kardynała. Poprosił operatora o połączenie i gdy czekał, objął spojrzeniem zgromadzonych w pokoju. Dla nich zaczyna się zupełnie nowa gra, pomyślał. Ale z jego punktu widzenia nie zaszły żadne znaczące zmiany. Nadal jedyny problem stanowiła osobowość Briana Flynn'a. Cały jego świat sprowadzony został do elektrycznych impulsów przebiegających między nim a Flynnem.

Głos, który rozległ się w słuchawkach, sprawił, że Schroeder wyprostował się odruchowo.

– Halo, pan Flynn? Tu kapitan Schroeder.

Brian Flynn stał przy organach i zapalał papierosa, przyciskając słuchawkę barkiem do ucha.

– Schroeder, wołowina była żylasta. Nie zrobiliście jej z tego konia, co?

W głosie negocjatora zabrzmiało rozbawienie:

– Nie, proszę pana. Jeżeli chcecie czegoś jeszcze, proszę dać mi znać.

– Mam właśnie zamiar to zrobić. Przede wszystkim, cieszę się, że zna pan moje nazwisko. Teraz już pan wie, że ma pan do czynienia z największym żyjącym irlandzkim patriotą. Zgadza się?

– Tak, proszę pana...

³² Lord Mountbatten (1902-1979) – admirał, ostatni wicekról Indii, spokrewniony z rodziną królewską; zamordowany 27.08.1979 roku w zamachu bombowym Tymczasowego IRA; tego samego dnia zostało zabitych osiemnastu żołnierzy brytyjskich (*przyp. tłum.*).

– W przyszłości w Dublinie i wolnym Belfaście staną pomniki ku mojej czci. Pana nie będzie pamiętać nikt.

– Tak, proszę pana.

Flynn zaśmiał się niespodzianie.

– Słyszę, że coś pan pisze, Schroeder. Co pan pisze? Następny owoc megalomanii? – Wyciągnął rękę i podniósł egzemplarz autobiografii Schroedera.

– Nie, po prostu robię notatki.

– To dobrze. Teraz niech pan słucha uważnie i sobie zanotuje. Po pierwsze: upewnijcie się, że reflektory katedry nie zgasną. Skąpiana w tym błękitnym świetle wygląda wspaniale. No i utrudni to chłopcom z ESD wspinanie się po jej ścianach. Mam ludzi z lornetkami na wieżowcach. Jeżeli zobaczą jakiś ruch na zewnątrz, zasygnalizują to wieżom albo zadzwonią bezpośrednio do mnie. To prowadzi do punktu numer dwa. Zostawcie w spokoju moje zewnętrzne linie telefoniczne. Punkt numer trzy: jeżeli światła choćby tylko zamigotają, zastrzelę wszystkich. Punkt numer cztery: żadnej wojny psychologicznej, waszych starych numerów z jakimś durnym wozem opancerzonym jeżdżącym dookoła katedry. Moi ludzie na wieżach mają rakiety M-72. Ponadto my widzieliśmy więcej wozów pancernych niż pan taksówek, Schroeder, i nie przestraszycie nas nimi. Punkt numer pięć: żadnych helikopterów. Jeżeli moi ludzie na wieżach dostrzegą jakiś, będą do niego strzelać. Punkt numer sześć: powiedzcie swoim gościom z ESD, że planowaliśmy to od dawna i atak kosztowałby ich bardzo dużo pieniędzy. Nie marnujcie ich, przydadzą się wam następnym razem. – Flynn otarł pot z czoła. – Punkt numer siedem: powtarzam raz jeszcze, żadnego przesunięcia terminu. Planujcie zakończyć to do świtu, Schroeder. Punkt numer osiem: potrzebuję ładnego dwudziestojednocalowego kolorowego telewizora. Powiem wam, kiedy będę chciał, by Burke go przyniósł. Punkt numer dziewięć: sytuacja ma być relacjonowana przez media nieprzerwanie aż do świtu. Punkt numer dziesięć: chcę odbyć konferencję prasową w sali konferencyjnej pod zakrystią. Pora największej oglądalności, dziesiąta wieczór, na żywo. Dotarło? Po długim milczeniu rozległ się pełen napięcia głos Schroedera:

– Tak. Postaramy się spełnić pańskie prośby co do wszystkich dziesięciu punktów.

– Spełnicie moje prośby. Jakie nowiny z Dublina, Londynu i Waszyngtonu?

– Trzy rządy pozostają w stałym kontakcie ze swoimi przedstawicielami w rezydencji kardynała. Robią postępy.

– Jak miło ujrzeć sojuszników współpracujących ze sobą tak bezkolizyjnie. Mam nadzieję, że trzymają nerwy na wodzy, tak jak my to robimy, kapitanie. Jakie wieści z Amnesty i Czerwonego Krzyża?

– Są chętni do współpracy we wszelkich kwestiach.

– Dobrze to o nich świadczy. To porządni faceci, zawsze pod ręką, skorzy do pomocy. A co z immunitetem dla moich ludzi?

Schroeder odchrząknął.

– Prokurator generalny Stanów Zjednoczonych i prokurator generalny stanu New Jersey omawiają tę kwestię. Jak na razie, mogę jedynie obiecać wam...

– Uczciwy proces – przerwał mu Flynn. – Wspaniały kraj. Ale ja nie chcę żadnego procesu, Schroeder.

– W tej chwili nie mogę tego obiecać.

– Proszę mi pozwolić postawić jedną rzecz jasno. Kiedy zawiadomi mnie pan, że więźniowie są zwalniani, lepiej niech pan ma dla nas także i gwarancję immunitetu, inaczej z umowy nici. Zastrzelę zakładników i rozwalę to miejsce na kawałki.

– Wszystko, o co pan prosi, jest starannie rozważane – powiedział cicho Schroeder – ale to wymaga czasu. Jedyne, na czym mi teraz zależy, jest bezpieczeństwo zakładników...

– Schroeder, niech pan przestanie gadać do mnie tak, jakbym był jakimś trzaśniętym zbrodniarzem. Niech to pan sobie zachowa na następne zadanie, jeśli jeszcze dostanie pan jakieś. Jestem żołnierzem i chcę, by traktowano mnie jak żołnierza. Z więźniami obchodzimy się poprawnie. A pański ton jest bardzo protekcyjny.

– Przepraszam, nie miałem zamiaru pana obrazić. Staram się jedynie upewnić pana, że mamy uczciwe intencje. Moim zadaniem jest wynegocjowanie układu satysfakcjonującego obie strony i...

– Jak może pan nazywać to negocjacjami – przerwał mu Flynn – skoro nie zamierza pan ustąpić ani na krok?

Schroeder nie odpowiedział.

– Czy podczas swojej pracy negocjatora poszedł pan kiedykolwiek na autentyczne ustępstwa, Schroeder? Nigdy. Nawet nie słucha mnie pan, na rany Chrystusa. A więc lepiej niech pan mnie, do cholery, słucha, bo kiedy z tej katedry pozostanie kupa gruzów i wszędzie leżeć będą trupy, będzie pan żałować, że nie zwracał większej uwagi na moje słowa i nie działał w dobrej wierze.

– Ja słucham. Ja działałam...

– Będzie pan znany, kapitanie Bercie Schroeder, jako ten, któremu nie udało się uratować katedry Świętego Patryka i którego ręce splamione są krwią niewinnych ludzi. Nigdy już nie będzie mógł pan chodzić z podniesioną głową i nie przyjmie pan już chyba zbyt wielu zaproszeń do udziału w programach telewizyjnych.

W głosie Schroedera po raz pierwszy zabrzmiało podniecenie, jakiego nie słyszał dotąd nikt z przysłuchujących się rozmowie.

– Nie okłamałem pana, prawda? Nie próbowaliśmy użyć siły, prawda? Prosiliście o jedzenie, dostaliście jedzenie. Prosiliście o...

– Ja zapłaciłem za to cholerne żarcie! Teraz słuchaj mnie uważnie. Wiem, że jesteś jedynie pośrednikiem dla całej kupy skurwysynów, ale... – Flynn spojrział na zdjęcie Schroedera na okładce jego książki. Nie było upozowane, zrobiono je w trakcie napadu na bank zakończonego wzięciem zakładników. Schroeder, w przeciwieństwie do swego

poprzednika, zawsze noszącego wiatrówkę i baseballową czapkę, ubierał się schludnie w kamizelkę i garnitur z prążkowanego materiału. Twarz i masywne ciało sugerowały, że jest raczej typem gościa w czapeczce baseballowej, ale Schroeder starał się wytworzyć swój własny styl. Flynn przyjrzał się twarzy na okładce. Dobry profil, twarda szczęka, wyprostowana postawa. Lecz w oczach tkwił nie skrywany strach. Kiepski obraz. Flynn kontynuował: – Ale ja panu ufam, Schroeder, ufam, że użyje pan swoich wpływów i pośrednictwa. Chcę, by rozmawiał pan ze mną przez całą noc, kapitanie. Chcę, by przekazywał pan moje posłanie ludziom naokoło pana.

Głos Schroedera zdradzał zaskoczenie wywołane tym niespodziewanym zaufaniem:

– Dobrze. Zrobię to. Może pan ze mną rozmawiać.

Obaj mężczyźni milczeli przez moment, a potem Schroeder powiedział:

– A teraz chciałbym poprosić pana o dwie przysługi.

Flynn się uśmiechnął i zaczął bezmyślnie kartkować leżącą przed nim autobiografię Schroedera.

– Słucham.

– Po pierwsze, to urządzenie zagłuszające wprowadza zamieszanie w nasz system dowodzenia i kontroli, a nie chcemy, by wskutek braku łączności doszło do jakiegoś incydentu. Zakłóca ono też stacje radiowe i dźwięk audycji telewizyjnych.

Flynn odrzucił książkę na bok.

– Nie da rady, choć pomyślę o tym. Co jeszcze?

– Chciałbym zamienić po kilka słów z każdym z zakładników.

– Może po konferencji prasowej.

– Dobrze, to mi wystarczy. Jest jeszcze coś...

– Zawsze jest.

– Tak, cóż, skoro nawiązujemy między sobą nic porozumienia... zaufania, a ja jestem jedyną osobą, która naradza się z panem, zastanawiam się, czy nie mógłby pan uczynić tego samego dla mnie. To znaczy, rozmawiałem przedtem z panem Hickeyem i...

Flynn zachichotał i rozejrzał się dookoła, ale Hickeya nie było w zasięgu wzroku.

– Miał pan ciężką przeprawę z Johnem, co, kapitanie? Uwielbia robić nieprzyjemne dowcipy. Cóż, niech się pan po prostu z nim bawi. On uwielbia rozmawiać, Irlandczyk, sam pan rozumie.

– Owszem, ale mogło dojść do jakiegoś nieporozumienia. Pan jest szefem i chciałbym utrzymywać łączność bezpośrednio z panem, a...

Flynn odłożył słuchawkę na widełki.

Schroeder przez długą chwilę spoglądał na milczący głośnik i splótł dłonie na blacie biurka. Flynn mówił o immunitecie, co dowodziło, że myśli o przyszłości i, zgodnie z logiką, pragnie uniknąć tego, by dotychczas popełnione przez niego przestępstwa przerodziły się w coś poważniejszego. Nie zależało mu na niczyjej śmierci, a już najmniej na własnej. Co

jeszcze ważniejsze, Flynn zaczynał uzależniać się od niego. Tak było zawsze. Gdy tylko uświadomił sobie, że głos Schroedera jest jedynym, który ma jakiegokolwiek znaczenie, stawało się to nieuniknione. Schroeder podniósł wzrok.

– Myślę, że zaczynam dobierać się do tego gościa.

– Na razie wygląda raczej na to, że to on dobrał się do ciebie – zauważył Burke.

Schroeder przymknął oczy i skinął niechętnie głową.

– Tak, Flynn zdaje się wiedzieć trochę o moich metodach. Obawiam się, że to środki masowego przekazu zbyt nagłośniły pracę mojego biura. Ja nigdy nie szukałem popularności – dodał.

– Czy to oznacza, że twoja autobiografia nie była autoryzowana? Jezu, mogłeś chociaż poczekać z jej publikacją, dopóki nie odejdiesz na emeryturę. – Burke się uśmiechnął. – A teraz brakuje w niej najważniejszego rozdziału. Musisz to poprawić przed drugim wydaniem. Porozmawiaj o tym z twoim agentem. – Potem dodał pojednawczo: – Posłuchaj, Bert. Nie znam odpowiedzi na wszystkie pytania, ale...

– Nie, bez wątplenia nie znasz. – Schroeder się podniósł. – A ja mam już dosyć twoich teorii, Burke, i twojej postawy.

Nikt się nie odezwał. Burke ruszył do drzwi.

– Nie odchodź za daleko – rzucił za nim Schroeder. – Flynn może później zażądać kawy.

Burke odwrócił się ze złością.

– Do tej pory mieliśmy już tutaj podwójną grę, niekompetencję i nieco najzwyklejszej głupoty. I mimo to możemy mówić o cholernym szczęściu. Ale jeżeli nie weźmiemy się przed świtem do kupy, czeka nas masakra, profanacja i konieczność wytłumaczenia się z tego wszystkiego.

– Po prostu zostaw to mnie – odparł Schroeder spokojnym, stanowczym tonem, który bezapelacyjnie kończył dyskusję.

Ojciec Murphy przeszedł przez prezbiterium i zatrzymał się przed kardynałem.

– Wasza Eminencjo, chciałbym się wypowiedzieć.

Kardynał skinął głową.

– Ujmij moje ręce.

Murphy poczuł, że skrawek papieru lepi się do jego dłoni.

– Nie... chciałbym pójść do konfesjonału.

Kardynał powstał.

– Chodźmy do zakrystii arcybiskupiej.

– Nie... – Czoło Murphy'ego zaczęło się pokrywać potem. – Oni nam nie pozwolą. Możemy skorzystać z konfesjonału, w którym wysłuchałem spowiedzi panny Malone.

Kardynał zmierzył go zaciekawionym spojrzeniem i kiwnął głową.

– Jak sobie ojciec życzy.

Zstąpił z tronu i skierował się w stronę tylnej części prezbiterium, potem zszedł po bocznych schodach prowadzących do ambitu. Ojciec Murphy rzucił okiem do tyłu, na Maureen i Baxtera. Oboje skinęli głowami z aprobatą i Murphy ruszył za kardynałem.

Leary wychylił się przez parapet chóru, umieścił nitki celownika tuż przed twarzą kardynała i powiódł za nim lufą, gdy ten przeszedł od prawej do lewej przed powiększającym obiektywem lunetki. Strażnicy z galerii zaczęli wykrzykiwać ostrzeżenia do dwóch księży i do Leary'ego, który, jak wiedzieli, był gotów do strzału. Zaczęli głośno wzywać Flynn'a i Hickey'a.

Kardynał zdawał się nie zwracać uwagi na te ostrzeżenia. Zatrzymał się przy przejściu prowadzącym do konfesjonału i czekał na ojca Murphy'ego podążającego niepewnie za nim.

Leary ustawił celownik na złotym krzyżu kardynała i zaczął ściągać spust.

Nagle przed dwoma księżmi pojawił się Flynn, podnosząc ręce i spoglądając ku balkonom. Krzyki ucichły. Leary wyprostował się i oparł swój karabin w zgięciu ręki. Nawet z tej odległości Flynn rozpoznał charakterystyczną pozycję łowcy, którego właśnie pozbawiono zdobyczy, nasłuchującego, obserwującego w bezruchu. Wtedy Megan wyłoniła się na chórze obok Leary'ego, mówiąc coś do niego, jakby łagodząc gorycz rozczarowania. Flynn odwrócił się ku dwóm księżom.

– Co wy, do cholery, wyprawiacie?

– Chcę wysłuchać spowiedzi – odparł spokojnym głosem kardynał.

Flynn wydusił przez zaciśnięte zęby:

– Postradał pan zmysły? Nie wolno wam wychodzić stamtąd bez pozwolenia.

– Nie potrzebuję pańskiego pozwolenia, by pójść dokądkolwiek w tym kościele. Proszę się odsunąć.

Flynn zdławił budzący się w nim gniew.

– Proszę mi pozwolić powiedzieć coś wam obu. Ci ludzie na górze otrzymali rozkaz, by strzelać... W porządku, czterej z nich nie są być może księżobójcami, ale ten piąty zabiłby was. Zastrzeliby własną matkę, gdyby tego wymagał jego kontrakt. Tak jak wy składaliście swoje śluby, on złożył swoje.

Twarz kardynała przybrała kolor purpury, chciał coś powiedzieć, ale Flynn nie pozwolił mu.

– Ten człowiek spędził czternaście lat, walcząc jako snajper na usługach tuzina różnych armii. Teraz ogląda świat jedynie przez celownik swego karabinu. Cały sens jego życia skupia się w tym jednym, jedynym momencie. On to kocha, huk wystrzału, szarpnięcie kolby przy ramieniu, błysk lufy, zapach spalonego prochu w nozdrzach. Dla niego to niczym seks. Potraficie to zrozumieć?

Ani kardynał, ani ksiądz nie odpowiedzieli. Potem kardynał odwrócił się, by spojrzeć w kierunku chóru.

– Trudno uwierzyć, że ktoś taki istnieje. Powinien pan uważać, by nie zastrzelił pana. – Obszedł Flynna i z ojcem Murphym za plecami wszedł do konfesjonału.

W pewnym oddaleniu, w kaplicy Matki Boskiej, John Hickey przyglądał się temu w milczeniu. Murphy ukląkł w mrocznej klitce i zaczął:

– Pobłogosław mnie, Ojcze... – Zerknął przez szparę między zasłonami i zobaczył, że Flynn odchodzi. Cichym szeptem odezwał się do kardynała, pospiesznie wyznając swoje grzechy, potem przerwał nagle i powiedział: – Wasza Eminencjo, mam zamiar użyć dzwonka do przesłania zakodowanej informacji.

Ciemny zarys kardynalskiego profilu za ciemną kurtyną nie drgnął, tak jakby kardynał w ogóle tego nie usłyszał. Potem głowa poruszyła się nieznacznie.

Murphy przesunął powoli zasłonę tak, by ukryła futrynę, i przycisnął guzik, wysyłając serię alarmujących sygnałów. Spojrzał z bliska na trzymany w dłoni papier, mrużąc oczy w ciemności. Zaczął:

TU O. MURPHY

Nagle za zasłonę wślizgnęła się ręka i uchwyciła jego nadgarstek. Głos Hickeya wypełnił konfesjonał:

– Skoro tu już pan jest, padre, proszę przyznać się także do używania konfesjonału do oszustwa. – Hickey wydarł papier z ręki księdza i zaciągnął zasłonę. – Dalej, kończcie swoją cholerną spowiedź. Ja skończę nadawanie.

Ojciec Murphy skulił się przy kurtynie i powiedział cicho do kardynała:

– Przepraszam...

Hickey stanął przy kabinie i rozejrzał się. Flynn odszedł. Nikt nie zwracał na niego specjalnej uwagi z wyjątkiem Malone i Baxtera w prezbiterium, których twarze wyrażały złość przemieszana z rozpaczą. Hickey uśmiechnął się do nich, przeczytał zaszyfrowaną informację, sięgnął do przycisku na futrynie i zaczął nadawać. Powtórzył pierwsze słowa:

TU O. MURPHY W KONFESJONALE Z KARDYNAŁEM.

Imitując nierówny rytm kogoś nadającego pierwszy raz w życiu, przekazał zapisaną informację, modyfikując ją na bieżąco.

SZACUNEK SIŁY FENIAN: NIE WIĘCEJ NIŻ OŚMIU LUDZI. PO JEDNYM NA KAŻDEJ ZE WSCHODNICH GALERII. ŻADNEGO NA ZACHODNICH GALERIACH. ŻADNEGO NA CHÓRZE. JEDEN NA SCHODACH DO ZAKRYSTII Z THOMPSONEM – ZAUWAŻONA TYLKO BROŃ AUTOMATYCZNA. PO JEDNYM W KAŻDEJ WIEŻY. ŁĄCZNOŚĆ POŁOWA SZWANKUJE. ZAKŁADNICY PRZENIESIENI DO KRYPTY. OSŁONIĘCI PRZED OGNIEM.

Zatrzymał się i wybrał kilka zdań z tekstu.

MACCUMAIL TO BRIAN FLYNN. ZASTĘPCA JOHN HICKEY. MEGAN FITZGERALD TRZECIA RANGĄ.

I znów zaimprovizował.

NIE MA MIN NA DRZWIACH. MASKI PRZECIWGAZOWE STAREGO TYPU. NIESPRAWNE FILTRY. FENIANIE LOJALNI WOBEC HICKEYA. NIE BĘDĄ NEGOCJOWAĆ W DOBREJ WIERZE. SAMOBÓJCZE ROZMOWY. BAXTER MA BYĆ POWIESZONY KU OSTRZEŻENIU PRZED UPŁYWEM TERMINU. RÓBCIE TO, CO MUSICIE. NIE BOIMY SIĘ. NIECH WAS BÓG BŁOGOSŁAWI. OJCIEC MURPHY.

Hickey zdjął palec z przycisku i uśmiechnął się. Ludzie na zewnątrz byli teraz nieco ogłupieni... i wystraszeni. Strach prowadzi do desperacji. Desperacja prowadzi do brawury. Hickey postawił siebie na ich miejscu – odrzucający możliwość negocjacji, zatroskani o los zakładników, nie doceniający sił okupujących katedrę. Policja przedstawi plan zdobycia katedry i zostanie on zaakceptowany. A politycy uzasadnią tym tekstem konieczność użycia siły. Policjanci wedrą się przez drzwi, gdzie zatrzymają ich eksplozje i nieoczekiwane silny ogień.

Hickey rozglądając się po katedrze, wyobrażał to sobie. Strzaskany marmur, pokruszone posągi, ciemnoczerwona krew spływająca po ołtarzach i posadzce, zwłoki porzucane na ławkach. Poddasze zostanie podpalone i strop w nawie głównej zawali się, wyrzucając drogocenne witraże na ulice. Ujrzał ciała konających wijące się wśród gruzów i płomieni. A kiedy będą myśleć, że najgorsze już minęło, długo po tym, jak ucichną ostatnie strzały, gdy pierwsze promienie świtu wpadną do środka przez zakurzone szyby, ukazując ratowników i lekarzy krzątających się wśród ruin, wtedy eksplodują bomby zegarowe. Dwie główne kolumny zatrząsą się, zadygoczą i runą wśród ogłuszającego łoskotu granitu i marmuru, gipsu i spiżu, drewna i betonu. Katedra umrze, cegła za cegłą, kamień za kamieniem, kolumna za kolumną, ściana za ścianą... I przez wszystkie przyszłe lata, jak długo ludzie spoglądać będą na najwspanialsze ruiny Ameryki, pamiętać będą ostatnią misję Johna Hickeya na ziemi.

Maureen Malone siedziała nieruchomo w ławce i przyglądała się Hickeyowi nadającym swój tekst. Odwróciła się do Harolda Baxtera.

– Skurwieli!

– Cóż, to jego prawo, czyż nie tak? Ale nie wyrządził wielkiej szkody, zwłaszcza jeśli pierwszy przekaz został odebrany.

– Chyba pan nie rozumie – powiedziała. – Ludzie na zewnątrz nadal wierzą, że to my kontrolujemy ten sygnał. Hickey nie wysłał im okrojonego tekstu czy czegoś w tym stylu. On odczytuje nasz tekst i nadaje fałszywy raport, posługując się naszymi podpisami.

Baxter spojrział w stronę Hickeya, stopniowo pojmując sens jej słów.

– I Bóg jeden raczy wiedzieć, co on im przekazuje. Pan wie, że on jest szalony. W porównaniu z Hickeyem Flynn to uosobienie rozsądku.

– Hickey nie jest szalony – odparł Baxter. – On jest znacznie bardziej niebezpieczny.

Maureen utkwiała wzrok w posadzkę.

– Mimo to nie mam zamiaru przeproszać za tę próbę.

- Nie proszę pani o to. Ale uważam, że następny plan winien być mojego autorstwa.
- Czyżby? – jej głos przybrał lodowaty ton. – Nie sądzę, byśmy mieli dość czasu, by czekać na pański plan albo na pański sławetny odpowiedni moment.
- Proszę dać mi jeszcze parę minut – odpowiedział bez złości. – Chyba wiem, jak się stąd wydostać.

Kapitan Bellini podniósł wzrok znad swojej kopii tekstu i oznajmił komisarzowi Rourke'owi:

– Jeżeli są to prawdziwe informacje, to mogę zająć katedrę bez narażania moich ludzi na ryzyko. Zakładnicy przebywając w krypcie, mają dużą szansę przeżycia... chociaż nie mogę tego zagwarantować. – Ponownie spojrzął na kartkę. – Choć nie wydają się mieć wielkich szans na to w towarzystwie tych fenian. – Podniósł się. – Potrzebuję jeszcze kilku godzin na opracowanie planu.

Burke przypomniał sobie słowa Maureen przy kracie. „Dwunastu ludzi.” Teraz Murphy mówi o ośmiu. Spojrzął na Belliniego stojącego po drugiej stronie wewnętrznego biura prałata.

– A jeżeli nie są prawdziwe?

– Jak dalece mogą się mylić? – zapytał Bellini. – Mają oczy otwarte właśnie na takie rzeczy, prawda? Umieją przecież liczyć. Posłuchaj, nie palę się zbytnio do tego, ale teraz zrobiło mi się nieco lżej na sercu.

– Nie możemy wykluczyć możliwości, że jeden lub oba teksty pochodzą od fenian – zauważył Langley. Spojrzął na swoją kopię i porównał ją z wcześniejszym tekstem. – Nie jestem zupełnie pewien. Coś tu jest nie w porządku. – Podniósł wzrok. – Bellini, jako oficer wywiadu radzę ci nie wierzyć żadnemu.

Bellini wydał się nieco zdenerwowany.

– No i gdzie teraz, kurna, jestem? Tam, gdzie byłem przedtem, cholera jasna.

– Czy ufamy którejś z tych informacji, czy też nie – odezwała się Roberta Spiegel – wszyscy ludzie w rezydencji kardynała i w sąsiednim pokoju czytają ten ostatni tekst i bez wątpienia dojdą do własnych wniosków. – Spojrzała na Rourke'a. – To uzasadnia uderzenie prewencyjne, komisarzu. To właśnie zaprzęta teraz ich myśli. – Odwróciła się do Belliniego. – Kapitanie, proszę być gotowym do przeprowadzenia ataku w bardzo krótkim terminie.

Bellini skinął z roztargnieniem głową. Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł prałat Downes.

– Czy ktoś pragnął mnie widzieć?

Mężczyźni popatrzyli po sobie ze zdziwieniem, a potem odezwała się Roberta Spiegel:

– Tak, ja chciałam z panem rozmawiać.

Downes stanął przed nią. Współpracowniczka burmistrza myślała przez chwilę, po czym powiedziała:

– Wasza Wielbność, ani burmistrz, ani nikt inny nie chce uczynić niczego, co mogłoby wyrządzić szkodę kościołowi czy zagrozić życiu zakładników. Jednakowoż... jeżeli policja, mój urząd oraz ludzie w Waszyngtonie zdecydują, że dalsze negocjacje nie są możliwe i że zakładnikom grozi realne i bezpośrednie niebezpieczeństwo... czy pan oraz diecezja poprzecie naszą decyzję wysłania do katedry jednostek specjalnych?

Prałat Downes stał nieruchomo, nie odpowiadając.

– Proszę dać prałatowi kopię tego przekazu – poleciła Spiegel Belliniemu.

Downes przyjął papier i przeczytał go.

– Muszę porozumieć się z kanclerzem biskupim. Nie mogę samodzielnie brać za to odpowiedzialności. – Odwrócił się i opuścił pomieszczenie.

– Za każdym razem, gdy odkrywamy nowy aspekt tego problemu, przekonujemy się, jak dalece nie docenialiśmy Flynna – stwierdziła Roberta Spiegel. – Ciosy spadają na nas równo ze wszystkich stron i wraz z upływem czasu staje się oczywiste, że najłatwiejszym rozwiązaniem jest kapitulacja, oczywiście nasza, a nie Flynna.

– Nawet kapitulacja nie jest łatwa – odparł Langley. – My możemy się poddać, ale to nie oznacza, że Waszyngton, Londyn czy Dublin uczynią podobnie.

Komisarz Rourke zwrócił się do Belliniego:

– Kapitanie, jedyną rzeczą, jaką możemy zrobić na własną rękę, za zgodą jedynie burmistrza, jest atak.

– To zawsze jest najłatwiejsze – odpowiedział Bellini.

W tym momencie wtrącił się Schroeder:

– Odnoszę wrażenie, że postawiliście już krzyżyk na negocjacjach.

Wszyscy spojrzeli na niego. Burke odparł:

– Zdecydowanie nie. Kapitanie, pan jest nadal naszą największą nadzieją. Jeżeli istnieje cokolwiek pośredniego między naszą kapitulacją a atakiem, jestem przekonany, że pan to coś znajdzie. Ale Flynn oznajmił, że nie ma pośrednich rozwiązań, i odnoszę wrażenie, że mówił prawdę. Świt albo śmierć.

Maureen przyglądała się Hickeyowi rozmawiającemu z kardynałem i ojcem Murphym przy konfesjonale. Odezwała się do Baxtera:

– Wypytuje ich o przycisk i o pierwszy przekaz.

Baxter skinął głową i powstał.

– Wyprostujmy odrobinę nogi. Porozmawiamy.

Przeszli przez prezbiterium około czterdziestu stóp w stronę tronu i zawrócili. Gdy to uczynili, Baxter wskazał coś ruchem głowy.

– Niech pani tam spojrzy, ta spiżowa płyta.

Po prawej stronie ołtarza, za schodami do zakrystii widniała masywna płyta, pod którą zniknęli Hickey i Megan ze swoimi walizkami. Baxter spojrział w głąb katedry.

– Analizowałem strukturę tego budynku. Kiedy Hickey i Fitzgerald wyszli z tego otworu, mieli dłonie i kolana ubrudzone ziemią. A więc tam w dole musi być bardzo nisko. Są tam z pewnością kiepsko lub nawet zupełnie nie oświetlone przestrzenie. Mamy teren porównywalny rozmiarami z miejskim kwartałem, w obrębie którego możemy się zaszyć. Jeżeli zdołamy szybko podnieść tę płytę i zeskoczyć w dół, nigdy nas stamtąd nie wykurzą.

– Ale nawet jeśli zdążymy to uczynić, zanim nas zastrzelą, nadal nie będziemy wolni i nikt na zewnątrz nie będzie wiedział, że jesteśmy tam na dole.

– Ale my będziemy wiedzieli, że nie jesteśmy tu na górze.

Maureen skinęła głową.

– Tak, to pewna różnica, prawda?

Przez parę minut spacerowali w milczeniu, wreszcie Maureen zapytała:

– Jak zamierza pan to zrobić?

Podczas gdy Baxter przedstawiał jej swój plan, ojciec Murphy i kardynał wrócili do prezbiterium. Zarówno Maureen, jak i Baxter dostrzegli, że obaj księża są bardzo bladzi. Podeszli prosto do nich.

– Hickey wie, oczywiście – oznajmił ojciec Murphy.

Kardynał uzupełnił:

– Nie wysuwałbym żadnych obiekcji wobec próby porozumienia się z plebanią. – Spojrzał ostro na Murphy’ego, potem przeniósł wzrok na Baxtera i znów na Murphy’ego. – Musicie mnie informować z wyprzedzeniem o waszych planach.

Właśnie mamy zamiar to zrobić, Wasza Eminencjo – oznajmił Baxter. – Rozważamy plan ucieczki. Chcemy, byście obaj poszli z nami.

Kardynał pokręcił głową i powiedział kategorycznie:

– Moje miejsce jest tutaj. – Przez moment wydawał się zagubiony w myślach, a potem dodał: – Ale jestem gotów udzielić wam mojego błogosławieństwa. – Odwrócił się do ojca Murphy’ego. – Ojciec może iść z nimi, jeżeli tego chce.

Murphy potrząsnął głową i zwrócił się do Maureen i Baxtera:

– Nie opuszczę Jego Eminencji. Ale pomogę wam, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Maureen spojrzała na trzech mężczyzn.

– Dobrze. Zastanówmy się nad szczegółami. – Zerknęła na zegarek. – Ruszamy o dziewiątej.

Gdy prałat Downes wszedł do biura, kapitan Bellini odezwał się do niego:

– Znalazł pan już plany katedry?

Prałat potrząsnął przecząco głową.

– Personel sprawdza tutaj i w siedzibie diecezji. Ale nie sądzę, byśmy kiedykolwiek mieli w kartotece choćby jeden zestaw.

Komisarz Rourke zapytał Langleya:

– Czy robicie coś, aby odnaleźć tego architekta, Gordona Stillwaya?

Langley zapalił papierosa, zwlekając z odpowiedzią.

– Nasi wywiadowcy udali się do jego biura na Wschodniej Pięćdziesiątej Trzeciej. Oczywiście było zamknięte...

– Staracie się o sądowe zezwolenie na wejście? – przerwał mu Rourke.

Langley zauważył, że zastępca komisarza staje się coraz bardziej pewny siebie. Koło północy spróbuje prawdopodobnie wydać jakiś rozkaz.

– Prawdę mówiąc, ktoś już wszedł do środka – odpowiedział Langley – bez dobrodziejstwa zezwolenia sądu. Żadnych planów katedry. Wywiadowcy starają się znaleźć listę pracowników. Tego najwyraźniej także brak.

Prałat Downes odchrząknął.

– Nie pochwalam ataku... ale coś takiego zostało zaplanowane, jak przypuszczam... – Spojrzał na biblioteczkę i dodał: – Wśród tych książek znajdziecie pięć ilustrowanych albumów o katedrze. W niektórych są plany, oczywiście bardzo powierzchowne, mające pomóc turystom w poruszaniu się na głównym poziomie kościoła. Ale zdjęcia wnętrza są bardzo dobre i mogą być pomocne.

Bellini zaczął przeglądać zawartość półek. Burke się podniósł.

– Kopie planów mogą być w mieszkaniu Stillwaya. Nikt nie odbiera telefonu, a wywiadowca, którego tam wysłaliśmy, twierdzi, że nikt nie reaguje na dzwonek u drzwi. Zaraz tam pojedę.

Schroeder poderwał się na równe nogi.

– Nie możesz stąd odejść. Flynn powiedział...

Burke naskoczył na niego:

– Do diabła z Flynnem!

– Niech pan idzie, poruczniku – powiedziała Roberta Spiegel.

Langley wydarł kartkę z notesu.

– Tu masz adres. Nie wchodź do środka w niedozwolony sposób.

– Jeżeli znajdzie pan Gordona Stillwaya – przypomniał prałat – proszę pamiętać, że to bardzo stary człowiek. Niech go pan nie wystraszy.

– Nie robię niczego, co byłoby nielegalne, i nie straszę ludzi.

Burke przedarł się przez chmurę błękitnego papierosowego dymu dryfującą na wysokości twarzy w zatłoczonym zewnętrznym biurze, wydostał się na korytarz i zszedł po schodach. Parterowe pomieszczenia plebanii wypełnione były umundurowanymi oficerami policji, kierującymi operacjami polowymi. Burke podszedł do siedzącego przy biurku kapitana i pokazał mu swoją odznakę.

– Potrzebuję samochodu z szaleńcem za kierownicą.

Kapitan oderwał wzrok od mapy śródmieścia.

– Naprawdę? Teren po drugiej stronie kordonu jest na fest zapchany ludźmi i samochodami. Dokąd panu tak spieszo, poruczniku?

– Gramercy Park. Bardzo pilne.

– Cóż, niech się pan przedostanie do stacji ITR³³ na Lexington.

– Gównu. – Burke chwycił za telefon i przez centralę połączył się z biurami prałata.

– Langley, czy ten helikopter nadal stoi na dziedzińcu pałacu? To dobrze. Zadzwoń tam i każ go podgrzać.

Burke wyszedł z plebanii na Pięćdziesiątą Pierwszą Ulicę i odetchnął orzeźwiającym powietrzem. Śnieg topniał powoli, ale nadal wiał silny wiatr. Niesamowita cisza wypełniała oświetlone lampami ulice naokoło katedry. W oddali stały wozy patrolowe, autobusy i śmieciarki, blokując teren. Przewody telefoniczne biegły po ośnieżonych ulicach i chodnikach. Na tle na wpół oświetlonych budynków rysowały się sylwetki wartowników, a po jezdniach krążyły jeepy wyładowane żołnierzami Gwardii Narodowej z karabinami skierowanymi ku górze. Megafony dudniły poprzez zimne powietrze, policjanci patrolowali odizolowany teren, a nie uprzątnięty śnieg skrzypiał pod ich krokami. Wszystko to sprawiło, że Burke pomyślał o Belfaście i chociaż nigdy tam nie był, poczuł, że zna atmosferę tamtego miejsca. Postawił kołnierz i przyspieszył kroku.

Po drugiej stronie Madison Avenue ktoś jechał powoli konno, zmagając się z północnym wichrem. Betty Foster przejechała pod latarnią, ale nie zauważyła go, więc Burke poszedł dalej.

Na skrzyżowaniu skręcił i obejrzał się na katedrę oświetloną zainstalowanymi w ogrodach reflektorami. Łagodny blask bił zza witrażowych okien, rzucając kolorowe cienie na białą ulicę. Był to spokojny widok, uroczy niczym na pocztówce: pokryte śniegiem nagie konary lip, migoczące połacie nie tkniętego ludzką stopą śniegu. Być może w całym stuleciu nie było tu piękniej i spokojniej. Gdy spojrzał w górę, ku dwóm wieżom, na szczycie których światło przeświecało przez strzaskane żaluzje, coś dziwnego przykuło jego uwagę. W wieży północnej – dzwonnicy – ujrzał ruchomy cień, samotną sylwetkę krążącą od okna do okna, zmarzniętą, prawdopodobnie zdenerwowaną, czujną. W południowej wieży dostrzegł nieruchomą postać. Dwie osoby, po jednej w każdej wieży – oczy obłąkanej katedry.

Helikopter dowództwa policji zużył na dwuipółmilową trasę mniej niż dwie minuty. Żaden z uprawiających jogging mieszkańców nie osiągnąłby lepszego rezultatu. Burke odszukał tajniaka w holu budynku, w którym mieszkał Stillway. Nakazu sądowego nadal nie było. Razem wspięli się na najwyższe piętro.

– Nikogo nie ma w domu – stwierdził wywiadowca, gdy stanęli przed drzwiami Stillwaya.

³³ ITR (Interborough Rapid Transit) – nazwa jednej z firm kontrolujących niegdyś nowojorskie metro (*przyp. tłum.*).

– O kurde, masz rację, Sherlocku. – Burke popatrzył na trzy cylindry zamków umieszczone jeden pod drugim. Różniły się wiekiem, będąc dowodem paniki postępującej wraz z upływem dekad. Odwrócił się do wywiadowcy. – Masz ochotę przymierzyć się do tego?

– Wcale.

– Ja także nie. – Burke przeszedł na wąską klatkę schodową ukrytą za małymi drzwiami. – Zostań tutaj. – Wspiął się po schodach na dach, po czym tylnym zejściem przeciwpożarowym dotarł na wysokość okna Stillwaya.

Mrok mieszkania rozjaśniała jedynie żarząca się skala radia z budzikiem. Na oknie nie było kraty. Burke wyciągnął broń i uderzył nim w stare, kruche szkło szyby nad zasuwą okna. Wsunął rękę do środka, odciągnął zasuwę i podniósł okno do góry. Potem wskoczył szybko do pokoju i w przysiadzie oddalił się od okna, trzymając broń w wyciągniętych przed siebie złączonych dłoniach.

Burke uspokoił oddech i słuchał. Jego oczy przyzwyczyły się do ciemności i zaczął dostrzegać cienie i kształty. Nic się nie poruszało, nikt nie oddychał, nic nie śmierdziało; nie było tu nikogo zainteresowanego zabiciem go i, jak wyczuwał, nikogo, kto zostałby tutaj zabity. Podniósł się, namacał lampę i zapalił ją.

Obszerny apartament stanowił surowy, tchnący nowoczesnością kontrast dla świata za oknami. Białe ściany, świetlówki na suficie, chromowane meble. Ukryty nowoczesny świat starego architekta specjalizującego się w renowacji budynków gotyckich. Wstyd, wstyd, Gordonie Stillway.

Poszedł w stronę drzwi na korytarz, wciąż z bronią w dłoni, zaglądając w każdy ciemny kąt. Wszystko było najzupełniej zwyczajne, nic uderzającego, żadnej purpurowej plamy na białym dywanie ani śladu zakrzepłej krwi na połyskujących chromowych powierzchniach. Burke wepchnął rewolwer do kabury i otworzył drzwi. Skinął dłonią na wywiadowcę.

– Wybita tylna szyba. Podejrzenie o dokonanie przestępstwa. Spisz raport.

Wywiadowca mrugnął porozumiewawczo i skierował się ku schodom.

Burke zamknął drzwi i rozejrzał się. Obok stołu kreślarskiego znalazł kartotekę i wysunął środkową szufladę obejmującą litery od J do S. Nie był zaskoczony, gdy pomiędzy Świętym Markiem w Bowery a Świętym Pawłem Apostołem nie znalazł niczego więcej poza odrobinę większym odstępem.

Na stole w kuchence dostrzegł telefon i wykręcił numer plebanii. Usłyszał sygnał zajętej linii, więc wykręcił numer centrali. Odpowiedział mu nagrany głos proszący o ponowne wybranie numeru, więc Burke ze złością cisnął słuchawką na widełki. Wśród półek z książkami odnalazł barek Stillwaya i nalał sobie dobrego burbona.

Zadzwoił telefon. Ze słuchawki dobiegł głos Langleya:

– Tak sobie pomyślałem, że będziesz miał kłopoty z dodzwonieniem się. I jaki wynik? Ciało w bibliotece?

– Nie ma ciała. Nie ma Stillwaya, jak i kartoteki na temat Świętego Patryka.

– To ciekawe – stwierdził Langley, zawahał się i dodał: – W naszych innych poszukiwaniach także nie mamy szczęścia.

Burke usłyszał w tle czyjś donośny głos.

– To Bellini?

Langley odpowiedział przyciszonym głosem:

– Tak. Zaczyna się rozkręcać. Nie zwracaj na to uwagi.

Burke zapalił papierosa.

– Tegorocznego Dnia Świętego Patryka nie zaliczyłbym do udanych, inspektorze.

– I osiemnasty marca też nie zapowiada się najpomyślniej. – Langley odetchnął powoli. – Jakieś plany muszą być gdzieś w tym mieście i inni architekci, może inżynierowie, znający tę budowlę. Moglibyśmy dotrzeć do nich przed południem jutro, ale nie mamy tyle czasu. Flynn wszystko uwzględnił. Nawet zgarniecie Stillwaya i planów.

– Tak sobie myślę... – mruknął Burke.

– O czym?

– Czy nie przyszło ci do głowy, że gdyby Flynn miał Stillwaya, przebywałby on w katedrze, gdzie byłby najbardziej użyteczny?

– Może tam jest?

– Nie jestem taki pewien. Gdyby Flynn miał architekta, powiedziałby to nam i uprzedził, że zna sposoby wysadzenia budowli, zaminowania ukrytych przejść, jeżeli takowe istnieją. To inteligentny człowiek, umiejący do maksimum wykorzystać posiadane atuty. Zastanów się nad tym.

Burke rozejrzał się po schludnym pomieszczeniu. Na tapczanie leżał „New York Times” i Burke naciągając przewód telefoniczny, podszedł do niego. Zdjęcie na pierwszej stronie przedstawiało trafnie uchwyconą scenę bijatyki na pięści podczas południowych niepokojów przed katedrą. Nagłówek donosił: DEMONSTRACJA ZAKŁÓCA PARADE. Podtytuł dodawał: ALE IRLANDCZYCY MASZERUJĄ. Specjalne wydania wieczorne zawierały z pewnością już lepszy materiał.

W słuchawce odezwał się Langley:

– Burke, jesteś tam?

Burke oderwał wzrok od gazety.

– Tak, tak. Posłuchaj, Stillway był tutaj. Przyniósł do domu wieczorną gazetę i...

– I?

Burke przeszedł przez pokój, trzymając telefon i słuchawkę. Otworzył szafkę przy wyjściowych drzwiach i powiedział do słuchawki:

– Mokry płaszcz. Mokry kapelusz. Nie ma nieprzemakalnego płaszcza. Nie ma parasola. Nie ma teczki. Wrócił do domu w czasie deszczu, przebrał się i ponownie wyszedł, zabierając ze sobą teczkę, która zawierała, jak zgaduję, plany Świętego Patryka.

– Jakiego koloru miał oczy? W porządku, kupuję to. Dokąd mógłby pójść?

– Zapewne poszedł z kimś, kto miał dobre referencje i wiarygodną historię. Z kimś, kogo wpuścił do mieszkania...

– Jakiś fenianin, który dotarł do niego zbyt późno, by wprowadzić go do katedry... – podsunął Langley.

– Może. Ale może ktoś inny także nie chce, byśmy zdobyli plany czy samego Stillwaya...

– Dziwna sprawa.

– Pomyśl o tym, inspektorze. Przyślij tutaj ekipę techników, by zabezpieczyli ewentualne ślady, a potem przełącz mnie na wolną linię, tak bym mógł zadzwonić do Fergusona.

– W porządku. Ale pospiesz się z powrotem. Schroeder zaczyna się denerwować.

Burke odłożył słuchawkę i ze szklanką burbona w dłoni ruszył na wędrowkę po mieszkaniu. Zaczynał wyobrażać sobie starego architekta. Z pewnością nie był to człowiek skory do wychodzenia w deszcz, pomyślał, jeśli oczywiście nie wezwał go pilny obowiązek. Kiedy zadzwonił telefon, Burke podniósł słuchawkę, podał operatorowi numer Fergusona i powiedział:

– Proszę oddzwonić za dziesięć minut. Muszę jeszcze gdzieś zatelefonować.

Po sześciu sygnałach odebrano telefon i odezwał się Jack Ferguson. Jego głos brzmiał niepewnie:

– Halo?

– Burke. Myślałem, że odbierze coroner.

– Miałeś pełne prawo tak myśleć. Gdzieś się, u licha, podziewał?

– Byłem zajęty. Cóż, wydaje się, że dostaniesz w tym roku nagrodę dla najlepszego szpiega.

– Zachowaj ją sobie. Dlaczego nie zadzwoniłeś? Czekałem na twój telefon...

– Nie dzwonili do ciebie z mojego biura?

– A, tak. Bardzo przyzwoicie z ich strony. Mówili, że jestem na czarnej liście. Kto w takim razie na mnie poluje?

– Na przykład Flynn. Prawdopodobnie także nowojorska Tymczasowa Irlandzka Armia Republikańska. I sądzę też, że przestałeś już być użyteczny dla majora Martina, bo to z Martinem się zadawałeś, prawda?

Ferguson milczał przez kilka sekund, potem powiedział:

– Przekonywałem mnie, że z moją pomocą będzie w stanie przeszkodzić fenianom w akcji.

– Tak powiedział? Cóż, jedynymi ludźmi, którym chciał przeszkodzić, byli nowojorscy policjanci.

Ferguson ponownie zamilkł na parę sekund i rzekł:

– Sukinsyny. Cholerne sukinsyny. Dlaczego wszyscy tak angażują się w te bezsensowne akty przemocy?

– To przyciąga uwagę prasy. Jak wygląda twoja sytuacja, Jack?

– Sytuacja? Sytuacja wygląda tak, że jestem przerażony, spakowany i gotowy do wyjazdu z miasta. Siostra mojej żony przyjechała i zabrała ją do siebie. Jezu, nie czekałbym tutaj na nikogo innego, Burke. Powinienem był wyjechać godzinę temu.

– To dlaczego czekałeś? Masz coś dla mnie?

– Czy mówi ci coś imię Terri O’Neal?

– Mężczyzna czy kobieta?

– Kobieta.

Burke pomyślał przez moment.

– Nie.

– Została porwana.

– W dzisiejszych czasach często się to zdarza.

– Podejrzewam, że to ma coś wspólnego z tym, co się dzieje w katedrze.

– W jaki sposób?

– Poczekaj chwilę – przerwał Ferguson. – Słyszę kogoś na korytarzu. Zaczekaj.

– Zaraz. Powiedz mi tylko, Jack...? Cholera. – Burke usłyszał oddalające się kroki Fergusona. Czekał na łoskot, strzał, krzyk, ale niczego nie usłyszał.

Ferguson odezwał się ponownie, sapiąc głośno do słuchawki:

– Przekłęci bracia Rivero. Przycisnęli przy drzwiach parę senioritas, obmacując ich cycki. Boże, kiedyś to był porządny irlandzki budynek. Chłopcy zwykli schodzić do piwnicy i upijać się do nieprzytomności, ale przed ukończeniem trzydziestki nawet nie spojrzeli na parę cycków. Na czym skończyłem?

– Terri O’Neal.

– Racja. Dowiedziałem się o tym od bostońskiej Tymczasowej IRA. Razem z kilkoma innymi chłopakami mieli zgarnąć tę O’Neal wczoraj wieczorem, gdyby facetowi o nazwisku Morgan nie udało się poderwać jej w dyskotecce. Przypuszczam, że ten Morgan poderwał ją. Dzisiaj to łatwe, niczym randka za paczkę papierosów. W każdym razie teraz chłopaki z Bostonu uważają, że to stanowiło część tego, co wydarzyło się dzisiaj, i nie są zachwyceni tym, co zrobili fenianie.

– My też.

– Oczywiście – dodał Ferguson – to może być zaledwie zbieg okoliczności.

– Ano. – Burke się zamyślił. Terri O’Neal. Nazwisko było mu znane, ale nie potrafił go zidentyfikować, a był pewien, że nie ma go w kartotece, gdyż kobiet było tam tak niewiele, że pamiętało się wszystkie. – Terri O’Neal.

– Tak powiedział ten dżentelmen. Teraz wydostań mnie stąd.

– Dobra. Nie ruszaj się z domu. Nie otwieraj drzwi obcym.

– Jak długo zajmie przysłanie tutaj samochodu?

– Nie jestem pewien. Po prostu czekaj. Jesteś osłaniany.

– To samo mówił latem Langley Timmy’emu O’Dayowi.

– Zdarzają się pomyłki. Posłuchaj, w przyszłym tygodniu wypijemy sobie po jednym... zjemy lunch...

– Pierdolić lunch!

Burke się rozłączył. Przez kilka minut wpatrywał się w telefon. Poczłł niesmak w ustach, więc zgasił papierosa, potem pociągnął łyk burbona. Telefon zadzwonił i Burke odebrał go.

– Centrala, dajcie mi Centralny Okręg Północny.

Po krótkim oczekiwaniu w słuchawce rozległ się niski głos:

– Sierżant Gonzalez, Centrum Północ.

– Tu porucznik Burke z Wywiadu. – Podał mu numer swojej odznaki. – Macie czystą łączność radiową z waszymi wozami?

Zmęczony podoficer dyżurny odpowiedział:

– Taak, ten zagłuszacz nie sięga do nas.

Burke usłyszał włączający się magnetofon i powtarzający się co cztery sekundy pisk.

– Sprawdźcie mnie po zakończeniu tej rozmowy, dobra?

– W porządku.

– Czy możecie posłać samochód na Zachodnią Pięćdziesiątą Piątą 560? Mieszkanie 5D. Zabrać i umieścić w areszcie prewencyjnym faceta o nazwisku Jack Ferguson.

– Po co?

– Jego życie jest w niebezpieczeństwie.

– To samo można powiedzieć o każdym mieszkańcu tego miasta. Taka okolica. Zachodnia Pięćdziesiątą Piątą? Dziwne, że jeszcze żyje.

– To informator. Szczególnie ważny.

– Nie mam wielu wolnych samochodów. Jest straszne zamieszanie...

– Słyszałem o tym. Posłuchajcie, on będzie chciał jechać na lotnisko, ale zatrzymajcie go w komisariacie.

– Brzmi mętnie.

– Jest wmieszany w tę sprawę z katedrą. Po prostu zróbcie to, dobrze? Ja zajmę się wami. Erin go bragh, Gonzalez.

– Taak, hasta la vista.

Burke odłożył słuchawkę i jeszcze raz rozejrzał się po pokoju. Zimny wiatr wdzierał się przez otwarte okno, więc podszedł do niego, opuścił ramę i wyjrzał przez zbitą szybę. Szklista warstwa błękitnobiałego lodu pokrywała małe podwórka rozdzielone ceglanyimi murami.

Wyszedł na ulicę i wrócił do Gramercy Park, gdzie za ogrodzeniem zgromadził się tłum. Idąc myślał o Fergusonie. Wiedział, że winien mu jest bardziej energiczną próbę uratowania życia. Wiedział, że powinien był zabrać go helikopterem. Ale priorytety się zmieniały. Teraz ważny był Gordon Stillway. Ważny był Brian Flynn i ważny był major Martin. Jack Ferguson nie był już aż tak ważny. Terri O'Neal. O co, w imię boskie, chodziło w tym wszystkim? Skąd to nazwisko było mu znajome?

Siedzący przy organach Hickey skierował swoją lornetkę ku południowo-wschodniej galerii triforyjnej. Frank Gallagher, usadowiony ryzykownie na parapecie, czytał Biblię. Plecami opierał się o filar, na kolanach położył karabin. Hickey zadziwił się, że ktoś może hołdować w duszy dwóm sprzecznym filozofiom. Zakrzyknął do Gallaghera:

– Ożyw się no!

George Sullivan w długiej galerii południowo-zachodniej także siedział na parapecie. Grał na harmonijce ustnej, jednak zbyt cicho, by mógł go usłyszeć ktokolwiek inny poza Abby Boland, wpatrującą się w niego z drugiej strony nawy niczym bohaterka jakiegoś kiepskiego melodramatu.

Hickey przesunął lornetkę w kierunku chóru. Megan rozmawiała z Learym. Być może odkrywali w sobie wspólne, nieludzkie cechy. Hickey wyobraził ich sobie jako parę wampirów na murze zamkowym w świetle księżyca, gotowych do wspólnych łowów.

Flynn siedział sam w ławkach chóru pod niebotycznymi, brązowymi piszczałkami organów. Za nimi widniała olbrzymia rozeta, niczym obcy księżyc, igrająca nocnymi odblaskami ulicy. Wywierało to dramatyczny, choć niezamierzony efekt, pomyślał Hickey, tak jak większość pamiętnych scen, które widział w swym życiu. Flynn zdawał się niezainteresowany Megan ani Learym, ani też rozłożonymi na kolanach planami. Wpatrywał się obojętnie w przestrzeń, bawiąc się swoim pierścieniem.

Hickey odłożył lornetkę. Miał wrażenie, że ludzie zaczynają się nudzić, że odczuwają klaustrofobię, choć wydawało się to niemożliwe w tak obszernej budowli. Wpływ zamkniętej przestrzeni, atmosfera katedry – cokolwiek to było, zbierało teraz swoje żniwo, a noc dopiero się zaczynała. Dlaczego, zastanawiał się, starzy ludzie, którym pozostało tak niewiele czasu, mają najwięcej cierpliwości? Cóż, uśmiechnął się, tutaj wiek nie odgrywał wielkiej roli. Wszystkim pozostało prawie tyle samo życia... różnice mogły wynosić zaledwie kilka uderzeń serca.

Hickey zerknął na zakładników w prezbiterium. Cała czwórka rozprawiała zażarcie. Przynajmniej ci się nie nudzili. Zakręcił korbą połowego telefonu.

– Poddasze? Raport sytuacyjny.

Głos Jean Kearney był zadyszany i lekko drżący.

– Zimno tu na górze jak cholera.

Hickey się uśmiechnął.

– Ty i Arthur powinniście robić to, co zwykłem robić, kiedy byłem młody... – Czekał na odpowiedź, a nie doczekawszy się, wyjaśnił: – Rąbałem drewno. – Zachichotał i znowu zakręcił korbą. – Wieża południowa. Widzisz coś ciekawego?

– Snajperzy w kamizelkach kuloodpornych na wszystkich dachach – odparł Rory Devane.

– Przejrzyj do Czterdziestej Ósmej Ulicy oczyszczona. Po drugiej stronie setki ludzi w oknach. Czuję się jak w akwarium ze złotymi rybkami – dodał.

Hickey zapalił fajkę, która podskakiwała w jego ustach, kiedy mówił.

– Trzymaj głowę wysoko, chłopcze, oni przyglądają się twojej twarzy przez lornetki. – I przez celowniki optyczne, pomyślał. – I tak samo gap się na nich. Ty jesteś powodem, dla którego tam tkwią.

– Tak jest.

Hickey połączył się z dzwonnica.

– Raport sytuacyjny.

– Sytuacja bez zmian... – odparł Donald Mullins – tyle że wciąż przyjeżdża więcej żołnierzy.

Hickey zaciągnął się dymem.

– Dostałeś swoją wołowinę, chłopcze? Chcesz jeszcze herbaty?

– Tak, jeszcze herbaty. Zimno mi. Tu jest bardzo zimno.

Głos Hickeya był niski.

– W wielkanocny poniedziałek tysiąc dziewięćset szesnastego roku na dachu Poczty Głównej też było zimno. Było zimno, kiedy brytyjscy żołnierze przeprowadzali nas do więzienia Kilmainham. I zimno było, gdy zastrzelili mojego ojca, Padraica Pearse'a³⁴ i piętnastu naszych przywódców w Stonebreakers Yard. W grobie też jest zimno.

Hickey podniósł słuchawkę telefonu katedralnego i powiedział policyjnemu operatorowi w centrali na plebanii:

– Daj mi Schroedera. – Przeczekał serię pstryknięć. – Znaleźliście już Gordona Stillwaya?

W głosie Schroedera zabrzmiało przerażenie.

– Co?

– Wyczyściliśmy jego biuro dopiero po jego zamknięciu, wcześniej nie można było tego zrobić, sam rozumiesz. To mogłoby zwrócić uwagę nawet kogoś tak tępego jak Burke czy Langley. Ale mieliśmy kłopoty z dotarciem do samego Stillwaya. A później zaczęły się zamieszki.

Schroeder zająknął się, a potem zapytał:

– Dlaczego pan nam to mówi...

– Powinniśmy go zabić, ale nie zrobiliśmy tego. Albo jest w szpitalu, albo leży gdzieś pijany, albo wasz dobry przyjaciel Martin zamordował go. Stillway ma oczywiście kluczowe znaczenie dla powodzenia ataku. Same plany nie wystarczą. Znaleźliście jakiś egzemplarz na plebanii? Cóż, nie mówcie mi o tym. Jesteś tam jeszcze, Schroeder?

– Tak.

– Myślałem, że przysnąłeś. – Hickey dostrzegł Flynna ruszającego ku klawiaturze organów na chórze. – Posłuchaj, Schroeder, mamy zamiar zagrać później parę hymnów na

³⁴ Padraic Pearse – polityk, wykładowca akademicki i poeta; po wybuchu powstania w 1916 roku objął dowództwo IRA i stanął na czele Rządu Tymczasowego; jeden z sygnatariuszy proklamacji Republiki Irlandzkiej; rozstrzelany przez Brytyjczyków po upadku powstania (*przyp. tłum.*)

dzwonach. Chcę dostać osiem zamówień z Departamentu Policji, kiedy zadzwonię ponownie. W porządku?

– W porządku.

– Tylko żadnych świąństw. Same porządne chrześcijańskie hymny, które ładnie brzmią wygrywane przez dzwony. No i parę irlandzkich melodii ludowych. Podniesiemy miasto na duchu. Beannacht.

Psycholog Sekcji Zakładników, doktor Korman, przysłuchiwał się wszystkim rozmowom prowadzonym w sąsiednim biurze. Korman napisał: „Flynn jest megalomanem i prawdopodobnie także schizofrenikiem paranoidalnym. Hickey jest paranoikiem i wykazuje nie spełnione pragnienie śmierci.” Schroeder prawie wybuchnął śmiechem. Jakie inne pragnienie śmierci można mieć, jeżeli jest się jeszcze żywym? Jak, zastanawiał się, nowojorski psycholog jest w stanie diagnozować człowieka takiego jak Flynn, wywodzącego się z odmiennej kultury? Albo takiego jak Hickey, człowieka z innej epoki? Jak może diagnozować kogokolwiek na podstawie rozmów telefonicznych? A jednak robił to dla Schroedera przynajmniej pięćdziesiąt razy rocznie. Czasami Schroeder zastanawiał się, czy Korman nie obserwuje także i jego.

Langley zdjął marynarkę. W pokoju było duszno. Schroeder pomyślał, że jego widoczny teraz rewolwer stanowi miły, dostarczający dodatkowych emocji dreszczyk dla obecnych w pomieszczeniu cywilów. Odezwał się do niego:

– Pokładasz duże zaufanie w takich przedmiotach?

Langley oderwał wzrok od swojej kopii raportu.

– Przypomina mi to horoskopy, tak sformułowane, że pasują do każdego... nikt nie gra tutaj w otwarte karty. Wiesz o tym.

Schroeder skinął głową, odwrócił kartkę raportu i utkwił w niej spojrzenie. Nie przekazał jeszcze Kormanowi psy-profilów żadnego z tych mężczyzn i być może wcale tego nie zrobi. Im więcej miał różniących się opinii, tym łatwiej przyjdzie mu się bronić w wypadku niepowodzenia.

– A propos teorii Kormana dotyczącej niespełnionego pragnienia śmierci u Hickeya – rzekł do Langleya. – Co nowego z nakazem sądowym ekshumacji?

– Znaleźliśmy sędziego w New Jersey – odparł Langley. – Będziemy mogli wykopać Hickeya... znaczy rozkopać grób jeszcze przed północą.

Schroeder kiwnął głową. Północ... kopanie grobu... Zadrżał lekko i powrócił do raportu psychologa. Ciągnął się przez trzy strony maszynopisu, lecz Schroeder czytając go odnosił wrażenie, że doktor Korman także nie potrafił odkryć wszystkiego. Jeden Bóg znał prawdziwy stan umysłu tych dwóch mężczyzn...

Spojrzał na trójkę pozostałych w pokoju ludzi – Langleya, Spiegel i Belliniego. Czekali, by coś powiedział. Schroeder odchrząknął.

– A więc... miałem do czynienia z bardziej trzaśniętymi ludźmi... W rzeczywistości wszyscy, z którymi miałem do czynienia, byli trzaśnięci. Dziwne, że bliskość śmierci zdaje się wyrwać ich na pewien czas z tego stanu. Działają w racjonalny sposób, kiedy widzą zgromadzone przeciwko nim siły.

– Tylko ci dwaj na wieżach podlegają tej wzrokowej stymulacji, Bert – powiedział Langley. – Pozostali przebywają jakby w kokonie. Wziąłeś to pod uwagę?

Schroeder posłał Langleyowi nieprzyjazne spojrzenie. Nagle odezwał się Joe Bellini:

– Pieprzyć to psychogówno. Gdzie jest Stillway? – Spojrzał na Langleya.

Inspektor wzruszył ramionami.

– Jeżeli Flynn ma go tam w środku – ciągnął Bellini – to będzie prawdziwy problem.

Langley puścił kółko z dymu papierosowego.

– Sprawdzamy to.

– Hickey to łgarz – wtrącił Schroeder. – On wie, gdzie jest Stillway.

Spiegel potrząsnęła głową.

– Nie sądzę.

– Hickey wykazał się brakiem roztropności, wymieniając nazwisko majora Martina – dodał Langley. – Flynn nie chciałby mieszać w to Martina, przynajmniej nie publicznie. Na tym etapie napięcia między Waszyngtonem a Londynem nie są mu potrzebne.

Schroeder skinął z roztargnieniem głową. Był przekonany, że rządy i tak nie osiągną porozumienia, a jeśli nawet, to nie będzie ono obejmowało zwolnienia więźniów w Irlandii Północnej. Nie miał fenianom nic do zaoferowania oprócz ich życia i uczciwego procesu, a oni nie wydawali się zainteresowani ani jednym, ani drugim. Bellini spacerował wielkimi krokami przed kominkiem.

– Nie pošlę moich ludzi do boju, dopóki nie będę znał każdej kolumny, ławki, balkonu i kaplicy w tym kościele.

Langley spojrzeł na sześć wielkich albumów leżących na stoliku.

– Na ich podstawie powinieneś wyrobić sobie całkiem niezły pogląd na rozkład katedry. Jest kilka dobrych zdjęć wnętrza i niezłe plany parteru. Niech twoi ludzie to przestudiują. I to zaraz.

Bellini popatrzył na niego.

– Czy to wszystko, co jesteś w stanie mi dostarczyć? – Chwycił książki w jedną ze swych wielkich dłoni i ruszył w stronę drzwi. – Do cholery, jeżeli istnieje jakieś sekretne przejście do tego miejsca, muszę o tym wiedzieć. Dotychczas oni byli górą we wszystkim... ale dostanę ich. – Spojrzał na milczących ludzi w pokoju. – Niech gadają z tobą bez przerwy, Schroeder. Kiedy wezwą mnie do akcji, będę gotów. Dostanę tych pyrojadów, tych skurwysyńskich Iroli, przyniosę wam jaja Flynna w filiżance do herbaty. – Wyszedł, zatraskując za sobą drzwi.

Roberta Spiegel spojrzała na Schroedera.

– Odbiło mu?

Schroeder wzruszył ramionami.

– Zachowuje się tak za każdym razem. Podkręca się psychicznie. Im dłużej sprawa się przeciąga, tym bardziej świruje.

Roberta Spiegel wyciągnęła papierosa z kieszeni koszuli Langleya. Inspektor przyglądał się, jak go zapala. W jej ruchach było coś męskiego i zarazem zmysłowo kobiecego. Miała oczywistą władzę nad burmistrzem, choć nikt dokładnie nie wiedział, jakiego rodzaju była to władza. I jest od niego o wiele bystrzejsza, pomyślał Langley. Kiedy nadejdzie pora decyzji, od której zależy życie tylu ludzi, to ona ją podejmie.

Spiegel przysiadła na skraju biurka Schroedera i pochyliła się ku niemu, potem rzuciła spojrzenie na Langleya.

– Będę teraz szczerą – powiedziała – korzystając z tego, że jesteśmy sami. – Przygryzła w zamyśleniu wargę i kontynuowała: – Jak dobrze wiecie, Brytyjczycy nie zamierzają ustąpić. Bellini ma niewielką szansę uratowania tych ludzi w katedrze. Waszyngton zajmuje się swoimi grami, a gubernator jest, między nami mówiąc, dupkiem. Nasz burmistrz... jak by to ująć? Ta sytuacja go przerasta. A Kościół zacznie robić trudności. – Przynęła się bardzo blisko do Schroedera. – Tak więc... decyzja należy do pana, kapitanie. Bardziej niż kiedykolwiek w pańskiej błyskotliwej karierze wszystko zależy od pana, lecz – jeżeli nie gniewa się pan, że to mówię – nie wydaje się pan prowadzić tej sprawy ze zwykłą pewnością siebie.

Twarz Schroedera poczerwieniała. Odchrząknął i oznajmił:

– Jeżeli pani... jeżeli burmistrz chce, bym się odsunął...

– Przychodzi taka chwila w życiu każdego człowieka, gdy pojmuję, iż napotkał lepszego od siebie przeciwnika. Wydaje mi się, że wszystkim nam się to dzisiaj przytrafiło. Zdaje się, że nie jesteśmy w stanie zdobyć nawet pojedynczego punktu. Dlaczego?

Schroeder ponownie odchrząknął.

– A więc... na początku zawsze odnosi się takie wrażenie. Oni są stroną atakującą, pani rozumie, i mieli miesiące na przemyślenie wszystkich szczegółów. Z upływem czasu sytuacja zacznie się odmieniać...

Spiegel uderzyła dłonią o blat biurka.

– Oni o tym wiedzą, do cholery! I dlatego nie dali nam czasu do namysłu. Blitzkrieg, Schroeder, Blitzkrieg. Wojna błyskawiczna. Znasz przecież to słowo. Oni nie zajmują się pierdołami czekając, aż my zbierzemy się do kupy. Świt albo śmierć. To jedyne prawdziwe słowa, które padły dzisiejszej nocy.

Schroeder starał się panować nad swoim głosem.

– Panno Spiegel... mam wiele lat... proszę pozwolić mi wytłumaczyć. Jesteśmy w gorszej sytuacji z powodu zakładników... Ale proszę sobie wyobrazić siebie tam, w katedrze. Pomyśleć o przeciwnościach, które oni muszą pokonać. Nie chcą umierać, bez względu na to, jak bardzo starają się udowodnić coś wręcz przeciwnego. To i tylko to stanowi podstawę ich

rozmyślań. A zakładnicy utrzymują ich przy życiu, dlatego nie zabijają zakładników. Dlatego o świecie nic się nie stanie. Nic. Jak zawsze.

Spiegel odetchnęła ciężko. Odwróciła się do Langleya i sięgnęła, nie po kolejnego papierosa, lecz po jego rewolwer, który wyciągnęła z kabury pod jego pachą.

– Widzi pan to? Ludzie zwykli rozstrzygać tym spory. – Spojrzała z bliska na błękitnoczarny metal i mówiła dalej: – Teoretycznie minęliśmy już ten etap, ale coś panu powiem. Na świecie tego jest więcej niż negocjatorów. I powiem panu coś jeszcze. Wolałabym posłać do środka Belliniego i jego karabiny, niż czekać z palcem w dupie, by się przekonać, co wydarzy się o świecie. – Opuściła rękę z rewolwerem i pochyliła się w jego stronę. – Jeżeli nie potrafi pan uzyskać pewnego przedłużenia terminu, uderzymy, dopóki nadal będziemy mieli osłonę ciemności, zanim to samoniszczące urządzenie zrówna z ziemią całą dzielnicę.

Schroeder siedział nieruchomo.

– Nie ma żadnego samoniszczącego urządzenia.

– Jezu, chciałabym mieć pańskie nerwy, bo to są nerwy, prawda? – Rzuciła rewolwer Langleyowi.

Inspektor umieścił go w kaburze. Spiegel wiele uszło już na sucho – papierosy, potem broń. Pozbawiała go jego własności w bardzo nonszalancki sposób. Lecz być może, pomyślał, po prostu nie przestrzegала sztywnej etykiety obowiązującej mężczyzn w takich sytuacjach.

W pomieszczeniu zaległa długa cisza. Przerwała ją Spiegel.

– Oni wyczuwają nasz strach... czują jego zapach – mówiła cicho. – Wyczuwają też, że nie mamy zamiaru dać im tego, czego żądają. – Popatrzyła na Schroedera. – Chciałabym, by ci ludzie na zewnątrz potrafili podać panu wskazówki, których pan potrzebuje. Ale oni myślą pańską pracę ze swoją. Oczekują od pana cudów, a pan zaczyna wierzyć, że potrafi ich dokonać. Nie potrafi pan. Jedynie Joe Bellini jest w stanie uczynić cud, militarny cud, czyli żadnych trupów, żadnych rannych, żadnych strat materialnych. Oni tracą wiarę w skuteczność długiej, wyboistej drogi, którą pan im proponuje. Fantazjują na temat efektownego rozwiązania siłowego. Tak więc, gdy będzie pan zwodził fenian, niech pan nie zapomni zwodzić i naszych ludzi.

Flynn i Hickey grali na organach, a George Sullivan na kobzie. Eamon Farrell, Frank Gallagher i Abby Boland śpiewali „My Wild Irish Rose”. Na poddaszu Jean Kearney i Arthur Nulty leżeli przytuleni na pomoście nad chórem. Huk olbrzymich organów powodował drżenie desek, na których leżeli. Pedar Fitzgerald siedział oparty plecami o drzwi krypty. Na wpół przymknął zmęczone powieki i nucił w rytm melodii.

Flynn czuł mniejsze napięcie. Podobnie jak pozostałych, i jego ogarnęła zaduma. Zerknął na Megan i Leary’ego. Nawet oni siedzieli zamyśleni na parapecie chóru, popijając herbatę i

paląc wspólnego papierosa. Flynn odwrócił od nich wzrok i poddał się władzy huczącego instrumentu.

Ojciec Murphy klęczał w bezruchu przed głównym ołtarzem. Rzucił okiem na zegarek.

Harold Baxter spacerował po prezbiterium, starając się wyglądać na niespokojnego, podczas gdy jego oczy omiatały katedrę. Też zerknął na zegarek. Nie ma sensu czekać jeszcze przez te parę minut, pomyślał. Równie dobra okazja może się już nie nadarzyć. Mijając ojca Murphy'ego powiedział:

– Trzydzieści sekund.

Maureen leżała zwinięta na ławce z twarzą schowaną w ramionach. Ostrożnie spojrzała jednym okiem i zobaczyła Baxtera kiwającego głową w jej kierunku. Baxter obrócił się i ruszył z powrotem w stronę tronu. Przechodząc obok kardynała szepnął:

– Teraz.

Kardynał zszedł z tronu i zbliżył się do balustrady. Otworzył furtkę i pomaszzerował energicznie ku głównemu przejściu między ławkami. Ojciec Murphy usłyszał, jak Baxter mówi: „Naprzód”. Uczynił znak krzyża, podniósł się szybko i ruszył w bok wzdłuż ołtarza.

Flynn obserwował ich w lustrze nad organami. Nie przerywając grania rytmicznej melodii, zawołał do Leary'ego:

– Obróć się!

Leary i Megan zeskoczyli z parapetu. Leary podniósł swój karabin. W jednej chwili zamilkły zarówno organy Hickeya, jak i instrument Flyna. Śpiewacy również przerwali i w katedrze zapadła cisza, wszystkie oczy skierowały się na kardynała. Flynn, wciąż patrząc w lustro, powiedział do mikrofonu:

– Niech się pan zatrzyma, kardynale.

Ojciec Murphy otworzył skrzynkę z bezpiecznikami umieszczoną w niszy z boku ołtarza, przekręcił przełącznik i rejon prezbiterium ogarnęły ciemności. Baxter uczynił trzy długie kroki, minął schody do zakrystii i rzucił się na podłogę, ślizgając się po marmurze w kierunku płyty z brązu. Maureen stoczyła się z ławki i poczołgała sprawnie ku tyłowi prezbiterium. Palce Baxtera odnalazły uchwyt na płycie. Podniósł ciężką klapę, aż zawiasy zablokowały się w pozycji otwartej. Maureen okręciła się i jej nogi znalazły otwór w podłodze.

Czworo ludzi na galeriach krzyczało dziko. Huknął strzał i krzyki ucichły. Kolejne cztery strzały padły z galerii.

Maureen wskoczyła w otwór i upadła na zimne podłoże w dole. Pięć pocisków uderzyło w marmurową posadzkę dookoła wjazdu i odbiło się rykoszetem w górę. Baxter poczuł, jak coś – odbity pocisk, odprysk marmuru – trafia go w pierś, i upadł do tyłu. Kardynał nadal szedł przed siebie, ale nikt nie zwracał już na niego uwagi. Ojciec Murphy przeczłogał się na klatkę schodową prowadzącą do zakrystii i zderzył się z Pedarem Fitzgeraldem wbiegającym po schodach. Obaj mężczyźni mocowali się dziko w ciemności. Baxter złapał oddech i

poderwał się do przodu. Jego ręce i barki zawisły nad otworem, a stopy ślizgały się po marmurze, próbując znaleźć oparcie. Maureen krzyczała:

– Skacz! Skacz!

Sięgnęła w górę i uchwyciła jego zwisającą rękę. Rozległo się kolejne pięć strzałów, krusząc marmur i łomocząc dźwięcznie o brązową płytę. Baxter poczuł ostry ból przesywający plecy i jego ciało szarpnęło się konwulsyjnie. Następne pięć pocisków zaświstało w ciemności nad jego głową. Miał świadomość, że Maureen ciągnie go za prawą rękę. Starał się zsunąć głowę w dół do otworu, ale ktoś trzymał go za nogi. Tuż nad uchem usłyszał krzyk i strzelanina ucichła. Maureen zwisała u jego ramienia, wrzeszcząc do niego:

– Skacz! Na miłość boską, skacz!

Baxter usłyszał własny głos, cichy i zdławiony.

– Nie mogę. Mają mnie. Uciekaj. Uciekaj.

Ktoś ciągnął go za kostki, odciągał od włazu. Poczuł, jak uchwyt Maureen na jego ręce się rozluźnia. Para silnych dłoni przewróciła go na plecy i spojrzał prosto w twarz Pedara Fitzgeralda, który klęczał nad nim i przykładał mu do gardła pistolet maszynowy. W słabym świetle Baxter zauważył krew ciekącą po szyi chłopaka i plamiącą jego białą koszulę. Fitzgerald popatrzył na niego i rzekł urywanym, świszczącym głosem:

– Ty dumny skurwysynu! Zabiję cię, przeklęty gnoju!

Przyłożył Baxterowi pięścią w twarz, a potem przeczołgał się nad nim do krawędzi otworu, kierując lufę pistoletu w dół. Uspokoił drzenie rąk i władował dwie długie, ogłuszające serie w ciemność.

Baxter był mgliście świadom ciepłej lepkości sączącej się na zimną podłogę pod nim. Starał się skupić wzrok na sklepieniu dziesięć piętér nad jego głową, ale dostrzegł jedynie rozmazane czerwone plamy kardynalskich kapeluszy. Usłyszał kroki zbliżające się do ołtarza, wbiegające po schodach, potem ujrzał unoszące się nad nim twarze – Hickeya, kilka sekund później Flynna i Megan. Obrócił głowę i zobaczył ojca Murphy'ego leżącego w pobliżu schodów, przyciskającego do twarzy dłoń. Pomiędzy palcami ciekła mu krew. Usłyszał głos Megan:

– Pedar! Jesteś ranny? Pedar?

Baxter spróbował podnieść głowę, chcąc odszukać wzrokiem kardynała. Nagle ujrzał but Megan zbliżający się do jego twarzy, a potem oślepił go czerwony błysk, po którym nastąpiła ciemność.

Flynn ukląkł obok Fitzgeralda i wyciągnął lufę jego broni z otworu. Dotknął krwawej rany na karku Pedara.

– Małe draśnięcie, chłopcze. – Zawołał do Megan: – Zabierz go z powrotem na jego stanowisko, szybko! – Potem położył się na krawędzi otworu i wrzasnął w dół: – Maureen! Nic ci nie jest? Nie jesteś ranna?

Maureen klęczała parę jardów od zejścia. Jej ciało dygotało, oddychała głęboko, by się uspokoić. Przesunęła dłońmi po ciele, szukając rany.

Flynn zawołał ponownie:

– Jesteś ranna?! – W jego głosie zabrzmiał niepokój. – Na miłość boską, odpowiedz mi.

Wzięła głęboki oddech i zaskoczyła samą siebie odpowiadając:

– Nie.

Flynn zdawał się już bardziej panować nad swoim głosem.

– Wracaj.

– Idź do diabła.

– Wracaj, Maureen, albo zastrzelimy Baxtera. Zastrzelimy i zrzucimy na dół, żebyś mogła go zobaczyć.

– Oni i tak nie żyją.

– Nie, to nieprawda.

– Niech Baxter się do mnie odezwie.

Po krótkiej przerwie Flynn odpowiedział:

– Jest nieprzytomny.

– Cholerni skurwysyńscy mordercy. Dajcie mi mówić z ojcem Murphym.

– Jest... ranny. Poczekaj, sprowadzę kardynała...

– Idź do diabła. – Maureen wiedziała, że nie chce usłyszeć ich głosów, że chce jedynie uciec. Odkrzyknęła: – Zrezygnuj, Brian! Poddaj się, zanim zginie więcej ludzi. – Z wahaniem w głosie dodała: – Żegnaj.

Wycofała się od otworu, zatrzymując się dopiero wtedy, gdy jej plecy natrafiły na podstawę kolumny. Wzrok utkwiała w drabince zsuwającej się w dół w strumieniu światła. Ktoś mówił przyciszonym tonem i na moment cień przesłonił światło. Zrozumiała, że ktoś chce zejść na dół.

Flynn odezwał się raz jeszcze:

– Maureen, nie należysz do tych, którzy porzucają swoich towarzyszy. Ich życie zależy od ciebie.

Poczuła zimny pot na ciele. Brian, tak cholernie wszystko utrudniasz, pomyślała. Zrobiła krok w stronę światła, ale potem się zawahała. Nowa myśl pojawiła się w jej umyśle. Co zrobiłby Brian? Uciekłby. On zawsze uciekał. Nie z tchórzostwa, lecz ponieważ on i oni wszyscy już dawno zgodzili się, że ucieczka stanowi moralnie poprawną reakcję w kiepskim położeniu. A jednak on pozostał z nią, kiedy została ranna...

Głos Flynnna rozerwał ciszę mrocznych podziemi.

– Jesteś cholernym tchórzem, Maureen! W porządku, w takim razie Baxtera już nie ma.

Z zakrystii dobiegł odgłos strzału.

Maureen odskoczyła z powrotem ku kolumnie, skrywając twarz w dłoniach.

– Sukinsyny!

– Książdz jest następny! – wrzasnął Flynn.

Otarła łzy z oczu i spojrzała w ciemność. Podczas gdy jej wzrok przystosowywał się do półmroku, zmusiła się do spokojnej analizy sytuacji. Po prawej ręce miała zewnętrzną ścianę klatki schodowej prowadzącej do zakrystii. Jeżeli poszłaby wzdłuż niej, dotarłaby do muru fundamentów, za którym była wolność. W tę właśnie stronę musiała się skierować. W strumieniu światła ujrzała parę nóg spuszczonej się przez otwór. Po chwili rozpoznała Hickeya. Nad jego głową pojawiły się kolejne nogi. To była Megan. Obydwoje trzymali latarki i pistolety.

– Idziemy, kochanie. – Głos Hickeya poniósł się przez wilgotne, czarne powietrze. – Idziemy po ciebie. Chodź do starego Johna. Nie pozwól złej Megan, by złapała cię pierwsza. Biegnij do pana Hickeya. No chodź. – Zaśmiał się, zeskoczył z kilku ostatnich szczebli, obrócił się w jej stronę i zapalił latarkę.

Megan była tuż za nim, jej twarz w padającym z góry świetle nabrała koloru ognistej czerwieni. Maureen nabrała powietrza głęboko w płuca i wstrzymała oddech.

Schroeder stał w napięciu ze słuchawką przyciśniętą do ucha. Spojrzał na Langleya, jedyną osobę obecną w biurze.

– Niech to cholera, nie odpowiadają.

Langley znajdował się przy oknie, wpatrując się intensywnie w katedrę. Po drugiej stronie podwójnych drzwi dzwoniły telefony, krzyczeli ludzie. Nagle jedno z drzwi otworzyły się z hukiem. Bellini zawołał:

– Mam rozkaz od pieprzonego Kline’a, by uderzać, jeżeli nie zdołasz się z nimi połączyć!

– Wejź i zamknij za sobą drzwi – warknął Schroeder i wydarł się na policyjnego operatora w centrali. – Oczywiście, że chcę, byś dalej próbował, dumny dupku!

Bellini opadł na krzesło. Pot spływał strumieniami po jego pobladłej twarzy.

– Ja... Ja nie jestem gotowy do ataku...

– Ile czasu zajmuje zabicie czterech pieprzonych zakładników, Bellini? Jeżeli już nie żyją, Kline może poczekać, dopóki nie będziesz miał chociażby mglistego pomysłu na szturm tego miejsca.

Nagle z głośnika dobiegł głos Flynna:

– Schroeder?

– Tak – odpowiedział szybko, błyskawicznie usuwając ze swego głosu wszelkie emocje.

– Tak. Czy wszystko jest w porządku?

– Tak.

Schroeder odchrząknął.

– Co się tam dzieje?

Flynn odparł spokojnie:

– Nierozsądna próba ucieczki.

Schroeder nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Ucieczki?

– Tak jak powiedziałem.

– Nikomu nic się nie stało?

Po długiej przerwie Flynn oznajmił:

– Baxter i Murphy są ranni. Nic poważnego.

Schroeder spojrział na Langleya i Belliniego.

– Wysyłamy doktora.

– Gdyby go potrzebowali, powiedziałbym panu.

– Wysyłam doktora.

– Dobra, tylko zanim go pošlecie, uprzedźcie go, że rozwalę mu łeb.

– Do cholery, Flynn, mówił pan, że nie będzie żadnych strzałów. – W głosie Schroedera zabrzmiał gniew, lecz był to gniew kontrolowany, niemalże sztuczny. Chciał dać do zrozumienia, że nie będzie tolerować strzelaniny. – Mówił pan...

– Nie można było temu zapobiec.

– Flynn, jeżeli zabijecie kogokolwiek... – Teraz Schroeder nadał swemu głosowi złowieszczy ton. – Bóg mi świadkiem, jeżeli ktokolwiek ucierpi, będzie to koniec etapu „zawrzyjmy umowę”.

– Znam zasady. Uspokój się, Schroeder.

– Pozwól mi mówić z każdym z zakładników. Natychmiast.

– Poczekaj.

Po chwili ciszy pokój wypełnił głos kardynała:

– Kapitanie, czy rozpoznaje pan mój głos?

Schroeder popatrzył na pozostałych dwóch mężczyzn, a ci kiwnęli głowami.

– Tak, Wasza Eminencjo.

Kardynał mówił tonem, który sugerował, że jest instruowany i pilnie obserwowany.

– Nic mi nie jest. Pan Baxter odniósł, jak mi mówią, powierzchowną ranę w plecy i trafienie rykoszetem w klatkę piersiową. Teraz odpoczywa. Ojciec Murphy także został trafiony rykoszetującą kulą w twarz, w szczękę. Jest oszołomiony, ale poza tym chyba nic mu nie jest. To cud, że nikt nie zginął...

Trzej mężczyźni w pomieszczeniu odprężyli się nieco. Z sąsiedniego biura dobiegły pomruki. Schroeder zapytał:

– A panna Malone?

Kardynał odpowiedział niepewnie:

– Żyje. Nie jest ranna. Jest...

Schroeder usłyszał odgłos zakrywanej ręką słuchawki, stłumione głosy, jakąś wymianę zdań. Zawołał do telefonu:

– Halo?! Halo?!

Głos kardynała rozległ się ponownie:

– To wszystko, co wolno mi powiedzieć. Schroeder odezwał się szybko:

– Wasza Eminencjo, proszę nie prowokować tych ludzi. Nie wolno wam narażać waszego życia, gdyż wystawiacie w ten sposób na niebezpieczeństwo i innych...

Kardynał odpowiedział neutralnym tonem:

– Przekażę to pozostałym – i dodał: – Panna Malone jest... W głośnikach zadudnił nagle głos Flynna:

– Rada, której udzielił Captain Courageous³⁵, jest bardzo dobra. W porządku, widzicie, że wszyscy żyją. Uspokójcie się teraz.

– Pozwólcie mi porozmawiać z panną Malone.

– Odeszła na moment. Później. Czy wszystko jest już gotowe do mojej konferencji prasowej? – zapytał gwałtownie Flynn.

– Możliwe, że będziemy potrzebowali więcej czasu. – Głos Schroedera złagodniał. – Sieci...

– Mam przesłanie dla Ameryki i dla świata i zamierzam je przedstawić.

– Ależ oczywiście. Bądźcie cierpliwi.

– Cierpliwość nigdy nie była cnotą Irlandczyków, Schroeder.

– Och, nie wiem, czy to prawda. – Uznał, że nadszedł już czas na bardziej osobiste podejście. – Ja sam jestem w połowie Irlandczykiem...

– Ty tam nie byłeś, Schroeder. Nie byłeś tam. Ty byłeś tutaj.

– Tym sposobem niczego nie osiągniecie – stwierdził zdecydowanie Schroeder. – Możecie zyskać więcej wrogów niż przyjaciół przez...

– Moi ludzie nie potrzebują więcej przyjaciół. Nasi przyjaciele są martwi albo w więzieniu. Niech im pan powie, by uwolnili naszych ludzi, kapitanie.

– Staramy się ze wszystkich sił. Negocjacje pomiędzy Londynem i Waszyngtonem postępują, widzę światło na końcu tunelu.

– Jest pan pewien, że to nie jadący w pańskim kierunku pociąg pospieszny?

Ktoś w sąsiednim pomieszczeniu wybuchnął śmiechem. Schroeder usiadł i odgryzł koniec cygara.

– Niech pan posłucha, dlaczego nie okażecie dobrej woli i nie zwolnicie jednego z rannych zakładników?

– Którego?

Schroeder wyprostował się sztywno na swoim krześle.

– Eee... no więc...

– No dalej. Pobaw się w Boga. Nikogo nie pytaj. Ty powiesz mi którego.

– Najciężej rannego.

³⁵ Captain Courageous (Odważny Kapitan) – przypominająca Supermana postać z amerykańskich komiksów (przyp. tłum.).

Flynn zachichotał.

– Bardzo dobrze. A oto kontrpropozycja. Przyjąłbyś w zamian kardynała? Zastanów się. Ranny ksiądz, ranny Anglik czy zdrowy kardynał?

Schroeder poczuł, jak budzi się w nim wściekłość. Denerwowało go, że Flynn potrafi wywołać w nim taką reakcję.

– Kto jest poważniej ranny?

– Baxter.

Schroeder zawahał się, rozglądając po pokoju. Nagle zabrakło mu słów.

– Szybko! – powiedział Flynn.

– Baxtera.

– Przykro mi. – Flynn nadał swemu głosowi smutne zabarwienie. – Prawidłową odpowiedzią była oczywiście prośba o księcia Kościoła. Ale ty o tym wiedziałeś, Bert. Gdybyś wskazał kardynała, zwolniłbym go.

Schroeder wlepił wzrok w nie zapalone cygaro.

– Wątpię w to. – Jego głos drżał.

– W tych sprawach nie powinieneś wątpić w moje słowa. Wolalbyś stracić zakładnika, a w zamian zyskać punkt.

Schroeder wyciągnął chusteczkę i wytarł szyję.

– My nie chcemy zamieniać tego w rywalizację o to, kto ma mocniejsze nerwy, kto jest większym... większym...

– Twardzielem.

– Właśnie. Nie staramy się tego robić. Policja już się tak nie zachowuje. Teraz włazimy wam wszystkim w tyłek. – Rzucił wzrokiem na Belliniego, który wyglądał na bardzo rozżłoszczonego, i kontynuował: – Nikt z tutaj obecnych nie ma zamiaru ryzykować życia niewinnych ludzi...

– Niewinnych? Podczas wojny nie ma niewinnych cywilów. Wszyscy jesteśmy żołnierzami, żołnierzami z wyboru, z poboru, z przymusu i z urodzenia. – Flynn odetchnął głęboko. – Zaletą długiej wojny partyzanckiej jest to, że każdy otrzymuje przynajmniej jedną okazję do zemsty. – Przerwał na moment. – Porzućmy ten temat. Chcę teraz ten telewizor. Przyślijcie Burke'a...

Schroeder zapalił wreszcie cygaro.

– Bardzo mi przykro, ale chwilowo jest poza budynkiem.

– Powiedziałem przecież, że chcę, by kręcił się w pobliżu. Sam widzisz, Schroeder, że nie jesteś aż tak pomocny.

Telefon zamilkł. Langley spojrzał na Schroedera i szybko przeniósł wzrok na trzymany przez siebie notatnik. Po każdej rozmowie miał uczucie frustracji i bezsensowności. Negocjacje były zdecydowanie nie w jego stylu i nie mógł zrozumieć, jak Schroeder to robi.

Instynkt Langleya wrzeszczał mu do ucha, by złapać za telefon i powiedzieć Flynnowi, że jest martwym skurwielem. Zapalił papierosa i ze zdumieniem zobaczył, że trzęsą mu się ręce.

– Sukinsyny.

Bellini wyjrzał przez okno.

– Czy oni potrafią równie dobrze walczyć, jak nawijać?

– Irlandczycy należą do niewielu, którzy to potrafią – odparł Schroeder.

Bellini odwrócił się z powrotem do okna. Langley obserwował wijącą się smugę dymu ze swojego papierosa, a Schroeder wpatrywał się w porozrzucane na biurku papiery. Megafon rozdarł nocną ciszę, echo poniosło jego dźwięk przez okno. Schroeder skupił wzrok na zegarze na gzymsie kominka. Dziewiąta siedemnaście wieczorem.

Maureen przypatrywała się zza grubej kolumny Hickeyowi mrużącemu oczy w półmroku. Megan podeszła do niego od tyłu, wymachując beztrosko wielkim pistoletem, tak jak inne kobiety wymachują torebką. Rozmawiali ze sobą szeptem.

Nagle zapaliły się latarki i Hickey zawołał:

– Ostatnia szansa, Maureen! Poddaj się, a nic ci się nie stanie. Ale jeżeli będziemy musieli cię wygarniać... – Umilkł i jego groźba była tym bardziej niepokojąca.

Obserwowała, jak ponownie się naradzają. Bez wątpienia spodziewali się, że pójdzie na wschód, ku fundamentom zakrystii. W tym właśnie kierunku chciała się udać, ale teraz wiedziała, że nie może tego zrobić. Modliła się, by się nie rozdzielili, by nie odcięli jej obu dróg ucieczki. Nie chciała, by Megan oddalała się od Hickeya. Ale gdyby się oddaliła...? Maureen zdjęła pantofle, sięgnęła pod sukienkę i zsunęła pończochy, obwiązała ich końce wokół nadgarstków i napięła je mocno, a potem zarzuciła nylonową garotę na ramiona. Klęcząc pobrudziła twarz, nogi i ramiona ziemią. Spojrzała na swoją tweedową kurtkę i spódniczkę – ciemne, ale nie wystarczająco. Bezszelestnie zdjęła je, przewróciła na drugą stronę, tak by było widać ciemniejszą podszewkę i założyła je z powrotem, zapinając guziki kurtki, by zasłonić białą bluzkę. Przez cały czas nie spuszczała oczu z Hickeya i Megan.

Niespodziewanie kolejna para nóg pojawiła się w otworze i po drabinie spuściła się następna postać. Maureen po spodniach w paski należących do stroju mistrza ceremonii, rozpoznała Franka Gallaghera. Hickey wskazał w stronę przedniej części katedry, a Gallagher wyciągnął pistolet i ruszył powoli na zachód, wzdłuż ściany klatki schodowej w kierunku zewnętrznego muru częściowo zagłębionej krypty. Hickey i Megan podążyli na wschód, ku zakrystii.

Maureen pozostawała jedynie droga na południe, ku podziemiom pod ambitem – według ojca Murphy'ego szansa na znalezienie wyjścia w tym miejscu była najmniejsza. Ale gdy obserwowała powoli przesuwające się światło latarki Gallaghera, uświadomiła sobie, że jest w stanie dotrzeć do końca krypty przed nim, a tam miałyby znacznie więcej możliwości. Ruszyła bokiem w lewo, równoległe do kierunku marszu Gallaghera. Piętnaście stóp od

pierwszej kolumny natrafiła na następną i zatrzymała się. Przyglądała się latarce Gallaghera migającej prawie naprzeciwko niej. Strumień światła z otworu w posadzce prezbiterium był znacznie bledszy i bardziej rozproszony, a kolejna kolumna znajdowała się gdzieś w mroku po jej lewej stronie.

Ponownie ruszyła bokiem, biegnąc bezszelestnie bosymi stopami po wilgotnej ziemi, rękoma wymacując rury i kable. Następną kolumna stała w odległości około dwudziestu pięciu stóp i gdy myślała już, że ją minęła, zderzyła się z nią. Wstrząs zaparł jej na moment dech w piersiach i mimowolnie jęknęła. Promień światła z latarki Gallaghera obrócił się w jej stronę i dziewczyna zamarła za kolumną. Kiedy światło minęło ją, Maureen popędziła dalej, licząc w biegu kroki. Po ośmiu susach zatrzymała się, macając przed sobą i natrafiając na kamienną kolumnę. Przyłgnęła do niej.

Była teraz daleko przed Gallagherem, lecz jego latarka ukazała, że podłoga prezbiterium nad jej głową kończyła się kilka stóp od miejsca, w którym stała, a stopnie prowadzące do balasek zbiegały w dół, ku podziemiom pod posadzką głównej części katedry. Widziała też róg krypty, gdzie ściana skręcała w bok. Dzieliło ją od niej nie więcej niż piętnaście stóp. Pochyliła się i znalazła mały kawałek gruzu budowlanego, który rzuciła do tyłu w stronę Gallaghera. Gdy latarka odwróciła się od niej, pobiegła do przodu, starając się ocenić odległość. Jej ręka uderzyła w ceglana zewnętrzną ścianę krypty i Maureen skręciła w lewo ku narożnikowi. Światło Gallaghera powróciło do poprzedniego położenia. Maureen przykucnęła, unikając oświetlenia, potem prześlizgnęła się za róg, przytulając do zimnej ściany krypty. Ruszyła w bok z plecami przyciśniętymi do ściany, obserwując przesuwający się na lewo od niej promień światła i macając dłonią w poszukiwaniu zawieszzonego na szyi nylonu. Frank Gallagher – sympatyczny, choć o nijakim spojrzeniu. No i duży. Owinęła nylon ciasno wokół nadgarstków i zacisnęła pętlę. Boże, pomyślała, Boże, nigdy bardziej nie chciałam kogoś zabić. Roztropność. Wiedzieć, kiedy uciec, kiedy walczyć. Gdy masz wątpliwości, mawiał Brian Flynn, uciekaj. Przyjrzyj się wilkom, mówił jej, uciekają przed niebezpieczeństwem bez samooskarżania się. Nawet głód nie zaćmi ich rozsądku. Będą inne łupy. Uspokoila drzenie rąk i wzięła głęboki oddech, potem owinęła nylon wokół ramion i ruszyła w prawo wzdłuż ściany, oddalając się od Gallaghera. Następnym razem.

Nagle coś otarło się o jej twarz. Maureen zdusiła krzyk. Ostrożnie wyciągnęła rękę... łańcuszek. Sięgnęła w górę i natrafiła na żarówkę, wykręciła ją i delikatnie odłożyła na bok. Potem pociągnęła łańcuszek przełącznika. Może wetknie w to swój pieprzony paluch i się usmaży.

Gallagher klęczał przy narożniku, szerokim łukiem omiatając latarką podziemia zaczynające się kilka stóp od ściany. Maureen ujrzała żarzące się czerwienią ślepią szczurów. Podążyła dalej wzdłuż ściany krypty, która zdawała się ciągnąć bez końca. Promień światła wycofał się z podziemi i zaczął przesuwac po ścianie. Poruszała się szybko, potykając się o pozostawione przez budowniczych śmieci. Po około, jak oceniała, dwudziestu pięciu stopach,

jej prawa ręka natrafiła na załom w miejscu, gdzie ściana zawracała ku zakrystii. Promień światła dotknął jej ramienia. Maureen zamarła. Światło zatańczyło na jej kurtce i pomknęło dalej. Prześlizgnęła się za załom muru, właśnie gdy promień powrócił, by zbadać to miejsce dokładniej.

Posuwając się w stronę fundamentów zakrystii dotykała teraz prawym barkiem ściany. Następną żarówka. Znowu wykręciła ją i pociągnęła łańcuszek. Szczury popiskiwały naokoło i któryś przebiegł po jej gołych stopach. Ściana krypty zakręciła, by zetknąć się z zewnętrznym murem klatki schodowej prowadzącej do zakrystii. Maureen oceniła, że znajduje się dokładnie po przeciwnej stronie klatki schodowej niż przykrywany brązową płytą otwór, przez który zeszła.

Na razie wymykała się im w tej ostatecznej wersji zabawy w chowanego. Przed oczyma stanęły jej wszystkie alejki i podwórka Belfastu. Każda ukradkowa wyprawa w rumowiska, z łomoczącym sercem i zaschniętym gardłem, powróciła teraz do niej, dając jej uczucie pełni życia, pewności siebie, niemalże uniesienia.

Grunt podnosił się, co zmuszało ją do schylania się niżej i niżej, aż wreszcie pozostało jedynie się czołgać. Za jej plecami promień światła latarki Gallaghera sondował mrok we wszystkich kierunkach. Nie mógł wiedzieć, że podąża za nią... chyba że usłyszał ją albo zauważył odciski stóp, a może znalazł jedną z pozbawionych żarówki opraw i zgadł trafnie... Miała nadzieję, że Gallagher jest równie wystraszony jak ona.

Czołgała się dalej, dopóki nie dotknęła chłodnego, mokrego kamienia i nie namacała okrągłego konturu masywnej kolumny. Było tam coś miękkiego i wilgotnego – szybko cofnęła dłoń. Potem wyciągnęła ją ostrożnie i dotknęła ustępującej pod naciskiem, przypominającej w konsystencji kit substancji. Oderwała kawałek i powąchała.

– O, mój Boże – wyszeptła. – O, wy sukinsyny. Naprawdę byście to zrobili.

Pomacała naokoło i znalazła walizkę, którą fenianie znieśli przez otwór, walizkę wystarczająco dużą, by pomieścić przynajmniej czterdzieści funtów plastikowego materiału wybuchowego. Gdzieś, prawdopodobnie po drugiej stronie klatki schodowej, musiał być drugi ładunek. Wciskając się we wnękę pomiędzy ścianą klatki schodowej i podstawą kolumny, znalazła połówkę cegły i wzięła ją w prawą rękę. Sznur z nylonu także był przygotowany.

Gallagher się zbliżał, omiatając latarką ziemię przed sobą. W tym świetle Maureen ujrzała ślady, które zrobiła, czołgając się. Światło zatrzymało się na podstawie kolumny, potem skierowało w stronę jej kryjówki. Wreszcie zagłębiło się w szparę pomiędzy kolumną i murem. Przez długą sekundę spoczywało bezpośrednio na Maureen i obydwójce wpatrywali się w siebie z odległości niecałego jarda. Twarz Gallaghera wyrażała całkowite zaskoczenie. Głupiec, pomyślała, uderzając go połówką cegły między oczy. Latarka upadła na ziemię, a Maureen wyskoczyła ze swojej niszy, owijając garotę wokół jego szyi.

Gallagher trzepotał się na ziemi niczym ranne zwierzę. Maureen siedziała mu okrakiem na plecach, trzymając nylonowy sznur jak lejce i ze wszystkich sił zaciskając ciasno wokół jego szyi. Mężczyzna osłabł i padł do przodu na brzuch. Maureen pociągnęła jeszcze mocniej, ale nylon był zbyt elastyczny. Wiedziała, że dusi go za wolno, zadając mu niepotrzebny ból.

Z głębi jego gardła zaczął się dobywać charkot. Głowa okręciła się pod nieprawdopodobnym kątem i twarz skierowała się w jej stronę. Upuszczona latarka rzucała żółty promień wprost na twarz Gallaghera. Maureen ujrzała wytrzeszczone oczy i wyciągnięty, obrzmiały język. W miejscu, gdzie uderzyła cegłą, miał rozciętą skórę, złamany nos krwawił. Ich oczy spotkały się na sekundę, a potem jego ciało się rozluźniło.

Maureen wciąż siedziała mu na plecach, starając się złapać oddech. Nadal czuła życie pulsujące w jego ciele, płytki oddech, drgające mięśnie. Zaczęła znów zaciskać garotę, później zerwała ją nagle z jego szyi i skryła twarz w dłoniach.

Po drugiej stronie krypty rozległy się głosy, światła zamigotały nie dalej jak czterdzieści stóp od niej. Pospiesznie wyłączyła latarkę Gallaghera i odrzuciła ją na bok. Jej serce znów biło opętańczo, gdy macała naokoło, szukając jego upuszczonego pistoletu. Jeden z promieni skierował się ku górze i badał strop. Usłyszała głos Megan:

– Następna brakująca żarówka. Sprytna mała suka. Druga latarka spenetrowała ziemię. Hickey stwierdził:

– Są ich ślady.

Dłonie Maureen dotknęły ciała Gallaghera i poczuła, że mężczyzna się rusza. Wycofała się.

– Frank? Jesteś tam?! – zawołał Hickey.

Zbliżające się światło padło na ciało Gallaghera i zatrzymało się tam.

Maureen pełzła tyłem, dopóki nie natrafiła na podstawę kolumny. Obróciła się i wbiła palce w materiał wybuchowy, starając się oderwać go od kamienia, szukając detonatora, który, jak wiedziała, ukryty był gdzieś pod warstwą plastiku.

Dwa promienie światła zbliżyły się. Hickey zawołał:

– Maureen! Dobrze ci szło, dziewczyno. Ale jak sama widzisz, psy są już na tropie. Zaczniemy strzelać na oślep, jeżeli się nie poddasz.

Maureen dalej szarpała za plastik. Wiedziała, że w pobliżu tych ładunków nie będzie żadnego strzelania na oślep. Dwa kręgi światła skupiły się na ciele Gallaghera. Hickey i Megan pochylali się nad nim, podczas gdy on próbował podnieść się na kolana.

– O, znalazłam latarkę Franka – powiedziała Megan.

– Szukaj jego broni – odparł Hickey.

Maureen szarpnęła ostatni raz, a potem okrążyła kolumnę, aż natrafiła na mur fundamentu oddzielający ją od zakrystii. Przycisnęła prawy bark do ściany i popęzła wzdłuż niej, macając w poszukiwaniu przejścia. Rury i kable przechodziły przez mur, ale otwory były za małe, by zdołała się przez nie przecisnąć.

Ponownie rozległ się głos Hickeya:

– Maureen, moja kochana! Frank czuje się odrobinę lepiej. Wszystko wybaczone, kochanie. Jesteśmy twoimi dłużnikami, dziewczyno. Masz dobre serduszko. Chodź teraz. Wrócimy wszyscy na górę, umyjemy się i wypijemy razem herbatę.

Maureen obserwowała, jak jeden, potem dwa, a w końcu trzy promienie światła zaczynają sięgać w jej stronę.

– Maureen, znaleźliśmy broń Franka, a więc wiemy, że nie jesteś uzbrojona – powiedział Hickey. – Gra skończona. Dobrze się spisałaś. Nie masz czego się wstydić. Frank zawdzięcza ci życie i nie będzie żadnego odwetu, Maureen. Po prostu zawołaj nas, a my przyjdziemy, by zabrać cię z powrotem. Dajemy słowo, że nie stanie ci się żadna krzywda.

Maureen skuliła się przy murze fundamentu. Wiedziała, że Hickey mówi prawdę. Gallagher był jej dłużnikiem. Nie skrzywdzą jej, dopóki będzie żyć Gallagher, tak mówiło jedno z praw. Starych praw, praw Hickeya, jej praw. Nie była jednak zupełnie przekonana co do kogoś takiego, jak Megan. Instykt mówił jej, że wszystko jest skończone, że powinna się poddać, póki obowiązuje jeszcze zaoferowana jej amnestia. Była zmęczona, zziębnięta, obolała. Promienie światła były coraz bliżej.

Langley przeglądał księgę spotkań prałata Downesa.

– Wydaje mi się, że dobry pasterz gościł fenian więcej niż jeden raz... Oczywiście, nie będąc tego świadom.

Schroeder popatrzył na Langleya. Jemu nigdy nie przyszłoby na myśl wtykać nos w dokumenty należące do kogoś innego. Właśnie pewnie dlatego był takim kiepskim wywiadowcą. Langley wyróciłby kieszeń burmistrza, wszystko z czystej ciekawości. Schroeder zapytał kwaśno:

– To znaczy, że nie podejrzewasz prałata Downesa?

– Tego nie powiedziałem. – Langley się uśmiechnął.

Bellini odwrócił się gwałtownie od okna i spojrzał na Schroedera.

– Nie musiałeś włożyć mu tak głęboko w dupę, nie?

Schroeder poczuł, jak jego lęk przeradza się w złość.

– Na rany Chrystusa, to tylko takie zagranie. Słyszałeś, jak wykorzystywałem je dziesiątki razy.

– Tak, ale tym razem mówiłeś to serio.

– Idź w cholere.

Bellini wydawał się z czymś walczyć. Przechylił się przez biurko Schroedera.

– Ja też się boję. Czy myślisz, że chcę posłać tam moich ludzi? Boże wszechmogący, Bert, ja też tam idę. Mam żonę i dzieciaki. Ale, Jezu, człowieku, każda godzina, podczas której bawisz się z nimi w pierdoły, to kolejna godzina dla nich na przygotowanie obrony. Każda godzina skraca czas pozostały do świtu, kiedy mam zaatakować. Oni wiedzą, że uderzę

o świecie, jeżeli nie dostaną tego, czego chcą, a ja nie dam się zmusić do wykonania ruchu dokładnie wtedy, kiedy oni się tego będą spodziewać.

Schroeder nie spuszczał oczu z Belliniego, ale milczał. Głos Belliniego stawał się coraz bardziej piskliwy.

– Tak długo, jak wmawiać będziesz grubym rybom, że dasz radę, oni będą mnie lekceważyć. Przyznaj, że nie jesteś w stanie tego zrobić, i daj mi... daj mi uświadomić sobie... że muszę tam wejść. – Prawie szeptem dodał: – Nie podoba mi się, że muszę to z siebie tak wyduszać, Bert... Moim ludziom to się nie podoba... ja muszę wiedzieć.

– Staram się postępować w tej sprawie krok po kroku. – Schroeder odpowiedział mechanicznie. – Standardowe procedury. Ustabilizować sytuację, dać im się wygadać, uspokoić ich, uzyskać przedłużenie terminu...

Bellini walnął pięścią w stół. Wszyscy się odruchowo wyprostowali.

– Nawet gdybyś zdołał uzyskać przedłużenie terminu, to o ile? Godzinę? Dwie godziny? Wtedy musiałbym uderzyć w świetle dnia, podczas gdy ty stałbyś tu przy oknie, paląc cygaro i przyglądając się, jak nas masakrują.

Schroeder podniósł się, jego twarz drgała. Spróbował powstrzymać cisnące mu się na usta słowa, ale nie zdążył.

– Jeżeli będziesz musiał zaatakować, pójde tam obok ciebie, Bellini.

Krzywy uśmiech przemknął przez twarz Belliniego.

– Witamy wśród nas, kapitanie.

Maureen przyglądała się zbliżającemu się kręgowi światła, niemalże witając go z ulgą. Hickey zawołał jeszcze raz przymilnym głosem:

– Wiem, że jesteś wystraszona, Maureen! Po prostu weź głęboki oddech i odezwij się do nas!

Już miała go posłuchać, lecz coś ją powstrzymało. Ciąg pomieszanych myśli przewinął się przez jej głowę. Brian, Harold Baxter, opactwo Whitethorn, upiorna twarz Franka Gallaghery. Czuła się tak, jakby dryfowała po okrytym mgłą morzu, bez kotwicy, wśród wskazujących błędne kursy boi i fałszywych portów. Próbowwała otrząsnąć się z tego letargu i myśleć jasno, próbowała wyraźnie ujrzeć swój cel, którym była wolność. Wolność od Briana Flynna, wolność od wszystkich ludzi i przedmiotów narzucających jej poczucie winy i zobowiązania przez całe życie. Gdy raz jest się zakładnikiem, zostaje się nim na resztę życia. Była zakładniczką Briana długo przedtem, zanim przytknął pistolet do jej skroni. Była zakładniczką własnego poczucia niepewności. Ale teraz po raz pierwszy świadomość bycia zakładniczką, bycia zdrajczynią, zmniejszyła się. Czuła się jak uciekinier z szalonego świata, uciekinier ze stanu umysłu stanowiącego więzienie znacznie surowsze niż Long Kesh. Znów zaczęła pełznąć wzdłuż muru fundamentu.

Hickey nie ustępował.

– Maureen, widzimy, jak się ruszasz. Nie zmuszaj nas do strzelania.

– Wiem, że nie macie broni Gallaghery, bo ja ją mam! – odkrzyknęła. – Uważajcie, żebym to ja nie zaczęła do was strzelać.

Usłyszała, jak rozmawiają między sobą, a potem latarki zgasły. Na wystraszonych ludzi działały najprostsze blefy. Popęzła dalej. Mur zakręcił i domyśliła się, że przechodzi teraz pod ambitem. Gdzieś za ścianą znajdowały się ukryte pod ziemią piwnice pod zewnętrznymi tarasami, prowadzące do plebanii. Pod płytką warstwą ziemi skała Manhattanu podnosiła się i opadała, w miarę jak Maureen posuwała się naprzód. Przejście miało teraz wysokość około czterech stóp i bezustannie uderzała głową w rury i przewody. Trącane rury odpowiadały dźwiękiem brzęczącym niczym bębny w zimnym, nieruchomym powietrzu.

Nagle latarki zapaliły się ponownie, w pewnej odległości, i rozległ się głos Megan:

– Znaleźliśmy broń, Maureen. Idź w stronę światła albo będziemy strzelać. Ostatnia szansa!

Maureen obserwowała poszukujące jej promienie światła. Nie wiedziała, czy rzeczywiście mają broń Gallaghery, ale wiedziała, że ona jej nie ma. Poczłogała się na brzuchu jak komandos, przyciskając twarz do ziemi. Latarki zaczęły się przybliżać. Usłyszała głos Hickeya.

– Liczę do dziesięciu. Potem zawieszenie broni się kończy.

Maureen zatrzymała się i zamarła w bezruchu przytulona do ściany. Hickey liczył głośno. Krew i pot ściekały po jej twarzy, nogi i ramiona ponabijane były ziarnami żwiru. Uspokoila oddech i nasłuchiwała odgłosów z piwnicy, odległej zaledwie o parę stóp. Szukała promyka światła, powiewu, który mógł pochodzić z tamtej strony, potem przesunęła dłońmi po kamiennym fundamencie. Nic. Ruszyła dalej.

– Maureen – zawołał Hickey – jesteś dziewczyną bez serca! Zmuszasz starego człowieka do czołgania się w takiej wilgoci. Doprowadzisz mnie do śmierci. Wróćmy na górę i napijmy się herbaty.

Promienie latarek co chwila przesuwały się po jej ciele, ale wydawało się, że tamci nie są w stanie dostrzec jej ucharakteryzowanej sylwetki. Zauważyła, że kamienny mur zakręca ponownie i kończy się. Pod kątem prostym przecinał go mur z cegieł i podejrzewała, że nie jest to ściana nośna, lecz raczej działowa. Sięgnęła szczytu muru i odkryła wąską szczelinę poniżej betonowego stropu. Żadnego światła, dźwięku, podmuchu powietrza, a jednak była pewna, że bliska jest odnalezienia wyjścia.

Rozległ się głos, tym razem Gallaghery:

– Maureen, proszę, nie zmuszaj nas, byśmy cię zastrzelili. Wiem, że oszczędziłaś mnie, chodź więc, bądź porządną kobietą, wrócimy wszyscy na górę.

I tym razem wiedziała, że nie będą strzelać, nie tylko z powodu ładunków wybuchowych, ale także z obawy przed rykoszetami, i nagle rozzłościły ją ich małe kłamstwa. Za jaką idiotkę

ją uważają? Hickey mógł być starym żołnierzem, ale Maureen wiedziała więcej o wojnie niż Megan czy Gallagher mieli szansę się dowiedzieć w tym krótkim czasie, jaki im pozostał.

Mur wyginał się jeszcze bardziej ku środkowi. Z ułożenia przypominającego podkowę ambitu wywnioskowała, że znajduje się teraz pod poczekalnią albo konfesjonalem. Nagle jej dłoń zetknęła się z suchym drewnem i jej serce zamarło na moment. Wymacała zardzewiałą zasuwę i pociągnęła ją. Para zawiasów wypełniła nieruchome powietrze ostrym, piskliwym dźwiękiem. Światła latarek pomknęły w jej stronę.

– Ładnie nas przegoniłaś, młoda damo – stwierdził Hickey. – Mam nadzieję, że swoim amantom nie stawiasz równie wysokich wymagań.

– Idź do diabła, stary kościotrupie – wyszeptała Maureen.

Powoli pociągnęła za drzwi. Promienie światła pojawiły się wokół krawędzi, ukazując ich zarys, kwadrat o boku około trzech stóp. Szybko zamknęła drzwi, znalazła odłupany odłamek cegły i rzuciła go dalej wzdłuż muru. Promienie latarek skierowały się w stronę dźwięku. Maureen uchyliła drzwi na kilka cali i przycisnęła twarz do małego otworu. Zamrugowała kilkakrotnie i przyjrzała się oświetlonemu lampami fluorescencyjnymi korytarzowi. Podłoga znajdowała się około czterech stóp poniżej. Jaka piękna podłoga, pomyślała, z białego, wypolerowanego winylu. Ściany korytarza pokryte były pomalowaną okładziną tynkową, sufit, kilka stóp nad jej głową, wyłożony płytkami dźwiękochłonnymi. Naprawdę cudowny korytarz. Łzy popłynęły po jej twarzy.

Otworzyła szeroko drzwi i otarła oczy, później odgarnęła z twarzy włosy. Coś było jednak nie w porządku. Wyciągnęła rękę i jej palce przesunęły się po drucianej siatce. Otwór przegradzała zaporą przeciw szczurom.

Burke wkroczył do wewnętrznego biura prałata i spojrzał na Langleya wyglądającego przez okno. Był jedyną osobą obecną w pomieszczeniu.

– Wszyscy odpuścili? – zapytał Burke. – Gdzie Schroeder?

– Odpoczywa... albo rzyga, czy coś w tym rodzaju. Słyszałeś, co się stało?

– Pokrótce.

– Ci głupcy w środku gotowi są wszystko spieprzyć.

– Wszyscy w porządku?

– Tak powiedział kardynał. Minął cię też wspaniały pojedynek Schroeder kontra Bellini. Biedny Bert. To on zwykle jest bohaterem pozytywnym. – Langley przerwał na chwilę. – Myślę, że przegrywa.

Burke skinął głową.

– Jak sądzisz, to jego wina, czy nasza? A może Flynn jest po prostu aż taki dobry?

Langley wzruszył ramionami. Burke podszedł do kredensu i zauważył, że karafki są już prawie puste. Zapytał:

– Dlaczego Bóg pozwolił Irlandczykom wymyślić whisky, Langley?

Langley znał prawidłową odpowiedź:

– Żeby powstrzymać ich przed zawładnięciem światem.

Burke zachichotał.

– Słusznie. – W jego głosie pojawiła się nutka zamyślenia. – Założę się, że żaden z fenian nie pił ani kropli od czterdziestu ośmiu godzin. Czy znasz kobietę o nazwisku Terri O’Neal?

Langley się zastanowił.

– Nie, żadnych przebłysków. – Zaraz pożałował, że użył codziennego gliniarskiego żargonu, więc szybko skorygował: – Nie potrafię zidentyfikować tego nazwiska. Zadzwoń do biura.

– Zadzwoń z dołu. Zero. Ale sprawdzają jeszcze raz. A może wiesz coś o Danie Morganie?

– Nie. Irlandczyk?

– Prawdopodobnie z Irlandii Północnej. Louise ma oddzwonić.

– Kim są ci ludzie?

– Tego właśnie chcę się dowiedzieć. – Burke nalał sobie resztę brandy. – Terri O’Neal... wydaje mi się, że znam i twarz, i głos, ale po prostu nie mogę sobie przypomnieć...

– Flynn zażądał telewizora – oznajmił Langley. – Prawdę mówiąc, ty masz go tam dostarczyć. – Mrugnął do Burke’a. – Dobrze się wam ze sobą współpracuje. Może zadzwoniłbyś do niego teraz?

Burke podszedł do telefonu.

– Flynn może poczekać. – Upewnił się, że głośniki w pozostałych pomieszczeniach nie działają, potem włączył interkom na biurku, tak by Langley mógł się przysłuchiwać. Połączył się z Centralnym Okręgiem Północnym. – Gonzalez? Tu porucznik Burke. Macie mojego człowieka? – Zapanowała długa cisza. Burke wstrzymał oddech.

– Jest nie do zniesienia – powiedział Gonzalez. – Ciągłe pierdzieli o taktyce policji stanowej i tym podobnych gównach. Straszy nas oskarżeniem o bezprawne aresztowanie. Wydawało mi się, że mówił pan, iż on potrzebuje ochrony.

– Jest tam jeszcze?

– Tak. Chce, by go zawieźć na lotnisko. Nie mogę zatrzymywać go ani minuty dłużej. Jeżeli przyładują mi za bezprawne aresztowanie, pociągnę pana ze sobą...

– Dajcie go do telefonu.

– Z przyjemnością. Proszę poczekać.

Czekając, Burke odwrócił się do Langleya.

– To Ferguson. Coś wywęszył. Terri O’Neal, Dan Morgan. Teraz chce uciec.

– Zaproponuj mu trochę pieniędzy za pozostanie w okolicy. – Langley przysunął się do Burke’a.

– Nie zapłaciłeś mu jeszcze za dzisiaj. A i tak nie mamy pod ręką dość pieniędzy, by powstrzymać go przed ucieczką.

Burke powiedział do telefonu:

– Jack...

W pomieszczeniu rozległ się głos Fergusona, piskliwy i podniecony.

– Co ty, do ciężkiej cholery, mi robisz, Pat? Czy tak traktuje się przyjaciela? Na miłość boską, człowieku...

– Skończ to. Posłuchaj, daj mi namiary ludzi, z którymi rozmawiałeś o Terri O’Neal i Danie Morganie.

– Nie ma mowy. Moje źródła pozostaną anonimowe. Ja nie traktuję przyjaciół tak jak ty. Służby wywiadowcze w tym kraju...

– Poczekaj z tą mową do pierwszego maja. Posłuchaj, Martin wykiwał nas wszystkich. To on był siłą stojącą za fenianami. Jedynym celem tej awantury jest wywołanie negatywnego obrazu Irlandczyków, tak by amerykańska opinia publiczna zwróciła się przeciwko sprawie irlandzkiej.

Ferguson milczał przez chwilę, a potem powiedział:

– Domyślałem się tego.

Burke naciskał dalej:

– Nie wiem, jak wiele informacji wcisnął ci Martin ani jak wiele informacji o policji i o fenianach musiałeś mu przekazać w zamian, ale powtarzam ci, że w tej chwili jest na etapie zacierania śladów. Rozumiesz?

– Rozumiem jedynie, że jestem na trzech listach osób do odstrzału. Feniańskiej, „tymczasowych” i Martina. Dlatego wyjeżdżam z miasta.

– Musisz pokręcić się po okolicy. Kim jest Terri O’Neal? Dlaczego została porwana przez człowieka o nazwisku Morgan? Kto za tym stoi? Gdzie jest przetrzymywana?

– To twój problem.

– Pracujemy nad tym, Jack, ale ty jesteś bliżej. I nie mamy zbyt wiele czasu. Jeżeli zdradzisz nam swoje źródła...

– Nie.

– Ponadto – Burke nie ustępował – jak już będziesz się tym zajmował, zobacz, czy możesz znaleźć coś o Gordonie Stillwayu, katedralnym architekcie Świętego Patryka. Zniknął.

– Ostatnio często się to zdarza. Ja też znikam. Do widzenia.

– Nie! Nie rzucaj tego.

– Dlaczego? Dlaczego miałbym dalej narażać moje życie?

– Dla tego samego powodu, dla którego narażałeś je przez cały czas, dla pokoju.

Ferguson westchnął, ale nic nie powiedział. Langley szepnął:

– Zaproponuj mu tysiąc dolarów. Nie, półtora tysiąca. Urządzimy bal dobroczynny.

– Chcielibyśmy oczyścić z winy wszystkich Irlandczyków, którzy nie mieli z tym nic wspólnego, łącznie z twoimi „oficjalnymi”, a nawet i „tymczasowymi” – oświadczył Burke

do słuchawki. – Będziemy z wami współpracować, gdy ten burdel się skończy, i dopilnujemy, by ani rząd, ani prasa, nie ukrzyżowali was za to. – Burke zawahał się i dodał: – Ty i ja jako Irlandczycy... ty i ja chcemy patrzeć ludziom prosto w oczy, gdy to wszystko się już skończy. – Zerknął na Langleya, który kiwał z aprobatą głową.

– Poczekaj – rzekł Ferguson i zamilkł na długą chwilę. – Jak mogę się z tobą później skontaktować?

Burke odetchnął z ulgą.

– Spróbuj zadzwonić na plebanię. Linie powinny być później wolne. Podaj hasło... „trend”. Centrala cię połączy.

– „Trędowaty” bardziej tu pasuje, Burke. Niech będzie „trędowaty”. Dobra, ale jeśli nie uda mi się dodzwonić, nie przyjdę na plebanię. Kordon jest obserwowany przez ludzi wszelakiego autoramentu. Na wypadek gdybym się nie zgłosił, ustalmy miejsce i czas ewentualnego spotkania. Powiedzmy w zoo o pierwszej w nocy.

– Gdzieś bliżej katedry – poprosił Burke.

– W porządku. Ale żaden bar ani inne powszechnie uczęszczane miejsce. Może ten mały park przy Pięćdziesiątej Pierwszej, to niedaleko od ciebie.

– Zamykają go o zmierzchu.

– Przejdź przez bramę górą!

Burke się uśmiechnął.

– Ktoregoś dnia mam zamiar zdobyć klucze do wszystkich parków w tym mieście.

– Zatrudnij się w Departamencie Zieleni Miejskiej – odparł Ferguson. – Dostaniesz je wraz z miotłą.

– Powodzenia.

Gdy Gonzalez ponownie przejął słuchawkę, Burke powiedział:

– Puśćcie go. – Rozłączył się i odetchnął głęboko.

– Czy uważasz, że sprawa tej O’Neal jest tak ważna, by ryzykować jego życie? – zapytał Langley.

Burke opróżnił kieliszek brandy i skrzywił się.

– Jak ludzie mogą to pić?

– Pat?

Burke podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz.

– Nie dokonuję żadnych osądów moralnych – rzekł Langley. – Chcę tylko wiedzieć, czy ta informacja jest tak cenna, że opłaca się poświęcić Jacka Fergusona dla jej zdobycia?

– Porwanie to subtelna forma przestępstwa – rozmyślał na głos Burke. – Bardziej skomplikowana od morderstwa, pod wieloma względami bardziej złowieszcza, tak jak wzięcie zakładników. – Przerwał na chwilę. – Wzięcie zakładników to też rodzaj porwania. Terri O’Neal jest zakładniczką...

– Czyją zakładniczką?

– Nie wiem.

– Co kto ma uczynić, by uzyskać jej zwolnienie? Nikt nie wysunął jeszcze żadnych żądań.

– To dziwne – zgodził się Burke.

– Doprawdy – rzekł Langley.

Burke spojrział na puste miejsce Schroedera. Jego obecność mimo wszystko dodawała w pewnym sensie otuchy. Odezwał się na wpół żartobliwie:

– Jesteś pewien, że on wróci?

Langley wzruszył ramionami.

– Jeden z jego ludzi jest w sąsiednim pokoju przy telefonie i czeka, niczym aktor dubler na rolę swego życia... Zadzwoń do Flynna.

– Później. – Burke usiadł w fotelu Schroedera, oparł się wygodnie i popatrzył na sufit. Długie pęknięcie przebiegało od jednej ściany do drugiej, było zagipsowane, lecz jeszcze nie zamalowane. Przed jego oczyma pojawiło się wyobrażenie ruin katedry, zaraz zastąpione widokiem Statuy Wolności obalonej na bok, na wpół zanurzonej w wodach basenu portowego. Pomyślał o rzymskim Koloseum, zrujnowanym Akropolu, zalanych wodą świątyniach doliny Nilu. Powiedział: – Wiesz, sama katedra nie jest aż tak ważna. Tak samo jak życie żadnego z nas. Liczy się to, jak zadziałamy, co ludzie powiedzą i napiszą o nas, kiedy będzie już po wszystkim.

Langley spojrział na niego z aprobatą. Burke zaskakiwał go czasami.

– Tak, to prawda, ale dzisiaj nikomu tego nie wciśniesz.

– Ani jutro, jeżeli będziemy wyciągać trupy spod rumowiska.

Głos Johna Hickeya dobiegał do Maureen z bliskiej odległości.

– A więc, cóż my tu mamy? Jakież światło przez to okno bije, Maureen? – Zaśmiał się i powiedział ostro: – Cofnij się od otworu albo cię zastrzelimy.

Maureen podniosła łokieć i uderzyła nim w przeszkodę. Siatka wygięła się, ale nie poruszyła. Maureen przycisnęła twarz do kraty. Z lewej strony korytarz kończył się w odległości około dziesięciu stóp. Na przeciwległej ścianie przy końcu przejścia widniały szare rozsuwane drzwi – drzwi windy – windy, której szyb przebiegał obok poczekalni piętro wyżej. Ponownie napała łokciem na siatkę i jeden z boków ramy wyskoczył ze ściany.

– Tak, tak, proszę...

Słyszała ich tuż za sobą, prześlizgujących się po zasypnym gruzem podłożu jak szczury, którymi byli, coraz szybciej kierując się ku źródle światła. Potem John Hickey wyłonił się z ciemności.

– Ręce na głowę, kochanie.

Odwróciła się i zmierzyła go wzrokiem, powstrzymując napływające do oczu łzy.

– Spójrz tylko na siebie – rzekł Hickey. – Twoje śliczne kolana są całe podrapane. I skąd ten brud na twojej twarzy, Maureen? Kamuflaż? Będzie ci potrzebna porządna kąpiel. – Przesunął latarkę po jej ciele. – A twoje eleganckie ciuszki są wywrócone podszewką do góry. Sprytna dziewczynka, sprytna. A co masz owinięte wokół szyi? – Chwycił nylonową garotę i zaciągnął ją pod jej brodą. – Ojej, jaka z ciebie niegrzeczna dziewczynka. – Zakręcił sznur mocniej i przytrzymał, dopóki nie zaczęła się dusić. – Jeszcze raz, Maureen, pokazałaś mi malutką szczelinę w naszej zbroi. Cóż byśmy bez ciebie zrobili? – Rozluźnił ucisk i uderzeniem pięści posłał ją na ziemię. Jego oczy zamieniły się w wąskie szparki, z których przeziarała złość. – Myślę, że strzelę ci w głowę i wyrzucę na tamten korytarz. To pomoże policji w podjęciu decyzji, nad którą się teraz pocą. Ale z drugiej strony chciałbym, byś była w okolicy podczas wielkiego finału. – Uśmiechnął się szerokim, bezzębnym uśmiechem. – Chciałbym, byś widziała śmierć Flynna albo by on widział, jak ty umierasz.

W nagłym przeblysku zrozumienia dostrzegła esencję zła tkwiącego w tym starym człowieku.

– Zabij mnie.

– Nie. – Potrząsnął głową. – Ja cię lubię. Podoba mi się to, co się z tobą dzieje. Ale powinnaś była zabić Gallaghera. Gdybyś to zrobiła, miałabyś pewne miejsce wśród potępionych. A tak jesteś nadal na krawędzi. – Zachichotał.

Maureen leżała na wilgotnej ziemi. Poczula, jak czyjaś dłoń chwyta ją za włosy i odciąga z powrotem w mrok. Megan Fitzgerald przykłęka przy niej i przytknęła pistolet do jej serca.

– Twoje szczęście teraz ci nie pomoże, suko.

– Ani się waż, Megan! – zawołał Hickey.

– Tym razem mnie nie powstrzymasz! – odrzyknęła Megan i odbezpieczyła pistolet.

– Nie! – krzyknął Hickey. – Brian zadecyduje, czy ona ma umrzeć, a jeżeli ma umrzeć, to on chce zabić ją własnoręcznie.

Maureen wysłuchiwała tego stwierdzenia bez żadnej zewnętrznej reakcji. Czula się odrętwiała, pusta w środku. Hickey powiedział cicho:

– Jeżeli strzelisz, zabiję cię.

Wszyscy usłyszeli szcęk przeskakującego bezpiecznika jego automatu. Gallagher odchrząknął i mruknął:

– Daj jej spokój, Megan.

Nikt nic nie mówił, nikt się nie poruszył. Wreszcie Megan zabezpieczyła swój pistolet. Zapaliła latarkę i zaświeciła ją prosto w twarz Maureen, krzywy uśmiech zniekształcał jej rysy.

– Jesteś stara... i niezbyt ładna. – Brutalnie szturchnęła Maureen lufą w pierś.

Maureen spojrzała przez oślepiające ją światło na wykrzywioną twarz Megan.

– Ty jesteś bardzo młoda i powinnaś być ładna, ale jest w tobie szpetota, Megan, którą każdy potrafi dostrzec w twych oczach.

Megan splunęła na nią i zniknęła w ciemności. Hickey ukląkł przy Maureen i wytarł jej twarz chusteczką.

– Cóż, jeśli chcesz znać moją opinię, uważam, że jesteś bardzo ładna.

Odwróciła twarz w bok.

– Idź w cholerę.

– Widzisz – powiedział Hickey – wujek John znów uratował ci życie. – Maureen milczała, więc ciągnął dalej: – A to dlatego, że naprawdę chcę, byś zobaczyła, co stanie się później. Tak, to będzie całkiem widowiskowe. Jak często widuje się strop katedry walący się prosto na twoją głowę...

Gallagher sapnął dziwnie i Hickey zwrócił się do niego:

– Żartuję, Frank.

– On nie żartuje – rzuciła Maureen. – Wiesz...

Hickey przytknął usta do jej ucha.

– Zamknij się albo...

– Albo co? – Spojrzała na niego zawzięcie. – Co możesz mi zrobić? – Odwróciła się do Gallaghera. – On chce, żebyśmy wszyscy zginęli. Chce, by wszyscy twoi młodzi przyjaciele poszli razem z nim do grobu...

Hickey zaśmiał się piskliwym, nieprzyjemnym chichotem. Szurgotanie szczurów ucichło.

– Te stworzonka wyczuwają niebezpieczeństwo – stwierdził Hickey. – Wyczuwają śmierć. One wiedzą.

Gallagher nic nie powiedział, ale jego głośny oddech wypełnił mroczne, lodowate pomieszczenie. Maureen usiadła powoli.

– Baxter? Pozostali...?

Hickey odrzekł bezceremonialnie:

– Baxter nie żyje. Ojciec Murphy został trafiony w twarz i jest umierający. Ale kardynałowi nic nie jest. – Jadowitym szeptem dodał: – Widzisz, do czego doprowadziłaś?

Nie była w stanie wykrztusić słowa i tylko łzy pociekły po jej twarzy. Hickey odwrócił się od niej i przesunął promieniem latarki po otwartej klapie.

– Załóżmy tu lepiej alarm – mruknął Gallagher.

– Jedyńm sygnałem alarmowym, jaki stąd usłyszymy, będzie eksplozja dwóch funtów plastiku. Przyślę Sullivana, by to zaminował. – Zerknął na Maureen. – Cóż, może wreszcie pójdziemy do domu?

Czołgając się, wyruszyli w długą drogę powrotną. W trakcie pełzania Hickey zagadał do Maureen:

– Gdybym był młodszy, Maureen, zakochałbym się w tobie. Tak bardzo przypominasz kobiety z ruchu, które znałem za czasów mojej młodości. Tak wiele rewolucjonistek z innych organizacji to szpetne feministki, neurotyczki i wariatki. Ale my zawsze umieliśmy przyciągnąć rozsądne, śliczne dziewczyny, takie jak ty. Jak myślisz, dlaczego? – Między

jednym sapaniem a drugim ciągnął: – Cóż, możesz mi nie odpowiadać. Zmęczona? Tak, ja też. Zwolnij, Gallagher, ty wielki wole. Mamy jeszcze kawał drogi przed sobą, zanim będziemy mogli odpocząć. Wszyscy odpoczniemy razem, Maureen. Wkrótce wszystko się skończy... będziemy wolni od naszych kłopotów, naszych więzów... przed świtem... miły odpoczynek... to nie będzie takie złe... naprawdę nie będzie... Wracamy do domu.

Schroeder wszedł przez podwójne drzwi do wewnętrznego biura prałata.

– Patrzcie, kto wrócił. Dzwoniłeś do Flynna?

– Nie bez ciebie, Bert. Lepiej się czujesz?

Schroeder obszedł biurko.

– Proszę zwolnić mój fotel, poruczniku.

Burke wstał. Schroeder spojrział na niego.

– Dasz radę unieść telewizor?

– Dlaczego od razu o niego nie poprosił?

Schroeder się zamyślił. Flynn pod wieloma względami nie stanowił podręcznikowego przypadku. Drobiazgi, takie jak ten, drobiazgi, które się sumują...

– Utrzymuje fenian w izolacji – powiedział Langley. – Ich jedyną rzeczywistością jest Brian Flynn. Po konferencji prasowej rozwali odbiornik albo umieści go tam, gdzie tylko on lub Hickey będą mogli z niego korzystać.

Schroeder skinął głową.

– Nie mam pojęcia, czy ta sprawa z telewizorem stanowi część problemu czy część rozwiązania. Ale jeżeli żądają, my musimy im to dać. – Wykręcił numer centrali. – Organy prezbiterium. – Podał słuchawkę Burke'owi, włączył wszystkie głośniki i usiadł wygodnie z nogami na biurku. – Jest pan na fonii, poruczniku. Z głośnika rozległ się głos:

– Tu Flynn.

– Burke.

– Niech pan posłucha, poruczniku, proszę mi wyświadczyć wielką przysługę i siedzieć na tej cholernej plebanii, przynajmniej do świtu. Jeżeli katedra ma wylecieć w powietrze, będzie pan chciał to widzieć. Ale oklejcie wszystkie szyby i nie stawajcie pod zyrandolami.

Burke był świadomy tego, że dwustu ludzi w całym kompleksie katedralnym przysłuchuje się tej rozmowie i że każde słowo jest nagrywane i przesyłane do Waszyngtonu i Londynu. Flynn też to wiedział i wykorzystywał dla uzyskania większego efektu.

– Co mogę dla was zrobić?

– Czy nie powinien pan zapytać najpierw o zakładników?

– Powiedział pan, że są w porządku.

– To było chwilę temu.

– No dobrze, więc jak się czują teraz?

– Bez zmian. Tyle że panna Malone zrobiła sobie spacer po podziemiach katedry. Ale już jest z powrotem z nami. Jak widzę, jest raczej zmęczona. Jako osoba inteligentna znalazła przejście z podziemi między fundamentami do korytarza biegnącego obok windy poczekalni.

– Przerwał, a po chwili kontynuował: – Ale nie dotykajcie tej kłapy, bo jest właśnie zaminowywana taką ilością plastiku, że solidnie by wami wstrząsnęło.

Burke spojrział na Schroedera, który już rozmawiał przez drugi telefon z jednym z zastępców Belliniego.

– Rozumiem.

– To dobrze. I powinniście zakładać, że każde inne wejście, jakie znajdziecie, także będzie zaminowane. I powinniście zakładać, że całe podziemie usiane jest minami. Możecie również podejrzewać, że kłamię albo blefuję, ale sprawdzanie tego nie byłoby najmądrzejszym pomysłem. Niech pan to przekaże waszym chłopakom z ESD.

– Tak zrobię.

– W każdym razie – powiedział Flynn – chcę ten telewizor. Niech pan go przyniesie na stałe miejsce. Piętnaście minut.

Burke spojrział na Schroedera i zakrył mikrofon.

– Mamy odbiornik na dole, w biurze kancelisty. Ale musisz uzyskać od niego coś w zamian. Załadaj rozmowy z którymś zakładnikiem.

Burke odsłonił słuchawkę.

– Chcę najpierw rozmawiać z ojcem Murphym.

– Ach tak, to pański przyjaciel. Nie powinien się pan przyznawać do tego, że mamy tu pańskiego przyjaciela.

– On nie jest moim przyjacielem, ale spowiednikiem.

Flynn zaśmiał się głośno.

– Przepraszam, tak mi się jakoś skojarzyło. To nie była dama, to była moja żona. Zna pan to?

Schroeder z trudem ukrył uśmiech. Burke wydawał się rozżłoszczony.

– Proszę go przywołać do telefonu.

Z głosu Flynna zniknęło rozbawienie.

– Nie stawiaj mi żadnych żądań, Burke.

– Nie przyniosę telewizora, dopóki nie porozmawiam z księdzem.

Schroeder zemocjonowany potrząsał głową.

– Daj spokój – wyszeptał. – Nie naciskaj go.

– Mamy ze sobą do pogadania, prawda, Flynn? – kontynuował Burke.

Flynn milczał przez długą chwilę, potem powiedział:

– Przyprowadzę Murphy'ego do furtki. Do zobaczenia na ziemi niczyjej. Za piętnaście... nie już za czternaście minut. Nie spóźnij się. – Odłożył słuchawkę.

Schroeder spojrział na Burke'a.

– Jaki, u licha, dialog wiecie wy dwaj tam na dole?

Burke zignorował go i ponownie połączył się z prezbiterium.

– Flynn?

– O co chodzi? – W głosie Flynna brzmiało zdziwienie.

Burke stwierdził, że cały aż się trzęsie ze złości.

– Nowa zasada, Flynn. Nie rozłączasz się, dopóki nie skończę. Dotarło? – Rzucił słuchawkę na widełki.

Schroeder się podniósł.

– Co, do cholery, się z tobą dzieje? Niczego się nie nauczyłeś?

– Odpierdol się. – Burke otarł czoło chusteczką.

– Nie lubisz, kiedy wolno ci jedynie słuchać, co? – kontynuował Schroeder. – To psuje twoje wyobrażenie o samym sobie. Te chamy obrzuciły mnie dzisiaj wszelkimi możliwymi epitetami, ale ty nie...

– W porządku. Masz rację. Przepraszam.

– O czym z nim rozmawiasz tam na dole? – powtórzył pytanie Schroeder.

Burke potrząsnął głową. Był zmęczony i zaczynał tracić panowanie nad sobą. Wiedział, że jeżeli on wskutek zmęczenia popełnia błędy, pozostałym też to się przytrafia.

Zadzwonił telefon. Schroeder odebrał i podał słuchawkę Burke'owi.

– Twoja tajna kwatery główna na szczycie Police Plaza.

Burke wyłączył wszystkie głośniki i zabrał telefon z biurka.

– Louise?

Sierżant Jackson zameldowała:

– Nic o Terri O'Neal. Daniel Morgan: wiek trzydzieści pięć lat. Naturalizowany obywatel amerykański. Urodzony w Londonderry. Ojciec walijski protestant, matka irlandzka katoliczka. Narzeczona aresztowana w Belfaście za przynależność do IRA. Być może nadal przebywa w więzieniu Armagh. Sprawdźmy to u brytyjskich...

– Nie sprawdzaj niczego w kartotekach ich służb wywiadowczych ani w CIA i FBI, jeśli nie dostaniesz zgody ode mnie albo od inspektora Langleya.

– W porządku. Od jednego z was. – Ciągnęła dalej: – Morgan trafił do naszych kartotek, ponieważ został raz zatrzymany podczas demonstracji przed ONZ, w siedemdziesiątym dziewiątym roku. Ukarany grzywną i zwolniony. Adres: YMCA na Czternastej. Wątpię, czy nadal tam mieszka, prawda? – Odczytała resztę protokołu aresztowania i dodała: – Rozdałam to naszym ludziom i wywiadowcom. Przyślę ci kopię. Ponadto, o Stillwayu także nic.

Burke odłożył słuchawkę i obrócił się do Langleya.

– Zabierzmy lepiej ten telewizor.

– O co tu chodziło? – zapytał Schroeder.

Langley spojrzał na Schroedera.

– Próbujemy znaleźć coś, co uczyniłoby zadanie twoje i Belliniego odrobinę łatwiejszym.

– Naprawdę? Cóż, przynajmniej to możecie zrobić po tym, jak spieprzyliście wstępne dochodzenie.

– Gdybyśmy go nie spieprzyli – odparł Burke – nie miałbyś okazji prowadzić negocjacji o życie arcybiskupa Nowego Jorku ani o bezpieczeństwo katedry Świętego Patryka.

– Dzięki. Jestem waszym dłużnikiem.

Burke popatrzył na niego uważnie i odniósł wrażenie, że nie był to żart.

Maureen wyszła z ubikacji w poczekalni i podeszła do toaletki. Jej ubranie leżało rozwieszona na krześle, a na toalecie stała apteczka. Maureen usiadła i otworzyła ją. Z boku stała Jean Kearney z pistoletem w dłoni i obserwowała jej czynności. Odchrząknęła i odezwała się niepewnie:

– Wiesz... w ruchu nadal dobrze o tobie mówią.

Maureen obojętnie przemyślała jodyną swoje nogi. Nie podniosła wzroku, ale odpowiedziała bezbarwnym tonem:

– Czyżby?

– Tak. Ludzie nadal opowiadają o wyczynach twoich i Briana, zanim zdradziłaś.

Maureen rzuciła szybkie spojrzenie na młodą kobietę. Jej słowa były szczerze, pozbawione wrogości czy złośliwości. Powtarzała jedynie to, co usłyszała od innych, niczym historię o Judaszu. Ewangelia według Armii Republikańskiej. Maureen spojrzała na jej sinawe usta i palce.

– Zimno tam na górze?

– Okropnie zimno. Dla mnie to duża ulga, więc się nie spiesz.

Maureen dostrzegła drzazgi na ubraniu Jean.

– Bawicie się na poddaszu w stolarzy?

Jean odwróciła wzrok. Maureen wstała i wzięła z krzesła swoją spódnice.

– Nie rób tego, Jean. Kiedy nadejdzie czas, tobie i... Arthur, zgadza się? Więc tobie i Arthurowi nie wolno zrobić tego, co wam kazano.

– Nie mów takich rzeczy. My jesteśmy lojalni, nie tak jak ty.

Maureen odwróciła się i spojrzała na swoje odbicie w lustrze, a potem na odbicie stojącej za nią Jean Kearney. Chciała powiedzieć coś tej młodej kobiecie, ale tak naprawdę nie było takich słów, które mogłaby skierować do kogoś, kto już dopuścił się świętokradztwa, a wkrótce popełni zapewne i morderstwo. Jean znajdzie w końcu własną drogę wyjścia albo... młodo umrze.

Rozległo się stukanie i drzwi uchyliły się odrobinę. Flynn wsunął głowę do środka i jego wzrok spoczął na Maureen, potem odwrócił spojrzenie.

– Przepraszam. Myślałem, że skończyłaś.

Maureen wciągnęła spódnice, potem chwyciła bluzkę i szybko włożyła. Flynn wszedł do pomieszczenia i rozejrzał się wokół. Jego uwagę przyciągnęły bandaże i jodyna.

– Historia naprawdę lubi się powtarzać, prawda?

Maureen zapięła bluzkę.

– Jeżeli wszyscy wciąż popełniamy te same błędy, musi tak być, czyż nie tak, Brian?

Flynn się uśmiechnął.

– Pewnego dnia naprawimy to.

– Cholernie mało prawdopodobne.

Flynn dał znak Jean i dziewczyna wyszła niechętnie z rozczarowaniem na twarzy. Maureen usiadła przy toalecie i przesunęła grzebieniem po włosach. Flynn przyglądał się przez chwilę, później się odezwał:

– Chciałbym z tobą pomówić.

– Słucham.

– W kaplicy.

– Tu jesteśmy przecież sami.

– No... tak. Zbyt sami. Ludzie zaczną gadać. Nie mogę się skompromitować, ty też nie...

Maureen zaśmiała się i wstała.

– O czym ludzie będą gadać? Doprawdy, Brian... Tu, w poczekalni katedry... Jaką bandą stukniętych na punkcie seksu katolików wciąż jesteście. – Podeszła do niego. – W porządku. Chodźmy.

Chwycił ją za ramiona i odwrócił w swoją stronę. Maureen potrząsnęła głową.

– Nie, Brian. Stanowczo za późno. – Na jego twarzy widniał grymas desperacji... niemalże przerażenia, pomyślała.

– Dlaczego kobiety zawsze mówią coś w tym stylu? – zapytał. – Nigdy nie jest za późno. W tych sprawach nie ma pór roku ani cykli.

– Niestety są. Dla nas panuje teraz zima. I wiosny już nie będzie, nie za naszego życia.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Chwilę później już go nie było. Przez kilka sekund stała jak sparaliżowana na środku poczekalni, potem uniosła dłoń do ust. Potrząsnęła głową.

– Ty cholerny głupcze.

Ojciec Murphy siedział w stallach z bandażem elastycznym spowijającym lewą stronę jego szczęki. Kardynał stał obok niego. Harold Baxter leżał na boku w tej samej ławce. Bandaż pokrywał jego nagi tors. Widać było długą linię zaschłej krwi na plecach i mniejszą plamę na piersi. Twarz miał poobijaną od ciosów Pedara Fitzgeralda, a kopniak Megan sprawił, że jedno oko prawie całkowicie zasłaniała opuchlizna.

Maureen przeszła przez prezbiterium i przyklękła przy dwóch mężczyznach. Przygaszonym tonem wymienili pozdrowienia. Maureen odezwała się do Baxtera:

– Hickey powiedział mi, że pan nie żyje, a ojciec Murphy jest umierający.

– Ten człowiek jest całkowicie obłąkany. – Baxter rozejrzył się dookoła. W pobliżu nie było widać ani Flynn'a, ani Hickey'a, ani Megan Fitzgerald. To było bardziej niepokojące od

ich ciągłej obecności. Poczuł, że zasoby jego odwagi zaczynają się wyczerpywać. – Jeżeli nie jesteśmy w stanie uciec – powiedział – uciec fizycznie, musimy zastanowić się nad sposobem przeżycia tu w środku. Musimy stawić im opór, powstrzymać ich przed rozdzieleniem i odizolowaniem nas. Musimy zrozumieć ludzi, którzy nas więżą.

Maureen zastanowiła się przez moment.

– To prawda, ale tych ludzi trudno przejrzeć. Ja nigdy nie rozumiałam Briana Flynna, tej siły, która go napędzała. – Zawahała się. – Po wszystkich tych latach... ciągle myślałam, że pewnego dnia usłyszę, iż zginął albo miał załamanie nerwowe jak tylu innych, albo uciekł do Hiszpanii... a on po prostu działa dalej niczym jakaś nieśmiertelna istota, umęczona życiem, niezdolna umrzeć... Boże, prawie mi go żal. – Miała nieprzyjemne uczucie, że wyjawianie sekretów Flynna jest w jakiś sposób nielojalne.

Kardynał ukląkł przy nich.

– Brian Flynn – powiedział – to człowiek o niezwykłych poglądach i wierzeniach. Romantyk, który naprawdę wierzy, że jest wcieleniem Finna MacCumaila. – Spojrzał na Maureen. – I nadal mu bardzo na pani zależy.

Jej twarz okryła się rumieńcem.

– To nie powstrzyma go przed zabiciem mnie – powiedziała niechętnie.

– Skrzywdziłby panią tylko wówczas, gdyby był przekonany, że nic do niego już pani nie czuje – odpowiedział kardynał.

Powróciła myślą do poczekalni.

– A więc co powinnam zrobić? Podlizywać mu się?

– Wszyscy musimy to robić, jak myślę – odezwał się ojciec Murphy – jeżeli chcemy przeżyć. Pokazać mu, że zależy nam na nim jako człowieku... i wydaje mi się, że przynajmniej niektórym z nas zależy. Ja troskam się o jego duszę.

Baxter powoli skinął głową.

– W zasadzie uprzejmość nic nie kosztuje... oprócz odrobiny szacunku dla samego siebie. – Uśmiechnął się i powiedział: – A kiedy wszyscy się z powrotem uspokoją, spróbujemy jeszcze raz.

Maureen szybko kiwnęła głową.

– Tak, popieram to.

– Nie dostaliście już dosyć, szczególnie wy dwoje? – zapytał kardynał z niedowierzaniem.

– Nie – odparła Maureen.

Gdyby Flynn stanowił nasz jedyny problem – rzekł Baxter – zaryzykowałbym pozostanie. Ale kiedy patrzę w oczy Megan Fitzgerald albo Johna Hickeya... Maureen i ja rozmawialiśmy już o tym. Nie chcę, by jutrzejsze gazety mówiły o mojej egzekucji i męczeństwie, lecz raczej by pisały: „Zginął podczas próby ucieczki”.

– Mogą pisać: „Nieprzemyślana próba ucieczki... tuż przed tym, jak mieli zostać zwolnieni” – odparł z przekąsem kardynał.

Baxter spojrzał na niego.

– Przestałem wierzyć w wynegocjowanie porozumienia. To redukuje liczbę opcji do jednej.

– Jestem prawie całkowicie przekonana, że Hickey zamierza zabić nas wszystkich i zniszczyć kościół – dorzuciła Maureen.

Baxter usiadł z pewną trudnością.

– Jest stąd jeszcze jedna droga ucieczki... i wszystkim nam może się udać... Musi nam się udać, bo nie będziemy mieli więcej sposobności.

Ojciec Murphy wydawał się zmagać z czymś, wreszcie powiedział:

– Jestem z wami.

Kardynał potrząsnął głową.

– To cud, że nikt nie zginął. Muszę nalegać, by...

Maureen sięgnęła do kieszeni kurtki i wyciągnęła małą, białą grudkę.

– Czy ktoś z was wie, co to jest? Nie, oczywiście że nie. To plastikowy materiał wybuchowy. Jak podejrzewaliśmy, to właśnie Hickey i Megan znieśli na dół w tych walizkach. Przynajmniej jedna z kolumn jest tym oblepiona. Nie wiem, ile kolumn przygotowanych jest do wysadzenia ani gdzie one są, ale wiem, że dwie walizki plastiku, prawidłowo rozmieszczone, starczą, by strącić dach. – Utkwiła spojrzenie w kardynale, który nagle poblądł. – I nie widzę tu na górze urządzenia do zdalnego detonowania ładunków ani przewodów. A więc muszę zakładać, że miny detonowane są mechanizmem zegarowym. O której godzinie? – Spojrzała na trzech mężczyzn. – Przynajmniej jedno z nas musi się stąd wydostać i ostrzec ludzi na zewnątrz.

Brian Flynn podszedł do balustrady i odezwał się rozdrażnionym tonem:

– Znowu knujecie? Wasza Eminencjo, proszę pozostać na pańskim wyniosłym tronie. Ranni dżentelmeni nie potrzebują pańskiej pociechy. Wystarczającą pociechą dla nich jest świadomość faktu, że nadal żyją. Panno Malone, czy mógłbym zamienić z panią parę słów w kaplicy Matki Boskiej?

Maureen powoli przeszła do bocznych schodów, po nich do ambitu i dalej do kaplicy Matki Boskiej, świadoma sztywności, która ogarnęła całe jej ciało. Flynn podążył za nią i wskazał jedną z ławek z tyłu, gdzie Maureen usiadła z ulgą.

Flynn stanął w przejściu obok niej i rozejrzał się po cichej kaplicy, odmiennej od reszty katedry. Jej architektura była delikatniejsza i bardziej wyrafinowana. Marmur ścian miał łagodniejszy odcień, a długie, wąskie okna rozświetlone były bogatymi tonami kobaltowego błękitu. W jednym z okien po prawej stronie wejścia widniała postać bardzo podobna do Karola Marksa, z czerwoną flagą w jednej ręce i młotkiem w drugiej, atakująca krzyż na szczycie kościelnej wieży.

– No, cóż – rzekł Flynn neutralnym tonem – kiedy kościół wystawia twoją twarz w oknie, wiesz, że wzniosłeś się na poziom niższych demonów. Zupełnie jak zdjęcie w niebiańskim urzędzie pocztowym: Poszukiwany za herezję. – Wskazał ręką okno. – Karol Marks. Dziwne.

Maureen zerknęła na obraz.

– Wolałbyś, by był to Brian Flynn, nie?

Flynn się zaśmiał.

– Czytasz w mej czarnej duszy, Maureen. – Odwrócił się i spojrzał na ołtarz usadowiony w półkolistym końcu kaplicy. – Boże, jakież pieniądze idą na takie budowle.

– Lepiej wydać je na broń, zgodzisz się ze mną.

Spojrzał na nią.

– Unikaj swoich zgryźliwych uwag w rozmowie ze mną, Maureen.

– Przepraszam.

– Czy aby szczerze?

Po lekkim zawahaniu Maureen odpowiedziała:

– Tak.

Flynn się uśmiechnął. Jego oczy powędrowały w górę wzdłuż posągu Świętej Dziewicy na ołtarzu ku apsydowemu oknu nad nią.

– Światło wpadnie najpierw przez to okno. Mam nadzieję, że nikt z nas nie będzie musiał go oglądać z tego miejsca.

– Nie spalisz kościoła i nie zabijesz nie uzbrojonych zakładników. – Odwróciła się nagle ku niemu. – A więc przestań mówić, jak gdybyś był człowiekiem, który jest do tego zdolny.

Położył dłoń na jej ramieniu. Maureen strąciła ją. Flynn usiadł przy niej i powiedział:

– Coś jest poważnie nie w porządku, jeżeli odniosłaś wrażenie, że blefuję.

– Może dlatego, że znam cię dobrze. Wszystkich innych oszukałeś.

– Ale ja nikogo nie oszukuję ani też nie blefuję.

– Zastrzełiłbyś mnie?

– Tak... później oczywiście zastrzełiłbym siebie.

– Bardzo romantycznie, Brian.

– Brzmi okropnie, prawda?

– Powinieneś słyszeć swoje słowa.

– Tak... cóż, miałem zamiar porozmawiać z tobą jeszcze raz, ale biorąc pod uwagę to wszystko, co się dzieje naokoło... mamy teraz nieco czasu. – Przerwał na moment. – Najpierw musisz mi obiecać, że nie spróbujesz ponownie ucieczki.

– Dobrze.

Flynn spojrzał na nią.

– Mówię serio. Następnym razem oni cię zabiją.

– I co z tego? Lepiej, niż dostać kulę w tył głowy od ciebie.

– Nie bądź ponura. Nie sądzę, by do tego doszło.

– Ale nie jesteś tego pewien.

– To zależy od rzeczy będących poza moją kontrolą.

– W takim razie nie powinienesz być igrać moim życiem i życiem innych, prawda? Dlaczego przypuszczasz, że ludzie na zewnątrz będą działać racjonalnie i z dbałością o nasze życie, jeżeli ty tego nie robisz?

– Nie mają wyboru.

– Nie mają wyboru innego, niż działać racjonalnie i litościwie.

– Widzę, że pogłębiła się w tobie wiara w ludzkość. Gdyby ludzie tak się zachowywali, nikogo z nas by tu nie było.

– To przypomina kłótnię, której nigdy nie skończyliśmy przed czterema laty. – Przez chwilę spoglądał na okno, potem obrócił się do niej. – Czy pojedziesz ze mną, kiedy stąd wyjdziemy?

Maureen spojrzała mu prosto w oczy.

– Kiedy stąd wyjdiesz, udasz się do więzienia albo na cmentarz. Nie, dziękuję.

– Niech cię... Wyjdę stąd tak samo wolny i żywy, jak tu wszedłem. Odpowiedz na pytanie.

– A co się stanie z biedną Megan? Złamiesz jej słodkie serduszko, Brian.

– Przestań. – Uchwycił mocno jej ramię. – Brakuje mi ciebie, Maureen. Jestem gotów się wycofać – oznajmił i spojrzał na nią uważnie. – Naprawdę. Gdy tylko z tym skończę. Dużo się z tego nauczyłem.

– Na przykład?

– Dowiedziałem się, co jest dla mnie ważne. Posłuchaj, ty odeszłaś, kiedy byłaś gotowa, i ja zrobię to samo. Żałuję, że nie byłem gotowy wtedy, gdy ty byłaś.

– Żadne z nas nie wierzy w ani jedno twoje słowo. Z organizacji się nie odchodzi. Właśnie tę prawdę zarówno ty, jak i oni wszyscy rzucaliście w moją stronę przez te wszystkie lata i ja odrzucam ci ją teraz prosto w twarz. Z organizacji...

– Nie! – Przyciągnął ją bliżej do siebie. – W tej chwili wierzę w to, że chcę się wycofać. Dlaczego nie chcesz w to uwierzyć razem ze mną?

Maureen w przypiływie słabości położyła dłoń na jego ręce i powiedziała przepęlnionym rozpaczą głosem:

– Nawet gdyby to było możliwe, istnieją ludzie, którzy mają swoją wizję twojej emerytury, Brian, i w jej skład nie wchodzi chatka nad morzem w Kerry. – Oparła się o jego ramię. – A co ze mną? IRA z Belfastu nadal na mnie poluje. Nie można wyprawiać takich rzeczy, jakie my robiliśmy, a później żyć długo i szczęśliwie. Kiedy po raz ostatni stukanie do drzwi nie wywołało u ciebie przyspieszonego bicia serca? Czy myślisz, że możesz ogłosić swoje przejście na emeryturę niczym szanowany polityk i zabrać się za pisanie pamiętników? Pozostawiłeś za sobą krwawy szlak w całej Irlandii, Brianie Flynn, i są ludzie, Irlandczycy i Brytyjczycy, którzy pragną w zamian twojej krwi.

– Są miejsca, dokąd moglibyśmy pojechać...

– Nie na tej planecie. Świat jest bardzo mały, o czym przekonało się wielu naszych ludzi próbujących uciekać. Pomyśl, jak by to wyglądało, gdybyśmy żyli razem. Żadne z nas nie mogłoby wyjść, by kupić paczkę herbaty bez zastanawiania się, czy przypadkiem nie widzimy się ostatni raz. Każdy list w skrzynce mógłby eksplodować ci prosto w twarz. A gdyby były i... dzieci? Pomyśl przez moment o tym. Flynn nie odpowiedział. Maureen potrząsnęła wolno głową.

– Nie chcę żyć w ten sposób. Wystarczy mi, że muszę martwić się o siebie. To duże ułatwienie, mówiąc całkiem szczerze, że nie muszę martwić się o nikogo innego, ani o ciebie, ani o Sheilę... a więc dlaczego miałabym chcieć iść z tobą martwić się tym, kiedy cię zabiją... Dlaczego chcesz martwić się tym, kiedy mnie dopadną?

Flynn miał wzrok utkwiony w posadzkę między ławkami, potem podniósł spojrzenie w stronę ołtarza.

– Ale... chciałabyś... to znaczy gdyby to było możliwe...?

Maureen zamknęła oczy.

– Kiedyś tego chciałam. Tak naprawdę chyba nadal tego chcę. Ale gwiazdy są nam nieprzychylne, Brian. To my to zaczęliśmy, sam wiesz.

– Nie. To oni zaczęli. Druga strona zawsze zaczyna.

– Co za różnica? Długo po tym, jak to się skończy, naszemu krajowi pozostaną w spadku dzieci przemienione w morderców i dzieci dygoczące ze strachu w ciemnych kątach. My to uwiecznimy i całe pokolenie przeminie, zanim zostanie to zapomniane. Obawiam się, że jeszcze dłużej. Irlandczycy nie zapominają tak szybko. Zapisują wszystko, by odczytywać to i opowiadać przy ogniskach z torfu. I prawdę mówiąc ty, ja i Megan jesteśmy produktami konfliktów znacznie starszych od tego ostatniego. Masakry Cromwella zdarzyły się w zeszłym tygodniu, głód zdarzył się wczoraj, powstanie i wojna domowa dziś rano. Zapytaj Johna Hickeya. On ci powie to samo. – Maureen odetchnęła powoli. – Chciałabym, żebyś nie miał racji w tych sprawach.

– Ja chciałabym, żebyś ty nie miała racji co do nas.

Flynn zszedł po schodach do zakrystii i ujrzał Burke'a oraz Pedara Fitzgeralda spoglądających na siebie przez kraty. Obok Burke'a na podeście stał przenośny telewizor.

– Przyrowadź tu księdza za pięć minut – powiedział Flynn do Fitzgeralda.

Chłopak przewiesił thompsona przez ramię i wyszedł. Burke przyjrzał się uważnie Flynnowi, który wydawał się zmęczony, może nawet przygnębiony. Flynn wyjął wykrywacz mikrofonów i przesunął nim nad telewizorem.

– Obydwaj jesteśmy podejrzliwi z natury i z racji wykonywanego zawodu. Boże, tylko ta samotność.

– Skąd ta nagła melancholia?

– Wciąż mam obawy, że to nie skończy się dobrze.

– Mogę to panu niemalże zagwarantować.

Flynn się uśmiechnął.

– Stanowi pan pożądaną odmianę po rozmowie z tym dupkiem Schroederem. Nie zawraca mi pan głowy słodkimi słówkami ani gadaniem o poddaniu się.

– Cóż, głupio mi to mówić po takim komplementcie, ale powinniście się poddać.

– To niemożliwe, nawet gdybym tego chciał. Maszyna, którą zmontowałem, nie ma jednej głowy, jednego mózgu, lecz posiada wiele zabójczych przedłużeń... w katedrze i poza nią, każde z nich tak nastawione, by zadziałać w określonej sytuacji. Ja jestem jedynie twórcą tej rzeczy, pozostającym poza organizmem... Przypuszczam, że przemawiam w jego imieniu, ale nie z jego wnętrza. Rozumie pan?

– Tak.

Burke nie potrafił orzec, czy ten pesymizm jest udawany. Flynn był dobrym aktorem, którego każda kwestia miała za zadanie stworzyć jakąś iluzję, wywołać żądaną reakcję. Teraz skinął głową i oparł się ciężko o kraty, a Burke odniósł wrażenie, że w jego sercu toczy się jakaś walka pochłaniająca znaczną część jego sił. Po chwili Flynn powiedział:

– Cóż, w każdym razie, oto o czym chciałem z panem porozmawiać. Hickey i ja doszliśmy do wniosku, że Martin uprowadził katedralnego architekta. Dlaczego, zapyta pan? Abyście nie mogli zaplanować ani przeprowadzić skutecznego szturmu.

Burke rozważył to stwierdzenie. Na plebanii i w rezydencji kardynała panowałby zdecydowanie większy optymizm, gdyby Gordon Stillway pochylał się razem z Bellinim nad planami. Burke spróbował uporządkować to w logiczną całość. Fenianie nie złapali Stillwaya; to było już oczywiste. Maureen Malone nie znalazłaby nie zabezpieczonego przejścia, gdyby architekt był w środku, gdyż, niezależnie od tego, jak odważnym człowiekiem byłby Stillway, po piętnastu minutach przebywania w towarzystwie tych ludzi wyśpiewałby wszystko. Ponadto, nietrudno było uwierzyć w to, że major Martin przewidział znaczenie Stillwaya i porwał go, zanim fenianie zdolali do niego dotrzeć. Ale by uwierzyć w to wszystko, trzeba było uwierzyć w pewne nieprzyjemne cechy charakteru majora Martina.

– Rozumie pan to teraz? – przerwał milczenie Flynn. – Martin nie chce, by policja działała zbyt szybko. Chce, by to się przeciągnęło aż do świtu. Prawdopodobnie już wam podsunął, że przesunięcie terminu jest do osiągnięcia, prawda?

Burke milczał. Flynn przysunął się bliżej.

– A bez dobrego planu ataku gotowi jesteście mu uwierzyć. Powiem wam więc jedno. O szóstej trzy katedry już nie będzie. Jeżeli zaatakujecie, wasi ludzie zostaną rozniesieni na strzępy. Jedynym sposobem zakończenia tego bez rozlewu krwi jest zaakceptowanie moich warunków. Wy przecież pogodziliście się z tym, że was pokonaliśmy. A więc odłóżcie na bok tę waszą przekłętą dumę rodem z plaż Normandii i Iwo-Jimy, powiedzcie tym dumnym sukinsynom na zewnątrz, że wszystko się skończyło, i chodźmy wszyscy do domu.

– Nie będą tego słuchać.

– Zmuście ich do słuchania.

– Dla ludzi na zewnątrz – odparł Burke – fenianie są takimi partnerami policji i rządu, jak nowojorski gang uliczny, którego członkowie zważają się „poganami”. Oni nie mogą się z wami układać, Flynn. Prawo zobowiązuje ich do aresztowania was i wsadzenia do pierdła razem z bandziorami i gwałcicielami, bo terroryści nie są niczym innym, jak bandziorami, mordercami i gwałcicielami, tyle że na większą skalę...

– Zamknij się!

Żaden z mężczyzn się nie odzywał, potem Burke rzekł nieco łagodniejszym tonem:

– Przedstawiam panu ich stanowisko. Mówię to, czego nie powie wam Schroeder. To prawda, że przegraliśmy, ale prawdą jest też to, że nie chcemy, nie możemy skapitulować. Wy moglibyście się poddać... z honorem... wynegocjować jak najlepsze warunki, złożyć broń...

– Nie. Nikt z nas nie zgodzi się na rezygnację z któregokolwiek z naszych żądań.

– W porządku. Przekażę to... Może nadal będziemy mogli wypracować coś, co uratowałoby tak pana i pańskich ludzi, jak i zakładników oraz katedrę... ale co do internowanych... – Pokręcił głową. – Londyn nigdy się...

Flynn także potrząsnął głową.

– Wszystko albo nic.

Obaj pograżyli się w milczeniu, świadomi tego, że obaj powiedzieli więcej, niż zamierzali, i świadomi też tego, że zaprzepaścili coś, co zaczynało się rodzić pomiędzy nimi. Z góry dobiegł głos Pedara Fitzgeralda:

– Ojciec Murphy.

Flynn odwrócił się i odkrzyknął:

– Przyślij go na dół.

Ksiądz zszedł niepewnie po marmurowych schodach, opierając swe masywne ciało o brązową poręcz. Uśmiechnął się przez spowijające jego twarz opatrunki i odezwał zniekształconym głosem:

– Patrick, miło cię widzieć. – Podał Burke’owi rękę przez kraty.

Burke uściśnął dłoń księdza.

– Nic ci nie jest?

– Niewiele brakowało. Ale Pan jeszcze mnie nie potrzebuje.

Burke puścił rękę księdza. Flynn przysunął się do kraty.

– Proszę mi to oddać.

Burke otworzył dłoń i Flynn porwał z niej kawałek papieru. Rozwinął go i przeczytał napisane ołówkiem słowa: „Ostatnią wiadomość z konfesjonału wysłał Hickey”. Dalej następowało całkiem dokładne oszacowanie umocnień obronnych katedry. To pierwsze zdanie wywołało zmarszczki na czole Flynn’a. Wcisnął papier do kieszeni i podniósł wzrok.

– Jestem dumny z tych ludzi, Burke. – W jego głosie nie było gniewu. – Wykazali niezwykłą siłę ducha. Nawet ci dwaj święci mężowie zmuszają nas do nieustannej czujności, naprawdę.

Burke odwrócił się do Murphy'ego.

– Czy ktoś z was potrzebuje doktora?

– Nie. Jesteśmy trochę poobijani, ale doktor w niczym nam nie pomoże. Damy sobie radę.

– To wszystko, ojciec – powiedział Flynn. – Proszę wrócić do pozostałych.

Murphy zawahał się i rozejrzał wokoło. Zerknął na łańcuch i kłódkę, potem ocenił wzrokiem Flynn'a, równie wysokiego jak on, ale nie tak masywnego. Flynn wyczuł zagrożenie i cofnął się. Jego prawa ręka pozostała przy ciele, ale układ palców sugerował, że gotów jest sięgnąć po pistolet.

– W przeszłości byłem poszturchiwany przez księży i jestem wam wszystkim dłużny kilka kopniaków. Proszę nie stwarzać mi okazji do wyrównania tego długu i odejść.

Murphy skinął głową, odwrócił się i wstąpił na schody. Przez ramię powiedział:

– Pat, powiedz tym na zewnątrz, że się nie boimy.

– Oni o tym wiedzą, ojciec – odparł Burke.

Murphy stał przez kilka sekund przy drzwiach do krypty, potem zniknął za rogiem na klatce schodowej.

Flynn wsadził ręce do kieszeni. Popatrzył w dół, później podniósł powoli głowę, aż napotkał wzrok Burke'a.

– Proszę mi obiecać, poruczniku, obiecać mi dziś wieczorem jedną rzecz... – Burke czekał cierpliwie. – Proszę obiecać, że jeżeli dojdzie do szturm, pójdzie pan z nimi.

– Co!?

– Ponieważ – ciągnął Flynn – jeżeli będzie pan wiedział, że nie bierze pan w tym udziału, wtedy podświadomie nie będzie pan dostrzegać rzeczy, które powinien pan dostrzec, nie będzie pan mówić rzeczy, które powinien pan powiedzieć tym ludziom. A ponadto potem nie będzie panu łatwo z tym żyć. Rozumie pan, o co mi chodzi?

Burke poczuł, jak zasycha mu w gardle. Pomyślał o głupocie Schroedera. To była zła noc dla ludzi zaplecza. Linia frontu zbliżała się coraz bardziej. Spojrzał na Flynn'a i prawie niezauważalnie skinął głową. Flynn bez słów potwierdził zawarcie umowy. Odwrócił wzrok i dodał:

– Proszę nie opuszczać więcej plebanii.

Burke nie odpowiedział.

– Proszę być blisko, proszę być blisko, zwłaszcza gdy do świtu pozostanie już niewiele czasu.

Flynn stał przy osłoniętym materiały wejściu do konfesjonału i przyglądał się małemu, białemu przyciskowi na framudze. „Ostatnią wiadomość z konfesjonału wysłał Hickey.” Odwrócił się na dźwięk zbliżających się kroków.

Hickey zatrzymał się i spojrzął na zegarek.

– Czas na spotkanie z prasą, Brian.

– Opowiedz mi o tym dzwonku – rzekł Flynn, mierząc go twardym wzrokiem.

– Ach, o tym. Nie ma o czym opowiadać. Przyłapałem Murphy’ego na próbie sygnalizacji podczas spowiedzi. Możesz wyobrazić sobie księdza postępującego w ten sposób, Brian? W każdym razie, jest to chyba przycisk umożliwiający wezwanie księdza z plebanii. A więc posłałem im parę wyszukanych słów, jakich nigdy jeszcze nie słyszano w sypialni dobrych ojczulków. – Zachichotał.

Flynn zmusił się do uśmiechu, ale wyjaśnienie Hickeya nasuwało jeszcze więcej pytań. „Ostatnią wiadomość z konfesjonału wysłał Hickey.” Kto wysłał poprzednią wiadomość czy też wiadomości?

– Powinieneś był mi powiedzieć.

– Och, Brian, ciężar dowodzenia jest tak uciążliwy, że nie można zawracać ci głowy każdym drobnym detalem.

– Mimo wszystko... – Spojrzął na kredowobiałą twarz Hickeya. Jowialny błysk w jego oczach zniknął. Został zastąpiony ognistym, upartym spojrzeniem.

Hickey uśmiechnął się i postukał w zegarek.

– Czas dać im do wiwatu, chłopcze.

Flynn się nie ruszył. Wiedział, że jego stosunki z Johnem Hickeyem osiągnęły punkt krytyczny. Dreszcz przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa i nagle ogarnął go lęk.

Hickey zagłębił się w przejście przy konfesjonale, przechodząc na korytarz przy poczekalni. Zatrzymał się przed dębowymi drzwiami windy i wyłączył urządzenie alarmowe. Bez pośpiechu zaczął rozbierać minę. Flynn stanął za jego plecami.

– Gotowe... Założę to z powrotem, gdy zjedziesz na dół. Hickey otworzył dębowe drzwi, ukazując rozsuwane drzwi windy.

Flynn podszedł bliżej.

– Kiedy wrócisz – powiedział Hickey – zastukaj w dębowe drzwi. Trzy długie, dwa krótkie. Będę wiedział, że to ty, i znowu rozbiorę minę. – Spojrzął na Flynną. – Powodzenia.

Flynn podszedł bliżej, spoglądając na szare drzwi windy, potem przesunął spojrzenie na minę zwisającą z na wpół otwartych dębowych drzwi. „Będę wiedział, że to ty, i rozbiorę minę.” Spojrzął Hickeyowi prosto w oczy.

Inspektor Langley i Roberta Spiegel czekali w jaskrawo oświetlonym korytarzu piwnic. Wraz z nimi oczekiwali ludzie z Wydziału Specjalnego oraz trzech policjanci z Departamentu

Informacji. Langley sprawdził godzinę. Po dziesiątej. Przytknął ucho do drzwi windy. Niczego nie usłyszał i wyprostował się.

– Wszystkie trzy sieci i cały tłum stacji lokalnych czekają na tego sukinsyna – powiedziała Roberta Spiegel. – Kompleks Mussoliniego. Zmuszać ich do czekania tak długo, aż zaczną szaleć z niecierpliwości.

Langley skinął głową, uświadamiając sobie, że tak właśnie się czuje, czekając teraz, by Brian Flynn wyszedł przez te szare drzwi.

Nagle ciszę korytarza rozdarł dźwięk silnika windy przybierający na intensywności w miarę zjeżdżania kabiny. Drzwi zaczęły się rozsuwać. Langley, trzech ludzie z wywiadu i policjanci wyprostowali się odruchowo. Roberta Spiegel poprawiła dłonią włosy. Czują, jak serce trzepocze jej w piersi. Drzwi otworzyły się, ukazując nie Briana Flynn, ale Johna Hickeya. Stary człowiek wyszedł na korytarz i uśmiechnął się.

– Finn MacCumail, wódz fenian, przesyła pozdrowienia i wyrazy ubolewania. – Hickey rozejrzał się i kontynuował: – Mój przywódca jest podejrzliwym człowiekiem i dlatego tak długo pozostaje przy życiu. Miał, jak sądzę, przecucie niebezpieczeństwa nierozzerwalnie związanego z taką sytuacją. – Spojrzał na Langleya. – Jest człowiekiem rozsądnym i nie chciał wystawiać was na taką pokusę. Was albo waszych brytyjskich sojuszników. Przysłała więc mnie, swojego wiernego zastępcę.

Langleyowi trudno było uwierzyć, że Flynn bał się pułapki, mając czterech zakładników jako gwarancję bezpieczeństwa. Langley powiedział:

– Pan John Hickey oczywiście.

Hickey wykonał formalny ukłon.

– Żadnych obiekcji, jak ufam.

– To wasz program. – Langley wzruszył ramionami.

Hickey się uśmiechnął.

– Dokładnie. A z kim mam przyjemność rozmawiać?

– Inspektor Langley.

– Ach, tak... A pani? – Spojrzał na Robertę Spiegel.

– Jestem Roberta Spiegel. Reprezentuję burmistrza.

Hickey skłonił się ponownie.

– Chodźmy – powiedział Langley.

Hickey zignorował go i zawołał w głąb korytarza:

– A ci panowie? – Podeszedł do wysokiego funkcjonariusza ESD i odczytał z jego tabliczki identyfikacyjnej. – Gilhooly. – Chwycił dłoń mężczyzny i potrzęsął nią energicznie. – Uwielbiam tę melodię celtyckich nazwisk pełnych miękkich dźwięków. Znałem rodzinę Gilhoolych w Tullamore.

Policjant wyglądał na zakłopotanego. Hickey spacerował po korytarzu, wymieniając z każdym uścisk dłoni i witając po nazwisku. Langley spojrzał na Spiegel i wyszeptał:

– Mussolini wyglądałby przy nim jak nastolatek z kompleksem niższości.

Hickey potrząsnął ręką ostatniego mężczyzny, potężnego funkcjonariusza ESD z karabinem, ubranego w kamizelkę kuloodporną.

– Niech Bóg będzie z tobą dziś w nocy, chłopcze. Mam nadzieję, że następnym razem spotkamy się w bardziej sympatycznych okolicznościach.

– Czy możemy już iść? – zapytał zniecierpliwiony Langley.

– Proszę prowadzić, inspektorze. – Hickey ruszył, dostosowując krok do rytmu marszu Langleya i Spiegel. Trzej ludzie z wywiadu podążyli za nimi. Hickey powiedział: – Powinien pan być przedstawić mi tych ludzi. Zignorował ich pan, zignorował pan ich człowieczeństwo. Jak może wymagać pan, by ludzie pana słuchali, skoro traktuje ich pan jak słomiane wypychla?

Langley nie bardzo wiedział, co oznacza to słowo, i na wszelki wypadek postanowił nie odpowiadać.

– W dawnych czasach – ciągnął Hickey – wojownicy zwykli pozdrawiać się nawzajem przed bitwą, skazaniec podawał dłoń katu, a nawet i błogosławił go, by okazać wzajemny szacunek i zrozumienie. Już czas, by na powrót wprowadzić osobisty element do wojny i śmierci.

Langley zatrzymał się przed nowoczesnymi, drewnianymi drzwiami i spojrzał na Hickeya.

– To sala konferencyjna.

– Nigdy przedtem nie byłem w telewizji – rzekł Hickey. – Czy potrzebuję charakteryzacji?

Langley dał znak swoim trzem ludziom, potem powiedział do Hickeya:

– Zanim pana tam wprowadzę, muszę pana spytać, czy jest pan uzbrojony.

– Nie. A pan?

Langley skinął głową do jednego z mężczyzn, który wyciągnął wykrywacz metalu i przesunął prętem po ciele Hickeya.

– Możecie znaleźć brytyjską kulę, którą noszę w biodrze od dwudziestego pierwszego – uprzedził Hickey.

Wykrywacz metalu nie zareagował, więc Langley otworzył drzwi. Gdy Hickey wszedł do pomieszczenia, gwar rozmów ucichł nagle. Sala konferencyjna pod zakrystią była dużym pomieszczeniem o ścianach pokrytych boazerią i suficie wyłożonym płytkami dźwiękochłonnymi. Kilka małych stolików ustawiono naokoło długiego, centralnie umieszczonego stołu. Przewody oświetleniowe i kable telewizyjne zwisały z otworów w suficie. Hickey rozejrzał się powoli po sali, przypatrując się twarzom spoglądających na niego ludzi.

Jeden z reporterów, David Roth, wybrany na rzecznika grupy, wstał i przedstawił się. Wskazał ręką w stronę krzesła u szczytu długiego stołu. Hickey usiadł.

– Czy jest pan Brianem Flynnem, człowiekiem, który nazywa siebie Finnem MacCumaiem? – zapytał Roth.

Hickey rozsiadł się wygodnie na krześle.

– Jestem John Hickey, człowiek, który nazywa siebie Johnem Hickeyem. Oczywiście słyszeliście o mnie, a zanim skończę, będziecie mnie znali całkiem dobrze. – Powiódł wzrokiem po siedzących wzdłuż stołu. – Proszę przedstawić się po kolei.

Roth spojrział na niego z lekkim zaskoczeniem, potem przedstawił się jeszcze raz i wskazał na jednego z reporterów. Wszyscy obecni w pomieszczeniu, włączając w to na żądanie Hickeya także techników, podali swoje nazwiska. Hickey skinął każdemu uprzejmie głową i powiedział:

– Przepraszam, że musieli państwo czekać. Mam nadzieję, że to opóźnienie nie spowodowało opuszczenia sali przez przedstawicieli zainteresowanych rządów.

– Nie będą obecni – odparł Roth.

Hickey przybrał na wpół urażony, na wpół rozczarowany wyraz twarzy.

– Ach, tak... Cóż, przypuszczam, że nie chcą pokazywać się publicznie z kimś takim jak ja. – Uśmiechnął się promiennie. – Prawdę mówiąc, ja także nie chcę się z nimi zadawać. – Zaśmiał się znów, wyciągnął fajkę i zapalił ją. – W takim razie zaczynajmy.

Roth dał znak technikowi, który włączył reflektory. Inny technik dokonał odczytu natężenia światła w pobliżu twarzy Hickeya, podczas gdy jakaś kobieta zbliżyła się do niego z zestawem do charakteryzacji. Hickey odsunął ją łagodnie i kobieta wycofała się pospiesznie.

– Czy chciałby pan, by audycja miała jakiś określony kształt? – zapytał Roth.

– Tak. Ja mówię, a wy słuchacie. Jeżeli będziecie słuchać bez przysypiania i dłubania w nosie, to potem będę odpowiadać na pytania.

Paru reporterów się roześmiało. Technicy ukończyli dostrajanie sprzętu i jeden zakrzyknął:

– Panie Hickey, czy zechciałby pan coś powiedzieć, abyśmy mogli wyregulować głośność?

– Głośność? W porządku. Zaśpiewam wam zwrotkę z „Człowieka za drutami”, a kiedy skończę, włączajcie kamery. Jestem dziś bardzo zajęty. – Zaczął śpiewać niskim, ochryłym głosem.

– Dziękuję panu.

Zapaliły się światełka na kamerach i ktoś zawołał:

– Początek emisji!

Roth spojrział do kamery.

– Dobry wieczór. Tu David Roth prowadzący transmisję na żywo, jak mogą państwo zauważyć, z sali konferencyjnej katedry Świętego Patryka. W niewielkiej odległości od miejsca, w którym się znajdujemy, nieznana liczba bojowników IRA...

– Fenian! – wrzasnął Hickey.

– Tak... fenian... opanowała katedrę i wzięła czworo zakładników: kardynała...

– Oni o tym wiedzą! – zawołał Hickey.

Roth wyglądał na rozzłoszczonego.

– Tak... i jest dziś wieczór z nami pan John Hickey, jeden z... fenian...

– Kamera na mnie, Jerry – powiedział Hickey. – Tutaj... tak, teraz jest dobrze.

Hickey uśmiechnął się do kamery i rozpoczął:

– Dobry wieczór i udanego Dnia Świętego Patryka. Jestem John Hickey, poeta, uczonek, żołnierz i patriota. – Poprawił się na krześle. – Urodziłem się w roku tysiąc dziewięćset piątym, czy coś koło tego, jako syn Thomasa i Mary Hickeyów w małej wiosce nieopodal Clonakilty w hrabstwie Cork. W roku tysiąc dziewięćset szesnastym będąc tycim chłopaczkiem, służyłem mojemu krajowi jako goniec w Irlandzkiej Armii Republikańskiej. W poniedziałek wielkanocny tysiąc dziewięćset szesnastego roku znalazłem się w oblężonym budynku Poczty Głównej w Dublinie wraz z poetą Padraicem Pearse'em, przywódcą związkowym Jamesem Connallym oraz ich ludźmi, wśród nich był także mój świętej pamięci ojciec, Thomas. Otaczali nas irlandzcy fizylierzy i irlandzcy strzelcy, pachołkowie armii brytyjskiej. – Hickey zapalił fajkę, jednak nie spiesząc się z tym zbyt, i podjął opowieść. – Padraic Pearse odczytał proklamację ze stopni budynku poczty i jego słowa do tej chwili dźwięczą w mych uszach. – Odchrząknął i patetycznym tonem zacytował: – „Irlandczycy, w imieniu Boga i wszystkich minionych pokoleń, składających się na jej starożytną tradycję państwowości, Irlandia naszymi ustami wzywa wszystkie swe dzieci pod jej sztandar i rozpoczyna walkę o wolność.”

Hickey mówił dalej, przędąc opowieść będącą mieszanką historii i wyobraźni, faktów i osobistych uprzedzeń, umieszczając siebie pośród uczestników niektórych słynniejszych wydarzeń dziesięcioleci po powstaniu wielkanocnym. Większość reporterów pochylała się naprzód w zaciekawieniu. Niektórzy byli zniecierpliwieni, inni oszołomieni. Hickey z niezmaconym spokojem nie zwracał uwagi ani na nich, ani na kamery czy reflektory. Od czasu do czasu wspominał o katedrze, by podtrzymać zainteresowanie widowni, potem ciągnął długą tyradę skierowaną przeciw rządowi brytyjskiemu i amerykańskiemu lub też przeciw rządowi podzielonej Irlandii, zawsze pamiętając, by nie wspominać o ofiarach mieszkańców tych krajów. Mówił o swoich cierpieniach i ranach, o swoim umęczonym ojcu, zabitych przyjaciółach, straconej miłości. Rozpromieniał się, gdy przechodził do opisywania swoich rewolucyjnych triumfów, a chmurzył, gdy wspominał o ponurej przyszłości podzielonej Irlandii. Wreszcie ziewnął i poprosił o szklankę wody. Roth wykorzystał tę okazję, by zapytać:

– Czy może nam pan dokładniej wyjaśnić, w jaki sposób opanowaliście katedrę? Jakie są wasze żądania? Czy zabilibyście zakładników i zniszczyli katedrę, gdyby...

Hickey uniósł dłoń.

– Jeszcze do tego nie doszedłem, chłopcze. Na czym to ja skończyłem? A, tak. Tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty szósty. W tym roku IRA operując z Południa, rozpoczęła kampanię wymierzoną przeciw sześciu okupowanym przez Brytyjczyków hrabstwom Północy. Prowadziłem pluton mężczyzn i kobiet w okolicy lasu Doon, gdzie wpadliśmy w zasadzkę przygotowaną przez pułk brytyjskich spadochroniarzy wspieranych przez morderców z RUC...

Langley obserwował go z kąta, potem rozejrzał się po twarzach przedstawicieli mass mediów. Wyglądali na niezadowolonych, ale Langley podejrzewał, że z widownią Hickey radzi sobie lepiej niż z nimi. Jego styl narracji był prosty i przekonujący, była w nim prostota, chwilami szorstkość – od dawna nie oglądane na ekranach telewizyjnych. John Hickey, goszczący teraz w pięćdziesięciu milionach amerykańskich domów, stawał się ludowym bohaterem.

Flynn stał przy ołtarzu, spoglądając na ustawiony na nim telewizor. Maureen, ojciec Murphy i Baxter siedzieli w stallach. Kardynał patrzył z wysokości swego tronu, splatając kurczowo palce.

– Gadatliwy dziadek, nie? – odezwał się Flynn.

– Dlaczego sam nie poszedłeś, Brian? – zapytała Maureen.

Flynn spojrzał na nią, ale nic nie odpowiedział. Maureen pochyliła się do ojca Murphy'ego i rzekła:

– Prawdę mówiąc, Hickey wygląda na przekonującego mówcę. – Przerwała na moment w zamyśleniu. – Żałuję, że nie było sposobu uzyskania podobnego dostępu do ludzi bez robienia tego, co oni uczynili.

– Przynajmniej daje upust frustracjom wielu Irlandczyków, prawda? – dodał ojciec Murphy, nie odrywając wzroku od ekranu.

Baxter posłał im ostre spojrzenie.

– On nie daje upustu niczym frustracjom, ale podgrzewa dawno ostygłe emocje. I, jak mi się wydaje, mocno upiększa i przekręca fakty, zgodzicie się chyba? – Nikt nie odpowiedział, więc mówił dalej: – Na przykład, gdyby wpadł w zasadzkę całego pułku brytyjskich spadochroniarzy, nie mógłby teraz o tym opowiadać...

– Nie w tym rzecz – przerwała Maureen.

Flynn usłyszał tę wymianę zdań i spojrzał na Baxtera.

– Harry, wyłazi teraz twój szowinizm. Niech żyje Wielka Brytania! Brytania rządzi Irlandczykami. Irlandia, najbliższa placówka imperium, której przeznaczeniem jest być także i ostatnią.

– Ten człowiek to cholerny demagog i szarlatan – stwierdził Baxter.

Flynn się roześmiał.

– Nie, to Irlandczyk. My tolerujemy czasem poetyckie przedstawianie znanych faktów. Ale posłuchaj tego człowieka, Harry, być może czegoś się nauczysz.

Baxter popatrzył na otaczające go osoby: Maureen, Murphy’ego, Flynn, pozostałych fenian... nawet na kardynała. Pierwszy raz pojął, jak mało rozumiał do tej pory.

Megan Fitzgerald weszła do prezbiterium i spojrzała na ekran.

– Cholerny stary głupiec. Swoim pieprzeniem robi z nas pośmiewisko. – Odwróciła się do Flynn. – Po jaką cholerę go tam posłałeś?

– Niech staruszek ma swój wielki dzień, Megan. Zasluguje na to po prawie siedemdziesięciu latach wojny. Być może jest najstarszym nieprzerwanie walczącym żołnierzem świata. – Uśmiechnął się pojednawczo. – Ma wiele do opowiadania.

– Miał im powiedzieć, że Brytyjczycy stanowią jedyną przeszkodę na drodze do wynegocjowania porozumienia. – W głosie Megan brzmiało zniecierpliwienie. – Mój brat gnije w Long Kesh i chciałabym, by był wolny przed świtem.

Maureen podniosła na nią wzrok.

– A ja myślałam, że jesteś tu tylko ze względu na Briana.

Megan okręciła się na pięcie.

– Zamknij swój cholerny pysk!

Maureen się poderwała, lecz ojciec Murphy powstrzymał ją. Flynn nie powiedział nic, a Megan odwróciła się i odeszła.

Głos Hickeya grzmiał z telewizora. Kardynał siedział w bezruchu, wpatrując się w jakiś punkt przed sobą. Baxter odwrócił głowę, próbując nie słuchać głosu Hickeya i skupić się na planie ucieczki. Ojciec Murphy i Maureen wpatrywali się w napięciu w ekran. Flynn także patrzył w tym kierunku, ale myślami, tak jak Baxter, był gdzie indziej.

John Hickey wyciągnął piersiówkę i nalał do swej szklanki ciemny płyn, potem spojrzał do kamery.

– Proszę mi wybaczyć. Lekarstwo na serce. – Wypił i westchnął: – Teraz lepiej. A więc na czym stanąłem? Racja, tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty trzeci... – Zamachał rękoma. – Och, dość już tego! Posłuchajcie mnie wszyscy. Nie chcemy skrzywdzić nikogo z obecnych w katedrze. Nie chcemy skrzywdzić księcia Kościoła katolickiego, świętego człowieka, dobrego człowieka, ani jego księdza, ojca Murphy’ego... uroczego człowieka... – Pochylił się do przodu i splótł dłonie. – Nie chcemy zniszczyć ani jednego ołtarza czy posągu w tym wspaniałym domu bożym, tak ukochanym przez Amerykanów, nowojorczyków. Nie jesteśmy przecież barbarzyńcami ani poganami. – Wyciągnął ręce w błagalnym geście. – Posłuchajcie mnie więc – rzekł zdławionym głosem, łzy napłynęły mu do oczu. – Pragnę jedynie, by ludziom marnującym swe młode życie w brytyjskich obozach koncentracyjnych dano jeszcze jedną szansę. Nie prosimy o nic niemożliwego, nie stawiamy żadnych nieodpowiedzialnych żądań. Nie, my jedynie prosimy, błagamy, błagamy w imię Boga i człowieczeństwa o zwolnienie synów i córek Irlandii z mroków i poniżenia tych ohydnych lochów. – Wypił łyk

wody i spojrzał w kamerę twardym wzrokiem. – A kto uczynił swe uszy głuchymi na nasze prośby? – Uderzył dłonią w stół. – Kto nie chce uwolnić naszych rodaków? Kto swoją nieustępliwą polityką wystawia na niebezpieczeństwo życie ludzi w tej wielkiej katedrze? – Uderzył w stół obiema pięściami. – Cholerni, pieprzeni Brytyjczycy, oto kto!

Burke opierał się o ścianę w biurze prałata i spoglądał na ekran. Schroeder siedział przy biurku, a Spiegel powróciła na swój fotel na biegunach. Bellini spacerował przed telewizorem, przesłaniając wszystkim widok, ale nikt nie protestował. Burke podszedł do podwójnych drzwi, otworzył je i zajrzał do zewnętrznego pomieszczenia. Człowiek z wydziału bezpieczeństwa Departamentu Stanu, Arnold Sheridan, stał przy oknie w głębokim zamyśleniu. Od czasu do czasu popatrywał na przedstawicieli Brytyjczyków i Irlandczyków. Burke odnosił wrażenie, że Sheridan jest gotów przekazać im nieprzyjemne wiadomości z Waszyngtonu mówiące, że Hickey uzyskuje coraz większą przewagę i że czas podjąć rozmowy. Wrócił do wewnętrznego biura i spojrzał na ekran.

– Wielu z was może kwestionować zasadność zajęcia przez nas domu bożego. – W głosie Hickeya pobrzmiwało zdławione uczucie. – Zapewniam was, że była to najtrudniejsza decyzja, jaką przyszło nam kiedykolwiek podjąć. Ale my nie tyle zajęliśmy katedrę, ile raczej schroniliśmy się w niej, skorzystaliśmy ze starodawnego prawa azylu. W jakimż innym miejscu łatwiej jest stanąć i prosić Boga o pomoc? – Przerwał, jak gdyby zmagając się z jakąś decyzją, a potem powiedział łagodnie: – Dzisiejszego popołudnia wielu Amerykanów po raz pierwszy ujrzano plugawe oblicze religijnego fanatyzmu uprawianego przez „pomarańczowych” z Ulsteru. Tu właśnie, na ulicach najbardziej ekumenicznego miasta świata, ohyda religijnej nietolerancji i prześladowania ukazały się z całą jaskrawością. Pieśni śpiewane przez tych fanatyków były pieśniami, których małe dzieci uczą się w szkole, w domu i w kościele... – Wyprostował się z wyrazem niesmaku na twarzy, który szybko przekształcił się w smutek starego człowieka. Powoli potrząsnął głową.

Schroeder odwrócił wzrok od telewizora i zapytał Burke’a:

– Jakie są najświeższe informacje o tych „pomarańczowych”?

– Nadal twierdzą, że są protestanckimi lojalistami z Ulsteru – odpowiedział Burke, wciąż wpatrując się w ekran – i prawdopodobnie będą to powtarzać co najmniej do świtu. Ale według naszych oficerów śledczych wszyscy mówią z akcentem charakterystycznym dla Irlandczyków z Bostonu. Prawdopodobnie „tymczasowi” z IRA zwerbowani specjalnie na tę akcję.

Biorąc pod uwagę okoliczności zewnętrzne tej operacji, pomyślał Burke, przygotowanie psychologiczne, relacje w mass mediach, przygotowania taktyczne, manewry polityczne i informacje zebrane w ostatniej chwili, wydaje się jasne, że Flynn nie przesunie terminu i nie zaryzykuje obrócenia się opinii publicznej przeciw niemu.

– Dopuszczenie Hickeya do telewizji było taktyczną wpadką – stwierdziła Spiegel.

– Co innego mogliśmy zrobić? – zapytał pokornie Schroeder.

– A może go zwinę? – wtrącił Bellini. – Potem wykorzystalibyśmy go w negocjacjach o zakładników.

– Świetny pomysł – odparł Schroeder. – A może stukniesz go teraz, zanim zrobią przerwę na reklamę?

Burke spojrział na zegarek. Dziesiąta dwadzieścia pięć. Noc upływała tak szybko, że świt nadejdzie, zanim ktokolwiek zorientuje się, że jest już za późno.

Hickey rozejrzał się po sali konferencyjnej. Zauważył zniknięcie Langleya. Pochylił się w przód i polecił kamerzyście:

– Zrób zbliżenie, Jerry. – Popatrzył na monitor. – Jeszcze. Teraz dobrze. Tak trzymaj. – Spojrzał do kamery i powiedział niskim tonem, przywodzącym na myśl nieodwołalność wyroków przeznaczenia: – Panie i panowie Amerykanie i wszystkie jeszcze nie narodzone pokolenia, które kiedyś wysłuchiwać będą moich słów, policja i wojsko przewyższa nas liczebnie dwa tysiące do jednego, jesteście obłączeni i odizolowani przez naszych wrogów, zdradzeni przez polityków i dyplomatów, kompromitowani i dyskredytowani przez tajnych agentów i cenzurowani przez światową prasę... – Położył dłoń na sercu. – Ale my się nie boimy, gdyż wiemy, że na zewnątrz mamy przyjaciół życzących nam pomyślności i powodzenia w wypełnianiu naszej misji. I są też mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy, we wszystkich piekielnych lochach Anglii i Północnej Irlandii, którzy modlą się dziś wieczór na kolanach o swe uwolnienie. Jutro, jeśli Bóg pozwoli, otworzą się bramy Long Kesh, mężowie obejmą żony, dzieci płakać będą wspólnie ze swymi rodzicami, bracia i siostry zjednoczą się na powrót... – Z oczu Hickeya ponownie popłynęły obfite łzy. Wyciągnął wielką, kolorową chustkę i wydmuchał nos, a potem kontynuował: – Jeżeli nie osiągniemy dla nich niczego tej nocy, uświadomimy przynajmniej światu ich istnienie. A jeśli zginiemy i inni zginą razem z nami, i jeżeli ta wspaniała katedra, w której teraz się znajduję, o świecie zmieni się w dymiące ruiny, stanie się to tylko dlatego, że ludzie dobrej woli nie zdołali zatriumfować nad represyjnymi, nieludzkimi siłami ciemności. – Odetchnął głęboko i dokończył: – Zanim się spotkamy w szczęśliwszym miejscu... niech Bóg wam wszystkim błogosławi. Niech Bóg błogosławi Amerykę i Irlandię, a także niech błogosławi i naszym wrogom, którym oby zechciał ukazać światło. Erin go bragh.

David Roth odchrząknął i rzekł:

– Panie Hickey, chcielibyśmy, by odpowiedział pan na kilka szczegółowych pytań...

Hickey podniósł się gwałtownie, ponownie wydmuchał nos i wyszedł z zasięgu kamery.

Powrócił inspektor Langley, otworzył drzwi i Hickey szybko opuścił salę. Langley i jego trzech ludzie poszli za nim. Langley zrównał się z Hickeyem i odezwał się:

– Widzę, że wie pan, kiedy skończyć.

Hickey schował chustkę.

– Och, nie byłem w stanie mówić dłużej, chłopcze.

– Taak. Niech pan posłucha, przedstawiliście swoje posłanie. Jesteście górą. Dlaczego nie wyjdziecie stamtąd i nie dacie wszystkim odetchnąć z ulgą?

Hickey zatrzymał się przed windą. Jego zachowanie i głos stały się nagle bardziej rzeczowe.

– A po jaką cholereę mielibyśmy to zrobić?

Langley odprawił swoich ludzi. Wyciągnął z kieszeni notes i rzucił na niego okiem.

– W porządku, panie Hickey, proszę słuchać uważnie. Zostałem przed chwilą upoważniony przez przedstawicieli rządów amerykańskiego i brytyjskiego do poinformowania pana, że jeżeli opuścicie teraz katedrę, Brytyjczycy rozpoczną procedurę zwalniania, bez rozgłosu i partiami, większości osób z waszych list, po zaakceptowaniu przez nich wymagań zwolnienia warunkowego...

– Większości? Jakimi partiami? Co za zwolnienia warunkowe?

Langley podniósł spojrzenie znad notesu.

– Nie wiem nic więcej ponad to, co panu mówię. Właśnie dostałem to przez telefon. Jestem jedynie gliną. I tylko nam wolno rozmawiać z waszymi ludźmi. Zgadza się? A więc to jest nieco trudne, ale proszę po prostu posłuchać i...

– Alfons.

– Co? – Langley spojrzał na niego szybko.

– Alfons. Robi pan za alfonsa u polityków, którzy nie chcą złożyć propozycji bezpośrednio nam, dziwkom.

Langley się zaczerwienił.

– Posłuchaj... posłuchaj, ty...

– Weź się w garść, chłopie. Spokojnie.

Langley wziął głęboki oddech i kontynuował już opanowanym głosem:

– Brytyjczycy nie mogą zwolnić ich wszystkich naraz. Nie w sytuacji, gdy przystawiacie im pistolet do skroni. Ale to będzie zrobione. A ponadto prokuratorzy generalni stanu i prokurator federalny zgodzili się, że będziecie mogli wpłacić niedużą kaucję i pozostać na wolności w oczekiwaniu procesu. Rozumie pan, co to oznacza?

– Nie, nie rozumiem.

Langley wyglądał na poirytowanego.

– Oznacza to, że będziecie mogli olać kaucję i wynieść się z tego kraju.

– Aha. Brzmi nieuczciwie.

Langley zignorował tę uwagę i powiedział:

– Nikt jeszcze nie został zabity, to jest najważniejsze. Daje nam to duże pole do manewru w układach z wami...

– To taka wielka różnica, nie? Popelniliśmy już z tuzin przestępstw, wystraszyliśmy pół miasta, zrobiliśmy z was durniów, wywołaliśmy zamieszki, naraziliśmy na straty rządu milionów dolarów, popsuliśmy paradę, a komisarz Dwyer wykorkował na atak serca, lecz wy jesteście skłonni odkreślić to grubą kreską, mrugnąć porozumiewawczo i pognać nas niczym dobry gliniarz, który trafił przypadkiem na nielegalnego pokerka w bocznej alejce? Interesujące. To wiele mówi o tym społeczeństwie.

Langley wziął kolejny głęboki oddech i odparł:

– Nie złożę tej propozycji jeszcze raz, z oczywistych względów nikt nie wspomni o niej przez telefon. A więc to by było tyle. – Zatrzasnął energicznie notes. – To uczciwy kompromis. Decyzja należy do was.

Hickey wduśił przycisk windy.

– Nie wyglądalibyśmy najlepiej, gdybyśmy na to przystali – powiedział do Langleya. – Wy wszakże wyszlibyście na tym bardzo dobrze. Schroeder miałby zarezerwowane występy w telewizji przez cały rok. Lecz my nie mielibyśmy tak łatwego dostępu do środków przekazu. Ludzie zapamiętaliby jedynie fenian wychodzących z podniesionymi rękami przez frontowe drzwi Świętego Patryka. Chętnie byśmy to uczynili, gdyby przedtem opróżniono obozy. Wtedy nikt nie byłby w stanie ukryć lub ukraść naszego sukcesu dyplomatycznym czy dziennikarskim bełkotem.

– Bylibyście żywi, na miłość boską!

– Czy rozkopaliście już mój grób?

– Niech mi pan nie wciska tego kitu rodem z historyjek o duchach.

Hickey się roześmiał. Langley rzekł mechanicznie, chcąc przekazać ostatnie kilka zdań, które kazano mu powiedzieć:

– Proszę użyć swej siły perswazji i swego autorytetu wielkiego irlandzkiego przywódcy republikańskiego, by przekonać ludzi w katedrze. Nie niszczone tego, co już osiągnęliście. – Zawahał się i dodał własne przemyślenia: – Dziś wieczorem wprawiliście w podziw pół Ameryki. Zatrzymajcie się, skoro jeszcze prowadzicie.

– Dziś po południu obstawiałem konia na Akwedukcie, który zatrzymał się, gdy prowadził... Ale przekażę waszą szczodłą ofertę panu Flynnowi i fenianom i damy wam znać. Jeżeli o niej nie wspomnimy, możecie przyjąć, że obstajemy twardo przy naszych żądaniach. Hickey wszedł do windy.

– Do zobaczenia później, jeśli Bóg pozwoli. – Przycisnął guzik i gdy drzwi zasuwwały się, krzyknął: – Niech pan zatrzyma dla mnie listy od moich fanów, inspektorze!

Flynn stał przed dębowymi drzwiami windy z karabinem M-16 wymierzonym w ich kierunku. George Sullivan czekał z boku, nasłuchując. Winda zatrzymała się i Sullivan usłyszał ciche stukanie, trzy długie uderzenia i dwa krótkie. Odpowiedział w ten sam sposób, a potem rozbroił minę i otworzył drzwi.

Hickey wyszedł na korytarz. Flynn opuścił karabin o pół sekundy za późno, ale nikt nie zdawał się tego zauważyć. Sullivan wyciągnął rękę.

– Kapitalny pokaz, John. Rechotałem i zalewałem się łzami jednocześnie.

Hickey uśmiechnął się, ujmując jego dłoń.

– Ach, mój chłopcze, to było jak spełnione marzenie. – Spojrzał na Flynną. – Ty byś to zrobił jeszcze lepiej.

Flynn odwrócił się i wszedł do ambitu. Hickey podążył za nim.

– Czy ktoś z tobą rozmawiał? – zapytał Flynn.

Hickey zatrzymał się dopiero przy organach w prezbiterium.

– Jeden gościu, ten inspektor Langley. Zaoferował nam możliwość kapitulacji. Obiecał niską kaucję, zagranie w takim stylu.

– Czy Brytyjczycy przekazali jakąś informację, sygnał, że są gotowi pójść na kompromis?

– Brytyjczycy? Kompromis? Oni nawet nie negocjują. – Usiadł przy klawiaturze i włączył organy.

– Nic ci nie przekazali przez nikogo?

– Nic od nich nie usłyszysz. – Spojrzał na Flynną. – Musisz zagrać teraz na dzwonach, Brian, dopóki uwaga wszystkich zwrócona jest na nas. Zaczniemy od, powiedzmy, „Danny Boy”, a potem zagramy parę ulubionych kawałków tutejszych Irlandczyków, by ucieszyć naszych wyborców. Ja poprowadzę, a ty dostosuj się do mojego rytmu. Idź już.

Flynn zawahał się, lecz ruszył w kierunku nawy głównej. Hickey zaczął grać „Danny Boy” w wolnym, miarowym rytmie, wyznaczając tempo dla dzwonów.

Czwórka zakładników przyglądała się Flynnowi i Hickeyowi, a potem odwróciła się z powrotem do telewizora. Reporterzy w sali konferencyjnej katedry omawiali przemówienie Hickeya.

– Nie wydaje mi się, byśmy byli choć trochę bliżej wolności – rzekł Baxter.

– Tak sobie myślę... – odparł ojciec Murphy. – Czy nie uważa pan, że po tym Brytyjczycy... to znaczy...

– Nie, nie uważam – odparł ostro Baxter i zerknął na zegarek. – Trzydzieści minut i ruszamy.

Maureen spojrzała na niego, potem przeniosła wzrok na ojca Murphy’ego.

– Panu Baxterowi chodzi o to – powiedziała – że bardzo prawdopodobne jest, iż po wystąpieniu Hickeya rozważy się możliwość wyjścia naprzeciw żądaniom fenian, lecz pan Baxter zdecydował, że nie chce być przyczyną jakiegokolwiek kompromisu.

Twarz Baxtera poczerwieniała.

– I to jest w porządku – kontynuowała Maureen. – Ja czuję podobnie. Nie chcę, by oni używali mnie jak kawałka mięsa wymienianego na to, czego pożądamy. – Cichszym głosem dodała: – Dość długo byłam przez nich w ten sposób wykorzystywana.

Murphy spojrzał na nich.

– Cóż... dla was dwojga to wystarczający powód, ale ja nie mogę stąd odejść. To samo dotyczy Jego Eminencji. – Skinął głową w stronę kardynała, który siedział na swym tronie i spoglądał na nich. – Sądzę, że powinniśmy wszyscy poczekać... – dodał.

Maureen także zerknęła na kardynała i z jego twarzy odczytała, że on również zmagają się z tym samym problemem. Zwróciła się do ojca Murphy'ego:

– Nawet jeżeli przemówienie Hickeya skłoniło ludzi z zewnątrz do pójścia na kompromis, nie znaczy to, że sam Hickey dąży do kompromisu, prawda? – Pochyliła się do przodu. – To zdradziecki człowiek. Jeśli nadal wierzy ojciec, że Hickey jest zły i zamierza zniszczyć nas, zniszczyć siebie, fenian i ten kościół, to musimy spróbować wydostać się stąd. – Utkwiła wzrok w oczach Murphy'ego. – Wierzy w to ojciec?

Murphy spojrzał na ekran. Odtwarzano właśnie fragment wystąpienia Hickeya. Dźwięk był ściszony i głos Hickeya ginął w grzmocie organów. Murphy przypatrywał się poruszającym się ustom, łzom płynącym po twarzy Hickeya. Popatrzył w jego zwężone oczy. Bez hipnotyzującego głosu te oczy go zdradzały. Ojciec Murphy spojrzał ponad balustradę na Hickeya, grającego na organach i oglądającego siebie samego w telewizji. Hickey uśmiechał się do swojego wizerunku, potem odwrócił się do ojca Murphy'ego i obdarzył go groteskowym uśmiechem. Ksiądz obrócił się szybko do Maureen i skinął głową.

Baxter spojrzał w stronę tronu kardynała, a kardynał kiwnął w odpowiedzi głową. Baxter zerknął na swój zegarek.

– Ruszamy za dwadzieścia siedem minut.

Flynn wjechał windą do sali prób i przeszedł na chór. Stał za plecami Leary'ego, który opierał się o parapet, obserwując zakładników przez lunetę swego karabinu.

– Coś nowego? – zapytał Flynn.

Leary nie przerywał obserwacji czworga ludzi w prezbiterium. Pewnego dnia przed laty uświadomił sobie, że potrafi nie tylko przewidywać posunięcia ludzi i czytać z ich twarzy, lecz także czytać z ich ust.

– Kilka słów – odpowiedział. – Niezbyt wyraźnie. Trudno dostrzec ich usta.

– No i? Chcą czy nie chcą? – naciskał Flynn.

– Chcą.

– Jak? Kiedy?

– Nie wiem. Wkrótce.

Flynn skinął głową.

– Najpierw strzały ostrzegawcze, potem mierz w nogi. Jasne?

– Pewnie.

Flynn postawił telefon polowy na parapecie i połączył się z Mullinsem w dzwonnicy.

– Donald, odsuń się od dzwonów.

Mullins przewiesił karabin przez ramię i założył na głowę specjalne nauszники. Podniósł telefon polowy i w pośpiechu zszedł po drabinie w dół.

Obok konsoli organowej znajdowała się mała klawiatura i Flynn włączył dziewiętnaście klawiszy sterujących dzwonami. Stał za sięgającą do pasa klawiaturą i przewrócił stronę w zeszytach z nutami stojącym na pulpicie, a potem położył ręce na wielkich klawiszach i przyłączył się do melodii organów w prezbiterium.

Największy dzwon, noszący imię świętego Patryka, zagrał dudniące b-moll i dźwięk przewalił się przez dzwonnice, niemalże zwalając Mullinsa z nóg. Jeden za drugim dziewiętnaście potężnych dzwonów zaczęło wybijać swoje kuranty, zaczynając od pomieszczenia, w którym miał uprzednio swe stanowisko Mullins, i sięgając coraz wyżej aż do samego prawie szczytu wieży dwadzieścia jeden pięter nad poziomem ulicy.

Na poddaszu kubek z kawą stoczył się z pomostu. Arthur Nulty i Jean Kearney zasłonili uszy i pospiesznie przenieśli się do części katedry sąsiadującej z Madison Avenue. Na chórze i na galeriach triforyjnych dźwięk dzwonów niósł się przez kamienną konstrukcję i rozbrzmiewał na piętrach. W południowej wieży Rory Devane wsłuchał się w rytmiczne brzmienie dzwonów z przeciwległej iglicy. Przyglądał się powolnemu zwalnianiu tempa krzątający na dachach i zamieraniu ruchu na ulicach. W chłodnym zimowym powietrzu powolny, miarowy dźwięk „Danny Boy” niósł się mrocznymi kanionami Manhattanu. Tłumy wzdłuż policyjnych barykad zaczęły wiwatować, unosić ku górze butelki i szklanki, wreszcie śpiewać. Coraz więcej ludzi wylegało z budynków na aleje i poprzeczne ulice.

Transmisja telewizyjna natychmiast przeniosła się z sali konferencyjnej katedry na dachy Centrum Rockefellera. W barach i prywatnych domach Nowego Jorku i całego kraju obrazy skąpanej w błękitnym świetle katedry widzianej z Centrum Rockefellera rozbrzmiały na ekranach. Jedna z kamer ujęła w zbliżeniu zieloną flagę ze złotą harfą, którą Mullins rozpiął w strzaskanym oknie wieży. Brzmienie dzwonów, wzmocnione przez telewizyjny sprzęt nagłaśniający, wraz z tym widokiem transmitowane było na cały kontynent. Programy satelitarne przechwyciły sygnał i posłały go w świat.

Rory Devane załadował raketnicę, wystawił ją przez jedno z rozbitych okien i wystrzelił. Pocisk pomknął po łuku w górę, eksplodował zielonym błyskiem i podryfował na spadochronie, tańcząc na wietrze niczym wahadło, rzucając nieziemską, zieloną poświatę na budynki i ulice. Devane przeszedł do rzędu okien wychodzących na wschodnią stronę i wystrzelił ponownie. Potem rodzaj pocisków zmienił się z oświetlających na sygnalizacyjne, następnie niebo pokryły gwiazdziste eksplozje, czerwone, białe, błękitne, po nich zielone, pomarańczowe i białe – symbolizujące trójkolorową flagę Irlandii. Tłumy reagowały tak, jak należało się spodziewać. Melodyjne dźwięki „Danny Boy” niosły się z dzwonnicy i za

pomocą fal radiowych rozbrzmiewały z telewizorów i przenośnych radioodbiorników. I wreszcie reporterzy wszystkich stacji, po niezwykajnie długim milczeniu, dodawać zaczęli swoje komentarze, których transmitowany widok wcale nie potrzebował.

Hickey trzeci raz zaczął od początku „Danny Boy”, nie chcąc rozpraszać czaru, jaki ta słodko-gorzka pieśń rzuciła na zbiorową psychikę całego świata. Śmiał się pełną piersią, podczas gdy łzy toczyły się po jego pobrużdżonych policzkach.

W rezydencji kardynalskiej i na plebanii jedynym słyszalnym dźwiękiem była melodia dzwonów, niosąca się przez dziedziniec i rozbrzmiewająca z tuzina telewizorów ustawionych w pokojach pełnych ludzi. Burke stał w wewnętrznym biurze prałata, gdzie zebrała się pierwotna „przestraszona dwunastka”, zasilona teraz dodatkowymi ludźmi, których Burke nazwał w myślach „ponurymi pomocnikami”. Schroeder stał na boku z Langleyem i Robertą Spiegel, która, jak zauważył Burke, nie opuszczała inspektora. Langley, wpatrując się w ekran, powiedział:

– Gdyby w dniu kapitulacji Japonii istniała telewizja, pewnie tak by to wyglądało.

Burke uśmiechnął się wbrew sobie.

– Dobre planowanie. Dobre widowisko... fajerwerki... wszystko udawane, ale, Chryste, za każdym razem osiągają, co chcą.

– I mów tu o przewadze psychologicznej – dodała Spiegel.

Major Martin stał w głębi pomieszczenia pomiędzy Krugerem i Hoganem. Utrzymując prostą postawę i patrząc nieruchomo przed siebie, powiedział cicho:

– Nie docenialiśmy gotowości Irlandczyków do robienia z siebie publicznego widowiska. Dlaczego nie cierpią w milczeniu jak cywilizowani ludzie?

Dwaj agenci bez słowa popatrzyli na siebie za plecami Martina. Major zerknął szybko na boki. Wiedział, że jest w opałach. Odezwał się lekkim tonem:

– Cóż, chyba będę musiał to odkręcić albo też, zgodnie ze starą irlandzką tradycją, sami to odkręca.

Baxter nie musiał sprawdzać swojego zegarka, bez tego wiedział, że nadszedł czas. Tak naprawdę, pomyślał, powinni byli ruszyć wcześniej, przed dzwonami i fajerwerkami, przed przemówieniem Hickeya, zanim fenianie przekształcili się z terrorystów w bojowników o wolność. Ogarnął katedrę długim spojrzeniem, potem zerknął na telewizor. Obraz z najwyższego budynku Centrum Rockefellera ukazywał świątynię przypominającą kształtem krzyż i błękitnie oświetloną. W górnym lewym rogu widniała plebania, w prawym rogu rezydencja kardynała. Za pięć minut, być może, siedzieć będzie w jednym z tych miejsc, popijając herbatę i opowiadając swoją historię. Miał nadzieję, że Maureen, ksiądz i kardynał będą razem z nim. Lecz nawet jeżeli jedno z nich lub wszyscy zginą, będzie to zwycięstwem, gdyż będzie to również koniec fenian.

Baxter podniósł się z ławki i przeciągnął nonszalancko. Jego nogi drżały, serce waliło jak opętane.

Ojciec Murphy wstał i przeszedł przez prezbiterium. Zamienił cicho kilka słów z kardynałem i spokojnie wszedł za ołtarz, gdzie spojrzął w dół schodów. Pedar Fitzgerald siedział tyłem do drzwi krypty, z thompsonem wycelowanym w dół, ku kracie zakrystii, i nucił coś pod nosem. Ojciec Murphy podniósł głos, przekrzykując organy:

– Panie Fitzgerald!

Pedar szybko podniósł wzrok.

– O co chodzi, ojczu?

Murphy poczuł suchość w gardle. Spojrzął wzdłuż schodów, szukając Baxtera, ale nie zauważył go.

– Ja... ja wysłuchuję teraz spowiedzi – powiedział. – Ktoś panu pomoże, jeżeli też chce pan...

– Nie mam nic do wyznania. Proszę odejść.

Baxter uspokoił drżenie nóg, wziął głęboki oddech i ruszył. Trzema długimi krokami przemierzył odległość dzielącą go od prawego skraju ołtarza i dwoma susami zbiegł po schodach, a huk organów skutecznie zagłuszał odgłos jego kroków. Maureen była tuż za nim.

Ojciec Murphy zobaczył ich wyłaniających się niespodzianie na przeciwległych schodach i uczynił znak krzyża, nad Fitzgeraldem. Chłopak wyczuł zagrożenie i obrócił się na pięcie. Wlepił wzrok w biegnącego ku niemu Baxtera i uniósł swój pistolet maszynowy. Ojciec Murphy usłyszał strzał padający z kierunku chóru i zanurkował po schodach w dół, oglądając się przez ramię w poszukiwaniu kardynała, ale wiedział, że ten nie pójdzie z nimi.

Leary zdążył oddać jeden strzał, lecz jego cele zniknęły, zanim zdążył wyrównać położenie karabinu po pierwszym szarpnięciu. Pozostał jedynie kardynał siedzący nieruchomo na swoim tronie – szkarłatna plama na tle białego marmuru i zielonych goździków. Leary ujrzał, jak Hickey wspina się przez organy i zeskakuje do prezbiterium za plecami kardynała, który podniósł się, blokując mu drogę. Hickey zamachnął się i kardynał upadł na podłogę. Leary ustawił celownik na leżącym na wznak ciele duchownego.

Flynn grał dalej na dzwonach, nie chcąc alarmować ludzi na zewnątrz. W lustrze obserwował prezbiterium.

– To będzie wszystko, panie Leary! – zawołał.

Leary opuścił karabin.

Noga Baxtera wystrzeliła do przodu, uderzając ze wszystkich sił w twarz Fitzgeralda. Trafiony zatoczył się i ojciec Murphy uchwycił od tyłu jego ramiona. Baxter złapał za pistolet maszynowy i szarpnął gwałtownie, ale Fitzgerald stawiał opór.

Organy umilkły, lecz dzwony były dalej i przez sekundę ich dźwięk był jedynym słyszalnym w katedrze, a potem powietrze rozdarła seria z pistoletu maszynowego. Strumień ognia z lufy uderzył w twarz Baxtera, oślepiając go na moment. Odpryski tynku z sufitu

posypały się na schody do zakrystii. Murphy jeszcze raz szarpnął ramiona Hitzgeralda do tyłu, lecz nie potrafił wytrącić mu broni z rąk. Wtedy Maureen zanurkowała zza pleców Baxtera i wbiła palce w oczy Fitzgeralda. Ten wrzasnął i Baxter stwierdził nagle, że trzyma ciężki pistolet. Poderwał kolbę pionowo ku górze, starając się uderzyć Fitzgeralda w krocze lub splot słoneczny, lecz cios ześlizgnął się jedynie po jego żebrach. Baxter zaklął, uniósł broń ponownie i uderzył poziomo w gardło młodego człowieka. Murphy puścił go i Fitzgerald zwalił się na podłogę. Baxter stanął nad nim, wznosząc kolbę do kolejnego ciosu.

– Nie! – wrzasnęła Maureen, szarpiąc Anglika za ramię.

Fitzgerald patrzył na niego, a krew przemieszana z łzami płynęła z jego oczu. Krew buchała też z jego otwartych ust.

Flynn obserwował Hickeya i Megan przebiegających przez prezbiterium. Leary stał przy nim, bawiąc się karabinem i mrużąc coś do siebie. Flynn skierował swoją uwagę z powrotem ku dzwonom.

Do czwórki ludzi na galeriach z trudem docierało to, co wydarzyło się w ciągu ostatnich piętnastu sekund. Wlepiali wzrok w prezbiterium, w rozciągniętego na posadzce kardynała oraz Hickeya i Megan skradających się ostrożnie ku schodom.

Maureen chwyciła thompsona i opanowując nerwy pociągnęła za spust. Ogłuszająca seria wystrzeliła z lufy, trafiając w kłódkę i łańcuch. Murphy i Baxter schylili się, chroniąc się przed rykoszetującymi kulami bijącymi o marmurowe schody i ściany. Baxter usłyszał kroki w prezbiterium.

– Nadchodzą.

Maureen omiotła furtkę drugą długą serią, potem skierowała broń ku schodom po prawej stronie, uchwyciła Hickeya w celownik i strzeliła. Jego ciało zdawało się szarpnąć, a ułamek sekundy później Hickey odskoczył w ukrycie. Maureen obróciła broń w lewo i wycelowała w Megan, która zatrzymała się jak wryta na pierwszym stopniu z pistoletem w dłoni. Maureen zawahała się, a tymczasem Megan zanurkowała w bok i zniknęła.

Baxter i Murphy zbiegli po schodach i zaczęli szarpać za postrzelany łańcuch i kłódkę. Rozgrzany, pokryty zadziorami metal kaleczył im dłonie, ale łańcuch zaczął rozpadać się na kawałki, kłódkę zaś upadła na podłogę. Maureen zeszła tyłem po schodach, trzymając lufę thompsona wymierzoną w drzwi krypty.

Policjanci z bocznych korytarzy krzyczeli w stronę pustej zakrystii.

– Nie strzelać! – wrzasnął do nich Baxter. – Wychodzimy! Nie strzelać! – Zerwał ostatni kawałek łańcucha i kopnął energicznie w drzwi. – Otwierajcie! Otwierajcie!

Ojciec Murphy szarpał gwałtownie za lewe skrzydło bramy, wołając:

– Nie! One się przesuwają...!

Baxter doskoczył do drugiego skrzydła drzwi, próbując wsunąć je po szynie w ścianę, ale oba skrzydła nawet nie drgnęły.

Policjanci w kamizelkach kuloodpornych zaczęli wsuwać się ostrożnie do zakrystii.

Maureen przyklękła na najniższym stopniu, trzymając broń skierowaną na półpiętro.

– Co się dzieje?! – zawołała.

– Zacięły się! Zacięły! – odkrzyknął Baxter.

Murphy puścił nagle kratę i wyprostował się. Chwycił umieszczoną w miejscu zetknięcia się obu części drzwi puszkę z czarnego metalu zaopatrzoną w dziurkę od klucza i potrząsnął nią.

– Zamknęli je! Klucze, oni mają klucze...

Maureen obejrzała się przez ramię w ich kierunku. Zobaczyła, że drzwi mają własny zamek, którego nie trafiła. Baxter krzyknął ostrzegawczo, Maureen okręciła się i ujrzała Hickeya stojącego przed drzwiami krypty nad ciałem Pedara Fitzgeralda. Podniosła broń.

– Możesz mnie zastrzelić, jeśli masz ochotę! – zawołał w dół Hickey. – Ale to nie pomoże wam się stąd wydostać!

– Nie zbliżaj się! – wrzasnęła Maureen. – Ręce do góry!

– Stąd naprawdę nie ma wyjścia. – Hickey powoli podniósł ręce.

– Rzuć mi klucz do bramy!

– Chyba Brian go ma. – Hickey wzruszył ramionami z przesadą i dodał: – Spróbuj odstrzelić zamek. A może wolisz zużyć te parę ostatnich pocisków na mnie?

Maureen zaklęła i stojąc przed bramą zawołała do Baxtera i Murphy'ego:

– Cofnijcie się! – Zobaczyła policjantów w zakrystii. – Wynoście się!

Policjanci w pośpiechu pochowali się po korytarzach. Maureen wycelowała broń w przypominający puszkę zamek łączący skrzydła bramy i oddała krótką serię z bliskiej odległości. Pociski uderzyły w zamek, rozsiewając w około iskry i drzazgi gorącego metalu. Baxter i Murphy trafieni odpryskami krzyczeli z bólu. Kawałek metalu zadrasnął nogę Maureen i dziewczyna odruchowo też krzyknęła. Padł jeden strzał, a potem obrotowy magazynek pocisków kalibru 0.45 zastukał pusto. Murphy i Baxter dopadli krat i pociągnęli. Brama nie drgnęła.

Maureen się okręciła. W połowie schodów ujrzała Hickeya z pistoletem w ręce. Starzec powiedział:

– W dzisiejszych czasach nie robi się równie trwałych rzeczy. Ręce do góry, proszę.

Megan uklękła na półpiętrze obok rannego brata. Skierowała wzrok w dół na Maureen i ich spojrzenia spotkały się na sekundę.

– Ręce na głowę, szybko! – W głosie Hickeya pobrzmiwało zniecierpliwienie.

Ojciec Murphy, Baxter i Maureen stali nieporuszeni.

– Zostańcie w korytarzach albo ich wszystkich zastrzelę! – Hickey zawołał do policjantów. Obrócił się do trójki zakładników. – Idziemy!

Nadal stali nieruchomo.

Hickey wycelował i strzelił. Murphy upadł na podłogę, kiedy pocisk przemknął ze świstem obok jego głowy. Maureen obróciła thompsona, chwytając jego gorącą lufę w obie

ręce, i trzasnęła nim wściekle o marmurowe schody. Odpadła drewniana kolba, magazynek potoczył się w bok. Dziewczyna odrzuciła zniszczoną broń, wyprostowała się i podniosła ręce. Baxter postąpił podobnie. Murphy powstał i splótł ręce na głowie.

Hickey spojrzał na Maureen z aprobatą.

– Już dobrze. Uspokójcie się. O, tak. – Odsunął się, by ich przepuścić.

Maureen weszła na półpiętro i spojrzała na Pedara Fitzgeralda. Jego gardło zaczynało już obrzmiewać i wiedziała, że jeżeli wkrótce nie trafi do szpitala, umrze. Zaczęła przeklinać Baxtera za to, że spieprzył sprawę i doprowadził Fitzgeralda do tak poważnego stanu, ojca Murphy'ego, że zapomniał o zamku przy drzwiach, siebie, że nie zabiła Hickeya ani Megan. Spojrzała na Megan ocierającą z warg swego brata krew, która nieprzerwanym strumieniem wypływała z jego zmiażdżonego gardła.

– Posadź go, bo się udusi – rzekła.

Megan obróciła się powoli i spojrzała na nią. Ściągnęła wargi, obnażając zęby, nagle poderwała się i zatopiła paznokcie w szyi Maureen, krzycząc przy tym wściekle. Baxter i Murphy pospiesznie pokonali pozostałe stopnie i rozdzielili kobiety. Hickey odczekał spokojnie, dopóki walka i wrzaski nie ucichną, i powiedział:

– W porządku. Pomogło wszystkim? Megan, posadź chłopaka. Nic mu nie będzie. – Machnął pistoletem w stronę zakładników. – Idziemy.

Podążyli dalej w górę schodów, a Hickey przez cały czas gawędził przyjaźnie:

– Nie gryźcie się tym za bardzo. Po prostu diabelny pech. Maureen, okropny z ciebie strzelec. Spudłowałaś co najmniej o jard.

– Trafiłam cię! – Okręciła się gwałtownie. – Trafiłam!

Hickey zaśmiał się, dotknął palcem piersi i gdy go cofnął, widniała na nim mała plamka krwi.

– Zgadza się.

Skierowali się ku stallom. Kardynał siedział na swoim tronie. Twarz miał ukrytą w dłoniach. Maureen myślała początkowo, że płacze, lecz potem dostrzegła krew przeciekającą pomiędzy palcami. Ojciec Murphy postąpił krok w stronę kardynała, ale Hickey odepchnął go z powrotem. Baxter spojrzał w górę, ku galeryjkom i chórowi, i ujrzał pięć wymierzonych w nich karabinów. Jak przez mgłę docierał do niego dźwięk dzwonów oraz sygnał telefonu przy organach prezbiterium.

Hickey zawołał do Gallaghery:

– Frank! Zejdź tu zaraz i zajmij miejsce Pedara. – Wepchnął Baxtera w ławkę i powiedział, jakby skarżąc się bliskiemu przyjacielowi: – Wpakowałem się w cholernie ryzykowną operację, Harry. Tracimy człowieka i nie ma kim go zastąpić.

Baxter spojrzał mu prosto w oczy.

– W szkole nauczono mnie, że skrót IRA pochodzi od I ran away³⁶. To cud, że ktokolwiek tu jeszcze został.

– Och, Harry, Harry! – Hickey się roześmiał. – Mam nadzieję, że kiedy to wszystko wyleci w powietrze i znajdą twoje kawałki, faceci z zakładu pogrzebowego umieszczą twój arogancki zadarty nos tam, gdzie miałeś dupę, i na odwrót. – Hickey popchnął Maureen do ławki. – A ty, kiedy niszczyłaś ten pistolet... Zupełnie jakbyś była jakimś starożytnym Celtem, Maureen, łamiącym miecz o skałę przed padnięciem w bitwie. Wspaniale. Ale zaczynasz już być nużąco monotonna. – Przeniósł spojrzenie na Murphy'ego. – A ty, żeby tak pozostawić swojego szefa. Wstyd...

– Idź do diabła – odparł ksiądz.

Hickey skrzywił się z udanym przerażeniem.

– Co, czy słyszeliście to co ja...?

Murphy zadrżał i odwrócił się plecami do Hickeya. Baxter spojrzał na ustawiony na stole telewizor. Relacja przeniosła się ponownie do sali konferencyjnej piętro pod nimi. Reporterzy rozmawiali w podnieceniu. Strzelanina musiała zatrzeć efekt wystąpienia Hickeya i bijących dzwonów. Baxter uśmiechnął się i spojrzał na Hickeya. Zaczął coś mówić, gdy nagle poczuł przenikliwy ból głowy i osunął się w przód. Hickey wyciągnął elastyczną pałkę, wygiął ją kilkakrotnie, a potem obrócił się i chwycił ojca Murphy'ego za ubranie. Uniósł zrobioną z czarnej skóry pałkę i spojrzał księdzu prosto w oczy.

Gallagher wyłonił się z drzwi wiodących na galerię triforyjną i pobiegł ku prezbiterium.

– Nie!

Hickey popatrzył na niego i opuścił pałkę.

– Zakuj ich. – Obrócił się do telewizora i wyciągnął wtyczkę z gniazdka.

Maureen przyklękła przy bezwładnym ciele Baxtera, badając ranę na jego czole.

– Cholerne skurwysyny...

Gallagher chwycił jej nadgarstek i zatrzasnął na nim kajdanki, drugi ich uchwyt zapinając wokół nadgarstka Baxtera. Skuł Murphy'ego i pociągnął go do tronu kardynała. Klękając przesunął kajdanki przez poręcz tronu i delikatnie umieścił je na splamionym krwią nadgarstku kardynała.

– Ochronię Waszą Eminencję – wyszeptał, skłonił głowę i odszedł.

Ojciec Murphy opadł ciężko na najwyższy stopień wysokiego podium. Kardynał zsunął się z tronu i usiadł obok niego. Żaden nie odezwał się ani słowem.

Po schodach wspięła się Megan, niosąc w ramionach swego brata. Stała na środku prezbiterium, rozglądając się tępo dookoła. Krwawy szlak biegł z klatki schodowej do miejsca, w którym stała, tworząc szybko kałużę u jej stóp. Hickey odebrał Pedara od dziewczyny i zaniósł bezwładne ciało do organów. Tam oparł rannego o klawiaturę i okrył go własnym płaszczem.

³⁶ I ran away (ang.) – uciekłem (*przyp. tłum.*).

Gallagher zdjął z ramienia karabin i zszedł na podest przed kryptą. Kilku funkcjonariuszy ostrożnie przyglądało się bramie.

– Wyńście się! Dalej! – zawołał.

Policjanci błyskawicznie się wycofali.

Hickey odebrał telefon. W słuchawce odezwał się nie panujący nad swoim głosem Schroeder.

– Co się stało? Co się stało?

– Zamknij twarz, Schroeder – warknął Hickey. – Zakładnicy żyją. Twoi ludzie wszystko widzieli. Zakładnicy są teraz skuci i nie będzie już więcej prób ucieczki. Koniec rozmowy.

– Chwileczkę! Czy są jacyś ranni? Mogę przysłać lekarza?

– Są w stosunkowo dobrym stanie. Jeżeli cię to wszakże interesuje, jeden z moich chłopców został ranny. Sir Harold Baxter rozwalił mu gardło karabinem. Nie bardzo po dżentelmeńsku.

– Jezu! Przyślę doktora...

– Damy ci znać, jeżeli będziemy go potrzebować. – Spojrzał na Fitzgeralda, którego gardło było teraz groteskowo obrzmiałe. – Potrzebuję lodu. Przyślijcie go przez bramę. I tubę do udrożnienia tchawicy.

– Proszę... pozwólcie mi przysł...

– Nie! – Hickey potarł oczy i zgarbił się.

Czuł olbrzymie zmęczenie i pragnął, by to wszystko skończyło się szybciej, niż było to planowane.

– Panie Hickey...

– Och, zamknij się, Schroeder. Po prostu zamknij się.

– Czy mogę porozmawiać z zakładnikami? Pan Flynn powiedział, że będę mógł z nimi porozmawiać po konfe...

– Utracili prawo do rozmawiania z kimkolwiek, włączając w to siebie samych.

– Czy bardzo ucierpieli?

Hickey spojrział na czworo zmaltretowanych ludzi w prezbiterium.

– Mają cholerne szczęście, że żyją.

– Nie traćcie tego, co zyskaliście – naciskał Schroeder. – Panie Hickey, muszę panu powiedzieć, że macie teraz po swojej stronie bardzo wielu ludzi. Pańskie wystąpienie było... wspaniałe, imponujące. To, co pan powiedział o swych cierpieniach, o cierpieniach Irlandczyków...

– Tak, tradycyjny irlandzki pogląd na historię – zaśmiał się Hickey. – Czasami w konflikcie z faktami, ale nigdy przez nie nie powstrzymywany. – Uśmiechnął się i ziewnął. – Ale wszyscy to kupili, nie? Telewizja to cudowny wynalazek.

– Tak, proszę pana. I te dzwony, czy oglądaliście telewizję?

– Co się dzieje z tymi zamówieniami na melodie?

– Och, mam tu parę...

– To wsadź je sobie w tyłek.

Po krótkim milczeniu Schroeder odezwał się ponownie:

– Cóż, w każdym razie to było naprawdę imponujące, proszę wierzyć. Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś podobnego w tym mieście. Nie traćcie tego, nie...

– To już zostało utracone. Żegnaj, Schroeder.

– Proszę poczekać! Jeszcze jedna ostatnia rzecz. Pan Flynn powiedział, że wyłączycie zagłuszacz...

– Nie zwalajcie na nas swoich problemów z łącznością. Kupcie lepszy sprzęt.

– Obawiam się, że bez kontroli radiowej policja może zareagować zbyt gwałtownie w sytuacji przypuszczalnego zagrożenia...

– I co z tego?

– To prawie się zdarzyło. A więc, tak się zastanawiałem, kiedy macie zamiar wyłączyć...

– Prawdopodobnie sam się wyłączy, gdy katedra wyleci w powietrze. – Roześmiał się.

– Niech pan będzie rozsądny, panie Hickey... w pańskim głosie brzmi zmęczenie. Dlaczego nie mielibyście spróbować się przespać? Zagwarantuję wam godzinę, dwie godziny zawieszenia broni i przyślę trochę jedzenia i...

– A jeszcze bardziej prawdopodobne, że zostanie pochłonięty przez ogień z poddasza. Dwadzieścia długich lat w tym budynku, a teraz puuf i za niecałe dwie godziny nie będzie po nim śladu.

– Proszę pana... oferuję wam zawieszenie broni... – Schroeder wziął kolejny oddech i dodał tajemniczym głosem: – Oficer policji przekazał panu... raport o bieżącej sytuacji, jak sądzę...

– Kto? A, ten gościu w drogim garniturze. Uważajcie na niego, bierze łapówki.

– Czy rozważacie to, co panu powiedział?

– Używając ulubionej odpowiedzi protestantów z Ulsteru, ani cala! A może teraz powiedzieliby: centymetra? Cal, tak, cala...

– To uczciwe rozwiązanie...

– Nie do przyjęcia, Schroeder! Nie zwracaj mi tym więcej głowy.

– Czy mogę porozmawiać z panem Flynnem? – poprosił Schroeder.

Hickey spojrział w stronę chóru. Na organach stał telefon, ale Flynn nie skorzystał z niego jeszcze ani razu.

– Gra teraz trudny kawałek – powiedział. – Nie słyszysz tego? Miej serce.

– Od dłuższego czasu nie słyszeliśmy go. Spodziewaliśmy się go na konferencji prasowej. Czy jest... czy jest... zdrow?

Hickey wyciągnął fajkę i zapalił ją.

– Jest w równie dobrej formie jak każdy młody mężczyzna rozmyślający nad swoją bliską śmiercią, smutkiem utraconej miłości, tragedią utraconej ojczyzny i przegranej sprawy.

– Nic nie jest stracone...

– Schroeder, rozumiesz chyba irlandzki fatalizm. Kiedy Irlandczyk zaczyna grać melancholijne pieśni i ronić łzy do swojego piwa, oznacza to, że jest o krok od uczynienia czegoś pochopnego. A słuchanie twojego miaukliwego głosu nie poprawi mu nastroju.

– Nie, posłuchajcie, jesteście blisko, nie przegraliście...

– Przegraliśmy! Posłuchaj dzwonów, Schroeder, a pomiędzy ich uderzeniami usłyszysz zawodzenie banshee³⁷ wśród wzgórz, ostrzegającej nas przed zbliżającą się śmiercią. – Odłożył słuchawkę.

Megan patrzyła na niego z prezbiterium. Hickey rzucił okiem na Pedara Fitzgeralda.

– On umiera, Megan.

Dziewczyna kiwnęła z wahaniem głową i Hickey dostrzegł nagle przestraszony wyraz jej twarzy, wyglądała niemalże jak mała dziewczynka.

– Mogę przekazać go policji – powiedział – i wtedy może przeżyje, ale...

Megan pojmowała jasno, że nie będzie zwycięstwa, nie będzie amnestii dla nich ani dla ludzi w Irlandii Północnej i że wkrótce wszyscy w katedrze będą martwi. Spojrzała na błękitnobiałą twarz swojego brata.

– Chcę, by był tutaj ze mną.

Hickey skinął głową.

– Tak, to właściwa decyzja, Megan.

Ojciec Murphy poruszył się na podwyższeniu tronu kardynalskiego.

– Powinno się go zabrać do szpitala.

Ani Megan, ani Hickey nie zareagowali. Ojciec Murphy ciągnął dalej:

– Proszę mi pozwolić udzielić mu ostatniego...

– Macie jakiś pieprzony rytuał na każdą okazję, co? – przerwał mu Hickey.

– By ochronić jego duszę przed wiecznym potępieniem...

– Tacy jak ty sprawiają, że ludzie mają negatywne wyobrażenie o wiecznym potępieniu. – Hickey się zaśmiał. – Założę się, że przez cały czas nosisz przy sobie te wasze oleje święte. Nigdy nie wiadomo, kiedy dobry katolik padnie trupem u twoich stóp.

– Tak, noszę przy sobie oleje święte.

Hickey uśmiechnął się krzywo.

– To dobrze. Później usmażymy sobie na nich jajko.

Ojciec Murphy odwrócił głowę. Megan podeszła do Maureen i Baxtera. Maureen spojrzała jej prosto w oczy, czekając, aż dziewczyna zbliży się do niej. Megan stanęła nad nimi, potem przyklękła przy bezwładnym ciele Anglika i wyciągnęła z jego spodni pasek. Stanęła na szeroko rozstawionych nogach i ze świstem rozcinanego powietrza uderzyła go w twarz. Ojciec Murphy i kardynał krzyknęli. Megan ponownie uniosła pas i spuściła go na wzniesione ramiona Maureen. Kolejny cios wymierzyła znów w Baxtera, lecz Maureen

³⁷ Banshee – celtycki upiór zwiastujący śmierć (*przyp. tłum.*).

rzuciła się na jego bezbronne ciało i teraz pas smagnał po jej szyi. Megan uderzyła Maureen w plecy, potem w nogi, potem w pośladki. Kardynał odwrócił wzrok. Murphy krzychał ile tchu w płucach. Hickey zaczął grać na organach prezbiterium, przyłączając się do dzwonów. Frank Gallagher usiadł na wymazanym krwią Pedara podeście i wsłuchał się w dźwięk spadających ciosów. Szybko zostały zagłuszone przez organy wygrywające „The Dying Rebel”. George Sullivan odwrócił się od prezbiterium i zagrał na kobzie. Abby Boland i Eamon Farrell przerwali śpiew, ale Flynn zachęcił ich przez mikrofon, więc pieśń brzmiała nadal. Hickey także śpiewał do mikrofonu nad organami:

*Buntownik konający, wpiersz jego ujrzałem.
Schylony usłyszałem z ust jego ten szept:
Niech Bóg błogosławi mój dom w Tipperary
I sprawę, za którą przelewałem krew.*

Na poddaszu Jean Kearney i Arthur Nulty leżeli na boku przytuleni do siebie na wibrujących deskach podłogi. Pocałowali się i przysunęli jeszcze bliżej. Jean Kearney przetoczyła się na plecy, a Nulty powoli wspiął się na nią.

Rory Devane wyjrzał z południowej wieży i wystrzelił ostatnią flarę. Tłumy w dole nadal śpiewały i on też zaczął śpiewać, gdyż sprawiało to, że czuł się mniej samotny.

Donald Mullins stał w wieży piętro poniżej pierwszej grupy dzwonów, świadom jedynie dudniącego pod czaszką huku i zimnego wiatru wdzierającego się przez rozbite okna. Z kieszeni wyjął notes wypełniony nagryzmołonymi w pośpiechu wierszami i wpatrzył się weń. Przypomniało mu się, co powiedział na początku powstania 1916 roku Padraic Pearse, mówiąc o sobie, Josephie Plunkecie i Thomasie McDonaghu. „Jeżeli nawet nie osiągniemy nic więcej, uwolnimy przynajmniej Irlandię od trzech marnych poetów.” Mullins zaśmiał się i otarł oczy. Ciśnięty przez ramię notes poszybował w noc.

Leary przyglądał się z chóru Megan przez lunetę swej snajperki i ze wstrząsającą jasnością uświadomił sobie, że nigdy, nawet jako dziecko, nikogo nie uderzył. Przyglądał się twarzy Megan, przyglądał się ruchom jej ciała i nagle zapragnął jej.

Flynn utkwiał wzrok w wielkim wklęsłym lustrze nad organami, obserwując scenę w prezbiterium. Starał się wychwycić krzyki Maureen i suche, regularne chłaśnięcia pasa o jej ciało, lecz słyszał jedynie wibrujące tony dzwonów, wysoki, piskliwy lament kobzy, śpiew oraz bogatą, pełną muzykę organów z dołu.

*Potem ujrzałem ojca siwą głowę,
Co syna swego jedynego szukał.
Starcze, rzekłem, próżne twe poszukiwania;
Twój syn jedyne do nieba bram już stuka.*

Spuścił wzrok i zamknął oczy, wsłuchując się wyłącznie w odległe dzwonięcie. Przypomnił sobie, że ofiary odbywały się na ołtarzach, i ta zbieżność nie umknęła jego uwagi. Być może paru innych też to rozumiało. Maureen rozumiała z pewnością. Przyszło mu na myśl podwójne znaczenie ofiary: sugestia uświęcenia, ofiara dla istoty boskiej, podziękowanie, oczyszczenie... Lecz drugie znaczenie było mroczniejsze, straszniejsze – ból, strata, śmierć. W każdym jednak wypadku, zgodnie z niepisaną umową, ofiara powinna być nagrodzona. Czas, miejsce i rodzaj nagrody nie były wszakże nigdy jasno ustalone.

*Twój syn w Dublinie poległ dziś od kuli,
W walce za kraj swój dumny okazał odwagę.
Za Irlandię poległ i tylko za Irlandię,
Za zieloną, białą i złotą jej flagę.*

Przepęłniło go uczucie przemożnej melancholii. Wizje Irlandii, Maureen, opactwa Whitethorn, sceny z dzieciństwa przemknęły przez jego umysł. Nagle uświadomił sobie własną śmiertelność, poczuł ją jak coś materialnego, ucisk w żołądku, dławienie w gardle, sztywność obejmującą klatkę piersiową i ramiona. Niewyraźna wizja własnej śmierci rozświetliła w ciemności pod jego powiekami i ujrzał siebie leżącego nago, białego niczym marmur katedry, w ramionach kobiety, której twarz zasłaniały długie, miodowozłote włosy; krew płynęła z jego ust, plamiąc chłodną biel śmierci, krew tak czerwona i tak obfita, że zgromadzeni wokół ludzie komentowali to z zaciekawieniem. Młody człowiek ujął jego rękę i przyklęknął, by ucałować jego pierścień, lecz pierścienia tam nie było i młodzieniec powstał, by odejść z zawodem. A obejmująca go kobieta powiedziała: „Brian, wybaczymy ci wszyscy.” Lecz to sprawiło mu tylko jeszcze większy ból, a nie ulgę, gdyż zrozumiał, że nie uczynił niczego, by zasłużywać na przebaczenie, niczego, co mogłoby odwrócić bieg wydarzeń zainicjowanych w jakże odległej przeszłości.

Flynn spojrział na zegar umieszczony w tylnej części chóru. Pozwolił ostatnim dźwiękom „Irish Lullaby” rozpląnąć się wśród ciszy, a potem wcisnął klawisz dzwonu o imieniu Patryk. Samotny dzwon uderzył niskim, głębokim tonem, potem uderzył raz jeszcze i jeszcze. Dwanaście razy – wybijając północ. Dzień Świętego Patryka dobiegł końca. Najkrótszym dniem roku, zauważył Flynn, nie jest wcale przesilenie zimowe, ale dzień, w którym się umiera, a z tego punktu widzenia osiemnasty marca mieć będzie jedynie sześć godzin i trzy minuty.

Głęboka cisza ogarnęła akry kamienną pustyni i zewnętrzny chłód wsączył się do kościoła, z wolna paraliżując czekających w nim ludzi. Zakładnicy, skuci parami, spali nerwowym snem na chłodnym marmurze prezbiterium.

Hickey potarł oczy, ziewnął i spojrzął na telewizor, który przeniósł na pulpit organów. Dźwięk był mocno ściszony i ledwie słyszalny głos komentował nadejście nowego dnia i rozważał, co przynieść może wschód słońca. Hickey zastanawiał się, jak wielu widzów wciąż ogląda program. Wyobraził sobie ludzi czuwających naokoło telewizorów. Cokolwiek się zdarzy, oglądać będą na żywo i w kolorze, i pewnie niewielu poszło spać. Spojrzął w dół na Pedara Fitzgeralda. Jego gardło obłożone było lodem, z wystającej z ust rurki dobiegał syczący odgłos.

Hickey zakręcił korbą telefonu i połączył się z chórem. Ujrzał, jak Leary podnosi słuchawkę.

– Powiedz Brianowi, by dał dzwonom spokój – powiedział.

Leary odwrócił się, by pomówić z Flynnem, i po chwili się odezwał:

– Mówi, że ma ochotę sobie pograć.

Hickey zaklął pod nosem.

– Poczekaj.

Na ekranie telewizora obrazy z Nowego Jorku zastąpione zostały widokiem Białego Domu – żółte światło biło z okien Gabinetu Owального. Reporter oznajmiał światu, że prezydent konferuje ze swoimi najbliższymi doradcami. Potem transmisja przeniosła się na Downing Street 10, gdzie była już piąta nad ranem. Redaktorka o zaczerwienionych z niewyspania oczach zapewniała Amerykę, że premier nadal czuwa. Szybka zmiana obrazu zawiodła przed Pałac Apostolski w Watykanie. Hickey pochylił się w przód i przysłuchiwał uważnie reporterom dyskutującym o zamkniętym posiedzeniu watykańskich dygnitarzy.

– Następny pewno święty Piotr – wymruczał do siebie, a potem rzekł do telefonu: – Powiedz panu Flynnowi, że skoro w każdej chwili możemy spodziewać się ataku, proponowałbym, by przestał dostarczać im darmowej osłony dźwiękowej.

Hickey odłożył słuchawkę i wsłuchał się w nie ustające bicie dzwonów. Brian Flynn, pomyślał, nie był już tym samym człowiekiem, który niespełna sześć godzin wcześniej kroczył z taką pewnością przez katedrę. Przez ten czas nauczył się bardzo dużo, ale nauczył się tego za późno. Przez pozostałe sześć godzin nie nauczył się już niczego znaczącego.

Dźwięk telefonu wyrwał Schroedera z drzemki. Szybko podniósł słuchawkę. Głos Hickeya rozdarł spokój biura i zadudnił z głośników w sąsiednich pomieszczeniach.

– Schroeder! Schroeder!

Kapitan wyprostował się, czując łomotanie w klatce piersiowej.

– Tak! Co się stało?

Hickey odezwał się nagłym głosem:

– Ktoś zajął katedrę! – Po chwili dodał łagodnie: – A może miałem tylko koszmar? – zachichotał.

Schroeder odczekał, dopóki nie miał pewności, że panuje nad swoim głosem. Rozejrzył się po pokoju. Poza nim w tej chwili był tu tylko Burke, śpiący zdrowo na kanapie.

– Co mogę dla pana uczynić? – zapytał.

– Raport sytuacyjny, Schroeder – rzucił Hickey.

Schroeder odchrząknął.

– Raport...

– Co dzieje się w Londynie, Waszyngtonie, Watykanie, Dublinie? Ktoś jeszcze nad tym w ogóle pracuje?

– Oczywiście. Może pan to zobaczyć w telewizji.

– Ja to nie społeczeństwo, Schroeder. Chcę od ciebie usłyszeć, co się dzieje.

– Cóż... – Kapitan spojrzał na najświeższe notatki. – Cóż... Czerwony Krzyż i Amnesty rozmieścili ludzi przy wszystkich obozach, oczekując...

– To było w telewizji.

– Naprawdę? Cóż... Dublin... Dublin nie wyraził jeszcze zgody na przyjęcie zwolnionych z internowania...

– Powiedz im ode mnie, że są zasmarkanymi tchórzami. Powtórz im, że IRA zajmie Dublin w przeciągu roku i rozstrzela ich wszystkich.

– I tak nie uzgodniliśmy jeszcze warunków, prawda? – odparł z naciskiem Schroeder. – Tak więc znalezienie kogoś skłonnego do udzielenia im azylu jest sprawą o drugorzędnym znaczeniu...

– Chcę negocjować bezpośrednio z wszystkimi zainteresowanymi rządami. Zorganizuj telekonferencję.

– Wie pan, że odmówią bezpośredniej rozmowy z wami. – Z głosu Schroedera biła niezachwiana pewność siebie.

– Ci nadęci skurwiele będą błagać na kolanach o rozmowę, gdy zbliży się szósta.

Schroeder nadał swemu głosowi nieco bardziej optymistyczne zabarwienie:

– Pańskie wystąpienie wciąż odbija się szerokim echem. Watykan...

– Mówiąc o echach, wybuchach i tym podobnych, masz na myśli problem techniczny, który powinieneś rozważyć? Jak myślisz, czy szklana fasada Wieży Olimpijskiej runie na ulicę, kiedy...

– Czy jest tam pan Flynn? – zapytał gwałtownie kapitan.

– Masz nieprzyjemny zwyczaj przerywania innym, Schroeder.

– Czy jest tam pan Flynn?

– Oczywiście, że tak, dupku. Gdzie indziej mógłby być?

– Czy mogę z nim mówić?

– On gra na dzwonach, na miłość boską!

– Czy mógłby pan go poprosić, by odebrał telefon przy organach?

– Mówiłem ci, że nie przeszkadza się człowiekowi grającemu na dzwonach. Niczego się przez tę noc nie nauczyłeś? Założę się, że pracowałeś kiedyś w wydziale zwalczania prostytucji i hazardu, włączyłeś do pokoi hotelowych, przeszkadzając ludziom. To w twoim stylu.

Schroeder poczuł, że się czerwieni. Słyszał słowa Hickeya odbijające się echem poprzez plebanię, słyszał też pojedyncze śmiechy.

– Chcemy rozmawiać z panem Flynnem, na osobności, przy bramie zakrystii. – Spojrzał na śpiącego na kanapie Burke'a. – Porucznik Burke chce rozmawiać...

– Jak sam wcześniej powiedziałeś, porozumiewanie się z jedną osobą wprowadza mniej zamieszania. Skoro ja nie mogę rozmawiać z królową, ty nie możesz rozmawiać z Finnem MacCumaiem. Co ja ci przeszkadzam? A tak przy okazji, z czego zrezygnowałeś na czas Wielkiego Postu? Z mózgu czy jajek? Ja przestałem rozmawiać przez telefon z idiotami, ale dla ciebie zrobię wyjątek...

Schroeder poczuł nagle, jak coś w nim pęka. Z wielkim wysiłkiem opanował drżenie głosu i odpowiedział spokojnie:

– Panie Hickey... Brian Flynn w dużym stopniu pokłada we mnie swe nadzieje... Starania, jakie czynię, uczciwość, jaką okazałem...

Biuro wypełnił śmiech Hickeya.

– Wydaje ci się miłym facetem, co? Cóż, Schroeder, Flynn ma dla ciebie w zanadru niespodziankę, która na pewno ci się nie spodoba.

– Wolelibyśmy nie mieć żadnych niespodzianek... – odparł Schroeder.

– Przestań używać tego cesarskiego „my”. Mówię o tobie. Ta niespodzianka przeznaczona jest dla ciebie.

Schroeder wyprostował się szybko ze świeżo rozbudzoną czujnością.

– Co pan przez to rozumie? Co to ma znaczyć? Proszę posłuchać, wszyscy powinni grać w otwarte karty, jeżeli mamy paktować w dobrej wierze...

– Czy Bellini działa w dobrej wierze?

Schroeder się zawahał. Sposób, w jaki ci ludzie używali nazwisk, miał w sobie coś denerwującego. Nie był przyzwyczajony do tego, by porywacze czynili tak bezpośrednie uwagi.

– Gdzie jest teraz Bellini? – kontynuował Hickey. – Knuje razem ze swoim gestapo? Wymyśla podstępne sposobiki zabicia nas wszystkich? W takim razie pieprzyć Belliniego i pieprzyć ciebie.

Schroeder potrząsnął głową w niemej rozpacz i zapytał:

– Jak się mają zakładnicy?

– Znaleźliście już Stillwaya? – odparł pytaniem Hickey.

– Potrzebujecie może lekarza?

– Rozkopaliście już mój grób?

– Czy przysłać wam jedzenie... lekarstwa...?

– Gdzie jest major Martin?

Burke leżał na kanapie z zamkniętymi oczami i przysłuchiwał się rozpadającemu się na dwa monologi dialogowi. Choć dialog ten już przedtem stawał się bezproduktywny, nie był jeszcze nigdy tak dziwaczny jak teraz. Wiedział już, że wszystko jest skończone.

Bellini uprzedził wcześniej reporterów, że sala konferencyjna może się zawalić, jeżeli katedra wyleci w powietrze, i gdy teraz do niej wchodził, ci przenosili już swój sprzęt do bardziej bezpiecznych miejsc poza kompleksem katedralnym. Bellini podszedł do tablicy. Przy stołach i pod ścianami siedziało lub stało sześćdziesięciu mężczyzn z Jednostek Specjalnych, uzbrojonych w strzelby z przyciętymi lufami, karabiny M-16 i pistolety z tłumikami. Z tyłu siedzieli pułkownik Logan, major Cole i kilkunastu oficerów z Sześćdziesiątego Dziewiątego Pułku. Chmura szarego dymu tytoniowego tłumiała jaskrawe światło lamp. Bellini wskazał na odręczny szkic katedry na tablicy.

– A więc, Piąty Oddział zaatakuje przez bramę zakrystii. Dostaniecie stalowe piły łańcuchowe i nożyce do metalu. W porządku?

– Jeżeli wolno... – Pułkownik Logan podniósł się ze swego miejsca. – Uprzednio powiedział pan, że pańscy ludzie nie powinni szafować zbyt dużą amunicją... To pańska operacja i moja rola jest jedynie drugorzędna, ale podstawowe zasady walki... Cóż, chodzi mi o to, że po napotkaniu na osłonięte stanowiska nieprzyjaciela o szerokim polu ostrzału, jak na przykład galerie triforyjne i chór, gdy jasne jest, że nie można wyeliminować ich zwykłym ostrzałem... wtedy należy zalać je ogniem ciągłym. – Logan dostrzegł oznaki zrozumienia tylko na niektórych twarzach. – Innymi słowy, przestawia się wasze M-16 na ogień ciągły, tzw. rock and roll, i poddaje wroga tak intensywnemu ostrzałowi, że ten nie jest w stanie wychylić głowy zza osłony. Wtedy będzie można bezpiecznie sprowadzić zakładników po schodach do zakrystii.

Nikt się nie odezwał, ale kilku kiwnęło głowami. Logan ciągnął dalej, coraz bardziej ożywionym głosem. Niespodziewanie jego wypowiedź przekształciła się w zagrzewającą żołnierzy do boju mowę.

– Walcie w te galerie, walcie w chór, ładujcie do karabinów magazynki za magazynkiem, przeczesując, przeczesując, przeczesując ogniem stanowiska ich snajperów, grzejąc tak długo, tak głośno, tak szybko i tak mocno, by przypominało to Armageddon i apokalipsę razem wzięte. Nikt, nikt na tych półkach nie podniesie głowy, jeżeli powietrze wokół nich wypełnione będzie pociskami i sproszkowanym kamieniem.

Żołnierze i policjanci zareagowali spontanicznymi oklaskami. Bellini odczekał, dopóki hałas nie ucichnie, i powiedział:

– Tak, pułkowniku, to rozsądna rada, ale wszyscy mamy najściślejsze rozkazy, by nie rozwalić tego miejsca na kawałki, jak pan wie. Pełno w nim dzieł sztuki... ono jest... eee... pan rozumie...

– Rozumiem – odparł Logan i otarł twarz. – Nie proponuję bombardowania z powietrza. To znaczy, sugeruję jedynie zwiększenie użycia zakresu ręcznej broni palnej i...

– Tak intensywny ogień nawet jedynie z broni ręcznej, pułkownik, wyrządziłby – Bellini przypomniał sobie słowa gubernatora – w katedrze nieodwracalne szkody. Zniszczeniu uległby strop, płaskorzeźby, posągi...

Podniósł się jeden z dowódców oddziałów.

– Niech pan posłucha, kapitanie, od kiedy dzieła sztuki są ważniejsze od ludzi? Moja matka uważa, że ja jestem dziełem sztuki...

Ktoś zaśmiał się nerwowo. Bellini poczuł, jak pod kołnierzykiem jego koszuli zaczyna się zbierać pot. Spojrzał na Logana.

– Pułkownik, pańskie zadanie... – Przerwał, przyglądając się zeszywniałemu nagle Loganowi.

– Moim zadaniem jest utrzymanie ciasnego kordonu wokół katedry w czasie trwania ataku – powiedział Logan. – Wiem, co do mnie należy.

Bellini niemalże uśmiechnął się z satysfakcją.

– Nie, to zostało zmienione. Gubernator pragnie, byście wzięli bardziej aktywny udział w ataku – delectował się każdym wypowiedzianym słowem. – Policja dostarczy wam swój transporter opancerzony. Pochodzi z magazynów armii, a więc będziecie z nim obeznani. – Bellini zauważył, że major Cole pobladł. – Wprowadzi pan pojazd z piętnastoma ludźmi w środku po frontowych schodach...

– To szaleństwo! – Logan z trudem panował nad swoim głosem. – W zamkniętej przestrzeni nie można używać transportera. Oni mogą mieć w środku broń przeciwpancerną. Dobry Boże, nie moglibyśmy manewrować, nie moglibyśmy ukryć pojazdu... Ci fenianie to weterani partyzantki, kapitanie. Wiedzą, jak radzić sobie z czołgami, widzieli więcej brytyjskich samochodów pancernych niż pan...

– Taksówek – dokończył Burke, wchodząc do sali konferencyjnej. – To właśnie Flynn powiedział Schroederowi. Taksówek. Czy możemy się przyłączyć, inspektor Langley i ja?

Od Belliniego biło zmęczenie i zirytowanie. Powiedział do Logana:

– Proszę zwrócić się z tym do gubernatora. – Zerknął na ścienny zegar i dodał: – Dziesięć minut przerwy. Opuścić salę! – Usiadł i zapalił papierosa.

Ludzie jeden za drugim wyszli z pomieszczenia i skupili się w małych grupkach na całej długości korytarza.

Burke i Langley usiedli naprzeciwko Belliniego, który odezwał się cicho:

– Ten pieprzony bohater wojenny płoszy moich ludzi.

Powinni być spłoszeni, pomyślał Burke.

– Chce dobrze.

Bellini zaciągnął się papierosem.

– Dlaczego miesza się w to kompanię reprezentacyjną?

Langley rozejrzył się wokoło i odparł cicho:

– Gubernator potrzebuje reklamy.

Bellini pociągnął łyk zimnej kawy.

– Wiecie... Przedyskutowałem wiele możliwości tego ataku z burmistrzem i gubernatorem. Zauważyliście kiedyś, jak ludzie, którzy gównie wiedzą o walce, stają się nagle generałami? – Przerwał i odetchnął ciężko. – Ale może ja też brzmiałbym jak dupek, bo tak naprawdę to nie dbam o kupę kamieni czy czworo ludzi, których nawet nie znam. Odpowiadam przede wszystkim przed setką moich ludzi, których znam, i przed ich rodzinami, i przed sobą, i przed moją żoną, i dziećmi. Mam rację?

Przez jakiś czas nikt się nie odzywał. Ciszę przerwał dźwięk telefonu. Bellini złapał słuchawkę, lecz po chwili przekazał ją Burke'owi.

– Jakiś gość do ciebie. Mówi, że nazywa się Trędowaty. Nie ma co, zadajesz się z ludźmi z klasą.

Burke wziął słuchawkę i usłyszał głos Fergusona.

– Burke, tu Trędowaty.

– Co u ciebie? – zapytał Burke.

– Jestem przemarznięty, wystraszony do nieprzytomności, głodny i bez grosza. Poza tym w porządku. Czy ta linia jest bezpieczna?

– Nie.

– Dobra. Muszę z tobą pomówić osobiście.

Burke zastanowił się przez chwilę.

– Chcesz przyjść tutaj?

– Nie... – Ferguson się zawahał. – Widziałem kręcących się przy punktach kontrolnych ludzi, którzy nie powinni mnie widzieć. Znajduję się bardzo blisko naszego punktu kontaktowego. Tam się zobaczymy.

Burke odłożył słuchawkę i mruknął do Langleya:

– Ferguson coś wywęszył.

– Coś, co może mi pomóc? – Bellini podniósł szybko wzrok.

Burke chciał odpowiedzieć: „Szczerze mówiąc, nic ci nie może pomóc”, ale rzekł jedynie:

– Tak myślę.

Bellini zdawał się wyczuwać kłamstwo.

– Chryste, nigdy nie mieliśmy do czynienia z wyćwiczonymi partyzantami... – Spojrzył na nich nagle. – Czy wyglądam na wystraszonego?

– Wyglądasz jak ktoś, kto w pełni pojmuję złożoność problemu – odparł Burke.

– Tak, to potrafię całkiem dobrze – zaśmiał się Bellini.

– Przecież musiałeś wiedzieć, że nadejdzie kiedyś dzień taki jak ten. – Langley zirytował się nagle. – Jesteście wyszkoleni pod tym kątem...

– Wyszkoleni? – Bellini naskoczył na niego. – Wielka mi rzecz. Wyszkoleni! W armii uczono mnie sposobów krycia się w razie ataku jądrowego. Jedyiny instruktor, który mówił z sensem, kazał nam przytrzymać nasze hełmy, wsadzić głowy między nogi i pocałować nasze dupy na pożegnanie. – Zaśmiał się ponownie. – Pieprzyć „wyszkolenie”. – Rozgniółł papierosa i odetchnął głęboko. – A co tam. Może Schroederowi się uda. – Uśmiechnął się blado. – Ma teraz większą motywację. – Wskazał na czarną kamizelkę kuloodporną i ciemny sweter na końcu stołu. – To jego.

– Dlaczego nie zejdiesz już z niego? – zapytał Langley.

Bellini pokręcił głową i spojrzał na Burke’a.

– A ty? Co ty będziesz później robił?

– Będę z wami – odparł Burke.

Oczy Belliniego się rozszerzyły.

– Akurat. – Langley spojrzał na Burke’a.

Burke nie odpowiedział.

– Pozwól mu zrobić to, co chce – rzekł Bellini.

Langley zmienił temat i zwrócił się do Belliniego:

– Mam dla ciebie jeszcze parę psy-profilów.

Bellini zapalił papierosa.

– Pokryj je cienką warstwą oleju i wsadź sobie w tyłek.

Langley zeszytniał. Bellini ciągnął dalej, zadowolony z tego, że nikt wyższy rangą nie może już skakać mu po głowie.

– Gdzie architekt, Langley? Gdzie plany?

– Pracujemy nad tym – odparł Langley.

– Bombowo. Wszyscy nad czymś pracują. Ty, Schroeder, burmistrz, prezydent. Wszyscy pracują. Wiesz, kiedy to się zaczęło, nikt nie zwracał większej uwagi na Joe Belliniego. Teraz burmistrz dzwoni co piętnaście minut i pyta, jak mi idzie. Mówi do mnie Joe. Wspaniały mały facet.

Ludzie zaczęli napływać z powrotem do pomieszczenia.

– Przycisnęli mnie do ściany. – Bellini ściszył głos. – Kiedy zaczynają zwracać się do ciebie po imieniu, to znaczy, że złapali cię za jajka i nie zamierzają puścić. Nie puszcza mnie, dopóki nie zaszarżuję po tych pieprzonych schodach, trzymając nie więcej tylko kutasa w jednej ręce i krzyż w drugiej, i dopóki nie dam się zabić. – Podniósł się. – Uwierz mi, Burke, to jedno wielkie, pieprzone przedstawienie. Każdy ma swoją rolę do odegrania. Ty, ja, politycy, Kościół, te skurwiele w katedrze. My wiemy, że to jedno pieprzone udawanie, ale nauczyliśmy się grać właśnie w ten sposób.

Burke powstał i rozejrzał się po ludziach z ESD, potem spojrzał uważnie na Belliniego.

– Pamiętaj, że to wy jesteście porządnymi facetami.

Bellini potarł skronie i potrząsnął głową.

– No to jakim cudem ubrani jesteście na czarno?

Burke wyszedł z plebanii. Omiótł go chłodny, porywisty wiatr. Spojrzał na zegarek – prawie pierwsza. Osiemnasty marca. Nazwą ten dzień Masakrą Dnia Świętego Patryka albo jakimś innym, równie efektownym określeniem. Postawił kołnierz i pomaszzerował na wschód w dół Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy.

Park Avenue przegradzał miejski autobus ustawiony jako fragment barykady. Burke obszedł go, precyzyjnie się przez niewielki tłumek i przeszedł przez ulicę. Mała grupa ludzi zebrała się na schodach i tarasach episkopalnego kościoła pod wezwaniem świętego Bartłomieja, przekazując sobie z rąk do rąk butelki i śpiewając wygrywane przez katedralne dzwony melodie. Burke wsłuchał się w dźwięk dzwonów. Flynn – jeżeli to on grał – miał dobrą rękę. Ludzie wchodzili do świątyni i Burke przypomniał sobie, że wiele kościołów i synagog ogłosiło całonocne czuwania. Ekipa z telewizyjnej furgonetki rozstawiała kamery i reflektory. Minął ją i podążył dalej na wschód Pięćdziesiątą Pierwszą Ulicą w stronę małego parku.

Płot i brama przegradzały przejście między dwoma budynkami. Burke zerknął przez kraty. Na tarasach pod nagimi jaworami stały stoliki i odwrócone do góry nogami krzesła. Nic się nie poruszało w nie oświetlonym parku. Burke uchwycił zimne, stalowe pręty, podciągnął się w górę i zeskoczył po drugiej stronie. Gdy lądował na zmarzniętym kamiennym chodniku, poczuł ostry ból przeszywający jego zeszywniałe nogi i zaklął w duchu. Wyciągnął pistolet, pozostając w przysiadzie. Wiatr potrząsnął drzewami, łamiąc i strącając na ziemię pokryte lodem gałązki, które spadały z dźwiękiem pękającego kryształu. Burke wyprostował się wolno i ruszył pomiędzy stolikami. Pod jego nogami trzaskał lód. Gdyby Ferguson tu był, dałby już znak swojej obecności.

Uwagę Burke'a przyciągnął przewrócony stolik. W pobliżu leżało wywrócone krzesło, a lód na ziemi był pokruszony. Burke ukucnął, by przyjrzeć się dużej, ciemnej plamie, która przypominała lody truskawkowe, lecz po dokładniejszych oględzinach okazało się, że wcale nimi nie była. Poczul nagle drzenie nóg. Wszedł po niskich stopniach na następny poziom tarasu i ujrzał więcej powywracanych mebli. W tylnej części parku wznosiła się kamienna ściana, z której spływał wodospad. U podstawy znajdowała się długa, wąska rynna. Burke podszedł do niej i spojrział w dół. Zobaczył leżącego w lodowatej wodzie Jacka Fergusona o twarzy błękitnobiałej, kolorem bardzo zbliżonej, jak pomyślał Burke, do fasady katedry. Ferguson miał otwarte oczy i szeroko rozwarte usta, jak gdyby próbował złapać oddech po szoku spowodowanym zetknięciem się z zimną wodą.

Burke uklękł na niskim obmurowaniu rynny i chwycił stary trenz Fergusona. Gdy jego poły się rozsunęły, z przetartych spodni wychyły strzaskane pociskami kolana – kości, chrzęści i ścięgna bardzo białe w porównaniu z intensywniejszym, błękitnawym kolorem ciała. Burke wsunął pistolet do kieszeni i bez wysiłku wciągnął małego mężczyznę na obmurowanie.

Niewielki otwór po kuli niczym kupka ciemnego popiołu widniał na środku czoła. Kieszenie zostały opróżnione, lecz Burke jeszcze raz obszukał ciało, znajdując jedynie świeżą, równo wyprasowaną chusteczkę, która przypomniała mu, że będzie musiał zadzwonić do żony Fergusonsona.

Burke zamknął oczy zabitego, podniósł się, wytarł dłonie w płaszcz i chuchnął w nie, a potem odszedł. Odwrócił pokryte lodem krzesło, przysunął je do metalowego stolika i usiadł. Wziął długi, głęboki oddech, uspokajając drzenie rąk na tyle, że mógł zapalić papierosa, potem wyjął swój termos i otworzył, lecz postawił go na stoliku nie pijąc. Od strony ogrodzenia dobiegł go jakiś odgłos. Wyciągnął pistolet i oparł o kolano.

– Burke! To ja, Martin.

Burke nie odpowiedział.

– Mogę przyjść?

– Pewnie!

Martin przeszedł przez płot i ruszył w stronę Burke'a. Nagle zatrzymał się i spojrzał obok niego, w kierunku niskiego kamiennego murka u podstawy wodospadu.

– Kto to?

Burke milczał. Martin podszedł do ciała i spojrzał na twarz.

– Znam tego człowieka... to Jack Ferguson.

– Doprawdy?

– Tak. Miałem z nim do czynienia nie dalej jak wczoraj, prawdę mówiąc. Oficjalne skrzydło IRA. Marksista. A mimo to miły facet.

Burke odezwał się beznamiętnym głosem:

– Jedyne dobre „czerwony” to martwy „czerwony”. Zabij komucha na chwałę Chrystusa. Niech się pan przesunie tutaj, tak bym mógł pana widzieć.

– Że co? – Martin stanął za krzesłem Burke'a. – Co pan powiedział...? Zaraz, nie myśli pan... prawda?

– Tu z przodu proszę, bym mógł pana widzieć.

Martin obszedł stolik.

– Dlaczego pan tu przyszedł? – zapytał Burke.

Martin zapalił papierosa.

– Szedłem za panem z plebanii.

Burke był pewien, że nikt za nim nie szedł.

– Dlaczego?

– Chciałem sprawdzić, dokąd pan idzie. Nie był pan szczególnie skory do pomocy. Tak przy okazji, zostałem wyrzucony z mojej posady w konsulacie. To pańska robota? Ludzie zaczynają opowiadać o mnie najbardziej nieprawdopodobne rzeczy. W każdym razie jestem tymczasowo bez zajęcia. A więc pomyślałem, że może będę mógł... cóż... pomóc panu... oczyścić przy tym moje dobre imię... Czy to broń? Może pan to schować.

Burke nie cofnął pistoletu.

– Jak pan myśli, majorze, kto go zabił?

– Cóż, zakładając, że to nie był pan... – Wzruszył ramionami. – Zapewne jego własni ludzie. Albo „tymczasowi” lub fenianie. Widział pan jego kolana? Boże, to nieprzyjemna sprawa.

– Dlaczego IRA chciałyby go zabijać?

– Za dużo mówił. – Martin odpowiedział dobitnie i bez wahania.

Burke schował pistolet do kieszeni, lecz nie wypuszczał go z dłoni.

– Gdzie jest Gordon Stillway?

– Gordon... a, ten architekt. – Martin zaciągnął się papierosem. – Chciałbym być choćby w połowie tak podstępny, za jakiego mnie pan uważa.

Burke łyknął z termosu i odparł:

– Katedra zostanie zaatakowana w ciągu paru najbliższych godzin.

– Przykro mi, że do tego doszło.

– W każdym razie, teraz zależy mi na uratowaniu jak największej liczby ludzi.

– Mnie też. Nasz konsul generalny jest tam w środku.

– Do tej pory wszystko układało się po pańskiej myśli, majorze. Dostał pan swój irlandzki terroryzm w Ameryce, wepchnięto go nam prosto pod nos, pańskie argumenty zostały wyraźnie przedstawione i dotarły do właściwych ludzi. A więc nie potrzebujemy wypalonej katedry i kupy trupów.

– Nie jestem pewien, czy nadążam za panem.

– Belliniemu byłoby znacznie łatwiej, gdyby miał plany i architekta.

– Niewątpliwie. Też nad tym pracuję.

– Niech się pan zadowoli tym, co pan już osiągnął. – Burke spojrzał uważnie na Martina.

– Obawiam się, że znowu nie rozumiem.

Burke wpatrywał się w Martina, który położył nogi na krześle i ćmił papierosa. Podmuch zimnego wiatru wdarł się do otoczonego budynkami parku i zakręcił się między drzewami. Na obu mężczyzn posypał się z błyszczących gałęzi szron, ale żaden nie zauważył tego. Martin zawahał się, jakby podejmował jakąś decyzję i powiedział:

– Nie chodzi jedynie o Flynna. Moja cała operacja nie została zaplanowana jedynie po to, by zabić Briana Flynna. – Potarł policzek osłoniętą rękawiczką dłonią. – Widzi pan, potrzebuję czegoś więcej niż tylko jego śmierci, choć nie mogę się jej doczekać. Potrzebuję też trwałego symbolu irlandzkiego terroryzmu. Zniszczenie katedry jest konieczne.

Burke odczekał dłuższą chwilę, nim odezwał się niskim, opanowanym głosem:

– To może się stać symbolem brytyjskiej niechęci do negocjacji.

– Czasami trzeba zaryzykować. Ale przecież Londyn zaoferował kompromis, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, a ci szaleńcy fenianie nie zareagowali na tę ofertę. A po wystąpieniu tego starego człowieka, po koncercie na dzwonach i całej reszcie to fenianie są w przedzie,

nie ja. Naprawdę, Burke, dla mnie jedynym sposobem wpłynięcia na opinię publiczną tu i za granicą jest... cóż, tragedia. Przykro mi.

– To obróci się przeciwko wam.

– Gdy kurz opadnie, wina zostanie przypisana wyłącznie Irlandczykom. Rząd Jej Królewskiej Mości ma wielką wprawę w wyrażaniu żalu i współczucia po stracie życia i własności. Prawdę mówiąc zniszczona katedra może być jeszcze atrakcyjniejsza dla turystów... Nie ma zbyt wielu ciekawych ruin w Ameryce...

Palce Burke'a zacisnęły się na chłodnej stali pistoletu. Martin ciągnął dalej, mrużąc oczy i wydychając kłęby pary z ust i nosa:

– No i oczywiście pogrzeby. Widział pan może, jak chowano Mountbattena? Tysiące rozpaczających ludzi. Dla Baxtera też urządzimy coś sympatycznego. Kościół rzymskokatolicki urządzi wspaniałą ceremonię dla kardynała i księdza. Malone, cóż, kto to wie?

– Nie wszystko ma pan zapięte na ostatni guzik, wie pan o tym? – zapytał Burke.

Martin zgasił papierosa i zapalił następnego.

– Nie wydaje się pan rozumieć – powiedział. – Cierpienie należy upowszechnić, uczynić je bardziej uniwersalnym, zanim osiągnie się powszechne oburzenie. Potrzeba imponującej katastrofy, jak Dunkierka, Pearl Harbor, Coventry, teraz katedra Świętego Patryka... – strząsnął popiół z papierosa i utkwiał wzrok w szarej smudze na pokrytym lodem stoliku – ...z której wyrasta nowa zawziętość. – Podniósł wzrok. – Być może zauważył pan Feniksa na brązowych wrotach Świętego Patryka. On natchnął mnie pomysłem nadania tej akcji nazwy Operacja Feniks.

– Flynn może jeszcze zaakceptować kompromis – odparował Burke. – Tak przynajmniej sugerował w rozmowie ze mną. Może też złożyć publiczne oświadczenie o tym, jak brytyjska perfidia o mało co nie doprowadziła do śmierci wielu ludzi.

– Nie przyznałby się, że najwspanialsza akcja IRA od czasu zabójstwa Mountbattena zaplanowana została przez Anglika.

– Flynnowi nie zależy na własnej śmierci aż tak bardzo jak panu. Zadowolony jest tym, co już ma, i wyjdzie stamtąd jako bohater. – Burke pociągnął kolejny łyk by dostarczyć paliwa wyobraźni. – Z drugiej strony... zawsze pozostaje jeszcze możliwość, że zniszczy katedrę o świcie. Tak więc burmistrz i gubernator chcą przeprowadzić uderzenie wyprzedzające. Tyle że potrzebują zachęty. Nie podejmą żadnych działań, dopóki Bellini nie powie, że da radę to zrobić. Lecz Bellini nie powie tego, dopóki nie otrzyma planów i architekta...

– Bardzo ładnie. – Martin się uśmiechnął. – To niewątpliwie dziedziczne, ta umiejętność produkowania na poczekaniu ton pustej propagandy.

– Jeżeli nie będziemy mieli architekta, nie zaatakujemy. O szóstej zero trzy Flynn ogłosi rozejm, poczeka, dopóki miasto nie wypełni się ludźmi i nie zaczną się poranne audycje

telewizyjne, a wtedy wielkodusznie oszczędzi katedrę i zakładników. Żadnych pogrzebów, żadnych wybuchów, ani jednego zbitego witraża.

– O szóstej zero trzy stanie się coś znacznie straszniejszego.

– Czasami trzeba zaryzykować.

– No nie wiem... – Martin potrząsnął głową. – Sprawił pan, że zacząłem się niepokoić, poruczniku. Gdyby mnie przechytrzył, byłoby to dokładnie w stylu tego sukinsyna... – Uśmiechnął się. – Cóż, „przechytrzył” nie jest najodpowiedniejszym słowem. Ci ludzie są tacy chwiejni... nigdy nie można być ich pewnym...

Burke przysunął się do Martina.

– Wyrażę to inaczej. – Zionął majorowi prosto w twarz. – Jeżeli katedra wyleci w powietrze... – wyciągnął pistolet i przystawił mu do skroni – ...stanie się pan tym, kogo nazywamy martwym skurwysynem.

Martin popatrzył Burke’owi prosto w oczy.

– Gdyby cokolwiek mi się przydarzyło, zostałby pan zabity.

– Znam zasady gry. – Burke postukał go w czoło lufą pistoletu, po czym schował broń do kabury.

Martin odrzucił papierosa i odezwał się tonem, jakby uzgadniał jakiś interes:

– W zamian za Stillwaya chcę pańskiego słowa, że zrobi pan wszystko, co w pańskiej mocy, by dopilnować przeprowadzenia ataku, zanim Flynn rozpocznie jakiegokolwiek rokowania w sprawie kompromisu. Wiem, że darzy pana zaufaniem, więc proszę to wykorzystać według pańskiego uznania, w kontaktach z nim lub z pańskimi przełożonymi. I cokolwiek by się stało, dopilnuje pan, żeby Flynn nie został pojmany żywy. Jasne?

Burke skinął głową.

– Dostanie pan Stillwaya i plany z dużym wyprzedzeniem – dodał Martin. – Chcę pokazać panu, jaki ze mnie równy gość, przekażę jedno i drugie bezpośrednio panu. Jak powiedziałem wczoraj rano, poprawi to opinię o panu u pańskich przełożonych. Bóg dobrze wie, poruczniku, że potrzebuje pan wsparcia.

Martin odsunął się od Burke’a i jeszcze raz spojrzął na zeszywniałe ciało Fergusona. Zapalił kolejnego papierosa i niedbałym ruchem rzucił zapałkę na twarz Fergusona.

– Myśli pan oczywiście, że tak jak ten nasz świętej pamięci przyjaciel, wie pan zbyt wiele. Ale mnie to nie przeszkadza, jestem skłonny, a nawet zobowiązany, uczynić wyjątek w pańskim przypadku. Pan jest jednym z nas, zawodowcem, nie wścibskim amatorem jak pan Ferguson czy niebezpiecznym buntownikiem jak pan Flynn. Proszę więc postępować jak zawodowiec, poruczniku, a będzie pan odpowiednio traktowany.

– Dziękuję za to wyjaśnienie – powiedział Burke. – Postaram się wypaść jak najlepiej.

– Może pan wypaść jak najgorzej, jeśli to panu odpowiada – zaśmiał się Martin. – W staraniach, by wszystko skończyło się według mojego planu, nie stawiam jedynie na pana. Poruczniku, w katedrze i poza nią kryje się więcej niespodzianek, niż nawet pan podejrzewa. I

w pierwszych promieniach słońca wszystkie wyjdą na jaw. Dobranoc. – Odwrócił się i swobodnym krokiem ruszył w stronę bramy.

Burke spojrział na Fergusoną. Pochylił się i zdjął zapalkę z jego twarzy.

– Przepraszam, Jack.

Zegar w tylnej części chóru wybił trzecią. Brian Flynn wstał i spojrział na Leary'ego, siedzącego na parapecie z nogami zwisającymi nad trzypiętrową przepaścią.

– Jeśli przyśniesz, spadniesz.

– O to chodzi – odpowiedział Leary, nie odwracając się.

Flynn rozejrzał się w poszukiwaniu Megan, ale nie dostrzegł jej. Obszedł organy, zabrał karabin i skierował się ku Leary'emu. Ten okręcił się nagle i spuścił nogi na posadzkę chóru.

– To stary numer – powiedział.

Flynn zeszywniał.

– Nauczyłem się tego w armii. Przysiada się w takiej pozycji, że zaśnięcie skończy się kontuzją albo nawet śmiercią. To nie daje zasnąć... zazwyczaj.

– Ciekawe.

Flynn minął Leary'ego, wszedł do dzwonnicy i zjechał windą do kruchty. Przemaszerował głównym przejściem między ławkami. Jego kroki odbijały się echem w cichej katedrze. Sullivan, Boland i Farrell spoglądali w dół z galerii. W prezbiterium przy organach spał Hickey, a czwórka zakładników drzemała parami w przeciwnych kątach. Rzucił okiem na leżącego obok Maureen Baxtera, obserwując rytmiczne unoszenie się i opadanie jego piersi, potem przeniósł wzrok na kardynała i ojca Murphy'ego, przykutych do tronu. Flynn przyklęknął przy Maureen i spojrział na jej posiniaczoną twarz. Wyczuwał oczy przyglądające mu się z góry, wiedział, że Megan obserwuje go z ciemności, że celownik broni Leary'ego jest wymierzony dokładnie w jego usta. Flynn pochylił się odwrócony plecami do chóru, zasłaniając Leary'emu widok Maureen. Delikatnie pogładził ją po policzku.

Maureen otworzyła oczy i spojrzała na niego.

– Która godzina?

– Już późno.

– Pozwoliłeś na to – powiedziała.

– Przepraszam... – szepnął. – Nie mogłem ci pomóc...

Maureen odwróciła twarz. Żadne z nich nie odzywało się, wreszcie Maureen przerwała milczenie:

– Te zapasy z policją przypominają zawody dla odważnych, gdy dwa samochody mkną ku sobie, a obaj kierowcy zahipnotyzowani są zbliżaniem się tego drugiego. Na minutę przed świtem... czy ktoś ma zamiar skrócić?

– Cholerne bzdury. To jest wojna. Cholerne, durne baby, myślicie, że mężczyźni bawią się w gry dla okazania swej siły...

– Wojna? – Chwyliła go za koszulę, podnosząc głos. – Powiem ci coś o wojnie. Wojen nie toczy się w kościołach przeciwko zakutym w kajdanki zakładnikom. A skoro już mówisz o wojnie, pozostało wciąż we mnie tyle z żołnierza, że wiem, iż oni mogą nie czekać do świtu. Być może podkradają się właśnie teraz i zanim zdążysz wziąć kolejny oddech, to miejsce może wypełnić się odgłosem strzelaniny, a ty możesz zostać naszpikowany kulami. – Puściła jego koszulę. – Wojna, doprawdy. Znasz się na wojnie tak samo jak na miłości.

Flynn podniósł się i wskazał na Baxtera.

– Lubisz tego człowieka?

– To dobry człowiek.

Flynn zapatrzył się w jakiś punkt przed sobą.

– Dobry człowiek – powtórzył. – Ktoś, kto spotkałby mnie po raz pierwszy, mógłby też powiedzieć coś takiego, dopóki nie poznałby mojej przeszłości. – Spojrzał na Baxtera. – W tej chwili nie lubisz mnie za bardzo, ale to nie szkodzi. Mam nadzieję, że przeżyjesz. Mam nawet nadzieję, że i Baxter przeżyje i że będzie wam ze sobą dobrze.

Maureen leżała na plecach, patrząc na niego.

– I znowu ani ty, ani ja nie wierzymy w ani jedno twoje słowo.

Flynn odsunął się od niej.

– Muszę iść... – Spojrzał nad balaskami ku Hickeyowi i zapytał nagle: – Powiedz mi o nim. Co ten staruch mówił? O co chodzi z dzwonkiem w konfesjonale?

Maureen odchrząknęła i odezwała się beznamiętnym głosem, relacjonując to, czego dowiedziała się o Hickeyu. Zakończyła nieuniknionym wnioskiem:

– Nawet jeśli wygracie, on dopilnuje, by wszyscy zginęli. Wszyscy czworo jesteśmy o tym przekonani, inaczej nie ryzykowalibyśmy tak bardzo, próbując uciec.

Spojrzenie Flynnna spoczęło z powrotem na Hickeyu, potem ogarnęło prezbiterium, zakładników, bukiety wędnących zielonych goździków, krwawe plamy na marmurze przed głównym ołtarzem. Odnosił wrażenie, że widział już kiedyś to wszystko, doświadczył czegoś podobnego we śnie czy wizji, a potem przypomniał sobie, że tak było naprawdę – w opactwie Whitethorn. Przyklęknął nagle i otworzył kajdanki.

– Chodź ze mną. – Pomógł jej wstać i podtrzymując ją, poszedł ku schodom do zakrystii.

Wiedział, że Hickey obserwuje go od organów, a Leary i Megan przyglądają mu się z chóru. Wiedział, że sądzą, iż ma zamiar uwolnić Maureen. Pojął, tak jak pojęli to pozostali troje, że ten moment stanowi punkt krytyczny, sprawdzian jego pozycji jako przywódcy. Czy ktoś z nich spróbuje go powstrzymać? Parę godzin wcześniej nie śmieliby o tym nawet myśleć.

Dotarł do klatki schodowej i przystanął, nie z wahaniem, lecz wyzywająco, popatrzył w stronę chóru, potem na organy prezbiterium. Nikt się nie odezwał, nikt się nie poruszył. Czekał z rozmysłem, wpatrując się w głąb katedry, potem zszedł po schodach. Zatrzymał się na półpiętrze obok Gallaghery.

– Odpocznij sobie, Frank.

Gallagher spojrział na niego oraz na Maureen. Flynn dostrzegł wyraz zrozumienia i aprobaty na jego twarzy. Oczy Gallaghera i Maureen spotkały się, mężczyzna chciał coś powiedzieć, lecz odwrócił się nagle i wbiegł pospiesznie po schodach. Flynn z wysokości kilku stopni popatrzył na bramę, później okręcił się, by stanąć z Maureen twarzą w twarz.

Maureen rozumiała, że Brian Flynn umocnił swoją pozycję, narzucił swoją wolę pozostałym. Wiedziała też, że chce posunąć się jeszcze o krok dalej – zamierza ją uwolnić. Nie wiedziała, czy robi to dla niej, czy dla siebie, a może aby pokazać, że może robić, co mu się żywnie podoba, by pokazać, że jest Finnem MacCumaiem, wodzem fenian. Zeszła po schodach i stanęła przed bramą. Flynn poszedł za nią i przesunął rękę między kratami.

– Tu spotykają się dwa światy, świat sacrum i świat profanum, królestwo żywych i umarłych. Czy kiedykolwiek przedtem tak odmienne światy rozdzielane były przez tak niewiele?

Maureen zapatrzyła się w głąb cichej zakrystii i ujrzała świecę wotywną migoczącą na ołtarzu w kaplicy duchownych, stoły pod ścianami pokryte równo złożonymi białymi i szkarłatnymi obrusami ołtarzowymi okresu wielkopostnego. Wielkanoc, pomyślała. Wiosna. Zmartwychwstanie i życie. Spojrzała na Flyna.

– Wybierzesz życie? – zapytał. – Pójdiesz bez innych?

– Tak. Pójdę, ale nie bez ciebie.

Spojrzał na nią i potrząsnął głową.

– Nie mogę... na miłość boską, Maureen... nie mogę. – Po chwili ciągnącej się niczym wieczność usłyszał jej kroki oddalające się na schodach.

Flynn przyjrzał się Pedarowi Fitzgeraldowi skulonemu obok pulpitu organów, z kocem podciągniętym pod oblepiony zakrzeplą krwią podbródek. Hickey siedział oparty o klawiaturę, jego twarz była blada, niemalże woskowa. Połowy telefon zadzwonił i Hickey się poruszył. Po kolejnym dzwonku Flynn podniósł słuchawkę.

– Wróciłem na moje poprzednie stanowisko – rozległ się głos Mullinsa. – Z dzwonami już koniec, tak?

– Tak... jak tam wygląda na zewnątrz?

– Na dole bardzo spokojnie – odparł Mullins. – Ale nieco dalej ulice nadal są pełne ludzi.

Flynn wychwycił nutę zdumienia w głosie młodego mężczyzny.

– Świętują do późna, nie? Uczyniliśmy tegoroczny Dzień Świętego Patryka czymś wartym zapamiętania.

– Nie było nawet godziny policyjnej – stwierdził Mullins.

Flynn się uśmiechnął. Ameryka przypominała mu „Titanica” – głęboki przechyl, trzystustopowa szczelina w burcie, a jednak w salonie nadal podawane są napoje.

– Nie jak w Belfaście, prawda?

– Nie.

– Czy zauważasz na dole jakiś niepokój? Jakies zamieszanie?

Mullins po chwili zastanowienia odpowiedział:

– Nie, sprawiają wrażenie rozluźnionych. Przemarznięci i zmęczeni, to pewne, ale na luzie. Żadnego przekazywania rozkazów, żadnego napięcia poprzedzającego atak.

– Jak wytrzymujesz zimno?

– Przestałem zwracać na to uwagę.

– Cóż, ty i Rory pierwsi zobaczycie wschodzące słońce.

Mullins już parę godzin temu przestał wierzyć w to, że doczeka świtu.

– Taak, wschód słońca widziany z dzwonnicy Świętego Patryka w Nowym Jorku. To godne wiersza.

– Przeczytasz mi go później. – Flynn rozłączył się i podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu katedry. – Dajcie mi kapitana Schroedera. – Gdy telefonista łączył rozmowę, Flynn przyjrzał się twarzy Hickeya. Zwykle była ona pełna życia, wyrazista, lecz we śnie przypominała maskę pośmiertną.

– Tak... – Głos Schroedera brzmiał nieco niewyraźnie.

– Tu Flynn. Obudziłem pana?

– Nie, proszę pana. Czekaliśmy na cogo dzinny telefon pana Hickeya. Powiedział... ale cieszę się, że pan zadzwonił. Chciałem z panem pomówić.

– Myślało się, że nie żyję, co?

– No nie... pan grał na dzwonach, prawda?

– Jak to tam u was brzmiało?

Schroeder odchrząknął.

– Zapowiada się pan całkiem obiecująco.

– Proszę – Flynn się roześmiał – czyżby zaczynało się w panu rozwijać poczucie humoru, kapitanie?

Schroeder zaśmiał się z zażenowaniem.

– A może tak się pan cieszy z tego, że rozmawia pan ze mną, nie z Hickeyem?

Schroeder nie odpowiedział.

– I jak tam im się wiedzie w stolicach? – zapytał Flynn.

– Dziwią się, dlaczego nie odpowiedział pan na to, co przekazał wam inspektor Langley.

– W głosie Schroedera brzmiała rezerwa.

– Obawiam się, że nie za bardzo pojmuję.

– Przez telefon nie mogę powiedzieć nic więcej.

– Rozumiem... W takim razie może zejdzie pan do zakrystii i tam sobie porozmawiamy?

– Nie wolno mi tego zrobić – odparł Schroeder po długiej przerwie. – To wbrew przepisom...

– Tak samo jak spalenie katedry, a to właśnie się wydarzy, jeśli nie porozmawiamy, kapitanie.

– Pan mnie nie rozumie, panie Flynn. Istnieją szczegółowo opracowane zasady. Zakładam, że pan o tym wie. Negocjator nie może wystawiać się na... na...

– Nie zabiję pana.

– Eee... wiem, że nie, ale... Zaraz, pan i porucznik Burke macie... A może porozmawia pan z nim przy bramie?

– Nie, chcę porozmawiać przy bramie z panem.

– Ja...

– Nie jest pan nawet ciekaw, jak wyglądam?

– Ciekawość nie odgrywa roli...

– Czyżby? Wydaje mi się, kapitanie, że spośród wszystkich ludzi pan najprędzej doceniłby wartość bezpośredniego kontaktu.

– Nie ma specjalnej wartości w...

– Ilu wojen można by uniknąć, gdyby wodzowie mogli zobaczyć twarz tego drugiego człowieka, dotknąć się wzajemnie, poczuć spotniały zapach swojego strachu?

– Chwileczkę – powiedział Schroeder.

Flynn usłyszał pstryknięcie telefonu i po minucie Schroeder odezwał się ponownie.

– W porządku.

– Pięć minut. – Flynn odłożył słuchawkę i szturchnął brutalnie Hickeya. – Podśluchiwałeś?

– Oczywiście. – Hickey otworzył jedno oko.

Flynn złapał go za ramię i ścisnął mocno. Któregoś dnia, ty stary draniu, opowiesz mi o konfesjonale, o tym, co mówiłeś Schroederowi i o tym, co mówiłeś moim ludziom i zakładnikom. I opowiesz mi o tym kompromisie, który nam zaoferowano.

Hickey szarpnął się i wyprostował.

– Puszczaj! Stare kości łatwo się łamią.

– Mogę złamać te w twoim karku.

Hickey spojrzał na Flynn'a bez cienia bólu na twarzy.

– Uważaj. Tylko uważaj.

Flynn uwolnił jego ramię i odtrącił je.

– Mnie nie wystraszysz.

Hickey milczał, lecz w jego spojrzeniu widać było nie skrywaną wściekłość. Flynn zerknął na Pedara Fitzgeralda.

– Opiekujesz się nim?

Hickey nie odpowiedział. Flynn przyjrzał się dokładniej twarzy Fitzgeralda i zobaczył, że jest biało-woskowa, tak jak twarz Hickeya.

– On nie żyje – powiedział.

– Umarł jakąś godzinę temu – odparł Hickey beznamiętnie.

– Megan...

– Kiedy zadzwoni, powiem jej, że wszystko w porządku, a ona uwierzy, bo chce w to uwierzyć. Ale w końcu...

Flynn spojrzał na Megan spacerującą po chórze.

– Mój Boże, ona... – Odwrócił się do Hickeya. – Powinniśmy byli sprowadzić lekarza...

– Gdybyś nie był tak bardzo pochłonięty swoimi pieprzonymi dzwonami – odparł Hickey – mógłbyś zrobić coś w tym stylu.

– Ty mogłeś...

– Ja? A po jaką cholere miałoby mi zależeć na tym, czy on żyje, czy nie?

Flynn poczuł, jak świat wokół niego zaczyna wirować.

– Co zobaczyłeś, Brian? – zapytał Hickey. – Aż tak przerażające? – Zachichotał i zapalił fajkę.

Flynn wycofał się do ambitu i spróbował zapanować nad rozszalałymi myślami. Na nowo oszacował każdą osobę obecną w katedrze, aż wreszcie był pewien, że zna ich motywy, prawdopodobieństwo zdrady z ich strony... stopień oddania oraz ich słabości. W końcu skoncentrował się na Learym i zadał sobie pytanie, które zadać powinien parę miesięcy wcześniej. Dlaczego Leary się tu znajdował? Dlaczego zawodowy zabójca miałby pakować się w sytuację bez drogi ucieczki? Leary musiał mieć w rękawie kartę, o której istnieniu nikt nie wiedział. Flynn otarł pot z czoła i przeszedł do prezbiterium.

– Chcesz powiedzieć Schroederowi o jego ukochanej córeczce? – zawołał Hickey. – Powiedz mu ode mnie, tylko użyj dokładnie tych samych słów, że jego córka jest martwą dziwką!

Flynn zszedł po schodach za ołtarzem. Gallagher stał na półpiętrze z M-16 przewieszonym przez pierś.

– W księgarni czeka na ciebie kawa – powiedział Flynn.

Gallagher skierował się w górę, a Flynn podszedł do bramy.

Fragmenty łańcucha splecione były ze sobą i spięte nową kłódką. Flynn przyjrzał się uszkodzonemu zamkowi – jeszcze jeden, góra dwa pociski i ustąpiłby. Ale w magazynku thompsona było tylko pięćdziesiąt pocisków. Nie pięćdziesiąt dwa, ale pięćdziesiąt... a rakietka M-72 mogła zniszczyć saracena, a autobus do Clady przejeżdżał drogą Shankhill koło opactwa Whitethorn... i wszystko to uważane było za dzieło przypadku, działanie praw probabilistyki, pozbawione znaczenia...

Flynn spojrzał w głąb zakrystii. Ludzie rozmawiali w bocznych korytarzach, a ze środkowego otworu w lewej ścianie usłyszał zbliżające się kroki.

Schroeder wszedł do zakrystii, rozejrzał się, obrócił ku Flynnowi i powoli wspiął po schodach. Stał stopień poniżej bramy, patrząc Flynnowi prosto w oczy. Upłynęła długa chwila, nim Flynn powiedział:

– Tak sobie mnie pan wyobrażał?

– Widziałem pańskie zdjęcie – odparł sztywno Schroeder.

A ja pańskie. Ale czy wyobrażał pan sobie mnie właśnie tak? Schroeder pokręcił głową. Znów zapadła cisza. Wreszcie Flynn odezwał się szybko:

– Sięgnę teraz do kieszeni. – Wyjął wykrywacz mikrofonów i przesunął nim wzdłuż ciała Schroedera. – To będzie bardzo osobista rozmowa.

– Zrelacjonuję moim przełożonym wszystko, co zostanie tu powiedziane.

– Założę się o swoją głowę, że nie.

Twarz Schroedera przybrała wyraz zakłopotania i czujności.

– Czy jesteście teraz bliżsi spełnienia moich żądań? – zapytał Flynn.

Schroeder nie lubił bezpośrednich negocjacji. Wiedział, gdyż inni mu to powiedzieli, że jego twarz zdradza, zbyt wiele. Odchrząknął.

– Żąda pan niemożliwego. Zaakceptujcie kompromis.

Flynn zauważył twardość w głosie Schroedera, brak „proszę panów” w jego mowie i skrepowanie bijące z jego ruchów.

– A na czym miałyby polegać ten kompromis?

Brwi Schroedera uniosły się nieznacznie.

– Czy Hickey nie...

– Po prostu proszę jeszcze raz powtórzyć warunki.

Schroeder przedstawił propozycję i dodał:

– Zgódźcie się, zanim Brytyjczycy rozmyślą się co do zwolnienia warunkowego. A jeśli o was chodzi, niska kaucja to to samo co nietykalność. Na Boga, człowieku, żadnym porywaczom nie zaproponowano jeszcze tak wiele.

– Tak... – Flynn skinął głową. – Tak, to uczciwa propozycja... kusząca...

– Przyjmijcie ją! Przyjmijcie ją, zanim ktoś zginie...

– Obawiam się, że na to jest już trochę za późno.

– Co?

– Sir Harold zamordował chłopaka imieniem Pedar. Na szczęście nikt nie wie, że on nie żyje, oprócz Hickeya i mnie... no i przypuszczam, że Pedar też wie, że nie żyje... Cóż, gdy moi ludzie to odkryją, będą chcieli zabić Baxtera. Siostra Pedara, Megan, będzie chciała zrobić coś znacznie gorszego. To poważnie komplikuje sprawy.

Schroeder przesunął dłonią po twarzy.

– Jezu... proszę posłuchać, jestem pewien, że to nie było zamierzone.

– Baxter zmiażdżył mu krtań kolbą karabinu. Przypuszczam, że to mógł być przypadek. Ale to nie zmienia ani odrobinę stanu Pedara.

Mózg Schroedera pracował na przyspieszonych obrotach. Zaklął w myślach: „Baxter, ty dumny idioto.”

– Proszę posłuchać, mamy do czynienia z próbą ucieczki jeńca wojennego... obowiązkiem Baxtera jest próbować... jest pan żołnierzem...

Flynn nie odpowiedział.

– Ma pan teraz okazję wykazać swoje zawodowstwo... udowodnić, że nie jest pan zwykłym bandy... – Zatrzymał się w porę. – Okazać miłosierdzie i...

– Schroeder, jest pan bez najmniejszych wątpliwości półkrwi Irlandczykiem – przerwał Flynn. – Tylko parę razy spotkałem kogoś potrafiącego gadać równe bzdury w każdej sytuacji.

– Mówię poważnie...

– Cóż, los Baxtera zależy w znacznej mierze od tego, co pan teraz zrobi.

– Nie, to zależy od tego, co pan teraz zrobi. Następny ruch należy do pana.

– I mam zamiar go uczynić. – Flynn zapalił papierosa i zapytał: – Jak dalece zaawansowane są plany ataku?

– Nie bierzemy tego pod uwagę jako możliwego rozwiązania – odparł Schroeder.

Flynn spojrział na niego.

– Złapałem pana na kłamstwie, drga panu lewa powieka. Jezu, Schroeder, pański nos się wydłuża. – Roześmiał się. – Powinienem był ściągnąć pana tu na dół dużo wcześniej. Burke był zbyt opanowany.

– Zaraz, prosił mnie pan o prywatne spotkanie, a więc musiał pan mieć mi coś do powiedzenia...

– Chcę, by pomógł nam pan dostać to, czego chcemy.

– To właśnie przecież robię. – Schroeder wyglądał na zirytowanego.

– Nie, chodzi mi o wszystko, czego chcemy. Nie wkłada pan w to całego serca. Jeżeli negocjacje zawiodą, nie straci pan nawet w przybliżeniu tak wiele, jak większość ludzi tutaj czy też jak ESD Belliniego. Ich czekają straty rzędu pięćdziesięciu do stu ludzi.

Schroeder pomyślał o swojej pochopnej propozycji złożonej Belliniemu.

– Nie będzie żadnego ataku.

– Czy wie pan, że Burke powiedział mi, iż pójdzie z Bellinim? To kolejny człowiek, który może stracić bardzo dużo, jeżeli pan zawiedzie. Czy pan poszedłby z Bellinim?

– Burke nie mógł tego powiedzieć, gdyż Bellini niczego nie robi. – Schroeder miał nieprzyjemną świadomość, że daje się w coś wciągnąć, a nie mógł przecież popełnić błędu na tak ważnym etapie. – Spróbuję wystarać się dla was o więcej tylko wtedy, jeżeli dacie mi dodatkowe dwie godziny po wschodzie słońca.

Flynn zignorował go i ciągnął dalej:

– Pomyślałem, że lepiej będzie, gdy dostarczę panu bardzo osobistego motywu, by nakłaniać tych ludzi do kapitulacji.

Schroedera zaczął ogarniać niepokój.

– Widzi pan, oto sytuacja, jakiej nie opisał pan w swej pod innymi względami bardzo szczegółowej książce. – Flynn przysunął się do kraty. – Pańska córka bardzo by chciała, żeby starał się pan jeszcze bardziej.

– Co...?

– Terri Schroeder O’Neal. Ona chce, żeby starał się pan jeszcze bardziej.

Przez kilka sekund Schroeder patrzył przed siebie pustym wzrokiem, potem powiedział głośno:

– O czym, do diabła, pan opowiada?

– Proszę mówić ciszej. Zdenerwuje pan policjantów.

– O czym, do kurwy nędzy, pan mówi? – wycedził Schroeder przez zaciśnięte zęby.

– Proszę, jest pan w kościele. – Flynn przesunął przez kraty kawałek papieru.

Schroeder złapał go gwałtownie i odczytał list napisany charakterem pisma swojej córki: „Tato – jestem przetrzymywana jako zakładniczka przez członków Armii Feniańskiej. Nic mi nie jest. Nie zrobią mi krzywdy, jeżeli ta sprawa z katedrą skończy się pomyślnie. Zrób wszystko, co w Twojej mocy. Kocham Cię, Terri.” Schroeder przeczytał list jeszcze raz i jeszcze raz. Poczul, że uginają się pod nim nogi, i uchwycił się kurczowo krat bramy. Spojrzał na Flynna i spróbował coś powiedzieć, ale nie zdołał dobyć z gardła żadnego dźwięku.

– Witamy w Armii Feniańskiej, kapitanie Schroeder – rzekł beznamiętnie Flynn.

Schroeder kilkakrotnie przełknął ślinę i ponownie wlepił wzrok w kartkę.

– Przykro mi – powiedział Flynn. – Naprawdę jest mi przykro. Nie musi pan nic mówić, po prostu słuchać. – Zapalił kolejnego papierosa i rzekł szybko: – Oczekujemy od pana, że poprze pan nasze żądania jak najmocniejszymi argumentami. Po pierwsze, proszę im powiedzieć, że przemaszerowało przed panem sześćdziesięciu dobrze uzbrojonych ludzi. Karabiny maszynowe, rakiety, granaty, miotacze płomieni. Proszę im powiedzieć, że jesteśmy gotowi, chętni i zdolni do zabrania ze sobą do grobu całej sześćsetosobowej sekcji ESD, do zniszczenia katedry i do zabicia zakładników. Innymi słowy, niech pan wystraszy Belliniego i jego bohaterów na śmierć. Jasne? – Przerwał na chwilę. – Nigdy nie będą podejrzewać, że raport kapitana Schroedera donoszący o zaobserwowaniu znacznej liczby dobrze uzbrojonych żołnierzy jest fałszywy. Proszę użyć swojej wyobraźni albo jeszcze lepiej, proszę spojrzeć na ten podest, Schroeder. Proszę wyobrazić sobie czterdziestu, pięćdziesięciu ludzi przechodzących przed tymi drzwiami do krypty, proszę wyobrazić sobie te karabiny maszynowe, rakiety, miotacze płomieni... Dalej, niech pan tam spojrzy.

Schroeder spojrzął i Flynn ujrzał w jego oczach dokładnie to, co chciał ujrzeć.

– Proszę się uspokoić – powiedział. – Uratuje pan swoją córkę tylko wtedy, gdy weźmie się pan w garść. O, tak. A teraz... jeżeli to nie zadziała, jeżeli nadal przygotowywać się będą do ataku, proszę zagrozić odwołaniem się do opinii publicznej, radia, telewizji, gazet. Proszę powiedzieć Kline’owi, Doyle’owi i całej reszcie, iż uważa pan, że ani atak, ani też dalsze negocjacje nie zdołają uratować sytuacji. Proszę powiedzieć, iż ogłosi pan publicznie, że po raz pierwszy w swojej karierze nalega pan na kapitulację, ze względów zarówno humanitarnych, jak i taktycznych. – Flynn spojrzął na twarz Schroedera, lecz dostrzegł jedynie cierpienie. – Ma pan znaczne wpływy, autorytet moralny i zawodowy, w mass mediach, w policji i w kręgach polityków. Proszę użyć tego wszystkiego. Musi pan

wytworzyć taką presję i taką atmosferę, że rządy brytyjski i amerykański zmuszone będą skapitulować.

– Czas... potrzebuję więcej czasu... – Głos Schroedera był ledwie słyszalny. – Dlaczego nie da mi pan więcej czasu...?

– Gdybym powiedział panu wcześniej, nie przetrzymałby pan nocy albo wyznałby pan to komuś. Ma pan tyle czasu, ile pozostaje go do świtu. Mniej, jeżeli nie potrafi pan powstrzymać ataku, mniej, jeśli potrafi pan nakłonić ich do otwarcia bram więzień. Proszę nad tym popracować.

Schroeder przycisnął twarz do krat.

– Flynn... proszę! Posłuchaj mnie...

– Tak, wiem, że jeżeli uda się to panu i wyjdziemy stąd wolni, zostaniemy bez wątpienia policzeni i ludzie zaczną się dziwić, gdzie podziały się te wszystkie miotacze płomieni... Cóż, będzie pan zakłopotany, ale na wojnie i w miłości wszystkie chwytty są dozwolone. C'est la guerre i wszystkie te pierdoły. Proszę nawet nie wybiegać tak daleko w przyszłość i nie być samolubnym.

Głowa Schroedera trzęsła się, z jego ust wypadały niespójne słowa. Flynn potrafił z tego zrozumieć jedynie „więzienie”.

– Pańska córka będzie mogła odwiedzać pana w weekendy. Nawet i ja pana odwiedzę – rzekł z ironią.

Schroeder utkwiał w nim spojrzenie. Z jego gardła dobył się zdławiony dźwięk.

– Przepraszam, to było podłe – powiedział Flynn. – Jeżeli to ma dla pana jakiegokolwiek znaczenie, przyznaję, nie jestem zadowolony, że musiałem się do tego uciec. Ale sprawy nie wyglądały dobrze i wiedziałem, że będzie pan chciał pomóc nam, pomóc Terri, jeżeli zrozumie pan położenie, w jakim się znalazła. – W jego głosie zabrzmiała twardość. – Naprawdę powinna staranniej dobierać sobie kochanków. Dzieci mogą być źródłem takich kłopotów dla swoich rodziców, zwłaszcza dla rodziców aktywnych na forum publicznym. Seks, narkotyki, radykalna polityka...

Schroeder potrząsał głową.

– Nie... nie macie jej. Blefuje pan...

– Ale w tej chwili nic jej nie grozi – kontynuował Flynn. – Dan, tak ma na imię jej przyjaciel, jest miły, troskliwy, prawdopodobnie niezły z niego kochanek. Tak już bywa, że niektórym żołnierzom przypadają łatwe zadania, a inni walczą i giną. Rzut kości i tak dalej. Z drugiej strony, nie chciałbym być na miejscu Dana, jeżeli dostanie rozkaz wpakować kulę w tył głowy Terri. Żadnego okulawiania, nic z tych rzeczy. Jest niewinna i dostanie szybką kulę, nie wiedząc nawet, że nadszedł już jej czas. A więc, czy mamy jasność co do tego, co każdy z nas powinien zrobić?

– Nie zrobię tego – powiedział Schroeder.

– Jak pan chce. – Flynn odwrócił się i zaczął wspinać po schodach. Na odchodnym zawołał: – Za jakąś minutę na dzwonnicy zamigocze światło, a moi ludzie na zewnątrz zadzwonią do Dana i... i obawiam się, że będzie to koniec Terri Schroeder O’Neal. – Ruszył ponownie w górę.

– Proszę poczekać! Zaraz, może uda nam się dojść do porozumienia. Chwileczkę! Nie odchódź!

Flynn odwrócił się powoli.

– Obawiam się, że nie podlega to negocjacom, kapitanie. – Zawahał się i dodał: – To nieprzyjemne uczucie, gdy jest się osobiście zaangażowanym, prawda? Czy pomyślał pan kiedykolwiek o tym, że każdy człowiek, z którym pan negocjował, był osobiście zaangażowany? Cóż, nie mam zamiaru mścić się na panu za pańskie przeszłe sukcesy. Miał pan do czynienia z kryminalistami, a ci prawdopodobnie zasługiwali na te śliskie kompromisy, które pan dla nich uzyskał. Pan i ja zasługujemy na coś lepszego. Nasze losy są ze sobą splecione, nasze cele są takie same, czyż nie tak? Tak albo nie, kapitanie. Szybko!

Schroeder skinął głową.

– Słuszna decyzja. – Flynn zszedł po schodach, zbliżył się do kraty i wyciągnął rękę.

Schroeder spojrzał na nią, ale potrząsnął głową.

– Nigdy.

– W porządku. – Flynn cofnął rękę. – Cóż... w porządku...

– Mogę teraz odejść? – zapytał Schroeder.

– Tak... aha, jeszcze jedno. Jest całkiem możliwe, że nie powiedzie się panu, nawet mimo malowniczych opisów miotaczy płomieni i grózb publicznych oświadczeń... tak więc powinniśmy zaplanować coś na wypadek niepowodzenia.

Wyraz twarzy Schroedera świadczył o tym, że wiedział, co teraz nastąpi.

– Jeżeli Bellini mimo wszystko otrzyma rozkaz ataku, co może pan uczynić, by go powstrzymać? – Głos Flynna był pewny i beznamiętny. – Będzie miał pan jeszcze jedną możliwość uratowania Terri.

– Nie.

– Tak, obawiam się, że będzie pan musiał zejść tutaj i powiedzieć mi kiedy, gdzie, jak i tym podobne detale.

– Nie! Nie, nigdy nie... nigdy nie naraziłbym funkcjonariuszy policji na śmierć...

– I tak spotka ich śmierć. Również zakładników, fenian oraz Terri. A więc jeśli chce pan uratować przynajmniej ją, musi pan dostarczyć mi plany operacyjne...

– Nie powiedzą mi...

– Już pańska w tym głowa, by powiedzieli. Najprostszym rozwiązaniem jest wystraszenie do nieprzytomności Belliniego, tak by sam odmówił ataku. Ma pan mnóstwo możliwości. Chciałbym mieć ich tak wiele.

Schroeder wytarł czoło. Jego oddech był urywany, a głos niepewny.

– Flynn... proszę... Poruszę niebo i ziemię, by nakłonić ich do kapitulacji, przysięgam przed Bogiem, że tak będzie, ale jeżeli nie posłuchają... – Wyprostował się. – Wtedy ich nie zdradzę. Nigdy. Nawet gdyby to oznaczało, że Terri...

Flynn chwycił Schroedera za ramię.

– Użyj swojej głowy, człowieku. Gdy raz zostaną odparci, mało prawdopodobne, by zaatakowali ponownie. To nie piechota morska ani królewscy komandosi. Jeżeli ich odepchnę, Waszyngton, Watykan i inne zainteresowane kraje wywrą nacisk na Londyn. Mogę nieomal zagwarantować, że mniej policjantów zginie, jeżeli powstrzymam ich od razu, zanim dojdzie do totalnej bitwy. Musi mi pan powiedzieć, czy mają architekta i plany, czy użyją gazu, czy planują wyłączenie prądu. Pan sam wie, czego mi trzeba. A ja umieszczę zakładników w krypcie dla ich bezpieczeństwa. Wyślę sygnał i Terri zostanie uwolniona w przeciągu pięciu minut. O nic więcej nie będę pana prosił.

Głowa Schroedera się zatrzęsa. Flynn wyciągnął drugą rękę i położył dłoń na barku Schroedera. Odezwał się prawie łagodnie:

– Długo po tym, jak wszyscy będziemy już martwi, to, co wydarzyło się tutaj, będzie jedynie mglistym wspomnieniem w pamięci obojętnego świata, Theresa będzie żyła, być może ponownie zamężna, dzieci, wnuki. Proszę zapomnieć o tym, co pan teraz czuje, kapitanie, i spojrzeć w przyszłość. Proszę pomyśleć o niej i proszę pomyśleć o pańskiej żonie. Ta dziewczyna jest dla Mary wszystkim, Bert. Ona... Schroeder wyszarpnął się nagle z uchwytu Flynna.

– Zamknij się! Na miłość boską, zamknij się... – Osunął się w przód, opierając czołem o kraty.

– Jest pan przyzwoitym człowiekiem, kapitanie. – Flynn poklepał go po ramieniu. – Uczciwym człowiekiem. I dobrym ojcem... mam nadzieję, że o świecie nadal będzie pan ojcem. Więc... będzie pan?

Schroeder skinął głową.

– Świetnie. Niech pan teraz idzie, napije się czegoś mocniejszego i weźmie w garść. Nie, proszę nie myśleć o swoim rewolwerze. Zabicie mnie albo siebie nie rozwiązałyby niczyjego problemu poza pańskim własnym. Proszę myśleć o Terri i Mary. One pana potrzebują i kochają. Do zobaczenia później, kapitanie, jeśli Bóg pozwoli.

W jednym z pomieszczeń rezydencji kardynalskiej gubernator Doyle stał z telefonem w dłoni. Wysłuchał już opinii długiej listy urzędników stanowych: policjantów, ludzi od kontaktów z prasą, deputowanych do parlamentu, prokuratora generalnego, dowódcy stanowej Gwardii Narodowej. Mówili do niego z Albany, z urzędów stanowych w Centrum Rockefellera, ze swoich domów i z domów wypoczynkowych w miejscach o cieplejszym klimacie. Wszyscy ci ludzie, normalnie nie potrafiący się zdecydować, czy na bankiecie zamówić kurczaka czy wołowinę, postanowili, że nadszedł czas, by wziąć katedrę szturmem.

Zastępca gubernatora powiedział otwarcie, choć niezbyt taktownie, iż jego pozycja w sondażach opinii publicznej jest tak niska, że nie ma nic do stracenia i popierając atak na katedrę, może jedynie zyskać, niezależnie od tego czy zakończy się on klęską, czy powodzeniem. Doyle odłożył słuchawkę na widelki i spojrzął na wchodzących do pomieszczenia.

Kline, jak zauważył, przyprowadził ze sobą Spiegel, co oznaczało, że będzie można podjąć decyzję. Prałat Downes zajął miejsce obok Arnolda Sheridana z Departamentu Stanu. Na kanapie usiedli irlandzki konsul generalny Donahue i przedstawiciel brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Eric Palmer. Komisarz Rourke stał przy drzwiach, dopóki Kline nie wskazał mu krzesła.

Doyle spojrzął na Bartholomew Martina, który nie piastował już żadnej oficjalnej funkcji, ale którego osobiście zaprosił. Bez względu na to, co opowiadano na jego temat, Martin stanowił niezastąpione źródło informacji. Gubernator odchrząknął i zaczął:

– Panowie, panno... pani Spiegel, poprosiłem was tutaj, ponieważ odnoszę wrażenie, że nas przede wszystkim dotyczy obecna sytuacja. – Rozejrzał się po pomieszczeniu. – I zanim stąd wyjdziemy, przetniemy ten węzeł gordyjski. – Machnął ręką w geście rozcinańczego. – Przebijemy się przez wszystkie problemy taktyczne i strategiczne, uwarunkowania polityczne i dylematy moralne, które paraliżowały naszą wolę i naszą zdolność do działania! – Przerwał i zwrócił się do prałata Downesa. – Ojczy, czy zechce ojciec powtórzyć wszystkim najświeższe informacje z Rzymu?

– Tak, Jego Świątobliwość zamierza osobiście zaapelować do fenian jako chrześcijan, by oszczędzili katedrę i zakładników – powiedział Downes. – Zaapeluje też do zaangażowanych rządów o okazanie powściągliwości i odda im do dyspozycji pomieszczenia Watykanu, gdzie oni i fenianie będą mogli kontynuować negocjacje.

W pokoju zaległa cisza, którą przerwał major Martin:

– Przywódcy trzech zainteresowanych rządów stawiają sobie za punkt honoru odmowę wszelkich rozmów z terrorystami...

Prałat machnął ręką, jakby chciał rozproszyć w ten sposób wszelkie wątpliwości.

– Jego Świątobliwość przemawiać będzie nie jako przywódca państwa watykańskiego, lecz jako duchowy przywódca świata.

Przedstawiciel Wielkiej Brytanii, Palmer, powiedział:

– Taki apel postawiłby prezydenta Ameryki i premierów Irlandii oraz Wielkiej Brytanii w kłopotliwej...

Prałat Downes sprawiał wrażenie poirytowanego negatywną reakcją obecnych.

– Jego Świątobliwość uważa, że Kościół musi uczynić co tylko jest w jego mocy dla tych wygnańców, gdyż na tym polegała nasza misja przez dwa tysiące lat. Ci ludzie nas potrzebują. – Podał gubernatorowi kartkę papieru. – Oto tekst apelu Jego Świątobliwości.

Gubernator Doyle przeczytał krótkie posłanie i przekazał je burmistrzowi Kline'owi.

– Chcielibyśmy, by zostało ono dostarczone ludziom w katedrze w tym samym czasie, gdy odczytywane będzie w radiu i telewizji – oświadczył prałat Downes. – W ciągu najbliższej godziny, przed świtem.

Gdy wszyscy zapoznali się już z tekstem papieskiego apelu, Eric Palmer powiedział:

– Kilka lat temu spotkaliśmy się w tajemnicy z IRA, a oni ogłosili to publicznie. Reperkusje wstrząsnęły rządem. Nie sądzę, byśmy byli gotowi rozmawiać z nimi ponownie, a już na pewno nie w Watykanie.

– Ojciec – dodał Donahue ze smutkiem w głosie – rząd w Dublinie zdelegalizował IRA w latach dwudziestych i nie sądzę, by Dublin poparł w tej sprawie Watykan...

– Jak wiemy, zaproponowaliśmy im już kompromis, a oni nie odpowiedzieli – rzekł Martin. – Papież oszczędzi sobie i nam wszystkim dużego zakłopotania, jeżeli powstrzyma się od tego apelu.

– Fenianie mogą się udać do Watykanu wyłącznie wtedy, gdy ja ich wypuszczę – dodał burmistrz Kline. – A ja nie mogę tego zrobić. Muszę egzekwować prawo.

Arnold Sheridan odezwał się po raz pierwszy, a ton jego głosu wskazywał na nieodwołalność zajętą przez jego zwierzchników stanowiska.

– Rząd Stanów Zjednoczonych ma powody, by przypuszczać, że federalne przepisy paszportowe i prawo o posiadaniu broni zostały naruszone, lecz pod innymi względami jest to sprawa o charakterze całkowicie lokalnym. Nie udamy się nigdzie, by dyskutować o zwolnieniu irlandzkich więźniów w Zjednoczonym Królestwie czy też o immunitecie sądowym dla ludzi znajdujących się w katedrze.

– Jedyne miejsce, w którym mogą odbywać się negocjacje, to ten budynek. – Spiegel spojrzała na Downesa. – Polityką policji w tym mieście jest izolowanie podobnych sytuacji, a nie dopuszczanie do tego, by się rozprzestrzeniały. Prawo zaś nakazuje aresztować przestępców przy pierwszej nadarzającej się sposobności. Innymi słowy, okopy są już pogłębione i nikt nie wyjdzie z nich, wymachując białą flagą i prosząc o rozejm.

Prałat zacisnął wargi i skinął głową.

– Rozumiem wasze stanowisko, ale Kościół, przez tak wielu z państwa uważany za nieustępliwy i nieugięty, chce spróbować coś zrobić. Sądzę, iż powinniście wiedzieć, że osobiste apele do wszystkich zaangażowanych stron wygłoszone zostaną przez arcybiskupa Canterbury, prymasa Irlandii i setki innych duchowych przywódców wszelkich wyznań i religii. I w prawie każdym kościele i synagodze tego miasta, jak również w innych miastach, ogłoszone zostały całonocne czuwania modlitewne. A o piątej rano wszystkie dzwony kościelne w tym mieście i prawdopodobnie w całym kraju zaczną bić, wzywając do opamiętania, błagając o miłosierdzie.

Roberta Spiegel wstała i zapaliła papierosa.

– Nastawienie społeczeństwa, mimo tych dzwonów i śpiewów na ulicach, jest bardzo radykalne. Jeżeli podejmiemy do tego łagodnie, a o szóstej trzy sytuacja eksploduje nam

prosto w twarz, wylatujemy wszyscy na zbity pysk i jestem pewna, że w naszej intencji nie zorganizuje się całonocnych czuwań modlitewnych. A więc skończmy wreszcie z tym pieprzeniem, z tym węzłem gordyjskim. Zdecydujmy, jak i kiedy zaatakujemy, i przygotujmy sobie odpowiednie uzasadnienie na potem.

Kilka osób wyciągnęło papierosy, a major Martin nalał sobie kardynalskiej sherry. Gubernator kiwnął z uznaniem głową:

– Podziwiam pani uczciwość i trafność spostrzeżeń, pani Spiegel, i...

– Po to nas tu pan zaprosił – spojrzała na niego – więc bierzmy się do roboty, gubernatorze.

Gubernator Doyle zaczerwienił się, lecz zdołał opanować gniew i powiedział:

– Dobry pomysł. – Powiódł wzrokiem po obecnych. – A więc zgadzamy się wszyscy, że kompromis nie stanowi dla nas rozwiązania, że fenianie nie skapitulują i że zrealizują swoje groźby o świecie?

Odpowiedziały mu ostrożne potaknięcia. Gubernator spojrzał na Arnolda Sheridana i zapytał:

– Jestem zdany na własne siły?

Sheridan kiwnął głową.

– Ale, nieoficjalnie, administracja chciałaby widzieć radykalne rozwiązanie? – zapytał Doyle.

– Rząd pragnie, by stanowiło to przesłanie, że na sytuacje tego rodzaju zawsze odpowiadać będziemy siłą – powiedział Sheridan, wstał i przeszedł do drzwi. – Dziękuję panu, gubernatorze, za umożliwienie mi wniesienia mego wkładu do dyskusji. Jestem przekonany, że podejmiecie właściwą decyzję.

Burmistrz Kline spojrzał na zamykające się drzwi i stwierdził:

– Cumy zostały przecięte. – Obrócił się do Donahue'a i Palmera. – Widzicie, panowie, system federalny działa cudownie. Oni zbierają podatki i uchwalają prawa, a burmistrz Kline zwalcza terroryzm. – Podniósł się i zaczął spacerować po pokoju. – Czy rozumiecie, panowie, że jest w mej mocy jako zgodnie z prawem wybranego burmistrza tego miasta nakazać szturm katedry?

Żaden z dwóch mężczyzn nie odpowiedział.

– To mój obowiązek. – Kline podniósł głos. – I nie muszę uzgadniać tego z nikim.

Eric Palmer powstał i ruszył do drzwi.

– Zaoferowaliśmy im wszystkie możliwe wersje kompromisu... a jeżeli, jak pan sugeruje, jest to sprawa leżąca w kompetencji władz lokalnych, to nie ma podstaw, by rząd Jej Królewskiej Mości dalej się w nią angażował. – Spojrzał na Martina, który nie wykonał najmniejszego ruchu, by pójść w jego ślady, i skinął pozostałym głową. – Do widzenia – powiedział i wyszedł.

– Jest to dla mnie bardzo bolesne... – Tomas Donahue podniósł się z kanapy. – Mieszkam w tym mieście od pięciu lat, Święty Patryk to mój kościół parafialny, znam kardynała i ojca Murphy’ego... – popatrzył na prałata Downesa – ale nic nie mogę zrobić. – Przeszedł do drzwi i obrócił się. – Jeżeli będę potrzebny, jestem w konsulacie. Niech wam Bóg... – Wyszedł pośpiesznie.

– Milutka, szybciotka ewakuacja – podsumowała Spiegel.

Gubernator zahaczył kciuki o kieszenie swej kamizelki.

– Cóż... tak to jest. – Zwrócił się do Martina. – Majorze, czy nie zechciałby pan podzielić się z nami swymi przemyśleniami? Jako człowiek obeznany z IRA, jak by pan postąpił?

– Najwyższy czas, by zastanowić się nad operacją ratunkową – odparł Martin bez owijania w bawełnę.

Gubernator z namysłem skinął głową, świadom tego, że określenie „operacja ratunkowa” jako coś odmiennego od ataku czy szturm wyznacza subtelny punkt zwrotny. Wprowadzana i udoskonalana była frazeologia zbliżającej się akcji. Obrócił się gwałtownie do prałata Downesa.

– Czy jest ojciec gotów udzielić swego błogosławieństwa operacji ratunkowej?

Prałat podniósł szybko głowę.

– Czy jestem...? Cóż...

– Ojciec – gubernator Doyle przysunął się do Downesa – w chwilach kryzysu często to ludzie tacy jak my, będący pośrodku, muszą ponosić za wszystko odpowiedzialność. A my musimy działać. Brak działania jest rzeczą bardziej niemoralną od użycia siły. Ratunek, musimy uratować...

– Ale papieski apel... – próbował oponować prałat.

– Nie chciałbym widzieć, jak papież czy inni religijni przywódcy robią z siebie idiotów – wtrącił burmistrz Kline z drugiego końca pokoju. – Gdyby nawet sam Bóg wstawił się za fenianami, nie sprawiłoby to żadnej różnicy.

– Ale dlaczego ja? – Prałat Downes przesunął dłońmi po policzkach. – Jakie znaczenie ma to, co powiem...?

Kline odchrząknął.

– Mówiąc całkowicie szczerze, nie zrobię niczego, by uwolnić tych ludzi ani by uratować katedrę, jeżeli nie otrzymam błogosławieństwa od wysoko postawionego w hierarchii kościelnej kapłana katolickiego. Prałat by wystarczył, najlepiej Irlandczyk jak ojciec. Nie jestem głupcem, tak jak i ojciec.

– Och, Boże. – Downes osunął się bezwładnie w fotelu.

Rourke podniósł się ze swego krzesła i podszedł do księdza. Przykląkł przy jego fotelu i rzekł nabrzmiałym bólem głosem:

– Moi chłopcy to w większości katolicy, ojciec. Jeżeli będą musieli tam pójść, wprawdzie zechcą się z ojcem spotkać, wypowiedzieć, przekonać się, że ktoś z Kościoła błogosławi ich misję. W przeciwnym razie... nie wiem...

Prałat Downes ukrył twarz w dłoniach. Po pełnej minucie podniósł wzrok i skinął powoli głową.

– Niech Bóg ma mnie w swej opiece, ale skoro uważacie, że to jedyny sposób, by ich uratować... – Poderwał się nagle i prawie wybiegł z pomieszczenia.

Przez parę sekund trwało milczenie, wreszcie Spiegel powiedziała:

– Bierzmy się do pracy, zanim wszystko zacznie się sypać.

– Schroeder będzie musiał obwieścić, że poniósł całkowitą klęskę. – Burmistrz Kline pocierał w zamyśleniu podbródek.

– To żaden problem – odparł gubernator Doyle. – Po prostu powie prawdę. – Po chwili wahania dodał: – Pomogłoby też, gdybyśmy wydali oświadczenie dla prasy, równocześnie z rozpoczęciem operacji ratunkowej, że fenianie postawili nowe warunki oprócz tych, które skłonni byliśmy przedyskutować... – Przerwał gwałtownie. – Cholera, wszystkie rozmowy telefoniczne są nagrywane... Może Burke będzie mógł...

– Zapomnij o nim – przerwał Kline. – Schroeder rozmawia właśnie osobiście z Flynnem. To mu da możliwość ogłoszenia, że Flynn wysunął nowe żądania.

– Tak, to bardzo dobrze. – Gubernator skinął głową.

– Wezmę od Belliniego pisemne oświadczenie, że wierzy w możliwość przeprowadzenia operacji przy minimalnych stratach w ludziach i nieznacznym uszkodzeniach w katedrze – oznajmił Kline.

– Ale Bellini jest jak jo-jo – zauważył Doyle. – Ciągłe zmienia zdanie... – Spojrzał ostro na Rourke'a. – Napisze takie oświadczenie?

– Wykona każdy rozkaz ataku – rzekł Rourke z niepokojem – ale jeśli chodzi o podpisanie czegoś takiego... trudno się z nim współpracuje. Wiem, że zajmuje stanowisko, w myśl którego potrzebuje więcej danych, zanim powie, że popiera...

– Porucznik Burke powiedział mi, że jest bardzo blisko przełomu w tej kwestii – wtrącił Martin.

Wszyscy spojrzeli na Martina.

– Będzie miał co najmniej plany, a może i samego architekta, w ciągu najbliższej godziny. Mogę to niemal zagwarantować.

– Od inspektora Langleya oczekujemy psy-profilów potwierdzających, że połowa z tych terrorystów to szaleńcy – ciągnął Kline.

– Czy ci oficerowie policji będą współpracować? – zapytał gubernator Doyle.

– Ja zajmę się Langleyem – odparła Spiegel. – Jeśli chodzi o Schroedera, ten ma łeb na karku i wie, z której strony wieją polityczne wiatry. Z nim nie będzie żadnych kłopotów. Co do Belliniego, dostanie awans i przeniesienie do dowolnej jednostki. – Podeszła do telefonu. –

Zabiorę się zaraz za mass media i powiem im, że negocjacje wkraczają w decydującą fazę i że opóźnienie nadania tych kościelnych apelów jest nieodzowne.

– Wiem przynajmniej, że mój człowiek, Logan, zrobi to, co mu się każe – stwierdził Doyle chętnie, odwracając się do Kline’a. – Nie zapominaj, że chcę dla siebie kawałek, Murray. Przynajmniej jedna grupa musi być z Sześćdziesiątego Dziewiątego.

– Czy my postępujemy właściwie? – Burmistrz Kline wyjrzał przez okno. – A może wszyscy poszaleliśmy?

– Bylibyście szaleni, by czekać do świtu – odparł Martin i dodał: – To dziwne, że tamci nie chcieli dzielić się tym z nami, prawda?

Roberta Spiegel odwróciła wzrok od tarczy aparatu.

– Niektóre szczury ujrzały tonący okręt i zeskoczyły. Inne szczury ujrzały szansę na łatwą przejażdżkę i wskoczyły. Przed wschodem słońca będziemy wiedzieli, które szczury miały lepszy wzrok.

Schroeder siedział za swoim biurkiem w biurze prałata. Langley, Bellini i pułkownik Logan stali, wysłuchując od burmistrza Kline’a i gubernatora Doyle’a, czego się od nich oczekuje. Spojrzenie Schroedera przeskakiwało od Kline’a do Doyle’a i z powrotem, a w jego głowie szalał huragan rozpędzonych myśli. Roberta Spiegel siedziała w swoim fotelu, wpatrując się w wygasły kominek i bezmyślnie obracając w palcach kieliszek brandy. W pokoju zrobiło się chłodniej i jej ramiona okrywała kurtka Langleya. Major Martin przedstawiał bibeloty na gzymsie kominka. Komisarz policji Rourke stał za burmistrzem, kiwając zgodnie głową w odpowiedzi na wszystko, co mówili Kline i Doyle, starając się wywołać podobną reakcję u trójki oficerów.

Gubernator zamilkł i spojrzał przez moment na Schroedera. Coś w jego zachowaniu przywodziło na myśl uśpiony wulkan. Spróbował wysondować jego reakcję.

– Bert?

Wzrok Schroedera spoczął na gubernatorze.

– Bert, to nie jest w żadnym razie krytyka twojego postępowania – rzekł Doyle – ale jeżeli nadejdzie świt, a my nie osiągniemy kompromisu ani przesunięcia terminu i zakładnicy zostaną straceni, a katedra zniszczona... cóż, wtedy na ciebie spadnie lwia część złorzeczeń i przekleństw ze strony społeczeństwa. Czyż nie tak?

Schroeder milczał.

– I to ku panu, inspektorze, zwrócone będzie w znacznej mierze ostrze oficjalnej krytyki – burmistrz Kline zwrócił się do Langleya.

– Niech tak będzie...

– Damy sobie radę z przestępcami, panie burmistrzu – wtrącił zapalczywie Bellini – ale to są partyzanci uzbrojeni w wojskowy sprzęt, alarmy przeciwwłamaniowe, pistolety maszynowe, rakiety i... i Bóg jeden raczy wiedzieć co jeszcze. A jeśli mają miotacze

plamieni? He? I do tego okopali się w kościele będącym narodową świętością. Chryste, nadal nie pojmuję, dlaczego armia nie może...

Burmistrz powstrzymującym gestem położył dłoń na ramieniu Belliniego, a jego spojrzenie wyrażało głębokie rozczarowanie.

– Joe... Joe, to do ciebie niepodobne.

– Jak cholera – odparł Bellini.

Gubernator Doyle spojrzał na Logana, który poruszył się niespokojnie.

– Pułkowniku? A co pan uważa?

Pułkownik Logan stanął w zmodyfikowanej wersji pozycji na baczność.

– No, cóż... jestem przekonany, że powinniśmy działać bez ociągania w kierunku przeprowadzenia ataku... operacji ratunkowej.

Gubernator się rozpromienił.

– Jednak – kontynuował Logan – plan taktyczny nie wydaje się rozsądny. Oczekuje się od nas zastrzelenia szczurów w sklepie z porcelaną bez uszkodzenia porcelany... i sklepu.

Gubernator spojrzał ciężko na Logana, jego krzaczaste brwi wygięły się w łuk niczym ogon wiewiórki.

– Od żołnierzy często wymaga się niemożliwego. Służba w Gwardii Narodowej to nie same parady i picie za pół darmo.

– Nie, sir... tak, sir.

– Czy bojowi Irlandczycy potrafią sprostać swej części operacji?

– Oczywiście!

– Brawo! – Gubernator zdrowo klepnął Logana po ramieniu.

– Inspektorze – burmistrz zwrócił się do Langleya – musi pan zorganizować takie akty tych fenian, jakich potrzebujemy.

Langley się zawahał.

– Nie później niż do południa. – Roberta Spiegel przeszła go wzrokiem.

– Pewnie. Czemu nie? – Langley spojrzał na nią. – Zajmę się na jakiś czas twórczym pisaniem z pomocą doktora Kormana. Opracujemy takie psy-profile, które wystraszyłyby na śmierć Johna Hickeya.

– Sugerowałbym, inspektorze – odezwał się Martin – by wykazał pan także powiązanie między śmiercią tego informatora, nazywał się chyba Ferguson, i fenianami. To rozwiązałyby również ten problem.

Langley spojrzał na Martina i zrozumiał. Skinął głową.

– No i, Joe? – Kline zwrócił się do Belliniego. – Jesteś z nami?

– Jestem... ale... – Bellini wyglądał na zakłopotanego.

– Joe, czy możesz szczerze powiedzieć, iż jesteś całkowicie przekonany, że o świcie ci terroryści nie zastrzelą kardynała i pozostałych i nie wysadzą potem katedry?

– Nie, ale...

– Czy jesteś przekonany, że twoi ludzie nie są w stanie przeprowadzić udanej operacji ratunkowej?

– Nigdy niczego podobnego nie powiedziałem, panie burmistrzu. Po prostu niczego nie podpiszę... Od kiedy wymaga się od ludzi podpisywania czegoś takiego?

Burmistrz łagodnie poklepał go po ramieniu.

– Czy powinienem znaleźć kogoś innego, by poprowadził twoich ludzi w akcji ratunkowej przeciw terrorystom? A może powinienem pozwolić pułkownikowi Loganowi zająć się całością?

Przez głowę Belliniego przelatywały sprzeczne myśli.

– Tak czy nie, kapitanie? – warknęła Spiegel. – Robi się późno, a to pieprzone słońce wschodzi o szóstej trzy.

Bellini spojrzał na nią i wyprostował się.

– Poprowadzę atak. Gdy dostanę plany, postanowię, czy cokolwiek podpiszę.

Burmistrz Kline odetchnął głośno.

– No, to by było tyle. – Spojrzał na Langleya. – Oczywiście rozważy pan ponownie swoją rezygnację.

– Prawdę mówiąc, rozmyślałem o stanowisku nadinspektora – oznajmił Langley.

– Pewnie. – Kline szybko kiwnął głową. – Gdy to się skończy, wszystkich czekają awanse.

Langley zapalił papierosa i spostrzegł, że drżą mu ręce. Był przekonany, że Kline i Doyle postępują słusznie, decydując się na szturm. Lecz kierując się niezawodnym instynktem polityka, robili to z niewłaściwych powodów, w niewłaściwy sposób, a całą sprawę rozgrywali w niezwykle ryzykownym stylu. Ale co z tego? Tak właśnie wykonywano co drugie słuszne posunięcie.

Burmistrz Kline tryskał teraz jowialnością. Zwrócił się do Schroedera:

– Bert, wszystko, czego od ciebie potrzebujemy, to trochę więcej czasu. Mów dalej do nich. Odstawiasz kawał dobrej roboty, Bert, i doceniamy to... kapitanie? – Uśmiechnął się do Schroedera tak, jak to robił zawsze, gdy przyłapał kogoś na braku uwagi. – Bert?

Schroeder skierował spojrzenie na Kline'a, ale nic nie powiedział.

– Teraz... teraz, Bert, potrzebuję od ciebie podpisanego oświadczenia wyrażającego twoją fachową opinię, że na podstawie wielu lat pracy jako negocjator zalecasz zerwanie negocjacji. Zgoda? – Kline obserwował Schroedera ze wzrastającą obawą.

Schroeder rozejrzał się po pomieszczeniu i dobył z gardła niezrozumiały dźwięk. Burmistrz wydawał się zaniepokojony, lecz ciągnął dalej:

– Powinieneś wspomnieć, że kiedy spotkałeś się z Flynnem, ten wysunął nowe żądania... szalone żądania. Dobrze? Napisz to jak najszybciej. – Odwrócił się do pozostałych. – Co się tyczy was wszystkich...

– Nie zrobię tego.

Wszyscy spojrzeli w stronę Schroedera. Kline wystękał z niedowierzaniem:

– C... co powiedziałeś?

Schroeder wstał i oparł się o biurko.

– Słuchałem was i wiem, że wszyscy powariowaliście.

– Sprowadź jego dublera – poleciła Spiegel Langleyowi.

– Nie! – wrzasnął Schroeder. – Nikt oprócz mnie nie może rozmawiać z Flynnem... on nie będzie chciał rozmawiać z nikim innym... przekonacie się, że nie będzie... zadzwonię zaraz do niego... – Sięgnął po telefon, ale Langley odebrał mu słuchawkę.

Schroeder opadł z powrotem na krzesło.

Burmistrz Kline wyglądał jak ośnuty. Spróbował się odezwać, lecz nie potrafił wykrztusić ani słowa. Spiegel obeszła biurko i spojrzała na Schroedera.

– Kapitanie, zanim Bellini będzie gotów do akcji, przedstawi pan oświadczenie uzasadniające naszą decyzję. – Jej głos był cichy i beznamiętny. – Jeśli nie, dopilnuję, by Departament Policji podał pana do sądu, by został pan zwolniony ze służby i pozbawiony emerytury. Skończy pan jako strażnik bankowy w Dubuque, jeżeli będzie pan miał dość szczęścia, by otrzymać zezwolenie na broń. Więc porozmawiajmy teraz jak inteligentni ludzie.

Schroeder wziął głęboki oddech. Jego głos znów był opanowany i brzmiał tak, jak powinien brzmieć głos profesjonalnego negocjatora.

– Dobrze, porozmawiajmy... Ale pomówmy o tym, co Brian Flynn rzeczywiście mi powiedział, a nie o tym, co byście chcieli włożyć mu w usta. – Schroeder spojrzał na Belliniego i Logana. – Wychodzi na to, że te czterdzieści pięć talerzy z wołowiną nie było bajerem. W środku jest dość ludzi, by je zjeść. Widziałem ich. I miotacze płomieni... może opowiem wam o miotaczach płomieni... – Zapalił cygaro trzęsącymi się palcami i ciągnął dalej chłodnym, miarowym tonem, lecz wszyscy wychwycić mogli przebijający z jego słów niepokój. – Flynn zebrał największy, najlepiej wyposażony uzbrojony oddział wyszkolonych buntowników, jaki widziano w tym kraju od czasu wojny secesyjnej. Jest zbyt późno, by cokolwiek zrobić. Pozostaje jedynie zadzwonić do Waszyngtonu i powiedzieć im, że skapitulowaliśmy na całym froncie.

Langley znalazł Burke'a leżącego na łóżku w pokoju księży.

– Postanowili uderzyć na katedrę!

Burke poderwał się szybko.

– Wkrótce. – W głosie Langleya brzmiało podniecenie. – Przed apelem papieża, zanim zabrzmiały kościelne dzwony, a prałat Downes odzyska rozsądek.

– Zwolnij.

– Schroeder rozmawiał z Flynnem przy bramie. Twierdzi, że widział czterdziestu czy pięćdziesięciu uzbrojonych fenian...

– Pięćdziesięciu?

– Ale to nieprawda. Ja wiem, że to nieprawda.

– Poczekaj. Powtórz to jeszcze raz.

Langley krążył po niewielkim pomieszczeniu.

– Waszyngton ujrzał tonący okręt. Kline i Doyle ujrzeli szansę na łatwą przejażdżkę. Rozumiesz? Jutro albo obaj będą bohaterami, albo będą w Meksyku, w ciemnych okularach i ze sztucznymi nosami...

Burke znalazł kilka aspiryn na nocnym stoliku i połknął trzy.

– Posłuchaj. – Langley usiadł na krześle. – Spiegel chce cię widzieć. – Pospiesznie wprowadził Burke'a w bieżące sprawy i dodał: – Jesteś negocjatorem, dopóki nie postanowią, co zrobić ze Schroederem.

– Negocjatorem? – Burke podniósł głowę i roześmiał się. – Biedny Bert. To miała być jego popisowa rozgrywka... Naprawdę mu na tym zależało. – Zapalił niedopałek papierosa i wydmuchnął kłęb gryzącego dymu. – A więc... atakujemy...

– Nie! Ratujemy! Od teraz musisz używać nazwy operacja ratunkowa. Musisz bardzo starannie dobierać słowa, bo zaczyna się robić ponuro. Żadne z nich nie mówi już tego, co ma na myśli, a w łganiu są lepsi od nas. Ruszaj, czekają na ciebie.

– Czy Martin powiedział im, że dostarczę Stillwaya? – Burke nie zmienił pozycji.

– Tak, razem z planami. Dla mnie to było coś nowego, a dla ciebie?

– I nie wspomniał o Terri O'Neal?

– Nie, a powinien? – Langley zerknął na zegarek. – Czy to ma jeszcze jakieś znaczenie?

Burke zapatrzył się na ciągnącą się za oknem Madison Avenue.

– Wiesz, Martin zabił Jacka Fergusona.

– Nie. – Langley stanął za nim. – To fenianie go zabili.

– Mnóstwo pokrętnych układów zawarto tej nocy.

– Masz, cholera, słusność. A Kline rozdaje awansy niczym plakietki podczas kampanii wyborczej. Idź, weź sobie jedną. Ale musisz za nią zapłacić. – Langley znów zaczął krążyć po pokoju. – Musisz podpisać oświadczenie stwierdzające, że wszystko, co robią Kline i Doyle, jest w twojej opinii genialne. Jasne? Wydostań od nich pensję kapitana. I wynieś się z wywiadu, zażądaj Wydziału Fałszerstw Dzieł Sztuki. Paryż, Londyn, Rzym. Obiecuj mi, że odwiedzisz Schroedera w Dubuque...

– Weź się w garść.

– Pamiętaj – Langley machnął ręką – Martin wszedł do gry, Schroeder spasował. Logan gra z Kline'em i Doyle'em, a zarazem z Bellinim. Nadażasz za mną? Uważaj na Spiegel, jest w rzadkiej formie. Co za wspaniała dziwka! Fenianie to świry, my jesteśmy normalni... Prałat Downes błogosławi nam wszystkim... Co jeszcze? – Rozejrzał się, strzelając dziko oczyma na wszystkie strony. – Czy jest tu prysznic? Czuję się lepki. Jeszcze tu jesteś? Spadaj, ale już! – Langley opadł ciężko na łóżko. – Odejdź.

Burke nigdy jeszcze nie widział, by Langley tak się rozkleił, i było to przerażające. Chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował i wyszedł.

Burke wspinał się po schodach z Robertą Spiegel, słuchając jej ostrego głosu. Martin w milczeniu szedł za nimi. U szczytu klatki schodowej Burke otworzył drzwi i wyszedł na płaski dach plebanii. Wiał północny wiatr, a w zamrzniętych kałużach odbijały się światła okolicznych wysokich budynków. Spiegel odesłała na dół zespół snajperów ESD, postawiła kołnierz płaszcz a i przeszła na zachodnią część dachu. Oparła ręce na niskim, żelaznym ogrodzeniu obiegającym krawędź dachu i utkwiała wzrok w niebotycznej katedrze strzelającej ku górze po drugiej stronie wąskiego dziedzińca.

Ulice w dole były opustoszałe, lecz w pewnej odległości, za barykadami, trąbiły klaksony, ludzie śpiewali i krzyczeli, sporadycznie rozbrzmiewały kobzy i inne instrumenty. Burke uświadomił sobie, że jest już po czwartej i bary są zamknięte. Tłum świętujących przeniósł się na ulice, było ich prawdopodobnie nadal około stu tysięcy, a może i więcej, wytrwale trzymających się nocy, która dla nich przybrała czarodziejski posmak.

Spiegel coś mówiła i Burke próbował zmobilizować uwagę, ale nie miał płaszcz, było mu zimno, a jej słowa porywał i unosił silny wiatr.

– Skupiliśmy nasze siły, poruczniku – podsumowała – i planujemy uderzyć, zanim wszystko się rozleci. I nie chcemy więcej żadnych niespodzianek. Jasne?

– Wydział Fałszerstw Dzieł Sztuki – odparł Burke.

Spiegel spojrzała na niego, przez moment nie rozumiejąc, potem powiedziała:

– Och, dobrze. To albo szatniarz przy sali gimnastycznej na uniwersytecie. – Odwróciła się plecami do wiatru i zapaliła papierosa.

– Gdzie jest Schroeder? – zapytał Burke.

– Rozumie, że nie chcemy, by zniknął nam z oczu i zaczął gadać z prasą, a więc, by nie doznawać poniżenia przebywania pod strażą, zaproponował, że będzie się trzymać Belliniego.

Burke poczuł budzący się w nim niejasny niepokój.

– A ja jestem negocjatorem?

– W rzeczywistości tak – odrzekła Spiegel. – Ale dla zachowania pozorów Schroeder nadal utrzymuje tę posadę. Nie jest pozbawiony powiązań politycznych. W dalszym ciągu będzie wypełniać swe obowiązki, oczywiście z pewnymi modyfikacjami, a potem... stanie przed kamerami.

– Kapitan Schroeder powinien właściwie wrócić do zakrystii i jeszcze raz pomówić z Flynnem – odezwał się po raz pierwszy Martin. – W tak krytycznym momencie musimy zachowywać pozory. Ani Flynn, ani prasa nie mogą zwęszyć niczego podejrzanego.

Burke złożył dłonie i zapalił papierosa, spoglądając jednocześnie na Martina. Strategia Martina stawała się coraz wyraźniejsza. Pomyślał o Schroederze kręcącym się koło Belliniego, o Schroederze spotykającym się raz jeszcze z Flynnem. Flynn nie miał ze sobą

pięćdziesięciu dobrze uzbrojonych ludzi, a więc Schroeder musiał być wprowadzony w błąd, głupi albo łatwowierny. Ale Burke wiedział, że żadne z tych przypuszczeń nie było prawdziwe. Gdy wykluczyło się niemożliwe, mawiał Sherlock Holmes, to, co zostaje, choćby nie wiem jak nieprawdopodobne, musi być prawdziwe. Schroeder kłamał i Burke zaczynał pojmywać dlaczego. Ujrzał twarz młodej kobiety, ponownie usłyszał jej głos i umiejscowił ją na bankiecie z okazji czyjegoś awansu pięć czy sześć lat temu. Z pewnym wahaniem połączył wszystkie fakty w logiczną całość, robiąc to, co powinien był zrobić parę godzin wcześniej.

– Bellini pracuje nad nowym planem ataku? – zapytał Roberty Spiegel.

Spiegel spojrzała na niego w przyćmionym świetle i odparła:

– W tej chwili Bellini i Logan przygotowują plan B – eskalują odpowiedź, jak oni to nazywają – oparty na nieprawdopodobnym założeniu, że w katedrze znajduje się silny oddział. Inaczej nie wejdą. Ale my liczymy na to, że pan zdobędzie dla nas informacje umożliwiające sformułowanie planu C, infiltracji katedry i ataku z zaskoczenia przy wykorzystaniu ukrytych przejść, w których istnienie wydaje się wierzyć wielu z nas. To może rzeczywiście umożliwić nam uratowanie paru ludzi i Świętego Patryka. – Popatrzyła na rozjarzoną błękitnym światłem budowlę. Nawet oglądana z zewnątrz przypominała labirynt, ze swoimi wieżami, iglicami, podporami i gmatwaniną kamiennych ozdób. – A więc, czy czuje pan, poruczniku Burke, że złożył pan głowę na katowskim pieńku?

– Nie widzę powodu, dla którego nie miałbym dołączyć do pani.

– To prawda – zgodziła się. – Prawda. I pan jest nawet nieco bliżej topora, jako że idzie pan z Bellinim, jak rozumiem.

– Zgadza się. A pani?

Spiegel uśmiechnęła się nieprzyjemnie i odparła:

– Nie musi pan iść... Ale nie byłby to zły pomysł... gdyby nie dostarczył pan Stillwaya.

Burke zerknął na Martina, który skinął lekko głową, i rzekł:

– Będę go miał w przeciągu... pół godziny.

Przez chwilę nikt się nie odzywał, wreszcie Martin powiedział:

– Jeśli mogę jeszcze coś zasugerować... nie mówmy zbyt wiele o tym architekcie przy kapitanie Schroederze. Jest przemęczony i może mu się coś wyślizgnąć, mimowolnie oczywiście, przy jego następnym spotkaniu z Flynnem.

Na dachu zapanowała długa cisza, zakłócana dźwiękiem butów szurających po zmarzniętym żwirze i świstem hulającego po ulicach wiatru. Burke złożył dłonie i chuchnął w nie głośno, żałując, że nie wziął płaszcza. Rozumiał, co Martin miał naprawdę na myśli. Potem spojrzał na Spiegel, zastanawiając się, czy i ona wyczuwa, że Bert Schroeder ma prawdziwy problem, że Bert Schroeder stanowi prawdziwy problem.

Spiegel wetknęła ręce w kieszenie swego długiego płaszcza i odeszła parę kroków dalej. Przez kilka sekund rozważała nad tym, dlaczego tak się w to zaangażowała, i przyszło jej na

myśl, że przez te siedem marnych lat uczenia historii naprawdę pragnęła historię tworzyć, i że tak się teraz stanie.

Bellini potarł oczy i spojrzał na wiszący w sali konferencyjnej zegar. Czwarta dwadzieścia sześć. To pieprzone słońce wzejdzie o szóstej trzy. Wciąż na wpół śniąc, wyobraził sobie ścianę jaskrawego słonecznego blasku przesuującą się, by go uratować, tak jak miało to miejsce tyle razy w Korei. Boże, pomyślał, jak ja nienawidzę odgłosu karabinów wśród nocy.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Ludzie spali na połowych łózkach albo na podłodze, używając kamizelek kuloodpornych zamiast poduszek. Inni czuwali, paląc i rozmawiając przyciszonymi głosami. Od czasu do czasu ktoś roześmiał się z czegoś, co, jak domyślał się Bellini, wcale nie było śmieszne. Strach miał swoją własną woń, wyraźnie wyczuwalną w tej chwili: mieszaninę zapachów potu, tytoniu, oliwy do czyszczenia broni i oddechu z umęczonych płuc i lepkich ust.

Tablicę pokrywały uczynione kredą kolorowe znaki naniesione na biały szkic katedry. Na długim stole konferencyjnym leżały kopie poprawionego planu ataku. Przy drugim końcu stołu siedział Schroeder, przerzucając niedbale jeden z egzemplarzy.

Zadzwonił telefon i Bellini złapał za słuchawkę.

– Sztab ESD, Bellini.

– Jak się trzymasz, Joe? – rozległ się charakterystyczny, nosowy głos burmistrza. – Ciągnie cię do akcji?

– Nie mogę się doczekać.

– To dobrze. Posłuchaj, widziałem właśnie nowy plan ataku... Trochę rozdmuchany, prawda?

– To przede wszystkim dzieło pułkownika Logana – odparł Bellini.

– Och... cóż, dopilnuj, by to stonowano.

Bellini wziął w swoją wielką dłoń puszkę bezalkoholowego napoju i ścisnął ją, przyglądając się, jak odskakuje wieczko i brązowy płyn ścieka mu po palcach.

– Zaaprobowany czy odrzucony?

Burmistrz zamilkł na długą chwilę i Bellini wiedział, że Kline się z kimś naradza. Wreszcie odezwał się ponownie:

– Gubernator i ja zatwierdzamy... w zasadzie.

– Dziękuję, w zasadzie.

– Jest tam jeszcze? – Kline zmienił temat.

Bellini spojrzał na Schroedera.

– Niczym psie gównno na trampkach joggera.

Kline zaśmiał się słabym, wymuszonym śmiechem.

– W porządku. Jestem w rządowych pomieszczeniach w Centrum Rockefellera razem z gubernatorem i naszym personelem...

– Dobry widok.

– No, nie bądź sarkastyczny. Rozmawiałem dopiero co z prezydentem Stanów Zjednoczonych... – Bellini wychwycił nutę zarozumiałstwa w głosie Kline'a. – Prezydent mówi, że dialog z brytyjskim premierem szybko postępuje naprzód. Sugeruje też półgębkiem, że być może przejmie pod federalne zwierzchnictwo Gwardię Narodową i przyśle szeryfów...

– Kline ściszył głos do konspiracyjnego szeptu. – Tak między nami, Joe, myślę, że stawia zasłonę dymną... zapewnia sobie osłonę na później...

– A kto tego nie robi? – Bellini zapalił papierosa.

– Działa pod naciskiem – podkreślił Kline. – Dzwony kościelne w Waszyngtonie już biją, tysiące ludzi maszerują ze świecami przed Białym Domem. Ambasada brytyjska jest pikietowana.

Bellini zauważył, że Schroeder wstaje i rusza do drzwi.

– Moment – rzucił do słuchawki i zawołał: – Dokąd idziesz, szefie?!

Schroeder obejrzał się przez ramię.

– Do zakrystii – odparł i wyszedł.

Bellini odprowadził go wzrokiem i powiedział:

– Schroeder właśnie poszedł ostatni raz przemówić Flynnowi do sumienia. W porządku?

– W porządku... – Kline odetchnął wolno. – Nie może zaszkodzić. Gdy wróci, będziecie gotowi do akcji, chyba że przyniesie coś zasługującego na uwagę, a to jest niemożliwe.

Bellini przypomniał sobie, że Schroeder nigdy jeszcze nie został pokonany.

– Nigdy nie wiadomo.

Po długim milczeniu burmistrz zapytał:

– Wierzysz w cuda?

– Nigdy żadnego nie widziałem. – W myślach dodał: Z wyjątkiem tego, że zostałeś ponownie wybrany. – Nie, nie widziałem żadnego.

– Ja też nie.

Bellini usłyszał stuknięcie odkładanej słuchawki, a potem ciągły sygnał wolnej linii. Rozejrzał się po cichym pomieszczeniu.

– Wstawać! Dupy do góry! Na stanowiska bojowe. Ruszać!

Schroeder stał przy bramie do zakrystii naprzeciwko Briana Flyna. Mówił cicho, jękając się, i ustawicznie oglądał się nerwowo za siebie.

– Plan przewiduje dosyć prosty i klasyczny atak... Naszkicował go pułkownik Logan... Sam Logan uderzy w główne drzwi samochodem pancernym, a ESD zaatakuje jednocześnie wszystkie inne wejścia taranami... Użyją drabin, by przedostać się przez okna... Wszystko

odbędzie się pod osłoną ciemności i gazu... każdy dostanie maskę i okulary noktowizyjne. Prąd zostanie odcięty w chwili, gdy rozpocznie się atak na drzwi...

Flynn przysłuchiwał się, czując pędzącą szaleńczo żyłami krew.

– Gaz...

– Ten sam towar, jakiego użyliście przy trybunach. Zostanie wpompowany do kanałów wentylacyjnych. – Przedstawił koordynację helikopterów, snajperów na dachach, strażaków i saperów, a potem dodał: – Schody z zakrystii – spojrzał pod stopy, jak gdyby uświadamiając sobie, że stoi dokładnie w tym miejscu – atakujący je oddział będzie miał stalowe piły łańcuchowe, Bellini i ja tam będziemy... skierujemy się po zakładników... jeżeli będą w prezbiterium... – Potrząsnął głową, nie wierząc, że to z jego ust płyną te słowa.

– Zakładnicy – powiedział Flynn – będą martwi. – Przerwał i zapytał: – Gdzie będzie Burke?

Schroeder pokręcił głową, starając się odpowiedzieć, lecz usłyszał, jak załamuje mu się głos. Po chwili wahania wysunął spod kurtki plik papierów i przesunął go przez kraty. Flynn wetknął go pod koszulę, omiatając spojrzeniem wyloty korytarzy.

– A więc słynny kapitan Schroeder nie jest w stanie nic zrobić, by to powstrzymać?

– Nigdy nie był. – Schroeder opuścił wzrok. – Dlaczego nie mogliście pojąć, że...

– Ponieważ słuchałem ciebie przez całą noc, Schroeder, i chyba na wół uwierzyłem w twoje przeklęte kłamstwa!

Schroeder chciał uchronić choć odrobinę szacunku do samego siebie przed poniżeniem i poczuciem klęski towarzyszącym mu podczas tego ostatniego spotkania.

– Niech pan nie zwala tego na mnie. Wiedział pan, że kłamię. Wiedział pan!

Flynn spojrzał na niego ostro i skinął głową.

– Tak, wiedziałem. – Zamyślił się na moment i dodał: – I wiem też, że wreszcie mówi pan prawdę. To musi być wielki wysiłek. A więc, dam radę zatrzymać ich przy drzwiach... jeżeli, jak pan mówi, nie odkryli żadnych ukrytych przejść i jeżeli nie mają architekta... – Spojrzał nagle na Schroedera. – Nie mają go, prawda?

Schroeder potrząsnął głową. Wyprostował się i wyrzucił z siebie szybko:

– Zrezygnujcie. Dam wam eskortę policyjną na lotnisko. Wiem, że jestem w stanie to zrobić. Tego wszyscy naprawdę pragną, pragną, byście się stąd wynieśli.

Flynn wydawał się rozważać to przez krótką chwilę, a potem pokręcił głową.

– Flynn – nalegał Schroeder – oni przyładują wam potężnie. Wszyscy zginiecie. Nie łapie pan tego? Nie możecie dłużej się ludzić. Ale wszystko, co musicie zrobić, to powiedzieć, że jesteście skłonni przyjąć mniej...

– Gdybym chciał mniej, zażądałbym mniej. Koniec z tą negocjacyjną gadaniną, proszę. Boże, jak pan nawija! I kto tu mówi o samoułdzie.

– W porządku. – Schroeder przysunął się do bramy. – Zrobiłem, co mogłem. Teraz niech pan wypuści...

– Jeżeli dane, jakie mi pan przekazał, są dokładne – uciął Flynn – wyślę sygnał, by uwolniono pańską córkę.

– Jaki sygnał? – Schroeder chwycił dłońmi za kraty. – Kiedy? Telefony zostaną odcięte, wieże będą pod ostrzałem snajperów. A jeżeli pan... zginie? Do cholery, dałem panu plany...

– Lecz jeśli okłamał mnie pan co do jakiegokolwiek szczegółu – ciągnął Flynn – lub też jeśli w planach zajdą zmiany, o których pan mnie nie powiadomi...

– Nie! Nie! – Schroeder spazmatycznie potrząsał głową. – To nie do przyjęcia! Nie dotrzymuje pan umowy!

Flynn odwrócił się i zaczął wspinać po schodach. Schroeder wyciągnął rewolwer, trzymając go blisko ciała. Wycelowana w plecy Flynn'a broń skakała mu w dłoń, jego ręce dygotały tak gwałtownie, że nieomal ją upuścił. Flynn skręcił za róg i zniknął.

Burke stał samotnie w małym pokoju księgowego w pobliżu sali konferencyjnej. Poprawił nałożoną na pulower kamizelkę kuloodporną i, wetknąwszy w uchwyt na pocisk zielony goździk, ruszył do drzwi.

Drzwi otworzyły się nagle i stanął w nich major Martin.

– Czołem, Burke. Czy wszyscy w Nowym Jorku się teraz tak ubierają? – Zawołał coś w głąb korytarza i w wejściu pojawili się dwaj policjanci prowadzący między sobą cywila. Martin się uśmiechnął. – Proszę mi pozwolić przedstawić sobie Gordona Stillwaya ze Stowarzyszenia Architektów Amerykańskich. Panie Stillway, oto Patrick Burke, słynny na cały świat tajny agent.

Do pokoju wszedł wysoki, wyprostowany starszy mężczyzna. Wyglądał na nieco oszołomionego, lecz zachowywał się z godnością. W lewej ręce trzymał teczkę, z której wystawały cztery rolki zwiniętego papieru. Burke odprawił policjantów i zwrócił się do Martina:

– Jest późno.

– Czyżby? – Martin spojrzął na zegarek. – Ma pan pełne piętnaście minut, by powstrzymać Belliniego. Czas, jak pan wie, jest pojęciem względnym. Kiedy je się ostrzygi z zatoki Galway, piętnaście minut upływa dość szybko, ale kiedy jest się powieszonym za lewe jądro, dłuży się nieco. – Zaśmiał się. – Bellini jest powieszony za jądro. Pan go odetnie, a potem, gdy porozmawia już z panem Stillwayem, z powrotem go powiesi.

Martin wszedł dalej do małego pomieszczenia i przysunął się do Burke'a.

– Pan Stillway został uprowadzony ze swego mieszkania przez nie zidentyfikowanych osobników i zamknięty na pustym poddaszu niedaleko stąd. Działając na podstawie anonimowej informacji, udałem się do policjantów z Siedemnastego Komisariatu i, voila, Gordon Stillway. Panie Stillway, może by pan usiadł?

Architekt stał nadal i przyglądając się po kolei obu mężczyznom powiedział:

– To straszna tragedia... ale nie jestem całkiem pewien, co mam...

– Musi pan przekazać policji informacje niezbędne do przemknięcia do katedry i zaskoczenia złoczyńców – rzekł Martin.

– O czym pan mówi? – Stillway spojrział na niego. – Czy oni chcą zaatakować? Nie dopuszczę do tego.

– Obawiam się, że zjawił się pan odrobinę za późno. – Martin położył Stillwayowi dłoń na ramieniu. – Dalsza dyskusja nad tym jest wykluczona. Albo pomoże pan policji, albo oni wedrą się przez drzwi i okna, powodując wielkie zniszczenia i tracąc wielu ludzi, po czym terroryści spalą katedrę i wysadzą ją w powietrze albo na odwrót.

Oczy Stillwaya rozszerzyły się i pozwolił Martinowi podprowadzić się do krzesła.

– Lepiej niech się pan pospieszy – rzekł Martin do Burke'a.

– Dlaczego zostawił pan nam tak mały margines bezpieczeństwa? – zapytał Burke, podchodząc do niego.

Martin cofnął się o krok i odparł:

– Przepraszam. Musiałem poczekać, aż kapitan Schroeder dostarczy Flynnowi plany ataku, co teraz właśnie robi.

Burke skinął głową. Atak Belliniego musiał być odwołany bez względu na to, co się stanie. Wykonanie nowego planu, opartego na informacjach Stillwaya, jeśli jakiegokolwiek posiada, przesunęłoby się tak blisko szóstej zero trzy, że prawdopodobnie i tak skończyłoby się katastrofą. Ale Martin dostarczył Stillwaya, zaskarbiając sobie w ten sposób wdzięczność Waszyngtonu.

– Majorze, chciałbym pierwszy podziękować za okazaną w tej sprawie pomoc.

– Teraz reaguje pan prawidłowo. – Martin się uśmiechnął. – Przez całą noc był pan taki ponury, ale przekona się pan, że jeśli będzie się pan mnie trzymał, to tak jak obiecałem, wyjdzie pan z tego.

Burke zwrócił się do Stillwaya:

– Czy istnieją jakieś tajne przejścia do katedry, które dałyby policji wyraźną przewagę taktyczną?

Stillway siedział w bezruchu, rozmyślając nad wydarzeniami, które rozpoczęły się słonecznym dniem i paradą, rozwinęły w jego uprowadzenie i uwolnienie, aż wreszcie doprowadziły do podziemnego pomieszczenia i dwóch wyraźnie nie zrównoważonych mężczyzn.

– Nie mam pojęcia, co rozumie pan przez wyraźną przewagę taktyczną. – W jego głosie pobrzmiwała irytacja. – Jestem architektem.

Martin ponownie zerknął na zegarek.

– Cóż, zrobiłem, co do mnie należało. – Otworzył drzwi. – Proszę się pospieszyć. Obiecał pan Belliniemu, że będzie pan u jego boku, a obietnica jest rzeczą świętą i piękną. Aha, a później, jeśli będzie pan nadal żył, ujrzy pan, jak rozwiewa się w katedrze jeszcze jedna tajemnica. I to całkiem niezła. – Wyszedł i zatrzasnął za sobą drzwi.

Stillway spojrział na Burke'a zmęczonym wzrokiem.

– Kto to był?

– A kim pan jest? – odciął Burke. – Jest pan Gordonem Stillwayem, a może jeszcze jednym dowcipem majora?

Stillway nie odpowiedział. Burke wyciągnął z jego teczki zwinięty plan, rozprostował go i przyjrzał mu się. Rzucił zwój na stół i zerknął na zegarek.

– Proszę za mną, panie Stillway. Przekonajmy się, czy warto było czekać.

Schroeder wszedł do sali konferencyjnej i pospieszył do telefonu.

– Tu Schroeder. Dajcie mi Kline'a.

– Tak, kapitanie – powiedział burmistrz neutralnym tonem. – Poszczyło się panu?

Schroeder rozejrzał się po niemalże pustym pomieszczeniu. Karabiny i kamizelki poznikały, puste skrzynki po amunicji i granatach ogłuszających leżały w rogu. Ktoś nagryzmolił na tablicy: WYNIK KOŃCOWY: Chrześcijanie i Żydzi... Poganie i Ateiści...

– No i? – W głosie Klińe'a brzmiało zniecierpliwienie.

Schroeder oparł się o stół, walcząc z ogarniającą go falą mdłości.

– Nie... Żadnego przesunięcia terminu, żadnego kompromisu. Proszę posłuchać...

– To właśnie wszyscy panu powtarzali przez całą noc. – Kline wydawał się rozzłoszczony.

Schroeder wziął głęboki oddech i przycisnął rękę do brzucha. Nie słuchał, co mówi Kline. Powoli zaczynał dostrzegać więcej szczegółów dookoła siebie. Bellini stał po drugiej stronie stołu z założonymi rękoma, Burke w przeciwległym kącie sali. Dwaj ludzie z ESD w czarnych narciarskich goglach czekali blisko niego, a starszy mężczyzna, cywil, siedział za stołem konferencyjnym.

– Kapitanie – ciągnął burmistrz – w tej chwili nadal jest pan bohaterem, a w ciągu godziny może być pan głównym rzecznikiem prasowym Departamentu Policji... – Schroeder przyjrzał się uczernionej twarzy Belliniego i pomyślał, że Bellini wpatruje się w niego z nie skrywaną nienawiścią, tak jakby o wszystkim wiedział. Doszedł jednak do wniosku, że to wina groteskowej charakteryzacji. – I nie będzie pan rozmawiał z żadnym dziennikarzem, dopóki nie zostanie oddany ostatni strzał – mówił wciąż Kline. – A o co chodzi z tym pańskim zgłoszeniem się na ochotnika, by pójść z Bellinim?

– Ja... ja muszę – powiedział Schroeder. – Przynajmniej to mogę zrobić...

– Oszalał pan? Co się, u licha, z panem dzieje? Zachowuje się pan... pił pan?

Schroeder wpatrywał się w starego człowieka, który, jak teraz zauważył, studiował wielką, rozwiniętą płachtę papieru. Jego wzrok raz jeszcze prześlizgnął się po milczących twarzach i zatrzymał na Burke'u, który wydawał się... zasmucony. Wszyscy wyglądali tak, jakby ktoś przed chwilą umarł. Coś było nie w porządku...

– Jest pan pijany?

– Nie...

– Weź się w garść, Schroeder. Niedługo będziesz w telewizji.

– Co...?

– W telewizji! Pamiętasz chyba, czerwone światelko, wielka kamera... Teraz wynoś się z katedry i przyjdź tutaj jak najszybciej.

Schroeder usłyszał stuknięcie i popatrzył na słuchawkę, a potem upuścił ją na stół. Wyciągnął rękę i wskazał na Gordona Stillwaya.

– Kto to jest?

W pomieszczeniu nadal panowało milczenie. Wreszcie Burke powiedział:

– Wiesz, kto to jest, Bert. Musimy zmienić plan ataku. Schroeder wykrztusił bezmyślnie:

– Nie! Nie! Wy...

Bellini zerknął na Burke'a i skinął głową. Potem obrócił się do Schroedera.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś. – Podszedł do wycofującego się ku drzwiom Schroedera. – Dokąd idziesz, chłoptasiu? Upредить swego kumpla, cipogryzie jeden?

Głowa Schroedera trzęsła się spazmatycznie.

– Nie słyszę, co mówisz, gnoju! – Bellini zbliżył się do niego. – Twój złoty głosik brzmi jak splukiwanie sracza!

– Joe, nie przeginaj, zabierz mu tylko broń! – zawołał Burke i przysunął się do dwóch mężczyzn.

Funkcjonariusze ESD trzymali karabiny na biodrach, nie bardzo pojmując, co się dzieje, lecz gotowi strzelać, gdyby Schroeder sięgnął po broń. Gordon Stillway podniósł wzrok znad planów. Schroeder odzyskał mowę.

– Nie... posłuchaj... muszę pomówić z Flynnem... rozumiesz... muszę spróbować jeszcze raz...

Bellini wyciągnął rękę.

– Daj mi twoją broń, lewą ręką, małym palcem za spust. Tylko spokojnie, a nikomu nic się nie stanie.

Schroeder zawahał się, potem powoli sięgnął do kieszeni kurtki i ostrożnie wyciągnął zagiętym palcem rewolwer.

– Bellini, posłuchaj, co się dzieje? Dlaczego...

Bellini sięgnął po broń lewą ręką, a prawą zamachnął się, wściekle uderzając Schroedera w szczękę. Schroeder poleciał na drzwi i osunął się na podłogę.

– Nie musiałeś tego robić – powiedział Burke.

Bellini machnął parę razy ręką.

– Masz rację, powinienem był urwać mu jaja i wsadzić mu je w nos. – Spojrzał na Schroedera. – Próbowaleś mnie zabić, czyż nie, kupo gnoju?

Burke dostrzegł, że Bellini zastanawia się nad dalszymi aktami przemocy.

– To nie miało nic wspólnego z tobą, Bellini. Uspokój się teraz. – Położył mu dłoń na ramieniu. – Daj spokój. Masz mnóstwo roboty.

– Zakujcie tego cipogryza i wpakujcie do jakiegoś zamkniętego pomieszczenia. – Bellini skinął na dwóch ludzi z ESD, a potem obrócił się do Burke'a. – Myślisz, że jestem głupi, co? Myślisz, że nie wiem, że wszyscy będziecie kryć tego matkojeba, i kiedy to gówno skończy się o świcie, znowu będzie ukochanym chłopczykiem burmistrza? – Spojrzał na policjantów wynoszących Schroedera i zawołał za nimi: – Znajdźcie jakieś miejsce ze szczurami i karaluchami! – Usiadł i zapalił papierosa, próbując uspokoić drżenie rąk.

Burke stanął przy nim.

– Życie jest wredne, nie? Ale tym razem ktoś dał nam szansę. Flynn sądzi, że robisz jedno, a ty zrobisz coś innego. A więc nie skończyło się aż tak źle, nie?

Bellini skinął ponuro głową i spojrzał na Stillwaya.

– Tak, może... – Potarł kostki i jeszcze raz rozprostował palce. – Bolało... ale było takie przyjemne. – Roześmiał się niespodzianie. – Chodź no tu, Burke. Chcesz, powiem ci coś w sekrecie. Od pięciu lat szukałem pretekstu, by to zrobić. – Spojrzał na sufit. – Dziękuję ci, Panie. – Zaśmiał się ponownie.

Sala zaczęła się wypełniać dowódcami oddziałów, pospiesznie ściągniętymi z pozycji wyjściowych, i Bellini przyglądał się jak jeden po drugim wchodzi do środka. Najgorszą rzeczą, jaka może przytrafić się człowiekowi na tym świecie, pomyślał, jest naładować się do nieprzytomności przed walką i dowiedzieć się, że zostaje ona odłożona. Dostrzegł, że dowódcy oddziałów są w bardzo złym nastroju. Spojrzał na Burke'a.

– Lepiej zadzwoń do tego pieprzonego burmistrza z wyjaśnieniami. Możesz kryć dupę Schroedera, jeśli chcesz, a nawet jeśli nie chcesz, to i tak nie będzie miało znaczenia dla Kline'a, bo mimo to dadzą mu awans i zrobią z niego bohatera narodowego.

Burke zdjął kuloodporną kamizelkę i pulower.

– Muszę spotkać się z Flynnem i znaleźć dobre wytłumaczenie faktu, że Schroeder nie pozostaje z nim w kontakcie.

Bellini przeszedł na szczyt stołu konferencyjnego i wziął długi oddech. Spojrzał po kolei na każdego z dwunastu dowódców oddziałów i powiedział:

– Panowie, mam parę wiadomości dobrych i parę wiadomości złych. Cały problem w tym, że nie wiem, które są które. – Nikt się nie roześmiał, a Bellini kontynuował: – Zanim się dowiecie, dlaczego atak został odłożony, chcę coś wyjaśnić. Ci ludzie w katedrze to desperaci, partyzanci. To walka, wojna, i naszym celem nie jest pojmanie tych ludzi za cenę narażania waszego życia...

Jeden z dowódców oddziałów zawołał:

– Chodzi panu o to, by w pierw strzelać, a potem zadawać pytania, tak?!

Bellini przypomniał sobie wojskowy eufemizm.

– Załatwcie to szybko i bezboleśnie.

Ojciec Murphy stał na podeście schodów w purpurowej stule. Frank Gallagher klęczał przed nim, pospiesznie spowiadając się cichym, drżącym głosem. Flynn zatrzymał się tuż przed masywnymi drzwiami do krypty i zawołał do Gallaghera:

– Starczy już, Frank.

Gallagher skinął księdzu głową, podniósł się i wszedł do krypty. Flynn podał mu arkusz papieru i rzekł:

– To fragment planu ataku dotyczący bramy do zakrystii. – Wprowadził go w szczegóły i dodał: – Możesz ukryć się tutaj, w krypcie, i trzymać bramę pod ostrzałem. – Gdy Flynn mówił, Gallagher spojrzał na posadzkę, wpatrując się w brązową krew, która tak obficie wypływała z ust Pedara Fitzgeralda. Ojciec Murphy stał na samym środku plamy, zdając się tego nieświadomym, i Gallagher chciał powiedzieć księdzu, by się przesunął, ale Flynn ścisnął go za rękę. – Powodzenia, Frank. Pamiętaj, w Dublinie, siedemnastego marca za rok.

Gallagher odpowiedział coś niewyraźnie i skinął głową z przepojoną rozpaczą determinacją. Flynn wyszedł z krypty i ujął Murphy'ego pod ramię. Wprowadził księdza po stopniach w górę, przez prezbiterium i bocznymi schodami do ambitu. Ojciec Murphy uwolnił się od uchwytu Flynnna i obrócił w stronę małych organów, przy których siedział John Hickey, rozmawiając przez telefon polowy. Przykryte ciało Pedara Fitzgeralda spoczywało u jego stóp. Ksiądz przyklęknął i odciągnął płaszcz z głowy Pedara. Namaścił jego czoło, powstał i spojrzał na Hickeya, który zdążył już odwiesić słuchawkę.

– Przepchnąłeś to jednak, co? – spytał Hickey. – No i gdzie jest teraz dusza Pedara Fitzgeralda?

Ojciec Murphy nie spuszczał wzroku z Hickeya.

– Teraz zaś, jako dobry ksiądz, poprosi mnie ojciec, bym się wyspowiadał, zakładając, że odmówię – rzekł Hickey. – Ale co, jeśli się zgodzę? Czy całe moje dotychczasowe życie, włączając w to wszystkie grzechy, świętokradztwa i bluźnierstwa, jakie tylko można sobie wyobrazić, będzie wybaczone? Czy dane mi będzie wejść do królestwa niebieskiego?

– Musi pan poczuć skruchę – rzekł Murphy.

Hickey uderzył dłonią w wierzch organów.

– Wiedziałem, że w tym jest jakiś haczyk!

Flynn chwycił ramię Murphy'ego i odciągnął go w bok. Minęli konfesjonał i Flynn zatrzymał się, by obejrzeć mały, biały przycisk.

– To było sprytne, padre, muszę to przyznać. – Spojrzał przez ambit na Hickeya. – Nie wiem, jakie informacje przesłaliście pan, Maureen i Hickey, ale możecie być pewni, że żadne z was nie osiągnęło niczego więcej poza zwiększeniem chaosu po drugiej stronie.

– A jednak czuję się po tym znacznie lepiej – odparł ojciec Murphy.

Flynn roześmiał się i ruszył dalej, a Murphy słuchając, podążył za nim.

– Poczul się ojciec lepiej, tak? O rany, jakie monstrualne ego ma ojciec. – Zatrzymał się w transepcie między południowymi galeryjkami triforyjnymi i zawołał w górę do Eamona Farrella: – Wiem, że jesteś pobożny, Eamon, ale ojciec Murphy nie potrafi latać, a więc będziesz musiał opuścić tę spowiedź.

Farrell zachowywał się tak, jakby tej akurat spowiedzi wołał nie opuścić.

– Żałuje pan za wszystkie swoje grzechy? – zawołał Murphy w górę.

– Tak, ojciec.

– Proszę odmówić akt skruchy, będzie pan w stanie łaski, panie Farrell. Proszę nie robić niczego, co mogłoby to zmienić.

– Jeżeli to się powtórzy, nie wysłucha już ojciec żadnej spowiedzi. – Flynn był wyraźnie rozzłoszczony.

Murphy się oddalił, a Flynn naszkicował Farrelłowi plan zbliżającego się ataku.

– Jeśli ich zatrzymamy – dodał – twój syn będzie wolny o świcie. Powodzenia.

Flynn podszedł do wielkich wrót nawy bocznej. Ksiądz wpatrywał się w przymocowane do nich dwie miny koloru khaki i cztery kolejne, kształtem przypominające puszkę, rozstawione nieregularnie na posadzce. We wszystkich kierunkach rozbiegały się od nich potykacze.

– Widzi ojciec – rzekł Flynn – gdy drzwi zostaną wyważone do środka, te dwie miny eksplodują natychmiast, a po nich, w odstępach piętnastosekundowych, pozostałe cztery, tworząc, że tak powiem, zasłonę z odłamków trwającą przez minutę. Wszystkie wejścia zapchane będą wijącymi się ciałami. Wrzaski, proszę poczekać, dopóki nie usłyszysz ojciec wrzasków! Nie uwierzyłby ojciec, że ludzie potrafią wydawać takie dźwięki. Mój Boże, to ścina krew w żyłach, ojciec, i zmienia nogi w galaretę.

Murphy dalej wpatrywał się w miny.

– Proszę spojrzeć na te górujące nad nawą stanowiska. – Flynn wskazał ku górze. – Jak, u licha, oni mogą oczekiwać, że im się uda?

Podprowadził księdza do małych drzwi w kącie nawy i zachęcił gestem, by szedł pierwszy. W milczeniu wspięli się po spiralnych schodach i wyszli na długą galeryjkę pięć pięter nad podłogą. Abby Boland stała przy drzwiach z karabinem M-16 w rękach. W magazynku konserwatorów znalazła roboczy kombinezon i włożyła go na swój mundur. Flynn objął ją ramieniem i odprowadził od księdza, objaśniając szczegóły zbliżającego się ataku, potem omówił jej zadania. Spojrzał przez nawę na obserwującego ich George'a Sullivana. Zdjął rękę z jej ramion i rzekł:

– Jeżeli ich nie zatrzymamy... i jeżeli postanowisz w swym sercu, że zabicie jeszcze paru z nich niczego nie zmieni, wejdź na dzwonnice... nie próbuj przejść przez chór, by dostać się do George'a. Trzymaj się z dala od Leary'ego i Megan. Jasne?

Jej wzrok skierował się w stronę chóru i skinęła głową.

– Minie trochę czasu, zanim zawali się poddasze – ciągnął Flynn – a bomby nie uszkodzą wież. Tylko one będą stały, gdy to się skończy. George’owi nic się nie stanie w południowej wieży.

– George i ja zrozumieliśmy, że nie ujrzymy się już więcej. – Spojrzała na wciąż przyglądającego się im Sullivana.

– Powodzenia. – Flynn ruszył ku wejściu do wieży i zostawił ją z ojcem Murphym.

Po kilku minutach Murphy przyłączył się do Flynna, który spoznał na zegarek.

– Nie mamy wiele czasu, więc proszę skracać to do minimum.

– Skąd pan wie, ile czasu pozostało? Czy mam rozumieć, że znacie szczegóły ataku? – Popatrzył na zwinięty rulon papierów w dłoni Flynna.

Flynn postukał Murphy’ego papierem w ramię.

– Każdy człowiek ma swoją cenę, jak ojciec wie, i czasami wydaje się ona beznadziejnie niska, ale czy ktokolwiek pomyślał kiedyś, że Judasz Iszkariot mógł naprawdę potrzebować tych srebrników?

Zaśmiał się i wskazał na spiralne schody. Wspięli się trzy piętra wyżej, aż dotarli na poziom poddasza. Flynn otworzył wielkie, drewniane drzwi i wyszli na pomost. Murphy zerknął w głąb mrocznego pomieszczenia, potem zbliżył się do stosu porąbanego drewna i świec wotywnych. Obrócił się i popatrzył na Flynna. Ten wytrzymał spojrzenie i Murphy pojął, że nie pozostało nic do powiedzenia.

Jean Kearney i Arthur Nulty wyłonili się z cieni i zbliżyli, obejmując się wzajemnie. Wyraz ich twarzy zdradzał, że widok Flynna i księdza wydaje im się złowieszczy. Zatrzymali się w pewnej odległości od dwóch mężczyzn. Z ich ust dobywały się kłęby pary. Ojcu Murphy’emu przyszły na myśl dwie zagubione dusze, którym nie wolno było bez zaproszenia przekraczać progu domu.

– Dobry ojciec chce wysłuchać waszych grzechów – oznajmił Flynn.

Twarz Jean pokryła się czerwienią. Nulty wydawał się zażenowany i wystraszony jednocześnie. Flynn uniósł lekko brwi i śmiejąc się rzekł do księdza:

– W sytuacjach takich jak ta trudno zachować opanowanie.

Twarz Murphy’ego nie zdradzała gniewu ani szoku, wydał jedynie długie, znajome westchnienie, które, jak pomyślał Flynn musiało być częścią jego seminaryjnego szkolenia. Flynn dał znak księdzu, by pozostał tam, gdzie stoi, i przeszedł przez pomost. Wręczył Jean Kearney trzy kartki papieru i zaczął instruować młodych ludzi. Zakończył mówiąc:

– Spodziewajcie się helikopterów w każdej chwili po piątej piętnaście. – Zawahał się i dodał: – Nie bójcie się.

– Obawiamy się jedynie tego, że mogą nas rozdzielić – odparła Jean Kearney, a Nulty skinął głową.

Flynn objął ich ramionami i wrócił wraz z nimi do księdza.

– Uszczęśliwcie ojca Murphy’ego i pozwólcie mu uratować wasze dusze przynajmniej od ognia piekielnych. – Przeszedł do drzwi i zawołał jeszcze do Murphy’ego: – Proszę nie podminowywać morale oddziałów i żadnych długich pokut!

Flynn wszedł z powrotem do wieży i czekał w ciemnościach obszernego pomieszczenia o matowych szybach. Spojrzał na zegarek. Według Schroedera pozostało dwadzieścia minut do najwcześniejszego terminu rozpoczęcia ataku. Usiadł na zimnej, zakurzonej podłodze i nagle wypełniła go groza na myśl o tym, co właściwie zrobił. Jedne z największych zamieszek społecznych w historii Ameryki miały się właśnie zakończyć najbardziej masowym atakiem sił policyjnych, jaki kiedykolwiek widziano na tym kontynencie, a charakterystyczny zabytek zniknąć z przewodników turystycznych. Imię Briana Flynna przejść miało do historii. A jednak czuł, że wszystko to jest trywialne w porównaniu z faktem, że ci ludzie z własnej woli idą za nim na śmierć.

Poderwał się gwałtownie, wyszarpnął pistolet i stłukł szybkę z grubego szkła, a potem wyrzwał w noc. Zimny wiatr gnał pierzaste chmury przez czyste, błękitne, rozjaśniane światłem księżyca niebo. Wzdłuż Alei dziesiątki flag zwisały z wystających prętów, kołysząc się na wietrze, sztywne i zmrożone. Chodniki pokrywał lód i stłuczone szkło migoczące w świetle. Wiosna, pomyślał. Dobry Boże, nie ujrzę wiosny.

Ojciec Murphy odchrząknął i Flynn obrócił się szybko. Ich oczy spotkały się. Flynn wstał pośpiesznie.

– Migiem się uwinęli.

Zaczął się piąć po krętych schodach, które zastąpił wnet cały ciąg drabin. Murphy szedł za nim ostrożnie. Nigdy nie był tak wysoko w żadnej z wież i nie zważając na okoliczności, cieszył się w chłopięcy sposób na ujrzenie dzwonów. Dotarli do najniższej dzwonnicy, gdzie Donald Mullins kulił się za kamiennym filarem oddzielającym dwa okna. Miał na sobie kamizelkę kuloodporną, jego twarz i dłonie uczernione były sadzą ze spalonego korka, którego smród nadal wypełniał lodowate pomieszczenie. Ojciec Murphy z widocznym niezadowoleniem spojrzał na strzaskane żaluzje, a potem podniósł wzrok ku zwisającym z poprzecznych belek dzwonom. Flynn wyrzwał na aleję. Wszystko wyglądało jak przedtem, lecz w jakiś niejasny, niesprecyzowany sposób tak nie było.

– Czujesz? – zapytał Mullinsa.

Mullins skinął głową.

– Kiedy?

– Wkrótce. – Flynn podał mu dwa arkusze papieru. – Zanim mogą przejść do realizacji następnych etapów swego planu, muszą oślepić obserwujące ich oczy. Wszystko jest w tych rozkazach.

Mullins przesunął latarką po kartkach maszynopisu.

– Nazywają mnie tutaj Towerman North³⁸. Brzmi jak jakiś cholerny angielski lord czy coś takiego! – Roześmiał się i odczytał: – Jeżeli Towerman North nie da się wyłączyć ogniem snajperskim, ładunki wybuchowe i/albo granaty gazowe zostaną wystrzelone w kierunku dzwonnicy z miotaczy. Helikoptery z karabinami maszynowymi zostaną wezwane, jeżeli Towerman North nadal nie będzie zneutralizowany... – Podniósł wzrok. – „Zneutralizowany”, Jezu, co oni zrobili z językiem...

Flynn dostrzegł, że uśmiech Mullinsa jest wymuszony, więc powiedział:

– Staraj się informować nas na bieżąco przez telefon połowy. Zdejmij słuchawkę z widełek, tak byśmy mogli słyszeć, co się dzieje...

Mullins przeszedł do miejsca, w którym stał ojciec Murphy, ukląkł i ujął dłonie księdza.

Flynn zszedł do pomieszczenia piętro niżej. Podmuch wiatru wdarł się przez strzaskane okno i poderwał chmury starożytnego kurzu gromadzącego się w bezruchu od stulecia.

W chwilę potem ojciec Murphy zszedł po drabinie.

– To – wskazał na rozbite okna – było jedyną rzeczą, która go trapiła... chyba nie powinienem być tego panu mówić...

Flynn prawie się roześmiał.

– Cóż, wybryk jednego człowieka dla drugiego może być najbardziej dręczącym grzechem i na odwrót. – Wskoczył na drabinę i zszedł na spiralne schody, a Murphy podążył za nim. Wydostali się z wieży w jaśniejszy półmrok i cieplejsze powietrze chóru.

Gdy ojciec Murphy przesuwiał się wzdłuż balustrady, poczuł, że ktoś go obserwuje. Zerknął w ławki dla chóru, wznoszące się w górę za klawiaturą, i wydał przerażone sapnięcie. Stała tam postać, nieruchoma wśród cieni, ubrana w długi mnisi płaszcz z kapturem. Poczwarna, nieludzka twarz spoglądała spod kaptura i dopiero po paru sekundach ojciec Murphy rozpoznał maskę leoparda. Z nieruchomej twarzy dobiegł głos Leary'ego:

– Wystraszyłem cię, księżu?

Murphy odzyskał panowanie nad sobą.

– Trochę szminki by się przydało, panie Leary – rzekł Flynn.

Leary roześmiał się piskliwym śmiechem, dziwnym u mężczyzny o tak niskim głosie. Spomiędzy ławek wstała Megan ubrana w czarną sutannę, jej twarz pokrywały kreski matowej farby maskującej, nałożonej, pomyślał Flynn, wprawną, nie jej ręką. Przypatrzył się uważnie twarzy Megan i stwierdził, że szminka nie zdołała ukryć tych samych znaków, które odkrył u Jean Kearney.

– Tak blisko śmierci – rzekł – nie mogę cię za to obwiniać.

Megan wysunęła podbródek do przodu w wyzywającym geście.

– Cóż, jeżeli nic więcej dobrego z tego nie wyniknie, to przynajmniej znalazłaś dla siebie idealnego partnera.

– Czy mój brat nie żyje? – zapytała Megan.

³⁸ Towerman North (ang.) – człowiek z wieży północnej (*przyp. tłum.*).

Flynn skinął głową. Jej twarz pozostała dziwnie obojętna. Wskazała na Leary'ego, świdrując Flynną spojrzeniem swych ciemnozielonych oczu.

– My nie pozwolimy ci skapitulować. Nie będzie żadnych kompromisów.

– Nie potrzebuję żadnego z was do wyjaśnienia mi moich obowiązków ani mojego przeznaczenia. – Głos Flynny był ostry.

– Kiedy oni się zjawią? – odezwał się Leary. – I jak?

Flynn powiedział im i rzucił w kierunku Leary'ego:

– Możesz dziś zebrać najobfitsze żniwo w życiu.

– Długo po tym, jak wszyscy będziecie już martwi – odparł Leary – ja wciąż jeszcze będę strzelał.

– On jest równie oddany jak ty – dodała Megan. – Jeżeli musimy umrzeć, umrzemy tutaj razem.

Flynn miał inne zdanie na ten temat, jakiś impuls kazał mu ostrzec dziewczynę, lecz sam nie wiedział przed czym, a poza tym i tak nie miało to już znaczenia.

– Żegnaj, Megan – rzekł do niej. – Powodzenia.

Megan wróciła między ławki do Leary'ego.

Ojciec Murphy spojrzał na dwie zakutane w sutanny postaci. Podejrzewał, że obydwójce mogliby zastrzelić go z tej zaciemnionej półki, nie wahając się dłużej niż człowiek polujący na owada. A jednak...

– Muszę się zapytać.

– Dalej więc, proszę jeszcze raz zrobić z siebie głupca – rzekł Flynn.

– To pan jest tym głupcem, który ich tu ściągnął – odparował Murphy.

Megan i Leary zdawali się wyczuwać, czego dotyczy ta wymiana zdań. Megan zawołała szyderczo:

– Proszę tu przyjść, ojczu. Wyznamy ojcu nasze grzechy. – Leary roześmiał się, a Megan ciągnęła dalej: – Nie dadzą ojcu spać po nocach i sprawią, że ojca twarz stanie się purpurowa niczym kapelusz kardynała. Nigdy nie słyszał ojciec o grzechach takich jak nasze. – Zaśmiała się i Flynn uświadomił sobie, że nigdy przedtem nie słyszał jej śmiechu.

Flynn wziął księdza pod ramię i przeprowadził go do południowej wieży. Wspięli się po schodach i wyszli przez drzwi na długą galerię południowo-zachodnią. Przy parapecie stał George Sullivan, wpatrując się w drzwi północnego transeptu. Spódniczka i płaszcz Sullivana, pomyślał Flynn, dziwnie kontrastowały z jego czarnym automatem i ładownicami. Flynn zawołał do niego:

– Czas spowiedzi, George!

Sullivan potrząsnął głową, nie odwracając się i zapalił papierosa. Myślami zdawał się być zupełnie gdzie indziej. Flynn trącił go w bok i wskazał na pustą galeryjkę po drugiej stronie nawy.

– Będziesz musiał kryć sektory Gallaghery.

– Dlaczego Megan tam nie pójdzie? – Sullivan podniósł wzrok.

Flynn nie odpowiedział, tylko popatrzył na Abby Boland. Więzy osobiste zawsze były siłą fenian – lecz także i słabością. Sullivan również spojrzał na drugą stronę nawy i odezwał się prawie z zakłopotaniem:

– Widziałem, że spowiadała się księdzu... te przeklęte kobiety są zawsze pełne winy i wstydu... czuję się w jakiś sposób zdradzony...

– Powinieneś być przedstawić mu swoją wersję.

Sullivan chciał coś odpowiedzieć, ale po namyśle zrezygnował. Flynn wyciągnął do niego rękę i Sullivan ścisnął ją mocno.

Flynn i ojciec Murphy wrócili razem do południowej wieży i wspięli się dziesięć pięter w górę do pomieszczenia z żaluzjami, gdzie w ciemności stał Rory Devane, z uczernioną twarzą i obszerną kamizelką kuloodporną zwieszającą się z jego szczupłych barków. Powitał ich uprzejmie, lecz ksiądz w purpurowej stule wyraźnie nie był pożądanym gościem.

– Po piątej piętnaście snajperzy zaczną ładować kule przez wszystkie osiem okien tego pomieszczenia – oznajmił Flynn.

– Niezły tłok tu będzie, nie?

– Mimo to musisz tu zostać i związać walką helikoptery. Musisz posłać raketę transporterowi opancerzonemu.

Devane przeszedł do okna wychodzącego na zachód i spojrzał w dół. Flynn poinstruował go szybko i dodał:

– Ojcu Murphy'emu zależy na twojej duszy.

Devane przeniósł wzrok na księdza.

– Wypowiadałem się dziś rano, tu, u Świętego Patryka, jeżeli już o tym mowa. U ojca Bertero. Od tego czasu nie uczyniłem niczego, z czego musiałbym się spowiadać.

– Jeżeli odmówisz akt skruchy, możesz odzyskać stan łaski – rzekł Murphy, odwrócił się i zniknął w otworze w podłodze.

– Powodzenia. – Flynn ścisnął dłoń Devane'a. – Do zobaczenia w Dublinie.

– Tak, Brian. Pub Kavanagha albo miejsce w pobliżu tylnej ściany.

Flynn obrócił się i zszedł po drabinie, dołączając do czekającego poziom niżej Murphy'ego. Obaj mężczyźni opuścili południową wieżę, przeszli przez chór i wkroczyli do dzwonnicy, gdzie Flynn wskazał na spiralną klatkę schodową.

– Muszę jeszcze raz pomówić z Mullinsem.

Murphy chciał zaproponować, by Flynn skorzystał z telefonu polowego, lecz coś w postawie Flynna powstrzymało go od odezwania się. Wspinali się tak długo, dopóki nie osiągnęli poziomu, na którym drabiny zastępowały schody, gdzieś poniżej stanowiska Mullinsa. Flynn rozejrzał się po obszernym pomieszczeniu, w którym się znajdowali. W tym miejscu wieża miała przekrój czworokąta, z małymi oknami z mleczonego szkła oddzielonymi grubym kamieniem. Mullins wybił dziury w niektórych szybkach, na wypadek gdyby musiał

zmienić pozycję. Flynn odłamał trójkątny kawałek szkła, popatrzył na niego, a potem spojrzął na Murphy'ego.

– Wielu ludzi oglądających to w telewizji jest w ponury sposób zafascynowanych pytaniem, jak to miejsce wyglądać będzie potem.

– Nie potrzeba mi dzisiejszej nocy żadnych nowych objawień z pańskiej strony – rzekł Murphy. – Jako księdza nic więcej mnie już nie szokuje i nadal pozostaję przy mej wierze w człowieka.

– To zaiste cud. Jestem pod wrażeniem...

Murphy wyczuł, że Flynn mówi to szczerze.

– Widziałem, jak pańscy ludzie dbają o siebie nawzajem i o pana... Wysłuchałem spowiedzi niektórych z nich... Wśród tego wszystkiego dostrzegam pewną nadzieję...

– A Hickey? Megan? Leary? A ja?

– Niech Bóg zmiłuje się nad waszymi duszami.

Flynn nie odpowiedział.

– Jeżeli ma pan zamiar mnie zabić, proszę zrobić to szybko – powiedział Murphy równym głosem.

Na twarzy Flynn'a odmalowało się zdziwienie, potem ból.

– Nie... dlaczego ojciec tak pomyślał?

Murphy automatycznie wymruczał przeprosiny, ale natychmiast poczuł, że w tych okolicznościach było to niepotrzebne.

– Proszę posłuchać. – Flynn wyciągnął rękę i chwycił księdza za ramię. – Dotrzymałem mojej obietnicy i pozwoliłem ojcu kręcić się po całej katedrze. Teraz chcę, by ojciec mi coś obiecał.

Murphy spojrzął na niego uważnie.

– Proszę mi obiecać, że gdy to wszystko się już skończy, dopilnuje ojciec tego, by moi ludzie zostali pochowani razem w Glasnevin³⁹, obok irlandzkich patriotów. Może ojciec wyprawić katolicki pogrzeb, jeżeli dzięki temu poczuje się ojciec lepiej. Wiem, że to nie będzie łatwe... Przekonanie tych świni w Dublinie może zająć całe lata. Oni nigdy nie uznają swoich bohaterów wcześniej jak pięćdziesiąt lat po ich śmierci.

Ksiądz spoglądał na niego nie rozumiejąc, potem odpowiedział:

– Ja... nie przeżyję, by...

Flynn chwycił pewnie wielką dłoń, jak gdyby chciał nią potrząsnąć, lecz w zamian zatrzasnął wokół jego nadgarstka kajdanki, a potem przykuł je do szczebla drabiny. Ojciec Murphy spojrzął na swój skrępowany kajdankami nadgarstek, potem na Flynn'a i powiedział:

– Proszę mnie uwolnić.

³⁹ Glasnevin – wioska niedaleko Dublina, gdzie na cmentarzu pochowanych jest wielu sławnych Irlandczyków (*przyp. tłum.*).

– Nawet nie powinno ojca tu być. – Flynn uśmiechnął się słabo. – Teraz proszę nie tracić głowy, kiedy kule zaczną świstać naokoło. Ta wieża powinna przetrwać eksplozję.

– Nie ma pan prawa tego robić! – krzyknął ksiądz, a jego twarz okryła się głęboką czerwienią. – Proszę mnie uwolnić!

Flynn zignorował go. Wyciągnął pistolet zza pasa i zeskoczył do otworu w podłodze.

– Może się zdarzyć, że Megan, Hickey... ktoś może po ojca przyjść... – Położył pistolet na podłodze. – Zabij ich. – Zaczął schodzić po drabinie. – Powodzenia, padre.

Murphy pochylił się i chwycił pistolet wolną ręką. Wycelował go w głowę Flynnna.

– Stój!

Flynn uśmiechnął się, schodząc po drabinie.

– Erin go bragh, Timothy Murphy. – Jego śmiech odbił się echem w całej wieży.

– Stój! – krzyknął ponownie Murphy. – Musi pan uratować i pozostałych... Maureen... Na miłość boską, człowieku, ona cię kocha... – Utkwił wzrok w czarnym otworze i patrzył za Flynnem, dopóki ten nie zniknął.

Ojciec Murphy rzucił pistolet na podłogę i szarpnął za kajdanki, potem opadł na kolana przy drabinie. Gdzieś w mieście uderzył kościelny dzwon, dołączył do niego kolejny i wkrótce słyszał już z tuzin różnych kurantów wygrywających hymn „Nie obawiaj się”. Pomyślał, że biją chyba wszystkie dzwony w mieście, być może nawet wszystkie dzwony w całym kraju, i miał nadzieję, że pozostali też to słyszą i wiedzą, że nie są sami. Pierwszy raz od chwili gdy to wszystko się zaczęło, ojciec Murphy poczuł napływające do oczu łzy.

Flynn wyszedł z wieży i przeszedł nawą główną. Jego kroki dudniły głośno na wypolerowanym marmurze. Skręcił w ambit. Hickey przyglądał mu się, stojąc na platformie organów prezbiterium. Flynn powoli wspiał się po stopniach i zatrzymał przed nim. Po krótkim milczeniu Hickey rzekł:

– Jest czwarta pięćdziesiąt dziewięć. Pozwoliłeś Murphy’emu zmarnować cenny czas na próbę uratowania dusz już skazanych na potępienie. Czy wszyscy znają wreszcie swoje zadania?

– Schroeder dzwonił?

– Nie, co oznacza, że albo nie ma niczego nowego, albo coś się stało. – Hickey wyciągnął fajkę i nabił ją. – Przez całą noc martwiłem się, że tytoń skończy się przede mną. To naprawdę mnie niepokoiło... człowiek nie powinien szczerzyć sobie tytoniu przed śmiercią. – Zapalił zapalną, jej trzask zabrzmiał nienaturalnie głośno wśród ciszy. Hickey zaciągnął się głęboko i rzekł: – No i gdzie jest ksiądz?

Flynn machnął ręką w kierunku wież, mało precyzyjnie.

– Nie mamy do niego żalu... nie powinien płacić za to, że znalazł się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie.

– Czemu nie? Dokładnie z tego powodu reszta z nas wkrótce umrze. – W jego spojrzeniu błysnęło udane olśnienie. – Ach, chyba że zabawa w Boga oznacza, że musisz ocalić jedno życie na każde dwieście, które zabierasz.

– Kim ty jesteś? – zapytał Flynn.

– Czyżbym cię wystraszył, chłopcze? – Hickey uśmiechnął się z nie ukrywaną radością. – Nie bój się więc. Jestem jedynie starym człowiekiem, który zabawia się, grając na ludzkich lękach i przesądach. – Przekroczył przez ciało Pedara Fitzgeralda i zbliżył się do Flynna. Pociągnął głośno ze swej fajki z zamyślnym wyrazem twarzy. – Wiesz co, chłopcze, od kiedy mnie pochowano, miałem więcej zabawy niż kiedykolwiek przed moim internowaniem. Zmartwychwstanie przynosi duże korzyści, ktoś uczynił kiedyś z tego całą religię. – Wskazał kciukiem na krucyfiks na szczycie ołtarza i roześmiał się ponownie.

Flynn poczuł oddech starego człowieka na swojej twarzy. Położył prawą dłoń na konsoli organów.

– Czy wiesz coś o tym pierścieniu?

– Wiem, czym on jest dla ciebie. – Hickey nawet nie spojrzał na niego.

– A czym jest naprawdę?

– Pierścieniem zrobionym z brązu.

– W takim razie nosiłem go za długo. – Flynn zsunął go z palca i położył na otwartej dłoni. – Weź go.

Hickey wzruszył ramionami i sięgnął po pierścień. Flynn zamknął dłoń i przeszył go spojrzeniem. Oczy starego mężczyzny zwięzły się w mroczne szpary.

– A więc chcesz wiedzieć, kim jestem i skąd się tu wzięłem? – Z przesadzonym zainteresowaniem zajrzał do swej rozżarzonej fajki. – Mogę powiedzieć ci, że jestem duchem, thevshi, który powrócił z grobu, by odebrać pierścień i sprowadzić zagładę na ciebie i na nowych fenian, by przenieść walkę na następne pokolenie. Oto prawidłowe celtyckie wytłumaczenie, jakiego potrzebujesz, by uzasadnić swoje obawy. – Spojrzał Flynnowi prosto w oczy. – Ale mogę też powiedzieć ci prawdę, która jest znacznie bardziej przerażająca. Ja żyję. Twoja mroczna dusza stworzyła thevshi, tak jak stwarza banshee, pooka⁴⁰, Fir Darrig⁴¹ i wszystkie stwory rodem z koszmarów wędrujące wśród mrocznych krajobrazów twego umysłu i zmuszające cię do kulenia się przy słabo migoczących ogniach torfowisk. Zaprawdę, Brian, to przerażające, gdyż nie potrafisz znaleźć azylu przed tymi potworami, które nosisz w sobie.

Flynn patrzył na niego, przyglądając się pomarszczonej, białej twarzy. Nagle oczy Hickeya złagodniały, zabłyśły w nich iskry, a usta wykrzywiły się w dobrodusznym uśmiechu.

– Rozumiesz? – zapytał Hickey.

⁴⁰ Pooka – psotliwy, lecz nie złośliwy duszek z mitologii irlandzkiej (*przyp. tłum.*).

⁴¹ Fir Darrig – mityczny lud zamieszkujący prehistoryczną Irlandię (*przyp. tłum.*).

– Tak, rozumiem – odrzekł Flynn. – Rozumiem, że jesteś istotą czerpiącą siłę ze słabości innych. To moja wina, że tu jesteś, i mój obowiązek, by dopilnować, żebyś nie wyrządził dalszej szkody.

– Szkoda już została wyrządzona. Gdybyś stawiał mi czoło, zamiast pławić się w samoumartwieniu, zdołałbyś wywiązać się z odpowiedzialności wobec twoich ludzi, nie wspominając nawet o twoim własnym przeznaczeniu.

Flynn utkwiał wzrok w Hickeyu.

– Obojętne co się stanie, dopilnuję, byś nie wyszedł stąd żywy. – Odwrócił się i wszedł do prezbiterium. Stał przed wysokim tronem. – Kardynale, policja zaatakuje po piątej piętnaście. Ojciec Murphy jest we względnie bezpiecznym miejscu, my natomiast prawdopodobnie zginiemy. – Poszukał na twarzy kardynała śladu emocji, lecz nie znalazł niczego. Ciągnął więc dalej: – Chcę, by pan wiedział, że ludzie na zewnątrz są za to współodpowiedzialni. Tak jak ja są próżni, egoistyczni i spaczeni. Raczej przykry koniec dla produktów dwóch tysięcy lat judeochrześcijańskiej miłości i miłosierdzia, przyzna pan.

– To pytanie dla ludzi poszukujących drogi, która przeprowadzi ich przez życie. – Kardynał pochylił się do przodu. – Pańskie życie się skończyło i swoją odpowiedź uzyska pan już niedługo. Niech pan wykorzysta te minuty, jakie panu pozostały, by pomówić z nią. – Skinął głową ku Maureen.

Przez moment Flynn był kompletnie zaskoczony. Takiej odpowiedzi spodziewał się chyba najmniej. Odstąpił od tronu, obrócił się i przeszedł przez prezbiterium.

Maureen i Baxter siedzieli, nadal skuci razem, w pierwszym rzędzie ławek. Flynn rozpiął im kajdanki, a potem odezwał się nieswoim głosem:

– Chciałbym umieścić was oboje w mniej odsłoniętym miejscu, ale dla niektórych jest to nie do zaakceptowania. Jednak, kiedy rozpocznie się strzelanina, nie zostaniecie straceni, gdyż możemy ich odeprzeć i znowu będziecie nam potrzebni. – Spojrzał na zegarek i kontynuował beznamiętnym tonem: – Parę minut po piątej piętnaście ujrzenie, jak eksplodują wszystkie drzwi, a potem policja wdrze się do środka. Wiem, że oboje potraficie zachować zimną krew. Zanurkujcie pomiędzy ławki za wami. Gdy zbliży się szósta zero trzy... jeśli jeszcze będziecie żywi... wydostańcie się z tego miejsca bez względu na to, co się będzie działo dookoła was. To wszystko, co mogę dla was zrobić.

Maureen podniosła się i spojrzała na niego uważnie.

– Nikt cię nie prosił, byś cokolwiek dla nas robił. Jeżeli chcesz uczynić coś dla wszystkich, zejdź teraz po tych schodach i otwórz im wrota. Potem wejdź na tę ambonę i powiedz swym ludziom, że to koniec. Nikt cię nie zatrzyma, Brian. Myślę, że oni czekają, byś coś powiedział.

– Gdy tamci otworzą wrota Long Kesh, ja otworzę te.

– Klucze do więzień Ulsteru nie znajdują się w Ameryce, Londynie czy Dublinie. – W jej głosie zabrzmiała złość. – One znajdują się w Ulsterze. Daj mi rok w Belfaście i

Londonderry, a wydostanę z więzień więcej ludzi niż ty kiedykolwiek wydostałeś swoimi porwaniami, napadami i zabójstwami...

– Rok? – Flynn się roześmiał. – Nie przeżyłabyś roku. Jeżeli nie dopadliby cię katolicy, zrobiliby to protestanci.

Maureen wzięła płytki oddech i opanowała swój głos.

– Dobrze... nie ma sensu znów tego zaczynać. Ale nie masz prawa prowadzić tych ludzi na śmierć. Twój głos może zerwać czar śmierci władający tym miejscem. Dalej! Zrób to! Teraz! – Określiła się i uderzyła go otwartą dłonią w twarz.

Baxter odsunął się na bok i odwrócił głowę. Flynn przyciągnął Maureen do siebie i powiedział:

– Przez całą noc wszyscy byli doskonali w dawaniu mi najprzeróżniejszych rad. To dziwne, że ludzie nie zwracają na ciebie uwagi, dopóki nie ustawi się pod nimi tykającej bomby zegarowej, nie? – Puścił jej ramiona. – Ty, na przykład, odeszłaś ode mnie bez słowa cztery lata temu. To, co powiedziałaś dzisiejszej nocy, mogło być powiedziane wtedy.

Maureen zerknęła na Baxtera i fakt, że on słyszy ich rozmowę, wprawił ją w dziwne zakłopotanie. Odezwała się cichym głosem:

– Wtedy powiedziałam wszystko, co miałam wówczas do powiedzenia. To ty nie słuchałeś.

– A ty nie mówiłaś tak głośno.

Flynn obrócił się do Baxtera.

– Co do ciebie, Harry... – Przynurzył się do niego. – Major Bartholomew Martin potrzebował tu martwego Anglika i ty nim jesteś.

Baxter rozważył to i bardzo szybko zaakceptował nieuniknione wnioski.

– Tak... to chory człowiek, opętany. Chyba zawsze podejrzewałem...

– Proszę wybaczyć. – Flynn zerknął na zegarek. – Muszę przemówić do moich ludzi. – Odwrócił się i poszedł ku ambonie.

Maureen dogoniła go i położyła mu dłoń na ramieniu, odwracając go ku sobie.

– Do cholery, nie pożegnasz się nawet?

Flynn zarumienił się, jakby stracił opanowanie i odchrząknął.

– Przepraszam, nie sądziłem, że ty... Cóż, żegnaj więc... Nie będziemy mieli więcej okazji rozmawiać ze sobą, prawda? Powodzenia... – Zawahał się, potem pochylił ku niej, lecz nagle wyprostował z powrotem.

Maureen chciała coś powiedzieć, lecz od strony schodów do zakrystii rozległ się niski głos Gallaghery:

– Brian! Jest tu Burke i chce cię zobaczyć!

Flynn popatrzył na zegarek z pewnym zaskoczeniem.

– To pułapka! – zawołał Hickey od organów.

Flynn zawahał się i spojrzał na Maureen, a ona kiwnęła lekko głową. Ich oczy spotkały się na moment i Flynn rzekł:

– Nadal ufna. – Uśmiechnął się, obszedł szybko ołtarz i zszedł po schodach.

Burke stał przy bramie w koszuli, z pustą kaburą pod pachą i dłońmi w kieszeniach spodni. Flynn zbliżył się, nie dbając o ostrożność i zatrzymał się tuż przy kracie.

– Więc? – Burke nie odpowiedział i Flynn zapytał ostro: – Nie zamierza pan poprosić mnie, bym się poddał lub...

– Nie.

– Zostaw nas – zawołał Flynn do Gallaghera i obrócił się z powrotem do Burke'a. – Jest pan tu, by mnie zabić?

Policjant wyciągnął dłonie z kieszeni i oparł je na kratkach.

– Czy myśli pan, że zabiłbym pana w taki sposób?

– Powinien pan. Zawsze powinno się próbować zabić dowódcę przeciwnika, gdy tylko ma się ku temu okazję. Gdyby był pan Bellinim, zabiłbym pana.

– Wciąż obowiązują jeszcze jakieś zasady.

– Zgadza się. Właśnie jedną panu podałem. – Kilka sekund upłynęło w ciszy, potem Flynn rzekł: – Czego pan chce?

– Chciałem jedynie powiedzieć, że nie żywię do pana osobistej urazy.

– Cóż, wiedziałem o tym. – Flynn się uśmiechnął. – Mogłem to dostrzec. A i ja nie mam żalu do pana, Burke. To jest w tym najgorsze, prawda? Osobiście nie czuję nienawiści do pańskich ludzi, a większość z nich nie czuje nienawiści do mnie.

– To dlaczego tu jesteście?

– Jesteśmy tu, ponieważ w roku tysiąc sto sześćdziesiątym dziewiątym papież Aleksander III dał Henrykowi III Angielskiemu zezwolenie na wprowadzenie armii do Irlandii. Jesteśmy tu, ponieważ autobus do Clady przejeżdża obok opactwa Whitethorn. Dlatego ja jestem tutaj. Dlaczego pan tu jest?

– Byłem na służbie o piątej.

Flynn uśmiechnął się i rzekł:

– Cóż, to cholernie błahy powód, by umierać. Zwalniam pana z obietnicy przyłączenia się do ataku. Może w zamian zechce pan zabić Martina. Martin wrobił w to biednego Harry'ego, wykoncypował to pan już?

Twarz Burke'a pozostała beznamiętna. Flynn spojrzał na zegarek. Piąta zero cztery. Coś było nie w porządku.

– Czy nie powinien pan już iść?

– Jeśli pan chce. I, też jeśli pan chce, zostanę z panem przy telefonie do trzy po szóstej.

Flynn spojrzał na niego uważnie.

– Chcę rozmawiać ze Schroederem. Proszę go tu przysłać.

– To niemożliwe.

– Chcę z nim mówić! Zaraz!

– Nikogo pan już nie zastraszy swoimi groźbami – odparł Burke. – A już najmniej Berta Schroedera. – Westchnął ciężko. – Kapitan Schroeder włożył sobie do ust lufę swej broni...

– Kłamie pan! – Flynn złapał Burke'a za ramię. – Chcę ujrzeć jego ciało.

Burke uwolnił się z uchwytu i cofnął w głąb zakrystii, potem obejrzał na Flynna.

– Nie wiem, co go do tego popchnęło, ale wiem, że pana należy za to winić. – Zatrzymał się przy wylocie korytarza. Zaledwie trzy stopy od niego ciał się zamaskowany policjant z ESD z karabinem automatycznym Browninga. Burke wydawał się zawahać na chwilę i rzucił: – Żegnam.

Flynn skinął głową.

– Cieszę się, że się spotkaliśmy.

Bellini stał przy stole w sali konferencyjnej, wpatrując się w cztery duże, rozwinięte arkusze planów katedry, których rogi obciążone były kubkami, popielniczkami i granatami. Dowódcy oddziałów zgromadzili się naokoło niego. Pierwsze trzy plany przedstawiały piwnice, główny poziom oraz górne piętra. Czwarty był szkicem przekroju pionowego katedry. Teraz, gdy wszystkie leżały przed nim, nie robiło to na Bellinim żadnego wrażenia.

Gordon Stillway siedział przed planami, pospiesznie odczytując wstępne rozkazy. Bellini rozejrzał się dookoła, sprawdzając, czy ktoś nie doznał jakiegoś nagłego olśnienia. Ale na uczernionych, spoconych twarzach widział jedynie zniecierpliwienie, zmęczenie i złość spowodowaną opóźnieniem.

Burke otworzył drzwi i wszedł do pomieszczenia. Bellini podniósł wzrok i obdarzył go spojrzeniem, w którym nie było wiele optymizmu ani wdzięczności. Burke dostrzegł Langleya stojącego pod tylną ścianą i dołączył do niego. Przez kilka sekund w milczeniu obserwowali scenę przy stole, potem Burke odezwał się, nie odrywając wzroku od stołu konferencyjnego:

– Lepsze nastroje?

– W życiu nie czułem się lepiej – odparł Langley zimno.

– Ja też. – Spojrzał na miejsce na podłodze, gdzie upadł Schroeder. – Co z Bertem?

– Policyjny doktor się nim zajmuje. Wyczerpanie fizyczne. Burke skinął głową. Langley pozwolił, by minęło parę sekund.

– Kupił to?

– Jego następnym posunięciem może być groźba zabicia któregoś zakładnika, jeśli nie pokażemy mu ciała Schroedera... z rozwaloną głową – rzekł Burke.

Langley poklepał się po kieszeni, w której trzymał służbowy rewolwer Schroedera.

– Cóż, to ważne, by Flynn wierzył, że plany, które ma, są tymi, których użyje Bellini... – Wskazał głową dowódców oddziałów. – Życie wielu ludzi od tego zależy.

– Co robisz, by aresztować Martina? – Burke zmienił temat.

– Po pierwsze, on znów zniknął. Dobry w tym jest. Po drugie, sprawdziłem u tego pajaca z Departamentu Stanu, Sheridana, że Martin ma immunitet dyplomatyczny, ale rozważają wydalenie...

– Nie chcę, by go wydalono.

Langley zerknął na niego.

– To i tak nie ma znaczenia, gdyż rozmawiałem też z naszym kumplem z FBI, Hoganem, który mówi, że Martin sam siebie wydził...

– Wyjechał?

– Jeszcze nie, oczywiście nie przed końcem przedstawienia. Zarezerwował sobie miejsce w samolocie na Bermudy z lotniska Kennedy'ego...

– Na którą?

Langley obdarzył go kosym spojrzeniem.

– Odlot o siódmej trzydzieści pięć. Śniadanie na pokładzie „Southampton Princess”.

– Daj sobie spokój, Burke.

– W porządku.

Langley przez minutę przyglądał się ludziom za stołem konferencyjnym i powiedział:

– Ponadto, nasz kolega z CIA, Kruger, mówi, że to ich sprawa. Nikt nie chce, byś się w to wtykał. Jasne?

– Nie ma sprawy. Wydział Fałszerstw Dzieł Sztuki, powiadasz?

– Tak, znam tam jednego faceta. To największe opierdalenie, jakie kiedykolwiek wymyślono.

Podczas gdy Langley odmalowywał idylliczny obraz życia w Wydziale Fałszerstw Dzieł Sztuki, Burke reagował zgodnie z oczekiwaniami, myślami jednak był gdzie indziej.

Gordon Stillway zakończył wstępny opis i rzekł:

– A teraz proszę mi powiedzieć, czego dokładnie chcecie się dowiedzieć.

Bellini popatrzył na ścienny zegar. Piąta zero dziewięć. Wziął głęboki oddech.

– Chcę wiedzieć, jak dostać się do katedry nie korzystając z frontowych drzwi.

Stillway mówił i odpowiadał na pytania, a nastrój dowódców oddziałów ESD zmienił się z pesymizmu w ostrożny optymizm. Bellini zerknął na saperów. Ich porucznik, Wendy Peterson, jedyna kobieta obecna na sali, przysunęła się do planu podziemi i odgarnęła z twarzy długie, jasne włosy. Bellini obserwował chłodne, błękitne oczy analizujące diagram. W skład grupy saperskiej wchodziło siedemnastu mężczyzn, jedna kobieta i dwa psy i Bellini wiedział ponad wszelką wątpliwość, że wszyscy byli kompletnymi szaleńcami, włączając w to psy.

Porucznik Peterson zwróciła się do Stillwaya. Jej głos był cichy, zbliżony prawie do szeptu, co, jak pomyślał Bellini, było swoistą cechą charakterystyczną tego oddziału.

– Gdyby chciał pan założyć bomby – powiedziała Peterson – założymy, że nie ma pan dużo materiału wybuchowego, a oczekuje pan maksymalnego efektu...

– Tu i tu. – Stillway postawił na planach dwa ikсы. – Te dwie wielkie kolumny po bokach schodów do zakrystii. – Zamyślił się na moment i dodał: – Kiedy miałem sześć lat, wybito schody w fundamentach i osłabiono podstawę, na której wspierają się te kolumny. To jest w archiwach i każdy, kto ma na to ochotę, może do tego dotrzeć, także IRA.

Wendy Peterson kiwnęła głową.

– To wielkie kolumny – kontynuował Stillway – ale takimi materiałami wybuchowymi, jakie są obecnie dostępne – pani dobrze o tym wie – ekspert od wysadzania jest w stanie je zwalić, a razem z nimi pół katedry... i niech Bóg ma was w swojej opiece, jeżeli będziecie w środku.

– Nie interesuje mnie eksplozja – rzekła Wendy Peterson.

Stillway pojął, o co jej chodzi, i odparł:

– Ale mnie tak. Mało jest osób takich jak ja, zdolnych odbudować to miejsce...

Ktoś zadał pytanie, które dręczyło tej nocy wielu ludzi:

– A czy można ją odbudować?

– Tak, ale prawdopodobnie wyglądałaby jak pierwszy oddział banku zaświatowego.

Ktoś się roześmiał. Stillway z powrotem skierował uwagę ku planom podziemi i objaśnił parę specjalistycznych oznaczeń. Bellini przysłuchiwał się, pocierając szczecinę na brodzie, wreszcie przerwał:

– Panie Stillway, gdybyśmy mieli wprowadzić opancerzony transporter piechoty, ważący jakieś dziesięć ton, po głównych schodach i przez wrota frontowe...

– Co? – Stillway wyprostował się. – Te wrota są bezcenne...

– Czy podłoga wytrzyma takie obciążenie?

Stillway opanował się i zastanawiał przez chwilę, a potem odpowiedział z niechęcią:

– Skoro musicie zrobić coś tak obłąkańczego... niszczycielskiego... Dziesięć ton? Tak, zgodnie ze specyfikacjami podłoga wytrzyma takie obciążenie... ale jakieś prawdopodobieństwo ryzyka zawsze pozostaje, prawda?

– Tak... – Bellini skinął głową. – Jeszcze jedno. Powiedzieli, ci fenianie powiedzieli, że zamierzają podpalić katedrę. Mamy powody, by podejrzewać, że chodzi o poddasze. Czy to możliwe?

– Czemu nie?

– No, dla mnie wygląda dość solidnie...

– Solidne drewno. – Stillway potrząsnął głową. – Co za skurwiele... – Podniósł się nagle.

– Panowie, pani... – Przepchnął się przez krąg ludzi. – Proszę mi wybaczyć, że nie zostanę, by przysłuchiwać się, jak opracowujecie szczegóły, nie czuję się za dobrze, ale będę w sąsiednim pomieszczeniu, gdybyście mnie potrzebowali.

Dowódcy oddziałów ESD zaczęli rozmawiać w swym gronie. Saperzy przenieśli się w przeciwległy kąt sali i skupili wokół Wendy Peterson. Bellini zauważył, że ich twarze były zawsze bez wyrazu, a spojrzenia nieobecne. Sprawdził godzinę: piąta piętnaście. Będzie

potrzebować piętnastu do dwudziestu minut na zmodyfikowanie planu ataku. Zostanie niewiele czasu, ale plan tworzący się w jego umyśle był o wiele czystszy, znacznie oddalał możliwość masakry. Odsunął się od dowódców oddziałów i podszedł do Burke'a i Langleya. Zawahał się na moment i rzekł:

– Dziękuję za Stillwaya. Dobra robota.

– Zawsze do usług, Joe, przepraszam, inspektorze – odparł Langley. – Ty dzwonisz, my dostarczamy architektów, prawników, zabójców, pizz...

– Jesteś teraz w lepszym nastroju? – przerwał Burke.

– Będzie mniej ofiar, katedra ma pięćdziesięcioprocentową szansę, ale zakładnicy nie przeżyją. – Bellini przerwał, potem dodał: – Czy sądzisz, że jest jakiś sposób na odwołanie szarzy Piątą Aleją pancernej kawalerii Logana?

– Gubernatorowi Doyle'owi naprawdę na tym zależy. – Langley potrząsnął głową. – Myśli o tym wozie pancernym jak o jednym z samochodów propagandowych, których używa się podczas kampanii wyborczych.

Bellini znalazł w kieszeni niedopałek cygara i zapalił go, a potem ponownie spojrzął na zegarek.

– Flynn spodziewał się, że zostanie zaatakowany krótko po piątej piętnaście, i pewnie teraz się nad tym ciężko głowi. Wyobraźcie sobie tę scenę, dobrze, dobrze. Mam nadzieję, że ten matkojeb przeżywa teraz najgorsze chwile swego pierdolonego życia.

– Jeżeli jeszcze nie teraz – rzekł Langley – to czeka go to wkrótce.

– Taa... Cipogryz. – Usta Belliniego wykrzywił złośliwy grymas, oczy zamieniły się w wąskie szparki. – Mam nadzieję, że dostanie kulkę w bebechy i będzie umierać naprawdę powoli. Mam nadzieję, że będzie rzygał krwią, sokiem żołądkowym i żółcią, dopóki nie...

– Proszę... – Langley podniósł dłoń.

Bellini okręcił się i spojrzął na Burke'a.

– Nie mogę uwierzyć, że Schroeder zdradził mu...

– Nigdy tego nie powiedziałem – uciął Burke. – Powiedziałem, że znalazłem architekta i że powinienes zrewidować swój plan ataku. Kapitan Schroeder zemdłał od nadmiaru wysiłku. Jasne?

– Pewnie, że zemdłał – zaśmiał się Bellini. – Walnąłem go w twarz. Co innego miał zrobić, zatańczyć? – Jego twarz przybrała twardego wyraz, prychnął z pogardą. – Ten skurwiel mnie sprzedał. Mogłem przez niego stracić stu ludzi.

– Ty zapomnisz o Schroederze – oświadczył Burke – a ja zapomnę o tym, jak pakowałeś swoim dowódcom oddziałów do głowy, by załatwili sprawę w katedrze szybko i bezboleśnie.

Bellini stał przez minutę w milczeniu, a później rzekł:

– Atak nie zostanie przeprowadzony tak, jak Schroeder przekazał Flynnowi... Co stanie się z jego córką?

Langley wyjął z kieszeni zabrane z kartoteki zdjęcie Dana Morgana i położył je na stoliku do brydza obok fotografii Terri O'Neal wyciągniętej z portfela Schroedera.

– Ten człowiek ją zamorduje. – Wskazał na uśmiechniętą twarz Terri O'Neal.

Zadzwoił telefon i Bellini spojrział w jego stronę.

– To mój kumpel, Murray Kline – powiedział do dwóch mężczyzn. – Dla was pan burmistrz. – Podniósł słuchawkę. – Kwatera główna gestapo. Mówi Joe.

Po drugiej stronie ktoś się zająknął, potem odezwał się podniecony głos burmistrza:

– Joe, kiedy ruszacie?

Bellini poczuł znajome trzepotanie serca na dźwięk tego wojskowego określenia. Po dniu dzisiejszym nigdy więcej nie chciał słyszeć tych słów.

– Joe?

– Tak... cóż, architekt wart był czekania...

– To dobrze. Bardzo dobrze. O której godzinie startujecie?

Startujecie. Jego serce załomotało ponownie, poczuł się, jakby miał w żołądku lodowatą wodę.

– Około piątej trzydzieści pięć, mniej więcej.

– Nie możesz tego przyspieszyć?

– Nie! – odparł Bellini bezczelnym głosem.

– Mówiłem ci, że są ludzie, którzy próbują powstrzymać tę akcję ratunkową...

– Nie interesuję się polityką.

– Dobra, zapomnij o tych pieprzonych politykach.

Na linii odezwał się głos Roberty Spiegel:

– Bomby, Bellini...

– Mów mi Joe.

– Zostawia pan saperom cholernie mało czasu na odnalezienie i rozbrojenie tych cholernych bomb, kapitanie.

– Inspektorze!

– Posłuchaj, ty...

– To ty posłuchaj, Spiegel, dlaczego nie popełzasz sobie razem z tymi pieprzonymi psami i nie pomożesz im wywęszyć te bomby? Brandy, Sally i Robbie. – Obrócił się do Burke'a i Langleya z triumfującym wyrazem twarzy. Langley mrugnął do niego. Bellini kontynuował, zanim Spiegel zdołała otrząsnąć się z szoku, wiedząc, że nie ma już powodu, dla którego miałby przestać: – Mają mało psów od czasu waszych ostatnich pierdolonych cięć budżetowych i przydałaby im się pomoc. We wszystko inne wetknęłaś już swój wielki nochal.

Przez długą chwilę w słuchawce panowała cisza, potem Spiegel się zaśmiała:

– W porządku, sukinsynu, teraz możesz mówić, co ci się podoba, ale potem...

– Tak, potem. Oddałbym swoją lewą rękę za pewność, że będzie jakieś potem. Ruszamy o piątą trzydzieści pięć. To nie podlega dyskusji...

– Czy jest tam inspektor Langley?

– Moment. – Zasłonił słuchawkę. – Chcesz rozmawiać z Żelazną Damą?

Twarz Langleya się zaczerwieniła i inspektor zawahał się, zanim wziął telefon od Belliniego, który powrócił do stołu konferencyjnego.

– Tu Langley.

– Wie pan, gdzie jest Schroeder? – zapytała Spiegel. – Jego dubler nie może go zlokalizować.

– Zasłabł – odparł Langley.

– Zasłabł?

– Tak, rozumie pani, upadł, zemdlał.

– Ach. Cóż, nadmuchajcie go ponownie i dostarczcie do urzędów stanowych w Centrum Rockefellera. Musi jeszcze później odegrać bohatera.

– Myślałem, że Schroeder ma być kozłem ofiarnym.

– Nie, w tej kwestii nie jest pan na bieżąco... – odparła. – Przemyśleliśmy to raz jeszcze. Teraz jest bohaterem, bez względu na to, co się stanie. Ma mnóstwo dobrych kontaktów z prasą.

– To kto jest kozłem ofiarnym?

– Widzi pan, coś takiego jak zwycięstwo czy porażka już nie istnieje – ciągnęła. – Są jedynie problemy z prasą...

– Kto jest ofiarą? – nalegał.

– Pan. Ale nie będzie pan sam i wyjdzie pan z tego czysty. Moja w tym głowa.

Langley nie odpowiedział.

– Posłuchaj, Philipie – rzekła. – Uważam, że powinieneś być tutaj podczas ataku.

Langley uniósł brwi na dźwięk swego imienia. Zauważył, że jej głos jest przymilny, potulny niemal.

– Akcja ratunkowa. Musisz to nazywać akcją ratunkową, Roberto. – Mrugnął do Burke'a.

– Wszystko jedno. – Jej głos nabrał nieco ostrości. – My, ja chcę, byś był tutaj.

– Chyba zostaną jednak na dole.

– Ruszysz dupę i znajdziesz się tu w ciągu pięciu minut.

Langley zerknął na Burke'a.

– Dobrze. – Odłożył słuchawkę i wlepił wzrok w telefon. – Ale popierdolona noc.

– Pełnia – rzucił Burke.

Milczenie przeciągało się, wreszcie Langley powiedział:

– Idziesz z Bellinim?

– Myślę, że powinienem – Burke zapalił papierosa – by zadbać o wyczyszczenie wszystkich szczegółów... zdobyć wszelkie notatki, jakie mogli prowadzić fenianie. W katedrze jest wiele sekretów, tajemnic, jak powiedział major. I zanim Bellini zacznie rozważać ludziom głowy albo budynek wyleci w powietrze...

– Rób, co uważasz za stosowne. – Langley zmusił się do uśmiechu. – Chcesz się ze mną zamienić miejscami i potrzymać dłoń Roberty Spiegel?

– Nie, dzięki.

Langley zerknął nerwowo na zegarek.

– Dobra... Posłuchaj, powiedz Belliniemu, by trzymał Schroedera zamkniętego w tamtym pokoju. O świcie przyjdziemy po niego i przeprowadzimy przed kamerami niczym jakiegoś bohatera olimpijskiego. Schroeder w górę, Langley w dół.

Burke skinął głową i powiedział:

– Posłuchaj, ta policjantka na koniu, Betty Foster... Jezu, to wydaje się tak odległe... W każdym razie dopilnuj, by też coś z tego dostała, i jeżeli nie będę miał okazji później jej podziękować... mógłbyś...

– Zajmę się tym. – Langley kiwnął głową. – Popierdolona noc. – Ruszył ku drzwiom, ale obejrzał się znowu. – Mam dla ciebie jeszcze jeden temat do rozmyślań, kiedy będziesz już w środku. Zdjęliśmy odciski palców ze szklanki, której używał Hickey. – Kiwnął głową ku krzesłu, na którym siedział Hickey. – Były rozmazane, ale Albany i FBI twierdzą, że istnieje dziewięćdziesięcioprocentowa pewność, że to Hickey, i mamy też kilka potwierdzeń od ludzi, którzy widzieli go w telewizji.

– To zamyka sprawę.

– Nie całkiem. Lekarz sądowy w Jersey City zbadał uzębienie trupa, którego ekshumowali i... – Spojrzał na Burke'a. – Aż dreszcz przechodzi po plecach...

– Daj spokój, Langley.

Langley zachichotał.

– Żartowałem. Trumna wypełniona była śmieciami i znaleźli w niej list pisany ręką Hickeya. Później ci powiem, co w nim było. – Uśmiechnął się i otworzył drzwi. – Betty Foster, tak? Do zobaczenia, Pat. – Zamknął drzwi za sobą.

Burke rozejrzał się po sali. Dowódcy oddziałów ESD, ubrani całkowicie na czarno, skupili się w półokręgu przy stole. Nad nimi ścienny zegar odliczał minuty. Gdy tak patrzył, wszyscy wyprostowali się jak jeden mąż, niczym drużyna futbolowa po powitalnym okrzyku, i zaczęli wychodzić z pomieszczenia. Bellini pozostał z tyłu pochłonięty jakimiś szczegółami. Burke przyjrzał się jego czarnej, masywnej sylwetce, jaskrawo kontrastującej z jasno oświetloną salą, i widok ten przywiódł mu na myśl mroczną chmurę burzową na słonecznym niebie.

Przeszedł do stołu konferencyjnego i wciągnął na siebie czarny golf, potem założył kamizelkę kuloodporną. Poprawił zielony goździk, otrzymany od policjanta z ESD, który rozdawał je z wiadra. Spojrzał na plany i odczytał pospiesznie nagryzłone na nich zadania poszczególnych oddziałów.

– Gdzie będę najmniej narażony? – zapytał Belliniego.

Bellini zastanowił się przez chwilę i odparł:

– W Los Angeles.

Flynn stał na wysokiej ambonie, piętro nad poziomem nawy głównej. Spojrzał na rozpościerającą się przed nim katedrę i powiedział do mikrofonu:

– Światła.

Światła poczęły gasnąć sektorami: najpierw prezbiterium, ambit i kaplica Matki Boskiej, zgaszone przez Hickeya; potem światła na czterech galerijkach triforyjnych, obsługiwane przez Sullivana; dalej lampy na chórze i wreszcie olbrzymie żyrandole zwisające ze stropu nawy głównej, wyłączone przyciskami na tablicy kontrolnej na chórze. Kruchty, boczne kaplice i księgarnię ciemność pochłonęła na końcu, w miarę jak Hickey przechodził przez katedrę, wciskając pozostałe przełączniki. Flynn zauważył, że pali się jeszcze kilka małych lampek, których przełączniki umieszczone były prawdopodobnie na zewnątrz. Hickey i pozostali rozbili te, które były dostępne, napelniając ciche pomieszczenia dźwiękiem tłuczonego szkła. Flynn skinął głową. Rozpoczęcie ataku zasygnalizowane zostanie wygaszeniem pozostałych świateł, gdy policja przestawi główny przełącznik w podziemiach plebanii. Policjanci spodziewać się będą katedry pogrążonej w ciemności, gdzie ich noktowizory zapewniłyby im przytłaczającą przewagę. Ale Flynn nie miał zamiaru na to pozwolić, tak więc wszystkie wotywnne świece, całe setki świec, zostały zapalone i tańczyły teraz we wszechogarniającym mroku niczym swego rodzaju ofiara, odwieczny sposób dodawania sobie otuchy w obliczu mrocznych koszmarów, a także źródło światła, którego policja nie będzie w stanie wygasić. Ponadto na całej długości katedry rozmieszczono w równych odstępach wielkie fosforowe flary, by zapewnić sobie dodatkowe oświetlenie i unieszkodliwić policyjne noktowizory. Na kapitana Belliniego, pomyślał Flynn, czeka niespodzianka.

Oparł dłonie na chłodnym kararyjskim marmurze balustrady ambony i, rozglądając się po obszernym wnętrzu, mrugnął parę razy, by dostosować wzrok do półmroku. Migoczące cienie tańczyły na ścianach i kolumnach, lecz sklepienie było jedynie zamazaną plamą szarości i łatwo było sobie wyobrazić, że nie ma go w ogóle, że wysokie kolumny uwolnione zostały od swego ciężaru i że w górze wznosi się jedynie nocne niebo – złudzenie, które będzie rzeczywistością następnego wieczora. Długie, mroczne galerie triforiów, ciemne i nieprzeniknione przy najlepszym oświetleniu, były teraz nieomal niewidoczne i jedynym dowodem na to, że są tam ludzie, był dźwięk stukających o kamień karabinów. Chór stanowił rozległą plamę ciemności, całkowicie osłoniętą przed padającym z dołu słabym światłem, jak gdyby na wysokości balustrady zwieszała się zasłona, lecz Flynn wyczuwał tam obecność dwojga ludzi. Świadomość ich obecności była znacznie wyraźniejsza, niż kiedy ich tam widział – jak gdyby pławili się w czerni i ożywali w mroku.

Odetchnął głęboko przez nos. Płonący fosfor wydzielał wszechpotężny, zgryźliwy zapach, zdający się odmieniać samą naturę katedry. Zniknęła ta dziwna woń piżma,

mieszanina zastarzałego kadzidła, łożu i czegoś jeszcze, czegoś nie dającego się zdefiniować, a co określał jako zapach rzymskokatolicki, zapach, który był taki sam w każdym kościele, przywołując mieszane wspomnienia z dzieciństwa. Przegnany, nareszcie przegnany, pomyślał, wypędzony. I sprawiało mu to niesamowitą satysfakcję, zupełnie jak gdyby pokonał biskupa w dyskusji o teologii.

Opuścił wzrok i omiół spojrzeniem flary i dziesiątki lichtarzy. Światło zdawało się dodawać teraz mniej otuchy, świece płonące za czerwonym lub błękitnym szkłem wyglądały niczym okalający ołtarze krąg zapalanej siarki, a jaskrawy, biały płomień fosforu przypominał, zachłanne ognie piekieł. Zauważył, że święci na ołtarzach poruszają się, wirują w obscenicznym tańcu, a ich uduchowione twarze zdradzają lubieżność, o którą ich zawsze podejrzewał. Lecz najbardziej zdumiewającą metamorfozę przeszły okna: zdawały się wisieć pośród czarnej przestrzeni, dwukrotnie większe niż w rzeczywistości, wznosząc się na oszałamiającą wysokość, tak więc spoglądając na nie, odczuwało się zawrót głowy. A nad wysokim chórem, nad tysiącem niewidocznych brązowych piszczałek organów, unosiła się okrągła rozeta okna, która stała się granatowym rozkręconym wirem, zdolnym wysać człowieka z tego podziemnego świata cieni i duchów – będącego w końcu jedynie dziedzińcem piekieł – wciągnąć, ostatecznie i nieodwracalnie, do samego piekła.

Flynn poprawił mikrofon i przemówił. Wątpił, by jego głos zdołał przełamać zakłęcie śmierci, jak to ona powiedziała, a ponadto i tak miał wręcz przeciwny zamiar.

– Panie i panowie... bracia i siostry... – Spojrzał na zegarek. Piąta czternaście. – Czas, jak wiecie, już nadszedł. Bądźcie czujni. To nie potrwa już długo. – Wziął szybki oddech, a głośniki poniosły go przez katedrę. – Przewodzenie wam było dla mnie wielkim zaszczytem... Chcę was zapewnić, że spotkamy się ponownie, jeśli nie w Dublinie, to w krainie światłości, za Zachodnim Morzem, bez względu na to, jakie nosi obecnie imię... gdyż niezależnie od tego, jaki bóg rozstrzyga teraz o naszym losie, nie potrafi zerwać łączących nas ziemskich więzów i oddania naszemu ludowi... – Jego głos zadrżał. – Nie obawiajcie się. – Wyłączył mikrofon.

Spojrzenia wszystkich przeniosły się z ambony na drzwi. Wyrzutnie raket i karabiny gotowe były do strzału, maski przeciwgazowe zwisały luźno na piersiach, w których serca łomotały szaleńczo. Hickey stanął przy ambonie i rzucił Flynnowi wyrzutnię, karabin i maskę.

– Brian! – zawołał głosem nie zdradzającym ani cienia strachu. – Obawiam się, że czas się pożegnać, chłopcze. To była dla mnie przyjemność i pewien jestem, że spotkamy się w krainie niewiarygodnej światłości, nie wspominając o gorącu. – Zaśmiał się i wycofał w półmrok zakrystii.

Flynn przewiesił karabin przez pierś, potem złamał zabezpieczenie na rakiecie i rozsunął wyrzutnię, kierując ją w stronę głównej kruchty. Hickey podszedł do tronu kardynała i zgiął się w ukłonie.

– Wasza Eminencjo, pali mnie pragnienie – oznajmił rzeczowym tonem – by rozciąć pańskie pomarszczone, białe gardło od ucha do ucha, a potem cofnąć się i przyglądać się krwi spływającej na pańskie purpurowe szaty i na ten obsceniczny przedmiot wiszący na pańskiej szyi.

Kardynał wyciągnął nagle rękę i dotknął policzka Hickeya. Starzec odsunął się szybko z dźwiękiem przypominającym wystraszony skowyt. Zaraz odzyskał równowagę i wskoczył z powrotem na stopień, ściągnął kardynała z tronu i popchnął go brutalnie w stronę schodów do zakrystii. Zeszli po nich i Hickey zatrzymał się na półpiętrze obok klęczącego Gallaghera, tuż przy drzwiach do krypty grobowej.

– Mam dla ciebie towarzystwo, Frank.

Hickey zepchnął kardynała po pozostałych stopniach, przyciskając go do bramy, tak że ten stał z twarzą zwróconą w stronę zakrystii. Wyprostował jego prawą rękę i przykuł za nadgarstek do kraty.

– Oto nowe logos dla pańskiego Kościoła, Wasza Eminencjo. Od dawna nic nowego nie wymyślili – powiedział, zapinając kajdanki na nadgarstku drugiej ręki kardynała. – Mieliliśmy Chrystusa na krzyżu, świętego Piotra ukrzyżowanego głową w dół, Andrzeja ukrzyżowanego na krzyżu w kształcie iksa, a teraz mamy pana, wiszącego na wrotach zakrystii katedry Świętego Patryka. To pewny sukces. Milion sprzedanych wizerunków.

– Kościół przetrwał dziesiątki tysięcy ludzi podobnych panu – rzekł sucho kardynał. – Przetrwa i pana, stając się jeszcze silniejszym właśnie dzięki temu, że tacy ludzie jak pan są wśród nas.

– Czyżby? – Hickey zacisnął dłoń w pięść, lecz uświadomił sobie, że Gallagher stanął za jego plecami. Odwrócił się i poprowadził go do otwartych drzwi krypty. – Zostań tutaj. Nie rozmawiaj z nim i nie słuchaj tego, co mówi.

Gallagher spojrzał w dół schodów. Rozpostarte ramiona i czerwone szaty kardynała zakryły pół okratowania. Gallagher poczuł ucisk w żołądku, przeniósł wzrok na Hickeya, ale nie był w stanie wytrzymać jego spojrzenia.

Hickey wspiął się po schodach, wszedł do prezbiterium z prawej strony ołtarza i zbliżył się do Maureen i Baxtera. Wskazał na dwie maski przeciwgazowe leżące na rozdzielającej ich ławce.

– Załóżcie je, gdy tylko poczujecie gaz. Jedyłą rzeczą, której nie mogę znieść, jest widok wymiotującej kobiety. Przypomina mi to moją pierwszą podróż do Dublina, pijane kurwy kulące się w alejkach i dostające mdłości. Nigdy tego nie zapomniałem.

Maureen i Baxter zachowali milczenie.

– Być może zainteresuje was to – ciągnął Hickey – że plan ataku został nam sprzedany po niskiej cenie, a plan ten nie zakłada znacznych starań na rzecz uratowania was albo katedry.

– Tak długo, jak zakłada pańską śmierć, odpowiada mi – rzekł Baxter.

– Mściwy z ciebie skurwieli! Założę się, że chciałbyś zmiażdżyć gardło jeszcze jednego młodego Irlandczyka, skoro raz tego posmakowałeś i poznałeś, jak to się robi.

– Jesteś najbardziej zepsutym i zdegenerowanym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. – Baxter z trudem panował nad swym głosem.

– Nareszcie gadasz do rzeczy. – Hickey mrugnął do niego i przeniósł uwagę na Maureen.
– Nie pozwól Megan ani Leary’emu cię zastrzelić, dziewczyno. Ukryj się między tymi ławkami i leż nieruchomo w ciemności. Kompletnie nieruchomo. Spoglądaj na zegarek, kochanie. Spoglądaj nań, podczas gdy kule świstać ci będą nad głową. Sprawdzaj godzinę i przyglądaj się sklepieniu. Jakoś tak między szóstą trzy a szóstą cztery usłyszysz hałas i podłoga zadrży delikatnie pod twoim uroczym tyłeczkiem, a kolumny zaczną się trząść. Ujrzysz, jak tam u góry olbrzymie fragmenty sklepienia zaczną spadać na ciebie jeden za drugim, niczym na zwolnionym filmie, prosto na twoją śliczną buzię. I pamiętaj, dziewczyno, że twoje ostatnie myśli, gdy będziesz zgniatana na miazgę, skierowane być winny ku Brianowi albo Harry’emu... Myślę, że każdy będzie odpowiedni. – Zaśmiał się, odwrócił i pomaszerował ku umieszczonej w posadzce płycie z brązu. Pochylił się i podniósł płytę.

– Moją ostatnią myślą – zawołała za nim Maureen – będzie, by Bóg zlitował się nad duszami nas wszystkich... i by twoja dusza, Johnie Hickeyu, nareszcie spoczęła w pokoju!

Hickey posłał jej całusa, a potem spuścił się po drabinie, zasuwając za sobą płytę.

Maureen usiadła z powrotem na ławce. Baxter stał jeszcze przez moment, potem zbliżył się do niej. Maureen podniosła wzrok i wyciągnęła rękę. Baxter usiadł przy niej, tak blisko, że ich ciała się stykały. Przez chwilę przyglądał się tańczącym naokoło ceniom.

– Próbowałem wyobrazić sobie, jak to się skończy... ale...

– Nic nie jest nigdy tak, jak to się sobie wyobraża. Nigdy nie spodziewałam się, że ty...

– Boję się. – Baxter objął dziewczynę.

– Ja też. – Zastanowiła się przez moment i uśmiech wypłynął na jej twarz. – Ale udało nam się, wiesz. Nie ustąpiliśmy im nawet o cal.

– Nie, nie ustąpiliśmy. – Uśmiechnął się w odpowiedzi.

Flynn wpatrzył się w okryty ciemnością pusty tron po jego prawej stronie, potem spojrzął poprzez rzeźbioną, drewnianą tęczę w kierunku pulpitu klawiatury organów, stojącego na podwyższeniu obok prezbiterium. Płonęła na nim pojedyncza świeca i wydało mu się, że Hickey siedzi przy klawiaturze. Zamrugał i odruchowo krzyknął zdławionym głosem. Przy organach siedział Pedar Fitzgerald, wyprostowany, choć lekko odchylony do tyłu. Jego dłonie unosiły się nad klawiszami, twarz była skierowana ku sklepieniu, jak gdyby z ust miała zaraz popłynąć pieśń. Flynn dostrzegał rurkę nadal wystającą z jego ust, trupio bladą skórę, otwarte oczy, w których odbijał się tańczący płomień świecy, jakby budząc w nich nowe życie.

– Hickey – wyszeptał cicho do siebie. – Hickey, ty ohydny, oślizgły, obsceniczny... – Posłał przelotne spojrzenie w stronę chóru, ale nie ujrzał Megan i całą uwagę zwrócił ponownie w stronę frontowych drzwi.

Nadeszła piąta dwadzieścia, potem piąta dwadzieścia pięć. Flynn spojrzął za siebie, wyglądając zza kolumny, i ujrzał Maureen i Baxtera przytulonych do siebie. Obserwował ich przez chwilę, a później powrócił wzrokiem do kruchty.

Piąta trzydzieści.

Zimne, nieruchome powietrze katedry przesycone było napięciem, napięciem tak namacalnym, że wręcz słyszalnym w rytmicznym biciu serca, odczuwalnym na pokrytych potem czołach, widzialnym w tańczących światłach, pozostawiającym w ustach smak żółci, napęliającym nozdrza ostrym smrodem płonącego fosforu.

Minęła piąta trzydzieści pięć i w umysłach ludzi skrytych w katedrze poczęła krążyć myśl, że jest już za późno, by przeprowadzić atak, który mógłby służyć jakimukolwiek logicznemu celowi.

Na długiej południowo-zachodniej galerii triforyjnej George Sullivan odstawił karabin i podniósł swoją kobzę. Wepchnął ją sobie pod pachę, poprawił trzy piszczałki sterczące nad ramieniem, położył palce na ośmiu otworach i przytknął wargi do ustnika. Wbrew wszelkim rozkazom i wbrew wszelkiemu rozsądkowi zaczął grać. Powolna, nawiedzona melodia „Amazing Grace” popłynęła z instrumentu poprzez rozświetlaną świecami ciszę. Napięcie opadło odrobinę, prawie niedostrzegalnie, powodując osłabienie czujności, a jednocześnie pojawiła się najprymitywniejsza wiara w to, że jeżeli przewidziało się coś strasznego, wyobraziło sobie z najdrobniejszymi szczegółami, to nie zdarzy się to nigdy.

KSIĘGA PIĄTA

ATAK

*Bo wielcy Galowie z Irlandii
Otrzymali od Boga szaleństwo.
I ich wojny wypełnia radość,
A pieśni rozpaczy przekleństwo.*

G.K. Chesterton

Bellini czekał przed otwartymi drzwiami małej windy w piwnicy pod zakrystią arcybiskupią. Policjant z ESD stał na dachu windy i trzymaną w dłoni latarką oświetlał ściany długiego szybu, którego podstawę tworzyły cegły, lecz powyżej parteru drewno stanowiło jedyny budulec i, tak jak utrzymywał Stillway, szyb zdawał się przechodzić przez poddasze na poziomie galerii triforyjnych.

– Jak to wygląda? – zapytał cicho Bellini.

– Zobaczymy.

Policjant wyciągnął z torby na narzędzia klamrę zaciskową, przykręcił ją mocno do kabla windy na poziomie swych bioder, potem stanął na niej, sprawdzając, czy go utrzyma. Następnie przykręcił kolejną klamrę i wszedł na nią. Krok po kroku, teraz już szybko, zaczął się wspinać w górę szybu, kierując się na poziom galerii osiem pięter wyżej.

Bellini spojrzął za siebie, w głąb krętego korytarza. Pierwszy Oddział Szturmowy ESD stał w milczeniu, obładowany sprzętem, uzbrojony w pistolety z tłumikami i karabiny wyposażone w noktowizory. Łącznościowiec siedział na podłodze przed małą polową centralą tuż obok windy, utrzymując kablówkę połączenie z pozostałymi oddziałami szturmowymi ESD i z biurami rządu stanowego w Centrum Rockefellera.

– Kiedy wszystko się zacznie – powiedział do niego Bellini – komunikacja między oddziałami ma pierwszeństwo przed burmistrzem i komisarzem... Prawdę mówiąc, nie chcę z nimi w ogóle rozmawiać, z wyjątkiem rozkazu wycofania się.

Korytarzem nadszedł Burke. Jego twarz pokrywała farba maskująca. Pochłonięty był przykręcaniem wielkiego tłumika do lufy pistoletu automatycznego.

– To chyba nie jest Los Angeles, co, Burke? – Bellini spojrzał na niego.

Burke wetknął pistolet za pas.

– Chodźmy!

Bellini wzruszył ramionami. Wspiął się po drabince na dach windy, a Burke wszedł za nim do wąskiego szybu. Bellini poświecił latarką w górę, zatrzymując ją na dębowych drzwiach prowadzących do zakrystii arcybiskupiej. Powiedział cicho:

– Jeżeli stoi tam fenianin z rozpylaczem i nas usłyszysz, na windę spadnie deszcz krwi.

Burke uniósł latarkę Belliniego, kierując ją na ciemną sylwetkę wspinającego się człowieka, który pokonał już jakieś sto stóp.

– Albo tam na górze czeka nas zasadzka.

– Na papierze wyglądało to ładnie. – Bellini wyłączył latarkę. – Masz jeszcze jakąś minutę, by przestać być dupkiem i wynieść się stąd.

– W porządku.

– Zastanawiam się... – Bellini zerknął nerwowo w górę – zastanawiam się, czy tamte drzwi, albo jakieś inne drzwi, są zaminowane? Pamiętasz w wojsku... te wszystkie oznaczenia fałszywych pól minowych? I to całe gówno o wojnie psychologicznej? – Potrząsnął głową. – Po pierwszym strzale wszystko będzie w porządku. Tylko to całe gówno przedtem... Flynn rozładował mnie... on rozumie... jestem pewien, że jest bardziej trzaśnięty ode mnie...

– Może Schroeder powiedział mu, jak bardzo ty jesteś trzaśnięty. Może Flynn boi się ciebie.

– Taak. – Bellini zaśmiał się, a potem jego twarz stężała. – Wiesz co? Mam ochotę kogoś zabić. Czuję taką potrzebę, jak wtedy gdy potrzebuję papierosa... wiesz?

– Ale przynajmniej w tym przypadku nie będzie dogrywki. – Burke zerknął na zegarek. – Koniec o szóstej zero trzy.

– Taak – Bellini także spojrzał na zegarek – żadnej dogrywki. Dwuminutowe ostrzeżenie, potem wielki wybuch, stadion się wali i mecz jest zakończony. – Roześmiał się ponownie.

Wspinający się policjant dotarł do szczytu szybu, przywiązał do poprzecznej belki nylonową drabinę i cisnął w dół. Bellini złapał ją, zanim uderzyła o metalowy dach windy. Łącznościowiec rzucił mu słuchawkę polowego telefonu i Bellini przypiął ją do swojej kamizelki kuloodpornej.

– No, Burke... teraz się zaczyna. Gdy wejdiesz na drabinkę, to tak łatwo już z niej nie zejdziesz.

Zaczął się wspinać, za nim poszedł Burke, a potem dziesięciu policjantów z ESD, jeden po drugim, ruszyło w górę.

Bellini zatrzymał się przy dębowych drzwiach do zakrystii arcybiskupiej i przytknął do nich ucho. Usłyszał kroki i zamarł w bezruchu. Nagle wąski promień światła u dołu drzwi zniknął. Bellini odczekał jeszcze kilka sekund z wycelowanym w drzwi karabinem i łomoczącym w piersiach sercem. Kroki się oddaliły. Słuchawka pstryknęła i Bellini wziął ją cicho do ręki.

– Tak?

– Nasi ludzie na zewnątrz donoszą – rzekł telefonista – że gasną wszystkie światła, ale widać... jakby płonące świece... może flary rozjaśniające okna.

Bellini zaklął. Wiedział, że to będą flary z białego fosforu. Skurwiele. Od samego początku, od samego pierdolonego początku... Ruszył w górę po chybotliwej drabince.

U szczytu szybu pierwszy policjant siedział na poprzecznej belce, kierując światło swej latarki jeszcze wyżej, i Bellini ujrzał mały otwór w miejscu, gdzie ściana szybu kończyła się kilka stóp poniżej ukośnego dachu poddasza triforium.

– Nareszcie coś się udało, cholera – wymruczał.

– Stał ostrożnie na poprzeczce, dziesięć pięter nad poziomem podziemi, i wyciągnął się ku otworowi, chwytając za krawędź drewnianej ściany. Podciągnął się do góry z pistoletem w dłoni, przeciskając głowę i szerokie ramiona na drugą stronę. Mrugając starał się przebić wzrokiem przez ciemność zalegającą poddasze, całkowicie przygotowany na strzał między oczy. Odczekał moment i zapalił latarkę, jednocześnie odbezpieczając pistolet. Nie poruszyło się nic poza jego przyciśniętym do szczytowej krawędzi ściany dygoczącym ciałem. Zsunął się głową do przodu pięć stóp w dół na belkę biegnącą nad płaszczem gipsowym, amortyzując upadek rozpostartymi ramionami i odzyskując równowagę.

W otworze pojawiła się głowa i ramiona Burke'a. Bellini przeciągnął go na swoją stronę. Jeden za drugim ludzie z Pierwszego Oddziału Szturmowego wskakiwali na małe, boczne poddasze za galeryjką triforyjną. Bellini przepelznął po belce, przylgnął do drewnianej ściany kolankowej i ruszył wzdłuż niej, docierając do niewielkich drzwi opisanych mu przez Stillwaya. Za nimi była południowo-zachodnia galeria triforyjna, a na niej z pewnością przynajmniej jeden strzelec. Bellini przytknął do drzwi mały wzmacniacz dźwięków, nadsluchując uważnie. Nie słyszał żadnych kroków, żaden odgłos wydawany przez żywą istotę nie dobiegał z galerii, tylko gdzieś w katedrze kobza wygrywała „Amazing Grace”.

– Dupki – mruknął do siebie.

Ostrożnie wycofał się spod ściany i poprowadził swój oddział do niskiej, wąskiej niszy, gdzie opadający dach stykał się z kamieniem zewnętrznego muru. Odczepił mikrofon od kurtki i odezwał się cicho do operatora na dole:

– Przekaż wszystkim, Pierwszy Oddział na miejscu. Żadnego kontaktu.

Członkowie Drugiego Oddziału Szturmowego ESD wspinali się po klamrach szerokim kominem z toporkami strażackimi przymocowanymi do pleców. Minęli wpuszczone w cegłę stalowe drzwi i podążyli dalej, ku wylotowi komina. Dowódca oddziału przywiązał nylonową linę alpinistyczną koloru khaki do najwyższej klamry i zacisnął dłonie na zwoju sznura. Zimny, nocny wiatr dmuchał w komin, dobywając z niego niskie, głębokie, świszczące dźwięki. Dowódca oddziału wystawił na zewnątrz peryskop i przypatrzył się wieżom. Z tej strony nie można było dostrzec fenian, więc obrócił peryskop na dach w kształcie krzyża. W polu widzenia pojawiły się dwa okna poddasza, ich pokrywy były otwarte.

– Cholera. – Cofnął się, a łącznościowiec oddziału zakręcił korbą wiszącego na szyi polowego telefonu i wręczył mu słuchawkę. – Kapitanie – zameldował dowódca oddziału – Drugi Oddział na pozycji wyjściowej. Te cholerne klapy są otwarte i ciężko będzie przejść po dachu.

– Po prostu zaczekajcie, dopóki wieże nie zostaną wyłączone – odparł Bellini ledwie słyszalnym głosem. – Wtedy ruszycie.

Trzeci Oddział Szturmowy wspiął się kominem w ślad za Drugim Oddziałem, lecz przerwał wchodzenie poniżej stalowych drzwi. Dowódca zajął pozycję przy drzwiach, kierując światło latarki na zasuwę. Powoli wyciągnął pneumatyczne obcęgi i na próbę dotknął zasuwę, zaraz cofając rękę. Połączył się przez telefon polowy z Bellinim:

– Kapitanie, Trzeci na stanowiskach. Nie można stwierdzić, czy na drzwiach są miny albo urządzenia alarmowe.

– Dobra – odparł Bellini. – Kiedy Drugi Oddział opuści komin, otworzycie i się przekonacie.

– Racja.

Oddał słuchawkę łącznościowcowi, który zapytał:

– Dlaczego nigdy nie ćwiczyliśmy czegoś podobnego?

– Nie sędzę, by kiedykolwiek zdarzyło się coś podobnego – odparł dowódca.

O piątej trzydzieści pięć dowódca Oddziału Snajperskiego ESD w Centrum Rockefellera odebrał telefon dzwoniący na stole w jednym z biur na dziesiątym piętrze. W słuchawce rozległ się głos Belliniego, przytłumiony, lecz zdecydowany:

– Hasło: Bull Run⁴². Sześćdziesiąt sekund.

Dowódca oddziału potwierdził, odłożył słuchawkę, wziął głęboki oddech i przycisnął dzwonek biurowego interkomu, posyłając sygnał gotowości.

Czternastu snajperów podsunęło się szybko do siedmiu okien wychodzących na poziomie strzaskanych żaluzji na wieże katedry po drugiej stronie Piątej Alei i skuliło się pod parapetami. Interkom zabrzmiał ponownie, snajperzy podnieśli się i rozsunęli szeroko okna, a

⁴² Bull Run – miejsce dwóch ważnych bitew amerykańskiej wojny secesyjnej w 1861 i 1862 roku (*przyp. tłum.*).

potem pewnie oparli karabiny na półkach z zimnego kamienia. Dowódca oddziału śledził przez moment sekundnik swego zegarka i wysłał ostatni, krótki sygnał.

Czternaście zaopatrzonych w tłumiki karabinów kaszlnęło cicho i metaliczny dźwięk przesuających się zamków zagrzecotał w pomieszczeniach. Poprzedzone cichymi gwizdami rozległy się przytłumione pyknięcia kolejnej salwy, by powtarzać się w nieregularnych odstępach, gdy każdy snajper wpadł w swój indywidualny rytm. Puste brązowe łuski spadały cicho na pluszowe dywany.

Flynn spojrzął na stojący na podłodze ambony telewizor. Ekran ukazywał zbliżenie dzwonnicy, błękitny cień Mullinsa wyglądającego przez rozbite okno. Mullins uniósł kubek do ust. Obraz zmienił się na kolejne zbliżenie, tym razem Devane'a stojącego ze znudzoną miną w południowej wieży. Dźwięk był ściszony, lecz brzęczący głos reportera nadal docierał do Flynna. Reporter podał godzinę. Wszystko wyglądało zwyczajnie, dopóki kamera się nie cofnęła. Wtedy Flynn dostrzegł błysk światła z rozety, która powinna być ciemna, i zrozumiał, że ogląda wcześniejszy zapis wideo. Pochylił się i sięgnął po telefon.

Kilkunastu feniańskich obserwatorów w okolicznych budynkach przyglądało się katedrze przez lornetki. Jeden z nich dostrzegł ruch u wylotu komina. Inny zauważył otwierający się szereg okien w Centrum Rockefellera. Zamigotały lampy sygnałowe przekazujące ostrzeżenia do katedry.

Rory Devane klęczał za kamiennym słupkiem okiennym z karabinem pod pachą, chuchając w przemarznięte dłonie. Kątem oka dostrzegł migoczące światła, a moment później ujrzał rząd rozbłyskujących luf karabinowych w budynku po drugiej stronie alei. Sięgnął po telefon, który zadzwonił w tej samej chwili, lecz zanim zdążył podnieść słuchawkę, odłamki rozpryskującego się kamienia uderzyły go w twarz. Mroczne pomieszczenie na wieży wypełniło się świstem pocisków i łomotem rozdzieranych miedzianych żaluzji.

Pocisk trafił w kamizelkę kuloodporną Devane'a, rzucając go do tyłu. Poczul inną kulę przechodzącą mu przez gardło, lecz nie poczul już tej, która zrykoszetowała na kamieniu, trafiła go w czoło i wgniotła czaszkę.

Donald Mullins stał we wschodnim kącie pomieszczenia dzwonnicy, spoglądając ponad East River i starając się wypatrzeć pierwsze blaski świtu zapalające się na niebie nad Long Island.

W połowie zdołał już przekonać sam siebie, że do ataku nie dojdzie, i kiedy zadzwonił telefon, wiedział, że to Flynn chce mu przekazać, że fenianie zwyciężyli.

W oknie hotelu Waldorf zamigotało światło sygnalizacyjne i serce Mullinsa zamarło na moment. Usłyszał, jak jeden z dzwonów za jego plecami odzywa się ostro i okręcił się na

pięcie. Karabinowe rozbłyski, następujące szybko jeden po drugim niczym pękające żarówki, przebiegły wzdłuż budynku po drugiej stronie Alei. W oddali ożyły kolejne światła-sygnalizacyjne, lecz te ostrzeżenia, których wypatrywał przez całą noc, nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. Kilka pocisków uderzyło w jego kamizelkę kuloodporną, dławiąc dech w piersiach i zwalając go z nóg. Mullins odzyskał równowagę i zanurkował w stronę wciąż dzwoniącego telefonu. Pocisk strzaskał mu łokieć, a inny przeszedł przez dłoń. Zajęczał przeciągle i upuścił karabin na posadzkę. Następna kula otarła się o czoło i cały świat ogarnęła ciemność. Jeszcze inny pocisk trafił go za uchem i ściął duży fragment czaszki. Mullins zatoczył się zamroczony bólem i chwycił za sznur dzwonu przechodzący przez otwór klatki schodowej. Uczuł, że spada, ześlizguje się po tańczącym szaleńczo sznurze.

Ojciec Murphy kulił się przy zimnej żelaznej drabinie w dzwonnicy, na wpół nieprzytomny ze zmęczenia. Ciche uderzenie dzwonu spowodowało, że skierował wzrok ku górze i ujrzał spadającego ku niemu Mullinsa. Instynktownie uchwycił go, zanim ten przeleciał przez otwór w podłodze.

Mullins zataczając się odbiegł od ziejącej dziury i padł na podłogę, wrzeszcząc z bólu. Zaczął miotać się po pomieszczeniu, przyciskając dłonie do twarzy. Krew spływała mu pomiędzy palcami. Pobiegł na oślep ku wschodniej ścianie wieży, przebił się przez potrzaskane szkło i poleciał trzy piętra w dół, zatrzymując się na dachu północno-zachodniej galerii triforyjnej.

Ojciec Murphy z mozołem próbował objąć rozumem tę surrealistyczną scenę, która rozegrała się przed jego oczami. Zamrugał kilkakrotnie i wlepił wzrok w rozbite okno.

Abby Boland wydało się, że słyszy jakiś dźwięk na dachu poddasza galerii za jej plecami, i zamarła w bezruchu, nadsluchując.

Leary'emu wydało się, że słyszy uderzenie dzwonu z wieży, i wyteżył słuch w oczekiwaniu na następne.

Łącznościowcy dwóch siedzących w kominie oddziałów jednocześnie podnieśli słuchawki i usłyszeli głos Belliniego:

– Obie wieże czyste. Ruszajcie!

Dowódca Drugiego Oddziału Szturmowego wyrzucił zwój liny z komina i przeszedł przez jego krawędź, czując na twarzy zimny powiew wiatru. Zaryzykowano pozostawienie błękitnych reflektorów oświetlających dolną część murów katedry, by nie alarmować fenińskich obserwatorów w okolicznych budynkach i na poddaszu. Dowódca oddziału czuł się widoczny jak na patelni, gdy spuszczał się szybko po linie wzdłuż komina. Wylądował na ciemnym dachu galerii północno-zachodniej. Zaraz za nim pojawiło się jego dziesięciu ludzi. Wszyscy pospiesznie przebiegli przez niższy dach ku smukłej wieżyczce wznoszącej się między dwoma wielkimi oknami ambitu. Znaleźli żelazne klamry, których istnienie wyjawiał

Stillway, i wspięli się na wyższy dach, częściowo widoczny w rozproszonym świetle. Padając na dach, wylądowali w szerokiej rynnie między murem a opadającą ukośnie wielką płaszczyzną dachówek z szarego łupku i zaczęli pełznąć ku najbliższemu oknu. Dowódca oddziału kierował się w stronę okna, nie spuszczać z niego oczu. Ujrzał jakiś przedmiot wystający spod otwartej klapy, wąski i wysmukły jak lufa karabinu.

Dowódca Trzeciego Oddziału Szturmowego, czekający przy stalowych drzwiczkach, odprowadził wzrokiem ostatni ciemny kształt znikający u wylotu komina nad jego głową i objął kleszczami zasuwę.

Wymruczał modlitwę i podniósł zasuwę, a potem powoli popchnął drzwi, zastanawiając się, czy zostanie wydmuchnięty przez komin jak sadza.

Jean Kearney i Arthur Nulty stali w przeciwległych oknach trójkątnego dachu, przepatrując nocne niebo w poszukiwaniu helikopterów. Nulty, strzegący północnej strony, odniósł wrażenie, że słyszy jakiś dźwięk z dołu. Spojrzał na dach galerii, lecz w ciemności niczego nie dostrzegł. Usłyszał dobiegający z boku szelest i obrócił się. Długi rząd ciemnych kształtów pełził rynną w jego kierunku niczym żuki. Nie potrafił wyobrazić sobie, jak udało im się tam dostać bez helikopterów i jak umknęli uwagi obserwatorów w sąsiednich budynkach, gdy wspinali się po ścianach. Odruchowo uniosł karabin i wycelował w pierwszego mężczyznę oddalonego nie więcej niż o dwadzieścia stóp.

Ktoś krzyknął i wszyscy policjanci unieśli się na jedno kolano. Nulty dojrzał gotowe do strzału karabiny. Posłał pojedynczy pocisk. Jeden z ubranych na czarno ludzi uderzył dłonią po swojej kamizelce kuloodpornej, stracił równowagę i wypadł z rynny, zlatując trzy piętra w dół na dach galerii. Upadł z głuchym łomotem, szczególnie głośnym wśród nocnej ciszy.

Jean Kearney odwróciła się na odgłos strzału.

– Arthur! Co...?

Powietrze wokół Nulty'ego wypełniło się latającymi na wszystkie strony drzazgami i fenianin wpadł z powrotem na poddasze. Podniósł się szybko, wymachując rękoma. Zrobił dwa kroki w stronę Jean Kearney, potem ześlizgnął się z pomostu i runął na gipsowy płaszcz w dół.

Jean Kearney spojrzała na jego pozbawione życia ciało, potem przeniosła wzrok na okno i ujrzała skulonego w otworze człowieka. Uniosła karabin i strzeliła, lecz tamten odskoczył, znikając jej z oczu. Przebiegła po pomoście, zanurkowała za drewniane deski, a później chwyciła migoczącą lampę naftową i rzuciła ją na stos porąbanego drewna. Odtoczyła się jeszcze parę stóp i sięgnęła po dzwoniący natarczywie telefon.

Ludzie wskakiwali na poddasze przez otwarte okna, gramoląc się na czworakach po pomostach i strzelając na ślepo ze swych karabinów z tłumikami w na wpół oświetlone przestrzenie. Pociski z tęym odgłosem uderzały w belki i podłogę naokoło dziewczyny.

Odpowiedziała ogniem. Dźwięk jej karabinu przyciągnął kilkanaście rozbłyskujących luf. Poczula ostry ból w udzie i krzyknęła, upuszczając broń. Krew tryskała pomiędzy palcami, gdy przycisnęła dłoń do rany pod spódnicą. Drugą ręką macała po podłodze w poszukiwaniu dzwoniącego telefonu.

Stos drewna ogarniały już płomienie i światło ujawniało sylwetki posuwających się ku niej ciemnych postaci. Napastnicy rzucali na palące się drewno zbiorniki z dławiącym ogień gazem, lecz ogień stawał się coraz potężniejszy.

Jean ponownie podniosła karabin i strzeliła przez oślepiające płomienie. Ktoś krzyknął z bólu. W odpowiedzi dookoła jej głowy zaświstały kolejne pociski. Powlekła się do tyłu ku przejściu do dzwonnicy, pozostawiając za sobą na zakurzonej podłodze smugę krwi. Dosięgła kolejnej lampy naftowej i cisnęła ją na stos drewna wznoszący się pomiędzy nią i wieżą, blokując sobie drogę ucieczki.

Leżała na brzuchu, strzelając wściekle przez oświetlone płomieniami poddasze. Ktoś znów zajęczał z bólu. Kule tłukły o drewno wokół niej, a szyby w świetliku za jej plecami poczęły się rozpryskiwać. Płomienie sięgały już dachu, wijąc się wokół belek stropu. Zapach płonących woskowych świec przemieszał się z aromatem starego, wysuszonego dębu, a ogień pożaru zaczął rozgrzewać jej zmarznięte ciało.

Na galerii północno-zachodniej Eamon Farrell usłyszał wyraźny hałas na poddaszu. Napięte nerwy nie wytrzymały. Wstrzymał oddech, spoglądając w dół na Flynna kręcącego korbą polowego telefonu. Sullivan i Abby Boland po drugiej stronie nawy wychylali się zaniepokojeni przez balustrady. Coś miało się zaraz wydarzyć i Eamon Farrell nie widział powodu, dla którego miałby zaczekać i przekonać się na własne oczy, co to będzie. Odwrócił się powoli od balustrady, odłożył karabin i otworzył drzwi w ścianie kolankowej za jego plecami. Wszedł na mroczne poddasze i oświetlił latarką stalowe drzwiczki w murze komina. Był przekonany, że Bóg wskazał mu drogę ucieczki, że miał słuszość, zatajając ją przed Flynnem, i że miał prawo z niej teraz skorzystać. Ostrożnie zbliżył się do drzwi, wetknął latarkę do kieszeni, a potem precyzyjnie się przez niski otwór, stawiając stopy na żelaznej klamrze. Zamknął drzwi i w kompletnej ciemności zszedł stopień niżej. Jego bark otarł się o coś. Farrell krzyknął wystraszony, a potem wyciągnął rękę i natrafił na mocno napiętą linę. Spojrzał ku górze i ujrzał skrawek gwiaździstego nieba u wylotu komina, częściowo przesłonięty poruszającym się kształtem. Serce podeszło mu do gardła, gdy zrozumiał, że nie jest sam. Usłyszał czyjś oddech, wyczuł obecność innych ludzi w przesyconej sadzą przestrzeni. W wyobraźni ujrzał postaci wiszące w ciemności na linach niczym nietoperze, blisko niego. Odchrząknął.

– Kto... co...?

Jakiś głos odparł:

– Na pewno nie święty Mikołaj, chłopie.

Farrell poczuł chłód stali na kości policzkowej i krzyknął:

– Poddaję się!

Lecz krzyk ten spłoszył policjanta i ciemność rozdarł błysk oślepiającego światła. Farrell poleciał nogami w dół, a potem pokoziołkował w głąb mrocznego szybu. Krew tryskała na rozpaczliwie młóćące powietrze ramiona.

Dowódca Trzeciego Oddziału mruknął:

– Ciekawe, dokąd on laź?

Oddział przeszedł w milczeniu przez drzwi w kominie i zgromadził się na ciemnym poddaszu nad poczekalnią.

Flynn wyłączył telewizor, odłożył słuchawkę i rzekł do mikrofonu przy ambonie:

– Zaczęło się. Zachowajcie czujność i spokój. Obserwujcie drzwi i okna. Rakiety gotowe do strzału.

Bellini przykucnął przy drzwiach w ścianie kolankowej i wsłuchał się w głos Flynn'a dobiegający z systemu głośników.

– Tak, skurwiele, obserwujcie drzwi i okna.

Ludzie z Pierwszego Oddziału przykłąkli po jego bokach z uniesionymi karabinami. Bellini przyłożył dłoń do zasuw, uniósł ją i pchnął. Policjanci skupili się naokoło drzwi, a Bellini otworzył je gwałtownie, przetaczając się po posadzce na mroczną galerię. Ludzie runęli za nim, nurkując i kulając się po zimnej podłodze, kierując lufy w różne strony długiej galerii. Galeria była pusta. Jedyne na podłodze leżał czarny żakiet, cylinder i trójkolorowa szarfa z napisem: MARSZAŁEK PARADY.

Pół oddziału poczołgało się wzdłuż balustrady, rozstawiając się w równych odstępach. Pozostali pobiegli na ugiętych nogach ku załamaniu, za którym galeria skręcała pod kątem prostym, wychodząc na południową nawę boczną.

Bellini przesunął się do narożnika i podniósł peryskop noktowizyjny. Cała katedra rozświetlona była świecami i flarami fosforowymi, które spowodowały, że obraz rozjaśnił się do białości i zniknął. Bellini zaklął ze złością. Ktoś podał mu zwykły peryskop i Bellini skoncentrował uwagę na długiej galerii triforyjnej po drugiej stronie nawy bocznej. W migotliwym świetle z dołu ujrzał wysokiego mężczyznę w spódniczce w kratę, wychylającego się przez balustradę i celującego z karabinu w stronę bocznych drzwi po drugiej stronie nawy. Przesunął peryskop i spojrzał w dół ku mrocznemu chórowi, lecz niczego nie dostrzegł, potem obrócił się w prawo ku długiej galerii triforyjnej po drugiej stronie nawy głównej i przelotnie ujrzał młodą kobietę w kombinezonie roboczym. Przyjrzał się dokładniej i stwierdził, że na jej twarzy maluje się strach. Uśmiechnął się, przesunął peryskop jeszcze dalej w prawo, na krótką galerię po drugiej stronie prezbiterium, przy której przebiegał przewód kominowy. Wydawała się pusta i Bellini zaczął się zastanawiać, ilu też

ludzi użył Flynn, by zająć katedrę i spieprzyć wszystkim wieczór. Od tyłu podszedł Burke i Bellini szepnął mu do ucha:

– To nie wygląda aż tak źle.

W słuchawce polowego telefonu zastukało i Bellini przytknął ją do ucha. Trzeci Oddział meldował:

– Jesteśmy na stanowisku. Jeden fenianin w kominie, zabity. Wtrącił się nowy głos i Bellini usłyszał podniecone krzyki dowódcy Drugiego Oddziału:

– Poddasze płonie! Walczymy z ogniem! Straty ESD: trzech poległych. Jeden fenianin zabity, drugi nadal strzela. Helikoptery straży pożarnej w gotowości, ale nie podejda, dopóki poddasze nie będzie bezpieczne. Może będziemy musieli opuścić poddasze.

Bellini podniósł wzrok ku kopulastemu sklepieniu. Przytknął złożoną dłoń do słuchawki i powiedział szybko:

– Zostaniecie tam i będziecie walczyć z tym pieprzonym ogniem, zabijecie tego pieprzonego fenianina i wprowadzicie do akcji te helikoptery. Szczajcie na ogień, plujcie na ogień, ale nie pozostawiajcie go tam. Potwierdzić odbiór.

Dowódca oddziału wydawał się nieco spokojniejszy:

– Dobra...

Bellini odłożył słuchawkę i spojrzał na Burke'a:

– Poddasze się pali.

Burke wytrzymał wzrok, starając się przebić ciemność. Gdzieś ponad mgliście zarysowanym stropem, jakieś cztery piętra wyżej, było jasno i gorąco, ale tu panował mrok i chłód. Gdzieś w dole znajdowały się ładunki wybuchowe, które mogły zrównać z ziemią całą wschodnią część katedry. Sprawdził godzinę i rzekł:

– Bomby zgaszą pożar.

Bellini spojrzał na niego.

– Twoje poczucie humoru jest zabójcze, wiesz?

Flynn stał na ambonie czując, jak narasta w nim uczucie niemożności. Wszystko kończyło się za cicho, bez huków, bez jęków nawet, a przynajmniej nikt takowych nie usłyszał. Był pewien, że policja znalazła Gordona Stillwaya, z pomocą Bartholomew Martina, i nie zamierzała wdrzeć się przez drzwi i okna – Schroeder skłamał albo został przez nich wykorzystany. Wgryzali się do środka właśnie w tej chwili, niczym zgnilizna w belkowanie domu, i katedra padnie praktycznie bez jednego strzału. Spojrzał na zegarek. Pięta trzydzieści siedem. Miał nadzieję, że Hickey nadal jest żywy tam na dole i czeka w ciemności na saperów. Zastanowił się przez moment i ogarnęło go niezachwiane przekonanie, że przynajmniej Hickey wykona swoje zadanie.

– Zajęli wieże – powiedział Flynn do mikrofonu. – George, Eamon, Frank, Abby, Leary, Megan, bądźcie czujni. Mogli znaleźć inną drogę do środka. Gallagher, pilnuj drzwi krypty za

tobą. Wszyscy pamiętajcie o ruchomych płytach posadzki, obserwujcie brązową płytę w prezbiterium, kontrolujcie poczekalnię, zakrytą arcybiskupią, księgiarnię i kaplicę, trzymajcie uszy przy ścianach poddaszy galerii... – Coś kazało mu spojrzeć na prawo w stronę galerii północno-wschodniej. – Farrell!

Nikt nie odpowiedział. Flynn wlepił wzrok w ciemność nad głową.

– Farrell! – Uderzył pięścią w marmurową balustradę. – Cholera! – Szarpnął za telefon polowy i ponownie spróbował wywołać poddasze.

Bellini przysłuchiwał się cichnącemu echu słów Flynn'a dobiegających z głośników. Klęczący obok niego dowódca oddziału zawołał:

– Musimy zaczynać, teraz!

– Nie. – Głos Belliniego był chłodny. – Koordynacja w czasie. To zupełnie jak zaciągnięcie dziewczyny do łóżka. Koordynacja w czasie jest najważniejsza.

Zastukał telefon. Bellini usłyszał głos dowódcy Trzeciego Oddziału czającego się na poddaszu przeciwległej galerii triforyjnej:

– Kapitanie, czy widzi pan kogoś jeszcze na tej galerii?

– Myślę, że ten gość Farrell był sam – odparł Bellini. – Wejdźcie na galerię. Daj mi Czwarty Oddział – rzucił do operatora centrali.

Dowódca Czwartego Oddziału odpowiedział głosem zniekształconym przez ciasne ściany kanału, przez który się czołgał:

– Ruszyliśmy z opóźnieniem, kapitanie, zgubiliśmy się w kanałach. Wydaje mi się, że przeszliśmy już przez fundamenty...

– Wydaje ci się! Co do cholery jest z wami?

– Przepraszam...

Bellini potarł dłonią pulsującą skroń i zapanował nad swoim głosem:

– Dobra... dobra, nadrobimy stracony przez was czas, przesuważąc wasz ostateczny termin opuszczenia katedry z piątej pięćdziesiąt pięć na szóstą. To uczciwe postawienie sprawy, prawda?

Po długim milczeniu dowódca oddziału odparł:

– Prawda.

– Świetnie. Teraz sprawdźcie tylko, czy potraficie znaleźć wielkie na milę kwadratową podziemia pod katedrą. Dobrze? Wtedy przyślę oddział saperski. – Rozłączył się i spojrzał na Burke'a. – Cieszysz się, że poszedłeś?

– Absolutnie.

– Poddasze! Poddasze! – Flynn szarpał za telefon polowy.

W słuchawce odezwał się wreszcie głos Jean Kearney i Flynn rzekł pospiesznie:

– Snajperzy wyłączyli wieże i teraz będą chcieli wejść przez klapy na dachu. Słyszę w górze helikoptery. Nie ma sensu na to czekać, Jean... Podpal wszystkie ogniska i przejdź do dzwonnicy.

– Dobrze. – Jean Kearney stała oparta o barierkę pomostu, podtrzymywana przez dwóch policjantów. Jeden z nich przyciskał wielki tłumik pistoletu do jej głowy. – Brian! – krzyknęła do słuchawki.

Policjant wydarł jej słuchawkę z dłoni. Wyprostowała się, wspierając o barierkę, czując zawroty głowy i mdłości wywołane utratą krwi. Pochyliła się i zwymiotowała na podłogę, potem podniosła głowę i spróbowała się wyprostować, odpychając stojących po jej bokach mężczyzn. Z krążących w górze helikopterów zwisły węże, wypływając fale białej piany na przygasające płomienie. Jean czuła gorycz klęski, ale i ulgę, że wszystko się skończyło. Próbowwała skoncentrować myśli na Arthurze Nultym, lecz udo bolało ją tak mocno, że mogła myśleć tylko o tym, by ten ból zniknął i by minęły mdłości. Spojrzała na dowódcę oddziału.

– Dajcie mi bandaż elastyczny, do cholery.

Policjant zignorował ją i spojrzał na strażaków wskakujących przez klapy i przejmujących węże od ludzi z jego grupy szturmowej.

– Ruszajcie! – krzyknął do nich. – Do dzwonnicy!

Obrócił się z powrotem do Jean Kearney, dostrzegając jej wystrzępiony uniform Aer Lingus, spojrzał na jej skrytą w półmroku piegowatą twarz i wskazał na kopący stos drewna.

– Jesteście pieprznięci?

– Jesteśmy wierni. – Popatrzyła mu prosto w oczy.

Dowódca oddziału przysłuchiwał się tupotowi swoich ludzi gnających pomostami w stronę przejścia do wieży. Gdy sięgał po przyczepiony do pasa pakiet opatrunkowy, jego wzrok pomknął ku strażakom zajęтым opanowywaniem wielkich węży tryskających chemicznym środkiem gaszącym. Tymczasem Jean Kearney szarpnęła do przodu i zręcznie złapała jego pistolet, przytknęła sobie do serca i pociągnęła za spust. Postąpiła gwałtownie do tyłu, zataczając rękoma szeroki krąg i upadła na zakurzony pomost. Dowódca oddziału spojrzał na nią w oszołomieniu, potem pochylił się i podniósł swój pistolet.

– Pieprznięci... pieprznięci...

Zwały gęstej piany przesuwwały się po pomoście, przewalając nad ciałem Jean Kearney. Biel falujących baniek zabarwiła się pasmami czerwieni.

Flynn połączył się przez polowy telefon z chórem.

– Chyba zajęli poddasze – powiedział szybko do Megan. – Będą starali się wejść przez boczne drzwi na chór. Kryj drzwi, tak by Leary mógł strzelać.

– Jak, do cholery, udało im się zająć poddasze? – Głos Megan był rozszoszczony, histeryczny niemal. – Co się dzieje, Brian? Dlaczego wszystko idzie źle? Co się, kurwa, dzieje?

Flynn wziął głęboki oddech.

– Megan, kiedy będziesz miała za sobą pięćdziesiąt misji, będziesz wiedziała, że nie zadaje się takich pytań. Po prostu walczy się i ginie albo nie ginie, ale nigdy nie zadaje się pytań. Posłuchaj, powiedz Leary’emu, by sprawdził stanowisko Farrella. Myślę, że są także i tam.

– Kto, do cholery, powiedział kiedykolwiek, że jesteś militarnym geniuszem?

– Brytyjczycy. Przydawało to powagi im samym.

Megan zawahała się i zapytała:

– Dlaczego pozwoliłeś, by Hickey zrobił to memu bratu?

Flynn rzucił okiem na ciało Pedara Fitzgeralda usadzone na ławce organisty.

– Hickey, tak jak pan Leary, to twój znajomy, nie mój. Zapytaj Hickeya, gdy się znowu spotkacie. Powiedz też Leary’emu, by miał oko na galerię Gallaghera...

– Brian – przerwała mu Megan – posłuchaj... posłuchaj...

Jej głos brzmiał znajomą dzieciinną, przymilną nutą, w jaką wpadała, gdy zaczynała odczuwać z jakiegoś powodu skruchę. Nie zamierzał wysłuchiwać tego, co miała do powiedzenia, i odłożył słuchawkę.

Bellini kręcił peryskopem na boki, przekazując jednocześnie przez telefon swoje spostrzeżenia do wszystkich oddziałów.

– Taak... teraz trochę zaczynają oglądać się za siebie. Człowiek przy organach prezbiterium... ale wygląda na martwego... Nadal nie widzę Hickeya, może być w podziemiach. Dwoje zakładników... Malone i Baxter... nadal brakuje Murphy’ego... Kurde! Brakuje też kardynała...

Dowódca Piątego Oddziału ukrytego w oktogonálním pomieszczeniu obok bramy zakrystii przerwał mu:

– Kapitanie, przyglądam się bramie przez peryskop... kiepski kąt... ale ktoś, przypomina kardynała, jest do nich przykuty. Proszę o radę.

Bellini zaklął pod nosem.

– Upewnij się, że to on, i czekaj na rozkazy. – Odwrócił się do Burke’a. – Te irolskie skurwiele nadal są w stanie wywinąć jakiś cholerny numer. Kardynał jest przykuty do bramy.

– Skierował peryskop na Flynn’a będącego na ambonie bezpośrednio pod nimi. – Spryciarz... No, ten skurwysyński pyrojad jest mój... ale to trudny strzał... baldachim nad głową i marmurowe ściany naokoło niego. Wie, że wszystko mu się rozsypuje, ale gównem może na to poradzić. Gnojek.

– Jeżeli poddasze jest zabezpieczone i dotrzecie do bomb, powinniście popробować negocjacji. Flynn będzie rozmawiać pod lufami dwudziestu wymierzonych w niego karabinów. Wiele można o nim powiedzieć, ale nie to, że jest dumny.

– Nikt mi nic nie mówił o namawianiu go do poddania się. – Bellini przysunął twarz do twarzy Burke’a. – Nie daj się ponieść emocjom i nie zacznij wydawać rozkazów, bo cię zatłukę, Bóg mi świadkiem. Dobrze mi idzie, Burke, idzie mi wręcz świetnie, jestem dziś w formie. Pieprzę cię i pieprzę Flynna. Niech się trochę posmaży, a potem zdechnie.

Ludzie z Piątego Oddziału Szturmowego jeden za drugim wyskakiwali z wylotu kanału na wilgotne podłoże podziemi, ustawiając się w obronnym półkolu. Dowódca oddziału zakręcił korbką telefonu i zameldował:

– W porządku, kapitanie, jesteśmy w podziemiach. Żadnego ruchu...

– A masz pewność, że nie jesteście już na pieprzonym poddaszu? – zapytał Bellini. – Dobra, posyłam psy z przewodnikami przez kanały razem z saperami Peterson. Kiedy się spotkacie, ruszajcie dalej. Bądźcie przygotowani na to, że tam na dole może być Hickey albo i inni. Nie trzymajcie łbów w dupach.

Bellini połączył się z Wendy Peterson.

– Przedpole zabezpieczone. Przejdźcie kanałami. Idźcie za kablem telefonicznym i nie zgubcie się.

– Już jesteśmy w drodze, kapitanie – odpowiedziała lakonicznie głosem zwielokrotnionym przez odbicia od ścian kanału.

– Dobra... – Bellini zerknął na swój zegarek. – Jest teraz piąta czterdzieści pięć. O szóstej... o piątej pięćdziesiąt pięć moi ludzie wynoszą się stąd gdzie pieprz rośnie, bez względu na to, czy uznacie, że usunęliście wszystkie bomby, czy też nie. Sugeruję, byście zrobili to samo.

– Będziemy improwizować – odparła Peterson.

– Tak, róbcie to. – Odłożył słuchawkę i spojrzał na Burke’a. – Myślę, że już czas, nim szczęście się od nas odwróci.

Burke nic nie powiedział. Bellini potarł podbródek, zawahał się, a potem sięgnął po telefon i połączył się z garażem pod Centrum Rockefellera.

– No, pułkowniku, hasło brzmi Bull, kurwa, Run. Gotów?

– Już od jakiegoś czasu – odparł Logan. – Niebezpiecznie to przeciągacie.

– „Niebezpiecznie” nie jest już właściwym określeniem – odrzekł sucho Bellini. – „Za późno” jest, cholera, znacznie trafniejsze, ale to nie oznacza, że nie może pan zarobić medalu.

Logan rzucił telefon połowy z wjazdu dowódcy transportera opancerzonego i zawołał do kierowcy:

– Naprzód!

Dwadzieścia tysięcy funtów stali zaczęło się wspinać z hukiem przez rampę podziemnego garażu. Wielkie wrota podniosły się i transporter wytoczył się na Czterdziątą Dziewiątą Ulicę, skręcił w prawo i wypadł na Piątą Aleję z szybkością dwudziestu pięciu mil na godzinę, by pomknąć aleją na północ, nabierając rozpędu.

Logan stał we włączu z karabinem M-16, a wiatr wydymał jego mundurową kurtkę. Wzrok utkwił w zbliżającej się z prawej strony podświetlonej na błękitno katedrze, potem spojrzał na jej wieże i dach. Nad budynkiem kłębił się dym, przyduszany przez krążące helikoptery. Wypuszczone z nich grube węże nikiły we włączach na dachu.

– Miły Boże... – wymruczał.

Popatrzył na milczące, oczekujące świtu ulice, puste, jeżeli nie liczyć policjantów stojących w sieniach domów. Jeden z nich podniósł kciuk na szczęście, inny zasalutował. Logan wyprostował się we włączu. Przez jego głowę przelatywały setki myśli szybszych od silników transportera, krew krążyła wartko żyłami.

Transporter dotarł do katedry. Mechanik zablokował prawą gąsienicę i pojazd obrócił się w miejscu, rozorywując nawierzchnię ulicy. Mechanik zwolnił gąsienicę, gdy transporter ustawił się pyskiem w stronę frontowych wrót, i raptownie dodał gazu. Pojazd zarzucił tyłem na obie strony i pomknął przez szeroki chodnik, podskoczył i uderzył w granitowe stopnie, krusząc kamień. Brązowe poręcze zniknęły pod gąsienicami i dziesięć ton stali skierowało się prosto na dziesięć ton brązu ceremonialnych drzwi.

Logan przeżegnał się, zanurkował do środka pojazdu i zatrzaskał włącz. Wielkie opony przymocowane do przedniej części transportera uderzyły w drzwi i zasuwę prysnęły na kawałki, pozwalając masywnym wrotom otworzyć się do środka. Rozdzwoniły się przenikliwie urządzenia alarmowe. Transporter był już niemal w kruchcie, kiedy miny z opóźnionymi zapalnikami umieszczone na drzwiach zaczęły wybuchać, zasypując boki pojazdu odłamkami. Transporter przejechał po marmurowej posadzce kruchty i zatrzymał się z gwałtownym szarpnięciem pod nawisem chóru.

Baxter chwycił Maureen i ściągnął ją pomiędzy stalle.

Flynn uniósł wyrzutnię i wycelował z ambony.

Otworzyły się tylne drzwi transportera. Piętnastu ludzi z Sześćdziesiątego Dziewiątego Pułku, prowadzonych przez majora Cole'a, wygramoliło się ze środka i rozsypało w przestrzeni pod chórem.

Frank Gallagher rozmawiał z kardynałem, gdy nagle huk roztrzaskiwanych wrót przetoczył się przez katedrę. W pierwszej chwili pomyślał, że wybuchły podłożone pod jego stopami bomby, potem rozpoznał prawdziwe źródło tego dźwięku. Jego pierś zafalowała, cały zaczął się trząść tak gwałtownie, że karabin wypadł mu z ręki. Kiedy z głębi katedry dobiegły odgłosy strzałów karabinowych, stracił kontrolę nad sobą. Zajęczał cienko i zbiegł po schodach, padając na kolana przed kardynałem. Uchwycił się skraju jego czerwonej szaty, po policzkach spływały mu łzy, a z ust wyrwały się strzępy modlitwy:

– Boże... o, Boże... ojczy... Eminencjo... Boże drogi...

Kardynał popatrzył na niego.

– Już w porządku, uspokój się, ćććć...

Pułkownik Logan wynurzył się z wjazdu transportera i oparł karabin na podpórcę. Rozejrzał się naokoło, starając się przebić wzrokiem ciemność przed sobą. Dostrzegł ruch na ambonie i skierował broń w tę stronę.

Pierwszy Oddział, do którego dołączyli Bellini i Burke, wychynął jednocześnie zza balustrady z karabinami przyciśniętymi do ramienia.

Abby Boland ujrzała wylaniające się wzdłuż półki cienie: czarne kształty, niesamowite i upiorne w przytłumionym świetle. Ujrzała małe punkciki rozbłysków i usłyszała pyknięcia tłumików, jak gdyby w zatłoczonym pokoju wszyscy zdecydowali się odchrząknąć w tym samym momencie.

– George! – wrzasnęła.

Sullivan wpatrywał się z napięciem w drzwi w nawie naprzeciwko niego, lecz odwrócił się na dźwięk jej głosu.

Trzeci Oddział wypadł z poddasza i zajął galerię Farrella. Policjanci ustawili się wzdłuż parapetu, przeszukując ciemności w poszukiwaniu celu.

Flynn znieruchomiał z wyrzutnią na ramieniu, podczas gdy seria czerwonych pocisków smugowych wytrysnęła z wjazdu dowódcy transportera i załomotała po granitowej kolumnie poniżej niego. Przycisnął spust. Rakieta wystrzeliła z wyrzutni, pomknęła nad rzędami ławek, ciągnąc za sobą ogniście czerwony ogon i eksplodowała na pochyłej masce opancerzowanego pojazdu. Z porozrywanych spawów wytrysnęły płomienie przemieszane z dymem, mechanik zginął na miejscu. Logan wyskoczył z wjazdu, ścigany przez głodne płomienie, i prawie uderzył o nawis chóru. Jego dymiące ciało z ramionami rozpostartymi niczym u spadochroniarza ryzykanta runęło z powrotem na objęty ogniem transporter i zniknęło wśród kłębow czarnego dymu i pomarańczowych płomieni.

Pierwszy i Trzeci Oddział strzelały z galerii po oświetlonej świecami katedrze, mechanizmy ich karabinów bez wytchnienia powtarzały te same czynności, tłumiki poświstywały, a puste łuski gromadziły się na kamiennej posadzce.

Abby Boland stała prosto przez ułamek sekundy i krzyk zamarł jej w gardle. Zdążyła oddać jeden strzał, zanim poczuła, że coś wyrwało jej karabin z dłoni, a kolba uderzyła w twarz. Upadła na podłogę, chwyciła raketę i poderwała się ponownie na nogi.

Sullivan puścił długą serię w stronę galerii Farrella i usłyszał krzyk. Przeniósł ogień na galerię, której strzegł kiedyś Gallagher, lecz pojedynczy pocisk trafił go prosto w pierś.

Zwalił się na podłogę, przygniatając swoją kobzę. Dobył się z niej smutny jęk i na moment przebił się przez wszystkie dźwięki katedry.

Abby Boland widząc, jak Sullivan pada, odpaliła raketę na drugą stronę katedry.

Bellini ujrzał linię czerwonego ognia, rozświetlającą mroki. Zbliżała się ku niemu z hukiem przypominającym pędzący pociąg towarowy.

– Na ziemię!

Rakieta przeszła górą i eksplodowała na ścianie ponad galerią. Galeria zatrzęsała się, a okno nad nią wyleciało z framugi. Tysiące kolorowych odłamków szkła posypało się strumieniami na prezbiterium i ambonę. Oddział Belliniego podniósł się szybko i zasypał miejsce odpalenia rakiety lawiną ognia.

Abby Boland wyciągnęła przed siebie trzymany w obu rękach pistolet i strzeliła w stronę pomarańczowych błysków. Ze ścian naokoło niej sypać się zaczęły odłamki kamienia. Głośne stuknięcie granatnika przetoczyło się przez katedrę i górna część balustrady eksplodowała wprost przed nią. Wybuch szarpnął w górę ramiona Abby, krew i kawałki pistoletu zasypały jej twarz. Na poły oślepiona runęła do przodu i jej pokaleczone dłonie zdołały się zacisnąć na wystającym maszcie papieskiej flagi. Przy całym swym zdezorientowaniu stwierdziła, że zwisa wysoko nad podłogą nawy głównej. Seria pocisków przesunęła się po jej rękach i dziewczyna zwolniła uchwyt. Jej ciało pokoziołkowało w dół i spadło z przejmującym chrupnięciem pomiędzy ławki.

Martwe ciało Pedara Fitzgeralda otrzymało pół tuzina kul, które szarpnęły nim na boki, a potem cisnęły na klawiaturę. Organy wydały z siebie grzmiący, dysharmoniczny akord, trwający nieprzerwanie pośród krzyków i strzelaniny.

Flynn skulił się na ambonie, wystrzelił kilka długich serii w stronę galerii Farrella, potem przeniósł ogień na kruchty, do których wycofali się od płonącego transportera żołnierze z Sześćdziesiątego Dziewiątego Pułku. Nagle eksplodowały zbiorniki paliwowe pojazdu. Płomienie sięgnęły chóru, w górę uniosła się olbrzymia chmura czarnego dymu, spowijając chór nieprzeniknioną zasłoną. Gwardziści cofnęli się jeszcze bardziej, wychodząc przez pokierszowane drzwi na schody.

Bellini wychylił się z galerii, wycelował broń prawie pionowo w dół i oddał trzy szybkie strzały poprzez spiżowy baldachim nad amboną.

Flynn zachwiał się i padł na kolana, potem potoczył się po podłodze ambony. Bellini ujrzał jego ciało zwisające ze spiralnych schodów. Wymierzył w podrygujący kształt. Burke uderzył Belliniego po rękę, zmieniając kierunek strzału.

– Nie! Zostaw go!

Bellini mierzył Burke'a przez moment dzikim wzrokiem, potem przeniósł uwagę na chór. Ujrzał ledwie dostrzegalny błysk światła – efekt działania specjalnego typu tłumika, który

mógł być zauważony jedynie przez obserwatora znajdującego się na wprost wylotu lufy. Światło rozbłysło ponownie, lecz tym razem z innego miejsca, oddalonego od poprzedniego o kilka jardów. Bellini wyczuł, że ten, kto się tam skrywa, jest bardzo dobry i zajmuje strategiczną pozycję – rozległy, nachylony obszar, zaciemniony i przesłonięty wznoszącym się dymem. Gdy to obserwował, usłyszał wrzask z końca galerii i jeden z jego ludzi padł na plecy. Usłyszał kolejny jęk dobiegający z przeciwległej galerii. Po krótkiej chwili wszyscy leżeli na podłodze, a kule ocierały się o krawędź balustrady parę stóp nad ich głowami.

Burke usiadł oparty plecami o ścianę i zapalił papierosa, podczas gdy ściana nad nim pokrywała się wysypką świeżych dziur i drzazg.

– Ten facet jest dobry.

Bellini przykucnął naprzeciwko niego i kiwnął głową.

– I zajął najlepsze miejsce w całym teatrze. Będziemy mieli z nim cholerną robotę.

Spojrzał na zegarek. Cała akcja, od momentu uderzenia przez Logana w drzwi do tej chwili, zajęła nie więcej niż dwie minuty. Ale Logan nie żył już, gwardzistów nie było ani śladu, a on sam stracił paru dobrych ludzi. Zakładnicy mogli już być martwi, ludzie z podziemi nie odzywali się, a ktoś na chórze miał swój dobry dzień. Bellini podniósł słuchawkę i połączył się z Piątym Oddziałem w korytarzu zakrystii.

– Wszystkie skurwiele nie żyją z wyjątkiem jednego czy dwóch na chórze. Musicie iść po kardynała i dwóch zakładników pod ławkami.

– Jak, do cholery, mamy rozpieprzyć tę bramę, skoro wisi na niej kardynał? – zapytał dowódca oddziału.

– Bardzo ostrożnie. Ruszajcie! – Odłożył słuchawkę i powiedział do Burke'a: – Ten snajper z chóru nie będzie łatwy do uziemienia.

Policjanci z Piątego Oddziału Szturmowego wynurzyli się z oktogonalnych pomieszczeń po obu stronach bramy zakrystii i pomknęli szybko przy ścianach, zbliżając się do kardynała. Dowódca oddziału oparł się plecami o ścianę i uważnie rozejrzał naokoło. Spojrzenia jego i kardynała spotkały się i obaj mężczyźni drgnęli odruchowo, a potem dowódca ujrzał człowieka klęczącego u stóp kardynała. Gallagher wrzasnął zaskoczony, policjant uczynił to samo, strzelając dwukrotnie z biodra.

Gallagher usiadł do tyłu, potem padł w przód. Uderzył strzaskaną twarzą o kraty i potoczył się w bok, osuwając się po nogach kardynała.

Dowódca oddziału obrzucił wzrokiem górne półpiętro i nie widząc tam nikogo, dał sygnał reszcie. Policjanci z obcęgami do metalu zakłębili się przy bramie i rozcięli łańcuch, wiążący oba jej skrzydła. Jeden z mężczyzn przeciął kajdanki kardynała, a inny otworzył kluczem zamek bramy. Przez cały czas nikt nie odezwał się ani słowem. Kiedy dziesięciu ludzi pognało schodami ku drzwiom do krypty, kardynał ukląkł przy ciele Gallaghera. Z bocznego korytarza wybiegł lekarz.

– Nic panu nie jest?

Kardynał skinął głową. Lekarz spojrzął na twarz Gallaghera.

– Ale ten gość nie wygląda za dobrze. Proszę ze mną, Wasza Eminencjo. – Dwóch umundurowanych policjantów podniosło kardynała na nogi i poprowadziło do korytarza wiodącego w stronę jego rezydencji.

Jeden z policjantów stanął z boku wejścia do krypty i szerokim łukiem wrzucił do środka zbiornik z gazem. Pojemnik eksplodował i dwaj mężczyźni w maskach przeciwgazowych wpadli do krypty poprzez dym. Po kilku sekundach jeden krzyknął:

– Nikogo nie ma!

Dowódca podszedł do telefonu polowego i zameldował:

– Kapitanie, brama zakrystii i krypta oczyszczone. Żadnych strat, jeden fenianin zabity. Kardynał uwolniony. – Powodowany impulsem dodał: – Łatwizna.

– Powtórz to, jak już wejdziecie po tych schodach – odparł Bellini. – Na chórze siedzi skurwysyn, który potrafi obrzezać cię dwoma strzałami, nawet nie zadrasnawszy jajek.

Dowódca oddziału usłyszał stuknięcie odkładanej słuchawki.

– Dobra, teraz zakładnicy pod ławkami. Ruszamy!

Oddział rozdzielił się na dwie grupy ogniowe i zaczął się ostrożnie wspinać dwiema klatkami schodowymi ku prezbiterium.

Maureen i Baxter pozostawali w bezruchu pod stallami. Maureen przysłuchiwała się odgłosom uderzających kul, niosącym się echem przez katedrę. Przysunęła twarz do twarzy Baxtera i rzekła:

– Leary, może Megan, jest wciąż na chórze. Nie potrafię powiedzieć, kto jeszcze strzela.

Baxter objął mocno jej ramię.

– To nie ma wielkiego znaczenia, skoro Leary wciąż tam jest. – Ujął jej nadgarstek i spojrzął na zegarek. – Piąta trzydzieści sześć. O szóstej wstajemy i biegniemy.

– Harry – Maureen uśmiechnęła się blado – John Hickey jest człowiekiem, który dosłownie zawsze wie, która jest godzina. Według wszelkich danych teraz jest szósta zero trzy. Oczywiście, mój zegarek może chodzić dobrze, ale przecież bomby nastawione być mogą właśnie na teraz. Hickey nie gra uczciwie ani z nami, ani z Brianem.

– Dlaczego jestem tak cholernie naiwny?

– To w porządku. – Ścisnęła jego ramię. – Ludzie tacy jak Hickey, Flynn, jak ja – my jesteśmy podstępni... To równie naturalne jak oddychanie.

Baxter wyrzwał spod ławki i zasugerował:

– Ruszmy teraz.

– Dokąd? Cała ta część katedry runie. Drzwi są zaminowane. Leary czeka na chórze, a Gallagher przy bramie.

Baxter zamyślił się na moment.

– Gallagher jest ci winien...

– Nie chcę korzystać z miłosierdzia żadnego z nich. I tak nie dotarlibyśmy do tych schodów. Nie chcę, by zabił mnie jakiś męt w rodzaju Leary’ego czy Megan. Zostaję tutaj.

– W takim razie wylecisz w powietrze na bombie Hickeya. Maureen ukryła twarz w dłoniach, potem podniosła wzrok.

– Na tył prezbiterium, tak by ołtarz był zawsze między nami i chórem, do kaplicy Matki Boskiej, jej okna są jakieś piętnaście stóp od podłogi. Jedno z nas podsadza drugie, oczywiście nie dotrzemy tak daleko, ale...

– Ale będziemy zmierzać we właściwym kierunku.

Maureen skinęła głową i zaczęła się czołgać pomiędzy ławkami.

Ludzie z Piątego Oddziału Szturmowego zgromadzili się na schodach za ołtarzem głównym. Dowódca wyjrzał zza południowego skraju ołtarza i spojrzał na lewo, na brązową płytę w podłodze. Obrócił się w prawo i przycisnął twarz do podłogi, próbując zlokalizować zakładników pod stallami, ale w kiepskim świetle i z takiego kąta nie dostrzegł nikogo. Podniósł karabin i zawołał szeptem:

– Baxter? Malone?

Oboje mieli właśnie wystartować w stronę tylnej części prezbiterium, ale natychmiast padli z powrotem na płask. Baxter odpowiedział:

– Tak!

– Schody wolne – poinformował dowódca oddziału. – Kardynał bezpieczny. Gdzie jest ojciec Murphy?

Maureen spojrzała przez prezbiterium ku odległej o trzydzieści stóp klatce schodowej.

– Gdzieś na wieży, tak mi się wydaje. – Przerwała, potem dodała: – Gallagher? Ten człowiek, który...

– Nie znaleziono jeszcze bomby. Musicie się stamtąd wydostać.

– Która godzina? – zapytał Baxter.

Dowódca zerknął na swój elektroniczny zegarek.

– Piąta czterdzieści sześć i dwadzieścia sekund.

Maureen spojrzała na tarczę swego zegarka. Dziesięć minut do tyłu.

– Skurwiel. – Przetawiła zegarek i zawołała: – Ktoś musi załatwić snajperów na chórze, zanim będziemy mogli się ruszyć.

Dowódca oddziału wystawił głowę zza ołtarza i spojrzał w górę na balustradę chóru oświetloną świecami i flarami, starając się przeniknąć mroki zalegające w głębi.

– Jest za daleko, byśmy mogli go dostać albo by on mógł dostać was.

– Gdyby tak było – odrzyknął ze złością Baxter – nie tkwilibyśmy tutaj! Ten człowiek jest bardzo dobry.

– Siedzimy na bombie – odparł dowódca – i z tego co mi wiadomo, może ona wybuchnąć w każdej chwili.

– Posłuchaj! – zawołała Maureen. – Bomby umieszczało dwóch ludzi i byli na dole nie dłużej niż dwadzieścia minut. Mieli ze sobą dwie walizki.

– Dobra, przekażę to dalej. Ale musi pani pamiętać, że saperzy mogą to spieprzyć, rozumie pani? Dlatego musicie spróbować.

– Poczekamy! – odkrzyknęła Maureen.

– No cóż, my nie. – Spojrzał na galerię bezpośrednio, nad nim, gdzie znajdował się Bellini, ale nikogo nie zobaczył. – Kapitanie – oznajmił przez telefon – Malone i Baxter są między ławkami pod panem, żywi. – Przekazał informację o bombach i dodał: – Nie chcą próbować przebiec przez prezbiterium.

– Nie dziwię im się – odpowiedział Bellini. – Dobra, za trzydzieści sekund wszyscy strzelają w stronę chóru. Powiedz im, by wtedy ruszyli.

– Dobrze. – Rozłączył się i przekazał informację Maureen i Baxterowi.

– Zobaczymy! – odkrzyknęła Maureen. – Bądźcie ostrożni...

Dowódca oddziału odwrócił się i zawołał do swych ludzi na przeciwległych schodach:

– Intensywny ogień w stronę chóru!

Policjanci wbiegli po stopniach i przyklękli na podłodze, strzelając przez całą długość katedry. Dowódca przeprowadził resztę swoich ludzi naokoło ołtarza i otworzył ogień, a w tym samym momencie strzelać zaczęto również z galerii triforyjnych. Rozległ się dźwięk pocisków bijących po kamieniu i brązie. Dowódca oddziału zawołał do Malone i Baxtera:

– Biegnijcie!

Niespodziewanie z chóru dwa karabiny otworzyły ogień szybkim rytmem z zabójczą precyzją. Policjanci po obu stronach ołtarza poczęli padać na zimną posadzkę prezbiterium, zwijając się z bólu. Oba oddziały wycofały się na klatki schodowe, ściągając rannych i pozostawiając ściegi krwi na białym marmurze.

Dowódca oddziału zaklął głośno i wyrzwał zza ołtarza.

– Dobra, dobra, zostańcie tam!

Spojrzał szybko na chór i ujrzał błysk karabinu. Marmur przed nim rozprysnął się na mnóstwo odłamków, które uderzyły go z impetem w twarz. Wrzasnął i ktoś chwycił go za kostki, ściągając z powrotem po schodach.

Lekarze wybiegli z zakrystii i zaczęli wnosić rannych. Łącznościowiec zakręcił korbą telefonu i poinformował Belliniego drżącym głosem:

– Zakładnicy przyszpileni. Ten ołtarz to niewłaściwy koniec strzelnicy. Nie jesteśmy w stanie im pomóc.

Czwarty Oddział Szturmowy poruszał się powoli przez mroczne podziemia, a jego dowódca przepatrywał przestrzeń przed sobą, używając noktowizora. Towarzyszyły im dwa psy wraz z przewodnikami. Jako ostatni podążali Wendy Peterson i czterech mężczyzn z oddziału saperskiego. Co kilka jardów psy naprężyły smycze i saperzy odnajdywali kolejną

grudkę plastikowego materiału wybuchowego bez mechanizmu zegarowego ani zapalnika. Całe podłoże wydawało się usiane plastikiem, a na każdej kolumnie przyklejona była bryłka materiału wybuchowego. Przewodnik psa wyszeptał do zniecierpliwionego dowódcy oddziału:

– Nie mogę zapobiec tym fałszywym alarmom. Wendy Peterson zbliżyła się do dowódcy oddziału i rzekła:

– Moi ludzie pójdą za psami. Pański oddział i ja musimy iść szybciej, na drugą stronę.

Mężczyzna przestał się czołgać, odłożył noktowizor i obrócił głowę w jej stronę.

– Posuwam się tak, jakby przede mną czekało dziesięciu uzbrojonych ludzi, i nie potrafię robić tego inaczej, czołgając się w mrocznej pierdolonej dziurze... poruczniku.

Saperzy podczołgali się pospiesznie z tyłu i jeden z nich zawołał:

– Poruczniku?!

– Tutaj.

Mężczyzna przysunął się do niej.

– Mina na wyjściu na korytarz rozbrojona i możemy wynieść się stąd naprawdę szybko, jeśli będzie trzeba. Do miny podłączony był kabel detonujący, więc poszliśmy za nim i znaleźliśmy ładunki naokoło głównej kolumny po tej stronie. – Przerwał, by zaczerpnąć oddechu. – A więc, rozbroiliśmy tę mamuszkę, jakieś dziesięć funtów plastiku zabarwionego i uformowanego tak, by przypominał kamień, Prosty mechanizm zegarowy nastawiony na wybuch o szóstej zero trzy. Widać grają serio. – Wyciągnął płócienną torbę i wcisnął ją w dłoń Peterson. – Flaki.

Peterson pochyliła się i zapaliła osłoniętą czerwonym filtrem latarkę, wysypując zawartość torby na ziemię. Budzik, paczka baterii, kable i cztery rozłączone detonatory elektryczne. Włączyła budzik, który zatykał głośno wśród ciszy. Unieruchomiła go ponownie.

– Żadnych bajerów?

– Nie. Obcięliśmy cały plastik, żadnych pułapek, żadnych urządzeń zabezpieczających. Stara technika, ale niezawodna, a do tego plastik wysokiej jakości. Pachnie i wygląda jak nowy C-5.

Wzięła lepką grudkę plastiku, ugniatała ją przez chwilę między kciukiem i palcem wskazującym, a potem powąchała. Dowódca oddziału przyglądał się jej w przefiltrowanym świetle i przypomniała mu się jego matka ugniatająca ciasto. To skojarzenie było jednak niewłaściwe.

– Naprawdę dobry towar, co?

Peterson wyłączyła latarkę.

– Jeżeli mechanizm na drugiej kolumnie jest identyczny, będę potrzebowała mniej niż pięciu minut, by rozbroić tę bombę.

– Świetnie – rzekł. – Teraz potrzeba wam już tylko drugiej bomby. A mnie potrzeba ośmiu minut, by wynieść się stąd i przedostać do piwnic plebanii, tak więc o piątej pięćdziesiąt pięć, bez względu na to, co się będzie działo, mówię wam adios.

– Niech będzie. Bierzmy się do roboty.

Dowódca oddziału nie poruszył się, lecz powiedział:

– Muszę rozgłosić tę dobrą nowinę. – Sięgnął po telefon polowy. – Kapitanie, północna część podziemi jest wolna od bomb.

– Świetnie – odrzekł Bellini. – Bardzo dobrze. – Przekazał informacje uzyskane od Maureen. – Przedostańcie się ostrożnie na drugą stronę krypty. Hickey...

– Taak, ale nie możemy go znaleźć. Wycofamy się do wjazdu, a pan wyśle kogoś, by wrzucił granaty ogłuszające przez tę płytę z brązu w prezbiterium. Potem wrócimy i...

– Piąty Oddział jest nadal na schodach zakrystii – przerwał mu Bellini. – Poniósł pewne straty. Będą mieli problem z przejściem przez prezbiterium, snajper na chórze...

– No cóż, rozpierdolcie go na kawałki i posuńmy sprawy dalej.

– Taa... powiem wam, kiedy to zrobimy.

Dowódca oddziału zawahał się i oznajmił:

– Eee... my zostaniemy na miejscu...

Bellini pozwolił, by upłynęło kilka sekund, i odparł:

– Ten snajper zabierze trochę czasu... Nie mamy absolutnej pewności, że Hickey albo ktoś inny jest tam na dole... Musicie przedostać się do drugiej kolumny.

Dowódca oddziału rozłączył się i odwrócił do przewodników psów.

– W porządku, wleczcie te durne kundle za sobą i nie zatrzymujcie się, dopóki nie dotrzemy na drugą stronę. Ruszamy! – zawołał do swoich ludzi.

Trzy grupy – oddział szturmowy ESD, saperzy oraz przewodnicy psów – wznowiły ruch. Policjanci minęli tylną ścianę krypty i skręcili w lewo, idąc wzdłuż linii kolumn, która miała zaprowadzić ich do głównej kolumny wznoszącej się obok schodów zakrystii i, jak mieli nadzieję, do ostatniej bomby. Opadli z kolan i dłoni na brzuchy, czołgając się z karabinami wyciągniętymi przed sobą, a dowódca oddziału bezustannie kontrolował otoczenie noktowizorem.

Gdy tak się posuwali, Peterson spojrzała na swój zegarek. Piąta czterdzieści siedem. Jeżeli urządzenie po tej stronie nie było zanadto wymyślne, jeżeli nie było pułapek, jeżeli nie było innych bomb i jeżeli nikt nie zacznie do nich strzelać, wtedy miała dużą szansę uratować katedrę Świętego Patryka przed wysadzeniem w powietrze. Zaczęła myśleć o zapalnikach – o wszystkich sposobach zdetonowania bomby bez użycia elektrycznego zegara. Myślała o granacie ogłuszającym, który mógłby wyzwolić zapalnik akustyczny, o fleszu, który mógłby wyzwolić zapalnik optyczny, o nieostrożnym ruchu, który mógłby wyzwolić zapalnik połączony z inercyjnym potykaczem, o fałszywych zegarach, podwójnych i potrójnych mechanizmach, o sprężynowych detonatorach uderzeniowych, o zdalnych zapalnikach – tyle

wrednych metod zdetonowania bomby, której detonacji chciała uniknąć. Ale nic tak wyrafinowanego nie było potrzebne, by ochronić bombę zegarową do momentu jej wybuchu, jeżeli strzegł jej czujny wartownik.

Hickey klęczał przy głównej kolumnie wciśnięty między jej podstawę a ścianę klatki schodowej zakrystii, przypatrując się ładunkom wybuchowym poupychanym naokoło podstawy kolumny i skalnego podłoża. Instynkt nakazywał mu wygrzebać zegar i przesunąć go do oporu do przodu. Ale gmeranie w plastiku po ciemku mogłoby rozłączyć detonator albo kable od baterii. Popatrzył na zegarek. Pięta czterdzieści siedem. Jeszcze szesnaście minut. Był w stanie powstrzymać ich przez ten czas – wystarczająco długo, by wschodzące słońce dostarczyło kamerzystom odpowiedniego oświetlenia. Uśmiechnął się szyderczo, wepchnął głębiej w niewielką niszę i spojrzał przez ciemność w stronę umieszczonej w suficie brązowej płyty. Nikt nie próbował tędy zejść i gdy wsłuchiwał się w odgłosy strzelaniny na górze, domyślił się, że Leary i Megan nadal żyją i dopilnują, by nikt tego nie zrobił. Kula uderzyła w płytę i głęboki, dźwięczny ton rozbrzmiał w ciemności. Kolejne cztery kule jedna po drugiej trafiły w brąz płyty. Hickey się uśmiechnął.

– Och, Leary, teraz to się popisujesz, chłopie.

Dokładnie w tym momencie jego słuch wychwytał ciche skomlenie. Osłonił ucho dłonią i zaczął nad słuchiwać. Psy. Ludzkie oddechy. Przetawiał swój karabin na ogień ciągły i gdy odgłosy czołgania stały się wyraźniejsze, pochylił się do przodu. Psy zwęszyły już tę górę plastiku, prawdopodobnie także i jego. Hickey zacisnął usta i syknął:

– Psst!

Zapadła nagła i kompletna cisza. Hickey odezwał się ponownie:

– Psst! – Podniósł okruch kamienia i rzucił przed siebie.

Dowódca oddziału przepatrzył przestrzeń przed sobą, ale noktowizor nie znalazł najmniejszego nawet promyczka światła, który mógłby przechwycić i wzmocnić.

– To ja – powiedział Hickey. – Nie strzelajcie.

Nikt nie odpowiadał przez kilka sekund, a potem dowódca oddziału zawołał, z trudem opanowując drżenie głosu:

– Podnieś ręce do góry i zbliż się!

Hickey ustawił karabin kilka cali nad poziomem gruntu, trzymając go w pozycji horyzontalnej.

– Nie strzelajcie, chłopcy... proszę, nie strzelajcie. Jeżeli strzelicie... rozwalicie nas na strzępy. – Zaśmiał się i dodał: – Ja natomiast mogę strzelać.

Nacisnął spust i opróżnił mieszczący dwadzieścia nabojów magazynek, zataczając lufą łuk przed sobą. Załadował ponownie, a gdy ucichł huk wystrzałów, usłyszał krzyki i pojękiwania. Opróżnił kolejny magazynek w trzech długich seriach morderczego ognia. Dobiegł go skowyt psa albo, jak przyszło mu do głowy, człowieka. Naśladując ten głos przeładował karabin i wystrzelił jeszcze raz.

Snajperzy ESD na obu galeriach strzelali przez całą długość katedry w stronę chóru, ale ich cele – przynajmniej dwa – przemieszczały się szybko w ciemności. Ranni i zabici policjanci poczeli padać na podłogę galerii. Jeden z nich stanął wyprostowany przy Bellinim i omiółł chór długą serią. Czerwone pociski smugowe rozcięły mroki zaciemnionej półki i zniknęły, bijąc po drewnianych ławkach. Klawiatura organów otrzymała bezpośrednie trafienie i elektryczne iskry zatrzeszczały w ciemności. Policjant strzelił ponownie i kolejna seria uderzyła w długie piszczałki, wzbudzając dźwięk przypominający bijące dzwony. Pociski smugowe odbiły się rykoszetem, wirując i tańcząc niczym fajerwerki w mrocznej przestrzeni. Bellini wrzasnął na policjanta, szarpiąc go za kamizelkę kuloodporną:

– Za długo! Na dół!

Nagle mężczyzna puścił karabin, przyciskając dłonie do twarzy. Potem pochylił się do przodu, przewalił przez balustradę i spadł, roztrzaskując się pomiędzy stallami.

Jakiś policjant oddał strzał z granatnika M-79. Pocisk eksplodował kulą ognia na drewnianej szafce i przechowywane w niej szaty zaczęły się palić. Bellini podniósł do ust megafon i zawołał:

– Żadnych granatów!

Płomienie szalały jeszcze przez parę sekund, a potem zaczęły przygasać. Bellini przykucnął i ponownie sięgnął po megafon.

– Uwaga, Oddziały Pierwszy i Trzeci, wszyscy razem dwa pełne magazynki, ogień ciągły na moją komendę. – Złapał leżący z boku karabin i podnosząc się, zawołał przez megafon: – Ognia!

Zdolni do walki policjanci na obu galeriach poderwali się jednocześnie i wśród ogłuszającego huku strumienie czerwonych pocisków smugowych zalały mroczny chór. Po opróżnieniu magazynków przeładowali, znowu otworzyli ogień, a potem przypadli do ziemi. Chór odpowiedział milczeniem i Bellini podniósł się ostrożnie z megafonem w dłoni, kryjąc się za kolumną, by zawołać w stronę chóru:

– Zapalcie światła i wyjdźcie z podniesionymi rękoma albo ponownie zaczniemy strzelać!
– Spojrzał na Burke’a siedzącego przy nim ze skrzyżowanymi nogami. – Oto jak powinno się negocjować! – Ponownie uniósł megafon.

Leary klęczał w przedniej części chóru, w północnym jego narożniku, i przyglądał się przez celownik optyczny wystającemu zza kolumny ukośnie po drugiej stronie katedry megafonowi. Położył się całym ciałem na balustradzie i wychylił ryzykownie, niczym bilardzista próbujący wykonać niezwykle trudne uderzenie, ustawiając skrzyżowane nitki celownika na niewielkim widocznym fragmencie czoła Belliniego. Strzelił i natychmiast stoczył się na podłogę.

Z megafonu dobył się dziwnie wzmocniony jęk. Na czole Belliniego wykwitła plama krwi i strzaskanej kości. Bellini padł jak ścięty na skrzyżowane nogi Burke’a. Porucznik

wlepił wzrok w rozciągnięte bezwładnie przed nim masywne ciało. Z uczernionej skroni Belliniego tryskała mała fontanna krwi. Niczym pęk róży, pomyślał abstrakcyjnie Burke. Odepchnął ciało na bok i przylgnął plecami do balustrady, zaciągając się głęboko papierosem.

Zauważył teraz, że w katedrze zrobiło się bardzo cicho, a na galerii, na której kulily się wokół niego resztki Pierwszego Oddziału, panowało kompletne milczenie. Zjawili się lekarze i opatrywali rannych, tam gdzie leżeli. Potem wynieśli ich na poddasze, by spuścić szybem windy na dół. Burke spojrzął na zegarek. Piąta czterdzieści osiem.

Ojciec Murphy przysłuchiwał się zbliżającym się z dołu krokom. Początkowo pomyślał, że przybyła policja, ale potem przypomniał sobie słowa Flynna i zrozumiał, że może to być Leary albo Megan nadchodzący, by go zabić. Sięgnął po pistolet i unióśł go drżącymi rękoma.

– Kto to? Kto idzie?

Dowódca grupy z Drugiego Oddziału Szturmowego dwa piętra niżej odsunął gestem dłoni swoich ludzi od otworu, przez który przechodziła drabina. Podniósł karabin i zniekształcił swój głos, przykładając dłoń do ust.

– To ja... Zejdź na dół! Poddasze płonie.

Ojciec Murphy przytknął dłoń do warg i wyszeptał:

– Poddasze...? Och, Boże... Nulty! – zawołał na dół. – To ty?

– Tak.

– Czy... – Murphy się zawahał – czy Leary jest z tobą? Gdzie jest Megan?

Dowódca rozejrzał się po swoich ludziach, odczytując z ich twarzy zniecierpliwienie i napięcie.

– Są tutaj – zawołał w górę. – Zejdź!

Ksiądz starał się uspokoić myśli, ale jego umysł był tak przytępiony zmęczeniem, że jedynie wpatrywał się w czarny otwór.

– Złaź! – zawołał dowódca – bo inaczej my przyjdziemy po ciebie!

Ojciec Murphy cofnął się od otworu tak daleko, jak pozwalał mu na to unieruchomiony nadgarstek.

– Mam broń!

Dowódca grupy dał znak jednemu ze swoich ludzi, by wystrzelił w otwór pojemnik z gazem. Pocisk poszybował łukiem w górę, przemknął przez oddzielającą ich kondygnację i wybuchł na drabinie blisko głowy ojca Murphy'ego. Odłamek skorupy zbiornika trafił go w twarz, a płuca wypełniły się gazem. Zatoczył się do tyłu, a potem potknął i poleciał w dół przez otwór. Zawisł na kajdankach, objijając się o drabinę, a jego brzuch i pierś falowały gwałtownie, podczas gdy odgłosy krztuszenia się dobiegały z gardła.

Policjant z karabinem maszynowym ujrzał wyskakującą z ciemności postać i strzelił z biodra. Ciało zadygotało, a potem znieruchomiało na drabinie. Oddział ESD przeszedł ostrożnie na następne piętro.

Światła miasta przedostawały się przez potłuczone szyby i delikatnie rozjaśniały pełne cieni pomieszczenie wieży. Zimny wiatr wymiółł zapach gazu. Jeden z policjantów zbliżył się do drabiny i zawołał:

– Hej, to jest ksiądz!

Dowódca grupy przypomniał sobie mgliście jakąś wymianę zdań przez telefon dotyczącą brakującego zakładnika, księdza. Odchrząknął niepewnie.

– Niektórzy z nich byli przebrani za księży... nie?

Mężczyzna z karabinem maszynowym dodał:

– Powiedział, że ma broń. Słyszałem, jak upadła... coś spadło tu na podłogę... – Rozejrzał się i znalazł pistolet. – Widzicie? I wołał do nich po imieniu...

Policjant z granatnikiem powiedział:

– Ale on jest skuty!

Dowódca grupy przycisnął dłonie do skroni.

– To jest popieprzone... mogliśmy to spieprzyć. – Oparł się ręką o drabinę, próbując się opanować. Krew spływała po poręczu, zbierając się w małą kałużę między jego palcami. – Och... och, nie... nie, nie, nie...

Pozostali policjanci z Drugiego Oddziału zeszli ostrożnie z poddasza mroczną dzwonnica i wypadli na długą galerię triforyjną, na której miała przedtem stanowisko Abby Boland. Padli na podłogę i poczołgali się mroczną galerią, mijając mokry od krwi fragment posadzki przy maszcie flagowym i skręcając na tę część półki, która wychodziła na północny transept. Dwóch ludzi przeszukało sąsiadujące z galerią poddasze, podczas gdy dowódca grupy zameldował przez telefon:

– Kapitanie, galeria północno-zachodnia zabezpieczona. Jeżeli dostrzeże pan tutaj jakiś ruch, to będziemy my.

– Tu Burke – rozległa się odpowiedź w słuchawce. – Bellini nie żyje. Posłuchajcie, pošlijcie paru ludzi na poziom chóru... Reszta zostaje tutaj i ostrzeliwuje chór. Jest tam chyba dwóch snajperów, a jeden jest bardzo dokładny.

Dowódca grupy potwierdził odbiór i rozłączył się. Omiótł spojrzeniem swoich czterech ocalałych ludzi.

– Uziemili kapitana. Dobra, wy dwaj zostańcie tutaj i ostrzeliwujcie chór. Wy dwaj za mną. – Powrócił do wieży i zbiegł spiralnymi schodami ku poziomowi chóru.

Jeden z dwóch mężczyzn pozostających na galerii wychylił się przez balustradę, opierając karabin o wystający maszt flagowy, który, jak zauważył, był postrzelany i pokryty krwią. W świetle flary dostrzegł ciało młodej kobiety, leżące na połamanej ławce.

– Jezu! – Spojrzał w stronę mrocznego chóru i puścił na ślepo krótką serię. – Wykurzyć tych kutasów...

Z chóru zagwizdał pojedynczy strzał i przebił drewnianą podpórkę. Kiedy uderzył go w kamizelkę kuloodporną, policjant przewrócił się do tyłu, a jego karabin poleciał wysoko w powietrze. Przez kilka sekund leżał rozciągnięty na podłodze, potem przetoczył się na brzuch, próbując złapać oddech.

– Dobry Boże... Jezu Chryste...

Drugi mężczyzna, który nie podniósł się z pozycji klęczącej, stwierdził:

– Szczęśliwy strzał, Tony. Założę się, że drugi raz by tego nie zrobił. Kontuzjowany policjant wsunął rękę pod swoją kamizelkę i wyczuł na mostku guz wielkości jajka.

– No no, kurde, no no... – Spojrzał na towarzysza. – Twoja kolej.

Policjant ściągnął czarną kominiarkę i wystawił ją nad balustradę na lufie karabinu. Ciche pyknięcie dobiegło z chóru, po nim nastąpił gwizd i chrupnięcie, kolejny strzał, lecz czapka ani drgnęła. Policjant opuścił karabin.

– Jest beznadziejny.

Przesunął się galerią kilka jardów w bok i wyjrzał zza balustrady. Wielka żółto-biała papieska flaga nie zwisała już z masztu, lecz leżała na ławkach w dole, przykrywając ciało zabitej kobiety. Policjant wlepił wzrok w maszt i ujrzał dwie kołyszące się wolno przecięte linki flagowe. Zanurkował szybko na dół i spojrzał na towarzysza.

– Nie uwierzysz w to...

Człowiek ukryty na chórze roześmiał się głośno.

Policjant klęczący obok Burke'a wziął megafon Belliniego i zaczął wysuwać ponad balustradę, ale po namyśle zrezygnował. Podniósł ku górze i zawołał:

– Hej! Ty na chórze! Pokaz skończony. Zostałeś tylko ty. Podejź do balustrady z podniesionymi rękami. Nic ci się nie stanie. – Wyłączył megafon i dorzucił: – Przerobimy cię na frytki, cholero.

Po długiej chwili milczenia z chóru dobiegł męski głos:

– Nigdy nas nie dostaniecie. – Rozległy się dwa strzały z pistoletu i na chór powróciła cisza.

– Strzelili sobie w łeb – skonstatował policjant.

– Pewnie – mruknął Burke.

Mężczyzna rozważał to przez moment.

– Jak to sprawdzimy? – zapytał w końcu.

Burke wskazał skinieniem głowy na ciało Belliniego. Policjant zawahał się, potem otarł czoło i twarz trupa chusteczką, a Burke pomógł mu podźwignąć go do góry.

Momentalnie rozległ się dźwięk przypominający brzęczenie pszczoły, po nim głośne mlaśnięcie i ciało Belliniego wydarło się im z rąk, padając na podłogę galerii. Niesamowity, piskliwy głos z chóru wrzasnął:

– Żywych! Dajcie mi żywych!

Pierwszy raz od chwili rozpoczęcia ataku Burke poczuł, że pot występuje mu na czoło. Policjant z ESD pobił jak ściana.

– Mój Boże...

Dowódca Drugiego Oddziału sprowadził swoich dwóch pozostałych ludzi w dół mrocznej dzwonnicy, docierając do sali prób. Policjanci przeszukali ją dokładnie w ciemności i zlokalizowali wejście na chór. Dowódca oddziału nasłuchiwał w bezruchu przy drzwiach, potem odsunął się na bok, położył dłoń na gałce i obrócił ją, lecz nie uruchomiło to żadnego urządzenia alarmowego. Trzej mężczyźni przyłgnęli na sekundę do ścian, a później dowódca otworzył drzwi mocnym pchnięciem i policjanci w niskim przysiadzie wbiegli przez otwór.

W ciemności pięciokrotnie, w krótkich odstępach, huknęła strzelba i trzech mężczyźni wlecieli z powrotem do pomieszczenia, a ich twarze, ramiona i nogi podziurawione były grubym śrutem.

Megan Fitzgerald weszła szybko do sali i oświetliła latarką trzy powykręcane ciała. Jeden z mężczyzn spojrział poprzez promień latarki na zakutaną w czarny strój postać, wlepiając oczy w jej groteskowo umalowaną twarz, wykrzywioną teraz w odrażającym grymasie. Megan podniosła pistolet, z rozmysłem przestrelała każdej z wijących się postaci głowę, a potem zamknęła drzwi, na nowo włączyła cichy alarm i wróciła na chór. Zawołała do Leary'ego, poruszającego się szybko i strzelającego z każdej możliwej pozycji:

– Nie daj Malone ani Baxterowi uciec! Trzymaj ich tam przyciśniętych, dopóki nie eksplodują bomby!

– Tak, tak! – odrzyknął Leary, nie przerywając ognia. – Pilnuj tylko tych pierdolonych bocznych drzwi.

Długi strumień czerwonych pocisków smugowych wytrysnął z galerii północno-zachodniej, przesuwając się po ławkach chóru. Leary w odpowiedzi posłał kulę, zanim jeszcze ostatni pocisk smugowy opuścił lufę policyjnego karabinu, i ogień nagle ustał.

Leary wycofał się aż pod wysokie piszczałki organów i spojrział na utworzoną przez balustradę czarną linię horyzontu, przebiegającą przez rozświetloną świecami i flarami katedrę. Wszystko to opierało się na prostym rachunku prawdopodobieństwa. Mniej niż dwudziestu policjantów musiało ostrzeliwać tysiąc trzysta stóp kwadratowych nie oświetlonego chóru. A ponieważ zajmowali wyżej położone stanowiska, nie mogli przeczesywać całej pochyłej powierzchni, lecz jedynie kierować ogień w poszczególne miejsca, co znacznie redukowało skuteczność uderzających pocisków. Ponadto, on i Megan mieli kamizelki kuloodporne pod czarnymi szatami, odgłosy strzałów i błysk lufy jego karabinu były tłumione, a do tego oboje poruszali się bezustannie. Noktowizory ESD były bezużyteczne, dopóki płonąć będą fosforowe flary, natomiast jego cele były dobrze oświetlone i dostrzegał ich sylwetki, gdy podchodzili do skraju galerii. Prawdopodobieństwo.

Szansę. Umiejętności. Przewaga pozycji. Wszystko przemawiało na jego korzyść. Zawsze tak było. Szczęście nie istniało. Bóg nie istniał.

– Czas? – zawołał do Megan.

Zerknęła na zegarek i ujrzała, jak fosforyzująca wskazówka minutowa przeskakuje o kolejną podziałkę.

– Czternaście minut do szóstej zero trzy.

Leary skinął głową sam do siebie. Bywało, że czuł się nieśmiertelny, bywało też, że nieśmiertelność oznaczała jedynie pozostanie przy życiu wystarczająco długo, by oddać jeszcze jeden strzał. Czternaście minut. Żaden problem.

Burke usłyszał sygnał telefonu polowego i podniósł słuchawkę z podłogi.

– Burke.

Ze słuchawki dobiegł głos burmistrza Kline'a.

– Kapitanie, nie chciałem wcześniej włączać się do pańskiej sieci komunikacji. Przysłuchiwałem się wszystkim rozmowom, oczywiście, i nie widząc, jak w rzeczywistości rozwija się sytuacja, uznałem, że lepiej będzie pozwolić kapitanowi Belliniemu działać, ale teraz, skoro on...

– Doceniamy to, sir. – Burke zauważył, że w głosie Kline'a pobrzmiewa pedantyczna, chłodna nuta, oddalona jedynie o włos od panicznego skomlenia. – Prawdę mówiąc, panie burmistrzu, muszę połączyć się z dołem, tak więc...

– Tak, tylko jedną chwilkę. Zastanawiałem się, czy nie mógłby pan wprowadzić nas na bieżąco...

– Właśnie to zrobiłem.

– Co? A, tak. Jedną chwilkę. Potrzebujemy od pana jako najwyższego stopniem oficera raportu sytuacyjnego. Dowodzi pan, to tak przy okazji.

– Dzięki, za chwileczkę oddzwonię.

– Świetnie.

Burke słysząc stuknięcie odkładanej słuchawki odezwał się do policyjnego operatora centrali:

– Nie łącz więcej tego dupka – i rzucił słuchawkę na podłogę.

Mężczyźni z Szóstego Oddziału Szturmowego ESD opuścili się po linach z helikopterów prosto w otwarte klapy poddasza. Przebiegli pokrytymi pianą pomostami do południowej wieży, gdzie rozdzielili się na dwie grupy: jedna podążyła w górę, ku stanowisku Devane'a, druga w dół, ku galeriom triforyjnym i chórowi.

Oddział wspinający się na wieżę czyścił drogę przed sobą, wystrzeliwując granaty, przechodząc z poziomu na poziom i docierając wreszcie do oktogonalnego pomieszczenia, gdzie miał swój posterunek Devane. W mrocznej, wypełnionej dymem komnacie zaczęli

szukać ciała feniańskiego snajpera, lecz znaleźli jedynie ślady krwi na podłodze i leżącą w kącie maskę przeciwgazową.

Dowódca oddziału dotknął plamy krwi na szczeblu prowadzącej na górę drabiny i podniósł wzrok.

– Odtąd pójdziemy z gazem.

Policjanci założyli maski przeciwgazowe i wystrzelili pojemniki z gazem dusząco-lzawiącym na następny poziom. Wspinali się po drabinie z piętra na piętro ku szczytowi zwężającej się iglicy, a gaz wznosił się wraz z nimi. Nad sobą usłyszeli kaszlącego człowieka, potem rozległy się odgłosy wymiotowania. Podążyli szlakiem krwi na zardzewiałej drabinie, ostrożnie pokonując mroczne piętra, i dotarli wreszcie do małego, zwężającego się u sufitu, oktogonalnego pomieszczenia usytuowanego około piętnastu pięter nad poziomem ulicy. We wszystkich ośmiu kamiennych ścianach widniały pozbawione szyb otwory w kształcie trójlistnej koniczyny. Ślady krwi urywały się na drabinie, a podłoga przy jednym z otworów pokryta była wymiocinami. Dowódca oddziału ściągnął maskę, przepchnął głowę i ramiona przez otwór i spojrzał w górę.

Rząd żelaznych klamer biegł przez ostatnie sto stóp zwężającej się wieży ku miedzianemu krzyżowi na jej szczycie. W połowie drogi widać było wspinającego się człowieka. Mężczyzna poślizgnął się, odzyskał równowagę i wciągnął się na następny szczebel. Dowódca oddziału wsunął się z powrotem do małego pomieszczenia. Zdjął z pleców karabin i załadował pojedynczy nabój.

– Te kutasy rozpieprzyły kupę naszych, jasne?

– Rozwalić go na oczach tych wszystkich ludzi w Centrum Rockefellera nie byłoby najszcześniejszym rozwiązaniem – zauważył jeden z policjantów.

Dowódca zerknął przez otwór na budynki po drugiej stronie Alei. Mimo rozkazów i wysiłków policji setki ludzi stały w oknach i na dachach, przyglądając się człowiekowi pnącemu się po oświetlonej na niebiesko granitowej iglicy. Kilku widzów pokrzykiwało, wykonując zachęcające ruchy rękoma i całymimi ciałami. Dowódca oddziału usłyszał okrzyki aplauzu i entuzjazmu i, jak mu się wydało, zdławione jęknięcia, gdy stopa mężczyzny ześlizgiwała się ze szczebla.

– Dupki – powiedział. – Najwięcej oklasków dostają zawsze niewłaściwi ludzie. – Zabezpieczył broń, przesunął się do otworu i spojrzał w górę. – Hej, King Kong! – zawołał. – Zwlec dupę z powrotem na dół!

Mężczyzna zerknął w dół, ale nie przerwał wspinaczki. Dowódca cofnął głowę.

– Dajcie mi linę alpinistyczną. – Wziął nylonową linę i zaczął się nią obwiązywać. – Cóż, jak mawiają chłopcy z Wydziału Samobójstw: spadł czy został zepchnięty? Oto jest pytanie.

Reszta policjantów z Szóstego Oddziału Szturmowego zeszła południową wieżą i idąc według przybliżonego szkicu wykonanego przez Gordona Stillwaya, odnalazła drzwi wiodące na długą południowo-zachodnią galerię triforyjną. Jeden z mężczyzn otworzył drzwi

kopniakiem, a pozostali czterej popędzili schyleni wzdłuż długiej galerii. W rogu balustrady dostrzegli leżącego mężczyznę w spódniczce, spod jego ciała wystawały piszczalki kobzy.

Nagle na galerii po drugiej stronie nawy poprzecznej podniósł się peryskop i zadudnił megafon:

– Padnij! Chór! Uważajcie na chór!

Policjanci odwrócili się jednocześnie i wlepili wzrok w półkę chóru wystającą pod kątem prostym około trzydziestu stóp poniżej nich. Wylot lufy błysnął dwukrotnie i dwaj mężczyźni padli martwi. Pozostali trzej rzucili się na podłogę.

– Co do cholery...? – Dowódca grupy rozejrzał się błędnym wzrokiem po ciemnej galerii, jak gdyby była pełna snajperów. – Skąd strzelali... z chóru? – Popatrzył na zabitych, trafionych prosto między oczy. – Niczego nie widziałem... niczego nie słyszałem...

– Oni też nie – odparł któryś z policjantów.

Piętnastu ludzi z Sześćdziesiątego Dziewiątego Pułku powróciło do katedry, gdy transporter przestał się palić. Ustawili się na posadzce pod chórem, kierując karabiny wzdłuż pięciu szerokich przejść między ławkami w stronę lekko wzniesionego prezbiterium. Major Cole podniósł się na jedno kolano i przepatrzył ławki za pomocą lornetki, a potem przyjrzał się czterem galeriom. Nic nie poruszało się w katedrze, a najgłośniejszym dźwiękiem były uderzenia pocisków feniańskiego snajpera z chóru. Cole spojrzał na dymiący transporter opancerzony. Odór spalonej benzyny i ciała przyprawiał go o mdłości.

Jakiś sierżant przysunął się do niego.

– Majorze, musimy coś zrobić.

Cole uczył kolejną falę nudności.

– Mamy pod żadnym pozorem nie wtrącać się w działania policji. Może dojść do nieporozumienia... wypadku...

Po schodach wbiegł goniec, przeszedł przez rozbite wrota i kruchtę, kierując się w stronę spoglądającego na zegarek majora Cole'a. Zbliżył się i przykucnął obok niego.

– Od gubernatora, sir.

Cole bez entuzjazmu wziął ręcznie napisany raport i półgłosem odczytał ostatni punkt: Ojciec Murphy nadal zaginiony. Zlokalizujcie i uratujcie go, uratujcie dwójkę zakładników pod ławkami prezbiterium...

Sierżant popatrzył na bladą twarz Cole'a.

– Gdybym znalazł przejście na chór i uziemił tego snajpera, mógłby pan pognać nawą i zgarnąć zakładników... – Uśmiechnął się – Ale musi pan być szybki, bo będzie się pan ścigał z glinami.

– Dobrze – rzekł sztywno Cole. – Wprowadźcie dziesięciu ludzi na chór. – Odwrócił się do gońca. – Potwierdźcie odbiór informacji. Niech dowództwo policji połączy się ze swoimi ludźmi na galeriach i każe im wstrzymać ogień w stronę chóru na... pięć minut.

Goniec zasalutował i odszedł. Cole spojrzał na sierżanta.

– Nie stracie nikogo.

Sierżant odwrócił się i poprowadził gwardzistów z powrotem do południowej kruchty, gdzie otworzył drzwi na spiralne schody. Żołnierze pognali w górę, zatrzymując się przed wielkimi drewnianymi drzwiami. Sierżant podszedł do nich, nadsluchując, lecz nie usłyszał żadnych dźwięków. Położył dłoń na gałce i obrócił ją powoli, a potem odrobinę uchylił drzwi. Przed sobą ujrzał całkowitą ciemność. Początkowo myślał, że nie jest na chórze, lecz potem zobaczył w oddali światło świec tańczące w górze na ścianie długiej północno-zachodniej galerii triforyjnej i dostrzegł goły maszt flagowy. Otworzył drzwi, przykucnął z wystawionym przed siebie karabinem i zaczął iść jednym z poprzecznych przejść między ławkami. Dziesięciu żołnierzy ruszyło za nim w regularnych odstępach.

Sierżant przesunął ramieniem wzdłuż oparcia ławki po swojej lewej stronie, mrużąc oczy w kompletnej ciemności, nasłuchując dźwięków dobiegających z głębi przepastnego chóru. Jego ramię natrafiło na przerwę i odwrócił się, stając w szerokim przejściu prowadzącym w górę. Cała płaszczyzna pogrążona była w ciemnościach, lecz zdawał sobie sprawę z jej rozmiarów dzięki unoszącemu się wśród czerni olbrzymiemu rozetowemu oknu, większemu od dwupiętrowego domu, migoczącemu światłami Centrum Rockefellera po drugiej stronie alei. Sierżant postąpił krok w górę biegnącego ukośnie przejścia i usłyszał w wyższych ławkach jakby dźwięk szeleszczącego jedwabiu.

Na następnym stopniu stała kobieta. Sierżant wlepił wzrok w dwie ogniste zielone plamki, w których odbijały się blaski świec z katedry w dole. Te płomienne oczy zatrzymały go w miejscu przez ułamek sekundy, zanim uniósł karabin.

Megan wrzasnęła dziko i wypaliła ze strzelby prosto w jego twarz. Wskoczyła na ławkę i zaczęła prażyć ogniem po przejściu. Żołnierze popędzili chaotycznie z powrotem, a śrut bębnił po ich hełmach, kamizelkach kuloodpornych i kończynach.

– Trzymaj ich z daleka, Megan! – zawołał Leary. – Kryj mnie. Strzelam jak nigdy w życiu. Daj mi czas. – Pociągnął za spust i przesunął się, wymierzył ponownie i jeszcze raz zmienił pozycję.

Megan podniosła swój karabin automatyczny i ostrzelała krótkimi seriami drzwi na wieżę. Leary ujrzał wystający zza parapetu południowo-wschodniej galerii peryskop i roztrzaskał go pojedynczym pociskiem.

– Wygrywam! Jezu, ale mi dziś idzie!

Burke usłyszał dobiegające z chóru wystrzały ze strzelby, następujące po nich krótkie, szybkie serie z M-16, a potem świst karabinu snajpera i pociski dziobiące w balustradę nad jego głową.

– Wychodzi na to, że niedzielni komandosi nie zajęli chóru – mruknął siedzący obok niego policjant.

Burke złapał za słuchawkę i połączył się z pozostałymi trzema galeriami.

– Na moją komendę walimy w chór ze wszystkiego, co mamy. – Wywołał schody zakrystii. – Powiedzcie Malone i Baxterowi, że jeszcze raz przyduszamy fenian ogniem i jeżeli chcą spróbować, to jest właśnie odpowiedni moment. Taka okazja już się nie powtórzy.

Burke odczekał, dopóki nie upłynie czas, który pozostał z pięciu minut, jakie przyrzekł Sześćdziesiątemu Dziewiętemu, by upewnić się, że tamci nie spróbują jeszcze raz wdrzeć się na chór, a potem przysunął telefon do ust:

– Ognia!

Dwudziestu pięciu policjantów z ESD podniosło się na czterech galeriach i otworzyło ogień z karabinów automatycznych i granatników. Karabiny przeczesywały chór długimi, krzyżującymi się seriami, podczas gdy z granatników wystrzeliwały na przemian rozpryskowe granaty z setkami długich igieł, ładunki burzące o dużej mocy, granaty gazowe, pociski oświetlające i zawierające gaszący ogień gaz. Chór aż drżał od huku eksplodujących granatów. Gęsty, czarny dym mieszał się z żółtawym gazem, uniósł się nad potrzaskanymi ławkami i popłynął pod strop katedry niczym dziwaczna chmura, opalizująca w świetle płonących w dole flar.

Megan i Leary, oboje w maskach przeciwgazowych, klęczeli w najniższym przejściu, pod osłoną grubego parapetu biegnącego przez całą szerokość chóru. Leary strzelił w stronę galerii, przesunął się w bok, strzelił i ponownie zmienił stanowisko. Megan zasypywała prezbiterium seriami z automatu, poruszając się szybko tam i z powrotem wzdłuż parapetu.

Burke wychwytał odgłos cichnących jeden po drugim granatników, w miarę jak wyczerpywała się amunicja. Od czasu do czasu krzyknął ktoś trafiony. Wstał i przez dym ujrzał ponad balustradą niewysokie płomienie tańczące na chórze. Z trzymanej w dłoni słuchawki dobiegały podniecone głosy. Inne galerie wzywały lekarzy. A ostrzał z chóru nie ustawał. Burke wyrwał M-16 jednemu z policjantów.

– Cholerne skurwysyny...

Wystrzelił jedną serią pełen magazynek, załadował ponownie i strzelał dalej, dopóki przegrzana broń się nie zacięła. Z wściekłością walnął karabinem o podłogę i wykrzyczał do telefonu:

– Wystrzelić pozostałe ładunki gaszące i kryć się!

Ostatnie pociski wpadły łukiem na chór i Burke ujrzał, że płomienie zaczynają przygasać. Wiedziony odruchem złapał za megafon i wyrzeszczał w stronę chóru:

– Idę po was, skurwiele. Idę... – Poczuł, jak ktoś podcina mu nogi, i wyrzucił się na podłogę, a pocisk przemknął przez powietrze w miejscu, gdzie stał.

Człowiek z ESD siedział ze skrzyżowanymi nogami, przyglądając mu się.

– Musi pan być zimny jak lód, poruczniku. To, co jest między nimi i nami, nie ma w sobie ani śladu osobistej niechęci. Rozumie pan?

– Oni dają z siebie wszystko – dorzucił inny policjant, zapalając papierosa – i my dajemy z siebie wszystko. Dzisiaj oni mają po swojej stronie siłę, jasne? A my nie. Trochę to jednak dziwne... to znaczy, w katedrze i w ogóle...

Burke zabrał mu papierosa i starał się ochłonać.

– Dobra, dobra... Jakies pomysły?

– Niech im pan zaproponuje posadę, moją posadę – odparł jeden z policjantów, wskazując na szramę na swojej szczęce.

– Ktoś musi wejść na chór z wieży – dodał inny. – Taka jest prawda.

Burke dostrzegł tarczę zegarka na nadgarstku tamtego. Sięgnął po telefon i wywołał schody do zakrystii.

– Zakładnikom się udało?

– Ktokolwiek latał tam na górze z tym M-16, nie strzelał do was, chłopaki – odparł łącznościowiec. – Zasypywał deszczem pocisków posadzkę między ławkami a schodami. Chryste, ktoś tam na górze wyraźnie nie lubi tych dwojga.

– Jestem pewien, że to nic osobistego. – Burke odrzucił ze złością słuchawkę. – Ale mimo to jestem lekko wkurwiony.

– Co, u licha, napędza tych dwóch Iroli? – zapytał jeden z policjantów. – Polityka? Wiecie, ja jestem rejestrowanym demokratą, ale aż tak mnie to nie podnieca.

Burke rozgniółł papierosa i pomyślał o Bellinim. Spojrzał na zakrzeplą krew na swoich spodniach, która była częścią Belliniego, tego durnego mózgu, który zawierał znacznie więcej wiedzy niż on, Burke, przypuszczał. Bellini wiedziałby, co robić, a jeśli nie, wiedziałby, jak przywrócić pewność siebie tym na wpół świrującym facetom naokoło. Burke bardzo wyraźnie czuł, że znajduje się w obcym mu środowisku, nie chciał wydawać rozkazów, które mogłyby pchnąć choćby jednego człowieka w objęcia śmierci, i docenił – naprawdę i całkowicie docenił – powód kapryśnego zachowania się Belliniego przez całą noc. Nieświadomie pocierał plamy na spodniach, dopóki ktoś nie powiedział:

– To nie zejdzie.

Burke skinął głową. Pojął teraz, że musi sam pójść na chór i skończyć z tym, niezależnie od ostatecznego rezultatu.

Maureen przysłuchiwała się tracącej na intensywności strzelaninie. Ramię policjanta, który spadł z galerii triforyjnej nad nimi, zwisało pomiędzy ławkami, a krew skapywała z niego, tworząc wielką kałużę czerwieni. Odniosła wrażenie, że słyszy dobiegający od ambony dźwięk.

– To była chyba nasza ostatnia szansa, Maureen – rzekł Baxter.

Usłyszała ten dźwięk ponownie – cichy, zdławiony jęk – i odparła:

– Być może będziemy mieli jeszcze jedną.

Odsunęła się od Baxtera, wymykając się z jego uścisku, i przetoczyła pod ławkami, wychodząc spod nich w miejscu, gdzie skrawek wolnej posadzki szerokości zaledwie kilku stóp oddzielał ją od spiralnych schodów ambony. Skoczyła przez otwartą przestrzeń i przypadła płasko do wyłożonych marmurem stopni, przyciskając się do masywnej kolumny, wokół której pięły się schody. Gdy dotarła na ich szczyt, ujrzała plamy krwi na najwyższych stopniach. Zerknęła do wnętrza ambony i zobaczyła, że Flynn zdołał się podciągnąć do pozycji siedzącej, z plecami opartymi o marmurową ścianę. Oczy miał zamknięte i Maureen przyglądała mu się przez kilka sekund, obserwując nierówne wznoszenie się i opadanie jego piersi. Potem wślizgnęła się na ambonę.

– Brian.

Otworzył oczy i utkwiał w niej wzrok. Maureen pochyliła się nad nim i wyszeptała:

– Widzisz teraz, co zrobiłeś? Oni wszyscy nie żyją, Brian. Wszyscy twoi ufni, młodzi przyjaciele są martwi. Pozostali tylko Leary, Megan i Hickey, same sukinsyny.

Flynn ujął jej dłoń i uściśnął ją słabo.

– Cóż... więc tobie nic się nie stało... a Baxter?

Skinęła głową, a potem rozdarła mu koszulę i ujrzała wlotową ranę postrzałową u szczytu barku. Przesunęła dłonią po ciele i znalazła ranę wylotową, wielką i poszarpaną, pełną szpiku i odłamków kości, na jego przeciwległym biodrze.

– O, Boże. – Wzięła kilka głębokich oddechów, starając się zapanować nad drżeniem swego głosu. – Czy było to warte aż tyle?

Jego oczy były czujne i czyste.

– Przestań gderać, Maureen.

Spojrzała na zegarek, potem chwyciła go za ramiona i szarpnęła go lekko.

– Możesz odwołać Leary'ego i Megan? Możesz ich powstrzymać? – Spojrzała na mikrofon ambony. – Pomogę ci wstać.

Flynn nie odpowiedział.

– Brian. – Szarpnęła ponownie. – Już po wszystkim, to już się skończyło! Przerwij to zabijanie...

– Nie potrafię ich powstrzymać... – Potrząsnął głową. – Wiesz przecież o tym.

– W takim razie bomby. Brian, ile bomb? Gdzie są? Kiedy...

– Nie wiem... a gdybym nawet wiedział... nie wiem... szósta trzy... wcześniej... później... dwie bomby... osiem... sto... Spytaj Hickeya.

Szarpnęła go silniej.

– Jesteś cholernym durniem. – Już łagodniejszym głosem dodała: – Umierasz.

– Pozwól mi odejść w spokoju, z łaski swojej. – Nagle pochylił się do przodu i zamknął jej dłoń w zadziwiająco mocnym uścisku, podczas gdy konwulsje wstrząsnęły jego ciałem. Poczuł krew wypływającą z płuc i ściekającą spomiędzy rozchylonych warg. – O, Boże... Boże, jakie to powolne...

Maureen spostrzegła leżący na podłodze pistolet. Flynn obserwował, jak unosi go w obu dłoniach.

– Nie... i tak masz czego żałować... nie bierz tego na siebie... nie dla mnie.

Maureen odbezpieczyła pistolet.

– Nie dla ciebie, dla mnie.

Ranny wyciągnął rękę i odtrącił jej ramię na bok.

– Chcę, by to było powolne.

– W porządku... – Zabezpieczyła broń i zrzuciła ją ze schodów. – Jak chcesz.

Rozejrzała się po ambonie, ze stosu skrzynek z amunicją wyciągnęła pakiet opatrunkowy i odpakowała dwa bandaże elastyczne.

– Odejdź... – powiedział Flynn. – Nie przeciągaj tego... nie pomagasz...

– Chciesz, by to było powolne.

Opatrzyła obie rany, a potem wyciągnęła z pakietu strzykawkę z morfiną.

– Na miłość boską, Maureen. – Słabo spróbował odepchnąć jej rękę. – Daj mi umrzeć tak, jak chcę... chcę zachować jasność umysłu... myśleć...

Maureen wbiła mu igłę w ramię, wstrzykując morfinę w mięsień.

– Jasność umysłu – powtórzyła. – Jasność umysłu, doprawdy.

Flynn opadł bezwładnie w tył, znów opierając się plecami o ścianę.

– Zimno... zimno... źle ze mną...

– Tak. Pozwól morfinie zadziałać. Zamknij oczy.

– Maureen... ilu ludziom to uczyniłem? Mój Boże... co ja robiłem przez te wszystkie lata...?

Łzy napłynęły jej do oczu.

– Och, Brian. Zawsze tak późno... zawsze tak późno...

Rory Devane czuł, że krew zbiera się w jego przestrzelonym gardle i spróbował splunąć, lecz krew wypłynęła z otwartej rany, niosąc ze sobą grudki wymiocin. Mrugnięciem strącił z oczu łzy i piął się dalej. Utracił czucie w dłoniach i musiał pilnować wzrokiem, czy zaciskają się na zimnych, żelaznych klamrach. Im wyżej się wspinał, tym mocniej ból świdrował jego czaszkę w miejscu, gdzie trafił go rykoszet. Ból był tak przenikliwy, że wprost nie do wyobrażenia. Parokrotnie chciał się puścić, ale widok krzyża na szczycie popychał go w górę.

Dotarł na czubek wieży i spojrzął na wystający ozdobny, miedziany kwiaton, z którego wznosił się krzyż. Wbito weń żelazne ćwieki, niczym stopnie. Wciągnął się po nich powoli, potem objął ramionami podstawę krzyża, przycisnął twarz do chłodnego metalu i załkał. Po chwili podniósł głowę i dokończył wspinaczki. Oplótł pozbawionymi czucia rękoma ramiona krzyża i stanął, dwadzieścia osiem pięter nad ulicą.

Devane rozejrzał się powoli. Po drugiej stronie alei wznosiło się nad nim Centrum Rockefellera, połowa okien w budynkach była oświetlona i otwarta, a stojący w nich ludzie

kiwali w jego stronę. Zwrócił się w lewo i ujrzał górujący nad aleją Empire State Building. Przesunął całe ciało i popatrzył za siebie. Pomiędzy dwoma wysokimi budynkami widział płaskie tereny Long Island ciągnące się aż po horyzont. Delikatna złota poświata rozświetlała miejsce, w którym ziemia stykała się z mrocznym, migocącym gwiazdami niebem.

– Świt.

Burke ukląkł na pokrytej krwią podłodze galerii. Ranni zostali już spuszczeni w dół szybem windy, a zabitych, w tym i Belliniego, przeniesiono na poddasze. Pozostało czterech ludzi z Pierwszego Oddziału Szturmowego ESD, skulonych pod parapetem. Snajper z chóru posyłał pociski tuż nad balustradą, ale z tego, co słyszał Burke, niewielu policjantów z pozostałych galerii podnosiło głowy, by odpowiedzieć ogniem. Burke sięgnął po telefon i połączył się z przeciwną galerią.

– Meldujcie o sytuacji.

– Dowódca dostał – odpowiedział czyjś głos. – Ranni wycofani przez komin, a posiłki wspinają się w górę, ale... co mówią ci z Centrum Rockefellera? Robi się późno.

Burke ujrzał wyrazistą wizję komisarza Rourke'a wymiotującego w toalecie, Murraya Kline'a mówiącego wszystkim, by zachowali spokój, i Martina, chłodnego jak zawsze, udzielającego rad mających ostatecznie załatwić katedrę i wszystkich w jej wnętrzu. Spojrzał na zegarek. Schodzenie tym kominem zajmie dużo czasu.

– Wycofujcie się – powiedział do słuchawki.

– Zrozumiałem.

Burke porozumiał się z operatorem centrali.

– Połączyłeś się już z wieżami albo z poddaszem?

– Poddasze w naszych rękach – odparł łącznościowiec. – Górne partie obu wież zabezpieczone, z wyjątkiem jakiegoś palanta wspinającego się po południowej wieży. Ale w dole, na poziomie chóru, panuje jeden wielki bałagan. Jakaś pierdolnięta dziwka, ubrana jak czarownica, grzeje do drzwi na wieżę. Paru gości z ESD zginęło w sali prób. Chłopaki z armii zostali przemieleni, kiedy próbowali wejść na chór z drugiej wieży. Bardzo niejasna sytuacja. Chce pan z nimi pomówić? Powiedzieć im, by spróbowali jeszcze raz?

– Nie. Powiedz im, by byli w pogotowiu. Połącz mnie z saperami. W głosie operatora zabrzmiała niepewność.

– Nie możemy ich wywołać. Meldowali się bez problemu jeszcze parę minut temu, potem ich straciłem. – Mężczyzna przerwał i dodał: – Proszę sprawdzić godzinę.

– Wiem, kurna, która jest godzina. Wszyscy, kurna, wiedzą, która jest godzina. Dalej wywołuj podziemia. Połącz mnie z Piątym Oddziałem.

Policjant na schodach do zakrystii zgłosił się i Burke rzucił:

– Raport o sytuacji.

– Zakrystia za moimi plecami jest pełna nowych oddziałów szturmowych, ale zza ołtarza może strzelać naraz tylko dwóch facetów – zameldował tamten. – Absolutnie niemożliwe, abyśmy się dostali do tej płyty z brązu. Nie jesteśmy w stanie dotrzeć do zakładników, a oni nie mogą przedrzeć się do nas. Chryste, te dwa skurwiele na górze umieją strzelać. – Wziął głęboki oddech. – Co się do cholery dzieje?

– Dzieje się to – odparł Burke – że za dziesięć minut ta część katedry prawdopodobnie się zawali, a więc odeślijcie do piwnic plebanii wszystkich ludzi z wyjątkiem dwóch czy trzech dla utrzymania kontaktu z zakładnikami.

– Dobra.

W rozmowę włączył się nagle Langley.

– Burke, wypierdalaj stamtąd. Natychmiast.

– Niech ESD i saperzy pošlą więcej ludzi do podziemi – odparł Burke. – Hickey musiał udupić tamtych. Została jeszcze przynajmniej jedna bomba, a on strzeże jej jak głodny pies kości. Zabierz się za to.

– Ta bomba może eksplodować w każdej chwili – rzekł Langley. – Nie możemy posłać więcej...

W tej chwili wtrącił się burmistrz Kline, mówiąc tonem człowieka przemawiającego specjalnie na użytek magnetofonów.

– Poruczniku, na pańskie żądanie posyłam tam jeszcze jeden oddział szturmowy i oddział saperski, ale pojmuję pan, że ich szanse...

Burke wyrwał przewód z telefonu i zwrócił się do mężczyzny obok siebie:

– Sprowadźcie wszystkich szybem windy i nie zatrzymujcie się, dopóki nie dotrzecie do piwnic rezydencji kardynalskiej.

Mężczyzna przewiesił karabin przez ramię.

– Pan idzie z nami?

Burke odwrócił się i przeszedł za narożnik na galerię triforyjną wychodzącą na południową nawę boczną. Stanął i spojrzał ponad balustradą. Sama konstrukcja wzniesionej na planie krzyża budowli uniemożliwiała snajperom z chóru kontrolowanie tej części katedry i ludzie z ESD przerzucili nad nawą linę biegnącą na przeciwległą galerię. Burke wślizgnął się w sznurową uprząż i zaczął przeciągać się, metr po metrze, na drugą stronę transeptu.

Czekający po drugiej stronie policjant podał mu rękę i wciągnął przez balustradę. Obaj podeszli szybko do rogu, gdzie na swojej kobzie leżał Sullivan, ze spódniczką i gołymi nogami zbryzganymi krwią. Zanim wyszli za róg, obaj przykucnęli i Burke przeszedł przez całą długość galerii, mijając sześciu klęczących i dwóch martwych snajperów ESD. Wziął peryskop i wystawił go ponad balustradę.

Z tego stanowiska Burke mógł się przekonać, jak olbrzymią i trudną do obserwacji przestrzeń stanowił położony prawie trzy piętra niżej chór. Pozycje ESD rozjaśniane były światłem świec dobiegającym z niby-okiennych otworów. A jednak, pomyślał, trudno było

uwierzyć, że ktokolwiek na chórze przeżył tę nawałę ognia, i dziwiło go, że tę dwójkę zdaje się otaczać jakieś błogosławieństwo.

Przesunął się dalej w prawo, potem podniósł się nieco i skierował peryskop na posadzkę bezpośrednio pod galerią. Strzaskany przód pojazdu pancernego wystawał spod chóru. Burke ujrzał fragment rozplaszczzonego na nim ciała – Logana. Dwa szerniałe ramiona wystawały prosto z miejsca, które było kiedyś stanowiskiem mechanika. Major Cole i paru ludzi klęczeli przy transporterze. Wyglądali ponuro. Zdradzali jednak niejaki zadowolenie z tego, że manewry Gwardii Narodowej w tym dniu były już prawie skończone.

Na chórze rozległ się wystrzał, peryskop uderzył Burke'a w oko i wyskoczył mu z rąk. Burke poleciał na plecy i upadł na podłogę.

– Za długo trzymał go pan w górze, poruczniku – stwierdził towarzyszący mu policjant z ESD. – A to był nasz ostatni peryskop.

Burke otarł oko i gdy cofnął dłoń, pokrywała ją wodnista krew. Podniósł się na jedno kolano i spojrzał na policjanta, widząc go jak przez mgłę.

– Co słyhać na wieżach?

Zanim tamten zdążył odpowiedzieć, automat zagadał na chórze szybkim staccato dwóch krótkich serii.

– Oto, co słyhać na wieżach. Wiedźma nie chce widzieć nikogo przy drzwiach. – Spojrzał na zegarek i dodał: – Co za pieprzony bałagan... Prawie nam się udało, nie?

Burke spojrzał na kulącego się przed nim policjanta, sierżanta ESD.

– Jakies pomysły?

– Wszystko sprowadza się do wyłączenia chóru, tak by Malone i Baxter mogli dotrzeć do schodów i by nasi ludzie na dole mogli wrzucić granaty ogłuszające przez otwór pod płytą i przerobić mózg tego gościa, Hickeya, na puree. Wtedy saperzy będą mogli dobrać się do bomb. Mam rację?

Burke skinął głową. To wydawało się jedynym rozwiązaniem tego problemu. Chór panował nad całą katedrą, tak jak było to jego zadaniem, choć teraz z zupełnie odmiennego powodu. A Flynn umieścił tam dwójkę niesamowitych ludzi.

– Co możemy zrobić, by wyłączyć chór?

Sierżant ESD podrapał się po brodzie.

– No więc, moglibyśmy wprowadzić nowe reflektory na galerie, skierować ogień karabinów maszynowych z helikopterów przez rozetę, przebić się przez płaszcz gipsowy na poddaszu... Wiele możliwości... tyle że taki sprzęt nie jest poręczny... i zabiera dużo czasu...

– No właśnie... – Burke ponownie skinął głową.

– Ale najlepszym sposobem – ciągnął sierżant – jest, by ktoś wślizgnął się na chór z jednej z wież. Gdy przejdzie się przez drzwi, ma się wiele wolnego miejsca, tak jak oni, i jest się tak samo niewidocznym jak oni.

Burke kiwnął głową. Alternatywą było dotrzeć do ładunków wybuchowych przez podziemia, a o snajperów i zakładników martwić się później. W takim wypadku szósta zero trzy nie miałyby już żadnego znaczenia. Podniósł słuchawkę telefonu i wywołał operatora.

– Jak wygląda sytuacja na dole?

– Zszedł tam nowy oddział ESD – odparł łącznościowiec. – Znaleźli paru niedobitków odciągających rannych. Psy i przewodnicy martwi. Załatwieni wszyscy saperzy oprócz Peterson, która też oberwała, ale nadal jest na chodzie. Siedzi tam jakiś świr z automatem. Ci, którzy przeżyli, mówią, że do pozostałych bomb można dotrzeć tylko przez tę płytę z brązu. – Operator zawahał się i dodał: – Peterson powiedziała, że ten facet jest prawdopodobnie w stanie odpalić te bomby, kiedy zechce... a więc zmywam się, bo jestem trochę za blisko miejsca, w którym je podłożono. Nie będzie łączności, dopóki nie rozstawię centralki gdzieś indziej. Przykro mi, poruczniku. – Po chwili dorzucił jeszcze: – Chłopcy szukają na obu wieżach i na poddaszu tego zagłuszacza, a kiedy go znajdą, będzie pan miał łączność radiową. Może być? Przykro mi.

Telefon ogłuchł. Burke włączył krótkofalówkę leżącą przy jego nogach i w powietrzu rozległ się huk zakłóceń. Wyłączył radio.

– No fajnie – stwierdził siedzący obok niego łącznościowiec z ESD. – Nikt już z nikim nie pogada. Nie jesteśmy w stanie skoordynować ataku na chór, gdybyśmy chcieli coś takiego zrobić, ani skoordynować odwrotu...

– Okazuje się, że wejście do środka było najłatwiejsze. – Burke rozejrzał się po ciemnej galerii. – Cóż, to miejsce jest stosunkowo duże i wydaje się solidnie zbudowane. Architekt chyba planował, że ta część będzie stać, kiedy runą główne kolumny...

– Ktoś może to zagwarantować? – zapytał policjant. – Czy ktoś ma absolutną pewność, że pod nimi nie ma bomb? – Poklepał dłonią jedną z kolumn.

– Logicznie myśląc – odparł Burke – tamci nie zawracaliby sobie głowy podkładaniem ognia na poddaszu, gdyby całe to miejsce było zaminowane. Mam rację? – Popatrzył na przycupniętych dokoła niego ludzi, ale nie wydawało się, by jego wnioski przynosiły któremukolwiek ulgę.

– Nie myślę, by logika miała cokolwiek wspólnego ze sposobem rozumowania tych sukinsynów – mruknął sierżant.

Burke spojrział na zegarek. Piąta pięćdziesiąt cztery.

– Ja zostaję... i wy zostajecie. – Wszedł do południowej wieży i zaczął schodzić w dół, w stronę chóru.

Maureen popatrzyła na zegarek i powiedziała do Flynna:

– Wracam.

– Tak... nie... nie odchodź... – Jego głos był teraz wyraźnie słabszy.

– Przykro mi... – Otarła mu dłonią czoło. – Nie mogę tu zostać.

Flynn skinął głową.

– Bardzo cię boli, Brian?

Pokręcił przecząco głową, lecz w trakcie wykonywania tego gestu jego ciało zeszytniało. Maureen wzięła kolejną strzykawkę z morfiną i zdjęła osłonę z igły. Wiedziała, że przy takiej utracie krwi następna dawka prawdopodobnie zabije go, ale przynajmniej bezboleśnie. Pochyliła się i objęła jego szyję ramieniem, a potem pocałowała go w usta, przystawiając strzykawkę do jego piersi, blisko serca.

Poczuła, że wargi Flynnna poruszają się, i odwróciła głowę, by posłuchać.

– Nie... nie... zabierz to...

Cofnęła strzykawkę i spojrzała na niego. Przez ostatnie kilka minut ani razu nie otworzył oczu i nie pojmowała, jak mógł się zorientować... chyba że po prostu znał ją aż za dobrze. Ścisnęła mocno jego rękę i poczuła wbijający się w dłoń duży pierścień.

– Brian, czy mogę to wziąć? Jeśli stąd wyjdę... mogę zabrać to do domu...

Cofnął rękę i zacisnął palce.

– Nie.

– A więc zatrzymaj go. Dostanie się policji.

– Nie... ktoś musi po niego przyjść.

Pokręciła głową i pocałowała go ponownie. Bez słowa wycofała się na kręte schody.

– Maureen... – zawołał za nią. – Posłuchaj... Leary... powiedziałem mu... żeby do ciebie nie strzelał... on słucha rozkazów... Można się zorientować, kiedy Megan pilnuje drzwi na wieże... wtedy możesz pobiec...

Przez chwilę leżała nieruchomo na stopniach, potem zapytała:

– Baxter...?

– Baxter już jest martwy... Ty możesz uciec... ucieknij...

– Brian, nie powinieneś był mi o tym mówić.

Otworzył oczy i spojrzał na nią, później skinął głową.

– Nie, nie powinienem był... – Spróbował usiąść prosto i jego twarz zbieleła z bólu. – Proszę... ucieknij... żyj... – Jego pierś poczęła falować powoli.

Maureen przyglądała mu się długą chwilę, potem ześlizgnęła po schodach i przetoczyła szybko przez te kilka stóp odsłoniętej podłogi. Przeczolgała się pod ławkami, zatrzymując się u boku Baxtera.

– Chciałem iść za tobą – powiedział Baxter – ale pomyślałem, że może...

Ujęła go za rękę i uściśniła mocno.

– Nie żyje?

– Jeszcze nie.

Leżeli obok siebie w milczeniu i Baxter zapytał:

– Czy myślisz, że mógłby, albo zechciałby, odwołać Leary'ego i Megan?

– Nie pytałam go o to – odparła.

– Rozumiem... W takim razie, jesteś gotowa spróbować? Już za pięć szósta...

– Nie wiem, czy tego właśnie chcę.

– To dlaczego wróciłaś?

Maureen nie odpowiedziała. Baxter wziął szybki oddech i oznajmił:

– Ja idę...

Chwyliła go za ramię i spojrzała pod ławką na rozległą płaszczyznę splamionego krwią białego marmuru, który zdawał się emanować własnym światłem w blasku świec. Słyszała krótkie serie z automatu Megan bijące po drzwiach na wieże, ale pociski z karabinu Leary'ego nie uderzały już w cele w katedrze.

– Leary czeka na nas.

– A więc nie dajmy mu czekać za długo. – Zaczął posuwać się ku końcowi ławki.

Maureen nie uwalniała z uścisku jego ramienia.

– Nie!

Zza ołtarza, ze schodów do zakrystii odezwał się czyjś głos:

– Słuchajcie, nie chciałbym formułować tego w ten sposób, ale wolałbym sobie stąd pójść, wiecie? A więc próbujecie czy nie?

Dwa pociski zagwizdały w powietrzu i uderzyły w marmur w pół drogi pomiędzy ławkami a ołtarzem. Maureen podsunęła się do Baxtera i odwróciła twarz w jego stronę.

– Zostań ze mną.

Objął ją ramieniem i zawołał w stronę klatki schodowej:

– Idźcie, nie ma sensu, byście na nas czekali.

Odpowiedzi nie było. Maureen i Baxter przysunęli się do siebie, wspólnie przeczekując te kilka ostatnich minut.

Wendy Peterson klęczała pod tylną ścianą krypty, a lekarz bandażował jej prawe przedramię. Zgięła palce i zauważyła, że stają się sztywne.

– Cholera.

– Lepiej niech pani wraca na górę – powiedział lekarz.

Inny medyk zawijał elastyczny bandaż wokół jej prawej pięty.

Peterson rozejrzała się po oświetlonej na czerwono przestrzeni. Większość członków grupy pozostała w przedzie z podziurawionymi głowami – efekt trafienia odbijającymi się od ziemi pociskami – a pozostali zostali ewakuowani. W czerwonym świetle blade twarze wyglądały jak zarumienione, krew miała czarną barwę, a rany z niewiadomego powodu wyglądały jeszcze ohydniej. Odwróciła się i skupiła na poruszaniu palcami.

– Cholera.

Dowódca nowego oddziału ESD zgromadził swoich ludzi przy narożniku krypty i spojrzał na zegarek.

– Osiem minut. – Ukląkł przy Peterson. – Proszę posłuchać, nie wiem, co u cholery mam tu robić na dole oprócz zbierania ciał, ponieważ nie ma sposobu na wyłuskanie stamtąd tego gościa, porucznika.

Peterson odsunęła się od lekarzy i podkuśtykała do narożnika krypty.

– Na pewno?

– Nie mogę strzelać, nie? On ma maskę pegaz, a granaty ogłuszające odpadają. Nawet jeżeli go dopadniemy, nie zostaje zbyt wiele czasu na rozbrojenie jednej choćby bomby, a my nie wiemy przecież, ile ich tam jest. Te cholerne psy nie żyją, a my nie mamy więcej psów...

– Dobrze, dobrze... Cholera, a tak blisko jesteśmy.

– Nie – odparł dowódca oddziału – wcale nie jesteśmy blisko. – Kilku mężczyzn naokoło zakaszlało nerwowo i znacząco. – Powiedziano mi, że to była pani decyzja... i Burke'a. – Podniósł słuchawkę telefonu, ale na linii nadal panowała martwa cisza. – Pani decyzja.

W mroku rozległ się głos, szyderczy głos starego człowieka:

– Chuj z wami! Chuj z wami wszystkimi!

– Chuj z tobą! – odkrzyknął nerwowo młody policjant.

Dowódca oddziału wystawił głowę zza rogu krypty i zawołał:

– Jeżeli wyjdiesz z rękoma nad...

– A odwal się! – Hickey zaśmiał się i posłał serię pocisków w stronę czerwonej poświaty dobiegającej zza rogu krypty. W zamkniętej przestrzeni huk był ogłuszający i echo poniosło go przez ćwierć akra podziemi.

– Jest tam jakiś synek z oddziału saperów? – zawołał Hickey. – Odpowiedz mi!

Wendy Peterson podsunęła się do narożnika.

– Tuż przed tobą, tatuśku.

– Tatuśku? Do kogo mówisz „tatuśku”? Cóż, mniejsza z tym. Posłuchaj, te bomby są równie gotowe do akcji, jak Linda Lovelace. – Zachichotał i dodał: – Fatalne porównanie. W każdym razie, dziewczyno, dam ci radę, którą docenisz jako profesjonalista w dziedzinie wysadzania, a nie w tych innych sprawach. Co to ja...? A, tak. Mam tu mnóstwo zapalników, optyczne, akustyczne, wszelkiego rodzaju. Wierzysz w to, malutka?

– Myślę, że jesteś pełen gówna.

Hickey się roześmiał.

– No to w takim razie odeślij wszystkich, kochanie, i rzuć do mnie granat ogłuszający. Jeśli to nie zdetonuje bomb, wówczas któryś saper będzie mógł wrócić i je rozbroić. Ty sama już tego nie zrobisz, a ja go nie powstrzymam, bo oboje będziemy mieli mózg zamieniony w papkę.

Wendy Peterson odwróciła się do dowódcy oddziału.

– Daj mi granat ogłuszający i wynoś się.

– Akurat. A poza tym i tak wiesz, że w podobnych miejscach nie nosimy ze sobą takich rzeczy.

Peterson obnażyła długi sztylet, którego używała do rozcinania plastiku, i wysunęła się zza rogu krypty. Dowódca oddziału wychylił się i wciągnął ją z powrotem.

– Gdzie ty, do cholery, leziesz? Posłuchaj, sam o tym myślałem, do tego faceta jest ponad sześćdziesiąt stóp. Nikt nie zdoła pokonać tej odległości bez żadnego szmeru, a on załatwi cię w tej samej sekundzie, w której cię usłyszy.

– No to kryjcie mnie hałasem.

– Zapomnij o tym.

– Co teraz, ludziska?! – zawołał Hickey. – Gościu podczołgujący się na brzuchu? Słyszę oddech z trzydziestu, czterdziestu stóp. Wyczuwam gliniarza z sześćdziesięciu stóp. Posłuchajcie, panowie i pani, nadszedł czas, byście się oddalili. Przeszkadzacie mi, a mam kilka spraw do przemyślenia w ciągu paru następnych minut.

Wendy Peterson schowała sztylet do pochwy i odetchnęła głęboko.

– Chodźmy.

Mała procesja ruszyła ku otwartej klapie wiodącej na korytarz. Posuwali się z udawaną obojętnością, która maskowała fakt, że wycofywali się z najwyższą prędkością. Nikt nie oglądał się za siebie oprócz Wendy Peterson, która zerknęła raz czy dwa do tyłu. Nagle zaczęła biec w przysiadzie wzdłuż rzędu mężczyzn idących w stronę otwartej klapy.

Hickey wyślizgnął się z ciasnej wnęki i usiadł oparty o podstawę kolumny, a wielka bryła plastiku dostosowała się kształtem do jego pleców.

– No tak... – Nabił fajkę, zapalił ją i spojrzał na zegarek. Piąta pięćdziesiąt sześć. – O rany, już późno... – Zanucił kilka taktów „Irish Lullaby”, a potem zaśpiewał sam do siebie: – Tra-ra-la-la-ra, cicho, cicho, nie płacz już...

Dowódca Szóstego Oddziału wspinał się samotnie po żelaznych szczeblach południowej wieży z nylonową liną przyczepioną do pasa. Przesuwał się cicho przez zimną, mroczną noc aż do miejsca pięć stóp poniżej Rory’ego Devane’a, który wciąż obejmował ramiona krzyża. Policjant wyciągnął pistolet.

– Hej! Ty, Jezus! Nie ruszaj się, bo ci tyłek odstrzelę.

Devane otworzył oczy i spojrzał za siebie w dół. Policjant uniósł pistolet:

– Jesteś uzbrojony?

Devane pokręcił przecząco głową. W blasku miejskich świateł widać było dokładniej jego pokrytą krwią twarz.

– Ostro ci się dostało, wiesz o tym?

Devane skinął głową.

– Schodź teraz. Grzecznie i powoli.

– Nie mogę.

– Nie możesz? Wszedłeś tam, draniu, to teraz złaż. Nie będę tu dyndać przez całą noc, czekając na ciebie.

– Nie mogę się ruszyć.

Policjant przypomniał sobie, że chyba pół świata przygląda mu się teraz na ekranach telewizorów, i przybrał zatroskany wyraz twarzy, a potem uśmiechnął się dobrodusznie do Devane'a.

– Ty dupku, z wielką przyjemnością wsadziłbym ci ten pistolet między nogi i wystrzelił twoje jaja na orbitę. – Zerknął na wysokie budynki Centrum Rockefellera i posłał pełne zdecydowania spojrzenie teleskopowym kamerom i lornetkom. Wspiął się o szczebel wyżej. – Posłuchaj, przyjemniaczku. Wchodzę do ciebie z liną i jeżeli wywiniesz jakiś numer, klnę się na Boga, skurwielu, że będziesz fruwać.

Devane spojrzał na zbliżającą się czarną postać.

– Wy, faceci, śmiesznie gadacie.

Policjant zarechotał, przesunął ciało przez krawędź kwiatonu i oplótł ramiona wokół podstawy krzyża.

– Jesteś w porządku, dzieciaku. Jesteś dupkiem, ale jesteś w porządku. Nie ruszaj się. – Przeszedł w bok i uniół się tak, że jego głowa znalazła się na poziomie ramion Devane'a, a potem wyciągnął rękę i owinął linę wokół piersi Devane'a. – To ty jesteś tym gościem, który strzelał flary?

Devane skinął głową.

– Prawdziwy artycha z ciebie, co, junior? Co jeszcze potrafisz robić? Umiesz zonglować?

– Policjant przywiązał koniec długiej linki do szczytu krzyża i powiedział poważniejszym tonem: – Będziesz musiał trochę się powspinać. Pomogę ci.

Mózg Devane'a był prawie kompletnie oziębiały, lecz coś wydawało się nie w porządku. Propozycja, by ranny człowiek, wiszący dwadzieścia siedem pięter nad najbardziej naszpikowanym techniką miastem świata, miał schodzić po linie, by dotrzeć do bezpiecznego miejsca, wydawała się dziwnie nie na miejscu.

– Helikopterem.

Policjant spojrzał na niego uważnie. Devane popatrzył mu prosto w oczy i rzekł:

– Chcesz mnie zabić.

– O czym ty, do cholery, gadasz? Rzykuję moje pieprzone życie, by ciebie uratować, gnoju. – Posłał uśmiech w stronę Centrum Rockefellera. – Dalej. Na dół.

– Nie.

Policjant usłyszał jakiś dźwięk i spojrzał w górę. Helikopter straży pożarnej zawisł nad nimi i zaczął opadać ku wieży. Był coraz bliżej, zduszając ku dołowi zimne powietrze. Z bocznego luku wychylał się mężczyzna w uprząży, trzymający krzeselko na linie. Policjant zaplótł ramiona na obejmujących krzyż rękach Devane'a i podciągnął się w górę, tak że znaleźli się twarzą w twarz. Ujrzał z bliska zziębniętą, niebieskawą twarz młodego człowieka, zamrożoną w kryształki krew migoczącą w jego rudych włosach oraz ranę na jego gardle i wielką, odbarwioną masę na czole.

- Dostało ci się, co? Powinieneś nie żyć, wiesz?
- Będę żył.
- Tam na dole ładują teraz niektórych moich kumpli do plastikowych worków...
- Nie strzeliłem ani razu.
- Taak... dalej, pomogę ci w to wleźć.
- Jak możesz popełnić morderstwo, tutaj?

Policjant wziął głęboki oddech i wypuścił z ust kłęb pary. Strażak, wiszący teraz jakieś dwadzieścia stóp nad nimi, wypuścił krzeselko, które opadło na linie w dół i zatrzymało się parę stóp od dwóch mężczyzn. Dowódca oddziału położył dłonie na ramionach Devane'a.

– Dobra, czerwono, zaufaj mi. – Sięgnął w górę i wprowadził krzeselko pod Devane'a, zaplął pasy i odwiązał podtrzymującą go linę.

Burke zbiegał po spiralnych schodach południowej wieży, wpadając w końcu na gwardzistów i policjantów przychajonych na zaciemnionym piętrze chóru.

– Jaka sytuacja? – zapytał.

Przez chwilę nikt nie odpowiadał, a potem jeden z policjantów wybąkał:

– Tak jakbyśmy wleźli na siebie w ciemności. – Wskazał ręką na leżący pod ścianą schludny stos około sześciu ciał.

– Chryste... – Burke rozejrzał się po pomieszczeniu i zobaczył postrzelane drzwi wiszące luźno na zawiasach.

– Lepiej trzymać się poza linią ostrzału zza tamtych drzwi – poradził policjant.

– Tak właśnie się domyśliłem.

Znowu uderzyła krótka seria i wszyscy przypadli do ziemi, unikając pocisków rykoszetujących przez obszerne pomieszczenie i tłukących grube szybki. W odpowiedzi jeden z gwardzistów opróżnił pełen magazynek prosto w drzwi.

Echo przyniosło miarowe popykiwanie tłumika snajperki, ale Burke nie potrafił sobie wyobrazić, co wartego kuli pozostało jeszcze w katedrze. Szerokim łukiem przeszedł przez pomieszczenie i ruszył wzdłuż ściany w stronę drzwi.

Wendy Peterson wbiegła na najwyższy stopień schodów do zakrystii za ołtarzem. Oddychała ciężko, a rana na jej pięcie krwawiła. Odwróciła się i krzyknęła w stronę podestu przed kryptą, gdzie stało dwóch ostatnich policjantów:

– Granat ogłuszający!

Jeden z mężczyzn wzruszył ramionami i cisnął w jej stronę wielką, czarną skorupę.

Podsunęła się do przodu i zerknęła na prawo. Jakies trzydzieści stóp dzieliło ukrytych pod ławkami zakładników od schodów. Po lewej stronie, w głębi prezbiterium, pięć stóp podłogi oddzielało ją od podziobanej kulami płyty z brązu. Jak ciężka może być ta płyta? W którą stronę się podnosi? Gdzie jest uchwyt? Ponownie odwróciła się za siebie.

– Zakładnicy?

– Nie możemy im pomóc – odpowiedział jeden z policjantów. – Muszą spróbować wtedy, gdy będą przekonani, że są gotowi. Jesteśmy tu na wypadek, gdyby im się udało i byli ranni... ale nie uda im się wydostać. Nam też, jeżeli będziemy się tu jeszcze trochę kręcić. – Odchrząknął. – Hej, jest piąta pięćdziesiąt siedem, czy te bomby mogą wybuchnąć przed szóstą zero trzy?

– Jaką mam szansę? – Wskazała na brązową płytę.

Mężczyzna popatrzył na umazane krwią schody i odruchowo dotknął ucha przestrelonego pociskiem z chóru – pociskiem wystrzelonym z odległości ponad stu jardów przy kiepskim świetle.

– Szanse dotarcia do tej płyty są niezłe, pół na pół. Szanse otwarcia jej, wrzucenia tego granatu, odczekania, póki nie wybuchnie, wreszcie wskoczenia na dół są odrobinę mniej niż zerowe.

– Czyli pozwalamy tej chałupie polecieć do nieba?

– Nikt nie powie, że nie próbowaliśmy. – Przesunął stopą po lepkiej krwi na podeście. – Lepiej spadać.

– Poczekam w pobliżu. Nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć.

– Ja wiem, co się zdarzy, pani porucznik, a kiedy to się zdarzy, niedobrze byłoby przebywać w tym miejscu.

Dwie kule uderzyły w brązową płytę i zrykoszetowały ku kaplicy Matki Boskiej. Kolejny pocisk trafił w gipsowe sklepienie dziesięć pięt w górze. Peterson i dwaj policjanci zadarli głowy, spoglądając w zalegający pod sklepieniem mrok, i uskoczyli przed spadającymi kawałkami gipsu. Sekundę później jeden z kardynalskich kapeluszy zawieszonych nad kryptą upadł na podest. Któryś policjant pochylił się i obejrzał czerwony kapelusz.

– Dostałem kardynała – zadudnił z chóru głos Leary’ego – w powietrzu, w ciemności! Jezus, nie mogę chybić! Nie mogę chybić!

Policjant odrzucił kapelusz na bok.

– Wiecie co, on ma rację.

– Pomówię z zakładnikami – rzekła Peterson. – Wy równie dobrze możecie odejść.

Jeden z mężczyzn zbiegł susami po schodach, kierując się ku bramie zakrystii. Drugi wspiął się do Peterson.

– Pani porucznik – powiedział, spoglądając na brudny i przesiąknięty krwią bandaż owinięty wokół jej nagiej stopy. – Dotarcie do piwnic plebanii zajmuje około sześćdziesięciu sekund.

– W porządku.

Mężczyzna zawahał się, potem odwrócił i ruszył do zakrystii. Peterson usiadła na najwyższym stopniu i zawołała do Baxtera i Malone:

– Jak wam idzie?

– Odejdź! – odrzyknęła Maureen.

Peterson zapaliła papierosa.

– W porządku... mamy jeszcze czas... Kiedy tylko będziecie gotowi... przemyślcie to – mówiła do nich łagodnie.

Sekundy upływały miarowym rytmem.

Leary posłał po pocisku nad balustradą każdej galerii, zmienił stanowisko, strzelił do posągu świętego Patryka, przesunął się w bok, wyłowił migocącą świecę wotywną, strzelił i patrzył, jak się rozpryskuje. Przesunął się ukośnie przez ławki, zatrzymał się i posłał dwie kule w kobaltowobłękitne okno nad wschodnim końcem ambitu. Poprzez strzaskane szkło zbliżający się świt zaznaczył się jaśniejszym błękitem.

Leary wsunął się w podziurawioną kulami ławkę w pobliżu organów i skoncentrował się na prezbiterium – schodach, płycie z brązu i stallach. Wyprostował trafione szrapnelem ramię i potarł rozorany śrutem policzek. Miał złamane przynajmniej dwa żebra tam, gdzie kamizelka kuloodporna zatrzymała pociski.

Megan strzelała do bocznych drzwi, zmieniając kolejność i długość każdej następnej serii z automatu. Stała w przejściu kilka stóp poniżej Leary’ego i obserwowała położone po swojej lewej i prawej stronie, w jeszcze niższej części chóru, drzwi. Jej ramiona i nogi pokryte były skorupą krwi z ran od szrapneli i śrutu, a prawy bark zeszytywniał po bezpośrednim trafieniu. Poczula nagle osłabienie i zawroty głowy, więc oparła się o ławkę. Po chwili wyprostowała się i zawołała do Leary’ego:

– Nawet nie próbują!

– Nudno tu – stwierdził Leary.

Megan zaśmiała się słabo i powiedziała:

– Mam zamiar przygrzać po ławkach i wykurzyć tych dwoje. A ty ich utłuczesz.

– Za sześć minut cała katedra zwali im się na głowy... – odparł Leary – albo też dostanę ich, kiedy spróbują uciec. Nie psuj zabawy. Bądź cierpliwa.

Megan przyklękła w przejściu i uniosła karabin.

– A jeśli policja znalazła bomby?

– Wątpię, by dostali Hickeya... – Mówiąc to Leary spojrzał na prezbiterium. – Robię to, co mi kazano... kryję tę brązową płytę i nie pozwalam tamtym dwojgu uciec.

– Chcę ujrzeć, jak ona umiera, zanim ja umrę! – zawołała Megan, mierząc w stalle. – Zaraz ich wykurzę. A ty ich utłuczesz. Gotowy?

Leary spojrzał na dziewczynę. Jej sylwetka była widoczna w dobiegającym z dołu świetle świec i flar. Odezwał się cichym, zamyślnym głosem:

– Wszyscy są martwi oprócz Hickeya i, jak przypuszczam, Malone oraz Baxtera. Oni zginą podczas wybuchu. Zostajemy więc ty i ja.

Określiła się i wlepiła wzrok w ciemność, kierując spojrzenie ku miejscu, z którego rozbrzmiewał jego głos.

– Zrozum, jestem zawodowcem – powiedział. – Tak jak mówiłem, robię tylko to, co mi się każe, nigdy więcej, nigdy mniej, a Flynn kazał mi dopilnować ciebie i Hickeya.

– Jack... – potrząsnęła głową – ty nie możesz... nie po tym jak my... – Zaśmiała się. – Tak, oczywiście... nie chcę być złapana... Brian wiedział o tym... zrobił to dla mnie. Dalej więc. Szybko!

Leary podniósł pistolet, wycelował w ciemną postać i władował jej dwa pociski w głowę, jeden za drugim. Ciało Megan poleciało w tył i potoczyło się w dół przejścia, zatrzymując się obok sierżanta Gwardii Narodowej, którego zabiła.

Burke stał w skarpetkach przy drzwiach na chór, z krótkim przysadzistym granatnikiem opartym w zgięciu jego ramienia. Przymknął powieki, osłaniając oczy przed blaskiem światła wpadającym przez rozbite okna, i uspokoił oddech. Pozostali policjanci obserwowali go w kompletnym milczeniu. Burke usłyszał niewyraźne głosy, męski i kobiecy, potem rozległy się dwa pistoletowe strzały. Obrócił się, wskoczył w drzwi i popędził bocznym przejściem wzdłuż ściany, a potem rozpląszczył się na pochyłej podłodze w połowie wysokości chóru. Pod piszczałkami organów ktoś oddychał ciężko. Świszczący oddech ucichł nagle i męski głos powiedział:

– Wiem, że tu jesteś.

Burke pozostał w bezruchu.

– Widzę w ciemności, zwęszę to, czego ty nie zwęszysz, słyszę wszystko. Jesteś martwy.

Burke wiedział, że ten człowiek próbuje sprowokować go do panicznego strzału, i że robi to prawie skutecznie. Ten snajper był dobry, nawet w sytuacji bezpośredniego zagrożenia, takiej jak ta, zachowywał zimną krew.

Burke przetoczył się na plecy, podniósł głowę i spojrzał ponad poręczą w głąb katedry. Łańcuch utrzymujący najbliższy żyrandol zakołysał się nieznacznie, nawijany za pomocą korby na poddaszu. Żyrandol podniósł się do jednego poziomu z chórem i Burke ujrzał siedzącego na nim gwardzistę z karabinem wycelowanym na chór. Wyglądał jak żywa przynęta. Żywy, sam chciał żywych. Mięśnie Burke'a się napięły.

Leary strzelił i ciało na żyrandolu podskoczyło. Burke poderwał się na równe nogi, wycelował granatnik w kierunku, z którego padł strzał, i odpalił pojedynczy granat rozpryskowy. Dziesiątki igieł pomknęły rozprzestrzeniając się na wszystkie strony. Rozległ się ostry wrzask, a po nim rozbłysła lufa karabinu. Burke ujrzał ten błysk kątem oka, gdy odwracał się i nurkował na podłogę. Potężne uderzenie w plecy cisnęło go głową o ścianę, zatoczył się chwiejnie i upadł w przejście pomiędzy ławkami. Następny pocisk załomotał o ławkę i przemknął tuż nad jego głową.

Burke leżał nieruchomo, świadom bólu w plecach, który zaczynał się rozprzestrzeniać na ramiona i nogi. Kilka kolejnych kul uderzyło naokoło niego. Ogień przeniósł się na drzwi i Burke spróbował odczołgać się w inne miejsce, lecz stwierdził, że nie może się poruszyć. Chciał wyjąć zza pasa pistolet, lecz jego ramię zareagowało serią bolesnych, gwałtownych skurczów.

Snajper ponownie przeniósł ogień w jego stronę i pocisk zadrasnął mu dłoń. Czoło krwawiło od zderzenia ze ścianą, a ból przeszywał jego czaszkę od oczu aż do potylicy. Czuł, że traci przytomność, lecz wyraźnie usłyszał odgłos przeładowywania karabinu. Potem ktoś zapytał:

– Jesteś martwy, czy tylko o tym marzysz?

Leary uniósł karabin, lecz uporczywy, kłujący ból w prawej nodze zmusił go do opuszczenia broni. Usiadł w głównym przejściu, podwinął nogawkę spodni i przesunął dłoń po piszczeli, wyczuwając maleńką ranę wlotową w miejscu, gdzie trafiła go strzałka. Przeniósł dłoń na łydkę i dotknął rany wylotowej, nieco większej, z wystającym z ciała odłamkiem kości.

– Och... kurde... kurde...

Podniósł się na jedno kolano i wyładował karabin w kierunku drzwi i bocznego przejścia, potem ściągnął z szyi maskę przeciwgazową. Zdjął z siebie długą szatę, wycierając nią snajperkę od kolby po lufę, i poczołgał się głównym przejściem. Włożył karabin w ciepłe dłonie Megan, sięgnął na pierwszą ławkę i zabrał inny karabin. Podniósł się, wsparł o krawędź ławki i wślizgnął się na nią.

– Martin! – zawołał. – Jesteś tam?

Po chwili milczenia z sali prób chóru czyjś głos odpowiedział:

– A jakże, Jack. Jesteś sam?

– Aha.

– Powiedz policji, że się poddajesz.

– Dobra. Chodź tu, sam.

Martin wkroczył luźnym krokiem na chór, zapalił latarkę i przeszedł przez mrok między ławkami.

– Cześć, Jack. – Przekroczył ciało Megan, podszedł do Leary'ego i przycupnął na ławce.

– Tak, daj mi to. Grzeczny chłopiec. – Zabrał Leary'emu karabin i pistolet, a potem krzyknął:

– Jest rozbrojony!

Policjanci zaczęli ostrożnie wychodzić z obu wież na chór. Martin zawołał do nich:

– W porządku, ten człowiek to mój agent. – Martin obrócił się do Leary'ego i zmierzył go rozłłoszczonym spojrzeniem. – Troszeczkę wcześniej, czyż nie tak, Jack?

– Dostałem – odparł Leary przez zaciśnięte zęby.

– Naprawdę? Wyglądasz świetnie.

Leary zaklął.

– Fitzgerald zaczynała robić problemy, więc musiałem ją stuknąć przy pierwszej okazji. Potem ktoś wlaźł na chór i wpakował mi strzałkę w piszczel. Jasne?

– To okropne... ale ja nikogo tu nie widzę... naprawdę powinieneś był zaczekać.

– Odpierdol się.

Martin oświetlił latarką nogę Leary'ego. Jak wielu zabójców, pomyślał, Leary nie potrafi dobrze znosić bólu.

– Tak, to rzeczywiście mogło boleć. – Wyciągnął dłoń i dotknął rany.

– Hej! – Leary krzyknął z bólu. – Jezu... ta igła chyba wciąż jeszcze tam siedzi.

– Możliwe. – Martin spojrzał na dół, w stronę prezbiterium. – Malone i Baxter?

Z kąta chóru któryś policjant zawołał:

– Wstawaj!

Leary oparł dłonie o ławkę i podniósł się, mówiąc do Martina:

– Oboje są pod stallami w prezbiterium...

Zapaliły się światła na chórze, rozjaśniając pochyłą płaszczyznę potrzaskanych ławek, podziobanych pociskami ścian, wypalonych szafek i pokiereszowanych schodów. Wysokie piszczałki organów połyskiwały jasno w miejscach, gdzie trafiły je kule, ale rozeta nad nimi była nietknięta. Leary rozejrzał się wokoło i wydał z siebie coś na kształt gwizdu.

– Jak chodzenie w deszczu bez zamoczenia kapelusza. – Uśmiechnął się.

Martin machnął niecierpliwie dłonią.

– Nie pojmuję, co z Baxterem i Malone. Nie żyją, prawda?

Policjanci przekroczyli ciała i z karabinami i pistoletami gotowymi do strzału weszli ostrożnie pomiędzy ławki. Leary automatycznie położył dłonie na głowie, odpowiadając Martinowi:

– Flynn zabronił mi ją zabić, a nie mogłem strzelać po ławkach, szukając Baxtera, nie ryzykując, że mogę ją trafić...

– Flynn? Pracujesz dla mnie, Jack.

Leary przecisnął się obok Martina i pokuśtykał przejściem między ławkami.

– Ty wydajesz rozkazy, on wydaje rozkazy... Robię tylko to, co mi się każe i za co mi się zapłaci...

– Ale pieniądze Flynnna pochodziły ode mnie, Jack.

– Flynn nigdy nie wciskał mi kitu. – Leary spojrzał ciężko na Martina. – Powiedział, że na chórze będzie piekło, i uwierzyłem mu. Ty powiedziałeś, że moje zadanie będzie... – jak to nazwałeś? – względnie pozbawione ryzyka.

– Cóż – odparł Martin zirytowanym głosem. – Jeżeli pytasz mnie o zdanie, nie wypełniłeś swojego kontraktu. Będę musiał rozważyć zmianę końcowego wynagrodzenia.

– Posłuchaj, ty mały skurwielu...

Dwaj policjanci wspięli się przejściem i chwycili uniesione ramiona Leary'ego, wykręcając mu je bezceremonialnie na plecy, a potem zakuli go w kajdanki. Cisnęli go na

podłogę i Leary zajączkał z bólu, później odwrócił głowę w stronę Martina, podczas gdy policjanci go obszukiwali.

– Jeżeli wygarnęli Hickeya z dołu, to i tak dotarli do bomb. A jeśli go nie wygarnęli, nadal będziesz miał swoją eksplozję.

Martin dostrzegł zbliżającego się ku niemu Burke'a podtrzymywanego przez dwóch policjantów. Oczyszczył chrząknięciem gardło.

– Dobra, Jack, starczy już tego.

Ale Leary był najwyraźniej urażony.

– Wywiązałem się ze swojej części umowy. Chryste, Martin, jest już po szóstej. Rozejrzyj się dokoła, co za dużo, to niezdrowo...

– Zamknij się.

Dwaj policjanci postawili Leary'ego na nogi.

– Ta noga... – jęknął. – To dziwne... pali...

Martin nic nie powiedział. Leary popatrzył na niego.

– Co ty... Och, nie...

Martin mrugnął do niego, odwrócił się i odszedł. Policjant z ESD uniósł megafon i zawołał na całą katedrę:

– Policja na chórze! Nie ma niebezpieczeństwa! Panie Baxter, panno Malone, uciekajcie! Uciekajcie tędy!

Baxter podniósł głowę i spojrzał na Maureen.

– To był Leary?

Maureen zmusiła się do uśmiechu.

– Szybko się uczysz. – Wsłuchiwała się w głos z megafonu, ponownie wykrzykujący ich nazwiska. – Nie wiem... – Przycisnęła twarz do twarzy Baxtera, przytulając się do niego.

Wendy Peterson wyjrzała zza ołtarza i spojrzała w stronę chóru. Był całkowicie oświetlony, a pomiędzy ławkami krążyli policjanci. Bez patrzenia na zegarek wiedziała, że prawdopodobnie pozostały nie więcej niż trzy minuty – mniej, jeśli bomby były nastawione na wcześniejszą godzinę, a nie przypominała sobie, by widziała choć jedną nastawioną na później niż oficjalnie podany moment eksplozji.

Pobiegła w kierunku płyty z brązu, w biegu zrywając bezpiecznik z granatu ogłuszającego i wołając ku stłomom:

– Uciekajcie! Uciekajcie! – Pochyliła się i podniosła ciężką płytę jedną ręką.

Megafon dudnił:

– Uciekajcie! Uciekajcie tędy!

Zerwali się do biegu, lecz Maureen skręciła nagle. Pognała po schodach na ambonę i chwyciła Flynn'a za ramię, ściągając go po stopniach. Baxter pobiegł za nią i szarpnął ją za rękę. Maureen odwróciła się do niego.

– On żyje... proszę...

Baxter zawahał się, a potem przerzucił sobie Flynna przez ramię i oboje pobiegli w stronę balasek.

Wendy Peterson odczekała w milczeniu, dopóki uciekający nie dotrą do nawy głównej, gdzie według jej oceny byli bezpieczni, gdyby granat zdetonował bombę. Wyciągnęła zawleczkę i wrzuciła granat do otworu z gestem mówiącym „A co mi tam...” Opuściła płytę na swoje miejsce i odeszła parę stóp w bok, przyciskając dłonie do uszu.

Granat wybuchł, wyrwijając płytę z zawiasów i wyrzucając ją wysoko w powietrze. Fala uderzeniowa przetoczyła się przez katedrę, posadzka prezbiterium zadrżała pod jej stopami. Wszystko jakby zamarło na moment w oczekiwaniu na następną eksplozję, lecz usłyszała jedynie dzwonięcie w uszach. Zsunęła się przez dym po drabinie.

Gdy echo fali uderzeniowej przebrzmiało na chórze, Burke podszedł powoli do Martina.

– No cóż, poruczniku Burke, jestem zaskoczony – rzekł Martin. – Sądziłem, że będzie pan... eee, gdzie indziej. Wygląda pan okropnie. Dziwnie się pan porusza. Gdzie są pańskie buty? – Skontrolował zegarek. – Dwie minuty... mniej, jak myślę. Dobry stąd widok. Macie tu kamery rejestrujące to wszystko? Drugi raz czegoś takiego nie zobaczycie. – Zerknął ponad ramieniem Burke’a w stronę prezbiterium. – Proszę spojrzeć na te kute elementy, na te marmury. Wspaniałe. Za jakieś trzy minuty będzie wyglądać zupełnie jak Coventry. – Poklepał się po wyłogu płaszcza i odwrócił się do Burke’a. – Widzi pan? Nadal mam mój goździk. A gdzie jest pański? – Z niepokojem spojrzał ponownie na prezbiterium. – Co knuje ta szalona kobieta? Obróć się, Burke. Nie możesz tego stracić.

Martin precyzyjnie się obok Burke’a i przysunął do poręczy. Spojrzał na zbliżających się Baxtera i Maureen, eskortowanych przez majora Cole’a i czterech gwardzistów. Martin odezwał się do Burke’a:

– Gubernator Doyle będzie zadowolony ze swoich chłopców, a burmistrz Kline będzie wściekły na ciebie, Burke. Harry, chłopie! – zawołał. – Tu, na górze! – Pokiwał im dłonią. – Dobra robota.

Odwrócił się i spojrzał na prawie nieprzytomnego Leary’ego wynoszonego do sali prób chóru.

– Badania balistyczne wykażą, że z karabinu, który mi odebrałem, nie wystrzelono pocisku, który zabił kogokolwiek – powiedział do Burke’a. – Zabił natomiast tę młodą kobietę – snajpera, gdy tylko... – jak to wy mówicie? – weszła mu na widelec. Cóż, dopilnował w każdym razie, by tak to wyglądało. Jeżeli stanie przed sądem, zostanie uwolniony. – Martin zerknął do tyłu przez ramię. – Trzymaj się, Jack. Wpadnę do ciebie później do szpitala. – Do dowódcy oddziału ESD zawołał: – Łagodnie z tym człowiekiem, on pracuje dla mnie.

Gdy Leary zniknął za drzwiami, Martin odwrócił się ponownie do Burke’a.

– Twoi ludzie są w fatalnym nastroju. Cóż... tajemnice wychodzą teraz na światło dzienne... Burke? Słuchasz mnie? Burke? – Martin spojrział na zegarek, potem na prezbiterium i zmienił temat. – Waszym największym problemem jest brak dyscypliny w walce. Wpierw strzelaj, potem pytaj. Wspaniała tradycja. To dlatego ojciec Murphy wisi teraz martwy na drabinie na dzwonnicy. Och, czyżbyś o tym nie wiedział, Burke?

Martin przeszedł na skraj chóru i oparł się o parapet, spoglądając prosto w dół. Baxter i Malone stali odwróceny do niego plecami. Flynn leżał przy nich na podłodze, a lekarz z Gwardii Narodowej pochylał się nad nim. Martin zauważył, że Baxter obejmuje Maureen Malone ramieniem, ona zaś wspiera się na nim. Odezwał się do Burke'a:

– Chodź bliżej, popatrz na to. Oni się zaprzyjaźnili. Harry, ty stary diable! – zawołał w dół. – Panno Malone. Schowajcie się oboje, posypie się trochę gruzu. – Obrócił się do stojącego za nim Burke'a. – Trochę mi głupio, że to ja nalegałem, by Baxter był na schodach... Gdybym tylko zdawał sobie sprawę, z jakim ryzykiem będzie to połączone...

Burke stanął obok Martina i oparł się o balustradę. Cucie zaczęło wracać do jego rąk i nóg, sztywność zastąpiło delikatne świerzbiecie. Spojrział przez katedrę, skupiając wzrok na prezbiterium. Martwy policjant spoczywał na stallach, a z otworu w posadzce wydobywał się czarny dym. Zielone goździki leżały na białym i czarnym marmurze, a setki odłamków witraży zalegały podłogę tam, gdzie strącił je ogień. Nawet z tej odległości widział krew pokrywającą ołtarz i wszechobecne ślady po kulach. Policjanci pomiędzy ławkami za jego plecami zamilkli i poczęli przysuwać się do poręczy. Wieże i poddasze opustoszały, większość ludzi opuściła katedrę przez jedyne nie zaminowane wyjście – uszkodzone ceremonialne drzwi frontowe. Niektórzy zgromadzili się na dwóch długich galeriach zachodnich, z dala od rejonu, który miały objąć spodziewane zniszczenia. Niczym zahipnotyzowani wpatrywali się z fascynacją w prezbiterium. Burke spojrział na zegarek. Szósta zero dwie, plus minus trzydzieści sekund.

Wendy Peterson zaświeciła latarką w twarz Hickeya i przebiła mu gardło sztyletem, lecz stary człowiek już nie żył, chociaż krew nie wypływała z jego nosa, ust ani uszu, język nie wystawał z ust, nie miał popękanych naczyń krwionośnych – żadnych śladów zabójczej eksplozji. Jego twarz była pogodna, wręcz uśmiechnięta; prawdopodobnie umarł we śnie, bez niczyjej pomocy.

Ustawiła latarkę tak, by była skierowana na podstawę kolumny, i włączyła lampę na swoim górniczym hełmie.

– Wrażliwe na światło, akurat – powiedziała głośno. – Stary załgany sukinsyn. – Zaczęła mówić do siebie jak zawsze, gdy zostawała sam na sam z bombą. – Dobra, Wendy, ty głupia dupo, krok po kroku... – Wzięła głęboki oddech i oleisty zapach plastiku wypełnił jej nozdrza. – Masz cały czas tego świata... – Przesunęła delikatnie dłońmi po zakurzonej powierzchni plastiku, poszukując dotykiem miejsca, w którym ukryty mógł być zapalnik. – Wygląda jak

kamień... Sprytnie... wszystko wygładzone... dobrze... – Zdjęła zegarek i wetknęła go w plastik. – Dziewięćdziesiąt sekund, Wendy, parę w tę czy we w tę... – Kłula teraz sztyletem, wykonując na ślepo nacięcia w plastiku. – Jeszcze dwa lub trzy nacięcia... – Wepchnęła prawą dłoń w otwór, lecz niczego nie wyczuła. Rana na ramieniu fatalnie usztywniała jej palce. – Sześćdziesiąt sekund... czas ucieka, kiedy... – Przytknęła głowę do plastiku nadsluchując, ale usłyszała jedynie tętniącą w głowie krew. – ...kiedy spędza się go wesoło... Dobrze, tnij tutaj... No i? Boże! Ostrożnie... tutaj nic... Gdzieś to wetknął, staruchu? Gdzie jest to tykające serduszek? Tnij tutaj, Wendy... gdy wypowiada się życzenie do spadającej gwiazdy, nie robi różnicy... Tutaj! Tutaj, tak jest! – Odepchnęła plastik, powiększając rozcięcie i odsłaniając tarczę głośno tykającego budzika. – Doskonale, czas na budziku, szósta zero dwie. Mój czas, szósta zero dwie. Budzik nastawiony na szóstą zero trzy... Grasz uczciwie, staruchu... Dobrze... – Miała ochotę wyszarpnąć budzik, wyrwać przewody albo strzaskać szkło i przesunąć wskazówkę budzika, ale to właśnie najczęściej uruchamiało tę przeklętą rzecz. – Spokojnie, dziecino... jesteś już tak blisko... – Wepchnęła dłoń w plastik i ostrożnie precyzyjnie przesuwała palce przez gęstą, wilgotną substancję, poszukując chroniących przed intruzami urządzeń i kopiąc coraz bliżej tyłu budzika. – Ruszaj się po cichu w tym gównie, Peterson... ręką za budzik... tak... prosty mechanizm... Gdzie jest wyłącznik? No, dalej, do cholery... Szósta zero trzy... Kurwa, kurwa, nadal nie dzwoni... Jeszcze parę sekund... spokojnie, Wendy, dobry Boże, spokojnie, spokojnie... – Budzik zadzwonił donośnie i Wendy Peterson wsłuchała się weń uważnie, wiedząc, że jest to ostatni dźwięk, jaki słyszy.

Katedrę objęła głęboka cisza. Martin oparł splecione ręce na poręczy, wpatrując się w prezbiterium. Postukał palcem po wyświetlaczu swego zegarka.

– Którą masz godzinę, Burke? Czy nie robi się późno? Co się, u licha, dzieje?

Na plebanii i w rezydencji kardynalskiej ludzie odsunęli się od oklejonych paskami papieru okien. Na wszystkich dachach naokoło katedry policjanci i reporterzy stali w bezruchu. Przed telewizorami w domach i otwartych przez całą noc barach ludzie przyglądali się biegnącym sekundom wyświetlanym na milczącym ekranie na tle ukazanej z powietrza katedry rozjaśniającej się z wolna w blasku świtu. W kościołach i synagogach, w których utrzymywano całonocne czuwania, ludzie spoglądali na zegarki. Szósta zero cztery.

Wendy Peterson wyłoniła się powoli z otworu i przeszła na środek prezbiterium. W obu rękach trzymała jakieś przedmioty. Spojrzała na nie, a potem wolno podniosła wzrok ku galeriom i chórowi. Twarz miała bardzo bladą, lecz jej słowa rozbrzmiały w całej katedrze.

– Urządzenie detonujące...

Podniosła zegar podłączony czterema przewodami do dużej paczki baterii, z której zwisały cztery kolejne przewody. Podniosła je w górę, tak jakby były kielichem, a w drugiej

ręce uniosła cztery długie, cylindryczne detonatory, które odcięła od przewodów. Biały plastik wciąż oblepiał mechanizm i w ciszy panującej w katedrze tykanie budzika brzmiało niezwykle głośno. Peterson przesunęła językiem po suchych wargach i powiedziała:

– Teren czysty.

Nikt nie zaklaskał, nikt nie krzychał z radości, lecz wśród tej ciszy rozległo się wyraźne westchnienie ulgi, potem dźwięk czyjegoś łkania.

Ciszę rozdarł ostry, długi wrzask i z chóru runął głową w dół jakiś człowiek. Ciało z głośnym chrupnięciem uderzyło o podłogę przed transporterem opancerzonym.

Maureen i Baxter odwrócili się i spojrzeli na nieprawdopodobnie powykręcane ciało leżące w koronie bryzgów krwi naokoło głowy. Baxter odezwał się szeptem:

– Martin.

Burke szedł niepewnym krokiem przez katedrę. Kłucie w plecach przerodziło się w tępy ból. Przeniesiono obok niego nosze i dostrzegł przelotnie twarz Briana Flynna, lecz nie potrafił rozstrzygnąć, czy fenianin żyje, czy też nie. Burke szedł dalej, dopóki nie dotarł do ciała Martina. Martin miał złamany kark, szeroko otwarte oczy i na wpół odgryziony, wywalony na zewnątrz język. Burke zapalił papierosa i rzucił zapalną na twarz trupa.

Odwrócił się i spojrzał pustym wzrokiem na wielki, wypalony transporter i leżące na nim zwęglone ciała, potem przyjrzał się ludziom dookoła niego, przechodzącym, rozmawiającym pospiesznie, wykonującym swoje obowiązki, ale wszystko to wydawało mu się odległe, jakby oglądane przez nie wyregulowany teleskop. Poszukał wzrokiem Maureen i Baxtera, lecz ich już nie było. Uświadomił sobie, że nie ma w tej chwili nic do roboty, i sprawiło mu to przyjemność. Ruszył bez celu przez nawę i ujrzał Wendy Peterson stojącą samotnie w przejściu pomiędzy ławkami, tak jak on – bez zajęcia. Mijając ją powiedział:

– Bardzo ładnie.

– Burke... – Podniosła na niego wzrok.

Obrócił się i zobaczył, że Peterson nadal trzyma mechanizm detonujący. Odezwała się, ale odnosił wrażenie, że nie mówi do niego.

– Zegar chodzi, widzisz? A baterie nie mogły nawalić wszystkie naraz... Połączenia były mocne... są cztery oddzielne detonatory... ale one nigdy... – Wyglądała niemal na przerażoną, jak gdyby wszystkie prawa fizyczne wszechświata, w które wierzyła, zostały pogwałcone.

– Ale ty... – zająknął się – ty byłaś...

– Nie. To właśnie chcę ci powiedzieć. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Spóźniłam się o jakieś dwie sekundy. Budzik zadzwonił. Słyszałam, jak dzwoni, Burke... naprawdę słyszałam. Potem odniosłam niesamowite wrażenie... jakby czyjaś obecność. Wiesz, pomyślałam, że nie żyję i że to nie jest takie złe. Ludzie gadają... w naszym zawodzie mówi się, że podczas pracy siedzi ci na ramieniu anioł, wiesz? Boże wszechmogący, ze mną był ich cały hufiec.

KSIĘGA SZÓSTA

RANO, 18 MARCA

*Zielony goździk zsechł,
niczym objęty tchnieniem leśnego pożaru.*

G.K. Chesterton

Gdy Burke wyszedł przez ceremonialne drzwi na dwór, oślepiło go blade, zimowe słońce. Nagromadzony przez noc lód topiąc się, spływał z dachów i chodników, po schodach katedry i ściekał wodą na pokryte śmieciem ulice. Na najniższym stopniu Burke ujrzał ręcznie namalowany napis, który fenianie przyczepili do frontowych drzwi, przedarty na pół, z literami rozmazanymi na nasiąkniętym wodą kartonie. Plama zielonej farby pozostawiona przez rzuconą z tłumu butelkę rozmywała się na granicie, a długi, ledwie widoczny szlak krwi zabitego konia prowadził w dół Alei. Burke pomyślał, że gdyby ktoś nie widział tego na własne oczy, nie byłby w stanie powiedzieć, co to jest.

Łagodny południowy wietrzyk strącił lód z nagich drzew wzdłuż alei, a w oddali odezwały się kościelne dzwony. Karetki, pojazdy policyjne i limuzyny przejeżdżały przez migoczące w słońcu kałuże, rozpryskując wodę na boki, a plutony policjantów z oddziałów taktycznych i żołnierzy Gwardii Narodowej maszerowały ulicami, podczas gdy konni policjanci, przysypiający na swoich wierzchowcach, krążyli bez wyraźnego celu po okolicy. Burke zauważył, że wielu z nich nosiło czarne wstążki na swoich odznakach, większość urzędników miejskich miała czarne opaski na rękach, a znaczna część flag wzdłuż alei opuszczona była do połowy masztu, jak gdyby wszystko to zostało już dawno temu opracowane, przygotowane, przewidziane.

Burke usłyszał jakiś hałas na północnym tarasie i ujrzał procesję księży i wiernych kończącą zataczanie kręgu wokół murów katedry, a wiedzioną przez kardynała w białej stule. Uczestnicy procesji stanęli na wyciągnięcie ręki od drzwi frontowych i kardynał zaintonował:

– „Pokrop mnie hizopem, a będę oczyszczony; Obmyj mnie, a ponad śnieg bielszy się stanę.”

Burke stał kilka jardów od nich, wsłuchując się w odprawiany rytuał rekonyliacji sprofanowanego kościoła. Przyglądał się kardynałowi kropiącemu wodą święconą mury przy wtórze modlitw wiernych i zastanawiał się, jakim sposobem tak rzadki rytuał przeprowadzony mógł być tak szybko i z taką iście rzymską precyzją. Potem zrozumiał, że kardynał i inni musieli rozmyślać o tym przez całą noc, tak jak urzędnicy miejscy uczyli się na pamięć swoich kwestii w trakcie tych długich, mrocznych godzin. On sam nigdy nie wybiegał myślami daleko poza szóstą zero trzy, co było jedną z przyczyn, dla których nigdy nie zostanie ani burmistrzem, ani arcybiskupem Nowego Jorku.

Procesja przeszła parami przez portal i mijając strzaskane ceremonialne wrota, wkroczyła do katedry. Burke zdjął kamizelkę kuloodporną i rzucił ją na ziemię, potem wrócił powoli na róg Pięćdziesiątej Ulicy i usiadł na stopniach w plamie bladego światła słonecznego. Oplótł dłońmi kolana i oparł o nie głowę, zapadając w półsen.

Kardynał kroczył na czele długiego szeregu księży. Ponad morzem poruszających się głów zakrystian niósł wysoki, złoty krzyż. Chór głosów odmawiał miarowym rytmem „Litanię do wszystkich świętych”, podczas gdy procesja przekraczała furtkę w balaskach.

Wszyscy zgromadzili się w centrum prezbiterium, gdzie oczekiwał ich prałat Downes. Z ołtarza zabrano wszystkie przedmioty o naturze religijnej, przygotowując go na zakończenie rytuału oczyszczenia, a policyjni fotografowie i specjaliści z laboratorium kryminalistyki kończyli pospiesznie swoją pracę. Zgromadzeni ucichli, spoglądając na zbryzgane krwią prezbiterium i ołtarz. Potem głowy poczęły się obracać ku zranionej katedrze i kilka osób zapłakało, nie kryjąc swych łez.

Głos kardynała przerwał ten pokaz uczuć.

– Będzie na to dość czasu później.

Zwrócił się do dwóch księży:

– Idźcie do bocznych krucht, dokąd zabrano zabitych, i pomóżcie kapelanom policyjnym i wojskowym. Niech ciało ojca Murphy’ego zanoszą na plebanie – dodał.

Dwaj księża się oddalili. Kardynał spojrział na zakrystian i zatoczył dłonią krąg obejmujący całe prezbiterium.

– Gdy policja skończy tu pracę, przygotujcie prezbiterium do mszy, która zostanie odprawiona na zakończenie oczyszczenia. Goździki niech zostaną – dorzucił.

Obrócił się do prałata Downesa i odezwał się do niego po raz pierwszy:

– Dziękuję ci za twoje modlitwy i starania podczas tej próby.

Prałat Downes opuścił głowę i odparł cicho:

– Ja... prosili mnie, bym usankcjonował akcję ratunkową... ten atak...

– Wiem. – Kardynał się uśmiechnął. – Niejednokrotnie podczas tej nocy dziękowałem Bogu, że to nie ja muszę zmagać się z tymi... pytaniami. – Obrócił się i stanął zwrócony twarzą w stronę długiego, szerokiego pola ławek. – Bóg powstaje, Jego wrogowie są rozproszeni, a ci, którzy Go nienawidzą, uciekają przed Nim.

Schroeder wszedł chwiejnie po schodach katedry z bandażem kryjącym lewą stronę jego bladej jak kreda twarzy. Eskortowany był przez lekarza i kilku policjantów z Patrołu Taktycznego.

Burmistrz Kline podbiegł do Schroedera z wyciągniętą ręką:

– Bert, tutaj! Przyprawdźcie go tutaj, ludzie!

Kilku reporterów, których przepuszczono przez kordon, opadło Schroedera. Terkotały kamery, podtykano mu pod usta mikrofony. Burmistrz Kline potrząsał dłonią Schroedera w górę i w dół, potem objął go i korzystając z tej okazji, wyszeptał przez zaciśnięte zęby:

– Uśmiechnij się, do cholery, i wyglądaj jak bohater.

Schroeder robił wrażenie oszołomionego i zdezorientowanego. Jego spojrzenie powędrowało ponad otaczającym go tłumem w stronę katedry i zatrzymało się na niej. Po chwili rozejrzał się po wykrzykujących coś w podnieceniu ludziach i pojął, że przeprowadzają z nim wywiad.

– Kapitanie – zawołał jakiś reporter – czy to prawda, że zalecił pan atak na katedrę?

Schroeder nie odpowiedział i wyręczył go Kline, mówiąc podniesionym głosem:

– Tak, operację ratunkową. To zalecenie zostało zatwierdzone przez sztab kryzysowy złożony ze mnie, gubernatora, prałata Downesa, inspektora Langleya z wywiadu oraz nieodżałowanego kapitana Belliniego. Dane wywiadowcze wskazywały, że terroryści zamierzali zmasakrować zakładników i zniszczyć katedrę. Wielu z nich było niezrównoważonych psychicznie, jak pokazują to nasze kartoteki. – Powiódł wzrokiem po każdym reporterze z osobna. – Nie było innego wyjścia.

– Kim właściwie był major Martin? – zapytał inny reporter. – Jak zginął?

Uśmiech Kline'a zgasł jak zdmuchnięty.

– To jest przedmiotem dochodzenia.

Kline został zasypany gradem pytań, zignorował je jednak i objął mocno ramieniem Schroedera, mówiąc:

– Kapitan Schroeder odegrał ważną rolę, utrzymując terrorystów w nieświadomości, podczas gdy kapitan Bellini przygotowywał plan operacji ratunkowej wspólnie z Gordonem Stillwayem, architektem katedry Świętego Patryka. – Skinął głową w stronę Stillwaya, który stał samotnie, badając frontowe drzwi i robiąc notatki w małym notesie. Ponurym tonem dodał: – Mogło dojść do znacznie większej tragedii... – Głośne „Te Deum” zaczęło rozbrzmiewać z dzwonnicy i Kline wskazał na wznoszącą się za nim katedrę. – Katedra stoi!

Kardynał, sir Harold Baxter i Maureen Malone żyją. Za to dziękować winniśmy Bogu. – Pochylił głowę, po odpowiednio długiej przerwie podniósł wzrok i oznajmił z naciskiem: – Ta akcja ratunkowa zakończyła się korzystnie w porównaniu z podobnymi akcjami humanitarnymi przeciwko terrorystom, przeprowadzonymi na całym świecie.

Jeden z reporterów zwrócił się bezpośrednio do Schroedera:

– Kapitanie, czy ten Flynn i ten drugi, Hickey, byli wymagającymi przeciwnikami podczas negocjacji?

– Wymagającymi...? – Schroeder podniósł wzrok.

Burmistrz Kline wepchnął rękę pod ramię Schroedera i potrząsnął nim.

– Bert?

Schroeder rozejrzał się dziko dookoła.

– Och... tak, tak, zalecałem... nie, nie bardziej wymagający niż... proszę mi wybaczyć, nie czuję się najlepiej... przepraszam... – Wyrwał się z uchwytu burmistrza i oddalił pospiesznie wzdłuż schodów.

Reporterzy odprowadzili go wzrokiem, a potem powrócili do Kline'a i zaczęli wypytywać go na temat liczby zabitych po obu stronach. Kline wszakże unikał jednoznacznych odpowiedzi. Uśmiechnął się i wyciągnął rękę, wskazując coś ponad głowami otaczających go ludzi.

– O, gubernator idzie przez ulicę. – Zamachał ręką. – Gubernatorze Doyle! Prosimy do nas!

Dan Morgan stał przy oknie z oczami utkwionymi w ekran telewizora ukazujący schody do katedry, uśmiechniętych reporterów, policjantów i urzędników miejskich. Terri O'Neal siedziała ubrana na łóżku z podwiniętymi nogami. Żadne z nich nie odezwało się ani nie poruszyło.

Kamera zatrzymała się na burmistrzu i Schroederze, a niewidoczny reporter wygłaszał komentarz na temat zabandażowanej szczęki Schroedera.

– Wygląda na to, że nie zrobił tego, o co go poproszono – rzekł w końcu Morgan.

– To dobrze – odparła Terri O'Neal.

Morgan westchnął głęboko i podszedł do skraju łóżka.

– Wszyscy moi przyjaciele zginęli i nic dobrego z tego nie wynikło. Terri O'Neal nie odrywając wzroku od telewizora, zapytała zdławionym szeptem:

– Zamierzasz zabić...?

Morgan wyciągnął pistolet zza pasa.

– Nie. Jesteś wolna. – Położył dłoń na jej ramieniu, kierując tłumik w tył jej głowy.

Terri ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać.

– Przyniosę twój płaszcz... – Powoli zaczął ściągać spust.

Terri opuściła nagle ręce i odwróciła się. Spoglądała prosto w lufę pistoletu.

– Och... nie...

Gdy ich spojrzenia się spotkały, dłoń Morgana zdrząła. Wylot tłumika otarł się o jej policzek, a potem Morgan szarpnięciem cofnął pistolet i wepchnął go za pas.

– Dosyć już zabijania na dzisiaj – powiedział.

Odwrócił się i wyszedł z sypialni. Terri usłyszała, jak otwierają się i zatraskują drzwi wyjściowe. Odszukała pozostawione przez Morgana papierosy, zapaliła jednego i wróciła przed telewizor.

– Biedny tato.

Burke poruszył się niespokojnie wyrwany z krótkiego snu dobiegającym zewsząd hałasem i pulsującym bólem w plecach. Potarł powieki i stwierdził, że zranione oko znów widzi, choć niewyraźnie. Całe jego ciało wydawało mu się obce – bez czucia byłoby lepszym określeniem, zdecydował, bez czucia z wyjątkiem tych fragmentów, które przeszywał ból. Także umysł był otępiały i zasnuty mgiełką falującą niespiesznie w otaczającym go słonecznym blasku. Podniósł się chwiejnie, spojrzał na zatłoczone schody i zamrugał. Bert Schroeder i Murray Kline stali w centrum rozentuzjasmowanej grupki ludzi. Uświadomił sobie, że dokładnie tak by to sobie wyobraził, gdyby pozwolił sobie na marnowanie czasu rozmyślaniami o świcie. Schroeder otoczony przez prasę, Schroeder – wzór opanowania, odpowiadający na pytania jak na zawodowca przystało – lecz gdy tak patrzył, dostrzegł, że negocjator nie radzi sobie dobrze. Nagle wyrwał się i ruszył szybko przez schody, przeciskając przez grupki ludzi niczym skonany maratończyk. Gdy go mijał, Burke zawołał:

– Schroeder!

Lecz on zdawał się nie słyszeć i dalej podążał ku wygiętemu w łuk portalowi południowej kruchty. Burke dogonił go i chwycił za rękę.

– Poczekaj. – Schroeder starał się uwolnić, ale Burke pchnął go na kamienną przyporę. – Posłuchaj! – Ściszył głos. – Wiem o Terri...

Schroeder spojrzał na niego szeroko rozwartymi oczami.

– Martin nie żyje – ciągnął Burke – wszyscy fenianie nie żyją albo są umierający. Musiałem powiedzieć Belliniemu... ale on też nie żyje. Langley wie, ale Langley nie zdradza tajemnic, jedynie każe ci je wykupić w odpowiednim momencie, jasne? Więc zamknij twarz i nie panikuj. – Puścił jego ramię.

Do oczu Schroedera napłynęły łzy.

– Burke... Boże miłosierny... czy ty rozumiesz, co ja uczyniłem...?

– Tak... tak, rozumiem i naprawdę chciałbym wpakować cię na dwadzieścia lat do pierdła, ale niczego by to nie zmieniło... nie pomogłoby to Departamentowi i nie pomogłoby ani mnie, ani Langleyowi. A już na pewno nie pomogłoby to twojej żonie i córce. – Przynął się do Schroedera. – I nie strzelaj sobie w łeb... to grzech, wiesz? Trzymaj się tej roboty dalej. Ktoś załatwi to za ciebie.

Schroeder odzyskał głos i powiedział:

– Nie... Zamierzam odejść... zrezygnować... wyznać... złożyć publiczne...

– Będziesz trzymał swoją cholerną gębę zamkniętą na kłódkę. Nikt, ani ja, ani Kline, ani Rourke, ani prokurator okręgowy, ani nikt inny, nie chce wysłuchiwać twoich pieprzonych wyznań. Narobiłeś dość kłopotów, teraz się uspokój.

Schroeder zwiesił głowę i wyszeptał:

– Burke... Pat... dziękuję...

– A odpieprz się. – Burke spojrział na drzwi za jego plecami. – Wiesz, co jest w tej kruchcie?

Schroeder pokręcił przecząco głową.

– Trupy. Mnóstwo trupów. Kostnica polowa. Wejdź tam i pogadaj z tymi trupami, powiedz parę słów Belliniemu, wejdź do katedry i wypowiadaj się albo zrób cokolwiek, co pomoże ci przetrwać następne dwadzieścia cztery godziny.

Burke otworzył drzwi, wziął Schroedera za ramię i wepchnął go do kruchty, zamykając za nim drzwi. Przez długą chwilę wlepił wzrok w chodnik, potem odwrócił się na dźwięk swego nazwiska i ujrzał spieszącego ku niemu po schodach Langleya. Langley zrobił gest, jakby chciał podać mu rękę, ale zaraz rozejrzał się szybko na boki i cofnął dłoń.

– Ma pan małe kłopoty, poruczniku – rzekł chłodno.

– Dlaczego? – Burke zapalił papierosa.

– Dlaczego? – Langley ściszył głos i pochylił się do przodu. – Zepchnąłeś z chóru katedry Świętego Patryka urzędnika konsulatu brytyjskiego, dyplomatę, powodując jego śmierć. Oto dlaczego.

– On spadł.

– Oczywiście, że spadł, ale ty go popchnąłeś. Co mógł innego zrobić, jak nie spaść? Przecież nie umiał latać. – Przesunął dłonią po ustach i Burke pomyślał, że Langley chce ukryć uśmiech. Inspektor opanował się jednak i stwierdził sucho: – To było bardzo głupie, zgodzisz się chyba?

Burke wzruszył ramionami. Roberta Spiegel precyzyjnie się niezauważenie przez tłum na schodach i stanęła w portalu, zatrzymując się obok Langleya. Zmierzyła obu mężczyzn spojrzeniem i zwróciła się do Burke'a:

– Boże wszechmogący, na oczach czterdziestu policjantów i gwardzistów! Jesteś szalony?

– Właśnie pytałem go, czy jest głupi – oznajmił Langley – ale to także jest dobre pytanie.

– Obrócił się do Burke'a. – No więc, jesteś głupi czy szalony?

Burke usiadł, opierając się plecami o kamienny mur i wpatrzył się w unoszący się do góry dym ze swojego papierosa. Ziewnął dwukrotnie.

– Zostaniesz aresztowany za morderstwo – rzekła Spiegel złowieszczym tonem. – Dziwię się, że jeszcze cię nie zgarnęli.

Burke podniósł wzrok i spojrzał na nią.

– Nie zgarnęli mnie, bo ty im zabroniłaś. Ponieważ chcesz się przekonać, czy Pat Burke pójdzie spokojnie, czy będzie wierzgać i wrzeszczeć.

Spiegel nie odpowiedziała.

– Dobra, sprawdźmy, czy ja też umiem grać w tę grę. – Burke spojrzał na nich. – Dane osobowe Bartholomew Martina z naszej kartoteki: cierpiał na zawroty głowy i lęk wysokości... A może tak: dwudziestu świadków, sami policjanci, podpisują zaprzysiężone oświadczenia, że Martin chciał zabić muchę i się potknął... nie, nie, już wiem...

– Ten człowiek był urzędnikiem konsularnym... – przerwała mu Spiegel.

– Gównu.

– Nikt nie zdoła tego załatwić, poruczniku. – Spiegel pokręciła głową.

Burke oparł się wygodnie o ścianę i ziewnął ponownie.

– To ty jesteś panią Załatwto w tym mieście, paniusiu, a więc to załatw. A gdy już będziesz się tym zajmować, załatw dla mnie przy okazji list pochwalny i pensję kapitana. Na jutro. Twarz Spiegel poczerwieniała.

– Grozisz mi? – Ich oczy się spotkały i żadne z nich nie odwróciło głowy. – A ktoś uwierzy w twoją wersję czegokolwiek z tego, co dyskutowane było dzisiejszej nocy?

Burke zgniół papierosa.

– Schroeder, który jest teraz bohaterem, potwierdzi wszystko, co powiem.

– To absurd. – Spiegel się roześmiała.

Langley odchrząknął i powiedział do Spiegel:

– Tak się składa, że to prawda. Długo by opowiadać... Uważam, że porucznik Burke zasługuje... eee, na wszystko, na co uważa, że zasługuje.

Spiegel spojrzała uważnie na Langleya, a potem odwróciła się na powrót do Burke'a.

– Masz coś na Schroedera, tak? Dobra, ja nie muszę wiedzieć, co to jest. Nie chcę wiedzieć, jak dyndasz, Burke. Zrobię, co w mojej mocy.

– Wydział Fałszerstw Dziel Sztuki, pamiętasz? – przerwał jej Burke. – Jutro o tej porze mógłbym być już w Paryżu.

– Wydział Fałszerstw Dziel Sztuki? – Spiegel się zaśmiała. – A co, u licha, ty wiesz o sztuce?

– Wiem, co mi się podoba.

– To prawda – wtrącił Langley. – On wie. – Wyciągnął rękę do Burke'a. – Spisał się pan doskonale dziś w nocy, poruczniku. Wydział jest z pana bardzo dumny.

Burke chwycił jego dłoń i wykorzystał ją, by się podnieść.

– Dziękuję panu, nadinspektorze. Będę oczyszczony. Obmyj mnie, a ponad śnieg bielszy się stanę.

– No, po prostu damy ci list pochwalny czy coś takiego...

– Po jaką cholere zadaję się z glinami i policjantami? – Spiegel zapaliła papierosa. – Boże, wolałabym raczej przespacerować się po Times Square⁴³.

– Tak myślałem, że gdzieś cię widziałem – zauważył Burke.

Spiegel zignorowała go i omiotła wzrokiem schody oraz aleję.

– Gdzie, u cholery, jest Schroeder? Widzę mnóstwo kamer, ale nie ma przed żadną z nich uśmiechniętego Berta. A może jest już w studiu telewizyjnym?

– Jest w katedrze – odparł Burke. – Modli się.

Spiegel przez chwilę spoglądała na niego, nie pojmując, a później kiwnęła szybko głową.

– To nam zrobi bardzo dobrą prasę. Oj, tak. Wszyscy próbują wepchnąć się przed kamery, a on siedzi w środku i się modli. Złapią to jak nic. O, kurde... mogłabym przepchnąć tego skurwiela przez wybory na radnego w Bensonhurst...

Sanitariusze zaczęli wynosić zabitych z katedry długą, milczącą procesją przez drzwi południowej kruchty i schodami w dół. Nosze z ciałami policjantów i gwardzistów przechodziły przed pospiesznie zgromadzoną wartą honorową, zwłoki fenian transportowano z tyłu. Wszyscy obecni na schodach zamilkli. Policjanci i wojskowi kapelani kroczyli obok noszy, a umundurowany inspektor policji ze złotymi galonami kierował sanitariuszy do odpowiednich karetek. Zwłoki fenian składane były na chodniku.

Burke przeszedł między noszami i znalazł tabliczkę z napisem: Bellini. Odciągnął prześcieradło i spojrzał na jego twarz. Była wytarta z farby maskującej – niezwykle blada twarz o twardej szczęce i czarnej szczecinie. Podciągnął z powrotem prześcieradło i szybko cofnął się kilka kroków, opierając dłonie na biodrach i wlepiając wzrok w ziemię.

Dzwony skończyły „Te Deum” i wygrywać poczęły powolną pieśń pogrzebową. Gubernator Doyle stał wśród swojej świty z kapeluszem w dłoni. Major Cole stał obok niego, salutując. Gubernator zwrócił się ku Cole’owi i odezwał się, pochylając na znak szacunku głowę:

– Ilu stracił Sześćdziesiąty Dziewiąty, majorze?

Cole spojrzał na niego krzywo, pewien, że w głosie gubernatora wychwycił nutkę nadziei.

– Pięciu zabitych, sir, w tym oczywiście pułkownik Logan. Trzech rannych.

– Spośród jak wielu?

Cole oderwał dłoń od czapki i spojrzał na gubernatora.

– Spośród osiemnastu ludzi biorących bezpośredni udział w ataku.

– W akcji ratunkowej... taak... – Gubernator kiwnął w zamyśleniu głową. – Straszne. Pięćdziesiąt procent strat.

– No, nie całkiem pięć...

– Ale uratowaliście dwoje zakładników.

– Tak naprawdę to sami się uratowali...

⁴³ Times Square – plac na Manhattanie na skrzyżowaniu Broadwayu i Siódmej Alei, chętnie uczęszczany przez prostytutki (*przyp. tłum.*).

– Sześćdziesiąty Dziewiąty Pułk Gwardii Narodowej potrzebować będzie nowego dowódcy, Cole.

– Tak... to prawda.

Ostatni policjanci i gwardziści zostali złożeni w karetkach i sznur pojazdów skierował się w dół alei eskortowany przez policyjne motocykle. Czarna furgonetka podjechała do krawężnika, a czekająca na chodniku grupa sanitariuszy podniosła nosze z zabitymi fenianami i podążyła w jej stronę. Stojący obok furgonetki oficer z sekcji wywiadu zaszalutował podchodzącemu doń Langleyowi i wręczył mu mały plik złożonych papierów, mówiąc:

– Prawie wszyscy mieli przy sobie kartki z personaliami, inspektorze. A tu jest wstępny raport o każdym z nich. – Mężczyzna zawahał się i dodał: – Znaleźliśmy też w środku plany ataku ESD. Jakim cudem...

Langley zabrał luźne kartki i wepchnął je do kieszeni.

– Tego nie dołączajcie do waszego raportu.

– Tak jest.

Langley podszedł do Burke'a, który znów siedział pod portalem, spoglądając na stojącą przed nim Spiegel.

– Gdzie Malone i Baxter? – zapytał Burke.

– Nadal przebywają w katedrze, dla własnego bezpieczeństwa – odparła Spiegel. – Na zewnątrz wciąż mogą być snajperzy. Baxter czeka w arcybiskupiej zakrystii, dopóki nie przekazemy go jego ludziom. Malone jest w poczekalni. FBI się nią zajmie.

– Gdzie ciało Flynna?

Nikt nie odpowiedział, a potem Spiegel przyklękła na stopniu obok Burke'a.

– Jeszcze nie umarł. Leży w księgarni.

– To gdzieś w Bellevue? – zapytał Burke.

Spiegel zawahała się ledwie dostrzegalnie, nim odpowiedziała:

– Doktor powiedział, że zostało mu tylko parę minut... a więc nie ruszaliśmy go.

– Mordujecie go – rzekł Burke. – Więc nie wciskajcie mi tego gówna, że nie możecie go przetranszować.

– Wszyscy po obu stronach Atlantyku pragną jego śmierci, Burke. – Spiegel spojrzała mu prosto w oczy. – Tak jak wszyscy pragnęli śmierci Martina. Nie zaczynaj umoralniającej gadki...

– Przewieźcie go do Bellevue – powiedział Burke.

– Wiesz, że nie możemy tego teraz zrobić. – Langley spojrzał na niego ostro. – On wie za dużo, Pat. O Schroederze... o innych sprawach... I jest niebezpieczny. Choć raz ułatwmy sobie życie, co?

– Rzućmy na niego okiem – zasugerował Burke.

Spiegel zawahała się, potem wstała.

– Chodźmy.

Weszli do katedry i przeszli przez południową kruchtę, której podłogę zaścielały pozostałości polowej kostnicy, ledwie wyczuwalnie cuchnące czymś nieprzyjemnym – mieszaniną zapachów, którą każde z nich zidentyfikowało w końcu jako woń śmierci.

Rozpocząła się msza i umieszczone na górze organy grały pierwszą melodię. Burke spojrzął na promienie słoneczne wpadające przez wybite okna. Spodziewał się, że światło zmniejszy czar misterium, lecz w rzeczywistości jego wpływ był jeszcze bardziej uduchowiający niż blask świec.

Skręcili w prawo, w kierunku księgarni. Dwaj funkcjonariusze ESD blokowali wejście, ale zaraz usunęli się na bok. Spiegel weszła do małego sklepiku, za nią Burke i Langley. Oparła się o ladę i spojrzała na podłogę. Brian Flynn leżał w wąskim przejściu z zamkniętymi oczami, jego pierś opadała i podnosiła się powolnym rytmem.

– Nie daje łatwo za wygraną – powiedziała, przyglądając mu się przez parę sekund. – Przystojny mężczyzna... musiał mieć także dużo charyzmy. Niewielu jemu podobnych rodzi się na tym nędznym świecie... W innym czasie i miejscu byłby może... kimś innym... Niewiarygodne marnotrawstwo...

Burke przeszedł za ladę i ukucnął przy Flynnie. Podniósł jego powieki, przytknął ucho do piersi i zmierzył palcami puls.

– Płyn w klatce piersiowej... serce słabnie... ale to może jeszcze trochę potrwać...

Nikt się nie odezwał. Wreszcie Spiegel rzekła:

– Nie mogę tego zrobić... Wezwę noszowych.

Usta Flynnna poczęły się poruszać i Burke przysunął ucho do jego twarzy.

– Tak, dobrze – powiedział i obrócił się do Spiegel. – Daj sobie spokój z noszowymi... chce rozmawiać z nią.

Maureen Malone siedziała spokojnie w poczekalni, podczas gdy cztery policjantki na próżno próbowały podtrzymać rozmowę.

Roberta Spiegel otworzyła drzwi i mierzyła ją przez sekundę wzrokiem, a potem rzuciła ostro:

– Proszę ze mną.

Maureen wydawała się nie słyszeć i dalej siedziała nieruchomo.

– On chce panią widzieć – powiedziała Spiegel.

Maureen podniosła głowę i spojrzenia obu kobiet spotkały się. Wstała i podążyła za Spiegel. Pospiesznie przeszły wzdłuż ściany nawy głównej, przecinając ją na wysokości krucht. Gdy weszły do księgarni, Langley omiół Maureen taksującym spojrzeniem, a Burke skinął jej głową. Obaj mężczyźni opuścili pomieszczenie.

– Tam – powiedziała Spiegel, wyciągając rękę. – Proszę się nie spieszyć. – Odwróciła się i wyszła.

Maureen przeszła za ladę i przyklękła obok Flynna. W milczeniu ujęła jego dłonie w swoje ręce. Spojrzała przez szklaną ladę, stwierdziła, że pozostawiono ich samych, i zrozumiała. Ścisnęła dłonie Flynna, czując, jak ogarnia ją przytłaczające uczucie żalu i litości dla niego, uczucie, jakiego nigdy przedtem w stosunku do niego nie żywiła.

– Och, Brian, taki samotny... zawsze samotny...

Flynn otworzył oczy. Pochyliła się nad nim, tak że ich twarze znalazły się bardzo blisko siebie, i rzekła:

– Jestem tutaj.

Po jego oczach stwierdziła, że ją rozpoznaje.

– Chcesz księdza?

Potrząsnął głową. Poczula słaby uścisk jego dłoni i odwzajemniła go.

– Umierasz, Brian, wiesz o tym, prawda? A oni zostawili cię, żebyś tu umarł. Dlaczego nie chcesz porozmawiać z księdzem?

Spróbował przemówić, ale nie rozległ się żaden dźwięk. A jednak wydawało się jej, że wie, co chce powiedzieć i o co ją prosić. Opowiedziała mu o śmierci fenian, łącznie z Hickeyem i Megan, bez wahania opowiedziała mu o śmierci ojca Murphy'ego, o tym jak przeżyli kardynał, Harold Baxter, Rory Devane i sama katedra, i o bombie, która nie wybuchła. W miarę jak mówiła, na jego twarzy odmalowywały się emocje.

– Martin też nie żyje – dodała. – Mówią, że porucznik Burke zepchnął go z chóru i że Leary był człowiekiem Martina... Słyszysz mnie?

Flynn skinął głową.

– Wiem, że nie żal ci tego, że umierasz... ale mnie tak... i to bardzo... Nadal cię Kocham... Czy nie zgodzisz się, dla mnie, porozmawiać z księdzem, Brian?

Flynn otworzył usta i Maureen pochyliła się jeszcze bardziej.

– ...ksiądz...

– Tak... Zaraz jakiegoś zawołam.

Flynn potrząsnął głową i ścisnął jej dłonie. Ponownie pochyliła się nad nim. Jego głos był ledwie słyszalny.

– Ksiądz... ojciec Donnelly... tutaj...

– Co...?

– Przyszedł tutaj... – podniósł prawą rękę – ...odebrał pierścień...

Spojrzała na jego dłoń i stwierdziła, że pierścień zniknął. Popatrzyła na jego twarz i zauważyła, że wreszcie widnieje na niej spokój i nie ma nawet śladu tego, co wyciskało na niej piętno przez te wszystkie lata.

Flynn otworzył oczy i spojrzał na nią z wytężeniem.

– Widzisz...? – Ponownie dotknął jej dłoni i ujął je mocno.

– Tak... nie... nie, nie widzę, ale nigdy nie widziałam, a ty zawsze byłeś taki pewien siebie, Brian... – Poczuli, że jego uchwyt rozluźnia się, spojrzęła na niego i zobaczyła, że nie żyje. Zamknęła mu oczy i pocałowała go, a potem wzięła głęboki oddech i wstała.

Burke, Langley i Spiegel stali na krawężniku na rogu Piątej Alei i Pięćdziesiątej Ulicy. Wydział Oczyszczania Miasta zmobilizował wszystkie swoje siły i ludzie w szarych kombinezonach kręcili się pomiędzy ludźmi w niebieskich mundurach. Wielkie stosy śmiecia, głównie jasnozielonej barwy, rosły przy krawężnikach. Kordon policyjny, który odgradzał dwadzieścia cztery kwartały, zacisnął się i poranny ruch wypełniać zaczął okoliczne ulice.

Żadne z trojga nie odzywało się przez jakiś czas. Spiegel odwróciła się i przyglądała słońcu wznoszącemu się nad wysokimi budynkami na wschodzie. Obejrzała fasadę katedry i rzekła:

– W szkole zwykłam uczyć, że pewnego dnia wszystkie święta mieć będą podwójne znaczenie. Myślę o Jom Kipur, Tet⁴⁴, myślę o Chrystusie przybywającym do Jerozolimy na święto Paschy. A po powstaniu wielkanocnym tysiąc dziewięćset szesnastego roku ten dzień w Irlandii nigdy nie był już ten sam. Stał się świętem innego rodzaju, o odmiennym znaczeniu, odmiennych skojarzeniach, tak jak Dzień Świętego Walentego w Chicago⁴⁵. Mam przecucie, że Dzień Świętego Patryka w Nowym Jorku też nigdy nie będzie już taki jak niegdyś.

Burke spojrzął na Langleya.

– Ja nawet nie lubię dzieł sztuki. Co mnie obchodzi, czy ktoś je fałszuje?

Langley uśmiechnął się i rzekł:

– Nie zapytałeś mnie o ten list z trumny Hickeya.

Burke wziął od Langleya kartkę papieru i przeczytał głośno:

– „Jeżeli czytacie teraz ten list, znaczy to, że przejrzeście mnie. Chciałem spędzić moje ostatnie dni w samotności i spokoju, odłożyć miecz i zaprzestać walki. Z drugiej strony, jeżeli nadarzy się dobra okazja... W każdym razie nie chowajcie mnie tutaj. Pogrzebcie mnie w ziemi Clonakilty obok mego ojca i matki.”

W milczeniu wszyscy rozglądali się naokoło w poszukiwaniu czegoś, co przyciągnęłoby ich uwagę. Langley dostrzegł samochód-kantynę PBA zaparkowaną przy zdemolowanym wozie dowodzenia. Odchrząknął i odezwał się do Roberty Spiegel:

– Przynieść ci kubek kawy?

– Pewnie. – Uśmiechnęła się i wzięła go pod rękę. – I daj mi papierosa.

Burke odprowadził ich wzrokiem, potem stanął samotnie na chodniku. Pomyślał, że zdążyłby na koniec mszy, lecz później zdecydował się zgłosić w nowym wozie dowodzenia

⁴⁴ Jom Kipur – święto żydowskie, w 1967 roku w dzień Jom Kipur wybuchła wojna arabsko-izraelska; Tet – główne święto religijne Wietnamu; w 1968 roku wojska Wietnamu Północnego przeprowadziły nieoczekiwaną ofensywę na pozycje amerykańskie i południowowietnamskie (*przyp. tłum.*).

⁴⁵ W 1929 roku w Dzień Świętego Walentego doszło w Chicago do krwawych porachunków mafijnych (*przyp. tłum.*).

po drugiej stronie ulicy. Ruszył w tamtą stronę, ale odwrócił się, słysząc charakterystyczny dźwięk.

Koń prychał głośno, gęste kłęby pary buchały z jego nozdrzy. Betty Foster powiedziała:

– Cześć! Tak myślałam, że nic ci nie będzie.

Burke odsunął się od ognistego wierzchowca.

– Naprawdę?

– Pewnie. – Ściągnęła konia, zatrzymując go przy nim. – Burmistrz cię zdenerwował?

– Ten idiota... ach, koń. Skąd ty bierzesz te imiona?

– Podrzucić cię gdzieś? – zapytała śmiejąc się.

– Nie... Muszę być w pobliżu...

– Dlaczego? – Wychyliła się z siodła. – To koniec. Koniec, poruczniku. Nie musisz więcej być w pobliżu.

Burke spojrzał na nią. Jej oczy były przekrwione i podkrążone, lecz migotała w nich brawura przemieszana z determinacją, wywołana, jak przypuszczał, szaleństwem tej długiej nocy, i stwierdził, że tym razem nie będzie w stanie szybko jej splawić.

– Tak, podrzucić mnie.

Foster wysunęła stopę ze strzemienia, pochyliła się i wciągnęła go za siebie.

– Dokąd?

Burke objął ją mocno w talii.

– A dokąd zwykle jeździsz?

Zaśmiała się ponownie i zawróciła koniem w miejscu.

– Dalej, poruczniku, czekam na rozkaz.

– Paryż – powiedział Burke. – Jedźmy do Paryża.

– Jak chcesz. – Kopnęła konia piętami. – Wio, Burmistrzu!

Maureen Malone potarła oczy w świetle słońca, wychodząc przez północną kruchę w asyście ludzi z FBI z samym Douglasem Hoganem na czele! Hogan wskazał na czekającego na rogu cadillaca-limuzynę.

Harold Baxter wyszedł przez drzwi południowej kruchty otoczony przez agentów bezpieczeństwa z konsulatu. Srebrnoszary bentley zatrzymał się przy krawężniku.

Maureen zeszła po schodach w stronę cadillaca i poprzez tłum dostrzegła Baxtera. Reporterzy zaczęli gromadzić się najpierw wokół Baxtera, później wokół niej, i jej eskorta używając łokci, przepychała się przez ścisk. Maureen wyrwała się Hoganowi i stanęła na palcach, rozglądając się za Baxterem, lecz ten odjechał już pod eskortą motocyklistów. W milczeniu usiadła z tyłu limuzyny, podczas gdy agenci zajęli miejsca naokoło niej, zatrzasnąwszy drzwi. Hogan oznajmił:

– Zabieramy panią do prywatnego szpitala.

Nie odpowiedziała i samochód ruszył. Spojrzała na swoje dłonie pokryte krwią Flynnna w miejscu, gdzie ją trzymał.

Limuzyna wyjechała na środek zatłoczonej alei i Maureen spojrzała przez okno na katedrę, pewna, że nigdy już jej nie ujrzy. Nagle jakiś mężczyzna pobiegł za jadącym powoli pojazdem, przyciskając do okna kartę identyfikacyjną. Hogan opuścił okno o kilka cali. Mężczyzna odezwał się z brytyjskim akcentem:

– Panno Malone. – Podał przez okno pojedynczy zielony goździk. – Od sir Harolda, proszę pani. – Maureen wzięła kwiat, a mężczyzna zasalutował za oddalającym się samochodem.

Limuzyna skręciła na wschód w Pięćdziesiątą Ulicę i minęła katedrę, potem wjechała na Madison Avenue, pozostawiając za sobą rezydencję kardynała, kaplicę Matki Boskiej i plebanię. W przedzie Maureen ujrziała szarego bentleya, później straciła go z oczu w gęstniejącym ruchu.

– Proszę otworzyć okno – powiedziała.

Ktoś opuścił najbliższe jej okno i usłyszała dzwony odległych kościołów, rozpoznając wśród nich charakterystyczny dźwięk dzwonów Świętego Patryka grających „Danny Boy”. Usiadła wygodnie, wsłuchując się w melodię. Przez krótką chwilę myślała o podróży do domu, o Sheili i Brianie, i przypomniała sobie ten czas, nie tak odległy przecież, gdy wszyscy, których znała, żyli – rodzice, koleżanki i chłopcy, krewni i sąsiedzi – lecz teraz jej życie wypełnione było zmarłymi, zaginionymi i rannymi, i pomyślała, że najprawdopodobniej i ona zasili wkrótce ich szeregi. Spróbowała wyobrazić sobie przyszłość swoją i swojej ojczyzny, lecz nie potrafiła. A jednak nie obawiała się przyszłości i już oczekiwała chwili, w której na swój sposób zacznie pracować nad urzeczywistnieniem celu fenian, nad opróżnieniem więzień Ulsteru.

Dźwięk dzwonów ucichł w oddali i Maureen przeniosła wzrok na leżący na jej kolanach goździk. Podniosła go i obróciła łodyżkę w palcach, a potem wetknęła go w wyłóg swojej tweedowej kurtki.